

Stawka większa niż życie cz.1

Andrzej Zbych



calibre 0.9.27

ANDRZEJ ZBYCH

**STAWKA WIĘKSZA
NIŻ ŻYCIE**

I

DRUGIE URODZINY

Umówił się z Pierre'em, że zapadną w kartoflisku podczas drogi powrotnej. To była spora szansa. Wachmani o tej porze są już zmęczeni, tłum przymusowych robotników, który powinien maszerować w karnych trójkach, po dwunastu godzinach morderczej harówki ciągnie osowiały; każdy myśli tylko o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w domu, jeśli domem można nazwać otoczony drutem kolczastym czworobok baraków, w których zgromadzono kilkuset cudzoziemskich robotników, zatrudnionych w stoczni remontowej Kriegsmarine w Królewcu. Jest więc szansa, że żaden ze współwięźniów nie zauważy ucieczki, a jeśli nawet, to zapewne pomyśli, że tych dwóch zwariowało zupełnie, bo przecież ucieczki kończą się zwykle jednakowo: po paru dniach, a po tygodniu najpóźniej, przyprowadzają z powrotem takiego, któremu — jak mawia w takich okazjach LagerFuehrer Artzt - znudziło się spokojne życie w tym cichym, przyjemnym obozie i który pragnie zakosztować prawdziwego niemieckiego obozu koncentracyjnego...

Bo istotnie ten mały obóz, postawiony na ugorze pod Królewcem - ze strychu najwyższego baraku widać krańcowy przystanek linii tramwajowej - nie jest prawdziwym niemieckim obozem. Staszek spodziewał się, że może być znacznie gorzej, kiedy aresztowano go w rodzinnej Kościerzynie. Już wtedy działał Stutthof Konzentrationlager, budzący postrach wśród pomorskich Polaków. Ale miał szczęście. Zaplombowany bydłęcy wagon minął Gdańsk, z którym tyle Staszka łączyło dobrych i złych wspomnień, i skierował się na wschód.

Znalazł się w tym niewielkim obozie, gdzie oczywiście nie cackają się z nimi, kawki z mleczkiem do łóżeczka nie podają, ale brukwiowej zupy z pływającymi gdzieś tam okrawkami tłustego mięsa prawie do woli, chleba także sporo, pół kilograma dziennie. Rzecz w tym - Staszek szybko się połapał — zew obozie umieszczono wyłącznie młodych, zdrowych ludzi, dobierając ich nawet pod kątem przygotowania technicznego. Być może wyznaczenie Staszka w kościerzynskim gestapo, że przez cztery semestry studiował budownictwo okrętowe na Politechnice Gdańskiej, wyznaczenie, dodajmy, złożone płynną niemczyzną, zdecydowało o jego losie.

Wśród współtowarzyszy niedoli przeważali ludzie obcy z pracą w fabrykach, Staszek zaprzyjaźnił się z Felkiem, który był majstrem u warszawskiego Gerlacha, a człowiek, obok którego dostał pryczę, właśnie ten Pierre, z którym teraz omawiał ucieczkę, pracował przed wojną u Panharda jako skrawacz-narzędziowiec. Wielka machina wojny totalnej, proklamowanej przez wodza tysiącletniej Rzeszy, potrzebowała fachowców, bo wiele stanowisk przy obrabiarkach, frezarkach i szlifierkach stało pustych - ludzi, którzy przy nich pracowali, posłano na fronty. A ktoś musiał produkować części zamienne do podziobanych przez angielskie pociski okrętów, więc stworzono ten obóz, o którym sami jego szefowie mawiali, że należy do najbardziej luksusowych miejsc Trzeciej Rzeszy. Bicie nie wchodziło tu do rytuału, oczywiście nierzadko człowiek obrywał kolbą, kiedy „post” miał akurat muchy w nosie, ale były to raczej szturchnięcia niż ciosy, widocznie personel strzegący obozu otrzymał instrukcje, aby pensjonariuszy tych czterech odrutowanych baraków w miarę możliwości oszczędzać. Byli potrzebni przynajmniej do końca wojny. Rzesza postanowiła wycisnąć z nich wszystko, co się da, zanim zdecyduje się na ich unicestwienie. Właściwie można by w tym obozie doczekać końca wojny, bo oszczędzały ich nawet angielskie bomby, spadające w nieregularnych odstępach czasu na Królewiec. LagerFuehrer Artzt, grubas bez

prawej ręki, którą zdążył już stracić gdzieś w kampanii francuskiej, usiłował być jowialny, co mu zresztą przychodziło bez trudu.

- Widzicie - powiadał - jak was oszczędzamy. Anglicy bombardują niemieckie miasto, a was umieściliśmy za miastem, żeby wam się, broń Boże, krzywda nie stała...

Oczywiście nic darmo. Względnie ludzkie warunki życia okupione są dwunastogodzinną harówką. Do tego dochodzi blisko godzinę trwająca droga powrotna, bo rano zawożą ich ciężarówkami.

Wielu się z tym pogodziło. Niektórzy nawet uznali, że wygrali los na loterii. Na przykład ci z Warthegau lub Pomorza. Ci, którzy stamtąd pochodzą, mają prawo przekazać część zarobionych marek pozostawionym rodzinom. Ich obecność tutaj chroni w jakimś stopniu, przynajmniej tak sobie wyobrażają, najbliższych przed wysiedleniem. Ci chwalą sobie nawet obóz, uważając go za najmniejsze zło, jakie mogło im się przytrafić.

Ale Staszek od ośmiu miesięcy, to znaczy od momentu, gdy się tu znalazł, myśli o ucieczce. Co prawda on także pochodzi z Pomorza, ale nic nie może pomóc swoim bliskim, których pochłonęła pierwsza fala hitlerowskiego terroru w jesieni trzydziestego dziewiątego. Uciekł wtedy do Krakowa, potem do Warszawy.

Długo szukał kontaktu z jakąś organizacją, chciał iść do lasu, chciał się bić, ale konspiracja dopiero się rodziła, obejmowała swym zasięgiem niewielkie grupy, a wieści o regularnych leśnych oddziałach były bardziej pobożnym życzeniem niż rzeczywistością... Kiedy wreszcie udało mu się nawiązać kontakt z organizacją, kiedy go zaprzysiężono i myślał, że nareszcie będzie mógł robić to, co robić powinien, po tym, co stało się z jego matką i ojczymem, z jego dalszymi krewnymi i bliskimi przyjaciółmi, kazano mu wrócić do Kościerzyny. Miał tam się zamelinować, w razie potrzeby przyjąć Volkslistę i czekać na dalsze rozkazy. Tłumaczył, że chce walczyć z bronią w rękę, że chce zabijać ludzi, którzy zburzyli mu dom rodzinny... Na nic się to nie zdało. To był rozkaz. Powinien zrozumieć, że organizacji potrzebni są ludzie świetnie znający język swego wroga, obeznani z terenem, inteligentni i odważni, którzy w razie potrzeby potrafią zorganizować grupę konspiracyjną czy siatkę wywiadowczą. Ale nie doczekał się żadnego rozkazu. W trzy tygodnie po przyjeździe do Kościerzyny przyszło gestapo i wylądował w tym właśnie małym obozie.

Mieli pryskać razem z Felkiem, z tym od Gerlacha. Chłopak był cwany, ukradł któremuś z robotników niemieckich jego papiery i czekał na sposobny moment. Staszek myślał właśnie, żeby uczynić coś w tym rodzaju, gdy którejs nocy obudziła ich wizyta gestapowców. Poszli wprost do Felka. W sienniku znaleźli te dokumenty. Felek więcej nie wrócił. Po tym wydarzeniu skończyły się głośne rozmowy i półjawne planowanie ucieczek. Ktoś był kapusiem, niestety nie udało się ustalić, kto. W każdym razie cel administracji obozu został osiągnięty. Ludzie zamknęli się w sobie, długo się obwąchiwali, zanim jeden odezwał się do drugiego. Tak jak sobie życzył lagerFuehrer Artzt: „Pracować, pracować, nie myśleć o głupstwach...”

Musiało upłynąć parę miesięcy, zanim jego stosunki z Pierre'em, sąsiadem z pryczy obok, zacieśniły się do tego stopnia, że zaczęli przebąkiwać o ucieczce. To Pierre właśnie, kiedy pierwsze bariery wzajemnej nieufności zostały przełamane, powiedział Staszekowi:

- Wiesz, dlaczego wszyscy uciekający wpadali? Bo uciekali w niewłaściwą stronę. - I potem wyjaśnił: - Uciekali Polacy to rozumiałe... Oni mają najbliżej. Żaden Francuz nie próbował, ani Czech, ani Jugosłowianin. A mimo to żadna ucieczka się nie udała...

Było szesnaście ucieczek. Większość w grupach dwu-, trzyosobowych, kilka indywidualnych. Uciekinierzy zawsze wracali. Tylko raz ktoś nie wrócił, przywieziono jego zwłoki.

- To proste - ciągnął Pierre. - Pomyśl, wszyscy uciekają na południe, w stronę swoich. Od terenów, gdzie mogą trafić na pomoc Polaków, dzieli ich trzysta kilometrów.

- Więcej - sprostował Staszek. - Granica Rzeszy przebiega teraz niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północ od Warszawy.

- Tym bardziej. A trzeba uciekać nie tu - pociągnął gwoździem po blasze, która miała stać się częścią kadłuba jakiegoś pancernika, bo ich rozmowa toczyła się przy pracy w stoczni, ponieważ doszli do wniosku, że tylko tu, w ogłuszającym jazgocie pneumatycznych młotów i piskach skrawanej stali, mogą mówić spokojni, że nikt ich nie podsłucha. - Więc trzeba uciekać nie tu - powtórzył - lecz tu - wyrysował gwoździem strzałkę ustawioną pod kątem prostym do poprzedniej, wskazującej drogę do Polski.

- Na wschód? - nie zrozumiał Staszek. - Zwariowałeś. Przecież tam są bolszewicy.

- Właśnie - pokiwał głową Pierre. - Granica jest stąd siedemdziesiąt - osiemdziesiąt kilometrów. Pomyśl!

- A jak Rosjanie wydadzą nas Niemcom? Albo wsadzą za druty gdzieś na północy?

Długo nie wracali do tej rozmowy, to znaczy nie wracali do niej wprost, ale Pierre krążył wokół sprawy jak ćma koło świecy. Staszek szybko zorientował się, w czym rzecz. Pierre był

komunistą i ciągnęło go na wschód. Pewnie by wolał wrócić do Francji, ale wiedział, że to niemożliwe, więc wybierał Rosję. A on, Staszek? Nie wychowano go w miłości do wschodniego sąsiada.

W swoim dwudziestodwuletnim życiu nie zdążył się zetknąć z ludźmi, którzy mieliby na ten wielki, szamoczący się z trudnościami kraj inny pogląd niż on, to znaczy taki, jaki wyniósł ze szkoły i lektury prasy. Ciekawił go ten kraj, słyszał o pięciolatkach, o Dnieprogressie i Magni-togorsku, fascynowało go przeobrażanie rolniczego kraju w potęgę przemysłową. Ale słyszał także o procesach i czystkach, o biedzie i kolektywizacji. Staszek nie wiedział, ile prawdy było w tym, co czytał, ale powzięcie decyzji nie było sprawą prostą. Ucieczka do Generalnej Guberni jest piekielnie trudna, prawie niemożliwa, ale uciekać do Rosji... Dlatego, kiedy Pierre narysował mu strzałkę, wyznaczającą marszrutę na wschód, zawołał w pierwszym odruchu: „Przecież tam są bolszewicy!”

- Czytałeś? - zapytał w parę tygodni później Pierre podczas półgodzinnej przerwy obiadowej. - Czytałeś „MeinKampf”?

Siedzieli w maszynowni remontowanego statku. Obiadową zupę przywożono im do stoczni. To

pytanie tak zaskoczyło Staszka, że nie doniósł łyżki z jakimś krupnikiem do ust.

- Zwariowałeś? Po co miałem czytać to świństwo, z którego wynika, że jestem podczłowiekiem.

- Gdybyś czytał - Pierre wyskrobał kaszę z dna miski, starannie wylizał łyżkę. - Gdybyś czytał, wiedziałbyś, że do podludzi Adolf Hitler zalicza także Rosjan. I wiedziałbyś jeszcze, że likwidacja państwa bolszewickiego jest jego głównym celem. Bez tego nigdy by nie zdobył „przestrzeni życiowej dla wybranego narodu”. Potrzebne mu żyzne stepy Ukrainy, więc wojna z Rosją jest nieunikniona. Jeśli Rosja walczyłaby z Niemcami, poszedłbyś z Rosją?

- Poszedłbym z samym diabłem.

- Masz moje słowo honoru, że wojna wybuchnie. Staszek chciał mu powiedzieć, że nie bardzo w to wierzy, że przeczą temu ostatnie wydarzenia, ale nie zdążył, bo zawyła syrena ogłaszająca koniec przerwy obiadowej. Do maszynowni wtoczył się majster, który popędził ich do roboty. Dopiero po paru tygodniach nadarzyła się okazja do rozmowy. Pierre miał teraz ułatwione zadanie. Koncentracja wojsk niemieckich w rejonie Królewca rzucała się w oczy każdemu. Triumfował.

- A nie mówiłem, bracie? Teraz jest najwłaściwsza pora. Człogi bez przerwy walą na wschód. Wiedziałem, że to taktyka - z dwóch stron - i Niemcy, i Rosjanie potrzebowali czasu. Stalin nie jest głupi. Wiedział, że w trzydziestym dziewiątym nie da rady Hitlerowi. Musiał mieć trochę czasu. Dlatego zawarł ten pakt. Ja wiem, że cię to boli. U nas też wielu ludzi tego nie rozumiało. Ale znasz takie przysłowie, że koszula bliższa ciału.

Więc ustalili plan ucieczki. Najlepiej po robocie, kiedy eskortujący ich wachmani też są zmęczeni. Zapaść gdzieś w kartoflisku i przeczekać, aż minie ich grupa. Zanim dojdą do obozu, upłynie pół godziny. Potem kolacja, a apel dopiero o dziewiątej, czyli razem dwie i pół godziny. Ale to jeszcze nie koniec. Pierre załatwi, żeby któryś z Francuzów krzyknął, że ich majster zatrzymał na nocną zmianę. Pojadą do stoczni ich szukać - znowu godzina. Razem trzy i pół - do czterech godzin. Mają po parę marek, Pierre sprzedał wachmanowi piękny mohairowy szal. Staszek - trzydniową porcję chleba. Wystarczy, żeby kupić bilet w stronę Kłajpedy. Do samej Kłajpedy nie starczy forsy, więc dojadą do czwartej czy piątej stacji za Królewcem. Tam wysiądą i ruszą na wschód. Dopiero wtedy zaczną ich szukać. Ale szukać ich będą na południu.

Poszło nadspodziewanie łatwo. Była mgła i żaden z „postów” nie zauważył, że z grupy ktoś ubył. Zresztą trudno było winić ich o to, ponieważ trójki dawno się już rozpadły, robotnicy opatuleni, czym kto miał, szli niemal na oślep, naprzeciw wiatrowi, który kładł na ich twarzach warstwę zimnej, marcowej mżawki.

Sytuację ułatwiało to, że ubiorem niczym nie różnili się od robotników niemieckich, te same niebieskie kombinezony, naciągnięte na ubrania. Jedyнным znakiem rozpoznawczym były przyszyte do lewej kieszeni białe skrawki materiału z literą, która symbolizować miała przynależność narodową więźnia. Jeszcze w kartoflisku zerwali te szmaty, stając się w tym momencie uciekinierami i przestępcami w świetle prawa Rzeszy i wewnętrznego regulaminu obozowego. LagerFuehrer Artzt za lekkie nadprucie białej szmatki z literką dawał trzy dni karczeru. Tak jak było umówione, wsiedli do tramwaju na krańcowym przystanku. Znali tę drogę, można było do dworca głównego dojechać bez

przesiadki. Udawali, że się nie znają, niemczyzna Pierre'a mogłaby wzbudzić podejrzenia, choć tak się złożyło, że plan zrobienia małego figla władzom Rzeszy uknuli właśnie po niemiecku, ponieważ był to jedyny język, jakim mogli się od biedy porozumieć. Na dworcu Staszek stracił Francuza z oczu, ale bał się, by rozglądaniem nie zwrócić na siebie uwagi Schupo, który przechadzał się po hali dworca z rękami do tyłu. Kupił bilet do stacji, jaką poprzednio z Pierre'em ustalił, i minął obojętnie w przejściu kolejarza, który kasując jego bilet nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Mieli szczęście, pociąg był już podstawiony. Na peronie Pierre puścił do Staszka oko i wsiadł w któryś z pierwszych wagonów. Staszek ulokował się z tyłu i czekał. Był jedynym pasażerem w przedziale, potem zjawił się jakiś kolejarz wracający po pracy do domu, milkliwy na szczęście. Zapalił papierosa, czym przyprowadził Staszka o zawrót głowy, zauważył to i bez słowa podsunął mu paczkę papierosów. Wysiadł na następnej stacji i Staszek mógł, spojrzawszy na zegarek, stwierdzić, że jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowali, to zaczną ich szukać dopiero za godzinę. Rozważał właśnie, co powie Rosjanom na granicy, jak ich przekona, by nie odsyłali go Niemcom. Ocknął się, gdy spostrzegł, że pociąg stoi. Spojrzał na zegarek i ogarnęło go przerażenie. Przespał stację Gnei-sau, gdzie miał spotkać się z Pierre'em. Sądząc po godzinie, pociąg musiał dojeżdżać już do Kłajpedy. Wyrzał oknem, powoli podnosił się semafor. Kilkaset metrów dalej widniały światła i zabudowania sporego na oko miasta. Zdecydował się w jednej chwili - skoczył, gdy pociąg drgnął.

Był na terenie jakiejś bocznicy, z prawej miał niskie zabudowania, prawdopodobnie jakichś magazynów. Z lewej zagajnik z usypanymi na jego skraju wielkimi pryzmami węgla czy koksu. Ruszył w tamtą stronę. Miał kompas i mapę, ale cóż to za mapa? Wycięta z gazety „Kónigsberg Zeitung” mapa zwycięskiego marszu niemieckich wojsk. Ta część Europy, która go interesowała, była zaledwie naszkicowana. Mógł się z tego domyślić jedynie, że granica musi być gdzieś w pobliżu. W świetle małej kolejowej lampy sygnalizacyjnej położył na dłoni kompas wyprodukowany własnym przemysłem: namagnesowana igła na wieczku pudełka od pasty do butów.

Wiedział tylko tyle, że musi iść na wschód.

Schował do kieszeni kompas i wszedł w zagajnik.

Pułkownik Jakubowski kazał szoferowi stanąć przed niskim, szarym budynkiem, gdzie mieścił się sztab okręgu wojskowego. Spojrzał na zegarek — okazało się, że przyjechał za wcześnie, szef wyznaczył mu spotkanie dopiero na jedenastą, ma więc blisko pół godziny czasu. Postanowił się przejść. Rozmowa z szefem nie będzie łatwa. Choć znają się już dobrych parę lat, w ostatnich czasach jakiś cień padł na ich wzajemne stosunki. Rumian-cew uważnie słuchał jego raportów, kreśląc na kartce esy--floresy, na zakończenie pytał nieodmiennie, czy Jakubowski ma to spisane, brał rękopis i wkładał do teczek.

- O nic nie chcesz zapytać? - powiedział Jakubowski niemal ze złością, kiedy był tu ostatni raz, dwa tygodnie temu.

- Wszystko jasne - powiedział tamten. - Myślisz, że to dla mnie taka sensacja? Popatrz - pokazał pękatą teczkę - to są meldunki z ostatnich trzech dni. Można by tym porządnie napalić w piecu. I wszystkie na jedną nutę: Niemcy szykują to, Niemcy szykują tamto. Niemcy przysyłają szpiegów. Jak myślisz, to taka zabawna lektura?

- Więc jednak to czytasz, zanim wrzucisz do pieca - powiedział Jakubowski i poczuł, że chyba przekroczył granicę, której nie powinien był przekraczać. Rumian-cew wstał, odwrócił się do niego tyłem, przez chwilę wpatrywał się w nowe domy za oknem.

- Nie palę tym w piecu - powiedział sucho, prawie wrogo - posyłam wszystko do Moskwy i dodaję od siebie raporty sumaryczne, jeśli cię to interesuje.

- I co? - chciał wiedzieć Jakubowski. Za odpowiedź powinno mu wystarczyć milczenie Rumiancewa.

Czy teraz znowu tak będzie? Wojna wisi na włosku - jest tego pewien. Raporty wywiadu płytkiego, jakimi dysponuje, potwierdzają to z zadziwiającą jednomyślnością. Transport brygady pancerniej, przegrupowanie dywizji piechoty, nieustannie ciągnące na wschód transporty z benzyną. Ostatnie informacje z Kłajpedy potwierdziły wcześniejsze meldunki, że w tych okolicach Niemcy zbudowali ogromny zbiornik paliw płynnych o pojemności kilkunastu tysięcy ton. Z ostatniego meldunku wynika, że już 1800 wagonów-cystern przełało swą zawartość do zbiornika, ale zmieścić się w nim może z łatwością drugie tyle. Inne informacje potwierdzały, że sprowadzana benzyna należy do typu lekkich, służących do napędu samolotów. Skąd samoloty, jeśli w Kłajpedzie jest jedno małe lotnisko, na którym zdołałoby się pomieścić naraz pięć, no powiedzmy - dziesięć maszyn.

Chyba żeby rację miał ten chłopak, ten uciekinier z niemieckiego obozu, który twierdzi, że w lasach nie opodal Kłajpedy natknął się na dobrze zaawansowaną budowę pasów startowych...

Co może zrobić Jakubowski poza złożeniem szczegółowego raportu swoim przełożonym? Niełatwy kawałek chleba wybrał. Od dwu blisko lat jest kierownikiem sekcji radzieckiego kontrwywiadu, obejmującego swym zasięgiem znaczny szmat granicy radziecko-niemieckiej. Cóż

może zrobić więcej poza przesłaniem raportu i odbyciem okresowego spotkania z Rumiancewem? Przecież me podejrzewa, że Rumiancew zataja jego meldunki? Zna tego człowieka i wie, że można na nim polegać. Kiedy kilka miesięcy temu zameldował Rumiancewowi, że jego dotychczas spokojny odcinek pracy nagle się ożywił, tamten popatrzył mu głęboko w oczy.

- Słuchaj - powiedział - czy ty czasem nie chcesz tej wojny?

-Wiem, o czym myślisz - odparł spokojnie Jakubowski - i jestem pewien, że kiedyś zmierzmy się z Niemcami. Mam obowiązek zameldować ci o wszystkim, co wzbudziło moje zaniepokojenie, więc melduję.

Aluzja zwierznika była przejrzysta. Czy nie chcesz tej wojny - to znaczy, czy nie chcesz, żebyśmy zwyciężyli Niemców i wypędzili ich z Polski. Bo Jakubowski był Polakiem. Nigdy tego nie ukrywał, przeciwnie - niejednokrotnie podkreślał swą polskość. Jego ojciec dowodził szwadronem u Budionnego, zginął za władzę radziecką. On zdecydował się zostać w Rosji. Tam za granicą, za kordonem, jak się wtedy mówiło, nie miał nikogo bliskiego, matka i siostry mieszkały w Leningradzie, nikogo z dalszej rodziny nie znał, ale nie lubił, kiedy waliło się w gruzy to państwo, nie lubił, kiedy Niemcy wkraczali do Warszawy, której nie widział na oczy, a którą tylko opromieniały ciepłem wspomnienia matki, poczuł ucisk serca i nieraz musiał się zetrzeć z którymś z kolegów, którzy upadek „pańskiej” Polski przyjmowali z nieukrywaną satysfakcją. Z Rumiancewem zresztą nigdy nie doszło do kontrowersji na ten temat. W dniu kapitulacji Warszawy mocno uściśnęła mu rękę.

- Pójdą, jak przyszli - powiedział. - A może i ty wrócisz?

Więc i Rumiancew - pomyślał Jakubowski teraz - jest przekonany, że musi dojść do wojny, że Niemcy zdecydują się na samobójczy - a o tym Jakubowski, absolwent Akademii imienia Frunzego, był najzupełniej przekonany — atak. Spojrzał na zegarek. Trzeba wracać. Rumiancew kazał mu sprawdzić zeznanie tego chłopaka, tego Stanisława Moczulskiego, który uciekł z obozu pod Królewcem z zamiarem poinformowania władz radzieckich o koncentracji nad ich granicą wojsk niemieckich. Tak jakby Jakubowski, reprezentujący te władze, nie wiedział o tym od dawna. Ten młody, buńczuczny chłopak powiedział Jakubowskiemu, że w wypadku wybuchu wojny pragnie wstąpić do Armii Czerwonej i walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi.

- Kto wie, kto wie — powiedział Jakubowski po polsku. Chłopak się zdziwił i ucieszył, ale bardziej chyba ucieszył.

- Pan jest oficerem ich armii i zna pan polski?

- Tak - powiedział mu wtedy Jakubowski - jestem Polakiem i oficerem Czerwonej Armii.

Ujął go ten chłopak swoją żarliwością, patriotyzmem, brakiem pozy. Nie ukrywał, zeznając przed Jakubowskim, że decyzję ucieczki do Rosji podjął nie bez oporów, że dał się przekonać argumentacji francuskiego komunisty, z którym podjął ucieczkę, a którego zgubił gdzieś po drodze. Nie usiłował przekonać Jakubowskiego, że jest entuzjastą ustroju, jaki panuje w Rosji, powiedział, że nie interesował się polityką, że jedynym jego pragnie niem jest walczyć z Niemcami, pomścić

śmierć najbliższych i klęskę kraju.

Chłopaka oczywiście posadził, polecił jedynie, by karmiono go dobrze, wychudł w czasie tej ucieczki, a może podczas pobytu w obozie. Musiał sprawdzić dane, jakie chłopak podał, i to zajęło mu blisko dwa tygodnie. Właśnie dziś rano otrzymał potwierdzenie. Oczywiście nie udało się sprawdzić wszystkiego, ale z grubsza się zgadzało. Trzeba będzie chłopaka zwolnić, pošłą go zapewne gdzieś w głąb Rosji i tyle będzie z jego pragnienia walki z Niemcami. Chociaż jego znajomość niemieckiego, jeśli jest naprawdę tak bezbłędna, mogłaby się na coś przydać. Jeśli Rumiancew pozwoli, zatrzymam go u siebie jako tłumacza, postanowił wchodząc w bramę budynku sztabu.

Okazało się, że na szefa musi jeszcze poczekać. Żołnierz broniący dostępu do gabinetu był nieubłagany. Zgodził się tylko zadzwonić i zameldować, że pułkownik Jakubowski właśnie się zjawił. Z satysfakcją powtórzył Jakubowskiemu, że szef przyjmie go dopiero za dziesięć minut.

- Zajęty jest - dodał tonem prywatnym - jakiegoś szwaba przesłuchuje.

Pałac papierosa, oparty o parapet okna na korytarzu, rozmyślał o tym jednym prywatnym zdaniu żołnierza--kancelisty. Nie powiedział zwyczajnie, że przesłuchuje Niemca, tylko szwaba. Tym jednym słowem zmanifestował swój stosunek uczuciowy do kraju, który przynajmniej w oficjalnej nomenklaturze nosi od półtora roku miano przyjaznego sąsiada. Prawdziwe uczucia narodu -pomyślał nie bez przyjemności i nagle aż wypuścił papierosa z wrażenia. Nie, nie może się mylić, chociaż to zupełnie nieprawdopodobne. Z gabinetu szefa wychodził, konwojowany przez czerwonoarmistę, ten Polak, którego zostawił przecież u siebie w garnizonowym areszcie. Ten sam, tylko trochę inaczej ubrany. Co ori tu robi? - zdążył jeszcze pomyśleć, bo Rumiancew go już zauważył i przywoływał ruchem ręki. Jakubowski spostrzegł, że Rumiancew jakby odmłodził, stracił ociężałość ruchów, nawet jego zwykle pomięta „gimnastiorka" wydawała się mniej pognieciona niż zwykle.

- Ciesz się, bracie - powiedział - coś się rusza. Być może wreszcie tam na górze - mimowolnie pobiegł wzrokiem ku portretowi zawieszonemu nad biurkiem - zrozumieli, że to nie żarty. Masz dla mnie coś ciekawego?

- Zaraz, zaraz - rzekł Jakubowski, który jeszcze nie ochłonał ze zdziwienia. - Zanim złożę ci raport, powiedz mi, w jaki sposób go ściągnąłeś? Przecież rano, kiedy wyjeżdżałem, siedział jeszcze u mnie w piwnicy.

- Kto? Kogo? — nie rozumiał Rumiancew.

- Nie udawaj. Ten Polak, Stanisław Moczulski. Właśnie chciałem cię prosić o zgodę na zatrudnienie go u mnie w charakterze tłumacza. Chłopak zna perfektnie niemiecki, oczywiście polski i dogada się po rosyjsku.

- Kto? — Rumiancew naprawdę nic nie rozumiał.

Więc Jakubowski musiał mu wyjaśnić po kolei, jak dwa tygodnie temu żołnierze ze straży granicznej złapali na bagnach cywila z karabinem, który przedzierał się w stronę ich stanowisk. Ten

karabin zdecydował, że przysłano uciekiniera do Jakubowskiego. Chłopak zeznał, że uciekł z obozu dla cudzoziemskich robotników pod Królewcem, że zabił niemieckiego wartownika, zabrał mu karabin i pragnie zawiadomić władze radzieckie o koncentracji Niemców w pobliżu granicy, a także pragnie zgłosić gotowość walki ze wspólnym wrogiem, gdy zajdzie tego potrzeba. Sprawdził już większość danych - wszystko się zgadzało, ale nie miał czasu z chłopakiem rano pogadać i zdziwił się bardzo, kiedy zobaczył go wychodzącego przed chwilą z gabinetu Rumiancewa.

- Pomyliłeś się - powiedział spokojnie Rumiancew. - To nie żaden Polak, to Niemiec z Litwy, nazywa się Hans Kloss.

Teraz Jakubowski musiał mieć minę co najmniej niemądrą, bo Rumiancew roześmiał się, klepnął go po ramieniu.

- Ile wypiteś rano? „Stakan” czy dwa?

- Człowieku - powiedział - widziałem go z odległości dwóch metrów, w pełnym oświetleniu, a tamtego przesłuchiwałem chyba z dziesięć razy. Tu nie może być pomyłki. Oglądałeś w życiu dwóch jednakowych facetów? Chyba, że są bliźniakami.

- Jednojąkowymi - uściślił Rumiancew. - Ale mogę ci przysiąc, że ten facet nazywa się Hans Kloss. Mamy pewne podejrzenia, nawet poszlaki, że pracował dla Abwe-hry. Potwierdzałyby to przypuszczenie, że Niemcy zwrócili się do nas o wymianę tego faceta na dziewczynę, która w Siedlcach pracowała dla nas. Pewnie przyjdzie nam to zrobić, bo nie mamy przeciwko niemu niczego konkretnego. A małomówny jest, jak rzadko.

- Wymianę, powiadasz? - W głosie Jakubowskiego zrodziła się myśl na pozór absurdalna.

- Taki podobny? - powiedział Rumiancew. - To ciekawe, to bardzo ciekawe.

Czyżby i on myślał o tym samym? - zastanowił się Jakubowski. Dalsze słowa Rumiancewa jakby to potwierdzały.

- Zna perfektnie niemiecki? - powiedział powoli. - Studiował przez dwa lata na Politechnice Gdańskiej, urodzony i wychowany na Pomorzu, zna niemiecki tak samo jak polski.

- Zna perfektnie niemiecki? - powiedział powoli. - Studiował przez dwa lata na Politechnice Gdańskiej, urodzony i wychowany na Pomorzu, zna niemiecki tak samo jak polski.

- I chciałby walczyć z Niemcami - roześmiał się Rumiancew. - Może dalibyśmy mu tę szansę? Zadzwoń do garnizonu, niech mi go zaraz tu przyślą, tego twojego patriotę, jak mu tam?

- Stanisław Moczulski. Gdybyś ich postawił obok siebie, może wtedy zobaczyłbyś różnicę. - Wstał, służbiście zwarł obcas. — Pozwólcie się odmeldować... Od dawna już żadne polecenie Rumiancewa nie sprawiło mu takiej przyjemności.

Smuga ostrego światła kieszonkowej latarki zatrzymała się na chwilę na kocu, pod którym rysowała się sylwetka mężczyzny z podkulonymi nogami.

Śpi jak dziecko - pomyślał Jakubowski i skierował światło wprost na twarz tamtego. Zerwał się w jednej chwili, zasłonił oczy przed kłującym snopem światła. Stojący obok Jakubowskiego mężczyzna jakby tylko na to czekał.

- Name? - wrzasnął.

- Hans Kloss.

- Geboren? - znów ten wrzask.

- 5 października 1919 roku w Kłajpedzie. Ojciec -właściciel ziemski, Herman, matka - Emilia von Wersecker.

Jakubowski podszedł do kontaktu, w pokoju zrobiło się jasno.

- Starczy - powiedział do mężczyzny. -Jak się masz, Staszku. - Mam nadzieję, że nie gniewasz się za tę nagłą wizytę?

- Skądże! - przeciągnął się. - Przyzwyczailem się. Nie rozpieszczają mnie tutaj.

- Musisz zapomnieć, że kiedykolwiek byłeś Stanisławem Moczulskim. — To powiedział dotychczas milczący mężczyzna, który wszedł z Jakubowskim. Z zawodu był psychologiem, a od trzech miesięcy, to znaczy od chwili wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, dowódcą, a właściwie zastępcą dowódcy do spraw szkolenia tej przedziwnej uczelni usytuowanej w pobliżu Krywania. Uczelnia była właściwie małym miasteczkiem i ktoś, kto znalazłby się tu, na przykład zrzucony ze spadochronem, mógłby pomyśleć, że jest w sercu Niemiec. Na białych, krytych czerwoną dachówką domach widniały niemieckie nazwy ulic (nie brakowało, oczywiście, Hermann Goe-ringstrasse i Adolf Hitlerplatz), niemieckie szyldy; w kiosku koło piwiarni można było kupić codziennie świeże niemieckie gazety, spóźnione zaledwie o trzy -cztery dni, które sprowadzano specjalnie via Sztokholm. W piwiarni podawały ładne dziewczyny w bawarskich strojach ludowych, a na cynowych blatach długich stołów pieniło się w fajansowych kuflach prawdziwe monachijskie piwo. Wszyscy, którzy tu mieszkali, którzy przez kilka godzin dziennie wysłuchiwali wykładów, prowadzonych oczywiście po niemiecku, studiowali niemieckie regulaminy wojskowe, przepisy celne i ordynację pocztową, nigdy nie wiadomo, co się komu może przydać — których budzono w nocy i żądano od nich wyjaśnień, świecąc w oczy latarką, których uczono skradać się bezszelestnie i zabijać uderzeniem pięści - wszyscy ci ludzie nienawidzili wroga, który chciałby rzucić na kolana ich ojczyznę, i szkoleni byli w tym celu, aby szkodzić mu najdotkliwiej na tyłach frontu. Oczywiście nie wszyscy na stałe przybiorą postać Niemca, nie każdemu dane jest, by mógł wcielić się, jak Staszek, w postać innego człowieka.

-Jak on się czuje? - zapytał Staszek.

- Gada. I pewnie zachodzi w głowę, czego od niego chcemy. Pokaż szyję, zabiłno się już?

Staszek pochylił głowę, tamten obejrzał prawie niewidoczną bliznę poniżej prawego ucha, dotknął jej nawet palcem. Z tą blizną była cała historia. Trzech najlepszych moskiewskich chirurgów pracowało nad tym, aby stworzyć na szyi Staszka ślad, jaki ma Hans Kloss po nieszczęśliwym upadku z konia w dzieciństwie.

- W porządku - skostatował Jakubowski. - Na oko nie różni się nic od tamtej. Jak z twoim strzelaniem?

- Chcecie zobaczyć? - wyręczył go w odpowiedzi zastępca komendanta szkoły.

- Teraz, w nocy? - zdziwił się Jakubowski.

- Mamy strzelnicę przygotowaną do ćwiczeń nocnych.

Wyszli na dziedziniec; za strumykiem, nad którym rozpięto romantyczny mostek westchnień, była strzelnica, otoczona dwoma wysokimi wałami ziemi. Dniało właśnie.

- Zapalić ci światło, Kloss? - zapytał zastępca komendanta.

- Spróbuję tak - odparł Staszek. Bardzo chciał, żeby próba wypadła pomyślnie. Nie spodziewał się, że strzelanie z pistoletu będzie mu sprawiało tyle trudności. Co prawda ostatnio instruktor strzelectwa, w cywilu aktor cyrkowy, popisujący się na arenie właśnie celnością strzałów, był z niego zadowolony. Nie chodziło, oczywiście, o zwykłe strzały do tarczy, ustawionej nieruchomo na wprost strzelającego. Ten fragment strzelnicy miał kształt półkola, wokół którego, w odstępach kilkudziesięciocentymetrowych, ustawiono tarcze. Pod każdą było czerwone światełko, które zapalało się na moment i gasło. Zapalały się kolejno, ale bynajmniej nie według porządku, czasem pierwsza z lewej, niekiedy ta, niemal na skraju widzenia prawego oka, czasem któraś z kilkunastu środkowych. Sztuka polegała na trafieniu w tarczę, na której zapaliło się światełko, a światełek w ciągu minuty błyskało dziewięć, tyle, ile nabój ów w pistolecie. Zastępca komendanta wszedł do budki, gdzie znajdowała się tablica do sterowania światłami. Błysnęło światło z prawej, strzelił i niemal instynktownie odwrócił się na pięcie strzelając w świecący punkcik z lewej, potem, prawie nie celując, w trzy kolejne, bliżej środka. I znów dwa z lewej. Kiedy myślał, że to koniec, błysnęło środkowe i w tym samym momencie nacisnął spust. Podeszli do tarcz. Tylko trzy dziesiątki, kilka na granicy siódemki i ósemki, i jedna, wstyd się przyznać, piątka.

- Nie martwcie się, Kloss - poczuł na ramieniu dotknięcie ręki zastępcy komendanta. - Zrobiłem ci małą niespodziankę, ta próba trwała tylko pół minuty, a i tak miałybyś dziewięć trupów. Wypijecie u mnie herbatę - zwrócił się do Jakubowskiego - i jedźcie z Bogiem.

- Tak - powiedział Jakubowski. - Za godzinę musimy być na lotnisku. Czekają tam na nas. Przez parę dni -zwrócił się do Klossa - będziesz się jeszcze przyglądał swemu sobowtórowi. Porozmawiamy o rodzinie... Nauczyłeś się tego, co ci przysłałem?

- Tak - uśmiechnął się Staszek. - Ciotka Hilda, siostra mojej matki, ma trzy córki; najładniejsza ma na imię Edyta i kochałem się w niej na zabój, kiedy miałem piętnaście lat. Chce pan, żebym powiedział coś o stryju Helmucie? A może wyliczyć wszystkie choroby, na jakie cierpiała ciocia Hilda? Najważniejszą z nich jest chroniczny reumatyzm...

- Żebyś wiedział, jakie to ważne - powiedział Jakubowski. - Rola, jaką ci wyznaczaliśmy, nie ma chyba precedensu. Ja przynajmniej o niczym takim nie słyszałem. -Uważnie popatrzył na Staszka. Ostrzyżony krócej, wyglądał jak kopia tamtego. Jak oryginał, poprawił się w myśli.

- A potem? - zapytał Staszek.

Jakubowski nie odpowiedział. Ruszył przodem. Myślał właśnie, jak zachowa się ten chłopak, kiedy go pošlą tam, gdzie nie będzie komendanta, który udaje nocne przesłuchanie, nie będzie imitacji niemieckiej piwiarni ani japońskiego instruktora dżudo, gdzie nie będzie Jakubowskiego ani nikogo, kto mógłby temu dwudziestoparoletniemu chłopcu służyć pomocą albo radą, gdzie znajdzie się sam, otoczony zewsząd wrogami, gdzie sekunda opóźnienia reakcji może zdecydować o powodzeniu misji lub o zgubie tego chłopca. Czy nie pomylił się, darząc go takim zaufaniem? Czy nie popełnił błędu? Od tej chwili ich los będzie z sobą sprzężony. Gdyby chłopak zdradził... Nie, to niemożliwe. Jakubowski nie mógł się pomylić. Ręczę za niego głową - powiedział wtedy Rumiancewowi, a potem powtórzył to w Moskwie, gdzie przedstawiali swój wariacki, jak to określił jeden z generałów sztabu generalnego, plan. Zatrzymał się, pozwolił się dogonić Staszkiemu.

- Hansa Klossa nie zainteresuje pewnie to, co teraz powiem, ale pozwolę ci jeszcze przez chwilę, po raz ostatni przed akcją być Stanisławem Moczulskim i nacieszyć się: w Londynie zakończyły się rozmowy ambasadora ZSRR Majskiego z premierem Sikorskim. Nawiązaliśmy stosunki dyplomatyczne, powstanie u nas polska armia, a Sikorski odwiedzi Stalina.

- Pamięta pan o swojej obietnicy?

- Tak - powiedział Jakubowski - ale może się nie rozstaniemy. - Obiecał Staszkiemu, że w momencie powstania polskiej siły zbrojnej przekaże Hansa Klossa do dyspozycji polskiego dowództwa.

- Nie rozumiem - zdziwił się Staszek.

-Jeśli powstanie armia, będzie potrzebować doświadczonych oficerów. Jeśli moje dowództwo pozwoli...

W trzy dni później zegnali się w małym miasteczku białoruskim. Słychać było odgłosy artyleryjskiej kanonady. Kurtka tamtego uwierała Staszka nieco pod pachami, był odrobinę szerszy w barach. Wtedy wrócił do rozmowy przerywanej piętnaście kilometrów pod Krywaniami.

- Bardzo bym chciał - powiedział Staszek - żebyś wreszcie zobaczył Warszawę.

- Ja też bym chciał - powiedział Jakubowski. Ucałowali się z dubeltówki, po polsku. - Słuchaj J-23, nie śpiesz się, nie działaj nerwowo. Znasz punkty kontaktowe, w razie potrzeby my cię

znajdziemy. Pamiętaj, mc pochopnie. Nawet, gdybyś miał zacząć pracować kilka tygodni później. Chcę, żeby udało ci się, żebyś wytrzymał chociaż pół roku. Przez ten czas coś się zmieni na froncie, musi się zmienić! - prawie krzyknął, bo zagłuszała go narastająca kanonada artyleryjska.

- A może dłużej? - powiedział Staszek. - Chciałbym chociaż rok. Wiesz, ile przez ten czas mógłbym im zaszkodzić. .. - Od wczorajszej pożegnalnej kolacji mówili sobie po imieniu.

- Nie wolno ci być marzycielem - powiedział Jakubowski. Spojrzał na zegarek. - Czas już na mnie. Najpóźniej o północy nasi opuszczą to miasteczko. Od tej chwili jesteś zdany tylko na siebie. - Zatrzasnął za sobą drzwi samochodu. Odkręcił szybę i krzyknął, gdy samochód ruszał: - Chcę, żebyś to ty mi pokazał Warszawę!

Został sam. I w tym momencie z całą jasnością uświadomił sobie to, co Jakubowski powtarzał mu wielokrotnie. Od tej chwili będzie już zawsze sam.

Przypomniął sobie tamtą rozmowę sprzed blisko dziesięciu miesięcy, kiedy szedł główną ulicą miasteczka w stronę komendantury. Może dlatego, że to miasteczko tak bardzo było podobne do tamtego na Białorusi, gdzie po raz ostatni widział się z Jakubowskim. Te same niskie, pobielone chałupy, spośród których gdzieniegdzie wyrastał dwu-, trzypiętrowy dom, kocie łby na jezdni i mydliny leniwie płynące rynsztokiem. Odsalutował niedbale przechodzącemu żołnierzowi, który na widok tego wymuskanego, prosto spod igły oficerka porządnie obciągnął bluzę.

- Hans! - zawołał ktoś za nim.

Obejrzał się, Marta Becher zbiegała po stopniach najwyższego w tym miasteczku budynku, w którym mieścił się zapewne tutejszy „sowiet” albo komitet partyjny, a teraz zainstalowano niemiecki szpital przyfrontowy. Z przyjemnością zauważył raz jeszcze, że Marta ma bardzo zgrabne nogi, którym wcale nie szkoda, powiedziałyby nawet, że dodają swoistego wdzięku, polowe, zbyt na nią szerokie saperki. Pocałował ją w chłodny policzek.

- Dzień dobry, Marta, cieszę się, że cię widzę. Zobaczymy się wieczorem, prawda? Będę w kasynie.

- Chętnie, Hans - powiedziała - ale wolałabym, żebyś po mnie wstąpił.

- Wiesz, że robię to zawsze z przyjemnością. Jeśli tylko znajdę chwilę czasu...

- Znajdziesz na pewno - przerwała mu. - Muszę już bieć. Znowu przywieźli kilku z odmrożonymi twarzami.

Zastanowił się, gdy biegła z powrotem w stronę wysokiego, nie otynkowanego budynku, czy znajdzie czas, by po nią wstąpić. Najpierw sztab, potem, jeśli coś ciekawego uda mu się dowiedzieć, wstąpi do krawca Worobina, aby mu przyszył guzik, który mu się właśnie oderwie. Przez ten czas, kiedy krawiec będzie przyszywał guzik, w pokoiku za sklepem przekaże, co trzeba, Jackowi albo Irce, których zadaniem będzie przekazanie jego informacji dalej. Właśnie, przypomniał sobie, trzeba się zorientować, czy radiopeleng nie wpadł na ślad radiostacji. W razie czego zmienią miejsce nadawania. Do tej pory mieli szczęście. Od ponad dwóch miesięcy radiostacja przekazuje jego meldunki i, jak zdołał się zorientować, Niemcy nie mogą wpaść na jej ślad.

W ogóle, pomyślał, urodziłem się chyba w czepku, wszystko idzie nadspodziewanie łatwo; myślał, że długo będzie sprawdzany, zanim powierzą mu robotę. Stało się jednak inaczej. Opowieść młodego Niemca z Litwy, Hansa Klossa, który figurował w rejestrach zagranicznych agentów Abwehry, nie wzbudziła niczyich podejrzeń. Sposób, w jaki Hans Kloss wydostał się z łap bolszewików, był także całkiem wiarogodny, a konfrontacja z majorem Hubertusem, który kilkakrotnie widział Hansa Klossa w Kłajpedzie, a potem w Wilnie już po wkroczeniu Rdsjan, także wypadła pomyślnie. Nieraz w duchu błogosławił Jakubowskiego, który kazał mu z fotografii rozpoznawać różnych ludzi, który zmusił go, by nauczył się na pamięć twarzy wszystkich ludzi, z

którymi stykał się prawdziwy Hans Kloss, a których zdjęcia udało się radzieckiemu wywiadowi zdobyć. Właściwie nie mam się z czego cieszyć, pomyślał; zaczął się na coś przydawać Jakubowskiemu dopiero dwa miesiące temu, przedtem, jako elew oficerskiej szkoły Abwehry, gdzie skierowano go ze względu na znajomość języków rosyjskiego i polskiego, i rozeznanie w problematyce radzieckiej, mógł być obserwowany. Zresztą jakież cenne dla wywiadu informacje mógł zdobyć uczestnik przyspieszonego kursu szkolenia oficerów Abwehry. Skierowano go na ten przyspieszony kurs, ponieważ Hans Kloss skończył tajną niemiecką podchorążówkę w Kłajpedzie jeszcze za czasów litewskich, a także dlatego, że rosyjski front potrzebował ciągle nowych oficerów. Po sześciu miesiącach szkolenia w zwalczaniu nieprzyjacielskich agentur leutnant Kloss skierowany został do tego właśnie rosyjskiego miasteczka w charakterze oficera Abwehry przy sztabie dywizji. W pięć dni później, gdy przechodził koło spalonej bóżnicy, młoda kobieta w filcowych butach wymieniła hasło. Odpowiedział jej, zaskoczony szybkością, z jaką wywiad go odnalazł, i otrzymał polecenie zgłoszenia się do krawca Worobina. Przyszedł z pierwszym meldunkiem - będzie go zawsze pamiętał. Dotyczył liczby rannych i zabitych w niedawno stoczonej bitwie. Informacji dostarczyła mu Marta, którą właśnie poznał i która nie mogła się z nim spotkać z powodu nawału pracy w szpitalu. Doktor Marty Becher zazdrościła Klossowi wszyscy oficerowie dywizji. Kloss sam był zaskoczony, jak łatwo dziewczyna przyłgnęła do niego. Pierwszą informację w każdym razie jej zawdzięczał - rozgrzeszył się przed sobą.

Wszedł do budynku szkoły, gdzie mieścił się sztab dywizji, zameldował się swemu dowódcy dywizji pancernej, pułkownikowi Helmuthowi von Zanger.

- Jak zwykle punktualny co do sekundy - powiedział z uznaniem pułkownik. - To wielka zaleta u młodego oficera - zwrócił się do grubego szefa sztabu, który kreślił na rozłożonej przed sobą mapie jakieś strzałki, używając na przemian raz czerwonego, raz niebieskiego ołówka. Tamten pokiwał głową bezmyślnie, a sturmfuehrer Stedtke, którego czarny mundur SD odcinał się od zgniłej ziemi innych mundurów oficerskich, uśmiechnął się ironicznie.

- Ponieważ jesteśmy w komplecie - powiedział von Zanger - możemy zaczynać. Siadajcie, panowie. - Rozpostarł przed nimi mapę, usłużnie podsunęłą przez tłustego szefa sztabu. Dziewięciu oficerów pochyliło się nad nią.

- Nasze uderzenie - pułkownik powiódł trzcinką po linii skreślonej przez szefa sztabu - skierujemy tu, rejon wsi Kamieniuszki. Rozpoznanie wykazało, że w tym miejscu możemy się spodziewać najsłabszej obrony. Zadanie jest następujące: uderzyć wszystkimi siłami dywizji i przerwać bolszewickie umocnienia na niewielkim odcinku. Zagon pancerny musi się wdrzeć dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów w głąb obrony nieprzyjaciela i oprzeć się o miasteczko Szepielnikowo. Tam dokonuje manewru, zmienia kierunek marszu pod kątem prostym, skręcając na północ. Po dalszych piętnastu, dwudziestu kilometrach następuje spotkanie z 33 dywizją pancerną. W ten sposób w ciągu ośmiu do dziesięciu godzin przerywamy front bolszewicki na odcinku mniej więcej czterdziestu kilometrów. Korzystając z dezorganizacji przeciwnika, podciągamy zaopatrzenie. W tym czasie drugi rzut niszczy siłę żywą nieprzyjaciela, przeczesując teren workowatego zagłębienia. Oczywiście warunkiem powodzenia przedsięwzięcia jest całkowite zaskoczenie. Pamiętajcie, panowie, że mamy rok czterdziesty drugi, że to nie lato zeszłego roku. Bolszewicy zdołali się już nieco otrząsnąć i usiłują zmontować obronę na linii rzeki Kamienica. Tylko

niespodziewane, zmasowane uderzenie pozwoli nam wypełnić postawione przez dowództwo korpusu zadanie. Czy wszystko jasne? Czy któryś z panów oficerów ma jakieś pytania? - Pułkownik zdjął okulary, przecierał je skrawkiem irchy, błędząc po ich twarzach mętnym wzrokiem krótkowidza.

Oczywiście leutnant Kloss miałby pytanie do pułkownika von Zanger, ale właśnie on nie może o nic zapytać. Dobrze byłoby znać dokładny termin uderzenia, ale i tak informacja ma duże znaczenie. Na szczęście dowódca trzeciego pułku wyręcza Klossa, zadając to pytanie. Idzie mu o termin planowanego uderzenia. Rzecz w tym, że znaczna część dział pancernych jego pułku poddawana jest okresowemu przeglądowi, który będzie można zakończyć najwcześniej jutro.

- Zdaży pan - uspokoił go szef sztabu. - Termin jest siódmego, to znaczy pojutrze, godzina 4.30 rano. Oczywiście dowódcy poszczególnych odcinków otrzymają zalakowane koperty, które będą mogli otworzyć dopiero po północy. Przegrupowanie musi nastąpić w ciągu trzech - czterech godzin przed świtem, aby zaskoczenie było kompletne.

- Nie ma żadnych pytań? - włączył się pułkownik. -Więc to wszystko, jeśli idzie o sprawy operacyjne. A teraz sturmfuehrer Stedtke poinformuje panów o krokach podjętych w celu zapewnienia bezpieczeństwa na tyłach.

- Dziś wydałem - Stedtke powoli wstaje z krzesła -rozporządzenie dotyczące obowiązku zgłaszania się młodzieży w celu wyjazdu na roboty do Niemiec. Termin natychmiastowy. Oczywiście nie liczę, że zjawi się zbyt wielu chętnych, więc od jutra spróbujemy ochotników poszukać. Znajdziemy ich, choćby poukrywali się w mysich dziurach...

Pułkownik von Zanger ziewnął, dyskretnie zasłaniając sobie usta dłonią. Przez chwilę Kloss spotkał się z nim wzrokiem. Pułkownik był znudzony, najwyraźniej znudzony gadaniną Stedtkego.

Kloss leżał wygodnie rozciągnięty na kanapie pod makatką z frędzlami i myślał, jak niewiele trzeba, by ten zwykły, biurowy pokój uczynić drobnomieszczańskim gniazdkiem w najlepszym bawarskim stylu. Ta koszmarna makatka, nie wiadomo skąd wyciągnięta etażerka na cienkich nóżkach z jedną jedyną książką „Mein Kampf”, bo drugą książkę, „Vademecum lekarza frontowego”, przed chwilą przeglądał, a teraz podłożył ją pod głowę. Na najwyższej półeczce etażerki siedem porcelanowych słoni, najmniejszy był wielkości palca, a największego Kloss nie mógłby zmieścić w dłoni. Czy Marta wozi to wszystko ze sobą? Przerzucają ją przeciei nieustannie, dzieli los oficerów frontowych, a dźwiganie tego szkaradzieństwa jest przecież nonsensem.

Spojrzał na staromodny aparat telefoniczny z korbką, zawieszony na ścianie, zdziwił się, dlaczego jeszcze nie dzwonią, zostawił przecież numer Marty Becher dyżurnemu podoficerowi sztabu. Przyszedł tutaj, chociaż domyślał się, że Marty nie zostanie. Po ostatniej nocy Marta jeszcze nie wróciła do domu. Przechodząc obok nie otynkowanego gmachu, zamienionego na szpital przyfrontowy, widział stale nadjeżdżające ciężarówki, z których wyładowywano sztywnych i nieruchomych jak bele materiału żołnierzy Wehrmachtu. Wiedział więc, że Marta nieprędko się zjawi, on sam przecież meldunkiem o planowanym uderzeniu dostarczył jej roboty. Ale postanowił skorzystać z klucza, którego zazdrościli mu wszyscy oficerowie stacjonujący w tym miasteczku. Chciał być chwilę sam, wyciągnąć się na jej brzydkiej, acz wygodnej kanapie i przemyśleć ostatnie wydarzenia.

Mogło być na przykład tak - Kloss uśmiechnął się do obrazu, który wyrósł mu przed oczyma. - Tłusty szef sztabu siedzi w bunkrze na przednim skraju niemieckich pozycji. Nie można mu odmówić odwagi, nie należy do sztabowców starających się z dala obserwować przebieg zaplanowanych przez siebie operacji. Wtacza swe duże cielsko w miejsca najgorętsze, a mimo to zawsze ma piekielne szczęście. Od początku wojny nawet go nie drasnęło. Więc siedzi w tym wysuniętym do przodu bunkrze, miętosi w zębach zgasłe cygaro, nadśluchuje chrzęstu gąsienic czołgów zajmujących pozycje wyjściowe, sunących powoli, bez świateł, kierowanych jedynie kolorowymi błyskami latarek elektrycznych. Szef sztabu wpatruje się w polowy telefon; za chwile powinien otrzymać meldunki o ukończonej koncentracji. Prawdopodobnie o 3.55 (Kloss usnął tej nocy dopiero o świcie i podobnie jak szef sztabu wpatrywał się w wolno biegnącą wskazówkę sekundnika), więc prawdopodobnie o 3.55 zadzwonił wreszcie ten telefon i szef sztabu dowiedział się o pełnej gotowości i o tym, że nie zauważono żadnego ruchu po stronie nieprzyjaciela. Być może nie zakończył nawet tej rozmowy, zagłuszyła ją kanonada, na pewno zapienił się, zaczął krzyczeć w słuchawkę, że każe rozstrzelać tego idiotę, który rozpoczął ogień za wcześnie, ale przerwał, bo poinformowano go, że to właśnie Iwan rozpoczął natarcie, że to salwy radzieckich czołgów i dział rozbijają w puch skoncentrowane oddziały pancerne, zaskoczone i przerażone.

Czy tak właśnie było? Tego się nigdy Kloss nie dowie. Gruby szef sztabu już nigdy nie pójdzie na przedni skraj obrony. O jego śmierci Kloss dowiedział się rano. Jedno jest pewne: niespodziewane radzieckie uderzenie całkowicie dezorientowało Niemców, kilkanaście kilometrów terenu przeszło we władanie Rosjan, a najważniejsze, że plan opracowany gdzieś wyżej, w sztabie korpusu lub armii, nakazujący dywizji pancernej von Zangera przerwanie frontu, wziął w łeb, że 33

dywizja, która kilkadziesiąt kilometrów na północ ruszyła do natarcia, by połączyć się z dywizją von Zangera stworzyć kocioł, sama znalazła się w okrążeniu.

Sprawa rozejdzie się szeroko, żołnierze długo pamiętają takie niespodzianki, trzeba sporo czasu, aby uzupełnić straty, poprawić morale wojska. Oczywiście będzie śledztwo, szukanie winnych, ale któż może podejrzewać Hansa Klossa o to, że to właśnie on przekazał datę i miejsce uderzenia, tym bardziej że właśnie Hans Kloss będzie jednym z tych, do których należy prowadzenie śledztwa w tej sprawie. Dlatego zostawił numer telefonu, bo wie, że nie minie go rozmowa z von Zangerem, że będzie się musiał gęsto tłumaczyć, zwać winę na sztab korpusu albo armii, gdzie mógł nastąpić przeciek informacji, bo przecież pan pułkownik nie przypuszcza, że któryś z jego oficerów mógł okazać się zdrajcą...

- Nie zdrajcą, zdradę wykluczam - powiedział von Zanger w dwie godziny później. Stali przed nim wyprężeni, obaj ze Stedtkem. Kloss zaskoczony był opanowaniem i spokojem von Zangera. Spodziewał się wybuchu furii, bicia pięścią w stół, ale von Zanger był jak zwykle chłodny, spokojny, nieco znudzony. - Zdradę wykluczam — powtórzył — ale nie wykluczam gadulstwa.

- Wybacz pan, pułkowniku - Stedtke skorzystał z chwili ciszy - ja nie mogę wykluczyć zdrady.

Pułkownik zdjął okulary, przetarł szkła skrawkiem irchy, zamrugnął powiekami.

- Zostawiam panu wolną rękę, sturmfuehrer, w poszukiwaniu zdrajcy. Pozwoli pan jednak, że pozostanę przy swoim zdaniu, dopóki nie otrzymam dowodów, że wśród moich oficerów znalazł się człowiek, który sprzedał nieprzyjacielowi tak ważną informację. W każdym razie ta sprawa jest plamą na honorze naszej dywizji.

Zmyć możemy ją tylko w walce, tylko pomyślnym rezultatem następnej operacji. Ale muszę mieć gwarancję, że taki wypadek się nie powtórzy. W kasynie oficerskim pracują Rosjanki, prawda? A może któryś z panów oficerów dopuszcza się — skrzywił się z niesmakiem — jakichś poufałości w stosunku do tych cudzoziemskich kobiet. Jedno słowo wygadane po pijanemu wystarczyło. Począwszy od dziś w kasynie mogą być zatrudniane wyłącznie Niemki i volksdeutschki. Bolszewicka agentura musi działać w pobliżu - założył okulary i przyjrzał się uważnie im obu.

- Wiemy o tym, panie pułkowniku. Wiemy nawet, że w mieście działa radiostacja. W mieście albo w najbliższej okolicy. Nasz nasłuch zdołał przechwycić meldunek nadany w pięć godzin, zwracam na to pańską uwagę, w pięć godzin po naradzie u pana pułkownika. Nie zdołaliśmy jej jeszcze rozszyfrować, ale to kwestia czasu. Niestety, nie nadeszły jeszcze obiecane auta radiopelengacyjne. Bez nich tylko przypadek może sprawić, że trafimy na ślad radiostacji. Oczywiście staram się pomóc przypadkowi. Od rana moi ludzie przetrząsają dom po domu. Staramy się ich wypłoszyć, ruszyć z miejsca, wtedy łatwiej będzie złapać.

- Proszę mi meldować o wszystkim. Oczywiście nie możemy wykluczyć możliwości, o której wspomniał leutnant Kloss, że przeciek informacji mógł nastąpić wyżej, ale zacząć trzeba od swojego podwórka. Pan, poruczniku — zwrócił się do Klossa — jest młodym oficerem o niewielkim doświadczeniu, nie ma pan za sobą ani kampanii polskiej, ani francuskiej. Myślę, że w tej sprawie powinien pan podlegać sturmfuehrerowi Stedtke, który jest doświadczonym oficerem.

- Rozkaz - powiedział Kloss. - Myślę, że mogę się wiele nauczyć od sturmfuehrera Stedtke. - Dostrzegł grymas Stedtkego i zły był na siebie, że nie potrafi rozgryźć, czy to uśmiech zadowolenia, wywołany połączoną ambicją, czy ironia.

Ledwo wyszedł z budynku sztabu, mógł się naocznie przekonać, że Stedtke nie kłamał. Jego ludzie rzeczywiście nie próżnowali. Z niskiego, bielonego wapnem domu wyprowadzali właśnie trzech mężczyzn i dwie kobiety z rękami założonymi na kark. Pomyślał, że jedyną rzeczą, jaką mogą zrobić ukryci w pokoiku za sklepem krawca Worobina Jacek i Irena, to schować gdzieś głęboko radiostację i siedzieć na miejscu. Przy przetrząsaniu niemal wszystkich domów nie będzie czasu na szczegółową rewizję.

Skreślił wprawo. Tu też ludzie Stedtkego pracowali do spółki z żandarmami. Zatrzymywali przechodniów, obmacywali ich starannie, legitymowali, zaglądali do toreb i siatek. Jakaś kobiecina płacząc czołgała się po ziemi i zbierała porozrzucane kartofle, które wysypał jej z torby chudy, krostowaty żandarm, kilkunastu mężczyzn stało już z podniesionymi rękami, z twarzami zwróconymi w stronę muru. Byli to tylko młodzi mężczyźni, zauważył i pomyślał, że będą zapewne „ochotnikami” do pracy w niemieckich fabrykach. Przypomniał sobie swoją stocznię, obóz pod Królewcem i Pierre'a, którego nigdy już więcej nie zobaczył. Jakże chętnie by teraz z nim pogadał, podziękował za edukację. Ale nie wie nawet, czy tamtemu udała się ucieczka. Nie wiadomo, czy przespanie umówionej stacji nie było tym szczęśliwym trafem, który pozwolił mu wtedy umknąć.

Postanowił jednak wpaść do Worobina. Jednym szarpnięciem urwał guzik u płaszcza, żeby mieć pretekst do tej wizyty, skręcił w poprzeczną ulicę i dostrzegł Irkę uginającą się pod ciężarem walizy. Zdrętwiał. Szła pewnie, nie wiedząc, że za chwilę trafi na łapankę. Dobiegł do niej, gdy od rogu dzieliło ją ledwie parę kroków. Chwycił pod ramię, wziął walizkę z jej rąk, spojrzeniem rozkazał, by milczała. Zresztą po chwili zrozumiała wszystko. Pod murem stało już o kilka osób więcej. Wśród nich młode dziewczyny. A stara kobieta ciągle zbierała porozrzucane ziemniaki, płacząc się między długimi butami żandarmów i SS-manów.

Dopiero gdy minęli niebezpieczny punkt, zapytał patrząc w przestrzeń:

- Dlaczego bez rozkazu?

- Zaczęli plądrować naszą ulicę - powiedziała. - Jacek wziął szyfry i poszedł ogrodami. Uważaliśmy, że tak będzie lepiej. Kobiecie łatwiej się przemknąć. Oni szukają ludzi na roboty do Niemiec.

- Nie tylko - mruknął Kloss. - Oczyszciliście lokal?

- Tak. Został rozładowany akumulator. Worobin miał go dobrze schować. Oni oboje są starzy, powinni im dać spokój.

Z wyciem klaksonu minęła ich półciężarówka z wielkim czerwonym krzyżem, właśnie wtedy, gdy skręcali w bramę na wpół zrujnowanego domu. W okienku na strychu bielila się firanka. Dostrzegli to oboje.

- Jacek dotarł szczęśliwie. Bogu dzięki, wszystko w porządku - powiedziała dziewczyna. - To dobra melina. Za szafą jest przejście na strych sąsiedniego domu, a stamtąd piwnicami aż do rzeki. Dopóki nie skończy się ten bajzel, będziemy tu siedzieć.

- Dla mnie kiepski - powiedział Kloss. - Tu nie ma żadnego krawca, do którego mógłbym przyjść w sprawie przyszycia guzika albo zreperowania płaszcza. Na razie nic ciekawego, nadajcie tylko, że operacja się udała. Około trzystu zabitych, ponad tysiąc rannych, dużo uszkodzonego sprzętu. Nadawać możecie śmiało, jeszcze nie mają radiopelengu. Wpadnę, gdy będę miał coś ciekawego.

Kiwnął dziewczynie dłonią na pożegnanie, spostrzegł, że zdenerwowanie go opuściło. Był spokojny o los radiostacji.

Nie mógł wiedzieć, że w mijającej go półciężarówce Czerwonego Krzyża siedziała obok szofera doktor Marta Becher, że dostrzegła go akurat w momencie, gdy skręcając w stronę opuszczonego domu mówił coś do swej towarzyszk, pochylając się ku jej twarzy.

6

Pułkownik podniósł głowę znad rozłożonych papierów, zapalił cienkiego papierosa, podsunął paczkę Stedtkemu.

- Co mi pan przynosi, panie sturmfuehrer?

- Chciałem panu zameldować, pułkowniku, że akcja specjalna dobiega końca. Trzystu sześćdziesięciu robotników mogę już teraz odesłać do Rzeszy.

- Czuć dymem. Podobno pańscy ludzie spalili parę ulic?

- Sam pan pułkownik wie, że gdzie drwa rąbią...

- Szczerze mówiąc, nie jestem przekonany, że to najlepsza metoda pozyskania sobie miejscowej ludności i uspokojenia zaplecza. Ma pan trzystu sześćdziesięciu młodych ludzi, drugie tyle zapewne wymknęło się. Pójdą do lasu, wzmocnią partyzantów.

- Mam wyraźne instrukcje - Stedtke skrzywił się z politowaniem. - Reichsfuehrer Himmler i najwyższe czynniki w państwie...

- Wiem, wiem - uciał pułkownik - nie musi mnie pan informować. - Pewność siebie tego niskiego funkcjonariusza aparatu bezpieczeństwa działała mu na nerwy. Nie cierpiał Stedtkego, choć potrafił to ukryć starannie. - Co z naszą sprawą?

-Mój zwierzchnik, sturmbannFuehrer Mueller ze sztabu armii twierdzi, że przeciek informacji mógł nastąpić jedynie u nas.

- Szkoda - powiedział pułkownik. - Tym bardziej musicie się starać z Klossem, by znaleźć tego gadułę.

- Pan pułkownik ciągle mówi o gadule, tak jakby przypuszczał pan, że to tylko głupota albo nieostrożność.

- Powiedziałem już panu - pułkownik był rozdrażniony - że nie mogę podejrzewać żadnego z moich oficerów.

- Jest pan w szczęśliwszym położeniu ode mnie, ja muszę podejrzewać wszystkich.

- Więc i mnie?

- SturmbannFuehrer Mueller kazał mi pana pułkownika wykluczyć z kręgu podejrzanych.

- Co? - powiedział cicho. Powoli wstał z krzesła, drżącą ręką zdjął okulary. - Pan śmiał zasięgać opinii? Pan się zapomniał, sturmfuehrer. Ja jestem dowódcą tej dywizji, przynajmniej na

razie.

- Przepraszam, panie pułkowniku - powiedział Stedtke, ale w jego głosie nie było skruchy. - Pan sam wspominał o sobie, inaczej bym się nie ośmielił...

- Dość - uciął pułkownik. - Chcę mieć konkretne wyniki, a nie jakieś mętne przypuszczenia.

- Są dwa sposoby - powiedział Stedtke. - Podczas przetrząsania domów na Zarzeczcu moi ludzie znaleźli rozładowany akumulator u jakiegoś starego krawca. Chłopak, który na to wpadł, był nie w ciemnię bity, nie dał nic po sobie poznać, dla formalności wytrząsnął trochę pierza z pościeli, ale zostawił staruchów w spokoju. Mamy ten dom pod obserwacją - albo krawiec zanieśie akumulator właścicielom, albo ktoś się po niego zgłosi. Akumulator był niedawno używany. To jest jedyna droga dotarcia do agentury. Prawdopodobnie ta ich radiostacja, której poszukujemy, nadała informację udaremniającą naszą ofensywę. Wyciśniemy z nich, skąd mieli tę informację. Ale chciałbym prosić pana pułkownika o pomoc, bo tamta sprawa może potrwać dłużej. Chciałbym mianowicie, żeby pan pułkownik zorganizował w najbliższych dniach - jeśli to możliwe może nawet dzisiaj - naradę w tym samym składzie, co wówczas.

- Nie będzie kompletu - powiedział pułkownik i pomyślał o swoim grubym szefie sztabu. Jeszcze mu nie przysłało następcy. Nie lubi wokół siebie nowych twarzy.

- Szefa sztabu także wykluczyłem. Ale jeśli zdrajca jest wśród pozostałych, a na naradzie padną jakieś dane dotyczące następnego uderzenia, radiostacja zacznie grać. Będę szczęśliwy, jeśli pan pułkownik ma rację. Jeśli wśród naszych kolegów nie będzie zdrajcy.

- Jestem tego pewien - powiedział pułkownik. - W porządku, zorganizuję taką naradę. Jak się panu pracuje z Klopsem?

- Jeśli mam być szczery, nie jestem zbyt wysokiego mniemania o oficerach Abwehry. Ale to zdolny chłopak i stara się.

- Myli się pan — powiedział pułkownik. — Ja wierzę w Abwehrę. I będę wierzył dopóty, dopóki nie udowodni mi pan, że pańscy ludzie potrafią robić coś jeszcze poza paleniem synagog, rabowaniem sklepów, plądrowaniem domów. - Z nieukrywaną przyjemnością patrzył na ironiczny grymas na ustach Stedtkego. Chciał mu dopiec. Ten łajdak ośmielił się zasięgać informacji o nim, pułkowniku Wehrmachtu, synu majora i wnuku generała.

- *Heil Hitler* - powiedział Stedtke. Zabrzmiało to jak groźba.

Marta nie miała humoru tego wieczora. Zachnęła się, gdy ujął ją za rękę.

- Co ci jest, kochanie? - zapytał, jak umiał najserdeczniej, ale nic nie odpowiedziała; rozmowa nie kleiła im się zupełnie. Dopiero gdy wstał tłumacząc, że służba nie drużba, zapytała:

- Naprawdę masz służbę? Stedtke mi nic o tym nie mówił.

Prawdę mówiąc, nie musiał wracać do sztabu. Nie wybierał się także do na wpół zrujnowanego domu, w którym ukryli się Irena z Jackiem, po prostu inaczej wyobrażał sobie ten wieczór i dziwny nastrój Marty nieco go rozstroił. Zaskoczyła go informacja, że Marta rozmawiała o nim ze Stedtkiem. Czyżby to coś znaczyło?

- Pytasz Stedtkego o rozkład moich zajęć - powiedział swobodnie. — Czy nie prościej zapytać mnie?

- Był u mnie dziś w szpitalu, rozmawialiśmy.

- Przesłuchiwał cię?

- Możesz to i tak nazwać. Uważam, że moim obowiązkiem jest udzielać wszelkiej pomocy oficerowi służby bezpieczeństwa. Pytał, czy nie dostrzegłam czegoś podejrzanego w zachowaniu...

- W moim zachowaniu? - nadał swemu głosowi ton niemal żartobliwy.

- Nie tylko. Pytał ogólnie, o wszystkich. Dlaczego miałby pytać akurat o ciebie?

Czyżby z powodu tego przesłuchania była w złym nastroju? - zastanowił się. - A może Stedtke jednak pytał ją o mnie? Oczywiście zobowiązał ją do milczenia. Czyżby Stedtke go o coś podejrzewał? - Usiłował wyobrazić sobie, co mogłoby naprowadzić Sturmfuehrera SD o wiecznie skrzywionych ustach na trop jego prawdziwej roli. Nie dostrzegał niczego. Ale jeśli Stedtke wypytywał naprawdę o wszystkich? Potwierdzało to podejrzenie Klossa, że zorganizowana ad hoc narada u von Zangera, narada, na której brakowało jedynie szefa sztabu, była pułapką zastawioną na któregoś z oficerów. Czy na któregoś, czy na niego? Czy Stedtke szuka po omacku, czy zdołał już coś wywęszyć? Jedno jest pewne, Kloss nie może w ciągu najbliższych paru dni pójść do zrujnowanego domu, gdzie znalazła schronienie radiostacja.

- Ale me powiedziałam mu o swoich podejrzeniach - dobiegł go głos Marty.

- O jakich podejrzeniach? - nie zrozumiał.

- Wiesz sam, nie udawaj, widziałam cię z nią. Kto to był?

- Nie wiem, o kim mówisz - powiedział, choć wiedział doskonale. Gdzie go mogła widzieć z

Ireną? - myślał gorączkowo i zdrętwiał z przerażenia, bo przypomniał sobie właśnie mijający ich samochód Czerwonego Krzyża w momencie, gdy skręcali w stronę zrujnowanego domu.

- Wiesz dobrze! - wybuchnęła. - Jeśli chcesz, żebyśmy się rozstali, proszę bardzo! Ale nie zniosę oszukiwania! Co to za dziewczyna?

- Rozumiem — powiedział ze śmiechem, jakby teraz dopiero sobie przypomniał. - Myślisz o tej dziewczynie, której pomogłem dźwigać ciężką walizkę. Pierwszy raz widziałem ją na oczy.

- Czy każdej napotkanej kobiecie pomagasz nosić walizki?

- Żal mi się zrobiło. Ta walizka była dla niej stanowczo za ciężka.

- Kto to był?

- Mówiłem już, nie wiem. Rosjanka, ale zna niemiecki.

- Rozmawiałaś z nią. Ładna.

- Jesteś od niej trzy razy ładniejsza - przytulił ją do siebie. - Słuchaj, głuptasie - nadał swemu głosowi ton dobrotliwy - nie istnieją dla mnie żadne kobiety poza Martą Becher. - Nie musiał udawać szczerości, to była prawda. Nie zauważył nawet, że Irena jest ładna, dopiero teraz to sobie uświadomił.

- O, Hans — powiedziała. Chciała takiego wyjaśnienia, chciała usłyszeć, że jest jedyną kobietą dla Klossa. - Stedtke cię nie lubi - powiedziała mu w godzinę później, gdy leżeli przytuleni na kanapie pod makatką z frędzlami, podglądani przez portret Fuehrera, zawieszony nad makatką. - A wiesz, dlaczego cię nie lubi? Bo jest zły, że wybrałam ciebie, a nie jego.

- Zapewne - powiedział Kloss. Wcale go nie ucieszyło, że Sturmfuehrer Stedtke me darzy go sympatią. Chętnie by mu oddał Martę, gdyby mógł usposobić go do siebie życzliwiej.

Wracając od Marty jeszcze raz myślał o przesłuchaniu, o wypytywaniu jej przez Stedtkego. W połączeniu z informacją, że Stedtke go me cierpi, me było to wesołe.

Nagle drgnął. Zobaczył coś, co go przeraziło. Ulicą, blisko ścian domów, szła, rozglądając się na boki, kobieta w kraciastej chustce. Widział ją parę razy - to była żona Worobina. Ale nie to go przeraziło. Kloss zobaczył to, czego ona nie dostrzegała. Była śledzona. Facet w nasuniętym na oczy kaszkiecie znany był Klossowi z widzenia jako jeden z najzręczniejszych ludzi Stedtkego. Kloss wiedział, że Irka jest wnuczką Worobinowej. Co ona niesie w tej torbie? Jedzenie dla wnuczki, czy - przypomniał sobie nagle, dostrzegając wypychający torbę zarys prostopadłościanu - pozostawiony akumulator?

Drgnął, gdy zapiszczały hamulce tuż za nim. Odwrócił się.

- Marta? - Nie ukrywał zdziwienia. - Przecież miałaś nie wychodzić z domu.

- Przywieźli rannych z jakiejś strzelaniny. Siadaj, podrzucimy cię do domu.

Zdecydował się w jednej chwili. Samochodem będzie szybciej niż Worobinowa i jej anioł stróż. Musi ich ostrzec. Co za lekkomyślność dawać tej staruszce adres meliny.

-O czym myślisz, Hans?

-Jestem śpiący i zmęczony.

- Ja też - powiedziała uśmiechając się do wspomnień sprzed godziny.

- Zatrzymaj się tutaj - powiedział do szofera - przejdę piechotą.

- Podrzucimy cię pod dom, jeśli jesteś zmęczony. Najpierw Fritz zawiezie mnie do szpitala, a potem...

- Nie, wolę się przejść.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Nie miał czasu pomyśleć nawet, że parę godzin temu zrobiła mu scenę zazdrości o dziewczynę, którą prowadził tymi ulicami. Wyskoczył z wozu, przebiegł jezdnię, skręcił w przecznicę. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Dom nie był chyba obstawiony. Wolnym krokiem przeszedł podwórze, ale na schodach zaczął biec. Zastukał w umówiony sposób. Otworzyła mu Irena z rozpuszczonymi włosami. Myła właśnie głowę, urządziła także przepierkę, bo na sznurze suszyła się bielizna. Jacek spał przykryty kożuchem po głowę.

— Zmywajcie się — powiedział od drzwi. — Budź go i uciekajcie. Idzie tutaj Worobinowa. Jest śledzona. Nie ma czasu...

Nie skończył jeszcze, gdy rozległo się ciche pukanie. Kobieta w kraciastej chustce stała w progu. Prawie jednocześnie usłyszeli pisk hamulców zatrzymywanego samochodu. Kloss podszedł do okienka, zobaczył wysypujących się SS-manów, a potem gramolącego się z kabiny Stedtkego. Poznał go nawet z tej wysokości. Cały czas jechali za śledzoną kobietą, czy agent zdążył ich zawiadomić? To teraz nie miało znaczenia. Idiotycznie wypchana torba z rysującym się kształtem akumulatora ślepego naprowadziłaby na ślad. Ale to teraz także nie miało znaczenia. SS-mani wpadli już do sieni. Nadjechała druga ciężarówka, tym razem z żandarmami. Otaczali dom. Chyba walenie okutych butów o stopnie schodów obudziło Jacka. Zerwał się, ubrany jedynie w kąpielówki, chwycił leżącego na podłodze Bergmana. Drugą ręką usiłował ściągnąć wiszącą na poręczy łóżka koszulę. Zrozumiał, co się święci. Także Irka, mocująca się z drzwiami szafy, wszystko już wiedziała. Tylko babcia Worobinowa, wyjmując z torby przykryty ziemniakami ów nieszczęsny akumulator, zdawała się niczego nie pojmować.

- Spal szyfry - powiedział Kloss. Nie wiadomo dlaczego przypomniało mu się pożegnanie z Jakubowskim. Kto inny będzie ci musiał pokazać Warszawę - pomyślał. - Spal szyfry - powtórzył głośniej - my spróbujemy ich zatrzymać.

Jacek uchylił drzwi, odbezpieczył granat i cisnął w stronę narastającego łomotu kroków. Toczył się wolno, te trzy sekundy trwały bardzo długo. Gdy wreszcie rozległ się wybuch, od impetu poleciały drzwi. Równocześnie z Jackiem Kloss puścił serię wprost w te wybite drzwi. Kątem oka dostrzegł, że babcia Worobinowa z kartoflem w dłoni pochyliła się w jakiejś nienaturalnej pozycji. Poczł za sobą swąd dymu, pomyślał, że Irena pewnie pali szyfry. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że dym idzie od schodów.

Chcą nas wykurzyć dymem - pomyślał - ale przedtem paru wykończymy.

Zabić ich jak najwięcej - to jedyne co im pozostało, Jackowi i jemu. Nie - tylko jemu. Jacek już od paru chwil leżał nieruchomo. W tych kąpielówkach wyglądał jak na plaży, jakby chciał sobie opalić plecy.

Stedtke nawet nie usiłował ukryć triumfu. Położył na biurku pułkownika teczkę z napisem „Hans Kloss”.

-Jak to było?

Stedtke przysunął sobie krzesło, usiadł bez pytania. Pułkownik nie zareagował. Podsunął mu szkatułkę z papierosami o długich ustnikach.

- Ten dom był obstawiony. Mój człowiek za nią szedł. Napotkanemu żandarmowi kazał mnie zawiadomić. To wszystko.

- Nie o to pytałem. Nie interesuje mnie policyjna robota.

- Wiem. Pana pułkownika interesuje ten wzorowy, zawsze punktualny oficer.

Pułkownik milczał. Stedtke uśmiechnął się jak zwykle ironicznie. Nie powie przecież temu półślepemu ramolowi, że nie miał pojęcia, jaka zdobycz wpadnie mu w ręce. Kiedy podjechali pod tę rudere, kiedy posłał swoich ludzi do wnętrza, a żandarmom kazał otoczyć pół ulicy, kiedy stamtąd, z góry padły pierwsze strzały, nie przypuszczał, bo nie mógł przypuszczać, że do jego ludzi, do niego wreszcie, strzela człowiek w niemieckim mundurze porucznika Abwehry. I wtedy ktoś chwycił go za ramię. Chciał odtrącić tę rękę, ale dostrzegł, że stoi za nim Marta Becher.

- Co pan robi? Proszę przestać! Niech skończą strzelać, panie Sturmfuehrer! Przecież tam jest Hans!

Niewiele mógł zrozumieć z jej beładnych słów. Jakaś dziewczyna, Hans Kłoss z jakąś dziewczyną, potem ona go podwiozła, był zdenerwowany. Zatrzymała samochód i zobaczyła, że znowu wchodzi do tego domu, chociaż jej przysięgał, że tamtą dziewczynę widział pierwszy raz na oczy...

- Wiem - powiedział Stedtke - od początku wszystko wiedziałem. Ale dla pani gotów jestem wiele zrobić. Chce pani, żebyśmy tego agenta powiesili? Ja też mam ochotę wziąć go żywcem. Przerwać ogień! - krzyknął.

Z okna klatki schodowej i ze strychu wydobywały się kłęby dymu. Stedtke zrolował gazetę i krzyknął przez tubę:

-Nie masz żadnych szans, Kloss! Dom jest otoczony. Daję ci pięć minut czasu!

Zamiast odpowiedzi seria pistoletu zadzwoniła o blachę błotnika. Stedtke odskoczył jak oparzony, odciągnął Martę. Jakiś SS-man przejechał serią wzdłuż rynny.

- Stój - wrzasnął Stedtke. - Weźmiemy go żywcem! Jeśli nie wyjdzie za pięć minut, uwędzimy

go! Przygotować świece dymne i maski przeciwgazowe.

- Panie Sturmfuehrer - powiedziała Marta - ja nie wierzę. To niemożliwe, żeby Hans...

- Z panią jeszcze pogadam - skrzywił usta. Spojrzał na zegarek. - Za minutę ruszycie. - Wyrwał maskę gazową jednemu z SS-manów, naciągnął ją sobie na twarz. Chciał być przy tym.

W domu panowała cisza. Wbiegli do sieni. SS-mani skradając się pod ścianami, Stedtke środkiem, z pistoletem gotowym do strzału. Na podeście pierwszego piętra usłyszeli odgłos wybuchu. Padli instynktownie, ale odłamki do nich nie dotarły. Granat musiał wybuchnąć wyżej. Stedtke zląkł się, że nie ujrzy Klossa żywym. Rzucił się naprzód. Przeskakiwał po trzy stopnie naraz. Na stryszku było ciemno, kłęby czarnego dymu wypełniały ciasne pomieszczenie. Dopiero po kilku chwilach dostrzegł ciało człowieka leżącego tuż za progiem. Granat musiał mu się rozerwać w rękach na wysokości twarzy, bo zamiast głowy człowiek w mundurze leutnanta Wehrmachtu miał krwawy strzęp.

- Zdążył — powiedział Stedtke. — Sam wymierzył sobie sprawiedliwość.

SS-mani przetrząsali stryszek. Obok zwłok niemieckiego oficera ułożyli porządnie martwe ciało jakiejś dziewczyny i starej kobiety w kraciastej chustce. Staruszka miała otwarte, jakby zdziwione oczy. W kącie, obok rozerwanej granatem radiostacji, dopalały się jakieś papiery. Któryś z SS-manów rzucił się w tę stronę, żeby wyciągnąć coś z ogniska, ale poruszony stos buchnął żółtawym płomieniem, niemal oślepiając gorliwego SS-mana.

Oczywiście Stedtke nie może pułkownikowi von Zanger powiedzieć, jak było naprawdę. SD jest czujna, SD wie wszystko.

- Zwracam panu uwagę, pułkowniku - skrzywił usta - że agent ulokował się właśnie w Abwehrze i tylko czujność służby bezpieczeństwa umożliwiła jego likwidację. ObergruppenFuehrer Heydrich zażądał specjalnego raportu w tej sprawie.

Von Zanger przerzucał dokumenty w teczce. Życiorys i ankieta personalna, opinie ze szkoły, zeznanie Marty Becher, stwierdzające identyfikację zwłok i raport Sturmfuehrer Stedtke. Zamknął teczkę.

- No cóż - powiedział - chyba już teraz mogę panu pogratulować awansu. Podejrzewał go pan?

- Miałem go na oku od początku, panie pułkowniku. Podobno był sprawdzany wielokrotnie w szkole Abwehry, ale nas w SS uczono, że wierzyć nie należy nikomu. Mam nauczkę, że szczególnie trzeba się przyglądać bardzo dobrym oficerom.

- Ad acta - powiedział pułkownik. - Nie chciałbym więcej wracać do sprawy tego człowieka, który od kilku miesięcy wodził nas za nos.

- SD nie pozwala się wodzić za nos.

- Kto by pomyślał! Był taki sympatyczny.

- Nordycki typ - zgodził się z nim Stedtke - zdecydowanie nordycki typ. Musiał mieć w sobie jednak trochę niemieckiej krwi, bo trzeba przyznać, że to była dobrze pomyślana i dobrze wykonana robota. Słowianie nie są do tego zdolni.

Von Zanger wpatrywał się w uśmiezek na ustach Stedtkego i zastanawiał się, czy facet kpi, czy naprawdę jest takim idiotą. Ale nie mógł tego rozstrzygnąć. Twarz Stedtkego z przylepionym na stałe do warg uśmiezkiem była dla niego zawsze zagadką.

Samolot przelatywał nisko nad linią frontu. Te PO-2 zawsze latają nisko. Niedostępne dla artylerii przeciwlotniczej, szybko umykające z zasięgu karabinów maszynowych małe samolociki zwiadowcze napędzają potężnego stracha niemieckim żołnierzom. Biorą się nie wiadomo skąd, znikają nie wiadomo gdzie, napełniają powietrze hałasem, podobnym do tego, gdy ktoś przejeżdża kijem po gęstym płocie. Ale ten PO-2 nie miał zadań zwiadowczych, nie przelatywał także nad linią okopów niemieckich dla siania paniki. Jego jedynym zadaniem było wziąć na pokład, jeśli pokładem można nazwać ciasne pomieszczenie za pilotem, tego człowieka otulonego kożuchem, o którym ani pilot, ani obserwator nic więcej nie wiedzą, poza tym, że ruszczyzna tego człowieka wskazuje, iż jest cudzoziemcem...

Blisko dwa tygodnie błąkał się po lesie, nim trafił na oddział partyzancki, który dzięki radiostacji miał łączność z „wielką ziemią”. Trafił, to zresztą niezbyt fortunne słowo, znaleźli go nieprzytomnego, głodnego, bez dokumentów. Kiedy po tygodniu odzyskał przytomność, zobaczył pochylone nad sobą brodate twarze, przypomniał sobie Jakubowskiego. Poprosił, aby zawiadomili sztab, że jest u nich J-23. Dowódca oddziału nie zadawał zbędnych pytań. Ten samolot to odpowiedź na jego meldunek.

Podchodzili powoli do lądowania. Staszek usiłował wyrzeć przez okienko, ale nie mógł dostrzec nic poza czarną płaszczyznę lasu. A jednak samolot wylądował. Polowe lotnisko przyfrontowe było dobrze zamaskowane. Kiedy wygramolił się z „kukuruźnika” i uściskiem dłoni zęgnął milkliwego pilota, podszedł do niego oficer w półkożusku.

- Przesiadka - powiedział. - Drugi samolot już gotów, czekamy tylko na was.

Przespał całą drogę do Moskwy, potem powtórnie zdrzemnął się w samochodzie wiozącym go z lotniska. Podawano go sobie z rąk do rąk, nie zadając żadnych pytań. Myślał, że zawiozą go do hotelu, ale auto zatrzymało się przed jakimś gmachem biurowym.

— Pułkownik Jakubowski czeka na was — powiedział żołnierz w biurze przepustek.

Rzeczywiście czekał, choć pora była nocna. Posadził go w głębokim fotelu, podał dużą filiżankę kawy, do której nie żałował rumu.

- Opowiadaj - rozkazał, a gdy Staszek skończył swoją opowieść, powiedział: - Wypoczniesz, wydobrzejesz, a potem będziesz mógł pójść do polskiej armii, jak chciałeś.

- Wrócę - powiedział. - Postanowiłem, że wrócę. Tam przydam się bardziej.

- Dokąd wrócisz, oszalałeś? Jesteś spalony.

- Nie - powiedział. - Spalony został agent udający Hansa Klossa. Ale teraz może się zjawić u nich prawdziwy Hans Kloss, którego bolszewicy więzili dotychczas, któremu udało się uciec, który

pamięta, że zadawano mu masę idiotycznych pytań, dotyczących reumatyzmu ciotki Hildy, wspomnień z dzieciństwa, stosunków rodzinnych, któremu kazano sto razy powtarzać swój życiorys, uzupełniany tysiącem drobiazgów, który mc z tego nie rozumiał, ale opowiadał, ponieważ nie były to żadne tajemnice... Rozumiesz?

- Ty jesteś wariat, trzeba cię leczyć. Zanim pójdziesz do wojska, wyślemy cię do sanatorium. Twój system nerwowy.

Staszek spodziewał się tego. Nie ustępował. Świtało już za oknem, kiedy wymógł wreszcie na Jakubowskim przyrzeczenie dokonania eksperymentu. Przez kilkanaście dni będzie się przyglądał prawdziwemu Hansowi Klossowi, który siedzi nadal w więzieniu pod dobrą strażą. A potem, któregoś dnia, weźmie jego ubranie i pójdzie do tej celi jako Hans Kloss. Jeśli jego współtowarzysze niedoli niczego nie zauważą...

- Człowieku, oni siedzą z nim przynajmniej od roku, widzą go codziennie, to się nie może udać.

- Jeśli rozpoznają, że coś nie tak, zgadzam się na wszystko, nawet na sanatorium. Ale jeśli się uda, ty mi obiecasz...

- To niepojęte - powiedział Jakubowski. - To wybryk natury. Nawet timbre głosu macie identyczny. Ale to nie może się udać.

- Przyjmujesz warunki umowy? Jeśli nie rozpoznają mnie w celi, jeśli będą myśleli, że są z tym samym człowiekiem, to poświęćcie tych ludzi, pozwolicie im uciec z więzienia gdzieś w pobliżu frontu. Oczywiście ucieczkę zorganizuje Hans Kloss.

- Przekażę twoją prośbę generałowi. Jeśli ci się uda w tym więzieniu, poprę twoją prośbę.

W półtora miesiąca później wartownik wszedł do celi, w której siedziało czterech Niemców. Wywołał Hansa Klossa, który burknął do towarzyszy, że znów go wołają na to idiotyczne przesłuchanie. Poszturchiwany przez strażnika, dotarł do gabinetu naczelnika, gdzie siedział teraz Jakubowski. Strażnik zameldował się, stuknął obcasami i wyszedł, zastanawiając się, dlaczego pułkownik po jego wyjściu przekręcił w zamku klucz.

- No i co? - zapytał Staszek. - Siedzę już z nimi dziesięć dni. Obserwujecie mnie przecież. Ich reakcje także. Chyba się nie omyliłem?

- Generał - Jakubowski powoli nabijał fajkę - pozostawił decyzję mnie. Co mam zrobić?

- To, co obiecałeś. Co z nim? Bardzo się dziwił, że pozbawiliście go ubrania?

- On nie dziwi się już niczemu. Przez cały czas, kiedy byłeś tam, był przesłuchiwany. Wyciągnęliśmy z niego trochę szczegółów.

-Wiem, czytałem przesłuchania. Tak, jak kazałeś, odświeżyłem sobie w pamięci parę fotografii. Najgorsze nie to, żeby zapamiętać, jak wyglądają ludzie, których nigdy nie widziałem, tylko zapomnieć tych, których widywałem. Ale spróbuję.

- Wiesz, co ci grozi, wiesz, czym ryzykujesz, jesteś pełnoletni, nie mam prawa cię zatrzymywać. Twoja robota była pożyteczna. Ale pamiętaj, trzeci raz się nie zgodzę.

- Trzeciego razu nie będzie. Zrozum, wszystko jest logiczne. Był człowiek podszywający się pod Hansa Klossa.

Zginął. Słyszałem, ukryty wtedy za ścianą, że Stedtke powiedział: „Nie żyje, sam wymierzył sobie sprawiedliwość” czy coś w tym rodzaju. A teraz zjawi się u nich prawdziwy Hans Kloss. Nie wpadnie im przecież do głowy, że możemy być takimi idiotami i posyłać spalonego agenta. To zbyt nieprawdopodobne na niemieckie głowy. W jednym musicie mi pomóc. Dotrzeć przez berlińską agenturę do centralnego archiwum, gdzie zapewne spoczywa teczka Hansa Klossa, i wymienić wszystkie dokumenty pisane moją ręką na inne, pisane przez kogo bądź, na wypadek badań grafologicznych.

- Ten rozkaz już poszedł. Pojutrze ewakuujemy to więzienie. Trzeba ustalić, w jakim momencie uciekniesz.

Przedzierali się tylko nocami. Sądząc z nadciągającej kanonady, front przebiegał najwyżej dwadzieścia kilometrów stąd. Znaleźli opuszczoną wieś. Tam postanowili poczekać. Lothar miał odmrożone stopy i Kloss przez ostatnie pięć kilometrów niósł go razem z Brunonem. Uznali, że opuszczona piwnica na skraju wsi będzie najbezpieczniejszym schronieniem. Bruno przeklinał pomysł ucieczki, ale humor mu się wyraźnie poprawił, gdy Hans znalazł w tej opuszczonej piwnicy puszkę konserw i słoik smalcu.

- Co byśmy bez ciebie zrobili, Hans? - powiedział Friedrich. - Kiedy dojdziemy do naszych...

- Nie - powiedział Kloss - poczekamy tu na naszych. Lothar by nie doszedł, a nasi są niedaleko. Musimy dotrwać.

Zagrzebali się w słomę. Lothar trochę majaczył, miał wysoką gorączkę. Kloss z Friedrichem i Brunonem ustalili, że poczekają dwa dni. Jeśli do tego czasu Niemcy nie zajmą opustoszałej wsi, spróbują się jednak przedrzeć.

I tak utyłanych w słomie wyciągnął ich nazajutrz patrol niemieckich fizylierów, postępujących za czołgami.

Mrużyli oczy, wyprowadzeni na światło. Któryś z czołgistów napił ich gorącą kawą z termosu, potem nadszedł opel jednego z wyższych oficerów. Cudem uratowanych Niemców, niedosze ofiary bolszewickiego barbarzyństwa, odwieziono do najbliższego miasta za frontem. Nakarmiono ich i napojono, dano jakieś ubrania, bo łachy, które mieli na sobie, były w strzępach, ale zaraz potem ubrany na czarno funkcjonariusz sprowadził ich na dół do piwnic zamienionych na cele. W celach zresztą było ciepło i czysto, gestapowiec się nawet trochę tłumaczył, ale Hans Kloss uspokajał współtowarzyszy w drodze do piwnicy, tłumacząc im, że tak musi być, ponieważ władze niemieckie muszą sprawdzić, czy wywiad bolszewicki nie nasłał im przypadkiem agentów.

Już tego samego dnia sturmbannFuehrer Mueller kazał ich przyprowadzić do siebie.

- Twierdzicie - powiedział - że uciekliście z sowieckiego więzienia i przedzierałiście się w stronę frontu.

- Mylnie pana poinformowano, panie sturmbannFuehrer - powiedział stukając obcasami Kloss. - Uciekliśmy z transportu ewakuacyjnego.

- Zachowuje się pan jak żołnierz - powiedział sturmbannFuehrer. Z przyjemnością patrzył na tego młodego, przystojnego mężczyznę, przyjmującego nienaganną postawę wojskową.

- Byłem żołnierzem - powiedział Kloss.

- Żołnierzem? - W głosie Muellera zabrzmiało niedowierzanie. - I trzymali pana w więzieniu, nie w obozie jeńców?

-To długa historia. Skończyłem tajną niemiecką podchorążówkę w Kłajpedzie jeszcze za czasów litewskich. Otrzymałem stopień leutnanta. Przed wkroczeniem bolszewików na Litwę otrzymałem rozkaz przeniesienia się do Wilna, ponieważ zostałem zwerbowany przez majora Hubertusa do pracy w Abwehrze. Otrzymałem numer wywoławczy HK-387. Niestety, nie zdążyłem rozwinąć działalności, ponieważ kiedy bolszewicy wkroczyli na Litwę, zostałem aresztowany wraz z całą rodziną, którą wywieziono gdzieś na wschód. Mnie udało się wymknąć z transportu, usiłowałem przejść granicę, ale zostałem schwytyany. To było w marcu czterdziestego pierwszego roku. Złapali mnie jako cywila. Poddawali drobiazgowemu śledztwu, ale oczywiście nie dowiedzieli się ode mnie niczego.

- Pomówimy jeszcze o tym - powiedział sturmbannFuehrer. - Pańskie nazwisko.

- Hans Kloss.

- Hans Kloss? — powtórzył tamten. Gdzieś już słyszał to nazwisko, ale gdzie? Pamięta, że kilka miesięcy temu w związku z jakąś sprawą... Podniósł wzrok i spotkał się ze szczerym spojrzeniem młodego mężczyzny. Zauważył, że to nazwisko znane jest skądś sturmbannFuehrerowi.

- Może znał pan kogoś z mojej rodziny? Mój ojciec miał majątek na Litwie, ale nie wiem, co z nim teraz. Podobnie z matką i siostrami. W najlepszym razie - zasepił się - ścinają sosny gdzieś w tajdze. A może znał pan doktora Helmutha Klossa, mego stryja? Był przed wojną sędzią okręgowym w Królewcu.

- Głupstwo - powiedział sturmbannFuehrer, bo właśnie przypomniał mu się raport Stedtkego sprzed paru miesięcy. - Głupstwo - powtórzył. - Nazwiska panów? - zwrócił się do pozostałych.

-Lothar Beitz...

- Heinrich Vogel...

- Bruno Dreher... - odpowiadali kolejno.

- Moi panowie, każdy z was otrzyma teraz papier i przybory do pisania. Spiszecie drobiazgowo swoje życiorysy, ze szczególnym uwzględnieniem pobytu w Rosji. Poza tym każdy z was wypisze mi listę osób, które mogłyby stwierdzić jego tożsamość. Rozumiecie sami, że dopóki nie utwierdzimy się w przekonaniu, że wasze zeznania odpowiadają prawdzie, musicie być izolowani. Postaramy się zapewnić wam jak najlepsze warunki i maksymalnie skrócić okres oczekiwania. Dość już siedzieliście w więzieniu.

W trzy dni później po raz nie wiadomo który czytał zeznania osadzonych w więzieniu czterech Niemców, którym udało się uciec z rąk Rosjan. Na jego biurku, obok zeznań tych ludzi i napisanych przez nich własnoręcznie życiorysów, leżała teczka, którą przysłano mu dziś rano z centralnego archiwum w Berlinie. Na teczce był napis gotykiem, wykaligrafowany starannie ręką sumiennego urzędnika ministerstwa wojny: „Hans Kloss”. SturmbannFuehrer Mueller zapoznał się niedawno z zawartością tej teczki i z tym większą uwagą wczytywał się w zeznania tych czterech ludzi. Sam Hans Kloss rozszerzył tylko swoje zeznanie, złożone podczas pierwszego przesłuchania. Szczególną uwagę

Mueller wzbudził ten fragment, w którym Kloss opisywał dziwne przesłuchania, prowadzone przez radzieckich oficerów. Pytano go o szczegóły z dzieciństwa, o jakieś nic nie znaczące spotkania. Kloss na przykład napisał, że przez kilka tygodni musiał opisywać wszystkich swoich kolegów gimnazjalnych.

Sprawy tych trzech pozostałych były znacznie prostsze. Lothar Beitz był kupcem żelaznym na Łotwie, miał sklep przy ulicy Dworcowej. Któryś z klientów zostawił u niego paczkę o nieznanym zawartości. Było to już po wkroczeniu na Łotwę Rosjan. NKWD przyszło w parę dni później, znalazło w paczce części radiostacji i osadziło go najpierw w miejscowym więzieniu, a potem przewiozło do Saratowa. Rosjanie podejrzewali go o kontakty z wywiadem niemieckim, ale tłumaczył w kółko, że nie znał zawartości paczki, co zresztą było prawdą. Żona Beitza mieszka prawdopodobnie w Norymberdze u swoich rodziców. Opuściła go w trzydziestym ósmym roku, nie żyli ze sobą dobrze, ale z pewnością potwierdzi jego tożsamość. Mueller kazał wysłać odpowiedni telegram i otrzymał odpowiedź, że Frau Beitz zjawi się w ciągu tygodnia.

Drugi, o nazwisku Heinrich Vogel, pracował w Borysławiu, był inżynierem naftowym. Po siedemnastym września złożył prośbę o pozwolenie powrotu do Niemiec, ale władze rosyjskie odmówiły mu powrotu, był im potrzebny i mieli w ręku jego kontrakt, zawarty jeszcze z polską spółką akcyjną, a przewidujący pracę w tej kopalni do czterdziestego drugiego roku. Ale w czterdziestym, po zwycięstwie nad Francją, kiedy w lwowskiej restauracji opijał z przyjaciółmi to zwycięstwo, zaczął przekonywać swych towarzyszy, że wkrótce Hitler ruszy na Rosję. Jeszcze tej samej nocy został aresztowany. Za wrogą propagandę i nienawiść do władzy radzieckiej, manifestowaną publicznie, otrzymał kilkuletni wyrok. Siedział w różnych więzieniach, był zadowolony, że nie przerzucono go do obozu gdzieś na północy, bo bał się zimna.

Jeśli idzie o Klossa, Beitz poznał go właśnie w więzieniu. Kloss już tam był, kiedy aresztowano Beitza. Przez kilkanaście dni siedział z nim w jednej celi, potem go przerzucono gdzie indziej, ale widywał go na spacerach. Wszyscy Niemcy w więzieniu mu współczuli, bo wzywany był codziennie na ciągnące się godzinami przesłuchania, do końca właściwie nie było wiadomo, czego od niego chcieli. Kiedyś przez parę dni opowiadał im o jakiejś swojej kuzynce. Radził się nawet współtowarzyszy, czy ma mówić prawdę...

SturmbannFuehrer Mueller zaczął kartkować leżące przed nim papiery, chciał znaleźć protokół z przesłuchania Beitza, a właściwie fragment tego protokołu. Znalazł odpowiednią kartkę i przeczytał. „Pytanie: Czy w okresie między lipcem czterdziestego pierwszego roku a marcem czterdziestego drugiego widywał pan Klossa codziennie w więzieniu? Odpowiedź: Tak, z wyjątkiem paru dni, kiedy byłem w szpitalu więziennym, w październiku czy w listopadzie. W lipcu i sierpniu przebywałem z nim w jednej celi, a potem spotykałem go na spacerach albo na korytarzu więziennym. Pamiętam, że na Boże Narodzenie Hans był więźniem służbowym - roznosił jedzenie". Mueller potarł czoło, jakby ten gest mógł mu w coś pomóc. Z teczki personalnej Hansa Klossa wynika niezbicie, że w Boże Narodzenie czterdziestego pierwszego roku był słuchaczem półrocznego kursu oficerów Abwehry. To znaczy nie Hans Kloss - poprawił się w myśli - tylko agent bezczelnie podszywający się pod Klossa. Porównał zeznanie człowieka o jasnym spojrzeniu, który czeka teraz na jego wezwanie dwa piętra niżej, w piwnicy, z życiorysem w teczce personalnej. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że tekstów nie pisała ta sama ręka.

Tak — pomyślał — charakteru pisma nie sposób zmienić. W drzwiach stanął SS-man z kancelarii meldując, że przyszedł człowiek, na którego pan SturbannFuehrer czeka. Wprowadził gościa do swego gabinetu, posadził go na fotelu za drzwiami, tak by w pierwszej chwili był niewidoczny, po czym kazał wezwać Hansa Klossa.

Wspinając się wąskimi schodami za SS-manem, Kloss domyślał się, co go czeka. Gdy przechodził przez parter i zobaczył półotwarte drzwi na podwórze, przy których nie było wartownika, poczuł nieprzepartą chęć ucieczki. Z trudem stłumił ją w sobie. SS-man otworzył drzwi do gabinetu sturbannFuehrera, wpuścił Klossa i zamknął je za nim.

- Proszę siadać - SturbannFuehrer wskazał Klossowi krzesło. I wtedy, gdy myślał już, że próba go dzisiaj ominęła, kiedy rozluźniony siadał na krześle, jak smagnięcie biczem podziałął na niego krzyk:

- Kloss! - krzyknął Stedtke. Wstał z fotela przy drzwiach i szedł w jego stronę.

Powoli odwrócił głowę.

- Rzeczywiście nazywam się Kloss. Cóż z tego? - Na jego twarzy nie drgnął nawet jeden muskuł. Zauważył, że Stedtke ma nadal dystynkcje sturmfuehrera. Więc nie dali mu nawet awansu - pomyślał - za zdemaskowanie wrogiej agentury.

- Podobny? - zapytał Mueller.

- To mało! Identyczny, chociaż... - zawahał się - profilem! - krzyknął. - Stanąć profilem! Sam nie wiem - powiedział do siebie. - Masz brata?

- Pan wybaczy, sturmfuehrer - powiedział Kloss. - Jestem niemieckim oficerem, nie przywykłem, żeby mnie tykano. Nie miałem zaszczytu pić z panem bruderszaftu. - Zauważył, że z ust Stedtkego zniknął na chwilę uśmiešek. Nie wiadomo, dlaczego sprawiło mu to satysfakcję.

- Przepraszam pana — wybąkał Stedtke — ale podobieństwo jest zdumiewające.

Mueller, który w milczeniu przysłuchiwał się tej scenie, podniósł słuchawkę telefonu i powiedział tylko:

- Wprowadzić.

Otworzyły się drzwi, stanął w nich stary, ostrzyżony na jeża mężczyzna, którego dziś w nocy wyciągnięto z łóżka, wsadzono bez słowa w samolot i przywieziono z Królewca aż tutaj. Kloss odwrócił się. Wahanie nie trwało dłużej niż pół sekundy.

- Stryj Helmuth! - zawołał.

- Hans! Chłopcze! Żyjesz! Myśmy cię już oplakali. Co z matką? Z rodzicami? Z siostrami?...

- Później - powiedział Mueller. - Później odświeżycie wspomnienia. Zechce pan, doktorze

Kloss, poczekać na bratanka. Będzie przez kilka godzin zajęty.

Więc udało się. Przynajmniej na razie. Zainscenizowali to sprytnie. Dwa strzały kolejno, zawsze w momencie, kiedy był rozluźniony. Docierały do niego pojedyncze słowa wyjaśnień Muellera. Udawał, że słucha uważnie opowieści o tym, jak bolszewicki agent wcielił się w jego postać. Począł na moment, w którym powinien wszystko zrozumieć. Skrył twarz w dłoniach, jakby przygnieciony niespodziewanym ciosem.

- Ktoś bardzo do mnie podobny zszargał moje dobre imię - powiedział. - Rozumiem nareszcie cel tych wielogodzinnych przesłuchań, kiedy opisywałem furmana wiozącego mnie ze stacji do domu moich krewnych albo mówiłem o kamieniach przydrożnych i sukniach mojej matki. Panowie - powiedział - nie wiem, jak mam przysięgać...

- Dawno pan nie był w ojczyźnie, Kloss — na usta Stedtkego wrócił już zwykły uśmiezek. - Dużo się zmieniło. Nas teraz już nie przekonują przysięgi. Mamy aparat, najlepszy na świecie aparat do wykrywania kłamstwa. Nazywa się SD. Nas nie można oszukać. Dlatego pańskiego sobowtóra zlikwidowaliśmy bez trudu.

- Panowie - zwrócił się do nich Kloss - wierzę, że SD i tym razem nie zawiedzie. Kiedy przekonacie się, że to ja jestem Hansem Klopem, proszę o skierowanie mnie na front wschodni. Choćby w charakterze prostego żołnierza. Muszę się pomścić, zmyć plamę z nazwiska.

- Pańskie wykształcenie, znajomość Rosji, języka naszych wrogów, bo podał pan przecież, że oprócz rosyjskiego posługuje się pan biegle polskim, przydadzą się niemieckiej ojczyźnie. Proszę - Mueller pokazał mu jakiś papier — oto wniosek o przywrócenie panu stopnia oficerskiego. Abwehra potrzebuje ludzi takich jak pan. Nie wróci pan już do więzienia, leutnant Kloss. W oczekiwaniu na załatwienie wniosku i przydział służbowy zamieszka pan w naszym hotelu... Zresztą jestem zupełnie pewien, że wniosek będzie załatwiony pomyślnie. Najlepszy dowód, że kazałem przygotować dla pana oficerski mundur leutnanta. Oddaję pana pod opiekę Sturmfuehrera Stedtkego. Cieszę się, poruczniku Kloss, i serdecznie gratuluję.

Przyglądał się sobie w lustrze. Znów w mundurze. Czy nie za łatwo? Czy koniec tych prób? Musi być czujny. Musi być szczególnie czujny teraz, w najbliższych dniach. A co znaczyło spojrzenie, jakie wymienili ze sobą Stedtke i Mueller? A może mu się przywidziało? Może jest przewrażliwiony?

-Jest pan gotów, poruczniku? Możemy jechać? - zapytał Stedtke.

-Tak. Chcę jak najszybciej porozmawiać ze stryjem.

Czeka na mnie w hotelu.

Wiozące ich auto zatrzymało się przed pretensjonalnym portalem. Stedtke puścił go przodem. Kloss wszedł do hallu i zobaczył ją natychmiast. Stała naprzeciw wejścia wpatrzona w niego bez słowa. Dopiero, gdy minął ją obojętnie, zawołała:

-Hans!

Rozejrzał się, jakby szukał kogoś znajomego, a wtedy ona powtórzyła to imię.

- Pani mnie wołała? - dotknął dłonią daszka czapki. -Rzeczywiście mam na imię Hans.

-Jestem Marta Becher. Nie poznajesz... nie poznaje mnie pan? - poprawiła się niepewnie.

- Pani wybaczy, to jakaś omyłka.

Usłyszał za sobą rechot. Odwrócił się i po raz pierwszy w życiu zobaczył Stedtkego śmiejącego się, naprawdę się śmiejącego. Stedtke podszedł do Marty, otoczył jej plecy ramieniem, drugą ręką pogłaskał ją po policzku.

- Przestaję od dziś wierzyć w instynkt kobiecy. Nabrałaś się, co?

Uklonił się, przeprosił, że musi już iść, że chce jak najszybciej zobaczyć się ze stryjem. Biegł po schodach, przeskakując po kilka stopni. Było mu lekko.

Odziedziczył ją pewnie po mnie, powinien być zadowolony, że tamten nie wrócił - pomyślał. - Daj im Boże szczęście. Chociaż czy odziedziczenie dziewczyny po polskim agencie nie hańbi czasem rasy? - zachichotał w duchu.

Wiedział, że wszystko się udało. Wyobraził sobie minę Jakubowskiego, gdy otrzyma wiadomość, że J-23 znowu nadaje.

PARTIA DOMINA

„Zadanie jest niebezpieczne i wyjątkowo trudne". Szyfrogramy otrzymywane z centrali brzmiały na ogół lakonicznie, ale ten, polecający Klossowi wyjazd do Wrocławia, kończył się właśnie takim zwrotem.

Był grudzień 1942 roku. Armie niemieckie utknęły pod Stalingradem, komunikaty Oberkommando der Wehrmachtu formułowano dość niejasno, niewielu jednak obywateli tysiącletniej Rzeszy wiedziało już, że dywizje Paulusa są bezpowrotnie stracone. Wojna zbliżała się do punktu zwrotnego i szalała ze wzmożoną zaciekłością, gazety całego świata wyliczały poległych w walkach powietrznych, morskich i lądowych. Codziennie wymieniano wsie i miasta w Rosji, Afryce, Grecji. Nikt jednak nie podawał komunikatów z frontu, na który posłano Klossa. Tu walki toczyły się w ciszy; potem, w tajnych sztabach, wykreślano nazwiska poległych i chowano rejestry na dnie szaf pancernych. Był to front, na którym działało się po omacku, w ciemnościach. Nie dać się zaskoczyć, przechytrzyć wroga, unikać pułapek, a także... To było właśnie najtrudniejsze i Kloss ciągle o tym myślał idąc ulicami Wrocławia. Miał niewiele czasu, trzy dni tylko; jeśli me zdąży, będzie musiał poświęcić tych ludzi. Minął Damplatz i skręcił w wąską uliczkę. Zatrzymał się przed obwieszaniem podpisanym przez gauleitera Hankego.

Sprawdzenie, czy nie jest śledzony, stało się już odruchem.

W śródmieściu ginął w przedświątecznym tłumie tłoczącym się przed sklepami. Tu było cicho i pusto. Minął go podoficer, zasalutował. Starszy mężczyzna podniósł z chodnika niedopałek papierosa. Dziewczyna w wytartym paletku, z trójkątem litery „P" pchała poboczem jezdni wózek z węglem. Spojrzała na Klossa i odwróciła wzrok.

Rozejrzał się raz jeszcze i ruszył w kierunku kościoła. Główne drzwi były zamknięte. Pchnął boczne i znalazł się w mrocznym wnętrzu. Przed figurą świętego Antoniego płonęło światełko, w ławkach, w głębi czarnej nawy, klęczało parę kobiet.

Starał się iść na palcach, ale odgłos kroków rozlegał się głuchym echem. Nagle zabrzmiały organy; słuchał chwilę Bacha, a potem krętymi drewnianymi schodkami wspiał się na górę. Człowiek, którego poszukiwał, pochylał się nad klawiaturą. Był to niemłody mężczyzna w ciemnych okularach. Musiał usłyszeć kroki, bo palce zastygły w powietrzu. Odwrócił się ku drzwiom. Kloss wiedział, że ten człowiek jest ślepy, przynajmniej powinien być ślepy, ale przez chwilę zdawało mu się, że mężczyzna go widzi.

- To ty, Rudi? - zapytał organista, unosząc wysoko dłonie.

Kloss milczał.

- Ktoś wszedł, słyszałem.

- Tak. Ja - odezwał się wreszcie Kloss i podszedł bliżej.

-Kim pan jest?

- Przywiozłem pozdrowienia od ciotki Zuzanny. Mężczyzna milczał, jakby nie rozumiejąc. Nie mogłem się przecież omylić - pomyślał Kloss. -Wreszcie...

-Jest pan jej znajomym? - zapytał organista.

- Krewnym - odpowiedział Kloss.

- Dokucza jej ciągle reumatyzm?

- Od września czuje się lepiej.

To było wszystko, teraz mogli zacząć rozmawiać.

Organista zbliżył się do Klossa, jego palce, jakby czegoś szukając, dotknęły lekko naramienników oficera.

- Jesteś w mundurze - powiedział. I po chwili: - Przepraszam, nie powinienem pytać. Czekałem na ciebie... Czy to znaczy, że ciotka Zuzanna...

- Nic nie znaczy - powiedział sucho Kloss. - Upoważniono mnie do podjęcia decyzji na miejscu.

- To dobrze - stwierdził mężczyzna. - To dobrze -powtórzył — że właśnie dzisiaj.

- Proszę referować.

Organista wyjął z blaszanego pudełka połówkę papierosa. Umocnił ją w drewnianej lufce. Nie spieszył się.

- Nie podawaj mi ognia - powiedział. Odnalazł w kieszeni wielką zapalniczkę sporządzoną z łuski pocisku. -Jesteś pierwszy raz we Wrocławiu?

- Pierwszy.

- Znasz dzieje tutejszej Polonii?

- Nie. Co to ma do rzeczy?

- Wszystko jest ważne - stwierdził organista. - Znałeś Artura Pierwszego?

-Tak. Referuj.

- Od początku?

- Tak, jakbym nic nie wiedział.

- Chcesz mnie sprawdzić?

Kloss nie widział jego oczu osłoniętych ciemnymi okularami.

- Nie chcę cię sprawdzać - powiedział. - Zdecydowano, że można ci zaufać.

- Dziękuję. - Organista zapalił wreszcie papierosa. - Przed godziną otrzymałem meldunek od Artura Drugiego.

- Gdzie jest skrzynka?

- Tu, w kościele, pod figurą świętego Antoniego. Czy to źle?

- Nic jeszcze nie wiem. Słucham.

- Minęło już trzy miesiące - zaczął organista. - Ustaliliśmy wszystko, co można było ustalić.

- Macie kontakty w gestapo?

- Tak... Piętnastego września nocą przyszli do mieszkania Artura, szefa grupy. To znaczy Artura Pierwszego. Połknął cyjanek w chwili, gdy zobaczył ich w drzwiach.

- To pewne?

- Tak.

- To znaczy, nic nie powiedział?

- Nie - stwierdził organista. - Ale szesnastego rano aresztowano dwóch naszych informatorów w fabryce wagonów. Dwóch robotników, którzy kiedyś bywali na Heinrichstrasse.

- Co to jest?

- Siedziba Związku Polaków, obywateli niemieckich. Wiedzieli więc nie tylko o Arturze. Także o nich. Dlatego centrala uznała, że w grupie musi działać prowokator. Rozkazano przerwać pracę.

- Ale grupa pracuje?

- Artur Drugi przekazuje mi meldunki. Postanowił zdemaskować zdrajcę, chociaż ani on, ani ja nie rozumiemy, dlaczego gestapo nie aresztowało innych, jeśli ma naprawdę informatora. Ten informator musi dużo wiedzieć.

- Mówisz jak nowicjusz - stwierdził Kloss. - Gestapo ma czas... Nikt nie zamyka ludzi, których można obserwować w działaniu... Nie wiem zresztą, jaką grę prowadzi. Może zdrajca wie jeszcze zbyt mało? Może szukają kontaktów z centralą? - I po chwili: - Kim jest Artur Drugi?

- Stary współpracownik. Zaufany Artura Pierwszego. Jego dzisiejszy meldunek - podał skrawek bibułki. - Znasz szyfr?

- Znam.

Światło było złe. Kloss trzymał kartkę blisko oczu, czytał z trudem. Meldunek był zresztą długi. Artur Drugi donosił, że jego wysiłki przyniosły rezultaty. Aresztowania nie były przypadkowe. Ustalił ponad wszelką wątpliwość, kim jest zdrajca. Tylko jedna osoba kontaktowała się jednocześnie z szefem i z robotnikami fabryki wagonów. Kryptonim A-3. Artur Drugi melduje, że wydał rozkaz likwidacji zdrajcy, prosi o kontakt z centralą i dalsze polecenia. Grupa jest czysta, może pracować.

- A-3 - powiedział Kloss.

- Artur Drugi się myli! - wybuchnął nagle organista. Stracił spokój. Dłonią przejechał po czole, poprawił okulary. - A-3 jest niewinna...

- To kobieta?

- Dziewczyna. Ja sam ją werbowałem... Znam ją... Znałem jej ojca...

- To nie są dowody - powiedział sucho Kloss.

- Nie mam dowodów. - Organista usiadł i palcami dotknął klawiszy. - Nie mam dowodów - powtórzył. - Ja wiem, a to znacznie więcej. — Umilkł, czekał, a potem dodał gwałtownie: - Żądam, żebyś w imieniu centrali zabronił Arturowi likwidowania A-3.

- Posłuchaj uważnie. - Klossa ciągle niepokoiły oczy organisty. Chciałby je zobaczyć. - Jeśli w grupie Artura działa prowokator, ci ludzie są straceni.

- Straceni? - powtórzył organista.

- Tak. Można by ich uratować, gdyby natychmiast po likwidacji prowokatora dać im nowe papiery, nowe kontakty albo nawet wysłać do oddziałów w G.G. Ale nikomu z nich nie powierzę nowego adresu, nie dam żadnego kontaktu, dopóki nie będę miał pewności, że zdrajca został zlikwidowany. Jeśli twierdzisz, że A-3 jest niewinna, zdrajca działa nadal w grupie Artura Drugiego. Masz jakieś podejrzenia?

- Nie - odpowiedział organista.

-Więc widzisz... Zdrajcą może być każdy z nich. I gestapo wie wszystko, co on wie. Niewykluczone, że ci ludzie działają pod nieustannym nadzorem.

- Rozumiem. Co chcesz zrobić?

- Przekaż Arturowi odpowiedź: Niech wstrzyma likwidację A-3.

-Dziękuję.

- Nie robię tego ze względu na ciebie. Biorę po prostu pod uwagę twoje wątpliwości. Spróbuję

sam zorientować się w sytuacji. Kto jeszcze oprócz Artura wie o skrzynce w kościele?

Organista milczał.

-Kto jeszcze wie? - powtórzył Kloss.

-Właśnie A-3 - szepnął. - Liza.

- Ach tak... - Kloss ruszył ku drzwiom. - Postąpiłeś wbrew instrukcjom centrali. Nie powiedziałaś mi tego wcześniej. Dlaczego?

- Liza jest moją krewną - organista dotknął klawiszy. - Powiedziałem, że znam ją wiele lat. Wiesz, gdzie można ją spotkać?

- Wiem. - Kloss machnął ręką. - W kawiarni na Frank-furterstrasse.

Stanął przed drzwiami właśnie w chwili, gdy się otwierały. Kloss cofnął się odruchowo, położył dłoń na kaburze. Na progu zobaczył chłopca, może dziesięcioletniego.

- To ty, Rudi? - zapytał organista.

- Ja, dziadku. - Chłopiec nie spuszczał wzroku z Klossa.

- Kto to jest? - zapytał Kloss.

- Moje oczy - odpowiedział organista.

Kawiarnia na Breite Strasse była jedną z nielicznych małych kawiarni wrocławskich, które podczas wojny zachowały swój dawny charakter. Starsi panowie grywali w szachy i domino, częściej pijąc piwo i porter niż herbatkę lub namiastkę kawy. Niekiedy zaglądali tu urlopowani żołnierze Wehrmachtu ze swymi dziewczętami, a brunatne mundury widywało się raczej rzadko.

Tego popołudnia w „Dorocie” - bo tak nazywała się kawiarenka - było pustawo. W niszy żołnierz Wehrmachtu głąskał kolana dziewczyny w stroju BDM, przy stoliku pod oknem emerytowany nauczyciel, profesor von Lipkę, grał w domino z mężczyzną w kolejarskim mundurze. Profesor von Lipkę należał do starych bywalców kawiarni. Miał swój stolik i swoje pudełko domina. Ci, co go znali, wiedzieli, że żyje ze skromnej emerytury i jednocześnie pracuje w organizacji zajmującej się wysyłaniem paczek żołnierzom frontowym. Trudno byłoby podejrzewać, że ten człowiek, który od dawna poruszał się o lasce, który na paczkach wypisywał kaligraficzne numery poczty polowej, jest agentem o pseudonimie Artur Drugi i od miesięcy toczy ryzykowną grę.

- Pięć albo mydło - powiedział.

Mężczyzna w mundurze kolejarskim, Horst Kuschka, przyjrzał się uważnie czarnym prostokątom. Podpisywał się „Kuschka” dopiero od trzydziestego dziewiątego roku. Imię „Stanisław” zmienił wówczas na „Horst” i długo nie mógł do tego przywyknąć.

- Czekam, panie profesorze — oświadczył i spojrzał na kelnerkę. Przechodziła właśnie obok nich; teraz ustawiała szklanki na ladzie. Dostawił szóstkę do mydła.

- Niech pan się nie myli — szepnął Lipkę. - Proszę mówić dalej...

-Mam mydło. Transport „Panter”, 48 sztuk, przeszedł dziś rano...

-Miejsce przeznaczenia? Dostawiam piątkę.

- Charków. Mam również piątkę, panie profesorze. Wysłali ekipę do naprawy torów na linii Ostrów - Kalisz.

- Przegra pan - powiedział Lipkę. - Gra pan nieostrożnie i od przypadku do przypadku. Tak nie wolno.

- Rozumiem.

- Teraz proszę uważać. Zadanie szczególnej wagi. -Lipkę mówił głosem bezbarwnym. Nikt nie pamiętał zresztą, żeby kiedykolwiek stracił spokój. Kuschka go podziwiał. I bał się go.

- Słucham.

- Trzeba wykonać wyrok. - Profesor spojrzał na Horsta. Milczał chwilę. - Wyrok - powtórzył. -

W naszej grupie jest agent gestapo.

- Nie powierzano mi dotychczas takich zadań.

- Teraz ci powierzam. - Lipkę przeszedł nagle na „ty”. - Słuchaj uważnie. Lessingplatz 16, niedaleko Lessings-brucke.

- To on wydał Artura?

- Nie lubię pytań. Ona.

- Wykonam - powtórzył Horst.

Lipkę układał porządnie kostki domina w pudełku.

- Znowu pan przegrał partię - oświadczył. - Do następnego razu.

- Do następnego razu, panie profesorze.

- Teraz jest szesnasta trzydzieści — zakończył cicho profesor. - W zwykłym miejscu o dziewiętnastej. Tu nie będziemy się już spotykać.

-Rozumiem.

Kuschka wyszedł pierwszy. W szatni Helena podała mu płaszcz. Pocałował ją w rękę, a potem, ponieważ szatnia była pusta, musnął wargami jej włosy. Byli małżeństwem od przeszło trzech lat. Poznał ją wiosną trzydziestego dziewiątego roku i latem wzięli ślub. To ona powiedziała mu: „Będiesz się teraz nazywał Horst, trzeba się zgodzić”. I ona wciągnęła go do organizacji. Przedtem pracowała w polskiej bibliotece przy Neugasse. Ocalała, gdy hitlerowcy aresztowali działaczy Polonii. „Mam szczęście” mówiła, ale niechętnie powracała do tamtych spraw. Teraz zapinała mu guziki przy płaszczu.

- Kiedy wrócisz?

- Późno. Mam robotę - odpowiedział.

Nie zapytała, nie pytała zresztą nigdy. „Nawet my nie powinniśmy o sobie zbyt dużo wiedzieć”. Podawała już płaszcz następnemu klientowi i uśmiechała się dziękując za napiwek. Do szatni wbiegł właśnie Rudi. Czekał przy drzwiach, dopóki dziewczyna żołnierza Wehrmachtu poprawiała sobie włosy w lustrze.

- Mam opłatki, proszę pani - powiedział. - Weźmie pani?

- Chętnie - rzekła Helena. - Daj paczkę. I powtórz, że oddam jeszcze dziś wujkowi. Zrozumiałeś?

- Oczywiście, proszę pani.- Rudi wybiegł, szeroko otwierając drzwi, bo lubił, gdy dzwonek brzęczał długo i donośnie. Helena rozcięła ostrożnie opakowanie. Położyła na dłoni starannie

zwinięta bibułę.

Kim jest Liza Schmidt? Hans Kloss nigdy nie lekcewał przeciwników. Stał na rogu Frankfurterstrasse przy budce z gazetami i przyglądał się okładkom tygodników. Na kolorowej fotografii niemiecki żołnierz stał obok płonącego czołgu z gwiazdą.

Jeśli wrocławskie gestapo - rozważał Kloss - ma agenta w naszej siatce, nie zmarnuje oczywiście takiej okazji. Siatkę ma w ręku, dlaczego jej nie likwiduje? Odpowiedź jest prosta. Gestapo chce mieć przeciwnika działającego pod kontrolą, dezinformować go, poznać jego kontakty i system łączności z centralą. Co wie dotychczas? Należy założyć, że rozszyfrowało wszystkich ludzi z grupy Artura. A organistę? Kościół nie był pod obserwacją, Kloss miał prawo sądzić, że sprawdzono dokładnie. Wróg może działać jednak bardzo zręcznie. Może stałą obserwację kościoła uznał za zbyt dużą? Artur Drugi przynosi do kościoła meldunki. Czy jest inwigilowany? Według wszelkiego prawdopodobieństwa - tak. Załóżmy więc, że gestapo rozpoznało skrzynkę. Na co jeszcze czeka? Na rozszyfrowanie kontaktu z centralą? A dlaczego tak pośpiesznie zdjęło Artura Pierwszego? Odpowiedź jest również prosta. Artur Pierwszy zdemaskował zdrajcę, powiedzmy, tę Lizę Schmidt, jeśli to oczywiście ona. Argumenty Artura Drugiego wydają się przecież dość zasadne. Ale Liza zna organistę, więc organista jest również spalony. Jaką należy podjąć decyzję? Kloss wiedział, że mógł podjąć decyzję najprostszą: odciąć tych ludzi od wszelkich kontaktów, zostawić na pastwę wroga. Wówczas gestapo poczeka jeszcze pewien czas, stwierdzi, że są bezużyteczni i zlikwiduje wszystkich... Buntował się przeciwko temu rozwiązaniu. Miał jeszcze dwa pełne dni. Co zdąży zrobić? Nie wolno mu ujawnić się wobec żadnego z nich, bo każdy mógł być zdrajcą. Jakie ma więc możliwości działania?

Zapalił papierosa, kupił „Völkischer Beobachter” i ruszył powoli Breite Strasse. Na przeciwległym chodniku zobaczył tę, na którą czekał. Ładna była ta Liza Schmidt. Spieszyła się, patrzyła przed siebie, ale przecież musiała wyczuwać łakome spojrzenia mężczyzn. Dlaczego zdradziła, jeśli zdradziła? Strach, lęk przed torturami? A może pracuje dla nich od dawna?

Zabrzączał dzwonek, gdy otwierał drzwi „Doroty”. Kloss pomyślał, że Artur Drugi nie grzeszy jednak zbyt ostrożnością. Jeśli jego wszyscy ludzie przychodzą do „Doroty”, gestapo ma ułatwione zadanie...

Wszedł za Lizą. Szatniarka uśmiechnęła się, gdy podawał jej płaszcz. Liza Schmidt rozmawiała właśnie przez telefon. „Przyjdź koniecznie, pa, kochanie...” - usłyszał. Odwiesiła słuchawkę i spojrzała na Klossa. Wyciągnęła z portmonetki papieraik jednomarkowy.

- Czy może pani zmienić? - zwróciła się do szatniarki. - Muszę jeszcze zadzwonić.

Helena nie miała drobnych. Kloss zorientował się od razu. Podał Lizie monetę.

- Służę pani.

- Ach, jaki pan uprzejmy - zaszczębiotała - zwrócę za chwilę.

W kawiarni usiadł przy stoliku pod oknem. Machinalnie otworzył pudełko domina i bawił się czarnymi kostkami. Było pusto. Dwóch starszych panów grało w szachy. Kobieta w czarnej sukni piła herbatę. Kloss dostawił mydło do szóstki, potem zaczął budować domek z kostek. Nie umiem grać w domino — pomyślał. Podniósł wzrok. Do stolika podchodziła Liza Schmidt.

-Przychodzę tylko oddać dług - zaznaczyła. Ale usiadła natychmiast, gdy podsunął jej fotelik.

- Chcę być wierzycielem jeszcze przez chwilę — powiedział. Wierzyciel wobec dłużnika ma pewne prawa. -Ona uśmiechnęła się, więc pomyślał, że to będzie jednak łatwe. Może nawet zbyt łatwe. Czy mógł go ktoś widzieć w kościele Świętego Augustyna? Czy zdążyliby Lizie przekazać jego rysopis? Mało prawdopodobne. Kloss miał we Wrocławiu własną obstawę, której mógł ufać bez zastrzeżeń.

Zaproponował koniak.

- Koniak! - wykrzyknęła Liza. - Założę się, że pan prosto z frontu.

Kosztowało go nieco wysiłku, by zaakceptować jej styl. Dawno już nie flirtował z dziewczętami. To nie była zresztą pusta rozmowa; oboje rozpoczęli grę.

- Z frontu - powiedział. -Jak to pani odgadła?

- Bo tylko chłopców z frontu nie przeraża, liczba kuponów, które odcinają za koniak.

-Najlepszy sposób pozbycia się kartek. Zresztą wszyscy o tym właśnie marzymy...

- O czym?

- Żeby w takiej kawiarence, jak ta, wypić kieliszek z taką dziewczyną, jak pani...

- Tylko o tym?

- Nie, nie tylko - powiedział Kloss. Zamówił koniak i kawę. A gdy kelnerka zaczęła zbierać ze stołu, dodał: - A domino proszę zostawić.

Liza przyjrzała mu się uważnie. Była jednak czujna i napięta, nie ulegało wątpliwości: zalotność stanowiła tylko maskę. Kloss pomyślał nagle, że ta dziewczyna zaczyna podobać mu się naprawdę. Skarcił się natychmiast: nic, co utrudniłoby grę.

- Pan także gra w domino? - zapytała.

-Także? A więc ktoś jeszcze? Proszę pozwolić, żebym zgadł. Narzeczoney, który walczy w Libii?

- Nie - uśmiechnęła się.

- Okupuje Francję? Grecję? Walczy w Rosji?

- Nie, nie, nie. Zimno.

- Rozumiem. Nie broni ojczyzny. Zadekował się tutaj i grywa w domino. Wariat! Mając panią, grać w domino!

- Zabawny pan jest. Jak panu na imię?

- Nie tyle zabawny, co szczerzy. - Wstał. - Hans Kloss.

- Jestem Liza Schmidt. Dla przyjaciół po prostu Liza.

- A dla mnie, Lizo?

Uśmiechnęła się znowu. Uśmiechała się rzeczywiście bardzo ładnie.

- Już zdecydowałeś, Hans... Atakujesz frontalnie. A o domino pytałam, bo do tej kawiarni przychodzą staruszkowie, takie przedwojenne kościane dziadki, i całymi godzinami...

Tak, wyobrażał to sobie znakomicie. Jak wyglądał Artur Drugi? Właśnie kościany dziadek. I grywa tutaj w domino z ludźmi ze swojej siatki. Czy z Lizą spotyka się także tutaj?

- Starsi panowie przesuwający kostkami domina - powiedział. - Emerytowani urzędnicy, którzy każą się tytułować radcami. I emerytowani nauczyciele, tytułujący się profesorami. Pochyleni nad marmurowymi blatami stolików. To pasjonująca gra. Dla tych starych, wycofanych z kursu panów - namiastka życia...

- Frontowy oficer zajmujący się filozofią domina - stwierdziła poważnie Liza. - Hans, jesteś nadzwyczajny! Czyżby powiedział zbyt wiele?

- Życie to walka, Lizo - brnął dalej. - Ci staruszkowie walczą. Mają równe szansę grając w ciemno, nie wiedząc, jakimi wartościami dysponuje przeciwnik. Mówią matowym głosem „pięć” albo „mydło”, a przecież w napięciu czekają na każde potknięcie przeciwnika. Walczą na śmierć i życie.

Spojrzała na niego poważnie.

- O czym mówisz?

- O grze w domino. - Podniósł kieliszek koniaku. - Twoje zdrowie, Lizo.

- Prosit! Nie chciałabym grać w domino przeciwko tobie...

- Ja także! Straciłbym głowę - roześmiał się Kloss. Był znowu młodym oficerem szukającym przygody. - Zresztą nie miałbym na to czasu. Przyjechałem tu na kilka dni...

- Służbowo?

- Czy sądzisz, że w dzisiejszych czasach oficerowie podróżują dla przyjemności? Wracam z Berlina, mój generał pozwolił mi na kilka dni wpaść do Wrocławia. Raczej nie urlop. Wagary.

- Twój szef rozumie młodych oberleutnantów.

- Tak - przyświadczył. - Eberhardt to swój chłop. - I natychmiast spojrzął na nią niespokojnie. Niech się dziewczyna zorientuje, że to nazwisko wymknęło mu się niepotrzebnie. - Ale nie mówmy już o tym... Psiakrew! Odzwyczaiałem się od rozmów z cywilami. Ciągle to wraca: koszary, front, zła sytuacja pod Stalingradem... Mam nadzieję, że zapomniałaś...

- Oczywiście, zapomniałam. Nie mam pamięci do nazwisk, nie interesują mnie wasze męskie sprawy. Jestem kobietą, Hans.

- Zauważyłem to dawno...

- Dawno. Chciałeś się zobaczyć z kimś we Wrocławiu?

- Z tobą - powiedział.

- Nie żartuj.

- Niezupełnie żartuję. Kiedy przyjechałem do Wrocławia, nie wiedziałem, jeszcze, że chcę się spotkać z tobą... Ale od pewnego czasu...

- Dopiero pół godziny siedzimy w kawiarni.

- Od pewnego czasu - powtórzył - wiem już, że właśnie z tobą. Zobaczyłem cię na ulicy, Lizo, i śledziłem cię. Czy sądzisz, że gdyby tak nie było, wstąpiłbym właśnie na Brette Strasse?

- Śledziłeś mnie? - Teraz w jej głosie usłyszał niepokój.

- Tak - powiedział. - Nie gniewaj się, Lizo. - Ale ona nie miała zamiaru się gniewać. Dotknęła palcami jego dłoni.

-Jeśli chcesz, Hans - powiedziała - jeśli chcesz, ofiaruję ci dzisiejszy wieczór.

Podniósł kieliszek. Zrobiło mu się nagle żal tej dziewczyny. A jeśli to nie ona, jeśli Artur Drugi się myli?

Oczekuję cudu? - pomyślał ze złością i przypomniał sobie Artura Pierwszego. Znał go. Spotkał go kiedyś w Warszawie w punkcie kontaktowym u zegarmistrza.

„Nigdy nie wpadnę w ich ręce” — powiedział wówczas. Połknął cyjanek, gdy gestapowcy stanęli w drzwiach. Kto go wydał? Ta dziewczyna, której palce głaszczą teraz jego dłoń?

- Jesteś cudowna, Lizo - powiedział - chciałbym...

- Nie mów nic więcej - przerwała. - Zapłać za ten koniak.

Gdy kelnerka odcinała kupony, Kloss raz jeszcze analizował rozmowę przy stoliku. Jeśli Liza przekaże ją w gestapo, czy cokolwiek może wydać się podejrzaną? Pomyślał nagle, że dobrze byłoby poznać gestapowca, który prowadzi tę sprawę. Zawsze dobrze znać przeciwnika.

Gestapowiec nazywał się Poller. Był hauptsturmfuehrerem i zastępcą szefa wrocławskiego SD. W cywilu, zanim poznał smak władzy, zajmował niezbyt eksponowane stanowisko prokurenta bankowego. Uważał, że szefowie go nie doceniają, w ciągu sześciu lat jego pobory zwiększyły się tylko o 20 marek. Dlatego wstąpił do SS, a potem, wybranego spośród wybranych, przydzielono go do SD. Tu jego kwalifikacje i możliwości zostały w pełni wykorzystane. Był cierpliwy i posłuszny; nie kwestionował rozkazów, ale nie działał na ślepo. W banku nauczono go, że zbyt szybki zysk to zazwyczaj mały zysk. Gdy akcje zwyżkują, trzeba poczekać. Warto czasami wypuścić płótkę, żeby złowić karpia. Powtarzał takie maksymy i w gestapo mówiono, że Poller jest zręczny i ma buldoży chwyt. Nikt nie pamiętał, żeby ktoś mu się wymknął.

Ale wszystkie dotychczasowe sukcesy wydawały się Pollerowi zbyt blade; czekał na swoją wielką szansę; wyobrażał sobie, że jego raport przeczyta kiedyś sam Himmler. A może zainteresuje się nim Fuehrer? Poller widział już minę swego szefa, gdy przyjdzie wezwanie z Berlina. A może mianują go szefem wrocławskiego SD? Tak, niewątpliwie powinien nim zostać. Rano stawał przed lustrem, podnosił niedbale rękę do góry. StandartenFuehrer Ernst Poller. StandartenFuehrer! Czy można sobie wyobrazić coś wspanialszego?

I oto pojawiła się wreszcie wielka szansa. Poller od rana do wieczora tkwił w swym gabinecie i czekał. Wypijał co godzinę pół kieliszka koniaku. Wypalał cygaro. Jeśli wygra, spełnią się wszystkie marzenia. Musi wygrać! Potrzebna jest tylko cierpliwość. Ale jak długo może czekać najcierpliwszy spośród cierpliwych, Ernst Poller?

Tego dnia, gdy Kloss rozmawiał w „Dorocie” z Lizą Schmidt, Poller był już zdecydowany na rozegranie końcówki. Miał wszystkie atuty w rękę, plan przygotowany od dawna, rozważany szczegółowo, należało już realizować. Tylko bez pośpiechu, ciągle bez pośpiechu, a jednak w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Unicestwi wówczas nie tylko przeciwnika, który najbezczelniej w świecie uwił sobie gniazdko tu, we Wrocławiu, ale także jego kontakty, jego środki łączności... Może wówczas zacznie się jeszcze jedna wielka gra? Ostatecznie... z kim ma do czynienia? Czy jego - Pollera - kwalifikacje i zręczność są w ogóle porównywalne z możliwościami Słowian? Roześmiał się. Pozwolił sobie wypić dodatkowy kieliszek koniaku, a potem spojrzął na zegarek. Podniósł słuchawkę telefonu. Wykręcił numer. Rozległ się długi sygnał.

Czekał chwilę, potem rzucił słuchawkę, nacisnął dzwonek. Na progu pojawił się natychmiast - Ernst Poller nie tolerował nawet trzydziestu sekund zwłoki - jego pomocnik, Johann Bradt.

- Sprawdź w urzędzie napraw - powiedział Poller - czy numer 209-13 nie jest uszkodzony. Nie mogę się dodzwonić.

- 209-13 - powtórzył Johann Bradt.

Zapadł już wczesny zimowy zmrok. Powiał ostry wschodni wiatr, ludzie podnosili kołnierze jesionek i znikali w bramach.

W mieszkaniu Lizy Schmidt było natomiast przytulnie i ciepło. Nad szerokim, przykrytym barwną narzutą tapczanem wisiał portret Fuehrera. Dwa głębokie fotele przy stole, a na półeczce, obok telefonu, oczywiście „Mein Kampf”. Kloss zlustrował to wnętrze z napięciem i uwagą. Właśnie tak powinno być: mieszczańsko, niezbyt gustownie, zgodnie z rolą, ale jaką właściwie rolę? Tylko jedno nie pasowało, choinka w kącie. Te kolorowe szklane kule, anioł na wierzchołku... Kloss uśmiechnął się nagle: oczywiście, jak mógł o tym nie pomyśleć?

Przyciągnął Lizę. Nie broniła się, choć była w niej jakaś sztywność.

- Spieszysz się, Hans - powiedziała miękko. - Jak ci się tu podoba?

- Bardzo - stwierdził szczerze. - Ty mi się bardzo podobasz. - Podeszedł do stolika i wziął do ręki „Mein Kampf”. Nosił ślady częstego czytania. Potem spojrzał na telefon.

- 209-13 - przeczytał. - Zapamiętam ten numer. Milczała.

- Zachowujesz się tak, jakbyś żałowała, że mnie zaprosiłaś.

- Nie, nie! - usiłowała być wesoła, widział, jak bardzo chciała być wesoła. - Cieszę się, że jesteś. A teraz zrobię nam coś do jedzenia. I coś do wypicia.

- Świąteczne zapasy?

- Nie przygotowuję świąt.

- A gdzie spędzasz wigilię? Spojrzała zdziwiona.

- Dlaczego o tym pomyślałaś?

- Bo ta choinka - powiedział Kloss. - Usiłuję sobie przypomnieć, gdzie już widziałem taką choinkę.

- Śmieszne. Choinka jak choinka. Nie podoba ci się? Ja co roku sama ubieram drzewko.

- I zawsze tak? U nas w domu była inna. Surowsza, nagie gałązki przyprószone watą. Zresztą we wszystkich niemieckich domach, jakie znam, choinka była właśnie skromna, chłodna, oszczędna.

- Nie rozumiem - Liza patrzyła na niego z niepokojem. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Taką ubraną w kolorowe papierki widziałem niedawno w Polsce, Lizo. Tak - dodał po chwili

- to polska choinka.

Myślał jednocześnie: Zgrywam się albo jestem naprawdę sentymentalny. Co chcę przez to osiągnąć? Ta dziewczyna przez dwa lata gromadziła informacje dla naszego wywiadu. Kiedy zdradziła? Gdybym uwierzył, że jest niewinna, poszedłbym stąd natychmiast. A może bym jednak został? Przyjmuje niemieckich oficerów frontowych i potem przegląda ich kieszenie albo prowokuje do zwierzeń. Czy tych, którzy zbyt dużo mówią, przekazuje gestapo? A jeśli Artur Drugi się myli?

- Czy chcesz - powiedziała Liza - żebym zdjęła te kolorowe papierki?

- Nie, skądże! Cóż nam przeszkadza, polska choinka!

- Nie mów tak, to mnie denerwuje.

-Dlaczego? Czy sądzisz, że niemieckim oficerom nie mogą się podobać polskie choinki?

- A polskie dziewczęta?

- Byłem w Polsce, Lizo - powiedział poważnie Kloss. - One nas nienawidzą. Bywa, że do nas strzelają. - Przyciągnął ją znowu do siebie. - Dlatego tak tęsknimy do niemieckich dziewcząt.

Jakże mu obrzydła ta gra! Najchętniej by wstał i zadał tej dziewczynie parę prostych pytań. Po polsku. Pocałował ją. Oczy miała zamknięte.

- Puść mnie, Hans - powiedziała może zbyt ostro.

-Dlaczego?

- Obiecałam przygotować coś do zjedzenia.

- Nie jestem głodny.

- Cierpliwości, miły... Mamy czas. Bardzo dużo czasu.

Zgasił górne światło, włączył radio. Nadawano kolejny komunikat Oberkommando der Wehrmacht. Ostre walki w Stalingradzie. Kloss uśmiechnął się. Już przed miesiącem zamknęły się kleszcze wokół armii Paulusa. Kiedy o tym powiedzą? Odpoczywał, a przynajmniej usiłował odpoczywać. Z kuchni dochodził brzęk talerzy. Pomyślał, że wieczór z taką dziewczyną mógłby być naprawdę przyjemny. Przymknął oczy, potem zerwał się i przespacerował po pokoju. Zglądał do wszystkich kątów, pod obrazy, makatki i zasłony na oknach. Ciekawe, czy gestapo zainstalowało tu podsłuch? Nic nie znalazł. Zgasił radio i wrócił na kanapę; ogarnęło go nagłe zniechęcenie. Minął pierwszy dzień, a on nie posunął się ani o krok.

Liza naprawdę umiała gotować. Wino było niezbyt dobre, ale kielbasa w pomidorowym sosie znakomita. Potem ciasteczka własnej roboty; pomyślał, że ma chyba jednak dodatkowe kartki żywnościowe. Kloss pił dużo, a ona dolewała nieustannie; sama ledwie dotykała kieliszka. Rozmowę prowadziła zrecznie. Kloss podziwiał umiejętność zadawania pytań niby niewinnych, nawrotów i

ucieczek. Wydawało się, że nie słucha, gdy mówił, bo ją, niemiecką dziewczynę, nie obchodziły przecież męskie sprawy, ale interesował ją każdy szczegół i uparcie dążyła do celu. Świadomie ułatwiał jej grę. Opowiedział o przyjacielu, który ze swym korpusem pancernym trafił teraz spod Moskwy nad Don. Wymienił nazwisko. Potem jeszcze parę nazwisk chłopców, którzy poszli pod Stalingrad.

- A ty? - zapytała Liza. - Ciebie tam nie posyłają? Kloss roześmiał się.

-Nie wiem. Jeśli dywizję pancerną, która niedawno stała we Francji, wysłano nad Wołgę, każdego z nas może to czekać. .. Ale ja wrócę, Lizo. Na pewno mnie zobaczysz.

-Wszyscy tak mówicie - powiedziała. -Wszyscy, których tutaj spotykam przyjeżdżających na parę dni. Czasem dostaję list od kogoś, kto odmroził sobie uszy albo leży w szpitalu na zapalenie spojówek, wywołane pustynnym piaskiem. Nie dostaję tylko zawiadomień o śmierci. Do mnie nie przysyłają... - Wielu ich znałaś?

- Scena zazdrości, Hans? Nie sądzisz, że za wcześnie? Przyciągnął ją do siebie i w tej chwili rozległ się dzwonek.

- Telefon? - zapytał Kloss.

- Nie, do drzwi. - W jej głosie usłyszał niepokój. -nikogo się nie spodziewam. Zaczekaj...

Wybiegła do przedpokoju. Drzwi pozostały lekko uchylone. Kloss podszedł do nich na palcach. Przez szparę widział Lizę zdejmującą łańcuch. Na progu stał mężczyzna w kolejarским mundurze. Kloss nie znał Horsta, nie zdążył zresztą nawet przyjrzeć się jego twarzy, bo wszystko, co stało się potem, trwało kilkanaście sekund. Horst brutalnym gestem odsunął Lizę od drzwi.

- Liza Schmidt? - zapytał.

- Tak, to ja. - Głos dziewczyny drżał. - Słucham.

- Z polecenia Artura - powiedział Horst. Kloss zobaczył w jego ręku broń i zareagował natychmiast. Kopnął drzwi, zasłonił sobą Lizę. Służbowy walter był już odbezpieczony.

- Strzelam szybciej! - krzyknął. - Rzuć broń na podłogę!

Tamten był zbyt zaskoczony i ogłupiały, by decydować się na walkę. Rzucił broń. Kloss ostrożnie podniósł pistolet z podłogi, nie spuszczając oka z Horsta.

-Teraz ręce na kark! - rozkazał. I dodał: -Myślę, Lizo, że zaprosisz nas do pokoju.

Pchnął Horsta w kierunku drzwi, spojrzał na Lizę, ciągle bladą jak płótno, i dopiero teraz, gdy opuszczało go napięcie mięśni, zrozumiał, w jak trudną sytuację się wpakował. Horst powiedział: „Z polecenia Artura”, więc kierownik grupy nie odwołał rozkazu likwidacji Lizy Schmidt? Dlaczego? Zawiodła łączność? Nie otrzymał polecenia organisty? A może zdecydował się jednak działać na własną rękę? Tak czy inaczej, Horst był tylko wykonawcą, jednym z członków grupy,

zapewne uczciwym członkiem grupy. Co powinien zrobić Kloss jako niemiecki oficer? Oddać Horsta w ręce policji. Jeśli tego nie uczyni, Liza zamelduje w gestapo; Artur nie wstrzymał wykonania wyroku, Artur musi więc być pewny, że Liza zdradziła. Jak się teraz zachowa? Może sama wezwie policję?

Kloss nie podjął jeszcze żadnej decyzji, ale nie pozostawiono mu czasu do namysłu. Musiał grać swoją rolę. Horst stał przy ścianie z rękoma na karku.

- Gadaj - powiedział Kloss.

Tamten patrzył na niego z nienawiścią.

- Nic nie powiem.

- Zobaczymy. Powiesz gdzie indziej - zwrócił się do Lizy: - Znasz tego człowieka?

Liza z trudem odzyskiwała przytomność.

- Tak... Nie... Jakby z widzenia.

Kloss nie mógł wypaść z roli. Był przesłuchującym, który marzył tylko o tym, żeby mu zbyt dużo nie powiedziano.

- Przypomnę ci - mówił - on oświadczył, że przychodzi z czyjegoś polecenia. „Z polecenia Artura”.

Liza milczała. Kloss obserwował ją z ogromnym napięciem. Nie interesowało go, co powie Horst. Czekał na to, co powie Liza.

A ona zaczęła płakać. Było to tak zwyczajne i naturalne, że gdyby Kloss nie wiedział, gdyby nie pamiętał o wszystkim, mógłby uwierzyć.

- Powiem wszystko - szepnęła. - Teraz już rozumiem. On jest bratem Artura, a ja popełniłam podłość.

Opowieść była prosta, od biedy nawet wiarygodna. Kloss znowu poczuł przyływ rzetelnej sympatii do tej dziewczyny, ale natychmiast się skarcił. Tak, usiłowała ratować człowieka z grupy Artura, ale jakie były motywy? Jeśli jednak pracowała w gestapo, dlaczego miałaby oszczędzać wykonawcę wyroku? Chyba że podejrzewa jego, Klossa, i chce sobie jeszcze zostawić czas, czas dla działania w grupie Artura.

Liza opowiadała tymczasem, że Artur był jej narzeczoną, że obiecywała mu małżeństwo, a on potem stracił obie nogi na froncie i wtedy... Znowu wybuchnęła płaczem.

- Nie chciałam za niego wyjść, nie mogłam marnować sobie życia, a gdy mu to powiedziałam, to on...

Kloss bacznie obserwował Horsta. Ten mężczyzna był dostatecznie sprytny, by zrozumieć intencję Lizy.

- Podciął sobie żyły - kończył rozpoczętą przez Lizę bajeczkę - skonał na moich rękach. A ja obiecałem się zemścić, wymierzyć sprawiedliwość tej...

Kloss udawał, że wierzy, było to najlepsze, co mógł zrobić. Scena nie była zresztą pozbawiona swoistej pikanterii. Trzech pracowników polskiego wywiadu grało w ciuciubabkę. Tylko on, Kloss, wiedział, jaka jest cena tej zabawy. Ten wykonawca wyroku, rozważał, czuje się teraz bardzo nieswojo. Ma zapewne wątpliwości, czy rozkaz szefa był słuszny. Ogarnęła go znowu fala wstrętu: wszyscy we trójkę kłamią i nie można przerwać tej

gry.

- Dokumenty! - zwrócił się do Horsta. Horst podał mu ausweis.

- Horst Kuschka - czytał Kloss - urodzony w Bytomiu, Ślązak. Pozwolenia na broń oczywiście nie ma?

- Za kogo pan mnie uważa? - powiedział Horst.

- Za bandytę, który wtargnął do obcego mieszkania i chciał strzelać do bezbronnej kobiety.

- Jestem pracownikiem kolei i broń posiadam legalnie. Dla ochrony dworca i obrony własnej.

Kloss porównywał numer broni z numerem wymienionym w legitymacji.

- Zgadza się. Chciał pan mordować z broni posiadanej legalnie. - Teraz należało brnąć dalej, to było zresztą najtrudniejsze. - Pozwolisz - zwrócił się do dziewczyny - że skorzystam z telefonu?

- Nie rób tego - szepnęła Liza. - Nie dzwoń do gestapo. Więc jednak!

- Czego ty chcesz?! - krzyknął. - Może zażadasz, żebym go puścił wolno?

- Proszę o to - powiedziała.

Znakomicie gra ta dziewczyna. Jest już spokojna, tylko wargi drżą jej lekko.

- Ale ja tego nie mogę zrobić - mówił. - Ten człowiek do ciebie strzelał. Czy nie pojmujesz, że chciał cię zabić? Spojrzała na niego.

- Czuję się winna, Hans. To przeze mnie Artur... Jednak kiepski melodramat. Uważa go za sentymentalnego naiwniaka. Miał już stanowczo dosyć tej gry.

- Musisz zawiadomić gestapo...

- Hans - szeptała - jest taki zwyczaj, że nie odmawia się prośbom wypowiedzianym w Wigilię

Bożego Narodzenia.

- Pięknie. Ale Wigilia jest dopiero pojutrze. Zresztą, powiedzmy, że to zrobię, jaką mam gwarancję, że on nie przyjdzie tutaj, kiedy mnie już nie będzie?

- Nie przyjdę - powiedział Horst. - Teraz żałuję, że chciałem zastrzelić pannę Schmidt. Ona nie jest taka, jak myślałem, jak mówił Artur.

Przestał wierzyć szefowi - rozważał Kloss. - Ten człowiek jest chyba uczciwy. A Liza? Jedno wiedział na pewno: znakomita aktorka.

- Dobrze - oświadczył. - Nie wiem, czy postępuję słusznie, ale nie mogę Lizie niczego odmówić. Niech pan idzie, panie Kuschka. Dokumenty? Broń? Nie, proszę nie wyciągać ręki, nie dostanie pan dokumentów ani broni, przynajmniej teraz. - Zajrzał do ausweisu, przeczytał adres. - Mam pana adres, proszę jutro rano nie wychodzić z domu, a ja przez noc pomyślę, co z panem zrobić. I proszę nie próbować ucieczki z miasta.

Za Kuschka zamknęły się drzwi. Zostali sami. Kloss napełnił kieliszki, potem usiadł na kanapie i przytknął oczy. Był bardzo zmęczony. Poprzedniej nocy nie spał, cały dzień zbiegł mu na chodzeniu po Wrocławiu.

- Dziękuję ci, Hans - szepnęła Liza. Przytuliła się do niego, chociaż nie uczynił nawet gestu. Jak bardzo pragnął, żeby Liza była zwyczajną dziewczyną, niczym więcej, tylko dziewczyną, z którą zamierza spędzić noc.

- Ten wigilijny zwyczaj - szepnął wbrew sobie - to też nie jest niemiecki zwyczaj, Lizo.

- Nie mów już o tym - odszepnęła. Nie wiedział, czy grała dalej swoją rolę, ale chciałby wierzyć, że to była nie tylko rola, gdy wyciągnęła rękę do wyłącznika. I zdążył jeszcze pomyśleć, że nocą Liza zapewne dokładnie przejrzy kieszenie jego munduru.

O siódmej rano panował jeszcze mrok. Hauptsturmfuehrer Poller, który pozwolił sobie tym razem tylko na cztery godziny snu, kazał wezwać oficera śledczego Kripo. Musiał działać teraz szybko, czuł, że do jego gry wtargnął jakiś element nieprzewidziany i to wymagało niezwyklej koncentracji uwagi. Poller miał intuicję. Poller wierzył w swoją intuicję i był przekonany, że nie popełni błędu.

- Proszę powiedzieć, jak to było - zażądał, gdy w drzwiach stanął zażywny jegomość, zapewne jeden z tych starych urzędników policyjnych, którzy co prawda nie byli zbyt pewni, ale mieli węch. I dodał zaraz:

- Bardzo się panu chwali ten natychmiastowy meldunek do gestapo. Obiecuję awans. Starszy pan uklonił się.

- Poczulem, że tu coś śmierdzi - stwierdził. - "Znaleźliśmy trupa przed godziną. Zrzucono go z Lessingsbrucke, nadzieją się na falochron, wstrętny widok. Ale nie to było przyczyną śmierci. Postrzał w tył głowy z bliskiej odległości. - Wziął cygaro podsunięte mu przez Pollera.

- Znaleźliśmy przy nim 200 marek, spora sumka... Nie miał ausweisu, a tylko książeczkę wojskową na nazwisko Horst Kuschka.

Poller wziął do ręki tę książeczkę i spojrzął na fotografię.

- Stwierdził pan tożsamość?

- Tak, to ten sam człowiek - powiedział policjant. - Nie ulega wątpliwości. To Horst Kuschka.

SturmbannFuehrer palił w milczeniu cygaro. Musiał sporządzić rejestr faktów. Nazywał to rozglądaniem się w nowej sytuacji. Był niespokojny i zły, ale nie dawał tego po sobie poznać.

- Proszę mi to zostawić - powiedział, wskazując na książeczkę. - I w ogóle proszę przysłać mi wszystkie materiały śledztwa.

- Kripo będzie informowane? - zapytał urzędnik. Wiecznie te spory kompetencyjne? Miał ich dosyć.

- Tak albo nie - odpowiedział sucho. - Sprawą zabójstwa Horsta Kuschki zajmie się gestapo. Może pan odejść.

Zadzwoił i kazał przygotować samochód.

Ludzie tłoczyli się na przystankach, na Kałserbrucke z trudem wyminęli zator tramwajowy.

Poller spojrzął z mostu na panoramę Zaodrza i przypomniał sobie nagle ulotkę, którą przechwytyło gestapo. Ulotki rozpowszechniano wśród cudzoziemskich robotników. „Wrocław był i będzie polski” - głosił świstek. Poller zacisnął zęby aż do bólu.

Zatrzymali się przed starą kamienicą. Na czwartym piętrze uderzył pięścią w drzwi opatrzone wizytówką „Horst Kuschka”. Otworzyła blada kobieta. Oczy podkrążone z niewyspania. Ledwo na nią spojrzął, wiedział o niej wszystko albo prawie wszystko.

- Gestapo - warknął i ruszył do pokoju. Po chwili otwierał drzwi szaf. Wyrzucał na podłogę bieliznę i wyciągał papiery z szuflad.

Kloss spieszył się. W tramwaju panował tłok. Na Universitatbrucke był zator; siedział w drugim wagonie, zawsze wchodził do drugiego wagonu, i przeglądał „Beobachter”. Jeszcze na przystanku sprawdził, że nie jest śledzony. Długi sznur wozów utknął na dobre na moście. Ludzie wyskakiwali z wagonów i biegli chodnikami, spieszyli się do pracy; dołem płynęła Odra, niosąc zwały kry. Kloss spojrzął na zegarek: tramwaje stały już dziesięć minut. Pomyślał, że jednak najpierw powinien być pójsć do organisty. Może już coś wre? Nie chciał jednak zmieniać decyzji. Postanowił porozmawiać z Horstem Kuschka. Ryzyko? Tak, oczywiście, ale pozostało tylko półtora dnia, a właściwie wiedział tyle, co na początku. Czy Liza Schmidt jest agentką gestapo? Rozważał na zimno wszystkie „pro” i „contra”. Co prawda ratowała Kuschkę, ale przecież gdyby przekazała go gestapo, me mogłaby już działać w grupie. Czy to miało jednak jakieś znaczenie? Wiedziała przecież, że Artur wydał na nią wyrok śmierci, więc tak i tak była spalona. Może spróbuje jeszcze nawiązać kontakt z Arturem?

Całowała go na pożegnanie; wydawała się zupełnie szczerą, ale była przecież szczerą również wtedy, gdy opowiadała bajeczkę o narzeczonym. Umie grać, jest niebezpieczna.

A Kuschka? Trudno sobie wyobrazić, że zdecydował się wykonać odwołany wyrok. Sprawiał wrażenie dobrego wykonawcy, ale tylko wykonawcy. Dlaczego więc Artur postąpił wbrew rozkazowi? Oczywiście w pewnych sytuacjach to może być usprawiedliwione. Otrzymał jednakże wyraźne polecenie. A jeśli organista nie przekazał rozkazu? A może spotkać się z Arturem? Zbyt duże ryzyko. Artura zapewne pilnują... Niewykluczone zresztą, że gestapo już go aresztowało. Jaki jest plan gestapo? Czekać. Zamknęłoby wszystkich, o których wie, w momencie likwidacji swojej wtyczki. Dopóki prowokator działa, pozostali są względnie bezpieczni. Gestapo czeka na uchwycenie kontaktu z centralą.

A gdyby pójsć do gestapo, rozważał Kloss. Nie, nonsens, nie dadzą się nabrać.

Tramwaj szarpnął gwałtownie i ruszył. Kloss złożył gazetę i poszedł na przedni pomost. Nie znał Wrocławia, ale przestudiował dokładnie plan miasta; to mu na ogół wystarczało. Jeszcze dwa skrzyżowania i powinien wysiąść. Stamtąd - parę minut do mieszkania Horsta Kuschki.

Poller przesunął właśnie krzesło na środek pokoju. Nogi wyciągnął daleko przed siebie i oglądał uważnie buty. Był po cywilnemu, ale w długich butach. Willi nie wyczyścił ich zbyt starannie, oberwie dzisiaj po mordzie.

-Teraz pogadamy- oświadczył. Helena, żona Kuschki, stała przed nim w swoim domowym szlafroku i rannych pantoflach. Poller widział jej strach, widział, jak bezskutecznie usiłuje ukryć drżenie ramion; poprawiła włosy i ten gest rozśmieszył hauptsturmfuehrera.

- No, co pani wie? — zapytał.

-Nic.

- Nie powiedział, dokąd idzie?

- Nie mówił.

- Znajomi? Przyjaciele?

- Nie miał żadnych przyjaciół - oświadczyła Helena.

- Tralala... Polskie gadanie. Ja na byłych Polaków mam specjalne metody. A ci z waszej polskiej sitwy, z biblioteki...

- Nie spotykał się z nimi - Helena wybuchnęła płaczem.

- No, no, tylko bez hysterii... Niemieckie kobiety znoszą takie rzeczy spokojnie, ale pani nie umie być niemiecką kobietą. A ta wasza kawiarenka! - wykrzyknął.

- Przychodził - szepnęła Helena. - Nic dziwnego, ja tam przecież pracuję w szatni.

- Każdy porządny Niemiec - powiedział Poller - ma prawo pójść do kawiarni, wypić halbę piwa i zagrać partyjkę domina. Grywał w domino?

- Czasami. To była jego jedyna rozrywka. Oczywiście na bardzo drobne stawki. Horst nigdy nie pił.

oszczędzał, nie wyrzucał pieniędzy na przegrane - znowu chlipnęła.

- Mnie nie interesują stawki! - wykrzyknął Poller. -Z kim grywał w domino?

W gruncie rzeczy nie obchodziła go odpowiedź Heleny. Nie po to tu przyszedł, żeby wyduszać z tej kobiety drobne szczegóły. Raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby zagroził jej aresztem.

- Wiem dosyć - oświadczył - żeby panią zamknąć. Na razie choćby pod zarzutem utrudniania śledztwa. Na razie...

Potem warknął:

- Kochanek nie miał?

- Nie miał — powiedziała Helena.

-To przynajmniej pani wie. A z niejaką Lizą Schmidt nie widywała go pani?

Helena nie zdążyła odpowiedzieć. Zadźwięczał dzwonek do drzwi. Poller skoczył, gotowy do działania.

- Aha! Mamy szansę poznać znajomych pana Kuschki! Proszę otworzyć, tylko bez kawałów. Jakakolwiek próba ostrzeżenia gościa, strzelam. Najpierw do pani.

Staął za drzwiami, a ona z trudem odsuwała zasuwkę, zasuwka się zacinała, zawsze tak było. Widziała twarz Pollera i pomyślała, że jednak strzeli, jeśli ona nie wpuści natychmiast tego, który czekał po tamtej stronie i którego nie zdąży już ostrzec. Uchyliła drzwi, na progu stał niemiecki oficer. Odetchnęła z ulgą: to był ktoś zupełnie obcy.

- Chciałbym pomówić z panem Horstem Kuschką - powiedział Kloss.

Helena odsunęła się od progu. Kloss wszedł do wnętrza i natychmiast trzasnęły drzwi, a przed Klopsem stał Poller z pistoletem gotowym do strzału. Zaskoczył go mundur oficerski, tego się jednak nie spodziewał. Po chwili zaskoczył go także spokojny ton oberleutnanta.

Ani śladu lęku, rzetelna pewność siebie, którą haupt-sturm-fuehrer zwykle cenił.

- Kim pan jest? Proszę opuścić broń, nie lubię, kiedy mierzy do mnie cywil - Kloss mówił cicho i powoli. Wiedział już, że popełnił błąd. Nie należało tu przychodzić. Tego, który stał przed nim z pistoletem w rękę, rozpoznał bezbłędnie, zawsze rozpoznawał gestapowców. Poller to zresztą natychmiast potwierdził.

- Zaden cywil — warknął. — Hauptsturm-fuehrer Poller z gestapo.

Więc to właśnie on! Kloss poczuł coś w rodzaju satysfakcji. Nareszcie wie, z kim ma do czynienia! Uśmiechnął się szeroko. Wszedł mu nawet ten uśmiech.

- Oberleutnant Hans Kloss - przedstawił się. -Świetnie, że pana widzę, hauptsturm-fuehrer!

-Tak! Radość obopólna, oberleutnant. A niby dlaczego mój widok tak pana ucieszył? Znał pan Kuschkę? -To już było warknięcie. Poller wrócił na swoje krzesło i rozsiadł się na nim wygodnie. Znowu wyciągnął nogi, ale oficer, który stał przed nim, nie wydawał się wcale speszony.

- Miałem zamiar - mówił - złożyć dzisiaj wizytę w gestapo razem z Kuschką, po którego właśnie przyszedłem. - Tak, to była chyba najlepsza formuła.

- Kuschką już nigdy nie złożę wizyty w gestapo - powiedział Poller - ale pana to nie minie. Kloss zareagował natychmiast i ostro:

- Pański ton wydaje mi się nieodpowiedni. I nie wiem, dlaczego Kuschką...

Poller odpowiadał bawiąc się papierosnicą:

- Tego człowieka — oświadczył — wyłowiono dzisiaj nad ranem z Odry. Strzał w tył głowy. Teraz pan wie? Więc proszę mi natychmiast powiedzieć, w jakich okolicznościach spotkał się pan z Kuschką?

Kloss wyciągnął z kieszeni pistolet.

Bawił się nim udając, że nie widzi przerażenia Pollera. Gestapowiec kurczył się na krześle, teraz bezbronny, bo swoją broń schował już był do kieszeni.

Kloss przysunął sobie także krzesło, usiadł naprzeciwko Pollera. Podał mu broń, a legitymację i ausweis Kuschki rzucił na stół.

W pewnych sytuacjach najlepiej jest mówić prawdę, zresztą musiał mówić prawdę, bo przecież

Poller... Wyjaśnił więc, że wieczór wczorajszy spędził u pewnej młodej, przystojnej damy. Dokładnie powtórzył bajeczkę Lizy; ten Kuschkę, tłumaczył gestapowcowi, chciał ją zastrzelić z zemsty. Miał pozwolenie na broń...

- Na pewno fałszywe - stwierdził Poller. Kloss wzruszył ramionami.

- Możliwe - powiedział. Wyjaśnił, dlaczego puścił Kuschkę wolno. Dzisiaj przyszedł właśnie tutaj po to, żeby go doprowadzić do gestapo i sprawę dokładnie zbadać.

Mówił i jednocześnie obserwował Pollera; czy gestapowiec mu wierzy? Kloss rozumiał, że rozgrywka dopiero się zaczyna. Ale twarz Pollera pozostawała nieruchoma. Wysłuchał Klossa nie zadając pytań. Wreszcie powiedział:

- No cóż. Z braku Kuschki będziemy musieli pojechać do gestapo we dwojkę. - Potem zwrócił się do Heleny:

- A pani nie wolno opuszczać Wrocławia bez zezwolenia. I jeśli pani sobie coś przypomni...

Gabinet Pollera w gestapo był taki, jak wszystkie gabinety w tej instytucji. Wielkie biurko i koniak w oszklonej szafie. Portret Fuehrera i portret „wiernego Henryka”. Dwa fotele i maty stołeczek pod drzwiami. Kloss siedział w fotelu i spoglądał na ten stołeczek. Poller zachowywał się tak, jak należało przewidywać. Najpierw groził twierdząc, że Kloss może być podejrzany o zamordowanie Kuschki. Oberleutnant zareagował śmiechem, następnie zażądał, by Poller porozumiał się z generałem Eberhardtem i sprawdził jego, Klossa, personalia i lojalność. Poller uzyskał połączenie telefoniczne i oczywiście Eberhardt, ten stuprocentowy Prusak, stary oficer Abwehry, nienawidzący gestapo, wyśpiewał litanie pochwał i domagał się, by wrocławska policja natychmiast odczepiła się od jego pracownika. Kloss, obserwując nieustannie reakcje hauptsturmfuehrera, doszedł do wniosku, że Poller nic o nim nie wie. Może więc Liza me zameldowała, może Liza jest jednak niewinna? Poller bawił się cygarem.

- Cała ta historia - oświadczył - jest dość dziwna. Pan był ostatnim człowiekiem, który widział Kuschkę. Kloss postanowił teraz zaatakować.

- A dlaczego ten kolejarz tak pana interesuje, dlaczego nie Kripo?

Poller bawił się cygarem.

- Pan jest jednak ciekawy, Kloss - powiedział.

- Jestem oficerem Abwehry, a pan bawi się ze mną jak kot z myszką. Zadaje pan podchwytliwe pytania zapominając, że ja sam zajmuję się takimi sprawami na co dzień.

Poller roześmiał się.

- Jak mam to rozumieć? Oferta współpracy?

- Niby jak miałbym panu pomóc? - wzruszył ramionami. — Jestem tu przejazdem. Nie będę

rozgrzebywał pańskiego podwórka. O co właściwie chodzi?

Poller nie zamierzał jednak mówić. Jeśli nawet nie podejrzewał Klossa, nie będzie przecież z byle oficerem Abwehry dzielił się sukcesem.

- Nie myślę o pomocy w śledztwie - oświadczył. - A jednak liczę na pomoc. - I po chwili: - Jak nazywała się ta kobieta, u której spędził pan noc?

Kloss od dawna spodziewał się tego pytania; niepokoiło go nawet, że padło tak późno. Poller powinien od tego zacząć, a jeśli nie zaczął, to wiedział. Decyzję należało podjąć natychmiast. Roześmiał się.

- Czy pan zawsze pamięta nazwiska kobiet, z których gościny pan korzystał, Poller? Powiedzmy sobie prawdę: nazwisko nie jest najważniejszym elementem kobiety.

- A nie jest, nie jest - Poller roześmiał się także. Przełknął to jednak dość gładko. - Tak czy inaczej, trzeba przecież ustalić, Kloss.

- Zaraz sobie przypomnę... To było niedaleko Les-singsbrucke... Ona nazywała się Liza... — Obserwował bacznie Pollera. Wie, czy nie wie? Powiedzieć, czy nie powiedzieć?

Nie musiał jednak decydować. Rozległo się pukanie do drzwi. Kloss usłyszał znajomy głos i na progu zobaczył Lizę. Zerwał się z fotela, a ona meldowała spokojnie:

- Panie hauptsturmfuehrer, przyniosłam przepisane raporty. - Potem dostrzegła Klossa, a może raczej udawała, że dostrzegła go dopiero teraz. - O, Hans, jak się masz, nie wiedziałam, że cię tu zobaczę. - Zabrzmiało to zupełnie naturalnie.

Poller wybuchnął śmiechem. Bawił się znakomicie.

- O, państwo się znają... Rozumiem, rozumiem; dziękuję. Lizo, jesteś dzisiaj wieczorem wolna i jeśli umówiłaś się z oberleutnantem...

- Umówiłam się - powiedziała Liza. - Pamiętasz, Hans?

- Pamiętam. - Był wściekły. Dał się zaskoczyć jak smarkacz. Zapalił papierosa i nie spojrzał już na Lizę, gdy opuszczała pokój. Natarł natomiast natychmiast na Pollera: - To ona. Dlaczego pan jej nie przesłucha? A może ona już zameldowała i pan wiedział, i strugał ze mnie wariata...

- Nie tak ostro, Kloss - roześmiał się Poller. - My w gestapo mamy swoje metody.

- Słyszałem.

- Nie to, co pan myśli. Nie żadne wybijanie zębów. Bęcwałów od tej roboty trzymam na smyczy i spuszczam od czasu do czasu, ale niezbyt na nich liczę. Ja działam inaczej, Kloss. I lubię inteligentnych przeciwników.

- Co to ma do rzeczy?

-Jeśli pan spotka się z tą Lizą, proszę poobserwować. O co będzie pytała, jakie sprawy ją interesują. Może nastroje panujące w wojsku albo inne informacje.

- Przecież ona pracuje u pana?

- No to co? Czasem robi pan wrażenie inteligentnego, Kloss, a czasem wydaje się naiwny.

Spotkanie skończyło się remisowo, pomyślał Kloss. Potem doszedł do wniosku, że pierwszą rundę wygrał jednak Poller. Ani cienia informacji... Wiadomo tylko, że Liza pracuje w gestapo... Ale czy to znaczy, że pracuje dla gestapo?

A jednak zbliżało się rozstrzygnięcie. Wszyscy biorący udział w grze musieli działać i to musieli działać szybko. Kloss prosto z gestapo pojechał do organisty; kluczył oczywiście po Wrocławiu, gubił ślady, ale nie zdobył zupełnej pewności. Czy Poller kazał go śledzić? Byłby idiotą, gdyby tego nie zrobił. A jednak wydawało się, że nikt za Klopsem nie szedł. Czyżby hauptsturmfuehrer był tak pewny swych informacji?

U organisty czekał na Klossa raport Artura, dostarczony, jak zwykle, do skrzynki pod figurą świętego Antoniego. Szef grupy meldował o swych ostatnich decyzjach. Raport był właściwie zupełnym zaskoczeniem. Artur twierdził, że zgodnie z poleceniem centrali odwołał rozkaz likwidacji Lizy Schmidt. Horst Kuschka usiłował wykonać wyrok na własną rękę. Dlatego też Artur zlikwidował Kuschkę, którego obserwował przez cały wieczór. Teraz był przekonany, że Liza Schmidt jest niewinna, a prowokatorem był właśnie Kuschka. Grupa jest więc znowu czysta, grupa może działać. Artur prosił o zadania i kontakt z centralą.

— Widzisz — powiedział organista — zawsze mówiłem, że Liza jest w porządku.

— Wiedziałeś, że pracuje w gestapo?

— Wiedziałem - potwierdził. - To nasz ogromny sukces.

Organista wyraźnie triumfował. Raport Artura potwierdzał jego wiarę w niewinność Lizy. Czekał teraz na decyzję Klossa, że grupa Artura jest czysta i może znowu nawiązać kontakt z centralą, gdyż prowokator Horst Kuschka został zlikwidowany. Ale Klossowi to rozwiązanie wydało się nieco podejrzane. Czuł, że rozgrywka z hauptsturmfuehrerem Pollerem wcale nie jest ukończona, że zbliża się ostatnia runda i ta runda będzie najtrudniejsza. Analizował szczegółowo sytuację, widział ciągle przed sobą twarz organisty i jego oczy, które nie czyniły wrażenia oczu ślepeca.

Jeśli Kuschka był istotnie zdrajcą, jak melduje Artur, Poller powinien natychmiast po likwidacji Kuschki przystąpić do dokonania aresztowań. Na co jeszcze czekał? Zdrajca znał Artura, znał Lizę, gestapo miało ich wszystkich w ręku, a przecież Poller musi wiedzieć, że jeśli się spóźni, ci ludzie uciekną. Zresztą Artur powinien natychmiast zniknąć, podobnie jak Liza, jak wszyscy, o których Poller mógł coś wiedzieć. A tymczasem Artur spaceruje spokojnie po Wrocławiu, jakby nic się nie stało. Dlaczego? Nie rozumie, co mu grozi? Czeką na kontakt z centralą, narażając łącznika „ciotki Zuzanny" na wielkie niebezpieczeństwo?

Kloss zmiął w dłoni karteluszki z raportem Artura, potem zapalił zapałkę. Pamiętał twarz Kuschki, gdy tamten wszedł do mieszkania Lizy; pomyślał wtedy: to jest uczciwy człowiek... Jeśli więc nie Kuschka, to kto? Podejrzenie rodziło się powoli, było to podejrzenie straszne. Zdecydował, że musi jeszcze raz sprawdzić; istniała pewna szansa sprawdzenia... Artur Drugi... Jaki to był właściwie człowiek? Wiedział o nim tak mało.

Nieruchoma twarz organisty ciągle była zwrócona w jego stronę. Gdyby nie pewność, że człowiek ten jest ślepy, pomyślałby: „Czuję na sobie jego wzrok". Informacje z centrali stwierdzały,

że organista jest absolutnie pewny. Patriota, stary działacz wrocławskiej Polonii. Czy istnieją ludzie absolutnie pewni?

- Co mam przekazać Arturowi? - zapytał organista. W jego głosie pojawiła się nutka niepokoju. Milczenie trwało jednak zbyt długo.

- Nic nie przekazywać Arturowi - powiedział cicho Kloss. - Zerwać kontakt z Arturem.

Dłoń organisty sięgnęła do okularów, potem przejechała po czole. Na twarz wystąpiły krople potu.

- Co to znaczy? - zapytał.

- To, co powiedziałem. - Głos Klossa brzmiał sucho. Po chwili milczenia organista zapytał:

- Czy mnie też nie wierzysz? - Potem zaczął mówić gwałtowniej: - Czy pojmujesz, na co skazujesz tych ludzi? Na samotność! Nie, nie tylko na samotność: wpadną w ręce wroga. Liza, którą znam od dziecka... Artur Drugi.

- Znajdziemy ich, gdy będzie można. - Kloss z trudem panował nad sobą. Rozumiał równie dobrze jak tamten, że każde słowo jest wyrokiem. - Ty znikniesz z Wrocławia - dodał. - Masz rezerwowy adres?

- Mam - powiedział organista.

- A papiery?

-Też.

- Więc uciekaj natychmiast, nawiążemy z tobą kontakt... Wystarczy, jeśli pošlesz doktorowi Brucke, Berlin 6, Leipzigerstrasse 29 - zapamiętaj - swoją ostatnią analizę krwi. Odwrotną pocztą otrzymasz instrukcje.

- Nie chcę uciekać. Horst Kuschka nic o mnie nie wiedział.

- To rozkaz - Kloss zaakcentował ostro ten wyraz. Potem zaczął mówić łagodniej, patrząc ciągle na twarz organisty. - Zrozum, inaczej postąpić nie mogę. Wojna jest okrutna, a nasza wojna szczególnie okrutna. - Wyciągnął rękę i dotknął nią dłoni tamtego. - Do widzenia - powiedział. - Nie wiem, czy spotkamy się kiedykolwiek, ale jeśli, to już w wolnej Polsce.

- W wolnej Polsce - powtórzył organista i znowu sięgnął dłonią do okularów.

Kloss opuścił kościół. Zaczął padać śnieg, wiał zimny wiatr. Przed wystawą antykwariatu Kloss zobaczył mężczyznę w mundurze organizacji Todt. Podeszedł do niego. Mężczyzna wyciągnął pudełko zapalek; podawał Klossowi ogień, ale czynił to bardzo niezręcznie, zapalki gasły, rzucał je na chodnik.

- Słuchaj uważnie - mówił tymczasem Kloss.- Pensjonat „Elisabeth”. Zawiadomisz go, że to tam, ale bez podawania numeru pokoju. Informację muszę mieć o dziewiątej wieczorem na telefon, zapamiętaj numer...

Potem tamten wskoczył do tramwaju. Kloss jeszcze przez chwilę widział go na tylnym pomoście; mężczyzna w mundurze organizacji Todt spokojnie wyciągał z kieszeni gazetę. Kloss uśmiechnął się; tego chłopca znał od roku. Pracował z nim w Warszawie, a teraz postanowiono, że on właśnie pokieruje nową grupą we Wrocławiu. W tej wojnie żaden odcinek frontu nie może pozostać nie obsadzony. Ale chociaż we Wrocławiu zaczęli już pracować nowi ludzie, Kloss wiedział, że rozgrywka z Pollerem o grupę Artura jeszcze się nie skończyła.

Ostatnia runda trwała.

Poller wierzył, że triumf jest już bliski. Nigdy żadnej akcji nie przeprowadził z taką cierpliwością i tak dokładnie. Jego szef dawno zdjąłby tych ludzi i właściwie nic by nie uzyskał oprócz kłopotów z nową organizacją. Bo organizacje te powstawały przecież jak grzyby po deszczu. On, Poller, wie o tym dobrze i wie także, że prymitywne metody zawodzą w tej grze. Sięgnie do sztabu wroga, sparaliżuje jego kierownicze ośrodki.

Zapalił cygaro, zaaplikował sobie rzetelną porcję dymu, potem podniósł słuchawkę. W tych sprawach z telefonu korzystał rzadko, tylko wówczas, gdy wiedział z pewnością, że podsłuch jest wykluczony. Usłyszał znajomy głos; nie lubił tego głosu, pogardzał zresztą ludźmi, z których usług korzystał. Chętnie ich wykańczał, gdy spalili się lub okazali bezużyteczni. W tym wypadku gotów był jednak okazać zadowolenie. Szmata, bo szmata, ale sukces niewątpliwy.

- Dobrze, zrobione - powiedział. Odłożył na chwilę słuchawkę i sięgnął po zapałki, bo zgasło cygaro. - Nie denerwuj się — głos Pollera brzmiał tym razem łagodnie i cicho — nikogo z nich jeszcze nie zdejmę, mam czas, przynajmniej do jutra. Kontakt z ich centralą to wielkie osiągnięcie, musimy mieć łącznika... Tak, tak, w tym kościółku też się rozejrzę... Co jeszcze? Mówisz o oficerku z Abwehry... Trochę nam przeszkodził, jest niezręczny i chyba niezbyt sprytny... Dobrze, dobrze, zgoda. Możesz go upolować... Heil!

Odłożył słuchawkę. Właściwie ci ludzie nie zasługiwali na niemieckie pozdrowienie, ale tym razem... Wstał, wygładził mundur i wyprostował się przed portretem Fuehrera. Wyciągnął rękę... Czy dane mu będzie stanąć przed wodzem w takiej pozycji i w mundurze standar-tenFuehrera?

Dzień był ciężki. Profesor von Lipkę, wchodząc do kawiarni domyślił się, że zastanie Lizę. W szatni była oczywiście Helena, żona tego Kuschki. Lipkę sądził, że jednak nie przyjdzie, że to przynajmniej zostanie mu oszczędzone. Ale ona siedziała na swoim zwykłym miejscu z robótką w rękę. Przypomniał sobie, że kiedyś zapytał, co robi, i wtedy mu odpowiedziała, że to sweter dla Horsta na gwiazdkę. Sweter był już prawie gotów, Helena pasowała teraz rękawy i wydawało się, że nic poza tym jej nie obchodzi.

Wie przecież, że Horst nie żyje, myślał Lipkę, pochylając się nad jej dłonią. Jakieś „bardzo mi pani żal”, „bardzo współczuję” nie przechodziło mu przez gardło. Powiedział: „Jest wojna, a my walczymy”, zostawił płaszcz i wszedł do salki kawiarnianej. Z trudem panował nad sobą. Jego poprzednik, Artur Pierwszy, mawiał: „Nie podejmuj niczego, póki nie odzyskasz pełnej równowagi”. Ale on, Artur Drugi, nie mógł czekać. Był w sytuacji, w której każda minuta miała ogromną wartość.

Liza siedziała oczywiście przy jego stoliku i bawiła się kostkami domina, z których budowała wysmukłą wieżyczkę. Usiadł na swoim miejscu, nie podając jej ręki.

— Kazałeś mnie zabić - powiedziała cicho Liza. Była spokojniejsza niż on. - Dlaczego?

— Nie wzywałem cię. — Artur sięgnął po cygaro i oglądał je z powagą. — Mówiłem, że me

wolno spotykać się ze mną bez wezwania. A w każdym razie nie wolno przychodzić do „Doroty”, gdy tu jestem.

— Chcę wiedzieć, o co mnie podejrzewasz. Kelnerka przyniosła piwo. Kufel był zbyt pełny, piana osiadła na dłoni, gdy podniósł go do ust, a profesor nie znosił źle napełnionych kufli. Poczł w ustach gorycz, wypił jednym haustem potężną porcję i zapalił cygaro. Musiał jej teraz wyjaśnić, a raczej przede wszystkim musiał ją uspokoić. Nie, tłumaczył, o nic już Lizy nie podejrzewa. Powinna zrozumieć, znaleźli się w sytuacji szczególnej i wszystko wskazywało na to, że Liza, która znała Artura Pierwszego i tamtych dwóch z fabryki, pracuje na dwie strony.

Zachnęła się. Profesor gestem nakazał jej milczenie. Nie, to nie była jego ocena, to były informacje, które otrzymał. Informacje te okazały się fałszywe. Zresztą każdy się może mylić, ale on, Artur, jest zbyt ostrożny, by działać pochopnie. To Horst Kuschka chciał wykonać wyrok na własną rękę.

- Powiedziałem mu - mówił von Lipkę - że odwołuję rozkaz, że po bliższym sprawdzeniu informacje okazały się nieścisłe, a on jednak poszedł do ciebie. Właściwie podejrzewałem go od początku, ale chciałem mieć pewność, musiałem go sprawdzić. I miałem rację: to on dla nich pracował, to on wydał Artura Pierwszego.

Profesor był tego dnia zbyt zdenerwowany, by uważnie śledzić otoczenie. Liza słuchała w napięciu, nie spuszczać wzroku z Artura Drugiego. Żadne z nich nie spostrzegło Heleny, która minęła ich stolik, wracając z bufetu do szatni, cicho stąpając w swoich miękkich, służbowych pantoflach. Profesor zobaczył dopiero jej plecy i natychmiast zamilkł, ale było już za późno. Helena słyszała ostatnie dwa zdania: „a on jednak poszedł do ciebie” i „to on...”. Usiadła przy swoim stoliku w szatni i ukryła twarz w miękkiej wełnie nie dokończonego swetra.

- Do tej sprawy nie będziemy już wracać - powiedział von Lipkę. - A teraz melduj.

Liza opowiedziała Arturowi o Klossie, który uratował jej życie. Dokładnie, jak zwykle w takich wypadkach, zreferowała przebieg rozmowy. Nie było tego wiele, ale jednak parę informacji, parę nazwisk. Artur słuchał z napiętą uwagą.

- Na kiedy umówiłaś się z nim? - zapytał.

- Dziś wieczorem będzie u mnie - powiedziała Liza. - Po dziewiątej...

W tej chwili pojawiła się w drzwiach Helena. Podeszła do ich stolika.

- Proszę panią do telefonu - zwróciła się do Lizy. W szatni było pusto. Liza podbiegła do telefonu i sięgnęła odruchowo po słuchawkę. Słuchawka leżała na widełkach.

- Chciałam z tobą pomówić. - Helena stała obok niej. Właściwie się nie znały. Liza nie wiedziała, że Helena jest także w ich grupie, wykluczała to organizacja siatki. Nie wiedziała również, że Horst, człowiek, który chciał ją zabić, był mężem szatniarki.

- O co chodzi? - zapytała Liza. Helena mówiła po polsku, zwracała się do niej per „ty”. Liza nie

ukrywała zaskoczenia.

- Ty masz kontakt z centralą — szeptała gorączkowo Helena. - Daj mi ten kontakt...

- Nie rozumiem, co pani mówi — powiedziała sucho po niemiecku.

- Musisz mi uwierzyć, inaczej wszyscy zginiemy... Przechodziłam obok waszego stolika, słyszałam, jak on powiedział, że Horst, mój mąż Horst, był zdrajcą, że chciał wykonać wyrok bez rozkazu... To nieprawda!

Liza ruszyła ku drzwiom. Helena zastąpiła jej drogę.

- Przysięgam na wszystko, co mi drogie - mówiła - że zadanie nie zostało odwołane. Przysięgam, że Horst był niewinny. Powiem ci coś jeszcze...

Liza odsunęła ją brutalnie.

- Pani chyba oszalała - powiedziała sucho. - Nic nie rozumiem.

Wróciła do stolika. Po raz pierwszy od wielu miesięcy ogarnął ją strach. Przypomniała sobie twarz Pollera, zapaliła papierosa i wciągała dym, czując na sobie spojrzenie Artura.

- Co się stało? - zapytał.

Powiedziała mu. Musiała mu powiedzieć. Gdyby przestała mu ufać, znalazłaby się w piekle, ogarnąłby ją koszmar, z którego nie byłoby już wyjścia. Słuchał z nieruchomą twarzą. Nic, co by zdradzało niepokój lub zaskoczenie.

- Co jej powiedziałaś? - zapytał.

-Nic.

- Masz kontakt z centralą? -Tego pytania się nie spodziewała. On przecież wiedział. Musiał wiedzieć.

- Nie mam kontaktu.

Artur rozkładał kostki domina.

- Tego się bałem - powiedział wreszcie. - Horst nie działał sam. Ona usiłuje teraz skończyć jego robotę. -Patrzył na Lizę, w jego wzroku było coś, czego dziewczyna nie знаła. - Ty to musisz zrobić - rzekł. - Nie ma nikogo innego, kto by to mógł dzisiaj zrobić. Wykonasz wyrok. A w nocy uciekamy z Wrocławia. Nikt z nas nie może tu zostać. Przyjdę do ciebie... Teraz posłuchaj uważnie, jej adres...

Musi więc wykonać wyrok. Trzymała rękę w kieszeni płaszcza, palce głaskały chłodny metal, to uspokajało. Z jakiej odległości trzeba strzelać? Sakramentalne: „Z polecenia Artura”, a potem od razu, od progu, aby tamta nie miała czasu pomyśleć. Dwa strzały. Artur powiedział: „Najlepiej strzelać dwukrotnie, pistolet ma tłumik, możesz być zupełnie spokojna”.

Ludzie muszą zabijać, na tym polega wojna. Ale ona jeszcze nie zabijała i zupełnie nie wie, jak będzie żyła potem. Czy istnieje zresztą jakieś „potem”? A jeśli Helena jest niewinna? Do niej miał strzelać Horst, teraz ona będzie strzelała do Heleny. „Z polecenia Artura...” Co wie o tym człowieku? Przecież Artur Pierwszy musiał mu ufać, jeśli uczynił go swoim zastępcą. Żołnierz powinien ufać dowódcy. Ona jest żołnierzem i nie ma innego wyjścia. Pomyślała o swojej matce. Matka uczyła ją mówić po polsku, czytały razem polskie książki. „Naucz się ich nienawidzić” - mówiła potem matka.

Nienawidzić - to znaczy zabijać.

Przed dworcem wsiadła do tramwaju. Helena powinna być już w domu. Liza długo obserwowała „Dorotę” i widziała, jak szatniarka opuszczała kawiarnię. A może zdążyła zawiadomić gestapo, a może jej dom jest obstawiony? Wyskoczyła na trzecim przystanku, bez trudu znalazła starą kamienicę i powoli wchodziła schodami na czwarte piętro. Po drodze nie spotkała nikogo. Gdy przyciskała dzwonek u drzwi, znowu wróciły wszystkie wątpliwości. A jeśli ta kobieta jest niewinna?

Stała na progu. Oczy miała spuchnięte, widocznie płakała. Była zaskoczona, a gdy spojrzała na Lizę, cofnęła się parę kroków. Zrozumiała, zanim Liza zdążyła, sięgnąć do kieszeni, zanim odsunęła bezpiecznik.

- Z polecenia Artura - Liza czuła, że serce podjeżdża jej do gardła. Podniosła pistolet, ale nie mogła pociągnąć za spust. Opuściła broń.

- Strzelaj! - powiedziała Helena. - Strzelaj! - powtórzyła. - Czemu nie strzelasz? Mogłabym cię uprzedzić - podniosła dłoń do ust i pokazała jej na dłoni małą kapsułkę. - Cały dzień trzymam to w ustach. Ale ci nie ułatwię roboty.

Liza pomyślała, że ta kobieta mogłaby jej wydrzeć broń. Ścisnęła mocniej Waltera. Artur Drugi mówił: „Strzelaj natychmiast, na nic me czekaj, strzelaj. Zabijają ci, którzy nie myślą”. Ale ona nie mogła nie myśleć. Żeby ta kobieta się przyznała, żeby potwierdziła swoją zdradę. Ludzie przed śmiercią mówią prawdę; przynajmniej czasami mówią prawdę.

- Dlaczego zdradziłaś?

- Jednak masz wątpliwości? — Helena nie ruszała się z miejsca. - Więc posłuchaj. To nieprawda, co powiedział ci Artur. Horst nie poszedł do ciebie z własnej woli. Otrzymał rozkaz, jak

ty dzisiaj.

- Ale rozkaz został odwołany.

- To nieprawda. Wiem, że Artur otrzymał wiadomość, bo wiadomości przynosi czasem taki mały chłopak z kościoła, i wiem, że miał się później spotkać z Horstem. Nie odwołał rozkazu. Horst był uczciwy. I dlatego Artur go zlikwidował.

Liza milczała. Jeśli to prawda, jeśli Artur... — wszystko jest skończone i jutro albo jeszcze dzisiaj w nocy siądzie na stołeczku pod drzwiami w gabinecie Pollera, oczekując na przesłuchanie. Nie chodzi zresztą o nią! Chodzi o to, że wszystko straciło sens, że oni wszyscy...

- Strzelaj! - powiedziała Helena. Było to trochę teatralne - przecież Liza już nie strzeli. Przesunęła znowu bezpiecznik, schowała pistolet do kieszeni.

W tej chwili usłyszały obie warkot motorów i zgrzyt hamulców. Znały ten warkot. Nocami budziły je samochody zatrzymujące się pod oknami. Helena odsunęła rolety. Zobaczyła

SS-manów i żandarmów. Wskakiwali na chodnik, stawali wzdłuż ulicy, kilku weszło do bramy.

- Uciekaj na strych - powiedziała Helena. - Tam jest przejście do sąsiedniej kamienicy.

- A ty?

- Ja już nie będę uciekała. Zawiadam centralę...

Osunęła się na podłogę. Liza pochyliła się nad nią. Była śmiertelnie zmęczona, nie czuła już nic, nawet żalu, nawet strachu. Zamknęła Helenie oczy i wyszła zostawiając drzwi szeroko otwarte. Niech tu przyjdą...

Przez małe okienko na strychu widziała SS-manów stojących ciągle wzdłuż ulicy: Może Artur chciał w ten sposób sprawdzić, czy ona, Liza, wykonała wyrok? Zapłaci za to, pomyślała. Wiedziała już, dokąd teraz pójdzie. Istniał tylko jeden człowiek, który miał łączność, który mógł coś postanowić. Spojrzała na zegarek. Było późno, miała mało czasu, niedługo powinna być w domu, bo przecież zjawi się u niej oberleutnant Kloss. Po co powiedziała o nim Arturowi? Nie mogła sobie teraz tego wybaczyć. Ostatecznie to tylko oficer niemiecki, uspokajała się, ostatecznie chodzi o to, żeby ich niszczyć. Każda metoda jest dobra.

Organista był gotów do wyjazdu. Rudi stał obok niego. Byli już w płaszczach, ale organista wciąż jeszcze żegnał się z kościołem, w którym spędził większą część swego życia. Dotknął palcami klawiszy, potem usiadł i zagrał po raz ostatni. Pomyślał, że powinien jednak pozostać, że tamten się na pewno myli. Nie bał się zresztą nigdy o siebie, bał się o Rudiego, który teraz niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, radośnie podniecony, bo cieszyła go perspektywa wyjazdu na wieś.

- Taksówka już pewno podjechała, dziadku - powiedział.

- Idziemy - rzekł organista i przerwał grę. W tej chwili usłyszeli kroki. Ktoś biegł po schodach na górę. Rudi otworzył drzwi i zobaczył Lizę. Dawno już jej nie widział.

- Liza! - krzyknął radośnie. Ale Liza musnęła tylko wargami jego czoło.

- Zostaw nas samych, Rudi.

- Pojedziesz z nami, Liza?

- Zostaw nas samych - powtórzyła niecierpliwie. Wyszedł niechętnie, w kościele było zupełnie pusto, tylko jakiś mężczyzna w skórzanym płaszczu siedział niedaleko figurki świętego Antoniego. Rudi, jak uczył go dziadek, przyjrzał mu się dokładnie.

- Tłumaczyłem ci, Lizo - mówił tymczasem organista

- że nie wolno ci tu przychodzić.

- Wiem, wiem! Wszyscy jesteśmy bardzo ostrożni, bardzo ładnie konspirujemy, a wróg wie wszystko, słyszysz? Działamy dla wroga! - krzyknęła nagle z rozpaczą.

- Co się stało, Lizo?

Opowiadała dokładnie. Przynajmniej starała się opowiedzieć dokładnie. O sobie, o Helenie i o Horście. Wreszcie o śmierci Heleny. Nie miała już wątpliwości: Artur Drugi, szef grupy, zaufany Artura Pierwszego, był zdrajcą. Helena popełniła samobójstwo, była więc niewinna, bała się gestapo. Artur nie odwołał wyroku na nią, Lizę. Artur kazał zlikwidować Helenę.

Organista zdjął okulary; Liza opuściła wzrok. Nie chciała zobaczyć jego nie osłoniętych oczu.

- To on - powiedział organista. - Helena przekazała mu rozkaz i jeśli miał jeszcze raz spotkać się z Horstem...

- To on - powtórzył. - Tamten miał rację. - Teraz zrozumiał, dlaczego łącznik z centrali nie uwierzył w winę Horsta. Gdyby Horst zdradził, i Artur, i Liza byliby już aresztowani...

- Kto miał rację? - zapytała Liza.

- Człowiek, którego już nigdy nie zobaczę. Ktoś z centrali.

- Zawiadom natychmiast centralę! - krzyknęła. - Trzeba coś zrobić!

- Nie mam łączności - powiedział cicho organista. - On odwołał łączność. A kiedy nawiążą ze mną kontakt...

- wzruszył ramionami. Liza nie rozumiała.

- Jak to nie masz łączności? Ty nie masz łączności?

Organista milczał. Usiadł znowu na swoim stołku i pogładził palcami klawisze. Przeklinał teraz swoją ślepotę. Gdyby widział, odnalazłby Artura.

- Pojedziesz ze mną - odezwał się wreszcie. - To jedyny ratunek dla ciebie. - Wstał. - Taksówka czeka. Papiery jakoś wykombinujemy.

- Nie - powiedziała Liza. - Nie pojedę.
Wydawało się, że nie rozumie.

- Prędzej czy później - rzekł - odnajdą nas, a wtedy zameldujemy o Arturze i nie minie go kara.

- Nie mogę uciekać - oświadczyła Liza. - Nie wiemy, kogo Artur przekaże jeszcze Pollerowi... Może nie wszystkich zdążył przekazać. Zresztą - dodała - do mnie przyjdzie dzisiaj człowiek, którego on chce też zgubić. A ten człowiek uratował mi życie.

Milczała. Była przekonana, że musi tak postąpić. Wsunęła znowu dłoń do kieszeni płaszcza i dotknęła metalu. Miała pod palcem bezpiecznik. Pomyślała, że w magazynku są trzy naboje... Artur kazał jej dwukrotnie strzelać do Heleny, a trzeci nabój... Przynajmniej zostawił jej szansę...

- Zaopiekuj się Rudim, dziadku - powiedziała i wyszła tak cicho, że nie usłyszał nawet kłapania drzwiami.

Hauptsturmfuehrer Poller czekał. Teraz pozostało właściwie tylko czekanie. W ciągu najbliższych paru godzin nie miał nic więcej do zrobienia. Potem - bezsenna noc. Ciekawe, czy ten człowiek będzie bardzo uparty? A może to kobieta? W chwili, gdy von Lipkę zameldował mu, że łącznik jego centrali wyznaczył spotkanie w pensjonacie „Elisabeth”, Poller zrozumiał, że nareszcie sukces jest pewny. Dali się złapać! Jego metoda okazała się skuteczna. A standartenFuehrer już wyrażał swoje niezadowolenie, już polecał zdjąć tych ludzi... Teraz oczywiście zdejmie się wszystkich... A może jeszcze poczekać? Gdyby łącznik z tej polskiej centrali okazał się niezbyt oporny, istniałaby szansa ciągnięcia gry dalej. Wybuchnął głośnym śmiechem. Miałby do dyspozycji własną polską siatkę i kontakt z ich kierownictwem. Świetny kawał!

StandartenFuehrer opowiadał, że podobna robota udała się gestapo w Belgii, ale tam byli Anglicy, a Słowianie są twardsi. Głupsi, ale twardsi. Pollerowi przyszło na myśl, że von Lipkę jest jednak Niemcem. Kiedyś co prawda nazywał się Lipkowski, ale nie umie nawet po polsku. Zresztą to nie jest sukces pana von Lipkę, który... Poller nie będzie miał współnika w osiągnięciu sukcesu. Wspólników nie toleruje! Wypił jeszcze jeden kieliszek, dzisiaj mógł sobie na to pozwolić, i podniósł słuchawkę telefonu.

- Czy sprawdzono obstawę wokół pensjonatu „Elisabeth”?

- Mysz się nie wyśliznie.

Oczywiście — nawet mysz! Wkrótce rozpoczną się przesłuchania. Specjalny oddział gestapo zjawi się w pensjonacie z iście niemiecką punktualnością... Poller zgasił górne światło i zapalił nocną lampkę na biurku. Badał działanie reflektora: prosto w oczy temu, kto będzie siedział na

stołeczku przy drzwiach. Ciekawe, jak się zachowa Fräulem Liza? A jej kochanek? Poller znowu wybuchnął śmiechem. Przy okazji wielkiej gry można przeprowadzić i małą rozgrywkę. Przekona się Berlin, jak mało odporni na szantaż wroga są oficerowie Abwehry.

A tymczasem Kloss jadł kolację w małej restauracyjce przy Lessingstrasse. Długo studiował kartę, rozmawiał z kelnerem, starannie odliczał kupony kartek żywnościowych. Zachowywał się tak jak oficer na urlopie, który przywiązuje dużą wagę do dobrego jedzenia, lubi posiedzieć w knajpie i popatrzeć na niemieckie dziewczęta, popijając powoli piwo i paląc cygaro. Ładnych dziewcząt co prawda nie było. Ale Kloss dbał o rytuał, o szczegóły. Grał swoją rolę ze świadomością, że gra rolę bez możliwości popełnienia błędu. Cena, którą zapłaciłby za błąd, była zbyt wysoka.

Punktualnie za kwadrans dziewiąta uregulował rachunek, dał kelnerowi napiwek, niezbyt co prawda duży, ale wystarczający, by starszy pan w białej marynarce solidnie, po prusku, stuknął obcasami. Wszedł na ulicę i od razu stwierdził, że - wbrew przypuszczeniom - nie jest śledzony. Pomyślał, że przecenił jednak przeciwnika, ale postanowił nadal działać tak, jakby Poller był przynajmniej Klossem. Wszedł do kwiaciarni, zapłacił majątek za trzy ciepłarniane róże. W kwiaciarni odwrócił się specjalnie twarzą w stronę wystawy, tak, by mógł być widziany z ulicy. Nikt jednak nie obserwował Klossa, nikt nie zatrzymywał się przed kwiaciarnią.

Nie wziął mnie pod uwagę — pomyślał Kloss — dla niego się nie liczę.

W bramie domu, w którym mieszkała Liza, również nikogo nie zobaczył. Zadzwoił, otworzyła mu natychmiast. Była w płaszczu, źle uczesana, pod oczyma czarne pręgi.

- Przykro mi - powiedziała jeszcze w korytarzu - ale nie będę mogła spędzić z tobą wieczoru. Bardzo się spieszę. Podał jej róże.

- Dziękuję ci - jej głos brzmiał sucho. - Jesteś bardzo miły. - Nie wiedziała, co zrobić z kwiatami. Położyła je najpierw na stoliku pod wieszakiem, potem wzięła stamtąd i otworzyła drzwi pokoju. - Włożę je tylko do wazonu.

Kloss usiadł na tapczanie. Zdjął płaszcz, zapalił papierosa. Nawet rozpiął mundur.

- Mówiłam ci przecież - w jej głosie usłyszał rozpacz - że nie mam czasu. - Kwiaty zostały na stole, podbiegła do niego. - Wybacz mi, kochany, musisz już iść.

- Dlaczego?

- Wychodzę, tak, za chwilę wychodzę - plątała się - jestem zajęta.

- Może ci w czymś pomóc?

- Nie, nic takiego — a widząc, że on nie zamierza wstać z tapczanu, powiedziała ostrzej: - Jestem zajęta służbowo, rozumiesz? Poller wyznaczył mi pewną pracę.

- Natychmiast do niego zadzwonię. - Kloss podszedł do telefonu. - Ostatecznie oficerom przyjeżdżającym z frontu coś się należy.

- Nie, nie dzwoń! - krzyknęła.

- Wiedziałem, że to powiesz. - Kloss był teraz zupełnie poważny. - Co się stało?

-Nie mogę inaczej! Zaufaj mi, Hans!

Domyślał się już, o co chodzi, ale nie mógł jeszcze odkryć kart. Nie mógł jej powiedzieć wszystkiego, bo czekał na potwierdzenie podejrzeń, co ostatecznie decydować miało o wszystkim. Ale czy otrzyma potwierdzenie? Może przeciwnik jest jednak mądry, może nie da się złowić w dość prymitywną przecież pułapkę? A wówczas? Będzie musiał stąd odejść i zostawić tę dziewczynę jej własnemu losowi. Chociaż to tchórzostwo, ale nie wolno mu przecież inaczej! Chodzi nie tylko o niego i nie ma prawa ryzykować.

- Muszę cię poprosić, Lizo, żebyś jeszcze chwilę poczekała - rzekł spokojnie.

- Dlaczego?

- Prosiłem kogoś, żeby zadzwonił do mnie na ten numer. To bardzo ważny telefon.

- Na mój numer? Jak mogłeś?

Spojrzał na zegarek. Wskazówka stała dokładnie na dziewiątej. Mężczyzna w mundurze organizacji Todt był zawsze punktualny. Usłyszał dzwonek i zanim Liza zdążyła go wyprzedzić, podniósł słuchawkę.

- Tak, to ja - powiedział. - Dobry wieczór. - Usłyszał parę zdań, które dla podsłuchującego ich rozmowę nic nie znaczyły, ot, koleżeńska pogwarka dwóch młodych ludzi, którzy przypadkowo spotkali się we Wrocławiu, ale dla Klossa miały ogromną wagę: zadanie zostało wykonane. Poller dał się wciągnąć w pułapkę; kazał otoczyć pensjonat „Elisabeth”. Gestapo wyciąga w tej chwili z pokojów ludzi, których hauptsturmfuehrer będzie przesłuchiwał całą noc. Niech sobie szuka łącznika z centrali!

Kloss, odkładając słuchawkę, po raz pierwszy spojrzał na Lizę z nie tajoną czułością. Biedna dziewczyna, ile musiała przeżyć! A Artur Drugi? Kloss ma jeszcze parę godzin, musi zdążyć się z nim rozprawić. Jeśli nie on, wykona to mężczyzna z organizacji Todt. Teraz trzeba się spieszyć! Liza musi natychmiast opuścić Wrocław. Wyobrażał sobie, jak się zachowa, gdy jej powie hasło.

- Lizo - zaczął. A jeśli jednak ryzykuje? Musi już ryzykować... Nieprawdopodobne, żeby także Liza... Podeszła do niego.

- Idź już, nie wiem, jak mam cię prosić...

W tej samej chwili klapnęły otwierane drzwi. Wszedł człowiek, który musiał mieć klucz do tego mieszkania.

Stał na progu, spokojny, nieruchomy, w kapeluszu na głowie.

- O co to zamierzasz prosić pana oberleutnanta, Lizo?

- O nic - powiedziała. - Już o nic.

Więc tak wyglądał z bliska profesor von Lipkę. Poinformował Pollera o pensjonacie „Elisabeth” i przyszedł tutaj? Po co? Czy jest sam, czy ma na dole obstawę? To interesowało Klossa najbardziej. Jeśli ma obstawę, jaka jest szansa, żeby Liza opuściła ten dom? Poller wie, że Kloss jest w mieszkaniu Lizy, jeśli więc zlikwiduje Artura...

- Teraz wszystko rozumiem, Lizo - powiedział -i przepraszam cię. Spodziewałaś się pana.

- Liza nas sobie nie przedstawiła — twarz Artura Drugiego była ciągle nieruchoma. — Nazywani się Erik von Lipkę. Pan Kloss, jeśli się nie mylę?

-Jest pan świetnie poinformowany.

-Moja uczennica, bo muszę panu powiedzieć, że Liza jest moją uczennicą, a ja emerytowanym nauczycielem muzyki, opowiedziała mi o pańskim bohaterskim wyczynie wczorajszego wieczoru.

- Przesada. - Kloss usiadł przy stole. Artur zajął miejsce naprzeciwko niego, nie zdejmując kapelusza. -Ja pana chyba gdzieś widziałem, profesorze. O, już wiem... W „Dorocie”, pan grywa w domino.

- Owszem, dość często. W gazetach jest niewiele do czytania, trzeba czymś zabijać czas... - Urwał i wyciągnął z kieszeni dwa cygara. Jedno podał Klossowi. - Muszę panu zresztą powiedzieć, że najciekawsze wiadomości wojenne można znaleźć nie w prasie, ale w opowieściach ludzi wracających z frontu. To oczywiście fragmenty, strzępy... ale przy odrobinie wprawy... Proszę sobie choćby wyobrazić, że ktoś opowiada panu o przyjacielu, który właśnie został wysłany pod Stalingrad... Ten ktoś dorzuci jeszcze, że korpus pancerny, w którym służył jego przyjaciel, był dotychczas we Francji, a przedtem walczył w Grecji. Człowiek dostatecznie zorientowany będzie już wiedział, że chodzić może tylko o trzeci korpus pancerny i że ta jednostka przerzucona została właśnie pod Stalingrad. Interesujące, prawda?

- Oczywiście. I co dalej?

- Jeśli dodamy parę nazwisk, które mimochodem padły w rozmowie, można by sporządzić niewielką notatkę: jakie to formacje niemieckie znalazły się ostatnio w Rosji.

- Rozumiem. - Kloss uśmiechnął się i wsunął rękę do kieszeni. - Wstęp do małego szantażu, prawda?

- Nie wyjmować ręki z kieszeni! — profesor von Lipkę miał już broń przygotowaną. Oparł rękę na rewolweru o stół. - Strzelam bez pudła - powiedział. I zwrócił się do Lizy: - Ubezpieczaj, Lizo...

Liza posłusznie stanęła przy drzwiach. W ręku trzymała pistolet. Kloss nie spodziewał się, że i ona jest uzbrojona. Jednak tym razem nie docenił pana von Lipkego. A przecież ma go właściwie w

ręku... On sam stworzył sytuację, w której najlepsze wyjście stało się nagle możliwe. Wszystko jednak zależy teraz od Lizy. Kloss sięgnął po cygaro i wyjął z kieszeni zapalniczkę.

- Cygaro - powiedział - ułatwia czasem rozmowę. Liza powinna coś o tym wiedzieć.

Czy ona rozumie? Czy istnieje szansa, że ona zrozumie?

- Lubię mieć do czynienia z inteligentnym przeciwnikiem - powiedział Artur Drugi.

-To też gdzieś już słyszałem - odparł Kloss. Zaciągnął się dymem. Von Lipkę palił te same cygara, co Poller.

- Załóżmy - ciągnął profesor - że to, co w chwili szczerości powiedział pan Lizie, dotarłoby do gestapo. Miałby pan kłopoty, prawda?

Być może. - Kloss nie tracił spokoju. Jednak prymitywny jest ten von Lipkę. Albo bardzo się spieszy, chce Pollerowi ofiarować jeszcze jeden prezent. A jednocześnie Kloss zrozumiał, że jeśli Poller wyraził zgodę na taką rozgrywkę, znaczy to, że nic o nim nie wie, niczego się nie domyśla.

A Artur Drugi, nie spuszczać wzroku z Klossa, mówił dalej:

- Mógłby pan uniknąć tych przykrości.

- Dostarczając nowych informacji, tak?

-Jest pan naprawdę pojętny, Kloss.

- Musiałbym wiedzieć, dla kogo przeznaczone są te informacje.

- Oczywiście nie dla pana przełożonych. - Profesor von Lipkę był już przekonany, że ma ptaszka w sieci. -Jako oficer Abwehry zdaje pan sobie chyba sprawę, że teraz nie ma już odwrotu. Zbyt dużo pan wie. I my zbyt dużo wiemy o panu.

Kloss patrzył na Lizę.

- Przesada - powiedział. Teraz zaczynała się rozgrywka. - Przesada - powtórzył. - Mielibyście mnie w ręku, gdyby informacja o dyslokacji trzeciego korpusu odpowiadała prawdzie. Mogę pana zapewnić, że nie odpowiada, ponieważ została wymyślona tu, na tej kanapie. Inne informacje też... - Teraz zwracał się do Lizy: - Chciałem się przekonać, Lizo, czy dobrze pracujesz dla Pollera...

-Ja przecież tego nie powtórzyłam Pollerowi! - krzyknęła Liza.

- Nie. Ty nie powtórzyłaś. Powtórzył on. - Spojrzał na Artura Drugiego. - Dla kogo pan właściwie pracuje? Dla Pollera czy dla wroga? Sądzę, że jednak dla Pollera. A ja nie lubię ludzi prowadzących podwójną grę... -Myślał jednocześnie: teraz już, jeśli Liza jest niewinna, musi zrozumieć. Zerwał się z krzesła i przycisnął dłoń Artura do powierzchni stołu.

- Strzelaj! - krzyknął Artur. - Na co czekasz? Strzelaj!

Liza strzeliła. Dwukrotnie. Tak jak uczył ją Artur, gdy rozkazał wykonać wyrok na Helenie. Nie myśląc, pamiętając tylko, że trzeba strzelać celnie.

Ciało Artura osunęło się na podłogę. Kloss wstał, schował rewolwer Artura do kieszeni. Zapalił znowu cygaro. Był bardzo zmęczony, marzył o odpoczynku, o godzinie snu, a tyle było jeszcze do zrobienia. Poller czeka na meldunek Lipkego... Należało zakończyć grę z Polle-rem, ustalić, czy przed domem jest obstawa i jak wydostanie się stąd Liza.

- Dziękuję ci, Lizo - powiedział. Ale ona stała ciągle przy drzwiach z bronią gotową do strzału.

- Stój - powiedziała bardzo cicho. - Sądysz, że stąd wyjdiesz?

Kloss patrzył na nią, nie rozumiejąc. Jeszcze się nie domyśliła? Biedna dziewczyna! To musiał być dla niej straszny szok. Należy przede wszystkim wysłać ją na odpoczynek.

- Oczywiście, że wyjdę - powiedział. - Przynajmniej mam nadzieję, że uda mi się wyjść. Ale najpierw pójdiesz ty. - Sięgnął znowu do kieszeni. - Posłuchaj uważnie. Pojedziesz na dworzec berliński, tu jest bilet pierwszej klasy, tu dokumenty na nazwisko generałowej Telhoff. Wracasz z Krakowa, gdzie odwiedzałaś męża w szpitalu. Tu masz kwit z przechowalni bagażu. Walizka i torba skórzana. W dniu torby dalsze instrukcje, pieniądze, rezerwowy paszport, gdybyś na jakiś czas musiała wyjechać na odpoczynek do Szwajcarii. Wszystko na ciebie czekało i do ostatniej chwili nie wiedziałem, czy będzie mogło być wykorzystane... - Popatrzył na nią. - No, nie stój tak, daj mi rewolwer, z tym będzie trochę kłopotu, bo powinienem strzelać z własnego, ale jakoś da się załatwić.

Ciągle nie rozumiała. Prawda docierała do niej powoli, wreszcie wybuchnęła płaczem i to było nareszcie szczere... Kloss podał jej chusteczkę.

- Wytrzymaj oczy. Zachowałaś się wspaniale. Teraz potrzebny nam spokój i zimna krew. Poller to nie von Lipkę.

Kloss podniósł słuchawkę i powoli nakręcił numer. Jak zareaguje tamten? Musi uwierzyć, nie ma innego wyjścia i nie może się nawet przyznać, że Artur był jego agentem. Chodzi jednak głównie o to, czy jest obstawa na dole.

Mówił nerwowo, tak jak powinien mówić człowiek, który przed chwilą zlikwidował agenta wroga. Meldował Pollerowi, że w mieszkaniu Lizy Schmidt nie zastał dziewczyny, oczekiwał go natomiast nie znany mu bliżej niejaki von Lipkę. Lipkę zaproponował jemu, Klossowi, współpracę z obcym wywiadem. Oczywiście zareagował ostro i podczas bójki zastrzelił tego człowieka.

Po tamtej stronie długo trwało milczenie.

- Dlaczego nie wziął go pan żywcem? - usłyszał głos Pollera.

- Podczas bójki - powtórzył Kloss - chciałem go ująć, ale on też miał broń. - Znowu czekał

długo na odpowiedź.

- Proszę zostać w mieszkaniu - usłyszał wreszcie. -Przyjadą moi ludzie i zajmą się ciałem. A panu należy się pochwała za lojalność i czujność. - W głosie Pollera nie było ironii.

Kloss odłożył słuchawkę.

- Lizo - rzekł - pójdziesz piętro wyżej i poczekasz, aż zjawią się tu ludzie Pollera. Potem opuścisz kamienicę.

- A ty? - zapytała z niepokojem.

- A ja odpocznę sobie przez ten czas. Ciebie zaczną poszukiwać dopiero za parę godzin, gdy nie zjawisz się w mieszkaniu. Będziesz już wtedy w Berlinie. - Pocałował ją. - Idź już, Lizo, idź już i bądź ostrożna. Mnie nic nie grozi.

Hauptsturmfuehrer Poller rozpoczął tymczasem przesłuchanie. Oddział specjalny gestapo aresztował w pensjonacie „Elisabeth” 27 osób. Żołnierze, którzy przyjechali na urlop, urzędnicy z Berlina, paru emerytowanych oficerów. Każdego przesłuchiwać trzeba przynajmniej godzinę. Minie jeszcze sporo czasu, zanim Poller przeżyje największe rozczarowanie w swojej dotychczasowej karierze. Ale nigdy nie przyjdzie mu na myśl, że jego przeciwnikiem w partii, którą przegrał, był Kloss, oberleutnant Abwehry na urlopie.

PODWÓJNA GRA

Gdy major von Gerollis powiedział, że za chwilę wprowadzą więźnia, Kloss poczuł, iż ogarnia go znowu lęk, wargi ma suche, ale przecież nie powinien teraz sięgnąć po szklankę z wodą. „Człowiek z polskiej siatki”. Nie, to nie może być Krystyna, Krystyna powinna wrócić dopiero wieczorem do Warszawy i wydaje się wręcz nieprawdopodobne, by zdjęli ją gdzieś w drodze.

- To jest właśnie błąd Kneisela - rzekł von Gerollis -nie ma nic gorszego niż zbyteczne aresztowanie. Dlatego postanowiłem, że pan zastąpi Kneisela w tej sprawie.

- Tak jest - powiedział tylko Kloss. Patrzył na drzwi. Czekał.

I jednocześnie, ponieważ przywykł już był do analizowania własnych niepokojów, rozważał, gdzie jest źródło lęków, które go dręczyły już od paru dni. Radiotelegrafista nie został aresztowany; zginął przypadkowo pod ciężarówką Wehrmachtu. Przekładkowo? Nie było rewizji w jego mieszkaniu, policja stwierdziła tylko, że nie miał rodziny, i pochowano go na koszt miasta. Żadnego zainteresowania władz niemieckich! Krystyna zameldowała, że radiostacja już działa, ale Kloss, na wszelki wypadek, kazał jej na pewien czas przerwać kontakty z „Aptekarzem”. I z radiostacją oczywiście. Czy o „Aptekarza” mógł być zupełnie spokojny? Nigdy z nim nie rozmawiał, widział go tylko przez szybę stojącego za apteczną ladą przy ulicy Chłodnej. Unikać wszelkich zbędnych kontaktów! - trzymał się tej zasady coraz konsekwentniej. Nie wolno nie doceniać przeciwnika, przeciwnik jest groźny i sprawny, a taki jak von Gerollis posiada jeszcze intuicję wywiadowczą. Bezpośredni kontakt z „Aptekarzem” wolno było Klossowi nawiązać tylko w sytuacji zupełnie wyjątkowej. A jeśli to „Aptekarz”? Kloss pozna go oczywiście, a on wie tylko, że otrzymuje informacje od J-23. Co wie jeszcze? Co wie od Krystyny? Może od Bartka? Tylko Krystyna widziała Klossa w mundurze, ale ona jest pewna, najpewniejsza... Najpewniejsza? Kto wytrzyma?...

Spojrzał na majora. Gerollis obcinał starannie cygaro i mogło się wydawać, że zapomniał o obecności Klossa. Gdy objął Abwehrstelle w Warszawie, wzywał każdego oficera na długą rozmowę. Klossowi poświęcił cały wieczór. Wysłuchał życiorysu, ale interesowały go głównie sprawy, które Kloss prowadził.

- Sprawia pan wrażenie zdolnego oficera - powiedział. I dość inteligentnego. Lubię z takimi pracować. Miewał pan sukcesy... ale... - popatrzył na Klossa - brak doświadczenia w grach wywiadowczych. Nigdy nie trzeba się spieszyć, panie Kloss.

Nie częstował koniakiem, nie pił, nie palił. Należał do tych, których Janek uważał za najbardziej niebezpiecznych. - Nic dla siebie - mówił. - Jesteśmy jak w zakonie rycerskim. Zabijamy, gdy to konieczne i pożyteczne, ale pozostajemy czysti. Czy pan to rozumie, panie Kloss?

Oficera, który podczas rewizji w mieszkaniu przywłaszczył sobie pudełko cygar, odesłał na front wschodni. Naprawdę wierzył w niemieckie posłannictwo? Gdy wyjmował monokl, miał puste, niewidzące oczy. Po bitwie stalingradzkiej wezwał do siebie oficerów. - Czy nie rozumiecie - zapytał, że klęska może być także wielka? Na miarę naszej wielkości! Ci, którzy zginęli idąc do

niemieckiego nieba, są tymi, którzy zwyciężą. Nie odczuwacie wielkiej radości śmierci i zniszczenia?

Był zawodowym oficerem Abwehry i pogardzał amatorami, ale swoim oficerom oświadczył: „Żadnych wewnętrznych wojen. Jeśli współzawodnictwo z gestapo, to tylko gdy służy sprawie”.

Kloss poświęcał wiele czasu analizowaniu jego charakteru i poczynań. Wiedział, że tym razem ma do czynienia nie z tępym żołdakiem, nie z cynicznym i sprzedajnym Brunnerem, ale z człowiekiem, którego niedocenywanie byłoby poważnym błędem. Jakże zazdrościł tym wszystkim, którzy z bronią w ręku walczyli na frontach i w partyzantce! Jego walka, z każdym dniem trudniejsza, wymagała nieustannej czujności; nigdy się nie zdradzić, nigdy nie wypaść z roli, spokojnie patrzeć na mękę i śmierć, na mordujących i torturujących oprawców noszących ten sam mundur, co on teraz.

Wreszcie otworzyły się drzwi i podporucznik Kneisel wepchnął do pokoju mężczyznę. Zameldował. Nie, to nie był „Aptekarz” ani nikt, kogo Kloss by znał. Twarz, niezbyt starannie obmyta z krwi, wyglądała strasznie. Spuchnięte policzki, pocięte wargi, ogromny guz na czole. Mężczyzna poruszał się z trudem; rękoma podtrzymywał spodnie, a strzęp marynarki wisiał na nim jak na niestarannie sporządzonym manekinie. Major von Gerollis spojrział na więźnia ze wstrętem; i z równym wstrętem na Kneisela.

- Niech pan siada, panie Toczek - powiedział. I rzucił w przestrzeń: - Dajcie mu szklanekę wody!

Toczek usiadł. Wydawało się, że nikogo z nich nie widzi. Był nieobecny, chciał być nieobecny, poruszał się właśnie jak manekin, jak ktoś, kto siebie samego wyłączyć chce z rzeczywistości.

- Po co to wszystko — powiedział Gerollis. — My, zawodowcy, powinniśmy inaczej ze sobą rozmawiać. Przegrał pan. Pracował pan w Arbeitsamcie pod nazwiskiem Toczek, ale to nie jest pana prawdziwe nazwisko. Nie, nie musi pan mówić... Mamy czas, bardzo dużo czasu. My i tak wiemy. I wiemy, że podpisywał pan swoje meldunki J-23”.

Toczek drgnął, jakby dopiero teraz zaczął słuchać, ale milczał.

- Może pan - ciągnął Gerollis - w każdej chwili stąd wyjść. Wystarczy tylko uznanie własnej porażki. To zdarza się zawodowcom. Jesteśmy jak zaciężni żołnierze; służymy lojalnie dokąd można, a potem zmieniamy front. Niech pan się zastanowi, Toczek. Wiem, że mówi pan świetnie po niemiecku. Nie trzeba tłumacza.

Toczek trwał zastygły w swym milczeniu.

- Śmieszna poza, panie Toczek. Nic więcej! Z kim, oprócz „Aptekarza” i telegrafisty, miał pan kontakty? To jedyne, czego od pana chcemy. Przysięgam - roześmiał się - że nie będzie żadnych areztowań! Kto o panu jeszcze wiedział? Przecież pan znał radiotelegrafistę! Pochylił się pan nad nim, gdy leżał na chodniku przejechany przez ciężarówkę. I chciał obszukać jego kieszenie... Nie, proszę nie przeczytać... Teraz pan wróci do celi i pomyśli. Pomyśli, co warto zrobić i ile warte jest życie!

Ile kosztowało Klossa, by żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy, gdy padło słowo: „Aptekarz"! Więc Gerollis wie! Więc trwa gra, od której odsunięto Klossa. Ani von Gerollis, ani Kneisel, z którym pijał przecież wódkę w kasynie, nic mu nie powiedzieli. Von Gerollis nie miał co prawda w zwyczaju informować oficerów o sprawach, którymi się nie zajmowali, ale... Może to przesłuchanie było także teatrem? Naprawdę sądzą, że schwytali wreszcie J-23? „Aptekarz" jest oczywiście pod obserwacją! Co wiedzą jeszcze? Wszystko o radiostacji? No i natychmiast pytanie podstawowe: kto zdradził? Kto... Toczka wyprowadzono.

- No i co pan osiągnął, Kneisel? - rzekł major zapalając nowe cygaro. - Mógł pan wszystko popsuć! Po co mi ten Toczek? I po co było to cholerne bicie? Mogliśmy go wypuścić, albo potraktować jak drobnego złodziejaska. Bezmyślność! Znaczne zwiększenie ryzyka, że gra może się nie udać! No tak... Giną wspaniałe tradycje Abwehry... Proszę teraz słuchać uważnie, Kloss... Mnie się udało - to „mnie" podkreślił z całym naciskiem - dokonać rozpoznania polskiej siatki. Nie, nie jest to całkowite rozpoznanie, ale stwarza możliwość gry. Co wiemy? Centralną postacią jest „Aptekarz", który przekazuje doradiostacji informacje uzyskane od agentów. Istnieje punkt zapasowy, na który zgłasza się w określonych terminach ich radiotelegrafista. Wszystkie szczegółowe dane ma Kneisel. Otóż udało nam się zdobyć informację niesłychanie ważną...

Kloss, słuchając, starał się tylko o to, by jego twarz nic nie wyrażała. Chłodna, obojętna twarz niemieckiego oficera, który przyjmuje nowe zadanie. Myślał ciągle o Krystynie. Nie, nie o sobie. O Krystynie i „Aptekarzu". Radiotelegrafisty nie widział nigdy; z zapasowego punktu nie korzystał. Ten, kto znał jego kryptonim, był albo od „Aptekarza", albo... Sam „Aptekarz"? Von Gerollis jest pewny, że Toczek to J-23. Dlaczego? I chciał go wypuścić? Czyżby nie miał żadnych wątpliwości, że gra się uda?

- Ważną informację - powtórzył tymczasem Gerollis... - Do bandyckiego oddziału „Bartka" przybywa, lub już przybył, wysłannik centrali. Stwierdzono zrzut w okolicach Biłgoraja, ściślej: między Biłgorajem a Ja-nowem nad Tanwią. Ten człowiek przybędzie do Warszawy, ma skontaktować się z J-23 i wykonać zadanie, którego treści nie znamy. Powinien się zgłosić na punkt zapasowy, nie u „Aptekarza", i tam otrzymać informacje. Natomiast „Aptekarz" powinien pośredniczyć między nim a J-23.

Skąd te szczegóły! ? Mógł pogratulować sobie intuicji, że zakazał Krystynie... Dlatego nie otrzymał żadnych informacji, żadnych poleceń! I co teraz? Co teraz można zrobić? Jak uprzedzić wysłannika centrali?

- Taka jest sytuacja - powiedział von Gerollis. - Chcę wysłuchać, zanim wydam rozkazy, propozycji panów. Kneisel!

- Jestem odsunięty - powiedział Kneisel. - Zgadzam się, że popełniłem błąd, ale czy mogłem pozwolić, żeby ten człowiek nam zniknął? To wyjątkowo niebezpieczny człowiek. Jego aresztowanie jest sukcesem. - Spoglądał na Gerollisa niemal błagalnie. - Teraz, gdy ich wysłannik przyjedzie, nie będzie mógł skontaktować się z J-23 i to natychmiast uczyni go podejrzliwym. Trzeba go zdjąć i zmusić do współpracy.

- Zmusić do współpracy! - roześmiał się von Gerollis. - A Toczka pan zmusił? Kloss!

- Nie mam wystarczających danych, by projektować grę - powiedział chłodno porucznik. Major spojrział na niego uważnie. - Co pan chce jeszcze wiedzieć?

- Po pierwsze: czy jesteśmy pewni, że aresztowany Toczek to J-23, i jakie mamy na to dowody?

- Ostatni meldunek, który udało nam się przechwycić - powiedział von Gerollis - zawierał dane dotyczące robotników wysłanych do Rzeszy i był sygnowany tym właśnie kryptonimem.

Więc znają szyfr! Tak, to była prawda; Kloss na żądanie centrali zgromadził odpowiednie informacje. Dlaczego nie zażądano ich od Toczka?

- Więc jest to dowód pośredni - rzekł. - Toczek miał dostęp do tych danych, ponieważ pracował w Arbeitsamcie.

- Pośredni - powtórzył major - ale dość przekonujący. Co jeszcze?

- Znamy szyfr - ciągnął Kloss. - Czy znamy także hasła punktów kontaktowych?

- Tak - powiedział major.

Kloss rozważał, czy wolno mu zadać następne pytanie: „Kto jest informatorem?” Wybrał rozwiązanie pośrednie.

- Jeśli tak, nasz informator musi być zorientowany w pracy całej siatki i mieć dostęp do radiostacji.

- Słusznie - rzekł von Gerollis i zawahał się. To wahanie trwało krótko, ale Kloss je zauważył. - Więc?

- W tej sytuacji - powiedział porucznik i z trudem przezwyciężył drżenie głosu - można zdecydować się na grę. Nasz informator może wyjaśnić przyczyny nieobecności J-23 i zastąpić go.

- Prawie dobrze, poruczniku - rzekł Gerollis. - Prawie dobrze. Jednakże to nie nasz informator zastąpi Toczka. Znalazłem kogoś lepszego.

Cóż bardziej niewłaściwego niż śmiech w takiej sytuacji! A przecież z trudem się powstrzymał: on, J-23, miał zostać przez kogoś zagrany! Przyszła mu do głowy nawet szaleńcza myśl, że to jego, Hansa Klossa, ma na myśli von Gerollis.

- Więc znalazłem - ciągnął major. - Jest to mężczyzna. wychowany w Bydgoszczy, znający świetnie polski, nasz stary współpracownik. Nieco nawet podobny do Toczka, przynajmniej z sylwetki, i jest w tym samym wieku. Już zaczął pracować w Arbeitsamcie. On zgłosił się do „Aptekarza” jako J-23. Mamy prawo przypuszczać, że Toczek z „Aptekarzem” bezpośrednio się nie kontaktował.

- Czy to także pewne? - zapytał Kloss. I ciągle rozważał: „Kto?” Kto, oprócz „Aptekarza” i Krystyny, wiedział, że takie były zasady konspiracyjne w ich siatce? Jeszcze „Bartek”... Ale „Bartek”

był poza wszelkimi podejrzeniami. Ktoś od niego? Nie, nieprawdopodobne. Ten człowiek musiał być tutaj, w Warszawie.

- Ryzyko jest nieuniknione - rzekł von Gerollis - ale rzecz polega na stworzeniu maksymalnych zabezpieczeń. I to będzie także pana rola, poruczniku Kloss. Bezpośrednie nadzorowanie pracy naszego J-23 oraz ciągła obserwacja punktów kontaktowych i radiostacji... Oczywiście radiostacja już dwukrotnie zmieniła miejsce i czas nadawania. To są także fachowcy, moi panowie. Dlatego do obserwacji trzeba przydzielić najzręczniejszych ludzi. Więc pan, poruczniku Kloss, będzie pracował w terenie, a kontakty z naszym J-23 należy utrzymywać wyłącznie poza tym gmachem. Jest już przygotowane konspiracyjne mieszkanie na Wilczej. Natomiast Kneisel spreparuje meldunki, które - uśmiechnął się - J-23 przekaże do swojej centrali. Odpowiednie materiały przygotowuje Oberkommando Wehrmachtu. Otwierają się przed nami, moi panowie, ogromne możliwości dezinformowania przeciwnika i kierowania pracą jego agentury. Lipkowsky, bo tak nazywa się nasz agent, któremu poruczamy najważniejsze zadanie odgrywania roli J-23, będzie musiał ustalić, jakie polecenie otrzymał ich wysłannik. Rozważymy jeszcze, czy wypuścimy go z powrotem, czy nie... W każdym razie ta gra powinna trwać jak najdłużej...

Stukot podkutych butów; *Halt!* wykrzywane przez dowodzącego patrolem. Szedł ciemnym wąwozem ulicy Hożej i ta Warszawa pogrążona w nocy, pozbawiona jakichkolwiek świateł, wydawała się szczególnie bezbronna. Dowódca patrolu wziął do ręki legitymację, zsalutował, ale spojrzał z pewnym zdziwieniem; oficer Wehrmachtu w cywilnym garniturku był jednak rzadkością. Ryzyko? Istniało zawsze, co chwila, ale nie mógł przecież do Krystyny iść w mundurze, a musiał ją zobaczyć tego dnia, od razu, każda godzina była ważna. Rzadko przychodził do niej. Umawiali się w rozmaitych punktach Warszawy, a niekiedy, niezbyt zresztą często, wstępował do Zakładu Fotograficznego na Piwnej, gdy zastępowała swego stryja, właściciela tej firmy. Myślał o niej sprawdzając jednocześnie, czy nikt go nie śledzi. Ulica była pusta; przystawał w bramach zapalając papierosa i czekając. Czy mogło wydawać się prawdopodobne, by von Gerollis cokolwiek podejrzewał? Nonsens! Nie włączałby go do gry... Dlaczego jednak nie podał nazwiska informatora? Ostrożność? Nawyk? Chęć zachowania tylko dla siebie pełnej kontroli nad sytuacją? Więc kto był informatorem? Musiał wykluczyć Krystynę, wykluczyłby ją zresztą w każdym wypadku, nawet wówczas, gdyby już sam siedział w podziemiach na Szu-cha. Wiedział, choć sam przed sobą starał się tę wiedzę ukrywać, że ta dziewczyna go kocha. Nie tała tego zresztą; każdym gestem, każdym spojrzeniem wyrażała troskę, niepokój, oddanie... A on? Czy człowiek istniejący nieustannie podwójnie, grający rolę w najokrutniejszym ze wszystkich widowisku teatralnym, może sobie pozwolić na miłość? Na płynące stąd ryzyko? Na płynącą stąd słabość?

Teraz musiał jej znowu wyznaczyć zadanie trudne i niebezpieczne. Nie miał do dyspozycji nikogo innego i nikomu innemu nie mógł wierzyć. Myślał przez chwilę o „Aptekarzu”, ale odrzucił tę możliwość. Postanowił wysłać Krystynę do „Bartka”; powinna jechać następnego dnia, w Zwierzyńcu skontaktować się z łącznikiem, dotrzeć do dowódcy oddziału i tylko jemu przekazać informację od Klossa. Wiedział, że będzie się o nią bał i że tak musi być. Jeszcze jedno uważne spojrzenie za siebie i wszedł do bramy. Krystyna mieszkała w oficynie, godzina policyjna już minęła, była więc szansa, że nie spotka nikogo na schodach.

- To ty - powiedziała. - Jesteś! - Jakby bez zdziwienia, jakby w jego wizycie o tej porze nie było nic niezwykłego. Miała małeńki pokoik i kuchenkę we wnęce korytarzyka. Niemal pedantycznie czysto i porządnie: dywanik na podłodze, tapczan przykryty kolorową narzutą, fotografia rodziców na stoliku nocnym. Jej ojciec był w Oświęcimiu i od czasu do czasu otrzymywała listy.

„Wytrzyma, mawiała, musi wytrzymać. Nie masz pojęcia, jaki to silny człowiek, taki jak ty”. Rzadko wspominała matkę; umarła, gdy Krystyna miała dwanaście lat i pamiętała tylko, że ciągle chorowała, a ojciec musiał robić wszystko: zarabiać, gotować, wychowywać...

- Musisz jechać do „Bartka” - powiedział. - I musisz do niego dotrzeć. - Tłumaczył jej sucho, precyzyjnie, a ona, słuchając, nalewała herbatę, krajała chleb i jakąś kiełbasę przywiezioną z podgrójeckiej wsi. Więc chodzi o to, żeby tylko „Bartkowi”... Należy zapasowym szyfrem przekazać centrali pełną informację o sytuacji. Jeśli człowiek stamtąd jest jeszcze u „Bartka”, istnieje szansa podjęcia gry. Wolno mu kontaktować się tylko z nią, Krystyną. Być może... tak, ten pomysł przyszedł mu dopiero teraz do głowy, należy go zastąpić kimś innym, kimś zaufanym z oddziału „Bartka”...

Niemcy podstawiają J-23, dlaczego zamiast wysłannika z centrali nie podstawić im kogoś innego? Ten ktoś zniknie, gdy von Gerolhs postanowi kończyć grę... Oczywiście ogromne ryzyko, ale szansa odpowiedzi dezinformacją na dezinformację. Wysłannik centrali wykona powierzone mu zadanie... Nie, rozważał, to chyba zbyt ryzykowne... i w jakimś stopniu...

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Co chcesz powiedzieć? - zapytała. - Że wszyscy ludzie z naszej siatki są wtedy skazani?

- Są skazani - rzekł - jeśli nie ustalimy, kim jest informator Gerollisa. Kto zdradził? -I zapytał o to, o co nie pytał nigdy. - Co wiesz o „Aptekarzu”?

- On mnie wciągnął do roboty - powiedziała. - Znał mojego ojca i gdy ojca zamknięto, zaczął przychodzić, pomagać... Lubię go. Wydaje się chłodny, ale to tylko pozór. Jest samotny, nie dba o siebie. Mieszka nad apteką, w małym pokoiku, parę razy u niego sprzątałam, bo już nie mogłam patrzeć... Jakby nie obchodziło go nic, co osobiste... Są tacy ludzie. Ta maleńka apteczka należała do jego brata, który zginął we Wrześniu. Obaj chodzili na farmację... Dochody ma żadne, bo wiem, że ludzie często dostają od niego lekarstwa bezpłatnie. Co jeszcze...

- Sądzisz, że mógł...

- Zdradzić? - Spojrzała na niego swymi dużymi oczyma. - Czasami myślę, że każdy... jeśli nie wytrzyma bólu... Ja się okropnie boję bólu... Ale on ma cyjanek. I ja też mam - szepnęła. - Dlatego czuję się spokojna i bezpieczna. Ale wiem, że o mnie nic by nie powiedział.

-Dlaczego?

- Bo wiem.

- Co mówił o mnie?

- Niedużo. Dał zadanie. Powiedział, że do Warszawy przyjechał człowiek bardzo ważny... że będę łączniczką... sposób kontaktu... Wiesz zresztą. Zapytałam kiedyś, dlaczego on nigdy bezpośrednio z tobą... Spojrzył na mnie, jak to on umie: „Nie należy czynić niczego, co zbyteczne”.

- Co wiesz o radiotelegrafście? Tym, który zginął pod ciężarówką?

Uśmiechnęła się.

-To był wesoły, młody chłopak. „Bartek” go przysłał. Bardzo go lubiłam. Ludwik, to znaczy „Aptekarz”, posłał mnie parę razy do niego...

- Na ogół nie posyłał?

-Nie. Oddawałam mu twoje meldunki, a w jaki sposób przekazywał je do radiostacji, nie wiem. Ale zdarzyło się kiedyś, że dał mi adres i hasło... Może coś nawaliło? Ten chłopak mieszkał na Pradze w pokoiku za warsztatem szewskim. Miałam zapytać o Tadka. Spotkaliśmy się kiedyś

wieczorem i poszliśmy na herbatę. Trochę się do mnie zalecał... Śmieszne! Wbrew zasadom konspiracji...

- Wiesz o punkcie zapasowym?

-Nie.

Z pewnością mówiła prawdę.

- „Aptekarz” nie wspominał?

- Nigdy.

-I jeszcze jedno - powiedział. - Czy kiedykolwiek...

- Wypij herbatę i coś zjedz - przerwała.

- Za chwilę. Czy kiedykolwiek mówił ci „Aptekarz” o nowym radiotelegrafiście?

- Ludwik... mówił niewiele. Wiesz zresztą, że byłam u niego tylko raz, po śmierci Tadka. Kazałeś mi przerwać kontakty i nie wiem, co on myśli... To okrutne. Powiedział, że jest nowy człowiek przysłany stamtąd.

-Powiedział: „stamtąd”?

-Tak.

-Jakie hasło obowiązuje teraz u „Aptekarza”?

Spojrzała na niego z pewnym zdziwieniem. - „Mam receptę od doktora Wibery. To lek, o który pytał już telefonicznie”. I odpowiedź: „Wiem. Udało mi się dostać. Ta dawka jest nieco mocniejsza”. „Uprzedzono mnie”. Wyrecytowała to wszystko bardzo szybko.

- Byłaś kiedyś w aptece, gdy ktoś zjawił się z tym hasłem?

- Tak - szepnęła.

-Kto?

- Mężczyzna w średnim wieku, nieco toporny. Wręczył „Aptekarzowi” receptę...

- Czy mówi ci coś nazwisko „Toczek”?

-Nie. Kto to jest?

- Ktoś już aresztowany...

- Przecież - powiedziała - my musimy go ostrzec. Wiedział, że chodzi o „Aptekarza”.

- A radiotelegrafista - ciągnęła. - Chcesz ich zostawić Niemcom? Teraz, gdy już wiedzą? A ten... zapasowy?

- Nic nie rozumiałaś - szepnął Kloss. - Nikogo nie możemy ostrzec, bo nie mamy żadnej pewności. Musimy ciągnąć...

- Grę! - Wymówiła to słowo niemal z pogardą. Ale my nie gramy w ciemno, a Ludwik myśli, że wszystko jest w porządku.

- Powinien się zastanowić, dlaczego ty się nie zjawiasz...

- Ja... - szepnęła - telefonowałam do niego. Kloss zerwał się z krzesła.

- Prosiłem cię...

- Nie mogłam inaczej... Powiedziałam, że jestem chora, ale nie potrzebuję pomocy... Chyba...

- Zrozumiał, że coś nie tak?... On wie, gdzie ty mieszkasz?

- Wie.

- Jesteś tu po raz ostatni. Jeśli już nie jest za późno... Wrócisz od „Bartka” i wyjedziesz na wieś, do tej swojej ciotki pod Grójec...

- Mogę zamieszkać u Alicji na Sniadeckich. Ona znowu wyjeżdża, do Krakowa i... - Wydawała się teraz posłuszna.

Kloss zgasił światło i otworzył okno. Podwórze-stud-nia było puste. „On by o mnie nic nie powiedział. W żadnej sytuacji” przypomniały mu się słowa Krystyny. Czy jest jeszcze coś, czego o niej nie wie?

Usiadła na tapczanie. Wydawała się bardzo bezradna. Nie podniosła oczu, gdy podszedł do niej.

- Zostaniesz? - zapytała cicho. - Zostań! Przecież nic nie musisz mówić. Nic, zupełnie nic...

Oczekiwanie jest najgorsze. Krystyna wyjechała rannym pociągiem lubelskim, a Kloss rozpoczął działania przygotowawcze.

Z Lipowskim, agentem, który miał grać rolę J-23, spotkał się już w konspiracyjnym mieszkaniu na Wilczej. Był istotnie podobny do Toczka, dłoń, gdy podawał ją Klossowi, miał nieco wilgotną, a odznaczał się pewnością siebie budzącą od razu niechęć.

- Proszę mi wierzyć, panie oberleutnant, że nie nawalę. Znam dobrze Polaków. Będę takim

J-23 jak prawdziwy. W Bydgoszczy przed wojną byłem urzędnikiem magistrackim, należałem do OZON-u i jak zobaczyli mnie w mundurze SS, nie chcieli uwierzyć...

Kloss w milczeniu wysłuchał tych przechwałek, a potem chłodnym tonem udzielał instrukcji. U „Aptekarza” rzekomy J-23 zjawi się dopiero wówczas, gdy otrzyma od Klossa sygnał. „Aptekarz” powinien, jeśli wszystko dobrze pójdzie, dać mu adres, pod którym spotka wysłannika polskiej centrali. I co wieczór ma się meldować tu, na Wilczej, i składać relacje.

- Nabraliśmy tych Polaków koncertowo - powiedział Lipowsky i usprawiedliwił się natychmiast. - Wiem, że pan oberleutnant zna polski, a oni tak mówią...

Kloss nie słuchał. Rozwagał ciągle podstawowe pytanie: „Kto?” Od kogo von Gerollis ma się dowiedzieć, że wysłannik centrali już przybył? Od „Aptekarza”? Lipowsky mógłby się wtedy u niego nie zjawiać. Znacznie bardziej podejrzany wydał mu się punkt zapasowy. Miał szczęście, że nigdy z niego nie korzystał. Znał hasło, wiedział, że jest to gabinet lekarski i że człowiek, który tam pracuje, należy do najbardziej doświadczonych. Dlatego zapewne wysłannika z centrali skierowano do niego, a nie do „Aptekarza”... Kto jeszcze wchodził w rachubę? Jakimi łącznikami rozporządzały oba punkty? A radiotelegrafista? Człowiek „stamtąd”. Kiedy go przerzucono? Najważniejszy był teraz kontakt z „Bartkiem” i niczego nie można było przedsięwziąć przed powrotem Krystyny. Należało natomiast wykonywać ściśle polecenia von Gerollisa. Major przydzielił Klossowi doświadczonych, mówiących po polsku, wywiadowców, którzy mieli obserwować aptekę, gabinet lekarski na Targowej i radiostację, mieszczącą się teraz w piwnicy na Wolskiej. Cała organizacja była pod kontrolą Gerollisa i Kloss zdawał sobie sprawę, jak trudne i ryzykowne jest każde, dające się wyobrazić, przeciwdziałanie.

Nie spieszyć się, myślał, zachować zimną krew. Jeśli Krystyna dotarła do „Bartka”, centrala już wie, że każda informacja stąd może pochodzić od wroga. Gerollis nikogo nie zamknie, póki nie ustali, z jakim zadaniem przyjeżdża wysłannik. Nie wolno dopuścić, żeby ustalił, trzeba mu więc podpowiedzieć nieprawdziwe. Jakie? Myślał o tym ciągle słuchając raportów wywiadowców, oglądając robione z ukrycia fotografie osób odwiedzających aptekę i gabinet lekarski, które wydały się szpiclom podejrzane. Myślał o tym także podczas rozmów z Gerollisem.

Major był pewny siebie i całkowicie spokojny o wynik akcji.

- Kneisel - powiedział - przygotowuje już meldunki, które J-23 przekaże „Aptekarzowi”.

- Mam ciągle wątpliwości - rzekł Kloss - czy „Aptekarz” się nie zorientuje...

- Nie podoba się panu Lipowsky? - zapytał major.

- Jest niezły - mruknął Kloss. - Ale skąd pewność, że „Aptekarz” nie widział nigdy J-23! Jeśli porozumiewał się z nim za pośrednictwem łącznika, musi to wzbudzić jego podejrzenia...

- Łączniczka mogła zachorować - oświadczył major powtarzając dokładnie to, co Krystyna powiedziała w telefonicznej rozmowie z „Aptekarzem”. I mówił: „łączniczka!” - Mamy też - dodał natychmiast - także inne sposoby dotarcia do nich.

Jakie? Milczał, a von Gerollis zaproponował filiżankę kawy. Kawa była jego pasją i właściwie tylko u niego można było wypić prawdziwą. - Pan ma do mnie pretensję, oberleutnant - rzekł - że nie wprowadzam pana we wszystkie szczegóły. To stara i wypróbowana metoda. Pańskie obserwacje będą dla mnie dzięki temu wartościowsze. Będzie pan z równą starannością obserwował wszystkich.

- Być może - mruknął Kloss.

- Ich wysłannik jeszcze nie przybył - ciągnął von Gerollis. - Jak pan sądzi, jakie ma zadanie? Tylko sprawdzenie siatki? Akcję dywersyjną? Od paru lat interesuje mnie sprawa, którą zajmowałem się jeszcze w trzydziestym dziewiątym... Dokumenty polskiej dwójki. Wie pan, że część udało mi się znaleźć... Sądzę, że mogli je ukryć w rozmaitych miejscach. I nie tylko my ich szukamy...

Dokumenty dwójki! Nie nazbyt naiwne! Dlaczego nie pomyśleli o tym dotychczas? Na przykład: raporty wywiadowcze sprzed Września... Buchalteria... Wykazy sum przekazywanych agentom działającym na terenie Niemiec... Można by wprowadzić sporo zamieszania. Czy istnieje taka szansa?

Kloss miał w Warszawie jeden kontakt, o którym nie wiedziała nawet centrala. Przynajmniej dotychczas nie meldował. Stary pracownik dwójki, specjalista od produkcji wszelakich dokumentów; ukrywający się pod cudzym nazwiskiem, nie związany z konspiracją. Był jego dalekim krewnym, przyjacielem ojca, a Janek wyciągnął go kiedyś z łapanki na Marszałkowskiej. Nie powinien był tego robić, ale widok starego człowieka, kulącego się z przerażenia pod wzrokiem żandarmów, skłonił go do działania, zanim zaczął myśleć. „Ten człowiek jest mi potrzebny” - powiedział. Potem tego żałował, wiedział przecież, że nie wolno mu podejmować takiego ryzyka, ale stary człowiek o nic nie pytał i zachowywał się tak, jakby widok Hansa Klossa w mundurze uważał za rzecz całkowicie normalną. Mieszkał na Mokotowskiej, niedaleko Wilczej i Janek wybrał się do niego po cywilnemu, na Wilczą, do konspiracyjnej kwatery Abwehry nie przychodził zresztą nigdy w mundurze. Pili cienką herbatę, siedząc w pokoju pełnym książek i starych fotografii.

- Zajmuję się czasem retuszem fotografii - mówił stary człowiek - a niekiedy... - Machnął ręką. - Trzeba z czegoś żyć.

Gdy Kloss wyłuszczył, o co mu chodzi, pan Henryk, bo tak się teraz nazywał i nosił nazwisko

Szmidt, wstał i drobnym kroczkiem spacerował po pokoju. - Żeby wiarygodnie... - mruknął. - Można wiarygodnie, choć autentyczni specjaliści... Niezły pomysł... W dwójce było zbyt dużo biurokracji... Ja się bałam tych notatek chowanych nie wiadomo po co... Wiesz, że części nie zdążyli spalić. Kto mógł, to wynosił, więc mogło się zdarzyć... Przepięstwo, cholera... Tylko musisz mi podać trochę nazwisk... Niech poprzęsłuchują... Nie chcę wiedzieć, dla kogo pracujesz... Nic mnie to nie obchodzi... Nic mi nie mów... Dobrze by było wypić coś mocniejszego.

Kloss był na to przygotowany.

Umówił się z Krystyną, że natychmiast po powrocie wystawi w witrynie Zakładu Fotograficznego na Piwnej zdjęcie dziewczyny w krakowskim stroju. I między czwartą a szóstą codziennie będzie czekała zastępując stryja. Zdjęcie pojawiło się dopiero po pięciu dniach. Stał przed wystawą i wreszcie odzyskał spokój. Więc Krystynie się udało! Teraz wysłał ją natychmiast na wieś i wyłączył z tej gry... Przez szybę widział wnętrze zakładu. Dwóch niemieckich żołnierzy odbierało właśnie zdjęcia. Oglądali je, wybuchali głośnym śmiechem, a któryś z nich poklepał Krystynę po ramieniu. Wreszcie wyszli i przemaszerowali przed Klossem krokiem defiladowym.

- Przygotowałam już zdjęcia pana oberleutnanta - rzekła Krystyna, gdy wszedł i uśmiechnęła się. Spojrzała na ulicę przez szybę wystawową, a potem wywiesiła na drzwiach kartkę z napisem „Chwilowo nieczynne”. Wciągnęła Klossa do ciemnego pomieszczenia. Na kanapce siedziała kobieta niewiele od niej starsza, o jasnych, gładko uczesanych włosach. Stał, zaskoczony, na progu.

- To jest wysłannik centrali - zaczęła Krystyna, a kobieta podeszła do Klossa. - Porucznik Wanda - rzekła. -Przynoszę ci pozdrowienia od Niemojewskiego.

- Dziękuję Wackowi - rzekł mechanicznie Kloss. -Moje podwórze jest czyste jak dawniej.

- Wiem już wszystko albo prawie wszystko - rzekła Wanda. Głos miała cichy i oschły. Od razu odniósł wrażenie, że należy do kobiet ceniących słowa. - Wczoraj otrzymaliśmy decyzję: podjąć grę z Niemcami.

Kloss usiadł na wąskim krzeselku i zapalił papierosa.

-Jak to rozumiesz?

- Powstaje możliwość dezinformacji przeciwnika, która w tej chwili może mieć istotne znaczenie. - Odniósł wrażenie, że powtarza niemal dosłownie polecenia centrali. - Będą żądali - po raz pierwszy coś w rodzaju uśmiechu przecięło jej twarz - od J-23 informacji, które powinny zdezorientować Niemców, co do kierunku zamierzonego natarcia.

- Rozumiem - powiedział Kloss.

- To oczywiście nie wszystko - ciągnęła. - Należy za wszelką cenę zdemaskować zdrajcę. O momencie przerwania gry musimy decydować sami.

- To też rozumiem - powtórzył, choć sam, nie wiedząc dlaczego, czuł, że te decyzje wywołują w nim wewnętrzny, niechciany opór. Przecież po to są w końcu, żeby walczyć, a jeśli to niezbędne - ginąć. -Jak to sobie wyobrażasz praktycznie?

-Ja muszę wykonać zadanie, jakie mi powierzono.

-Jakie to zadanie?

Chwilę milczała. - Mam rozkaz poinformować ciebie, ale tylko ciebie. Krysia wstała.

- Ja pojmuję - rzekła cicho - że nie powinnam zbyt dużo wiedzieć. Szczególnie teraz, gdy mam taką... ważną rolę.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- W Warszawie - powiedziała Wanda, gdy Krysia już wyszła - w każdym razie najprawdopodobniej w Warszawie, ukrywa się profesor Borecki, który pracował przed wojną nad problemami samosterowania rakiet. To pionierskie próby. Mam go stąd zabrać, rozumiesz? A dlatego ja - dodała - że byłam jego uczennicą i asystentką na politechnice. Wiem, gdzie go szukać, i może wiem, jak go przekonać.

-Mieszkałaś w Warszawie?

- Moi rodzice pochodzą z Łucka i tam zastała mnie wojna. Brałam udział w ruchu w Warszawie... W czterdziestym zostałam aresztowana, wywieziona do łagru. - Zwolniono mnie po wybuchu wojny i trafiłam tam, gdzie powinnam być, do Polskiego Wojska. Uznano, że nadaję się do tej roboty...

„Nadajesz się” - pomyślał. - „Jesteś ostrożna i chłodna”.

- Więc jak to sobie wyobrażasz? - powtórzył pytanie.

- Nie ja, centrala. Aprobowano także moje pomysły. Krysiu! - zawołała - możesz wracać. - Więc Krystyna zjawi się w punkcie zapasowym jako łącznik, zamiast mnie.

Zerwał się z krzesła.

- Czy zdajecie sobie sprawę...

- Omówiliśmy to już dokładnie - rzekła Krystyna. - Spodziewałam się twojego oporu...

- To jest decyzja - powtórzyła sucho Wanda. - Poinformowano mnie, że Krysia nigdy nie była w punkcie zapasowym...

- Nie wiemy, kto zdradził. Nie wiemy, czy donosiciel nie widział Krysi, choćby u „Aptekarza”. Ryzyko jest zbyt duże!

- Będzie się kontaktowała wyłącznie z tym niemieckim szpiclem odgrywającym rolę J-23. Jeśli Abwehra postanowi dokonać aresztowań, ty powinieneś wiedzieć przynajmniej parę godzin wcześniej.

- A jeśli Gerollis mnie nie poinformuje...

- Mało prawdopodobne - rzekła Wanda. - Będziesz przecież kontrolował robotę agentów. „Bartek” przydzielił nam zdolnego chłopca, który kursuje ciężarówką z Lublina do Warszawy. Teraz

będzie w Warszawie; pracuje w niemieckim przedsiębiorstwie...

Kloss spacerował po pokoju. Chłodno rozważał sytuację. -Należało znaleźć jakąś inną, nie znaną tutaj dziewczynę - mruknął.

- Nie było wyboru. Nikogo, kto by się nadawał.

- A ty - zwrócił się do Krysi - chcesz podjąć się tej roli?

-Tak.

- Tak! Tak! Pachnie mi to amatorszczyzną -burknął. - Mamy do czynienia z mądrym i chytrym wrogiem...

- Nie przeceniasz ich? - zapytała Wanda. A potem nagle nieco innym tonem: - Przecież ja rozumiem, ale jeśli sama nawiążę kontakt z tym... J-23, nigdy nie znajdę Boreckiego... Ty musisz wymyślić jakieś zadanie, które ma rzekomo wykonać wysłannik centrali.

- Już wymyśliłem - mruknął Kloss i powiedział, co przygotowuje.

- A ten dwójkarz to pewny człowiek? - zapytała Wanda.

- Fachowiec - rzekł Kloss. - Nasza dwójka była dobrą szkołą.

Wydawało się, że Wanda chce coś powiedzieć, ale milczała.

Sporo należało uzgodnić. Postanowiono, że Wanda zamieszka na Śniadeckich, u przyjaciółki Krysi, która właśnie wyjechała z Warszawy. Kwaterę Krysi, jako wysłannika centrali, musi wyznaczyć lekarz z punktu zapasowego. Kontakt z Wandą mógł być więc łatwy, natomiast Krysia, od momentu nawiązania kontaktu z rzekomym J-23, będzie pod nieustanną obserwacją agentów Abwehry. Ściślej: agentów, którzy będą składać meldunki Klossowi. Sam przed sobą nie chciał przyznać, że jednak fascynowała go ta gra; jej podwójność kryła w sobie mnóstwo pułapek. Jak ich uniknąć?

- Pamiętajcie - powiedział - że oszukujemy nie tylko Niemców. Oszukujemy tych członków siatki, którzy pracują uczciwie i nie domyślają się, że działają pod okiem Abwehry.

- Myślę o Ludwiku - szepnęła Krysia.

- Czy możemy inaczej? - zapytała Wanda. - Czy w pracy wywiadu możesz kierować się jakimikolwiek sentymentami lub względami moralnymi?

- Istnieją - rzekł Kloss - takie słowa jak lojalność... Oświadczam ci, że w momencie, gdy zdemaskuję zdrajcę i uznam, że ryzyko jest zbyt duże, zwinę siatkę, zanim Gerollis... W każdym razie - dodał - zrobię wszystko, by tak właśnie uczynić.

- Jak? - szepnęła Wanda.

- Jeszcze nie wiem - mruknął. - Trzeba pamiętać, że w takiej grze nie wszystko można przewidzieć. A ty -zwrócił się do Krysi i znowu ogarnęła go złość, że musiał zgodzić się na powierzenie jej takiego zadania - pamiętaj, że będziesz nieustannie śledzona. A ja muszę mieć z tobą kontakt; to bardzo trudne. - Znowu spacerował po pokoju. - Posłuchaj: dam ci numer mieszkania Abwehry na Wilczej. Musisz go zapamiętać; jeśli będziesz pewna, że ich zgubiłaś, a mnie to potwierdzi meldunek agenta, pójdziesz do swego mieszkania na Hożej. I ja tam przyjdę.

- Zbyt ryzykowne — powiedziała Wanda. — Jeśli zdradza „Aptekarz”, mieszkanie jest pod obserwacją.

- Ludwik nic by nie powiedział o mnie - powtórzyła Krysia.

- Za każdą naiwność trzeba płacić. - Wanda wyjęła z torebki paczkę rosyjskich papierosów.

- Błąd - rzekł Kloss. - Zniszcz je natychmiast. Albo -szepnął - daj Krysi... Niech poczęstuje nimi Lipowsky'ego.

Pojechała na Targową późnym popołudniem, z lekką walizką w rękę, tak jak kazał jej Kloss. Pakowali tę walizkę razem, a Janek oglądał uważnie każdy przedmiot, każdą szmatkę... Lipowsky, tłumaczył, na pewno znajdzie możliwość przejrzenia jej rzeczy. Nic nie powinno budzić podejrzeń, oczywiście, nie powinno być niczego rosyjskiego, ale doskonałość także bywa podejrzana. Warto więc, na przykład, zachować kratkowany zeszyt, który może pochodzić stamtąd. Także notes. Oczywiście: żadnych notatek, ale jednak... godziny odjazdu pociągów z Warszawy do Lublina i Zwierzyńca. Zbyt nachalne? Nie... zupełnie prawdopodobne. Przyjechałaś o godzinie 15.30, pociąg spóźnił się w stosunku do rozkładu... Sprawdź to na dworcu.

Sprawdziła na Wschodnim i tutaj, tak jak jej polecił, wsiadła do tramwaju. Przejechała przystanek, na którym powinna była wysiąść, i szła powoli piechotą, w tłumie gęstym tego lata na Targowej, przystając przed wystawami. Rozejrzała się dookoła wchodząc do bramy, do której przytwierdzona była tabliczka „Dr Andrzej Sieradzki. Choroby wewnętrzne, przyjmuje od 13 do 18”. Czowała mocne bicie serca wchodząc na drugie piętro. Kim jest ten lekarz? Gdybyż mogła wierzyć, że to nie on informował Gerollisa!

Drzwi były otwarte. Weszła do poczekalni, ciemnej, źle oświetlonej; siedziała tu tylko starsza kobieta z robótką w rękę. Pracowicie dłubała szydełkiem i nie podniosła nawet oczu. Jak powinna zachowywać się dziewczyna „stamtąd”, myślała ciągle Krysia. Tajemniczo? Szczerze? Z niepokojem? Z zaufaniem? Może właśnie nie należy okazywać zbyt dużego zaufania?

Gabinet lekarski opuścił starszy mężczyzna i na progu stanął doktor Sieradzki. Niski, dość otyły; biały fartuch miał rozpięty, a grube okulary opadały mu na nos. - A, pani Białowiczowa - powiedział. - Znowu babcię bolą nerki? Chodź, babciu, zobaczymy.

Głos miał przyjemny, nieco ochrypy. W jego powierzchowności nie było nic, co mogłoby go kojarzyć z pracownikiem wywiadu.

- A pani nigdy jeszcze me widziałem — zwrócił się do Krysi. - Trzeba będzie trochę poczekać, babcię muszę zbadać dokładnie.

Więc czekała. Nikt więcej nie przychodził, widać doktor Sieradzki nie miał zbyt wielu pacjentów. Postanowiła, że nawet zupełnie sama będzie zachowywać się tak, jak dziewczyna „stamtąd”. Z ogromnym zainteresowaniem zaczęła więc przeglądać rzucone byle jak na stolik numery „gadzinówki”. Przypomniała sobie, z jakim zdziwieniem Wanda słuchała informacji „Bartka” o sytuacji w Polsce. Oni tam nic o nas nie wiedzą, pomyślała. Jak będzie wyglądała Polska potem? I natychmiast przyszło jej do głowy, że zapewne nigdy tego nie zobaczy.

Starsza kobieta opuściła wreszcie gabinet. Krysia wzięła swoją walizkę i weszła do niewielkiego pokoju. Doktor Sieradzki siedział przy małym stoliku i notował coś pilnie.

- Rozbierz się, dziecko - mruknął - i zaraz pogadamy. Stała dalej na progu, wtedy spojrzał na nią

i poprawił okulary. Wyrecytowała hasło. Podwójne.

- Doktor Górski prosił pana o konsultację. Przynoszę pozdrowienia od Niemojewskiego. Zerwał się z krzesła.

- Dziękuję Wackowi za pozdrowienia - wychrypiał. - Moje podwórze jest czyste jak dawniej. - I roześmiał się. - Mój Boże, dziecko, czekaliśmy na ciebie... ale do głowy mi nie przyszło, że to będzie młoda dziewczyna.

-Jestem porucznik Wanda - powiedziała Krysia.

-Już porucznik! Kiedy przyjechałaś? Dzisiaj, pociągiem... „Bartek” powinien ci dać obstawę... Nie dał? Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Było dwóch chłopaków - rzekła wreszcie - i pojechali z powrotem.

- A ty znasz przynajmniej Warszawę? To dla ciebie musiał być szok: zobaczyć Polskę pod okupacją... Ale pogadamy później...

Był bardzo ruchliwy i ciągle mówił. Zamknął drzwi poczekalni... „już nikogo dzisiaj” i wprowadził ją do sąsiedniego pokoju, który był jednocześnie stołowym i salonem. Nad starą kanapą wisiał portret kobiety, która kiedyś musiała być bardzo ładna. Duże ciemne oczy, niemal żywe, wydawały się smutne i zmęczone. - To moja żona - powiedział cicho. - Parę miesięcy przed śmiercią. Może lepiej... - I natychmiast zaczął się krzątać, posadził Krysę na krzesło, z kredensu wyciągał kieliszki, talerze, butelkę, pobiegł do kuchni, oświadczając, że on sam, że żadnej pomocy... Przyniósł jajecznicę, kiełbasę, świeże wiejskie masło.

- Pacjenci - oświadczył rozlewając wódkę i z przyjemnością przyglądał się, jak jadła. A ona jadła, choć wcale nie była głodna, ciągle tylko myśląc, czy zachowuje się właściwie i czy to możliwe, żeby ten człowiek...

- Musisz mi opowiedzieć, jak tam jest, jak nasze wojsko, ale to potem. Nie gniewaj się, jestem ciekawy, wszyscy jesteśmy cholernie ciekawi i czekamy. Czy możesz sobie wyobrazić, jak bardzo niecierpliwie jest już nasze czekanie... Każdy robi, co może, żeby przyspieszyć...

Ty myślisz pewno, że ja trochę wbrew zasadom konspiracji. Masz rację. Czasem mnie śmieszają te hasła, te kryptonimy... Nie mogę ze śmiertelną powagą... Nie, żebym się nie bał. Wszyscy się boją, dziecko, ale ja zawsze miałem szczęście... Widzisz, mój ojciec siedział przed wojną, a ja kończyłem medycynę i już konspiro-wałem. Tak... Taka była we mnie pewność, że trzeba przebudować świat. Przypomniała sobie styl Wandy.

- To miłe - rzekła - że mnie... doktorze - i zawahała się - przyjmujesz tak ciepło. Chciałabym jednak przejść do rzeczy.

- W porządku, poruczniku — uśmiechnął się. — Dokument dla ciebie będzie przygotowany w ciągu jutrzejszego dnia. Sądziłeś, że to będzie mężczyzna, i stworzyłeś już legendę: mój kuzyn, volksdeutsch z Krakowa. Będzie kuzynka. Na czwartym piętrze jest pokój, który zajmowała moja

pacjentka. Ona spędzi sporo czasu w szpitalu... jeśli w ogóle wróci. Zostawiła mi klucze. Tak będzie najbezpieczniej...

- Najbezpieczniej - powtórzyła machinalnie. — A kontakt?

-Wiem. Czy poinformowano cię?...

- Poinformowano mnie o wszystkim, co powinnam wiedzieć - oświadczyła sucho.

- Nie znam człowieka - powiedział - który powinien się do ciebie zgłosić. Zawiadomię, że jesteś. Hasło i miejsce ci podam. - On też umiał być ścisły i rzeczowy.

- Mam poważne zadanie do wykonania i muszę je wykonać.

Nie zapytał, jakie. Wydawało się Krystynie, że ogląda ją jak jakiś szczególny okaz.

- To był dla ciebie szok? - powtórzył.

- Warszawa?

- Tak. Jesteś chłodna i opanowana.

- Nie głaskano mnie - mruknęła. Starła się ciągle naśladować Wandę. - Więzienie, obóz, potem wojsko. Siedziałam przez pomyłkę.

- Pomyłkę! - powtórzył. - Oczywiście, że przez pomyłkę. Sądzę, że wykonasz swoje zadanie.

Usłyszeli dzwonek. Dwa razy, przerwa i trzeci, urywany. Doktor podszedł do okna i zdjął z parapetu duży porcelanowy wazon. Dopiero teraz zauważyła, że tam stał.

- Posiedź tutaj... To gość, na którego czekam. Przyjmę go w gabinecie.

Ogarnął ją ostry niepokój. A może to Ludwik - „Aptekarz”? Nie przemyśleli jednak takiej możliwości. Zbliżyła się cicho do drzwi; klucza nie było w zamku, mogła widzieć. Nie, to nie był Ludwik; młody mężczyzna o bujnej czuprynie. Pociągła, sympatyczna twarz, mify głos. Widziała, jak doktor z aparatu do mierzenia ciśnienia wyjmuje jakieś karteluszeki.

- Są nowe zlecenia - usłyszała głos mężczyzny. - Przekaż je. Centrala pyta, czy zgłosił się łącznik.

- Tak - rzekł doktor z pewnym wahaniem - zgłosiła się łączniczka.

Wydawało się Krystynie, że młody mężczyzna się zdziwił. Ona też; przecież centrala wiedziała, że to jest kobieta. Dlaczego nie zapytano po prostu o Wandę?

- Przekażę „Aptekarzowi" - rzekł mężczyzna.

- Sam to zrobię - powiedział doktor. - Ty powinieneś jak najrzadziej bywać w aptece.

- W porządku - roześmiał się młody mężczyzna. - A ładna chociaż?

- Tak - powiedział doktor. - Ładna.

Odskoczyła od drzwi. Co zrobiłaby Wanda? Właściwie powinna mieć broń; musi zażądać, Janek powinien jej dostarczyć.

- Kto to był? - zapytała, gdy doktor wszedł do pokoju. Może nie powinna pytać.

Wahał się. - Radiotelegrafista - rzekł wreszcie. - Bardzo dzielny chłopak. Czasem myślę - mruknął - że nie nadają się do tej roboty.

- Tacy, którzy się nie nadają - rzekła - bywają czasem najlepsi.

6

Major von Gerollis dał sygnał. Od kogo się dowiedział, że łączniczka już się zgłosiła? Kloss stał przy oknie mieszkania Abwehry na Wilczej i obserwował ulicę. Lipowsky poszedł do „Aptekarza” i powinien niedługo wrócić; telefon milczał. Był mu teraz niezbędnie potrzebny kontakt z Krystyną. Szmidt dostarczył już papiery, które wykonał z właściwą sobie pomysłowością i starą metalową skrzynkę wyglądającą istotnie tak, jakby sporo czasu leżała w ziemi. Parę raportów, parę pism, które niewiele znaczyły i wykaz sum pobieranych przez agentów w Niemczech. Podał nazwiska kilku oficerów gestapo i Abwehry; wśród nich generała von Rundta, który wsławił się rozstrzelaniem polskich jeńców pod Kockiem. Generał Rundt będzie miał sporo kłopotów; był teraz na froncie wschodnim, jego dywizję solidnie przetrzepano. Pomyślał, że byłoby nieźle, gdyby Krysia powiedziała Lipowsky'emu, że będzie próbowała nawiązać z nim kontakt. A może to już zbyt wiele grzybów w barszczu?

Skrzynkę zakopał nad ranem nie opodal samotnie stojącej willi w Wesolej. Wiedział, że było to niegdyś jedno z mieszkań utrzymywanych przez dwójkę. Zmęczyła go ta wyprawa. Nie przestawał dręczyć lęk, czy Gerollis kazał go jednak śledzić. Czy uczyniłby to na jego miejscu? Czy istniały jakiegokolwiek przesłanki, by podejrzewać Klossa? Do Wesolej pojechał pociągiem, noc spędził w lesie i dopiero rano wrócił do siebie i założył mundur. Zatelefonował natychmiast do majora. Okazało się, że nie było powodów do obaw; von Gerollis nie poszukiwał go w nocy. Zadzwoił na Wilczą dopiero po paru godzinach. - Ruszamy - powiedział.

Lipowsky się nie zjawiał. Na ulicy nie dostrzegł niczego podejrzanego. Z zakładu fryzjerskiego naprzeciwko wychodził młody człowiek o bujnej czuprynie. Klossowi wydało się, że widział już kiedyś tę twarz.

Zadzwoniono do drzwi. Na progu stał von Gerollis po cywilnemu. Denerwuje się, pomyślał Kloss. Jeśli denerwuje się, to „Aptekarz”...

- Nie ma go jeszcze? - zapytał major.

- Czekam — zameldował Kloss.

Gerollis usiadł ciężko na krześle. - To decydująca chwila, oberleutnant - rzekł. - Odniesiemy wielki sukces. Już odnieśliśmy. Zlecenia, które ich centrala przekazuje dla J-23, wskazują na kierunek letniego natarcia bolszewików. To bardzo ważne. Oberkommando zostało poinformowane.

Twarz Klossa była nieruchoma.

- Cieszę się, panie majorze.

- Jest w tym także pański udział, Kloss - rzekł von Gerollis. Ile kosztuje dezinformowanie wroga, myślał tymczasem Kloss. Ile nas może jeszcze kosztować?

- Zawsze doceniam przeciwnika - ciągnął major. - Czy sądzi pan, że Lipowsky się nie potknie?

-Jest dobry - rzekł Kloss.

- Jedno mnie dziwi - major był ciągle niespokojny. Nawet zapalił cygaro. - Nie ma pan kawy, Kloss?

- Znajdzie się filiżanka.

- Świetnie. Otóż jedno mnie dziwi: zadania, które daje ich centrala swemu agentowi J-23, wydają się przekraczać możliwości Toczka. Ten Toczek musiał mieć... kontakty z człowiekiem, który... służy w Wehrmachcie. I to w formacjach sztabowych. Albo też istnieje jeszcze jeden agent, o którym nie wiemy... Dlatego boję się o Lipow-sky'ego.

- Mnie też by to dziwiło - rzekł Kloss. - Ale nie mam dość danych, by rozważyć ten problem. Jak głęboko penetrujemy ich siatkę?

- Mam jednego agenta - rzekł von Gerollis. Był bardziej niż kiedykolwiek skłonny do szczerości. - Ale tam też działają fachowcy... Więc mój...

W tej chwili zadzwoniono do drzwi. Major zerwał się z krzesła. Na progu stał von Lipowsky!

- Melduj! - zawołał Gerollis.

- Wszystko w porządku, panie majorze - rzekł Lipowsky. - Napisałem na recepcie, którą mi podałem, że moja łączniczka jest chora. Powiedziałem hasło. W aptece nikogo nie było, potem weszła jakaś stara kobieta. Poszedł na zaplecze i wrócił z paczuszką, którą wsadziłem do kieszeni.

- Dokładniej! - mruknął major. - Jak się zachował?

- Powiedziałem hasło, a on stał przez chwilę, jakby był bardzo zdziwiony. Potem wymamrotał odzew.

-Tylko odzew, czy jeszcze coś powiedział?

- Powiedział: „Miło mi cię poznać, choć...” I wtedy weszła ta stara kobieta.

- Daj paczuszkę.

Obaj z Klossem pochylili się nad nią. Zawierała proszki w opakowaniach z łacińskim napisem. Rozrywali je kolejno i wreszcie w jednym z nich znaleźli karteczki. Lipowsky tłumaczył tekst na niemiecki.

- To są już znane mi polecenia ich centrali — mruknął von Gerollis. - Więc istotnie Toczek miał je wykonać. Zajmiemy się nim potem.

Kloss poczuł, że z trudem panuje nad sobą. Ten człowiek z Arbeitsamtu miał płacić za niego.

Na oddzielnym karteluszkę była informacja: - Kontakt z ł. Targowa 11. Czwarte piętro... 12.4-6. Hasło: „Pozdrowienia od Ludwika...”.

- Znakomicie - rzekł Gerollis. - Znakomicie. - Natychmiast jednak spochmurniał. - Dlaczego się zdziwił?

Sądził, że J-23 wygląda inaczej? Nie zapytał o łączniczkę. Kloss, potrzebna nam ta łączniczka! U nich też obowiązuje blokada informacji... ale są bardziej gadatliwi. Bardziej gadatliwi, niż my.

7

Wysiadła z tramwaju na Krakowskim Przedmieściu. Postanowiła ich zgubić na Starówce; wiedziała: najpierw rozpoznać, potem zgubić. Rozpoznała wcześniej: jednego spotkała dwukrotnie na klatce schodowej, gdy schodziła do sklepiku na dole, drugi - wysoki blondyn, poszedł za nią do przystanku i wsiadł do tego samego tramwaju. Nie spodziewali się zapewne, że może wiedzieć, że będzie śledzona. Poszła powoli szerokim Krakowskim i skręciła na Podwale; rozważała pierwszą rozmowę z rzekomym J-23, rozpatrywała każdy szczegół. Czy gdyby nie wiedziała, rozpoznałaby w nim niemieckiego agenta? Nie była tego pewna. Grał dobrze. Postawny mężczyzna o poważnej twarzy. Zapukał punktualnie o czwartej, stanął na progu i powiedział hasło. Wprowadziła go do wnętrza, do małego pokoju pełnego kobiecych drobiazgów, wyszywanych makatek i szmacianych pajaców. Nie zadawał pytań, rozejrzał się tylko po mieszkaniu.

- Zazdroszczę ci - powiedział - że tam wrócisz. Ja już wytrzymuję z trudem.

— Każde z nas ma inne zadanie — powiedziała sucho. Nieco ją jednak bawiła ta gra. Myślisz, że mnie nabierasz, powtarzała sobie, a to ja panuję nad sytuacją. Czy naprawdę panowała? Siedzieli przy stole, nalewała herbatę, a wtedy on wyciągnął z kieszeni płaską butelkę koniaku.

-Wypijesz?

Wahała się. - Masz niemiecki?

— Przecież muszę u nich pracować. Chyba nauczyłaś się tam pić?

A nauczyłam się - mruknęła. Wypili. Starał się być miły. Pytał, czy ma pieniądze, przyniósł kartki żywnościowe... Zalecał ostrożność i jeśli zechce nawiązać łączność z kimś, o kim on nie wie, bo przecież nie musi wiedzieć wszystkiego, długo obserwować miejsce, gdzie chce się udać.

- Wiem wszystko, co powinnam wiedzieć - powtórzyła słowa Wandy.

Nie pytał o zadanie, jakie otrzymała, więc, wykonując polecenie Klossa, powiedziała mu sama, sucho i oszczędnie. - Te papiery - oświadczyła - jakaś część papierów dwójki, znajdują się w miejscu, które znam. Nie mogą w żadnym wypadku wpaść w ręce Niemców. Mam także polecenie, jeśli to będzie możliwe, nawiązać kontakt z generałem von Rundtem.

- Bardzo trudne - mruknął. Nie okazał zdziwienia. Czy Janek, myślała, nie zachowałby się tak samo? Zapytał tylko, kiedy chce udać się w to miejsce... Dał jej numer swego telefonu w Arbeitsamcie. - To nie jest na podsłuchu - powiedział. - Możesz zadzwonić zachowując się jak moja dziewczyna i powiedzieć, kiedy mam przyjść.

Dopiero, gdy odchodziła, szepnął: - Naprawdę chciałbym, żebyś była moją dziewczyną. - Nie wybuchnęła śmiechem. Po prostu udała, że nie słyszy.

Stała w uchylonych drzwiach, gdy odchodził. Zatrzymał się na drugim piętrze, przed drzwiami doktora. Była pewna, że tam się zatrzymał.

Wszystko to chciała opowiedzieć teraz Klossowi. Szła Podwalem i wiedziała, że za nią idą. Blondyn po drugiej stronie ulicy. Skręciła w Wąski Dunaj. Znała wszystkie przejściowe bramy na Pivnej i Nowomiejskiej. Tu, w zaułkach i podwórzach, była jak u siebie w domu, a oni nie mogli przecież zachowywać się zbyt ostentacyjnie. Z Szerokiego Dunaju na duże, zadrzewione podwórze, stąd na Nowomiejską i niemal biegiem do kościoła na Pivnej. Czy ksiądz Marian wypuści ją przez zakrystię? Był w kościele, siedział sam w konfesjonale. O nic nie zapytał, nie okazał zdziwienia. Po chwili była już na Jezuickiej. Rozejrzała się; ani blondyna, ani wysokiego bruneta nie było w pobliżu. Może to zbyt łatwe - pomyślała.

Kloss otrzymał najpierw meldunek agenta: zgubiliśmy ją na Starym Mieście. Prawdopodobnie jest w kamienicy na Pivnej, obserwujemy. Zrugał go straszliwie, używając najdotkliwszych niemieckich przekleństw. Nie odchodził od telefonu. I usłyszał wreszcie głos Krysi: - Czy to kawiarnia Pomianowskiego? Omyłka - mruknął.

Zbliżał się wieczór. A jeśli kamienica na Hożej jest obserwowana? Nie, to nieprawdopodobne, myślał. Wszedł do bramy. Stała już na progu, gdy wbiegał po schodach.

-Jesteś! - powiedziała z ulgą.

Otoczył ją ramieniem. - Mamy bardzo mało czasu -powiedział - i bardzo dużo do zrobienia.

Z porucznik Wandą spotkał się na Sniadeckich. - Mam kontakt z chłopcem od „Bartka” - referowała. Centrala wyraża podziękowanie za akcję dezinformacyjną. Ja mogę odlecieć za cztery dni.

-To znaczy: zadanie wykonane?

- Tak. Profesor Borecki wyraził zgodę. Znalazłam go tam, gdzie sądziłam, że go znajdę. Pojedziemy ciężarówką od „Bartka”. On ma dobre papiery.

- Pojedziecie wszyscy — rzekł Kloss.

-Jak to: wszyscy?

- Zdecydowałem, że zadanie dezinformacyjne zostało wykonane. Nie uda się dłużej oszukiwać von Gerollisa.

- Centrala... - zaczęła.

-Ja znam sytuację, a nie oni -powiedział twardo.

- Wiesz, kto jest zdrajcą?

Kloss milczał chwilę. - Osiągnęliśmy bardzo dużo - mruknął. Wyciągnął z kieszeni niemiecką gazetę i wskazał notatkę na pierwszej stronie. Przeczytała: „Generał von Rundt zginął na posterunku w walce z bolszewizmem”.

- To znaczy: uwierzyli?

- Uwierzyli we wszystko, choć wydaje się, że von Gerollis zaczyna mieć wątpliwości. Lipowsky pojechał z Krysią do Wesołej i znaleźli tę skrzynkę. Oczywiście ochraniali ich agenci Abwehry, moi agenci — uśmiechnął się - i był to niejako podwójny teatr. Krysia długo biedziła się nad planem, który kazałem jej narysować, kopali trzykrotnie zanim trafili na skrzynkę. Gdy wracali z Wesołej, wpadli na obławę na Dworcu Wschodnim. Agent Abwehry musiał polecić dowódcy żandarmerii, żeby ich przepuścili, a Krysia udawała, że nic nie zauważyła.

- Co się stało z dokumentami?

- Są u Krysi. Zostawiła Lipowsky'ego samego w pokoju, żeby miał czas je sfotografować. Fotografie znalazły się natychmiast na biurku Gerollisa. I widzisz rezultat.

-Więc dlaczego...

- Nie chcę kontynuować gry? Bo nie możemy tracić ludzi - powiedział ostro. - Bo jeśli tego nie

zrobię, uczyni to Gerollis. Bo wystarczy, że zamęczyli Toczka.

- Nic nie powiedział?

- Nic — mruknął Kloss. — Ani słowa.

Zapadło milczenie.

- Więc kto jest zdrajcą? - powtórzyła pytanie Wanda. Kloss jakby nie usłyszał.

- Posłuchaj uważnie: ciężarówka powinna się znaleźć na Targowej dokładnie o godzinie, którą wyznaczę. Boreckiego powinnaś umieścić tutaj i nie wychodzić z domu. Zatelefonuję i podam ci tylko godzinę.

-Jak chcesz przerwać akcję?

- Mam pewien plan - rzekł. -Jest to plan bardzo ryzykowny, ale opiera się na jednej przesłance: na znajomości psychiki starego lisa Abwehry.

9

Czy istniało inne rozwiązanie? Każdy szczegół był ważny, a o powodzeniu decydowała precyzja wykonania. Nie wszystko jednak udaje się przewidzieć nawet w najdoskonalej zaplanowanej akcji. Rano Krysia, nie starając się nawet o zgubienie swojej asysty, pojechała do „Aptekarza”. Kloss, urzędując na Wilczej, otrzymał natychmiast meldunek od swoich agentów. W tych decydujących godzinach udawało mu się zachować chłodny spokój. Agenci nie mogli jednak znać treści notatki, którą Krysia umieściła na recepcie wręczonej „Aptekarzowi”. Wyobrażał sobie zdziwienie „Aptekarza”. Czy domyślał się, że był śledzony? Czy domyślał się, że był podejrzewany? O czwartej po południu Krysia miała się spotkać u siebie z Lipowskim, trzy godziny wcześniej, o pierwszej, po zmyleniu agentów, powinna być na Hożej. Czy to się jej uda?

Nie próbowała już zgubić ich na Starówce. Pojechała na Kercelak i wśród straganów, w tłumie kupujących, sądziła, że ma największą szansę. Była tam przekupka, pani Marta, którą знаła od lat. Ukryta za jej straganem obserwowała gorączkowe poszukiwania agentów. Pani Marta dała jej inną sukienkę, Krysia wciągnęła na głowę beret i gdy znalazła się na ulicy, wzięła riksę. Była już przekonana, że zgubiła prześladowców.

Nie zauważyła, gdy wchodziła do bramy na Hożej, mężczyzny o gęstej bujnej czuprynie, którego raz już widziała przez dziurkę od klucza w gabinecie doktora.

„Aptekarz” przyszedł dziesięć minut później. Z notatki Krysi wiedział, że jest śledzony i wiedział także, jak zgubić prześladowców. Miał ogromne doświadczenie. Nie wszystko rozumiał, ale właściwie nie był zaskoczony. Nie omyliła go intuicja. Człowiek, który zgłosił się do niego jako J-23, był podstawiony. W siatce działał zdrajca. I on, „Aptekarz”, pojmował, że był podejrzewany, choć wszystko buntowało się w nim na myśl, że Krysia mogła uwierzyć w jego winę, i przeklinał

siebie samego, że wcześniej nie rozpoznał niemieckiego agenta. Powinien - po śmierci radiotelegrafisty. Po zniknięciu Toczka. „Nie ma przypadków” - powtarzał sobie. - „Nie ma przypadków. Zlikwidowali radiotelegrafistę, żeby...” Zbliżał się do bramy na Hożej i zobaczył go stojącego przy wystawie sklepiku z torebkami. Stał swobodnie, paląc papierosa, jak młody człowiek czekający na dziewczynę. Przyglądał bujną czupryną. „Aptekarz” zrozumiał: Krysia go nie zauważyła, pomyślał, Krysia go nie zna. Podszedł i radiotelegrafista go zobaczył.

- Nie powinniśmy tutaj... - zaczął. „Aptekarz” miał broń w kieszeni letniego płaszcza; dotknął jego pleców lufą. - Nie próbuj kawałów - powiedział. - Wchodzisz ze mną do bramy.

Radiotelegrafista rozejrzał się, ulica była pusta. - Zwariowałeś ! - szepnął i ruszył posłusznie przed „Aptekarzem”.

Krysia stała w uchylonych drzwiach.

-Wchodź! — mruknął „Aptekarz”. Wyjął broń z kieszeni płaszcza. Krysia, zaskoczona i nierozumiejąca, zatrzasnęła drzwi.

- Siadaj i ręce na stół!

- Czy wyście oszaleli? - szepnął chłopak. - Czy wyście naprawdę oszaleli?

W tej chwili rozległo się pukanie. Krysia skoczyła do drzwi a radiotelegrafista pchnął z całej siły stół i runął na „Aptekarza”. Broń potoczyła się po podłodze, ale mężczyzna o bujnej czuprynie nie zdołał jej dosięgnąć. W drzwiach stał Kloss. Wystrzelił dwukrotnie; pistolet z tłumikiem działał niemal bezgłośnie. Radiotelegrafista skurczył się i opadł na podłogę.

- I co teraz? - zapytał „Aptekarz”. - Ty jesteś J-23, tak?

- Tak - mruknął Kloss i szybkimi ruchami przeszukał kieszenie mężczyzny. Znalazł legitymację Abwehry.

- Wiedziałem - rzekł. - Rozwiązania są zwykle najprostsze. Ten człowiek działał jako ich agent od wielu lat.

- I co teraz? - powtórzył „Aptekarz”.

- Teraz - powiedział Kloss - mamy bardzo mało czasu.

- Zadzwoń do Wandy - polecił Krysi i powiesz: „Godzina siódma”. Wracasz do siebie i czekasz na Lipowsky'ego. - Wręczył jej kartkę. Tekst pisany był drobnymi literkami. - Lipowsky musi to u ciebie znaleźć. Zostaw go samego w pokoju, połóż kartkę w otwartej torebce...

-Uwierzy?

- Musi. Godzinę po wyjściu Lipowsky'ego odwołuję agentów.

- Co jest w tym tekście? - zapytał „Aptekarz”.

Kloss nic nie odpowiedział.

10

Wszedł do gabinetu majora. Von Gerollis siedział przy biurku i palił cygaro. Wydawał się zadowolony. Czy będę umiał zagrać zdenerwowanego i przerażonego, myślał Kloss. Zagrał. Major spojrzał na niego, odłożył cygaro i zapytał: - Co się stało, oberleutnant?

- Byliśmy dezinformowani — powiedział Kloss. — To nie my! To wróg prowadził akcję dezinformacyjną! Major zerwał się z krzesła. Rzucił cygaro.

- Co pan powiedział?

- To niestety prawda! Oto co znalazł Lipowsky u rzekomego wysłannika ich centrali. I przetłumaczył: „Centrala dziękuje za skuteczną akcję dezinformacyjną. Rezultaty bardzo dobre. Von Rundt zlikwidowany przez gestapo. Wróg wprowadzony w błąd. Podziękowania dla Teodora i Krystyny”.

- Kim jest Teodor? - szepnął major.

- Pański agent u nich. Pracował w rzeczywistości dla bolszewików.

- Radiotelegrafista - mruknął Gerollis. - A Krystyna?

- Rzekomy wysłannik centrali. Stwierdziłem jej tożsamość. U niej spotykała się z Teodorem. - Patrzył na von Gerollisa - Czy zachowa się tak, jak przypuszczał, czy dobrze zagrał?

Von Gerollis spacerował po pokoju. Szybkim, nerwowym krokiem.

- Słuchaj, Kloss - rzekł wreszcie zwracając się do niego „ty” - to dla nas kwestia życia i śmierci. Rozumiesz? Jeśli przyznamy się, że nasze informacje były fałszywe, że Rundt był niewinny, możemy pożegnać się z życiem. Ja — dodał — otrzymałem nominację na podpułkownika. - Usiadł przy biurku i ukrył twarz w dłoniach; trwał tak długo. Podniósł wreszcie głowę. - Jesteśmy odtąd - powiedział - związani ze sobą. Wiesz, co trzeba zrobić?

Kloss milczał.

- Wiesz - rzekł von Gerollis. - I ty to musisz zrobić. Z dwoma ludźmi, których potem... wyślemy na front. Zlikwidować wszystkich! Wszystkich! - krzyknął. - Lipowsky'ego także. Nie może zostać nikt, kto wie! I żadnych śladów.

Kloss patrzył na Gerollisa. Ten człowiek, myślał, już mu się nie wymknie. Spojrzał na zegarek i podszedł do telefonu.

- Odwołuję agentów - rzekł.

- Słusznie - mruknął Gerollis. - "Zaczynij od Lipowsky'ego. On wie najwięcej.

Dokładnie o godzinie dziewiętnastej do ciężarówki, która zatrzymała się na Targowej, wsiadło parę osób.

Wszyscy mieli dobre papiery niemieckiego przedsiębiorstwa.

O godzinie dwudziestej zginął agent Abwehry Lipowsky. Człowiek, który go zastrzelił na polecenie Klossa, był sprawnym wykonawcą. Nie wiedział, że już następnego dnia znajdzie się na froncie wschodnim.

Późnym wieczorem Kloss szedł pustymi ulicami Warszawy. Tak musimy walczyć, myślał. Podstępem na podstęp, śmiercią za śmierć. A potem może się uda zapomnieć.

OSTATNIA SZANSA

1

Wiedział, że przyjeżdżają do Warszawy rannym po ciągiem berlińskim. Na dworcu był spory ruch; ludzie obładowani workami i walizami przemykali się chyłkiem ku wyjściu, niemieccy żołnierze okupowali perony, tarasowali przejścia, dopytując się o pociągi na wschód i na zachód. Zszedł na peron w momencie, gdy głos z megafonu ogłaszał: Achtung, Achtung, der Schnellzug Berlin - Warschau... Zobaczył grupę oficerów z pewnością czekających właśnie na nich. Jeden pułkownik, dwóch funkcjonariuszy w mundurach SD i oczywiście kapitan Ruppert, na którego obecność liczył najbardziej, chociaż do ostatniej chwili nie był pewny otrzymanych informacji. Ruppert dostrzegł go natychmiast. Zgrabny, doskonale ubrany, podszedł podnosząc niedbale rękę do góry, co przy pewnej tolerancji można by uznać za hitlerowskie pozdrowienie.

-Jak się masz, Hans - powiedział - co tu robisz?

-Jadę do Radomia - odparł Kloss. -Mam jeszcze trochę czasu.

-I postanowiłeś zobaczyć wielką nadzieję naszej Rzeszy, cudotwórcę, człowieka, który zniszczy wroga szybciej niż dywizje Rommla?

- Von Henninga? - zapytał Kloss. - Nie wiedziałem nawet, że dzisiaj przyjeżdża.

- Nie wiedziałeś? - roześmiał się Ruppert. - A przyjeżdża, przyjeżdża i to nawet z córeczką. Podobno potworna brzydula.

Pociąg wtaczał się na peron. Długi szereg wagonów z chrzęstem stawał w hali. Tłum powoli wpływał na schody. Wreszcie, gdy zrobiło się już niemal pusto, w drzwiach jednego z wagonów stanął wysoki mężczyzna w szarym płaszczu i kapeluszu z dużym rondem. Obok niego młoda dziewczyna w okularach niosła torbę podróżną. Czekaający oficerowie ruszyli ku nim natychmiast i otoczyli ich zwartą gromadą. Kloss widział dokładnie twarz von Henninga; chciał zapamiętać wszystkie szczegóły tej twarzy; przymknął oczy, żeby utrwalić w pamięci rysy i móc opisać tego człowieka z dokładnością większą, niż uczyniłby to jakikolwiek urzędnik policyjny. Więc tak wygląda profesor von Henning, nadzieja Trzeciej Rzeszy! Będzie strzeżony w Warszawie równie dobrze, jak gubernator Frank na Wawelu. Nie opuszczą go ani na chwilę pieski z SD, nie zejdzie z posterunku wartownik pilnujący jego pracowni. Doświadczenia, które zamierza przeprowadzić, odbędą się pod ochroną specjalnych batalionów SS. A jednak on, Hans Kloss, musi zdobyć plany von Henninga, musi je mieć, choćby nawet...

Zawsze zresztą było tak samo i zawsze stawiało się własne życie, gdy gra szła o wartości donioślejsze... Kloss spojrział jeszcze na córkę von Henninga, niewysoką dziewczynę w okularach, która może jednak nie była aż tak brzydka, jak twierdził przed chwilą Ruppert. A kapitan stał właśnie znowu obok niego.

- Przyjrzałeś się, Hans? - zapytał.

- Przyjrzałem się - powiedział poważnie Kloss. - Nie miałeś racji, dziewczyna jest całkiem niezła.

- Benita von Henning? - Ruppert wybuchnął śmiechem. - Naprawdę tak myślisz, Hans? Jeśli zechcesz, poznasz ją u mojej Ilzy.

- Czemu nie, Ruppert - odparł. Właściwie osiągnął już, co zamierzał. Zobaczył Henninga i jednocześnie uzyskał potwierdzenie informacji, że Ruppert będzie przy nim. Bardzo to ważna informacja, może nawet klucz do całej sprawy. Czy Ruppert się załamał? Nigdy nie wiadomo, do czego jest zdolny człowiek w niemieckim mundurze. Ale Ruppert ma sporo do stracenia. Możliwości kariery, pieniądze ojca i wreszcie tę Ilzę, córkę generała von Brocha. Kloss widział ją parokrotnie. Wysoka, dobrze zbudowana dziewczyna, chyba jedna z tych, które uwierzyły w swoje niemieckie posłannictwo. A może to tylko złudzenie? Niełatwo ustalić, co decyduje naprawdę o ludzkich postawach i gestach. Spojrzął na zegarek. Musi jednak pojechać do Radomia, a o wyniku akcji „Ruppert” dowie się dopiero następnego dnia. Peron był już pusty. Kloss ruszył powoli ku schodom i szedł na górę, starając się patrzeć tylko przed siebie, gdy mijali go ludzie z tobołami i walizkami, nędznie ubrani i zabiedzeni, a przecież nie ukrywający nienawiści, niezdolni do ukrycia nienawiści na widok tego zgrabnego oficera niemieckiego w dobrze skrojonym mundurze, który najwidoczniej czuł się w tym mieście jak u siebie w domu.

Wieczorem tego dnia, gdy Kloss jadł kolację z kierownikiem Abwehrstelle Radom, pewien starszy, bardzo elegancki mężczyzna wszedł do kamienicy przy Mokotowskiej, niedaleko

skrzyżowania z Wilczą. Była to jedna z tych zbudowanych tuż przed wojną kamienic, porządnie utrzymanych, o szerokich, wykładanych kieleckim marmurem klatkach schodowych i dużych, jasnych mieszkaniach. Mosiężne tabliczki z nazwiskami na drzwiach znamionowały zamożność i solidność finansową mieszkańców - tylko ludzie bez kłopotów pieniężnych mogli mieszkać w takim domu, w którym czynsz przewyższał dobrą pensję urzędniczą.

Starszy pan zadzwonił dwa razy do mieszkania na drugim piętrze. Czekał chwilę, zanim na progu pojawiła się niemłoda niewiasta w wieczorowej sukni. Pochylił się nad jej dłoń, pocałunek trwał nieco zbyt długo, świadczył o poufałości, nie pozbawionej jednak szacunku. Weszli do banalnie urządzonego pokoju. Jedyne sprzętem nie pasującym do mieszczańskiego, nieco przeładowanego wnętrza, był sporych rozmiarów barek, zastawiony kieliszkami i butelkami. Dwie panie, również w wieczorowych sukniach, i mężczyzna w staroświeckim żakiecie nie zwrócili na nich uwagi. Gospodyni otworzyła drzwi szafy z lustrem, zajmującej sporą część ściany, i oto znaleźli się w obszernym salonie, jakby żywcem przeniesionym do okupacyjnej Warszawy z przedwojennego Sopotu. Panie i panowie otaczali ruletkę. Krupier był we fraku i mówił po francusku. Gospodyni wskazała starszemu panu krzesło i zniknęła bez słowa za drzwiami. Mało go jednak interesowała gra; bywał tu często, znał znakomicie tę tajną melinę i wszystkich jej stałych gości.

Uśmiechnął się do niebrzydkiej dziewczyny, która przychodziła tu codziennie, by zniknąć potem w towarzystwie jednego z wygrywających, skinął głową mężczyźnie w wyzywającym krawacie, który zmonopolizował niemal warszawski czarny rynek handlu „miękkimi”, i przesunął swoje krzesło tak, by widzieć grę młodego człowieka w ciemnym, dobrze skrojonym garniturze. Stary pan wiedział o nim sporo; dla niego tu przyszedł. Nazywał się kapitan Ruppert, a jego namiętność do ruletki była tajemnicą chyba tylko dla zwierzchników przystojnego oficera saperów. Ruppert postawił właśnie górkę żetonów na numerze dwadzieścia trzy i potem z napięciem obserwował bieg kulki. Przeskoczyła jego numer i zastygła w pobliżu. Krupier zgarnął żetony Niemca, a Ruppert wstał i niezbyt pewnym krokiem ruszył ku drzwiom.

Starszy pan wstał również. Spotkali się przy barze. Starszy pan bez pośpiechu napełnił swój kieliszek i podszedł do Rupperta.

- Dobry wieczór, kapitanie - powiedział.

Ruppert nie ukrywał niechęci:

- Skąd pan mnie zna? Kim pan jest? - Zachowywał tu przecież incognito, nigdy nie bywał w tym lokalu w wojskowym mundurze.

- Nazywam się Szmidt. - Starszy pan podniósł kieliszek do ust. - Ale to nazwisko nic panu nie powie, chociaż nasza znajomość datuje się od bardzo dawna.

- Pierwszy raz pana widzę - oświadczył chłodno Ruppert.

- To niezupełnie ściśle. - Szmidt znowu napełnił kieliszki. - Przegrał pan?

- Co to pana obchodzi? W tym lokalu o nic nie należy pytać.

- Przepraszam. — Na twarzy Szmidta pojawił się uśmiech. Był to uśmiech przyjazny i pobłażający. - Mam nadzieję, że przegrał pan mniej niż w roku trzydziestym siódmym - powiedział to z naciskiem, a jednocześnie tak cicho, że Niemiec bezwiednie pochylił się ku niemu.

- Co to znaczy?

- Nic... chyba tylko to, że historia się powtarza. Ruppert odstawił kieliszek, chciał odejść, ale Szmidt zatrzymał go rozkującym gestem.

- Nie, panie Ruppert, teraz pan nie odejdzie. Teraz poświęcimy nieco czasu wspomnieniom. - Rozejrzał się i upewnił, że nikt nie zwraca na nich uwagi. - W trzydziestym siódmym roku oddał pan cenne usługi polskiemu wywiadowi...

Twarz Rupperta stwardniała. Milczał. Ścisnął w rękę kieliszek, potem sięgnął do kieszeni. Starszy pan, który przedstawił się jako Szmidt, nie odczuł niepokoju, choć musiał zdawać sobie sprawę, że nadszedł moment decydujący, że jeśli Niemiec wyjmie broń i strzeli... Od wielu lat parał się tą robotą i polubił uczucie lekkiej ekscytacji, jakie zwykle w takich momentach przeżywał... Mówił dalej głosem równym i spokojnym, jakby nie dostrzegł gestu Rupperta:

- Otrzymał pan wówczas dwanaście tysięcy marek za fotokopie planu A. To była spora suma, większa niż przegrana u barona von Mokkę...

Ruppert wyjął rękę z kieszeni, zapalił papierosa. Starszy pan z trudem ukrywał uśmiech. Wiedział już, że wygrał.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytał Ruppert.

- Powoli, powoli - teraz Szmidt miał czas. Niemiec był w sieci, już się nie wymknie. - Jak się czuje Inga?

Inga... Tak nazywała się siostra Rupperta, która pracowała wówczas w sztabie Wehrmachtu. Dodatkowa karta, może już nawet zbyt duża, ale starszy pan grywał zwykle wszystkimi kartami.

- Jest żoną mojego przyjaciela - szepnął Ruppert.

- Widzi pan, pamiętam wszystko. I to, że wtedy właśnie Inga jako maszynistka w ministerstwie...

- Dostyc! - przerwał Ruppert. - Proszę mówić, czego pan żąda?

- Drobnostki - uśmiechnął się Szmidt. - Bardzo nietrudnej. Potem o wszystkim zapomnimy.

- A jeśli pójdę do gestapo?

- Zawsze otwarta droga. Proszę tylko pamiętać, że ja mam pana pokwitowania i żadnych powodów do milczenia.

- Kim pan jest?

- Nieważne - odpowiedział starszy pan. I teraz szeptem, bardzo powoli, zaczął wyjaśniać zadanie, które wykonać ma Niemiec. - Interesują nas doświadczenia von Henninga, do którego pana przydzielono.

-Ja tego nie zrobię! - Ruppert niemal krzyczał.

-Ciszej! Zrobi pan. Na pojutrze muszę mieć plan poligonu. A potem jeszcze jedna drobnostka... - Starszy pan dobrze znał swoją robotę. Jego polecenia były szczegółowe i precyzyjne. Wyznaczył punkt kontaktowy, wcisnął do kieszeni Rupperta miniaturowy aparat fotograficzny.

Uśmiechnął się, gdy Niemiec opuścił szulernię. Był zupełnie spokojny.

Ruppert, zataczając się, wyszedł z kamienicy na Wilczej. Minęła już godzina policyjna, ulice były puste i ciemne. Wlókł się Wilczą w kierunku Alej Ujazdowskich. To obce, wrogie miasto wydało mu się teraz straszne i groźne; dławiał go lęk, że patrzą na niego z ciemnych okien kamienic, że jest śledzony i czujnie obserwowany, że każda jego myśl stała się przedmiotem precyzyjnego badania. Odczuł niemal ulgę, gdy głośnym: *Halt!* zatrzymał go patrol żandarmerii. Pokazał swoje dokumenty i patrzył przez chwilę na wyprostowanego wachmistrza. To jednak niemieckie miasto - pomyślał. Ale już po chwili, gdy zanurzył się znów w Aleje Ujazdowskie, przestał w to wierzyć. A przecież w willi przy alei Róż czekała na niego Ilza. Za chwilę Ilza zapyta: „Znowu piłeś, Willy?”

Chciałby odpowiedzieć, że pił i że będzie pił, bo jest szmata, bo powinien wpakować sobie kulę w łeb, bo stracił szacunek dla siebie i niegodny jest ani Ilzy, ani munduru niemieckiego oficera...

3

Kloss z niepokojem myślał o misji Adama. Ten starszy pan, z którym współpracował od paru miesięcy, budził ciągle jego niepokój; nie nieufność, ale właśnie niepokój. Adam traktował swoją robotę jak szczególnego rodzaju grę, która go czasem bawiła i podniecała, i którą wykonywał z zawodową precyzją. Kloss nigdy nie uważał się za zawodowca, czuł się raczej amatorem i jeśli nawet pasjonowało go ryzyko tej gry, chętniej poszedłby na front, a Adam był starym pracownikiem dwójki, po prostu znakomitym specjalistą, człowiekiem na swoim miejscu.

Rankiem, natychmiast po powrocie z Radomia, Kloss pojechał na Mokotów. Mały antykwariat, mieszczący się niedaleko ulicy Puławskiej, nie powinien był budzić niczyich podejrzeń. Można tu było niekiedy kupić dobry stary zegar, czasami interesującą wazę albo bibliofilską rzadkość z prywatnych bibliotek. Sklepek miał zresztą powodzenie niewielkie i gdy Kloss wszedł do środka, panowała tu pustka. Marcin ukazał się natychmiast za ladą, zamknął drzwi na klucz i zaprosił go do wnętrza. Usiedli w małym pokoiku, pełnym starzyzny, kurzu i pajęczyn, na otomance, z której wyłaziły sprężyny.

- Adam złowił Rupperta - powiedział Marcin. Jego zdaniem robota wykonana była dobrze. Ruppert nie pójdzie na gestapo, to szmata, tchórzliwa szmata, którą opłaca się wykorzystać raz, właśnie w takiej sytuacji. Marcin był pełen optymizmu, ale Kloss nie przestał odczuwać niepokojów.

- Centrala nas ponagla - ciągnął Marcin - mają informacje, że Henning właśnie w Police zamierza wypróbować nową broń raketową. Rozumiesz, co to znaczy? Dlatego przygotowują poligon.

- Za łatwo to poszło - stwierdził Kloss. - Boję się łatwych zwycięstw. Nie wiadomo, czy Ruppert będzie miał w ogóle dostęp do dokumentacji. I wcale nie jestem pewien, czy nie pójdzie do gestapo.

- Nie wierzysz Adamowi? - zapytał Marcin.

- Wierzę - odpowiedział Kloss - nie o to chodzi. Zadanie jest bardzo trudne... - Machnął ręką. Co miał jeszcze do powiedzenia? - Ustaliłeś zasady kontaktu?

Marcin oświadczył, że tak. Kontakt z Ruppertem podejmie Anna. Adama lepiej już nie wysyłać. Adam na wszelki wypadek powinien opuścić na pewien czas Warszawę. A Anna...

Gdy wymówił to imię, Kloss zerwał się z kanapy. Znali się z Marcinem od wielu miesięcy, od chwili, gdy Klossa przydzielono do warszawskiego oddziału Abwehry, a jednak Marcin nie wszystko wiedział. Nie wiedział, że Kloss zna Annę, że spotykają się od paru tygodni niemal co dzień, wbrew wszelkim zasadom konspiracji, wbrew najsurowszym poleceniom, by Kloss utrzymywał kontakt tylko z jednym człowiekiem z grupy, z którą współpracuje. Nie umiał ukryć wzburzenia. Marcin obserwował go uważnie, Marcin był czujny i spostrzegawczy, niełatwo dawał się podejść.

- Znasz Annę - powiedział.

- Znam - potwierdził Kloss.

- Nie powinieneś tego robić. Czy me rozumiesz — mówił niemal szeptem - że w twoim życiu nie ma na to miejsca?

Kloss wiedział o tym równie dobrze jak on, a jednak nie chciał rezygnować z Anny i nie chciał o Annie rozmawiać nawet z Marcinem, chociaż właściwie zaprzyjaźnili się i rozumieli nieźle.

- Dlaczego właśnie Anna? - zapytał. Antykwariusz wzruszył ramionami. Kogo miał niby posłać? Anna świetnie nadawała się do tej roboty.

- Kiedy ma być u ciebie?

- Dzisiaj wieczorem - powiedział Marcin. - Dzisiaj wieczorem przekażę jej to zadanie.

Przedpołudnie miał Kloss wypełnione. Zdał meldunek swemu szefowi, pułkownikowi Recke, z podróży do Radomia, a potem zadzwonił do Rupperta. Odniósł wrażenie, że kapitan się ucieszył.

- Dobrze, że telefonujesz - powiedział. - Chciałem cię zaprosić na dzisiejszy wieczór. Ilza urzęduje małe spo-tkanko z okazji przyjazdu Henningów, których zna jeszcze z Berlina. Chętnie cię zobaczymy.

Powiedział oczywiście, że przyjdzie. Nie wierzył Rup-pertowi, obawiał się ciągle, że jest zdolny do podwójnej gry, a niepokój o Annę pogłębiał w nim jeszcze lęk. Ale zadanie musiało być wykonane i nie miał prawa żądać od Marcina, by zwolnił Annę z tych funkcji. Ona zresztą nigdy by się na to nie zgodziła.

Wieczorem czekał na Puławskiej. Widział Annę wchodzącą do sklepu antykwariusza, potem niecierpliwiał się, gdy zbyt długo nie wychodziła. Wreszcie zobaczył ją na przystanku. Dostrzegła go także i uśmiechnęła się, a Kloss pomyślał, że kiedyś nadejdą przecież takie czasy, gdy będzie można spokojnie podejść do swojej dziewczyny, wziąć ją pod rękę i zaprowadzić do domu. Siedzieli w tym samym tramwaju — on w przedziale dla Niemców, ona -w zbitym tłumie wewnątrz wagonu. Udawał, że czyta gazetę, ale w rzeczywistości nieustannie na nią patrzył, nieustannie ją widział wciśniętą w kąt między ławkę a okno, obok jejmości z wielkim tobołem i starszego pana próbującego bezskutecznie opuścić szybę. Tramwaj dudnił po moście Pomatowskiego, potem skręcił w Zieleniecką, ostro zahamował na przystanku przy Grochowskiej. Ulice Pragi wydawały się ciemniejsze niż śródmieścia. Wwozie zrobiło się jur swobodniej. Anna usiadła na ławce, mógł teraz widzieć jej twarz, ale spoglądali na siebie ukradkiem, niby przypadkowo, bo przecież na przedział niemiecki ona mogła patrzeć tylko z pogardą. Nagle tramwaj zahamował gwałtownie. Kloss zobaczył przed sobą pustą ulicę, ciężarówkę z czarną budą i kordon SS-manów - widok znany, codzienny, ale zawsze budzący w nim nienawiść, bezsilną złość, gdy mijał czarne budy, do których żołdacy niemieccy wpychali ludzi, bijąc ich kolbami. W drzwiach wagonu ukazał się SS-man wrzeszcząc: Raus! Ludzie wychodzili powoli, zrezygnowani i przerażeni, bo tramwaj był pułapką, bez szans i bez ratunku. Kloss podjął decyzję natychmiast. Gdy wóz był już niemal pusty, podszedł do Anny, wziął ją pod rękę, odebrał jej teczkę i razem opuścili tramwaj.

SS-man popatrzył podejrzliwie i zasalutował, jakaś babina splunęła na ziemię. Długo słyszeli jeszcze krzyk SS-manów i kobiecy płacz.

-Jak mogłeś to zrobić? -powiedziała dziewczyna.

- Gdybym tego nie zrobił - rzekł Kloss - byłabyś już na Pawiaku.

- Tyle razy mi tłumaczyłeś, że niewolno nam nigdzie, pod żadnym pozorem, pokazywać się razem.

- Tak, nie wolno pod żadnym pozorem. - Wiadomo, co powiedziałby Marcin, gdyby zobaczył ich razem. Ale jednak byli razem, szli pustą ulicą Pragi, on wziął ją pod rękę i nie myślał nawet o tym, że mogą być obserwowani, śledzeni i że jutro raport o Klossie i o Annie może się znaleźć na biurku pułkownika Recke lub sturmbannFuehrera Lothara. Anna stanęła przed bramą starej kamienicy.

- To tu. Koleżanka dała mi pokój na dwa dni. Wyjechała do Krakowa. Wstąpisz?

Nie mógł. Musiał być tego wieczoru na przyjęciu u Ilzy, narzeczonej Rupperta, i poznać Benitę von Hen-ning, ponieważ istniała szansa, że córce „nadziei” Trzeciej Rzeszy spodoba się przystojny oficer Abwehry. A to mogło się kiedyś przydać.

Willa Ilzy i Rupperta przy alei Róż urządzona była ładnie i ze smakiem. Oficerowie z garnizonu warszawskiego zazdrościli Ruppertowi tej dziewczyny; córka generała, więc pieniądze i znajomości, a jeszcze umiała się podobać, zarówno starszym panom ze sztabu, jak i gestapowcom z alei Szucha.

Właśnie tańczyła teraz ze sturmbannFuehrerem Lotharem, mężczyzną o suchej kwadratowej twarzy, o którym mówiono, że wyzbyty jest wszelkich namiętności, że nie pociągają go ani kobiety, ani alkohol. Tańczyło zresztą niewiele par, większość towarzystwa wolała miejsca przy barze. Wśród mężczyzn w galowych mundurach wyróżniał się profesor von Henning. W swoim ciemnym garniturze wyglądał jak ktoś z innego świata. Jego córka, Benita, w skromnej sukience stała obok ojca, uważnie obserwując towarzystwo.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział Ruppert. Wziął Klossa pod rękę i zaprowadził do Henningów. -Porucznik Hans Kloss - przedstawił profesorowi.

Ręka Henninga była sucha, dłoń Benity przytrzymał Kloss nieco dłużej w swojej. Jej oczy zza okularów spoglądały na niego czujnie, wydawały się mówić: nie dostrzegłbyś mnie, gdybym nie była córką von Henninga. Ruppert przyniósł kieliszki, patefon właśnie zamilkł i obok profesora pojawili się Ilza i Lothar.

- Miło spotkać się raz niesłużbowo - stwierdził gestapowiec, zwracając się do Klossa.

- Myślałem, że jest pan raczej służbowo, sturmbann-Fuehrer - odpowiedział cicho Kloss. Lothar uśmiechnął się.

- W pewnym sensie. Jestem wszędzie tam, gdzie jest profesor von Henning.

Ilza śmiała się nieco zbyt głośno.

- Może zatańczy pan ze mną, profesorze? W Berlinie u ojca widziałam kiedyś, że pan świetnie tańczy...

Profesor Henning poruszał się sztywno w takt sentymentalnego tanga, Kloss mógł więc poprosić Benitę. Przytulił ją do siebie, dziewczyna była chłodna i sztywna.

-Wydaje mi się - powiedział Kloss - że już gdzieś panią widziałem. - Tylko ten banał przyszedł mu do głowy.

- Czy zawsze rozpoczyna pan rozmowy w ten sposób?

- Nie - odparł. - Znakomicie się z panią tańczy, Benito. Zaprowadził ją do baru, napełnił kieliszki. Piła bardzo ostrożnie, dotykała tylko wargami alkoholu.

- Jak długo zabawi pani w Warszawie?

-Nie wiem. A dlaczego pan o to pyta?

- Mógłbym pani na przykład pokazać to miasto.

- Sądzi pan, że jest tu cokolwiek godnego uwagi?

- Być może - odpowiedział. - Uczyniłbym to zresztą nie ze względu na Warszawę, ale ze względu na panią. — I poczuł, że dławi go to zdanie.

Mężczyźni w galowych mundurach coraz częściej sięgali po kieliszki. Rozmowy stawały się głośniejsze. Kloss łowił strzępy tych rozmów, patrząc ciągle na Benitę, która nie była aż taka brzydka, a jednak przecież dostatecznie brzydka, by zainteresowanie Klossa mogło wywołać zdziwienie.

-Franz właśnie wrócił spod Kurska — szczebiotała jakaś dziewczyna. - Podobno zaczynamy nową ofensywę.

- Mój brat - mówiła inna - przysłał mi suknię z Paryża. Żebyś ty wiedziała, co za suknia! Muszę ją trochę skrócić, a te tutejsze krawcowe...

- Wyjeżdżam jutro. - Oficer Wehrmachtu przyciskał rękę swej towarzyszki. - Został nam tylko jeden wieczór, Berto.

Nad wszystkimi głosami górował śmiech Ilzy.

- Pijcie, panowie! - wołała. - W tym przeklętym mieście trzeba od czasu do czasu solidnie się upić. - Przyciągnęła do siebie Rupperta i tańczyli teraz razem, znowu sentymentalne tango, potem patefon nagle się zaciął i powtarzał w kółko ten sam refren.

Von Henning i Lothar stanęli przy barze nieco z boku, jakby chcąc podkreślić swoją odrębność. Obaj z pełnymi kieliszkami w rękę, obaj nieco zbyt poważni i uroczyści.

- Kim jest ten młody człowiek, który tańczy z Be-nitą? - spytał von Henning.

- Porucznik Hans Kloss - odpowiedział Lothar. - Niezły oficer. Pochodzi z dobrej rodziny.

Twarz Henninga nic nie wyrażała. Pił, potem odstawił kieliszek na ladę.

-Nie czuję się zbyt dobrze w tym mieście - stwierdził. - Ostrzegano mnie zresztą, że trzeba bardzo uważać.

- Może pan być zupełnie spokojny, profesorze - odrzekł Lothar. - Mam znakomitych ludzi, którzy rozumieją, że tutaj także jest front.

Kloss tańczył ciągle z Benitą i myślał o Annie. Może Anna czeka jeszcze na niego w pokoju na Pradze. Ale on wyjdzie stąd ostatni, wyjdzie razem z Benitą, przynajmniej postara się z nią wyjść, bo jeśliby Ruppert zawiódł, znajomość z Benitą może stanowić szansę.

- O czym pan myśli, poruczniku? - spytała Benita.

- O pani — odpowiedział bez wahania i przytulił ją nieco mocniej do siebie. Teraz się już nie opierała, ale jej oczy spoglądały ciągle czujnie zza okularów. Kloss czuł na sobie także inny wzrok, wzrok Rupperta. Kapitan stał przy barze i pił jeden kieliszek po drugim. Podeszła do niego Ilza.

- Nie pij już, Willy - szepnęła. - Wystarczy. - Chciała mu odebrać kieliszek, ale nie pozwolił.

Ilza podeszła do fortepianu i uderzyła palcami w klawisze; śpiewała mocnym, niskim głosem.

5

Spotkanie wyznaczono w kawiarni Pomianowskiego. Kloss, stojący po przeciwległej stronie Marszałkowskiej, zobaczył wchodzącego do kawiarni Rupperta, a po paru minutach wysiadającą z tramwaju Annę. Obserwował ten lokal już od pół godziny, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Doszedł do wniosku, że Ruppert nie był śledzony, a kawiarnia nie obstawiona. Postanowił jednak czekać, chociaż zdawał sobie sprawę, że jeśli przeoczył agentów gestapo, nic nie będzie mógł zrobić. Ciekawe, czy Ruppert przyniósł materiał?

Ruppert rozłożył tymczasem przed sobą „Berliner Zeitung” i umieścił na rozpostartej gazecie paczkę papierosów „Privat”. W paczce był mikrofilm, który udało mu się wykonać. Denerwował się. Czuł, że zabrnął w uliczkę bez wyjścia, był dostatecznie doświadczony, aby rozumieć, że żaden wywiad nie wypuszcza swych ofiar z potrzasku. Właściwie powinien strzelić sobie w łeb, ale wcale nie miał ochoty umierać. Bał się śmierci, wiedział, że się boi i brzydził się swoim strachem. Denerwował go także ten idiotyczny ceremoniał: rozpostarta gazeta, paczka papierosów i wreszcie hasło: „Spotykaliśmy się w Berlinie u Horsa”.

I odpowiedź: „Mieszkam niedaleko, dlatego tam chodzę”. Czy zjawi się ten sam jegomość, który szantażował go w tajnej jaskini gry? Więc po co to hasło? "Zobaczył w drzwiach ładną, dobrze ubraną dziewczynę. Rozejrzała się uważnie po kawiarni i ruszyła w kierunku jego stolika.

Te Polki bywają jednak świetne - zdążył jeszcze pomyśleć, nim stanęła przed nim z czarującym uśmiechem i powiedziała właśnie to zdanie: „Spotykaliśmy się w Berlinie u Horsa”.

Zerwał się z krzesła i wybąkał odpowiedź. Ona podała mu rękę i z tym samym uroczym uśmiechem usiadła obok niego.

- Niech pan zamówi kawę - powiedziała. - Niech pan się zachowuje tak jak na randce z przystojną dziewczyną. Tego przynajmniej mogli mu oszczędzić.

- Nie znoszę, gdy do tych spraw wplątuje się kobiety — oświadczył.

- Nic pan się nie zmienił — powiedziała głośno, gdy podeszła do nich kelnerka. - A co słyhać u ciotki Elżbiety?

- Nie znam żadnej Elżbiety - odburknął po dłuższej chwili.

- Ja też nie — odpowiedziała i zręcznym ruchem ściągnęła ze stołu paczkę papierosów. Zniknęła w jej torebce. - Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak - rzekł. - Proszę powiedzieć swoim zwierzchnikom - dodał - że pojutrze będzie nasze ostatnie spotkanie. Nic więcej dla was nie zrobię.

- Pięknie - odpowiedziała. - Wiec pojutrze o tej samej porze?

Opuściła kawiarnię pierwsza. Ruppert czekał jeszcze chwilę, chociaż spieszył się bardzo. Był już parę minut spóźniony, a profesor von Henning cenił nade wszystko punktualność. Wyszedł z kawiarni i ruszył niemal biegiem w kierunku dzielnicy niemieckiej. Nie dostrzegł na szczęście Klossa stojącego ciągle w bramie. Gdy mijał wartownika pilnującego Willi Henninga, ocierał pot z czoła. Był zmęczony, z trudem nad sobą panował, myślał tylko o tym, żeby Benita nic nie dostrzegła, bardziej bał się Benity niż jej ojca.

- Profesor czeka od dziesięciu minut - powiedziała sucho, podając mu rękę. Piękną willę w alei Róż przerobiono niedawno na pracownię profesora. W dużym pokoju, w którym stały jeszcze meble z fin de siecle'u, mieściło się coś w rodzaju sekretariatu Benity, w następnym, znacznie mniejszym, gabinet profesora. Wielkie biurko, stół kreślarski i okazałych rozmiarów szafa pancerna w rogu.

- Proszę na przyszłość pamiętać, że lubię punktualność - powiedział von Henning nie wstając.

- Tak jest - odrzekł Ruppert.

- Pił pan wczoraj - ciągnął dalej profesor tym samym tonem. - Proszę powstrzymać się od alkoholu, dopóki nie skończymy tej pracy.

Stanęli obaj nad stołem kreślarskim.

- Proszę przestudiować te plany - polecił von Henning. - Jako doświadczony saper powinien pan zrozumieć, jakiego rodzaju poletko doświadczalne jest mi potrzebne i...

W tej chwili na progu zjawiała się Benita.

- Telefon z Berlina, ojciec - zameldowała. - Nie mogę przełączyć.

- Proszę na mnie poczekać, Ruppert - powiedział profesor. - To trochę potrwa.

Kapitan został sam w pokoju. Oto nadarzyła się okazja, może jedna jedyna, żeby wyplatać się ostatecznie z sieci, jeśli wyplatanie jest naprawdę możliwe. Ma pewno bardzo niewiele czasu, ale jednak chyba dosyć, by wykonać zdjęcia wyrzutni, przekazać je im i nie zobaczyć już nigdy więcej ani Szmida, ani tej młodej dziewczyny, która naprawdę była zbyt ładna, żeby ją mieszać do takiej roboty. Ruppert pochylił się nad planami. Miniaturowy aparat miał w górnej kieszeni munduru. Obserwując ciągle drzwi, nasłuchując kroków, zrobił zdjęcia.

Nie podejrzewał, nie mógł podejrzewać, że jest bacznie śledzony. Przy małym wizjerze, ukrytym w ścianie za portretem Fuehrera, stał w sąsiednim pokoju sturmbannFuehrer Lothar. Obok niego Benita. Na twarzy Lo-thara pojawił się zły uśmiech. Nie spuszczał oczu z fotografującego Rupperta.

- Podejrzewałem - oświadczył. - Podejrzewałem, że polski wywiad spróbuje go skorumpować. Już raz im się to udało. Dowiedzieliśmy się za późno, a jednak dosta tecznie wcześniej...

- Co pan teraz zrobi? - zapytała Benita.

- Zobaczy pani, Fräulein Benita - uśmiechnął się Lothar.

6

Klossa nie opuszczał niepokój. Gdy Marcin referował mu wyniki pierwszej rozmowy Anny z Rupper-tem, chodził dużymi krokami po składziku.

- Za łatwo to poszło - powiedział. - Boję się, że poszło zbyt łatwo.

- Wątpisz w autentyczność tych planów? - zapytał Marcin. -Ja traktuję to jako wielki sukces.

Tak, na pewno sukces, skąd więc ten lęk, nie opuszczający Klossa ani na chwilę. Ruppert, jak twierdził Adam, był zwerbowany przed wojną przez berlińską ekspozyturę „dwójki” i niemiecki kontrwywiad nie wpadł na jego ślad. Po aresztowaniu Sosnowskiego, polskiego rezydenta w Berlinie, przestał dla nas pracować, zostawiono go w spokoju. Służył cały czas w Wehrmachcie. Więc chyba wszystko w porządku. Jeśli tak doświadczony człowiek wywiadu jak Adam nie dostrzega żadnej pułapki, on, Kloss, może spać spokojnie.

Nie, nie może; zna Rupperta. Wie, że wystarczy go przycisnąć, nawet niezbyt mocno, by wyśpiewał wszystko. Jeśli sturmbannFuehrer Lothar żywi choćby najdrobniejsze podejrzenie... Jutro o dwunastej rano Ruppert spotka się po raz drugi z Anną w kawiarni Pomianow-skiego. Kloss najchętniej me dopuściłby do tego spotkania, ale co może zaproponować Marcinowi? Będzie więc znówu sterczał na Marszałkowskiej i obserwował kawiarnię. Nie tak łatwo dostrzec agentów gestapo, ale jeśli będą, należy ich dostrzec przynajmniej parę rminut przed przyjściem Anny.

- Plany wyrzutni - powiedział marzycielsko Marcin.

-Jutro będziemy mieli plany wyrzutni.

- A potem ktoś inny przejmie kon:akty z Ruppertem

- oświadczył Kloss. — Anna powinna na pewien czas opuścić Warszawę.

- Dobrze, dobrze - zgodził się natychmiast Marcin. -Jak tam z Benitą Henning? - zapytał.

- Będzie zbyteczna, jeśli Ruppert dostarczy plany.

- Nie rezygnuj z niej. Wszystko się może zdarzyć.

Tak, Kloss nie rezygnował. Telefonował do Benity już dwukrotnie, umówili się na wieczór i będzie to jeszcze jeden wieczór odebrany Annie; pomyślał, że Anna musi jednak wyjechać. Człowiek w tej robocie powinien być sam. W jego życiu nie ma miejsca dla Anny.

Wieczorem długo spacerował z Benitą pustymi Alejami Ujazdowskimi. Ta brzydula w okularach nie była głupia; raczej niebezpieczny przeciwnik, jeśli traktować ją jak przeciwnika. Rozmawiali o Warszawie, Kloss opowiadał o zniszczeniu miasta i Benitą natychmiast stwierdziła, że mówi na ten temat zbyt długo... Ze jego ton... Czyżby popełniał tak idiotyczne błędy? Wiedział przecież, że nie wolno mu ani na chwilę wypaść z roli. Przypomnił sobie „Żółty Krzyż” Struga, książkę, którą ogromnie lubił. Claude uwierzył, że jest Niemcem. Czy on też powinien uwierzyć?... Szaleństwo!

- Żal panu Warszawy? - spytała Benitą.

- Nie — oświadczył spokojnie. — Nie jestem sentymentalny.

- Niemcy bywają sentymentalni - stwierdziła. - To taka niemiecka cecha. Nawet potrzeba niszczenia jest dla nas potrzebą emocjonalną.

- Być może — rzekł sucho. I wziął ją pod rękę.

Uśmiechnęła się, leciutko przytuliła się do niego. Pomyślał, że powinien zaprosić ją do siebie. Odrzucił jednak tę myśl; jeszcze ma czas, jeszcze nie wiadomo, czy będzie mu potrzebna. W tej chwili usłyszeli kroki patrolu, dowódca zaszutrował. Dochodzili właśnie do rogu Piusa XI, gdy po przeciwległej stronie ulicy ukazał się jakiś człowiek. Szedł bardzo szybko, przy murach kamienic. Było już dobrze po godzinie policyjnej, więc musiał się spieszyć.

Zdąży - pomyślał Kloss - nie zauważą.

Ale zauważyła Benitą.

- Patrol! - krzyknęła.

Tamci stanęli w miejscu. Natychmiast dostrzegli.

- *Halt!* - wrzasnął dowódca.

Człowiek rzucił się do ucieczki. Żandarm zdjął peem, strzelał spokojnie, krótkimi seriami. Tamten potknął się, potem opadał powoli na chodnik.

- Chodźmy - powiedział Kloss. Czuł krople potu na czole. Dłoń spoczywała na kaburze; dopiero teraz dostrzegł, że instynktownie otworzył kaburę. Gdyby wyjął broń...

- Chciałeś strzelać - powiedziała Benita. - Z pistoletu nie trafiłbyś do niego.

Dławiła go nienawiść. Widział jej twarz; zdjęła okulary, a bez szkieł jej oczy były puste i bezbarwne.

- Chodźmy - rzekł.

Ujęła go pod rękę. Przytuliła się mocniej; oddychała szybko, jej dłoń, gdy dotknęła jego dłoni, była wilgotna.

- Chodźmy - powtórzył. - Gdzie mieszkasz?

-Nie wiesz, gdzie zakwaterowano profesora Henninga? Twój przyjaciel Ruppert ci nie powiedział?

Z trudem wracał do swojej roli. Myślał teraz o jednym: zabijać, zabijać, zabijać...

- Z Ruppertem się nie przyjaźnię - oświadczył. Każde słowo wypowiedziane po niemiecku sprawiało mu ból. -Po prostu go znam.

- Nie w twoim typie?

- Nie. Wolę ludzi twardszych.

-Ja też - powiedziała. -Ja też. Ty jesteś twardy, prawda?

7

Rankiem następnego dnia, gdy tylko przyszedł do biura, wezwał go pułkownik Recke. Recke był oficerem starej szkoły. Z kadry Abwehry, która nawet Canarisa uważała za nowego człowieka. Nosił monokl. Sztywny i suchy, mówił krótko, rzeczowo, tylko to, co niezbędne. Lubił alkohol, ale starannie to ukrywał przed podwładnymi.

- Pójdzie pan do Lothara — oświadczył. — O dziesiątej trzydzieści zamelduje się pan na Polizeistrasse.

-Tak jest!

- Ci ludzie mają do nas znowu jakieś pretensje. Proszę wysłuchać. Umie pan milczeć?

- Umiem.

- Nie podejmować żadnych dyskusji z Lotharem. Abwehra wie wszystko, ale nie wszystko wykorzystuje. Jasne?

O dwunastej Anna spotka się z Ruppertem u Pomia-nowskiego. Jeśli konferencja z gestapowcem potrwa dłużej, nie będzie mógł jej ubezpieczać. A może Recke wie coś o Ruppencie? Nie mógł

oczywiście pytać; taki stary abwehrowski sztywniak ma na pewno w głowie całe archiwum. Wykorzystuje tylko to, co się opłaca. Jemu albo Canarisowi. Jaką grę grają? Kloss od dawna podejrzewał, że Recke prowadzi skomplikowane rozgrywki i traktuje Abwehrę jak prywatną organizację. Czy uda się to wykorzystać?

Stał przed szlabanem na Szucha, spojrzął w głąb tej ulicy, którą pamiętał z dzieciństwa. Na rogu Litewskiej mieszkała ciotka Ludka - siostra matki. Pomyślał, że przyjdzie przecież czas, gdy znikną stąd szlabany...

Z ciężarówki, która właśnie nadjechała, SS-mani spychali ludzi na płyty chodnika. Starsza kobieta spojrzała na Klossa pustym wzrokiem. Poszedł dalej... Czekał dobrą chwilę, zanim zaproszono go do gabinetu Lothara. Nie opuszczał go obraz tej starszej kobiety, która patrzyła nań, jakby był powietrzem. Wyglądała na starą nauczycielkę...

Lothar reprezentował ten typ gestapowca, który Kloss uważał za najniebezpieczniejszy. Stary członek NSDAP, przekonany, że pomijano go dotychczas w karierze, gotów był uczynić wszystko, by podskoczyć o jeden szczebel wyżej. Przed przewrotem jeździł po Niemczech jako komiwojażer niewielkiej wytwórni kosmetyków, nie umiał reklamować towaru i klepał biedę. Jedną z pierwszych czynności w SD było zadenuncjowanie dawnego chlebobdawcy; zastrzelił go osobiście w małym obozie pod Hamburgiem, podobno miał potem nawet jakieś przykrości. Kloss wiedział, że Lothar nie cierpi oficerów Wehr-machtu; traktował ich wszystkich jak potencjalnych zdrajców. „Fuehrer też im nie wierzy” - powtarzał nieustannie.

Przyjął Klossa chłodno; wstał, uniósł przepisowo ramię, potem wskazał mu fotel. Nie należał do ludzi, którzy mówią wprost, o co im chodzi. W ciągu kilku lat posiadał wszystkie policyjne nawyki: kluczyć, okrążyć cel, wycisnąć z rozmówcy, co się da, nie ujawniając, jak długo to możliwe, swoich informacji. Rozmawiali o profesorze Henningu. Lothar bez uśmiechu stwierdził, że nie uszedł jego uwagi flirt Benity z Klosssem. Fakt, że Kloss tańczył z córką profesora, a potem odprowadził ją do domu, urastał w tym gabinecie do rangi informacji pierwszorzędnej wagi. Czy Kloss otrzymał od swego szefa jakieś polecenie zainteresowania się Benitą? Czy pułkownik von Recke rozmawiał z nim o von Henningu?

Wzruszył ramionami. Przez duże okno widział dziedziniec gmachu przy alei Szucha, która nazywała się teraz Polizeistrasse. Ukradkiem spojrzął na zegarek. Było już po jedenastej. Czy Lothar powie nareszcie, o co mu chodzi? Wyjaśnił, że nie miał oczywiście żadnych poleceń od swego szefa. Przecież bezpieczeństwo profesora gwarantuje całkowicie Sichereichsdienst. A z Benitą po prostu przyjemnie się rozmawia.

Czekał. Nie zadawał żadnych pytań; każde pytanie mogło tylko wzbudzić czujność gestapowca. Wskazówki zegara poruszały się zastrasżająco szybko. Kloss pomyślał, że przecież jego niepokój jest zapewne bezpodstawny; gestapo miało do Abwehry rozmaite pretensje i rozmaite sprawy. Dlaczego sądzi, że rozmowa będzie dotyczyła Rupperta? Skąd jednak zainteresowanie Benitą?

Wreszcie Lothar zadał pytanie. Tylko niemal niedostrzegalne ściszenie głosu i zmiana akcentu wskazywały, że poruszona została nareszcie sprawa, dla której zaproszono na Szucha oficera Abwehry.

Gestapowiec chciał mianowicie wiedzieć, czy Abwehra posiada jakieś informacje o kapitanie Ruppencie...

Kloss poczuł, że serce uderzyło mu gwałtowniej. Zapalił papierosa, spojrział znowu na zegarek. Zbliżało się wpół do dwunastej. Wie czy nie wie? Odpowiedział ostrożnie, zgodnie z instrukcją pułkownika Recke:

- Ruppert był, jeśli jestem dobrze poinformowany, dokładnie sprawdzony przez SD.

- Proszę o wyraźną odpowiedź — zażądał Lothar. — Pan usiłuje kluczyć, jak wszyscy oficerowie Abwehry.

- To oskarżenie jest bezpodstawne - odparł chłodno Kloss. - Nie mam archiwum Abwehry w głowie.

- Wystarczy - stwierdził gestapowiec. Podniósł nieco głos, opierając, wzorem Fuehrera, lewą dłoń na biurku. - Abwehra lubi zachowywać swoje archiwum dla siebie, co? A może wam nie przeszkadzało, że Ruppert był przed wojną na usługach polskiego wywiadu?

- Ruppert?! - Kloss musiał odegrać zaskoczenie, a wskazówki zegarka wirowały mu przed oczyma. Więc wie! Widział już Rupperta w kawiarni Pomianowskiego i gestapowców czekających na Annę. Lothar zastawił oczywiście pułapkę. A może podejrzewa także Klossa? Może chce, żeby Annę wprowadzono do jego gabinetu wówczas, gdy on, Kloss, jeszcze tu będzie? Musiał natychmiast uprzedzić dziewczynę. Teraz liczyły się już minuty.

- Nic nam nie wiadomo o zdradzie Rupperta - stwierdził. - Jeśli go zdemaskowaliście, gratuluję sukcesu - dławił się własnymi słowami.

- A zdemaskowałem go. Zdemaskowałem - powiedział Lothar. - I to bez waszej pomocy. Jesteście organizacją - ryknął nagle - która nie wykonuje swych obowiązków! Może to pan powtórzyć swojemu szefowi!

- Kto przydzielił Rupperta Henningowi? - zapytał Kloss. - Sprawdzenie jego przeszłości również powierzono wam. - Spojrzął ostentacyjnie na zegarek.

- Spiesz się pan? - głos Lothara zabrzmiał ironicznie.

- Spieszę się - odpowiedział Kloss. - Co mam przekazać pułkownikowi Recke? - Była za kwadrans dwunasta.

- Chwileczkę. Chciałem panu zadać parę pytań. Osobistych, Kloss. Pan przyjaźnił się z Ruppertem?

- Przesada. Znałem go.

- Rozmawiał pan z nim o Henningu?

- Byłem wtedy na przyjęciu - odpowiedział Kloss. - Podobnie jak pan. Przedstawił mnie Benicie.

Ruppert czeka już w kawiarni, Anna będzie tam za chwilę. Jest punktualna. Zawsze była, niestety, punktualna. Lothar na pewno nie aresztował Rupperta; wycisnął z niego wszystko i za chwilę będzie miał Annę. On już nie zdąży; jest za dziesięć dwunasta.

- Aresztował pan Rupperta? - zdecydował się na pytanie.

Na twarzy Lothara pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Teraz i on spojrzał na zegarek.

- Uważa mnie pan chyba za idiotę, Kloss. Proszę po wiedzieć pułkownikowi von Recke, żeby przeszkalał te swoje archiwa. Jeśli jest coś o Ruppeicie, dostarczcie mi. Niewiele się od pana dowiedziałem.

Kloss wstał.

Pięć minut. Zostało mu jeszcze pięć minut.

Długi korytarz. Schody. SS-man podniósł kratę. Znowu korytarz. Powinien biec, ale musi iść wolno, obojętnie minąć wartownika, jakie ma zresztą jeszcze szansę? Dwunasta za trzy minuty.

W tej właśnie chwili, gdy Kloss opuszczał gmach na Szucha, w kawiarni Pomianowskiego kapitan Ruppert zamawiał kawę. Spojrzał przez szybę, rozłożył na stole gazetę i rzucił na nią pudełko papierosów. Żał mu właściwie było tej dziewczyny, na którą czeka w rogu sali dwóch agentów Lothara po cywilnemu, ale z litością i goryczą myślał przede wszystkim o sobie. Oto do czego go doprowadzili! On, kapitan Willy Ruppert, oficer z wielką przyszłością, kochanek najpiękniejszej kobiety w Warszawie, musi odgrywać tu, w tej polskiej kawiarni, rolę przynęty, małego szpicla, którego można bezkarnie skopać i zeszmacić. Nienawidził teraz ich wszystkich: Lotharów w czapkach z trupimi czaszkami, brutalnych i pewnych siebie, Polaków, którzy zmusili go do zdrady i tych mijających go na ulicach, o wzroku utkwionym w ziemię, żeby ukryć strach i pogardę. Starszy pan wybijał jakąś melodię na pianinie; fatalnie fałszował ten starszy pan; Ruppert ma absolutny słuch, stara się więc nie słuchać; znowu spojrzał w szybę. Ta dziewczyna powinna już być! A może nie przyjdzie? Chciałby, żeby nie przyszła, właściwie naprawdę chciałby, żeby jej nie dosięgli oprawcy z Polizeistrasse, ale natychmiast ogarnął go strach. Lothar nie uwierzy, oświadczy, że Ruppert go okłamał. Jaki los go czeka? Dwaj agenci obserwowali go uważnie. Znał te twarze, chłodne twarze zbirów. Obaj jednocześnie spojrzeli na zegarki. Niecierpliwili się.

Kloss złapał właśnie riksę na placu Unii.

- Spiesz się, bracie - powiedział po polsku. Niewiele go teraz obchodziła konspiracja. Rikszarz spojrzał ze zdziwieniem i nacisnął pedały. Mknęli prosto Marszałkowską. Pięć po dwunastej. Kloss rzucił chłopcu pieniądze i wyskoczył z rikszy. Był znowu niemieckim oficerem, któremu nigdzie nie pilno. Przeszedł obok kawiarni Pomianowskiego; spojrzenie przez szybę i uczucie ulgi obezwładniające niemal. Ruppert siedział sam przy stoliku. Natychmiast myśl: co się stało z Anną?

Anna szła Wilczą do Alej Ujazdowskich. Spieszyła się. Minęła grupkę ludzi zgromadzonych przy Bekanntma-chung przyklejonym na murze. Gdy dochodziła do rogu Mokotowskiej, zobaczyła nagle przed sobą pustą ulicę. Był to zawsze sygnał alarmowy. Przechodnie zniknęli z Wilczej. Jakiś sklepikarz z sutereny zatrząskiwał drzwi swojej nory. Przystanąła. W tej chwili otarła się niemal o nią rozpedzona paniusia z bochenkiem chleba wystającym z torebki.

- Łapią na rogu Kruczej - szepnęła.

Anna natychmiast zmieniła trasę. Trudno - spóźni się o dziesięć minut. Skręciła w Mokotowską, doszła aż do placu Zbawiciela, omijając niebezpieczny kwadrat. Na Marszałkowskiej wydawało się bezpiecznie; gazeciarz wykrzykiwał „Nowy Kurier Warszawski”, ludzie sterczeli na przystankach, a na rogu starszy pan w okularach sprzedawał jak zwykle papierosy własnej roboty w gilzach „Morwitan”. Anna знаła tego starszego pana. Był przed wojną wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Leśnictwa. Uśmiechnęła się do niego i przyspieszyła kroku. Było już dziesięć po dwunastej.

Kloss czekał. Z której strony nadejdzie Anna? Czy kawiarnia jest obstawiona czy są tylko w kawiarni? Musi zauważyć Annę dostatecznie wcześniej, w przeciwnym wypadku... Stał w bramie. Nadjeżdżający tramwaj przysłonił mu na chwilę przeciwną stronę Marszałkowskiej. Tramwaj ruszył i wtedy zobaczył Annę! Jak trudno me bieć! Gdy przechodził przez jezdnię, wojskowy samochód otarł się niemal o niego. Anna była już na krawędzi chodnika, spostrzegła Klossa dopiero, kiedy podszedł do niej i potrącił ją tak gwałtownie, że torebka dziewczyny upadła na ziemię.

- Przepraszam - powiedział podnosząc torebkę. I dodał: - Nie idź tam. Gestapo!

Anna natychmiast zawróciła i zniknęła w tłumie. Kloss został sam. Skręcił w Piusa XI. Potem w ciągle pustą Mokotowską. Stał i wyciągnął papierośnicę. Ręka mu drżała, gdy zapalał zapalną.

Uspokój się, idioto - pomyślał. - Uspokój się, ona jest bezpieczna.

Na murze starej kamienicy zatarty, ale przecież widoczny, wymalowany koślawymi literami, widniał napis: „Warszawa walczy”.

8

O 12.40 agenci gestapo podeszli do czekającego ciągle Rupperta.

- Idziemy - oświadczył jeden z nich - ona już nie przyjdzie.

Ruppert podnosił się niechętnie z krzesła; wiedział, co go czeka. Miał jeszcze odrobinę nadziei, gdy znaleźli się na Marszałkowskiej. Może się po prostu spóźniła, może ją jednak zobaczy! Ostatecznie pał diabli tę polską dziewczynę, chodzi przecież o niego, o Rupperta. On był właściwie bez winy, chciał żyć spokojnie i do niczego się nie mieszać. Nie lubił hitlerowców, ale nie miał także nic wspólnego z Polakami. Polacy dwukrotnie zmusili go do współpracy, a teraz zmusił go Lothar. Ojciec Willego, przemysłowiec z Ruhry, miał rację mówiąc, że człowiek jest tylko śrubką w

maszynie i nie ma właściwie żadnego wpływu na kształtowanie własnego losu. Nie warto być bohaterem, warto natomiast mieć pieniądze i kobiety. A jeśli chodzi o cenę... Jaką cenę trzeba będzie zapłacić teraz za własne życie?

Lothar czekał już w gabinecie. Popatrzył na Rupperta swym szklanym wzrokiem, zapalił papierosa, nawet mu nie proponując.

- Okłamałeś nas - powiedział - a nas nie wolno okłamywać.

Ruppert chciał krzyknąć, że jest oficerem niemieckim, że nie pozwoli ze sobą tak rozmawiać, że nie wolno mówić mu per „ty”, nawet jeśli jest podejrzany - że za kampanię polską otrzymał Żelazny Krzyż, ale wybełkotał tylko:

- Ja naprawdę się z nią umówiłem, może mi pan wierzyć! Bał się. Czuł krople potu na czole, miał dłonie wilgotne.

Czy zobaczę jeszcze Ilze? - myślał bez przerwy.

Lothar obserwował go uważnie; strach Rupperta nie uszedł jego uwagi. Lubił, gdy ludzie się bali, były to jedyne momenty coś warte w jego życiu; doznawał wówczas szczególnej rozkoszy, niemal fizycznej. Nigdy nie bił, gdy na twarzy przesłuchiwanego zobaczył to, co dostrzegał teraz na twarzy Rupperta. Wiedział wówczas, że to jego człowiek, że należy go oszczędzać, ale później zmieniał często zdanie i umiał zastrzelić bez wahania tchórza z którego już wszystko wycisnął.

- Dobrze sobie przypomnij - cedził słowa - nikomu nie powiedziałaś o naszej rozmowie?

- Nikomu, panie sturmbannFuehrer.

- Ilzie?

- Nie wspominałem Ilzie - powiedział Ruppert, a chciał krzyknąć: „Wara ci od tej dziewczyny, jak śmiesz mówić o niej po imieniu?”

-Jesteś pewien?

- Proszę mi wierzyć, panie sturmbannFuehrer.

W pobliskim pokoju rozległ się krzyk, urwany nagle, a Ruppert doznał złudzenia, że ten krzyk trwa, jakby ktoś puścił płytę, powtarzającą ciągle ten sam dźwięk.

Lothar uśmiechnął się, a uśmiechał się rzadko.

- Daję ci szansę - powiedział. - Właściwie nie powinienem tego robić, bo jesteś szmata i zdrajca, ale mam do ciebie słabość. Jeśli w ciągu dwóch dni znajdziesz tę dziewczynę...

-Jak mam to zrobić? - spytał Ruppert.

- Twoja sprawa, mój drogi. Myśmy nie kazali ci brać pieniędzy od polskiego wywiadu... To twoja ostatnia szansa, Ruppert, a jeśli nie, wiesz, co cię czeka?

-Wiem - powiedział i wiedział naprawdę. Przed oczyma miał pusty dziedziniec gmachu przy Polizeistrasse, kamienne płyty, codziennie polewane i czyszczone. Gdzie zabijają? Pewno nie na dziedzińcu, tylko w piwnicy, w ciemności. Ruppert nie chciałby umierać w ciemnościach. Od dziecka bał się ciemności.

- A wstąp tam, mój drogi, do tej meliny - dodał Lothar. - Może spotkasz swojego starego znajomego, Szmidta. Bardzo chciałbym z nim pogadać.

Więc pozwalają mu odejść i Ruppert odchodzi, nie myśląc, że to tylko odroczenie wyroku. Wyjść - najważniejsze w tej chwili wyjść i nie widzieć bladej gęby Lothara i kamiennych płyt dziedzińca tego gmachu.

9

- Anna musi zniknąć - powiedział Kloss. - Lothar ma jej rysopis.

Siedzieli we trójkę w składziku. Marcin rozkładał figury na szachownicy, potem spychał je lewą ręką do pudełka. Anna położyła dłoń na ramieniu Klossa.

- Przesadzasz - uśmiechnęła się - najwyżej zmienię uczesanie.

Nie rozumieli, ciągle nie rozumieli! Nie doceniali przeciwnika, lata okupacji wpoily im przede wszystkim pogardę dla Niemców.

- Zrobiamy wszystko, żeby cię znaleźć - tłumaczył. -Lothar teraz wie, że postanowiliśmy dotrzeć do Hen-ninga. Będzie go pilnował lepiej niż Kutschery. Lothar to niebezpieczny przeciwnik.

- Otrzymałem ponaglenie - Marcin mówił cicho, nie przerywając zabawy szachami. - Plany Henninga musimy mieć za wszelką cenę.

- Zapłacimy wysoką cenę - powiedział Kloss przez zęby i pomyślał, że tą ceną może być Anna albo on, albo oni wszyscy, ale wiedział także, że nie zrezygnuje i tak już będzie do końca tej wojny: niewykonalne zadania, które trzeba wykonać...

- Masz jakiś plan?- zapytał Marcin.

- Przekaż Adamowi, że jest spalony - powiedział. -Najlepiej zerwij z nim na pewien czas kontakt.

- Już to zrobiłem. Więc masz jakiś plan?

- Tak - rzekł Kloss. - Potrzebna mi będzie Anna.

- Powiedziałaś, że musi zniknąć.

- Zniknie jutro - każde słowo sprawiało mu ból. Nie miał prawa narażać Anny, a musiał ją narażać, bo to była jedyna szansa, by nierealne zamienić w ledwie prawdopodobne.

- Zgadza się - powiedziała Anna. Kloss pomyślał, że brak jej wyobraźni; nie w pełni zdaje sobie sprawę z ryzyka. Podejmowała najtrudniejsze zadania i zawsze wierzyła, że to się musi udać. A przecież nie mogła wiedzieć, na czym polegał jego pomysł...

Jedyną szansę zdobycia planów von Henninga dawała Benita, brzydka dziewczyna w okularach, której nie należało jednak lekceważyć, bo wiedziała, że jest brzydka i nieczęsto jej oczy traciły wyraz czujności. Przyszła do niego wieczorem, tak jak umówili się telefonicznie, z doskonałą, iście niemiecką punktualnością. Zegar nad tapczanem wybił właśnie ósmą, gdy zastukała do drzwi.

- Ojciec spędzi wieczór u generała von Falkenheima -powtórzyła to samo, co słyszał już przez telefon i na czym opierał cały swój plan. - Mam czas dla ciebie - szepnęła, gdy zdejmował jej płaszcz - ale ciągle trochę się boję.

- Czego się boisz? - zapytał. Wchodzili już do pokoju, na stole stały dwa nakrycia, kieliszki, ogarnęła to jednym spojrzeniem.

- Gdy interesuje się mną ktoś sympatyczny... Czy mógłbyś zapomnieć na ten wieczór, że nazywam się Benita von Henning?

- Nie myślę o tym - powiedział, nie bardzo pewien, czy kłamie dostatecznie przekonująco. - Nie myślę, że jesteś najlepiej strzeżoną dziewczyną w Warszawie.

- To cię podnieca?

- Nie, nie! - zawołał szybko i posadził ją na krześle.

Spojrzała w kierunku otwartych drzwi do sypialni, potem wychyliła pierwszy kieliszek. Kloss nastawił tango. Benita tańczyła rzeczywiście świetnie, czuł, jak powoli ustępuje jej nieufność, jak przytula się do niego coraz serdeczniej... Potem zdjęła okulary i położyła je na stole.

- Świetnie tańczysz, Hans.

- Ty też, Benito - powiedział i tym razem nie kłamał.

- Rzadko tańczę. Na wieczorkach szkolnych siedziałam najczęściej pod ścianą.

- Głupstwo - szepnął Kloss - jesteś śliczną dziewczyną, Benito - chyba trochę przesadził, ale głupio czuł się w tej roli. Odsunęła się od niego.

- Kłamiesz, po co kłamiesz?

- Mówię prawdę - powiedział. - Pomyślałem to już wówczas, gdy zobaczyłem cię po raz

pierwszy na dworcu.

- Byłeś na dworcu?

- Przypadkowo - szepnął i zrozumiał, że popełnił znowu błąd. Nie należało tego mówić. W jej wzroku powrócił wyraz czujności.

Napełnił kieliszki, ona piła posłusznie, była już jednak trochę inna, nie zdejmowała okularów i nieustannie czuł na sobie jej uważne spojrzenie.

- Chcesz mnie upić? - zapytała.

- Czy to coś złego?

- Nie, oczywiście nie. Więc pijmy! - znowu przytuliła się do niego. - Tak rzadko bywam pijana, mam mocną głowę. Prawda, że mam mocną głowę?

Potem kazała przynieść sobie szklankę wody. Była to właśnie okazja, na którą czekał, miał już dosyć tego wieczoru i oszukiwania brzydkiej dziewczyny, której nieszczęściem było nazwisko von Henning. Wszedł do kuchni, napełnił szklankę wodą z kranu i wyjął z kieszeni małą fiolkę. Ten środek usypiający powinien działać natychmiast.

Nie przypuszczał i nie mógł dostrzec, że Benita wstała od stołu i przez otwarte drzwi widziała tę scenę. Była znacznie mniej pijana, niż Kloss sądził, właściwie zupełnie trzeźwa. Zobaczyła go z fiolką w dłoni i zrozumiała. Gdy wrócił do pokoju, siedziała już na swoim miejscu i oglądała pusty kieliszek.

- Nalej mi jeszcze - szepnęła. - Naprawdę chcę się upić.

Kloss podał jej szklankę, ona wzięła ją do ręki i podniosła do ust.

- A teraz nastaw patefon.

Zmieniał płytę. Benita wylała wodę do doniczki z kwiatami i trzymając ciągle pustą szklankę w rękę, udając, że już wypila, przytuliła się do niego, gdy patefon powtarzał znów sentymentalne tango.

- Naprawdę mi się podobasz - szepnęła: - Podobasz mi się znacznie bardziej niż Ruppert - wybuchnęła śmiechem. - Jesteś przystojniejszy i sprytniejszy. O, Hans, umiesz sobie radzić z dziewczętami!

Zaczęła śpiewać, potem urwała na-;le, Kloss czekał, aż zaciąży mu w ramionach i przymknie oczy. Środek usypiający powinien już działać, ona jednak ciągle mówiła:

- Mam ładny głos, prawda? Wszyscy mówią, że to jedno mam przynajmniej ładne. No, pocałuj mnie... Jesteś jednak nieśmiały, Hans.

Wreszcie opadła na krzesło. Kloss był już pewny, że z trudem pokonuje senność.

- No, nalej jeszcze, nalej swojej brzydkiej dziewczynie, którą tutaj podstępem zwabiłeś.

- Co ty wygadujesz, Benito?

Zanurzyła wargi w kieliszku.

- O Boże, jak mi się kręci w głowie. Hans, nie masz pojęcia, co się dzieje ze światem! Co ty ze mną zrobiłeś?

Odprowadził ją do sypialni, położył na tapczanie. Szepnęła jeszcze: - Chodź do mnie - i przymknęła oczy.

Kloss pochylił się nad nią; oddychała spokojnie i równo, ale wolał odczekać dobrą chwilę, zanim otworzył torebkę Benity i na jej dnie znalazł klucze. Przekonany, że dziewczyna śpi, wrócił do sąsiedniego pokoju. Wówczas Benita otworzyła oczy; z kieszeni sukienki wyjęła mały pistolet typu „Walter”. Zawsze nosiła broń, nawet w Berlinie, a tu, w Polsce, nie rozstawała się z nią nigdy. Pojawiła się na progu właśnie w momencie, gdy Kloss podchodził do dużej szafy.

- Stój - powiedziała - nie ruszaj się! Masz jeszcze ochotę na kieliszek koniaku?

Kloss odwrócił się gwałtownie. Zobaczył oczy Benity patrzące chłodno zza okularów i lufę pistoletu.

- Nie należy oszukiwać brzydkich dziewcząt - szepnęła cicho.

- Oszalałaś? - zawołał. - Co ty wyprawiasz? - Uczynił krok w jej kierunku.

- Nie za blisko, mój drogi. Teraz blisko już nie podchodź. Jestem zupełnie przytomna, nie wypita twojej mikstury. Byłeś jednak nieostrożny. - I po chwili, gdy Kloss stanął, dodała: - Ojca rzeczywiście nie ma w domu, dobrze to obmyśliłeś, Hans. Dla kogo pracujesz? Dla tych samych, co Ruppert?

- Jesteś idiotką - odpowiedział.

- Przynajmniej nareszcie szczerze — roześmiała się Benita. - Nie zbliżaj się, bo zacznę krzyczeć. Ktoś z twoich sąsiadów usłyszy... Posłuchaj uważnie. Wszystko mi teraz opowiesz, przynajmniej do tego mam prawo. Myślisz, że Niemcy przegrały wojnę, tak?

Kloss milczał.

- Nie chcesz mówić, co? A skąd wiesz, czy nie zgodziłabym się... współpracować z tobą? Nie pomyślałeś o tym, Hans. Tylko mi powiedz, dla kogo?

Kloss ciągle milczał, wreszcie ruszył w kierunku Benity. Obserwował uważnie jej twarz i broń; strzeli czy nie strzeli? Cofała się tyłem, już tylko parę kroków dzieliło ją od wielkiej szafy.

- Jeśli nie powiesz mi natychmiast wszystkiego, zacznę krzyczeć. Albo strzelę.

Oparła się wreszcie plecami o drzwi szafy. Kloss podchodził do niej licząc sekundy. Za chwilę...

- Stój! - krzyknęła Benita i wówczas drzwi szafy otworzyły się gwałtownie. Wskoczyła z niej Anna. Anna, przez cały czas milczący świadek tej sceny, wytrąciła Be-nicie pistolet, a obezwładnienie Niemki trwało już parę sekund. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Kloss pomyślał, że żał mu jednak, niepotrzebnie żał tej Benity von Hen-ning.

Leżała teraz związana na łóżku, usta miała zakneblowane, w jej oczach była tylko nienawiść i rozpacz, musiała patrzeć na Klossa i Annę kręcących się po pokoju, grzebiących w jej rzeczach. Patrzyła na Annę, która w jej sukience, w jej płaszczu, w jej okularach gotowała się do wyjścia.

- Anno - mówił Kloss na schodach, gdy opuścili mieszkanie - to bardzo niebezpieczne. Przejdziesz szybko obok wartownika, wartownik musi być pewny, że jesteś Benita. Znajdziesz się w pracowni Henninga, pamiętasz szkic Rupperta?

- Tak - szepnęła Anna.

- W rogu stoi szafa pancerna. Otworzysz szafę, zrobisz zdjęcia i potem wyjdiesz przez kuchnię... Będiesz mogła opuścić willę dokładnie w momencie zmiany warty... Ani na chwilę nie stracę cię z oczu... Będę cię ubezpieczał.

Pocałował ją, gdy znaleźli się w bramie.

- Pamiętaj, w którym miejscu są nieco niższe sztachety. .. Ale tylko w momencie zmiany warty... Wtedy wartownik nie patrzy na dziedziniec... No, idź już.

Noc była ciemna, ulica pusta. Przeszedł partol żandarmerii. Parę minut czekali jeszcze pod drzewem. Wreszcie Anna przebiegła jezdnię i potem wolnym krokiem podeszła do wartownika stojącego przed furtką willi Henninga. Kloss ukryty w cieniu drzewa ani na moment nie spuścił jej z oczu. Wyciągnął z kabury broń, zarepetował. Czekał, czując nieustanny łomot serca.

- GuteNacht, Fräulein-powiedział wartownik i Kloss odetchnął głęboko.

Anna podeszła do drzwi, wyjęła klucze z torebki, włożyła do zamka. Wydawało się przez chwilę, że zamek się zaciął, że drzwi nie puszczają. To trwało wieczność.

Żeby tylko wartownik nie zechciał jej pomagać - modlił się Kloss. Wreszcie otworzyła drzwi i znalazła się wewnątrz sanktuarium profesora. Kloss stracił ją z oczu.

Anna minęła hali i sekretariat Benity. Gabinet był otwarty. Teraz starała się nie myśleć, działała mechanicznie, według planu przygotowanego przez Klossa. Najpierw zasłonić okna, potem zapalić światło, wyjąć klucze i bardzo spokojnie, nie denerwując się i nie spiesząc, podejść do kasy pancерnej. Obrót klucza w zamku jeden, drugi, drzwi jednak nie puszczają. Anna poczuła krople potu na czole... Przerwała pracę.

Należy działać spokojnie - pomyślała - tylko spokoj.

Zaczęła znowu od początku. Usiadła. Pozwoliła sobie na parę chwil odpoczynku, gdy kasa otwarła się cicho.

Na środkowej półce leżały starannie ponumerowane teczki. Tajne plany profesora von Henninga. Anna rozłożyła je na stole, wyjęła aparat fotograficzny, spojrzała na zegarek... Ile czasu zostało jeszcze do zmiany warty?

Kloss czekał tymczasem ukryty za drzewem, niedaleko bramy, z bronią gotową do strzału. Jak długo to trwa? Nigdy czekanie nie wydawało się Klossowi tak potwornie bolesne i ciężkie. Wreszcie usłyszał warkot motoru, podjechał otwarty samochód wojskowy, wyskoczyli żandarmii. A może Benita jednak skłamała? A może profesor Henning nie opuszczał willi i wezwał żandarmów... Nie, wszystko przebiegało chyba według planu, to tylko zmiana warty. Żandarmi stanęli naprzeciwko siebie, rozprawiający udzielali instrukcji. Anna powinna teraz wyjść z willi.

Zgasiła właśnie światła, weszła do kuchni, jeszcze mocowała się z kuchennymi drzwiami, zamknęła je potem kluczem Benity. Znalazła się na tyłach domu, na dziedzińcu. Słyszała głosy wartowników, widziała żołnierza spacerującego wzdłuż ulicy. Pochylona, przebiegła w poprzek dziedziniec - to był najtrudniejszy moment. Przeskakując sztachetę, rozdarła sobie sukienkę. Cóż tam sukienka! Była już na sąsiedniej posesji. Wartownik spacerujący wzdłuż płotu odwrócił się akurat tyłem... Anna przytulona do muru dotarła do ulicy. Tam już czekał Kloss. Wziął ją pod rękę i zniknęli razem w ciemnościach. Milczeli długo. Sporo czasu musiało upłynąć, nim Anna wyszeptała:

-W porządku.

10

Ranek był słoneczny. Anna z teczką w ręku stała w małym pokoiku za sklepem antykwariusza. Świat wydawał jej się teraz radosny i piękny... Musi co prawda opuścić Warszawę, ale przecież niedługo wróci i znowu zobaczy Janka. Robotę, najtrudniejszą robotę ze wszystkich zleconych im dotychczas, już mają za sobą. Mogą być dumni. Niemcy nie domyśla się nigdy, że plany von Henninga przestały być tajemnicą Trzeciej Rzeszy.

- Co stanie się z Benitą? - zapytała. Marcin uśmiechnął się kwaśno.

- Wolałbym - mruknął - żeby obyło się bez porywania tej dziewczyny. Teraz mamy z nią solidny kłopot. Posłałem ludzi do mieszkania Klossa, przewiozą ją w szafie w bezpieczne miejsce na Mokotów.

-A co potem?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Zameldujemy centrali. Źle się stało. Zniknięcie Benity postawi na nogi całe warszawskie gestapo.

- A co mieliśmy robić? - Anna uśmiechnęła się radośnie. Znowu wzruszenie ramion.

- Boję się o Janka - stwierdził Marcin.

Teraz i Anna zaczęła się bać o Klossa. Rozstali się niedawno i wówczas, gdy się rozstawali, wydawało się Annie, że jest zupełnie bezpieczny, ale on przecież zostaje i w każdej chwili, w każdym miejscu grozi mu śmierć.

- Pozwól mi nie wyjeżdżać jeszcze z Warszawy. Marcin nie ukrywał złego humoru.

- Zostaw te głupstwa - powiedział ostro. - Natychmiast stąd jedź na dworzec i melduj się w Radomiu u Bartka. Jeśli cię tu jeszcze zobaczę, będę to uważał za niewykonanie rozkazu.

Gdy opuściła antykwariat, znowu powrócił jej radosny nastrój. Na ulicy nie widać było jakoś niemieckich mundurów, młody człowiek niosący kwiaty uśmiechnął się do Anny i Anna odpowiedziała mu uśmiechem. Szła powoli, rozglądając się, bo ciągle miała jeszcze nadzieję, odrobinę nadziei, że zobaczy Klossa, chociaż przecież wiedziała, że jemu nie wolno tu przyjść, że zajęty jest u siebie, w przeklętej Abwehrze. Stała na przystanku tramwajowym. Nadjeżdżało właśnie „O” i w tej chwili Anna zobaczyła zbliżającego się do niej kapitana Rupperta. Był już bardzo blisko, za blisko, by uciekać. Poznał ją, zanim zdążyła podjąć jakąkolwiek decyzję. Tramwaj stanął na przystanku. Anna pobięła do drugiego wagonu, ale Ruppert był już obok niej i chwycił ją za rękę.

- Proszę mnie puścić! - zawołała Anna. Ludzie omijali ich, wskakując do wozu, udając, że nic nie widzą. Tramwaj ruszył.

- Nie znam pana! - krzyknęła i uczepliła się uchwyty drzwi, ale na chodniku pojawił się patrol żandarmerii.

— Brać ją! — rozkazał Ruppert.

Lothar powiedział, że znalezienie tej dziewczyny jest ostatnią szansą Rupperta. Ruppert ją znalazł, ale czuł niesmak, gorycz w ustach, gdy meldował się u sturmbannFuehrera. Sądził, że mu przynajmniej podziękują, że może to się jakoś skończy, miał ciągle nadzieję, że wyrwie się z tej sieci. Ale reakcja Lothara była zaskakująca.

— Dureń jesteś! — wrzasnął gestapowiec.

Ruppert poczuł, że drżą mu ręce; w ciągu ostatnich paru dni przywykł do obelg, wiedział, że nie zareaguje już na żadną zniewagę, ale nie umiał ukryć drżenia rąk. Nieustannie powtarzał w myśli, co należałoby powiedzieć temu sztywniakowi, tej drobnej łajdaczynie, która nie wiadomo jakim sposobem osiągnęła władzę nad ludzkim życiem i śmiercią, ale milczał.

— Dureń jesteś - powtórzył już spokojniej Lothar. -Kto ci powiedział, że chcę ją aresztować, miałeś nie spuszczać jej z oczu - to wszystko. Taka szansa! Mając tę dziewczynę, mogliśmy dotrzeć do ich siatki. — Usiadł przy biurku i patrzył zimno na Rupperta. - Właściwie jesteś już niepotrzebny, Ruppert - powiedział. - Spaliłeś się, Ruppert. A może zrobiłeś to umyślnie? No, gadaj, może nadal prowadzisz podwójną grę?

Ruppert chciałby coś powiedzieć, zaprotestować, ale słowa zastygły na wargach.

Jestem niemieckim oficerem — myślał i milczał czując, jak sztywnieją mu kolana i pamiętając bez przerwy, że oto on, kapitan Ruppert z dobrej niemieckiej rodziny, stoi na baczność przed byłym komiwojazerem, który ma go w garści.

Ale wściekłość Lothara osiągnęła szczyt dopiero za chwilę. Zadzwoił telefon i meldunek, który odebrał właśnie sturmbannFuehrer, był tego rodzaju, że nawet on, wychowanek solidnej szkoły gestapo, stracił spokój. Zniknęła Benita von Henning.

Lothar wyrzucił z gabinetu Rupperta; wezwie go jeszcze i przydusi do ściany, teraz miał jednak co innego do roboty. Profesor von Henning zaalarmował już Berlin, dzwonił do gruppenFuehrera, a on, Lothar, nie rozumie i nie będzie rozumiał po paru godzinach przesłuchań, jak to się mogło stać. Wartownik, który pełnił służbę przy bramie, przysięgał, że Benita wróciła do willi około godziny 11.30 w nocy, przed zmianą warty. Wszyscy żandarmi, którzy potem pełnili służbę, oświadczyli, że nikt nie opuszczał już willi. Nikt też do niej nie wchodził. Dopiero nad ranem wrócił z przyjęcia u generała profesor von Henning. Jak to się więc stało? Jakim cudem mogła zniknąć Benita? Dokąd poszła? Kto ją porwał? I jeśli porwał, jak zdołał zmylić czujność wartowników? A może żandarmi byli w zмовie? Nie, to nieprawdopodobne! Ci, których wyznaczył do pilnowania willi, byli najlepszymi jego ludźmi, wielokrotnie sprawdzonymi, nie mogli zawalić takiej roboty.

To samo zameldował po paru godzinach gruppen-Fuehrerowi, gdy ten wezwał go do siebie, do swego obszernego gabinetu, którego okna wychodziły na pustą zazwyczaj Polizeistrasse. GruppenFuehrer siedział w fotelu i przyglądał się Lotharowi swoim zimnym wzrokiem. Lothar stał przed nim w postawie zasadniczej i myślał, że wobec niego jest niczym, pionkiem, którego w każdej chwili można wysłać na front wschodni albo zastrzelić w piwnicy. Nie budziło to w nim protestu; odczuwał tylko strach, ten sam strach, który powinni czuć ludzie stojący na baczność w jego gabinecie.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem, panie gruppen-Fuehrer — wyjaśniał.

— Nic pan nie zrobił — odpowiedział chłodno dostojnik. -Jeśli córka Henninga nie znajdzie się w ciągu dwóch dni, nie chciałbym być na pana miejscu. Co pan wie o Be-nicie von Henning? - zapytał.

- Nie rozumiem - powiedział, choć rozumiał doskonale.

- Przegrał pan wczoraj dużo pieniędzy.

- Nie ma o czym mówić - odparł niedbale.

- Przecież wiem, jak mało dają wam pieniędzy. Ograniczenia dewizowe... - zamilkł, jakby czekał, że Kloss mu pomoże. Wczoraj, kiedy Kloss wstał od stolika mówiąc, że patrzenie na goły brzuch tancerki jest jednak mniej kosztowne, Witte, zgarniając stos banknotów, z wyrzutem spojrzął na Christopulisa. „No i co pan narozrabiał? — mówiło to spojrzenie. — Zamiast przegrać, wygrałem". Chnstopulis zrozumiał niemy wyrzut.

- Jest jeszcze lepiej, niż było przedtem - powiedział cicho. - Ten człowiek sporo przegrał, ma więc kłopoty pieniężne, ale przecież dobry przyjaciel może mu pożyczyć. Powinien mu pożyczyć. I wziąć pokwitowanie -dodał wstając od zielonego stolika.

Witte czekał teraz na potwierdzenie Klossa, że przydziały dewiz są rzeczywiście skąpe, stworzyłyby mu to szansę zaofiarowania pożyczki. Ale Kloss milczał, patrząc nań pytającym wzrokiem. Więc Witte zaatakował frontalnie:

- Proszę mi powiedzieć szczerze, jak pan stoi z pieniędzmi?

- Uczciwie mówiąc, nie najlepiej — odparł Kloss myśląc, że jego rzucona na odczepnego sugestia, iż ktoś z konsulatu będzie się starał pożyczyć mu pieniądze, znajdzie potwierdzenie z najmniej spodziewanej strony.

Więc to Witte - pomyślał - jest człowiekiem, którego trzeba chronić.

-Proszę-powiedział Witte, podając Klossowi zwitek banknotów.

- Co to jest? - zapytał udając, że nie rozumie.

- Pięćset funtów, mniej więcej tyle pan przegrał.

- Nie mogę - powiedział Kloss - chyba nie mogę... -zawahał się.

- A może Benita opuściła willę dopiero rano? - powiedział Lothar.

- Żarty! - warknął profesor. - Nie radzę panu ze mną żartować. Gdy wróciłem, Benity już nie było.

- Czy zniknęło coś z jej rzeczy oprócz wieczorowej sukni, płaszcza i torebki?

- Nie, nic więcej nie zniknęło — rzekł profesor. — Ale Benita miała przy sobie klucze do kasy pancерnej, rozumie pan? Klucze do mojej kasy pancерnej.

- To nieostrożność — oświadczył sucho Lothar.

- Nieostrożnością było - odparował profesor - powierzenie panu strzeżenia mojej osoby.

Opuścił gabinet Lothara, nie podnosząc nawet ręki na pożegnanie. A Lothar przecież wiedział, że von Henning może sobie na to pozwolić, że profesora jeszcze przed wojną przyjmował w swojej willi w Berchtesgarden sam fuhrer.

Lothar kazał wezwać do siebie Klossa, ale przedtem postanowił przesłuchać jeszcze schwytaną przez Rup-perta dziewczynę. Jak należało przypuszczać, zaprzeczała wszystkiemu.

- Ten pan się omylił — szeptała — ja go nie znam.

Przyglądał się dziewczynie siedzącej na małym stołku pod drzwiami jego gabinetu. Wiedział, że w normalnej rozmowie nic z niej nie wycisnie, tu należało zastosować metody znacznie ostrzejsze, ale jeśli je zastosuje, nie był pewien, czy dziewczyna wytrzyma.

- Masz tylko jedną szansę: powiedzcie prawdę - mówił. - Chcemy niewiele: twój kontakt i adresy...

- Nie wiem, czego ode nie chcecie.

-Radzę ci się zastanowić. Pokażę ci ludzi, którzy także twierdzili, że nic nie wiedzą. Zobaczysz, jak teraz wyglądają.

Milczała. Czy jego słowa wywarły na niej jakieś wrażenie?

- Komu odniosłaś dokumenty dostarczone przez Rupperta?! - krzyczał. - Kornu je odniosłaś?

Zacisnęła usta. Była bardzo blada, w jej oczach dostrzegł strach, na pewno strach, ale milczała.

- My i tak wszystko wiemy - mówił spokojnie. - Wyjdiesz za godzinę na wolność, jeśli powiesz.

Pochylił się nad nią. W palcach trzymał zapalonego papierosa. Widział bardzo blisko twarz Anny i zbliżał powoli papieros do jej policzka.

- Gdzie jest Benita von Henning? - zapytał.

- Nic nie wiem - szepnęła. - Nie znam takiej pani.

-Jesteś twarda, co? Tym gorzej dla ciebie. Za godzinę zaczniesz mówić inaczej.

Na progu stanął SS-man i zameldował przybycie porucznika Klossa.

- Niech wejdzie - powiedział Lothar i kazał wyprowadzić Annę.

Spotkali się na progu, Anna nie podniosła głowy, nie spojrzała na niego, bo bała się, że Lothar dojrzy w jej oczach coś, czego nie powinien zobaczyć. Zęby tylko Janek nie dał nic po sobie poznać. Krew odpłynęła z jego twarzy. Anna zobaczyła tylko gest, niedostrzegalny i niedorzeczny gest przesunięcia kabury na brzuch. Po co to zrobił? Nie należało tego robić.

- Złapaliśmy ładnego ptaszka — powiedział Lothar. -Agentka z polskiej siatki — wyjaśnił.

- Zdjął pan siatkę? - Kloss nie wiedział, jakim cudem udaje mu się panować nad sobą.

-Nie.

- Powiedziała? - zapytał Kloss. Czy gestapowiec usłyszał drzenie jego głosu?

- Powie - stwierdził spokojnie Lothar.

Kloss siadł na krześle, nie czekając zaproszenia.

- Może nie trzeba było jej zdejmować - oświadczył.

- Proszę się nie wtrącać do moich spraw! - wybuchnął Lothar. Jeszcze tego brakowało, żeby jakiś szczeniak z Abwehry powtarzał mu słowa gruppenfuehrera. —Nie po to pana tu wezwałem, żeby rozmawiać o polskich agentach aresztowanych przez gestapo. - Spojrzał zimno na Klossa. - Wczorajszy wieczór spędził pan z Benita von Henning.

Kloss spokojnie zapalił papierosa.

-Jest pan źle poinformowany - stwierdził. - Na spacerze z Benita byłem przedwczoraj. A o co chodzi?

- Proszę odpowiadać na pytania!

- Nie lubię tego tonu.

- Przyzwyczaj się pan - głos Lothara był teraz bezbarwny. — Skąd pan wie, czy wyjdzie pan stąd kiedykolwiek?

- Sądzę, że jednak wyjdę — odpowiedział Kloss. — Proszę zadzwonić do Benity i zapytać, czy byłem z nią wczoraj.

- Benita von Henning zniknęła - oświadczył sturmbann-fuehrer. - A pan, panie Kloss, jest jednym z podejrzanych.

- Żarty! - Teraz Kloss wybuchnął. Był to wybuch dobrze zagrany. Kloss wiedział, jak rozmawiać z takimi ludźmi. —Jak pan śmie — krzyczał — oskarżać oficera niemieckiego! Ja nie jestem Ruppertem, Lothar! Natychmiast dzwonię do Reckiego.

Ten bluff odniósł skutek.

- Proszę się uspokoić, Kloss - powiedział Lothar -pogadamy.

Wypytywał go o Benitę, o ich znajomość, Kloss odpowiadał, starając się zachować czujność, a jednocześnie myśląc ciągle o Annie. Anna jest tutaj. Jak można wydobyć Annę z alei Szucha? Kloss wiedział, że to równie trudne, jak zdobycie papierów von Henniga, ale wiedział także, że zrobi wszystko, by ją uratować.

To samo powtórzył po dwu godzinach w niewielkim, otoczonym ogródkiem domku na Mokotowie, w którym mieszkał Marcin. Marcin był zdenerwowany i niespokojny, właściwie nie chciał rozmawiać o Annie. Realista, nie lubił rozważać planów, które z góry uważał za niemożliwe do wykonania.

- Sklep i wszystkie adresy, które Anna знаła - oświadczył - uważam za spalone. Na dobrą sprawę ty też jesteś spalony. Nie wiem, czy centrala nie każe ci się wycofać z roboty.

Kloss siedział naprzeciwko niego z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Anna mc me powie.

Marcin nie potwierdzał i nie zaprzeczał. Wiedział, co dzieje się w alei Szucha, nie miał złudzeń i był przygotowany na każdą ewentualność. Rozumiał Klossa, ale rozumiał także, iż rezygnacja jest w ich sytuacji jedyną możliwą drogą.

- A jeśli... - rzekł po długiej chwili Marcin. - Pozostaje nam jedno: czekać.

- Nie! - wybuchnął Kloss. - Nie mogę czekać!

- Co mógłbyś zrobić?

- Nie wiem - odpowiedział. - Nie jestem w stanie myśleć.

11

Kapitan Ruppert ciągle nie tracił nadziei. Ciągle wierzył, że zdarzy się coś, co umożliwi mu wydobyć się z sieci. Siedział przy pianinie i grał Mozarta. Stale ta sama fraza przychodziła mu do głowy, jakby zapomniał wszystko prócz tego jednego motywu. Ilza kręciła się po pokoju; podeszła do niego, położyła mu dłoń na ramieniu, ale to zamiast uspokajać, tylko drażniło.

- Willy, powiesz mi nareszcie?

Co mógłby jej powiedzieć? Gdy usłyszał dzwonek i zobaczył wprowadzanego przez ordynansa Lothara, zrozumiał, iż rzecz zbliża się ku rozwiązaniu.

Ilza zostawiła ich samych i Ruppert stanął obok Lothara, był mniej roztrzęsiony, na chwilę wróciła mu pewność siebie, znowu poczuł się niemieckim oficerem.

- Co pan z nią zrobił? - spytał nagle.

- Z kim? - Lothar nie rozumiał.

- Z tą dziewczyną, którą dla pana znalazłem.

Lothar skrzywił się.

- Jeszcze to pana interesuje? Niech pan się nie zgrywa, Ruppert. Ta dziewczyna nic nie mówi - dodał ze złością. - Postanowiłem was skonfrontować, może przynajmniej przestanie zaprzeczać.

Ruppert milczał sporą chwilę.

- Nie chcę jej widzieć! - krzyknął. - Słyszysz pan? Nie chcę jej widzieć!

- Spokojnie. - Lothar patrzył na Rupperta z nie ukrywaną pogardą. Znał te objawy. Najgorsze szmaty zdolne są do takich wybuchów. Krótkich. - Zrobi pan wszystko to, co każę - stwierdził. - Ta dziewczyna musi mówić. Podejrzewam zresztą, Ruppert, że maczał pan palce w zniknięciu Benity von Henning. Pan nie jest z nami szczery, a ja bardzo nie lubię nieszczerości.

- Nieprawda! - Ruppert przestał panować nad sobą. - To podłość podejrzewać mnie również o to!

- Podłość? - powtórzył Lothar i uderzył Rupperta w twarz. Oficer cofnął się, przez chwilę można było sądzić, że rzuci się na Lothara. Dotknął dłonią policzka. Potem opadł na fotel, ukrywając twarz w dłoniach.

- Jak pan śmiał to zrobić! — na progu stanęła Ilza.

- Radzę milczeć - odpowiedział Lothar i wyszedł. Ruppert wrócił do pianina i uderzył w klawisze. Znow ta sama fraza z koncertu A-dur Mozarta.

12

Lothar miał wszelkie powody do zdenerwowania.

Oto minęło wiele godzin, a on nic jeszcze nie wyjaśnił w sprawie zniknięcia panny von Henning. Wiedział dokładnie tyle, co na początku. Tym razem rozmowa z gruppenfuehrerem, który wezwał go po raz drugi, była ostrzejsza.

- Pan jest durniem, Lothar — powiedział gruppen-fuehrer, ledwo gestapowiec zdążył zamknąć za sobą drzwi. - Dureń - powtórzył.

- Ta dziewczyna nie chce mówić - wyjaśnił Lothar. - Zdjąłem ludzi z domu gry, ale oni chyba naprawdę nic nie wiedzą. Przekażę ich kryminalnej.

- I co pan zamierza? - W głosie gruppenfuehrera brzmiała nie ukrywana groźba. - Przed chwilą rozmawiałem z Berlinem. Domyśla się pan, co powiedzieli mi w Berlinie?

- Domyślałem się - odpowiedział Lothar, choć powinien milczeć.

- No więc?

- Dzisiaj w nocy przesłucham tę dziewczynę osobiście.

Gruppenfuehrer spojrział na Lothara z pogardą, z taką samą pogardą, z jaką Lothar patrzył

niedawno na Rup-perta.

- I potem już w ogóle nie będzie mogła nic powiedzieć, co? Odeślę pana na front! - krzyknął wreszcie. - Tę dziewczynę - powiedział cicho - jutro rano pan wypuści.

-Tak jest.

- Przydzielili pan do niej najlepszych ludzi i wszelkie środki. Rozstrzelam pana, jeśli uda się jej wymknąć. Musi nas naprowadzić na ślad. I poza tym, niech pan słucha uważnie, Lothar: jeśli to naprawdę ta polska siatka porwała Benitę, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zaproponować wymianę, Benita von Henning za tę dziewczynę...

Lothar wzruszył ramionami.

- W jaki sposób do nich dotrzeć, panie gruppenfuehrer?

- Niech pan spróbuje - powiedział dygnitarz gestapowski. - I niech pan nie popełni błędu...

Anna nie mogła, niestety, wiedzieć o tej rozmowie, dlatego myślała, że śni, kiedy oddano jej torebkę. Wartownik otworzył szlaban i wziął przepustkę.

Znalazła się sama na pustej ulicy. Ciągle nie wierzyła, nie mogła uwierzyć. Szła aleją Szucha w stronę placu Unii, znowu w swojej Warszawie, w swoim mieście i dopiero teraz poczuła, jak bardzo była zmęczona. Bolało ją całe ciało, ale przecież była wolna, puścili ją, nic nie powiedziała, może być z siebie dumna. Dlaczego więc ją puścili? To cud, nieprawdopodobny cud, bo przecież z alei Szucha nikogo nie puszczają, w najlepszym razie trafia się do Oświęcimia, a jeśli ktoś stąd wychodzi...

Anna obejrzała się, ulica nie była już pusta. Kilkanaście metrów za nią szedł mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Po drugiej stronie ulicy - także mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Ludzie gestapo! Siedzą ją, idą za nią. Teraz zaczęła rozumieć... Ma ich naprowadzić na ślad. Liczą na to, że powie więcej na wolności niż w celi. Przyspieszyła kroku, chociaż przyszło to jej z trudnością. Skręciła w Marszałkowską, potem w Piusa XI, była już na Mokotowskiej. Na jezdni zobaczyła motocykl; motocyklista w gumowym płaszczu jechał powoli. Annie wydało się, choć nie była tego pewna, że ci trzej ludzie - motocyklista i dwaj mężczyźni, którzy pojawili się na chodniku, patrzą na siebie, potem na nią. Nadjechał samochód, zamknięta półciężarówka. Anna skręciła w bok, była przecież u siebie, wmieszała się w tłum, zobaczyła scenki, które знаła tak dobrze. Młody chłopak bez nogi, oparty o mur kamienicy, śpiewał i wyciągał czapkę. Przed sklepem spożywczym ustawiała się kolejka - pewnie dawali margarynę. Dwaj chłopcy w długich butach stali w bramie, z rękoma w kieszeniach. Anna nie знаła tych chłopców, ale znała takich chłopców; czuła się tu swojsko i bezpiecznie. Wystarczyłoby przejść parę kroków i byłaby na placu Trzech Krzyży, tam ma przyjaciółkę z lat szkolnych. Wystarczyłoby wsiąść do tramwaju, żeby dostać się na Mokotów i zobaczyć Marcina albo może Janka. Janka - powtórzyła w myśli. Ale nie mogła tego zrobić. Była kimś innym niż ci wszyscy, którzy ją mijali. Ktokolwiek do niej podejdzie, narazi się na straszliwe

niebezpieczeństwo. Nie wolno jej spotkać znajomych i nie wolno jej poznać kogokolwiek, a w

żadnym wypadku nie wolno zobaczyć nikogo z jej grupy. Rozejrzała się. Oczywiście, byli. I motocyklista, i dwaj mężczyźni w płaszczach i kapeluszach. A także samochód. Jak ich zgubić? Czy ma w ogóle szansę, żeby ich zgubić? Wróciła do Marszałkowskiej, stanęła w tłumie ludzi na przystanku przy rogu Wilczej. Rozejrzała się ostrożnie. Wydało jej się, że ich nie widzi. Ale po chwili na jezdni pojawił się znowu ten sam samochód. Na przystanku był już także mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Drugi przechadzał się po przeciwległej stronie ulicy. Annę ogarnęła rozpacz. Są, polują na nią jak na zwierzę, które otoczyła nagonka. Tramwaj ze zgrzytem zahamował. Anna czekała do ostatniej chwili, gdy wóz ruszył, skoczyła na stopień, ktoś wciągnął ją do środka. Może nie zdążą, Boże, może nie zauważą. Tramwaj przyspieszył. Anna z twarzą przytuloną do szyby obserwowała ulicę. Nie widziała ich.

Nie zobaczyła ich także, gdy wyskoczyła z tramwaju po paru przystankach. Skręciła w Świętokrzyską, potem w Jasną. Wbiegła do apteki. Telefon stał w rogu, z dala od kupujących. Anna, zasłaniając tarczę, nakręciła numer. Był to numer dziewczyny z jej grupy, Małgosi, jej dyny numer, który może być aktualny, bo przecież do Marcina nie wolno jej dzwonić. Wreszcie usłyszała głos Małgosi.

- Małgosiu - szepnęła.

Po tamtej stronie cisza, potem przerażony głos Małgosi:

- To ty, Anno, naprawdę ty?

Ale w tej chwili Anna zobaczyła przez szybę mężczyznę w płaszczu i kapeluszu. Był także motocyklista. Więc nie zgubiła ich, nie mogła ich zgubić.

- Puścili mnie - szepnęła - idą za mną. Zadzwoń później — i odłożyła słuchawkę.

Znowu była na ulicy... Wlokła się powoli w tłumie, w którym nie mogła się ukryć. Otwarte sklepy, kawiarnie, ludzie wracają po pracy do domu. Toczyło się zwyczajne, okupacyjne życie. A ona, zmęczona i półprzytomna, pamięta tylko o jednym: musi ich zgubić, musi ich zgubić, ponieważ inaczej będzie w tym mieście jak na pustyni. Obok chodnika jezdnią powoli przesuwa się riksza. Stanęła.

Szybko przed siebie — powiedziała Anna i wskoczyła do rikszy. Odpoczywała, przymknęła oczy. Riksza sunęła prosto, potem skręciła, znowu skręciła. Anna nie bardzo wiedziała już nawet, jakimi jadą ulicami. Wcisnęła chłopcu zmięty banknot, który znalazła w torebce, i wyskoczyła. Znalazła się na bardzo zatłoczonej ulicy, tak, to przecież Chmielna. Weszła do sklepu, stanęła w kolejce. Nie ma ich, naprawdę ich nie ma. Ale po chwili - przez dużą szybę zobaczyła znowu obu: obu mężczyzn w płaszczach i kapeluszach. Nie próbowała już telefonować.

A tymczasem w samochodzie, który jechał powoli skrajem jezdni, siedział SS-man przy nadajniku radiowym.

- Weszła do sklepu - meldował do mikrofonu. - Jak dotychczas nie ponowiła próby kontaktu telefonicznego.

Marcin nie ukrywał niezadowolenia, widząc Klossa wchodzącego znowu do willi na Mokotowie.

- Za często tu przychodzisz - stwierdził. - Wszystko rozumiem, ale nie wolno łamać podstawowych zasad konspiracji.

Kloss także wiedział, że nie wolno, ale ciągle wydawało mu się, że jednak będzie mógł coś zrobić, że uratuje Annę, że wyrwie ją z Szucha, choćby miał nawet poświęcić... Co może poświęcić? Najważniejsza jest sprawa. I nie wolno zrobić mu nic, co przeszkodziłoby robocie.

Pół życia za to, żeby nie być żołnierzem - pomyślał nagle.

- Wezwał mnie pułkownik Recke - opowiadał Marcinowi. - Berlin dał dwadzieścia cztery godziny na znalezienie Benity Henning. Szaleją. Fischer podobno miał powiedzieć, że zgodziłby się na wymianę. Anna za Benitę.

- Bzdura - odpowiedział Marcin. Kloss także rozumiał, że to niemożliwe, a jednak chwycił się tej myśli, ostatniej szansy, cienia nadziei.

- Jak sobie wyobrażasz rozmowę z Lotharem? - zapytał Marcin. - Kto miałby niby pośredniczyć? A Benity nie możemy wypuścić, wie zbyt dużo. Zresztą oświadczone mi, że jest potrzebna. - I potem dodał: - Polecono mi wyrazić ci podziękowanie za zdobycie planów von Henninga.

- Annie należy się podziękowanie, nie mnie - odpowiedział Kloss.

Rozmawiając obserwowali nieustannie furtkę, wejście do willi. Marcin pierwszy dostrzegł dziewczynę.

- Schowaj się - rozkazał Klossowi. - Idzie Małgosia. Ona przecież na pewno cię nie zna. - potem warknął ze złością: - Wszyscy tu przychodzicie jak do kościoła. Niedługo zdejmie nas najgłupszy agent gestapo.

Małgosia przyszła zameldować o telefonie Anny. Kloss słyszał rozmowę Marcina i dziewczyny, stojąc w sąsiednim pokoju za drzwiami. Reakcja Marcina była prosta i natychmiastowa. Rozkazał Małgosi oddać klucze do mieszkania i zmyć się z Warszawy.

- Jeśli Anna zna twój telefon - oświadczył - jesteś spalona.

- Ale ona jeszcze raz zadzwoni - szepnęła dziewczyna.

- Trudno - głos Marcina był twardy. - Zrozum, Małgosiu, nic nie możemy jej pomóc.

Dziewczyna chciała protestować, ale Marcin przerwał jej niegrzecznie. W końcu odpowiadał za życie tych ludzi; nie mógł popełniać oczywistych błędów.

Gdy dziewczyna zniknęła za drzwiami, Kloss pojawił się natychmiast w progu. Był zdecydowany.

- Daj mi czterech chłopców z dywersji - oświadczył.

- Nie - odpowiedział Marcin.

- Daj, uratuję Annę.

- Ilu ludzi stracisz?

- Nie wolno nam jej zostawić.

- Niemcy czekają tylko na to, że my nie wytrzymamy, że rozpoczniemy akcję. Wyobrażasz sobie, jak jej pilnują? Nie, bracie, nie będziemy się dekonspirować.

- Idę do mieszkania Małgosi. Anna jeszcze raz zadzwoni. Musi spróbować.

- Zabraniam - powiedział Marcin.

Nie był właściwie przełożonym Klossa, tylko szefem grupy, z którą Kloss współpracował. Nie miał prawa wydawać mu rozkazów. Obaj o tym wiedzieli. Kloss położył mu rękę na ramieniu.

- Wiesz dobrze, Marcin, że muszę to zrobić. Trzech chłopców z dywersji masz przecież tutaj.

Marcin milczał.

Kloss wyszedł z pokoju, żeby postąpić wbrew rozsądkowi, wbrew zasadom konspiracji i bezpieczeństwu ludzi, z którymi współpracował. Znał jednego z tych chłopców, Romka, i wiedział, że Romek się zgodzi, że pójdą razem do mieszkania Małgosi, a potem spróbują wydobyć Annę z niemieckiej sieci.

Nie powinienem tego robić - myślał - ale muszę to zrobić, bo inaczej wszystko straciłoby sens.

Romek czyścił broń. Dwaj pozostali rozmawiali o czymś szeptem. Zerwali się z miejsca na widok Klossa. Potem wysłuchali spokojnie tego, co miał im do powiedzenia. Po kilkunastu minutach byli już w mieszkaniu Małgosi.

Zaczęło się oczekiwanie. Telefon nie dzwonił, ciągle nie dzwonił. Na popielniczce gromadziła się sterta niedopałków. Kloss przymykał oczy i widział Annę chodzącą ulicami, padającą już z nóg, pozbawioną szansy znalezienia przytułku. Niechby zadzwoniła - modlił się - niechby tylko zadzwoniła. Pomyślał także, że istnieje prawdopodobieństwo, iż zanim Anna zadzwoni, uda się Lotharowi ustalić numer telefonu, z którym się już raz łączyła. Dlatego Romek obserwował bacznie ulicę, broń mieli gotową do strzału, spoglądali na zegarki i na chodnik, na którym ukazywał się co pewien czas niemiecki patrol.

Wreszcie, po czekaniu tak długim, że Kloss nie umiałby określić, ile trwało, rozdarł ciszę

dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Anny.

- Słuchaj - powiedział - za piętnaście minut, kamienica przechodnia... - Zdążył wymienić nazwę ulicy, a potem ona odłożyła słuchawkę.

14

Ruppert pił. Odwrócił butelkę - była pusta. Cisnął ją na podłogę, potoczyła się pod stół. Z trudem wstał z kanapy i podszedł do pianina. Uderzył w klawisze. Nawet tej frazy Mozarta nie mógł już sobie przypomnieć. Ilza poszła, nie chciała powiedzieć, dokąd idzie, tylko pogardliwie wzruszyła ramionami. Ale on i tak wiedział. Pobieгла do generała. Właściwie pozostało mu tylko jedno, ale nie mógł się zdecydować, ciągle na coś liczył, jakby istniał jeszcze choćby cień nadziei. Znowu uderzył w klawisze i usłyszał dzwonek telefonu. Dzwonek brzęczał natrętnie. Ruppert wstał i podniósł słuchawkę.

- Halo - powiedział - o co chodzi? Kto tam jeszcze, do diabła? - Ale w tej chwili wyprostował się i zaczął niezręcznie palcami lewej ręki zapinać guziki. To w nim pozostało: reagował na głos generała.

- Rozmawiałem z Lotharem - generał mówił niechętnie, jakby z odrazą. - Sądzę, Ruppert, że wiesz, co powinien zrobić niemiecki oficer. Ze względu na pamięć twego ojca daję ci pół godziny. Myślę, że zdążysz. - Odłożył słuchawkę, zanim kapitan Willy Ruppert mógł cokolwiek powiedzieć.

Na stole, niedaleko telefonu leżała kabura z bronią. Wystarczyłby jeden niewielki ruch i wszystko byłoby już poza nim — i Ilza, i Lothar, i niepotrzebna, głupia nadzieja. Ale nie mógł się zdecydować.

Nie tu — pomyślał. — Zrobię to, ale nie tu.

Zapiął pas, umieścił kaburę na brzuchu i wyszedł przed dom. Otworzył drzwiczki samochodu, zapuścił silnik. Nie wiedział, dokąd jedzie i wolałby nie wiedzieć, po co... Chciałby, żeby śmierć przyszła sama.

W tym czasie Anna spoglądała na numer kamienicy; tak, to ta, którą wyznaczył Kloss, przechodnia. Obaj mężczyźni w kapeluszach i płaszczach szli za nią, bardziej czujni i mniej ukrywający się niż przedtem. Anna nie myślała już, nie miała siły myśleć. Po prostu wykonywała to, co rozkazał Janek. Nie wiedziała, czy istnieje szansa, nie zastanawiała się nad tym, nie pamiętała nawet o tych, którzy za chwilę ryzykować będą życiem, by ją ocalić. Chciała odpocząć - tylko odpocząć. Weszła na puste podwórze. W ciemnej bramie stał już Romek, popchnął ją w głąb, a potem wszystko rozegrało się błyskawicznie.

Gdy mężczyzna śledzący Annę, jeden z dwóch, pojawił się w bramie, Romek rzucił się na niego.

Słumiony krzyk, gestapowiec padł na bruk, a Anna i ten drugi z dywersji, Wojtek, zniknęli w głębi podwórza. Byli już w drugiej bramie. Przy chodniku stała riksza. Wojtek wskoczył na siodełko, ale zanim Anna zdążyła wsiąść do rikszy, pojawił się motocyklista. Gwałtownie zahamował. Seria z pistoletu maszynowego zaterkotała gdzieś w głębi podwórza.

- Zwiewaj! - krzyknął Wojtek. Padł na bruk, wyrwał automat spod płaszcza, strzelił do motocyklisty. Przechodnie zniknęli, ulica opustoszała w jednej chwili. Usłyszeli zgrzyt hamulców, gwałtownie zahamował gestapowski samochód. Kule z automatów cięły powietrze.

Anna biegła pustym chodnikiem. Myślała teraz o chłopcach z dywersji, myślała, czy zdążą się wycofać. Nie powinna ich tu zostawić. Zatrzymała się, porażona tą myślą, nie wiedząc, że gdyby pobiegła jeszcze parę kroków dalej, zobaczyłaby Klossa ukrytego w samochodzie za rogiem... Ale Anna nie pobiegnie, nie zdąży pobiec, bo oto na pustej, ostrzeliwanej ulicy pojawił się jadący zygzakiem wóz Rupperta.

Dostrzegł Annę, zahamował gwałtownie. Otworzył drzwiczki, wciągnął dziewczynę do samochodu. Anna już się nie opierała, była bez sił. Pomyślała, że znów znajdzie się na Szucha i nareszcie odpocznie. Położy się na betonie - marzyła - i będzie spać. Widziała blisko siebie twarz Rupperta pochylonego nad kierownicą, szybkość przycisnęła ją do oparcia, potem poczuła gwałtowne hamowanie. Odzyskała przytomność, byli na Powiślu. Rup-pert otworzył drzwiczki wozu.

- Uciekaj! - krzyknął.

Była sama. Biegła Solcem, a potem zatrzymała się w jakiejś bramie. Ludzie mijali ją obojętnie. Nikt na nią nie patrzył.

Nie mogła wiedzieć, że samochód Rupperta wjeżdżał właśnie na most Poniatowskiego. Mniej więcej w połowie mostu ostry skręt kierownicą. Wóz złamał barierę; runął w dół. Dopiero po długiej chwili zjawiły się w tym miejscu samochody gestapo.

WSYPA

1

Nabrał powietrza w płuca i ciągnął ochryplym głosem:

*Wróć ucałuj jak za dawnych lat,
dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat!*

Znali ich mieszkańcy tego miasta i przyjezdni chłopci, którzy przy głównej ulicy ukradkiem sprzedawali kartofle i brukiew, a niekiedy wyciągali, oczywiście na widok osób znanych i budzących zaufanie, ukrytą w słomie lub grochownie, osełkę masła, czy tuzin jaj. Znali ich granatowi policjanci, przechadzający się z rękami założonymi do tyłu, czujnym wzrokiem taksujący przechodniów, gotowi w każdej chwili sięgnąć do półodpiętej kabury. Znały ich baby handlujące białym pieczywem, oczywiście nielegalnie, bo jedzenie bułek zastrzeżone było wyłącznie dla zwycięzców, a nielegalny handel pszennym pieczywem groził śmiercią lub w najlepszym razie obozem koncentracyjnym, podobnie jak handel mięsem, które mimo to rzesze szmuglerów dźwigały do wygłodzonych przez kartkowy system miast. Znali ich wszyscy, ale nikt nie zwracał na nich uwagi, ponieważ ten ociemniały harmonista i towarzyszący mu szesnastoletni chłopak swoim wyglądem doskonale przylegali do tego miasta i pory - wczesnej wiosny czterdziestego trzeciego roku. Wielu było wtedy takich, jak ten ślepiec, półże-braków, półmuzykantów ubranych jak on w wyszarzałą kurtkę wojskową i nieforemne nakrycie głowy, które kiedyś było zapewne wojskową rogatywką polową. Żywy symbol pokonanej armii - musieli myśleć żołnierze Wehrmachtu, którzy niekiedy wtykali ślepcowi parę groszy.

Ociemniały harmonista skończył właśnie grać. Przytupywał, odłożywszy na schodki akordeon, bił się po udach zgrabiałymi z zimna rękoma, jakby ponagłając małego, który zbierał papierki z zawiniętymi przez litościwych ludzi drobnymi monetami.

Mały zadarł głowę, ale nikt więcej nie zamierzał rzucić ani grosza. Podniósł więc akordeon, podał staremu laskę i wzięwszy go pod ramię powiódł w ciemną bramę.

Kilka chłopskich furmanek podrygiwało na kocich łbach pryncypalnej ulicy, spocony riksarz we włóczkowej czapce mocno naciskał pedały swego osobliwego pojazdu, a rozparci wygodnie podoficerowie Wehrmachtu śmieli się do rozpuku, pokazując sobie biegnącą kobiecinę z wielkim koszem, z którego, mimo nakrycia chustką, wystawały czubki pszennych bułek. Babina pędziła na oślep, roztrącając przechodniów, wytrąciła laskę ociemniałemu żołnierzowi, który rzucił za nią przekleństwo. Ale mógł je usłyszeć tylko zwalisty policjant, sapiący z wysiłku, który zaślepiony pościgiem, nie widział niczego poza tą kobietą, ośmielającą się handlować w biały dzień, nie opłaciwszy mu należnego zwyczajem haraczu.

- Co się stało? - zapytał ślepiec.

- Nie złapał jej - powiedział chłopak i nagle aż zapis zapiszczał z uciechy.

- Co się stało? - powtórzył stary gderliwie.

- O rany! - zawołał chłopak. - Nadział się na Niemca, zdaje się, że dostanie solidnie po łbie.

- Chodź.

Chłopak z ociąganiem podążył za nim. Skręcili w przecznicę. Minęli kilkanaście bram nie wchodząc do żadnej, jakby na dziś zarobili dosyć. Zatrzymali się dopiero przed małym sklepikiem, handlującym wszystkim i niczym - lepami na muchy, nie wiadomo komu po trzebnymi o tej porze roku, sznurkiem i kwaszonymi ogórkami.

- Wszystko w porządku? - zapytał ślepy i dopiero kiedy chłopak, rozejrzawszy się dokładnie, potwierdził, wszedł do środka i jakby nagle zaczął doskonale widzieć, ruszył pewnym krokiem przez pusty sklep, odchylił kre-tonową zasłonę, gdzie na dźwięk jego kroków zerwał się kędzierzawy mężczyzna, zatopiony w lekturze „Nowego Kuriera Warszawskiego”, zwanego potocznie a dosadnie „kurwarem”.

- No, nareszcie - powiedział do wchodzącego. - Dawaj!

Stary wysypał na stół garść owiniętych w papierki monet. Mężczyzna rozwijał koiejno papierki, przeglądał je i rzucał na podłogę. Dopiero jeden z ostatnich zainteresował go. Przysunął kartkę do migotliwego światełka karbidówki, potem zbliżył do płomienia, pozwalając jej spłonąć. Podsunął ślepcowi garść monet, które go już nie interesowały.

- Kiepski miałeś dziś utarg - skostatował. A po chwili dodał:

- Zawołaj chłopaka. Zjedzcie trochę kapuśniaku, a po południu pójdziecie tam jeszcze raz.

2

W gabinecie obersturmbannfuehrera Geibla było aż ciemno od dymu cygar i papierosów. Na krzesłach i fotelach, ściągniętych z całego piętra, porozsiadali się szefowie służby bezpieczeństwa miast i miasteczek całego dystryktu.

- Moi panowie - zaczął szef gestapo i musiał przerwać, bo w otwartych drzwiach stanął jeszcze jeden z zaproszonych. Rozglądał się, jak gdyby szukał wolnego miejsca. Geibel wskazał mu wolny fotel koło siebie.

- Myślałem już, Kloss, że Abwehra nie jest zainteresowana tematem dzisiejszej narady.

- Przeciwnie, panie obersturmbannfuehrer; mój szef przywiązuje duże znaczenie do sprawy przeciwdziałania grupom partyzanckim.

- „Partyzanckim” - powtórzył Geibel, jakby delectował się tym słowem. - Posłuchajcie moi panowie, jak eleganckiego języka używa nasza Abwehra! Bo my rzecz nazywamy inaczej: walczymy z leśnym bandytyzmem, walczymy ostro, bezwzględnie, bez pardonu. A będziemy walczyć jeszcze ostrzej i jeszcze bezwzględniej, po to zebraliśmy się tu dzisiaj...

Kloss miał ochotę parsknąć śmiechem, jednak jego twarz pozostała nieruchoma. Ta nieustanna rywalizacja! W gruncie rzeczy to nie jest złe, wiele spraw można załatwić wygrywając umiejętnie antagonizm między Służbą Bezpieczeństwa a Abwehra. Szef Klossa, pułkownik Rho-de, zazdrości sukcesów Geiblowi. Uważa się za coś znacznie lepszego, wszechwładza SD irytuje go. Nie dlatego, żeby był wrogiem nazizmu, tego o Rhodem nie można powiedzieć. Uczucia, jakie ma dla Geibla, przypominają stan duszy starego arystokraty, już niezbyt pewnego wpływów, ale dumnego z przeszłości swego rodu, z nazwiska i koligacji, którego posadzono do stołu z nowobogackim.

Oczywiście wie, że łączących wspólne interesy, że czasem musi się zniżyć, ale me sprawia mu to satysfakcji. Geibel z kolei jest jak burzuj niezbyt pewny swego statusu, źle się czujący przy stole nakrytym rodowym srebrem; wolałby kufel piwa na ocynkowanym blacie w monachijskiej piwiarni, ale właśnie dlatego jest buńczuczny, agresywny, usiłujący nadrobić brak obycia nadmierną pewnością siebie. Kloss, który przygląda się im obu, wie, że w istocie różnią się od siebie niewiele, wie także, że obaj są równie bezwzględni i okrutni w tłumieniu wszelkich prób oporu, że różnica w nazewnictwie oddziałów partyzanckich nic nie znaczy, bo i ten, i ten chętnie by je zniszczył, a jeszcze chętniej przypisał zwycięstwo sobie.

- Oto ogniska działania bandyckich grup leśnych na żoździe Moskwy i Londynu - dotarł doń głos Geibla. - Nie będę przed wami ukrywał, panowie, że ich działalność nasiliła się po tragedii stalingradzkiej. Aktywizację grup bandyckich zaobserwowano w kwadratach E5, H1, C3. - Geibel podszedł do mapy i zgasłym cygarem pokazywał miejsca, o których mówił. - Siady obecności bandytów zaobserwowaliśmy w kwadratach A1, A2 i H4, gdzie jeszcze miesiąc temu nie notowano żadnych incydentów... Sprawa jest jasna - pobłażliwość rozzuchwała. Małe regionalne akcje nie spełniły swego zadania, musimy więc skoncentrować wysiłki. Najbliższe tygodnie poświęcimy zaplanowanej i dokładnie opracowanej akcji oczyszczenia naszego dystryktu...

Trzeba uprzedzić chłopców - myślał Kloss - szczególnie w kwadracie A2, tam powinien być Bartek ze swoimi. Oczywiście koncentracja może dojść do skutku dopiero za parę dni, więc mają jeszcze trochę czasu, chybaże Geibel nie mówi wszystkiego. Ale to raczej niemożliwe w tym gronie...

Najważniejsze, żeby usunąć radiostację - przyglądał się cygaru Geibla błędzemu po mapie. Jeszcze dziś musi przekazać te dane Filipowi. Najlepiej, jeśli przekaże je razem z wiadomościami z poligonu. Właśnie - poligon. Czeka go pracowity dzień, dla tej narady u Geibla nie pojechał na poligon, a tam także dzieją się rzeczy ciekawe. Próba nowego pancerza do czołgów-powinien jeszcze zdążyć. Może udałoby się sfotografować próbę - byłby komplet.

Ktoś dotknął jego ramienia.

- Zapal, Hans - szepnął sturmfuehrer Brunner podsuwając Klossowi skórzaną papierośnicę ze złotym monogramem. Brunner lubuje się w złocie, wykorzystuje okres, kiedy złoto go nic nie kosztuje. Ma złote zęby, które wstawił niedawno, gruby złoty sygnet, monogramy, gdzie się tylko da - na portfelu, papierośnicy, teczce.

- Dziękuję - powiedział Kloss, przyjmując ogień i z przyjemnością wdychając aromatyczny dym.

Ten Brunner jest dla niego wyjątkowo uprzejmy. Jedyne gestapowiec, z którym Kloss jest po imieniu. Początkowo niepokoiła go skwapliwość, z jaką Brunner czynił mu drobne uprzejmości, bał się, że kryje się zatym jakiś podstęp; do dziś zresztą nie dowierza Brunnerowi, jest jednak dość mądry, by lekkomyślnie nie odrzucać ofiarowanej przyjaźni. Brunner nie ma przed nim tajemnic, a jeśli ma, to nie dotyczą one spraw jego służby, a o to Klossowi chodzi najbardziej. Nieraz już paplanina Brunnera naprowadziła go na ślad jakiejś sprawy, którą powinien się zająć. Brunner manifestuje swą przyjaźń dla Klossa, jest pod tym względem przeciwieństwem Geibla, który nie omija żadnej okazji, aby wtrącić uszczypliwą uwagę o Abwehrze. A może - pomyślał - Brunner chce za pośrednictwem Klossa dowiadywać się, nad czym pracuje Abwehra? Niewykluczone, że zdaje z

tego raporty Geiblowi, choć wiele sensacji w tych raportach być nie może, jako że oberleutnant Kloss należy do ludzi raczej mrukliwych.

Jakaś nowa nutka w głosie Geibla kazała Klossowi oderwać się od swych myśli.

— Doniesienia naszych agentów terenowych potwierdzają przypuszczenia radiopelengu, że na terenie naszego dystryktu działają dwie radiostacje dywersyjne. Jedną udało nam się zlokalizować w kwadracie A2, a o wszelkich zmianach dotyczących jej położenia jesteśmy natychmiast zawiadamiani. Właściwie moglibyśmy ją już zlikwidować, a jeśli tego nie robimy, to wyłącznie dlatego, by umożliwić naszemu agentowi rozpracowanie kontaktów grupy, posiadającej radiostację, z miastem, gdzie ma ona zapewne swoich informatorów.

Więc mają Bartka - pomyślał gorączkowo i jak zawsze w chwilach, kiedy zagrożenie staje się tak bliskie, że niemal namacalne, ogarnia go fala spokoju. Ten rodzaj lodowatego spokoju jest dla niego sygnałem alarmowym.

- O ile pana dobrze zrozumiałem, panie obersturm-bannfuehrer - przerwał Geiblowi - dysponuje pan agencją wewnątrz oddziału partyzanckiego?

- Niekiedy i nam się coś udaje, Kloss. - Rechet aplauzu skwitował słowa szefa SD.

- Pierwszy panu pogratuluję - powiedział bez uśmiechu Kloss - kiedy będzie pan miał radiostację w ręku.

Geibel nie dostrzegł w tych słowach ironii, a może nie chciał jej dostrzec.

- To mi się podoba! Musimy się pozbyć partykularyzmu, moi panowie. Likwidacja band, szczególnie tych najniebezpieczniejszych, spełniających obok funkcji dywersyjnych także zadania ściśle wywiadowcze, jest wspólnym zadaniem armii i służby bezpieczeństwa.

Geibel usiadł, zapraszając do dyskusji. To już Klossa nie interesuje, dokładny protokół narady otrzyma i tak jutro rano. Przeprosił Geibla, tłumacząc się obowiązkami, jakie go dziś jeszcze czekają, i wyszedł na korytarz. Stał przy otwartym oknie, z rozkoszą wdychał czyste powietrze.

- Rzeczywiście pioruńsko duszno — powiedział ktoś za nim. Nawet nie znając jego głosu, Kloss wiedziałby, że to Brunner. Tylko on potrafi tak cicho podejść z tyłu; lubi nawet tę zabawę i cieszy się z zaskoczenia wywołanego niespodziewanym odezwaniem się. Kloss nigdy nie żałuje mu tej satysfakcji.

- Skradasz się jak Winnetou.

- Spotkamy się wieczorem, Hans? Robimy małego pokerka?

- Jak zwykle u pani Kobas?

- Idziemy całą bandą, będzie dużo picia.

- Szkoda - powiedział Kloss. W głosie jego zabrzmiał prawdziwy żal. Naprawdę chciałby pójść do pani Kobas, coraz bardziej interesuje go ta kobieta, chętnie by się jej przyjrzał. Trzeba będzie to zrobić - zanotował w pamięci.

- Chyba nie masz randki? - zapytał Brunner.

- Przecież wiesz - Kloss bezradnie rozłożył ręce - że szef władował mnie do tej fabryki.

- Słyszałem coś. Próby nowego czołgu...

- No, Brunner - pogroził mu żartobliwie palcem - tylko nie próbuj wyciągać ze mnie tajemnic wojskowych.

- Niechący, Kloss, przysięgam, że niechący - roześmiał się głośno Brunner. Może nawet zbyt głośno - myślał Kloss, schodząc powoli szerokimi schodami gmachu gestapo.

3

Mimo niepokojących wiadomości wyniesionych z narady u Geibla, Kloss był w świetnym humorze. Dobrze, że wie o niebezpieczeństwie, chłopców trzeba ostrzec. Trapi go trochę sprawa informatora w pobliżu radiostacji - chciałby o tym zapomnieć, więc powraca myślą do innych, miłszych zdarzeń.

Ten tydzień będzie mógł zaliczyć do udanych. Inżynier Meier postąpił lekkomyślnie, zostawiając go na pięć minut samego w gabinecie, gdzie na biurku poniewierały się szkice prototypu. Chociaż skąd mógł wiedzieć, że przydzielony do ochrony prób oficer Abwehry wykorzysta te pięć minut w sposób, którego nie przewidują regulaminy. Mała, niezwykle precyzyjna kamera, ukryta w klamrze pasa z napisem „Gott mit uns”, zdążyła zarejestrować wszystko, co trzeba. Ładny kasek! Specjaliści otrzymają materiał za parę dni i chyba wykorzystają należycie. Nie co dzień dostają taką gratkę! Kloss wie, że miał piekielne szczęście i dlatego może mniej dotkliwie niż zwykle odczuwał dziś ciężkie spojrzenia przechodniów, usuwających mu się trwożliwie z drogi. Niedbale odsalutował milczącemu patrolowi żandarmerii, a potem z uśmiechem granatowemu policjantowi. Z uśmiechem, bo ten policjant przypomina mu scenę z przedwczoraj. Zgłupiała, czerwona gęba tamtego policjanta drżała, kiedy wrzeszczał na niego, nie przebierając w słowach. W jednej chwili granatowy stracił całą pewność siebie, mamrotał, że bardzo przeprasza pana oficera niemieckiego, że gonił właśnie handlarke, która...

- To nie powód, aby potrać niemieckich oficerów - wrzeszczał wtedy, patrząc prosto w oczy tego silnego chłopca, który wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Potem, już spokojnie, zażądał numeru gorliwego policjanta, powoli, nie spiesząc się, spisał go z owalnej blaszki, którą mu granatowy podsunął usłużnie pod nos. Słuchał jego skomleń, wyrażających prośbę o wybaczenie, i odczuwał satysfakcję, gdy nieliczni przechodnie uśmieszkiem zadowolenia kwitowali wpadkę gorliwca. Puścił go dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że babina z bułkami zginęła już z pola widzenia.

Zatrzymał się przed sklepem zegarmistrza, sprawdził, czy jego omega chodzi precyzyjnie i fakt, że mógł tego dokonać patrząc na wystawiony zegar z dwoma wahadłami, upewnił go, że za chwilę będzie mógł skrócić w bramę domu numer 32, wejść na pierwsze piętro i zadzwonić do drzwi, na których emaliowana tabliczka informowała, że dentysta Jan Sokolnicki przyjmuje każdego dnia od godziny dziesiątej do siedemnastej. Gdyby w oknie zegarmistrza zamiast brzydkiego, elektrycznego zegara wystawiony był pajac z cyferblatem na brzuchu, Kloss także by sprawdził czas na swoim zegarku, ale bramę oznaczoną numerem 32 minąłby obojętnie, ponieważ budzący uciechę dzieci pajac w oknie zegarmistrza oznaczałby dla niego stan najwyższego zagrożenia. Mogłoby to znaczyć, że coś się stało Filipowi, albo że zagrożona jest któraś z nitek skomplikowanej drogi łączności wiodącej od Hansa Klossa, zaufanego oficera miejscowej Abwehry, do radiostacji, która urywanymi sygnałami pi-pi przekazuje gdzieś daleko informacje przez Klossa zebrane, bądź sprawdzone, które to informacje przybliżają dzień końca Rzeszy, nazywanej przez ich twórców tysiącletnią.

Dlaczego właściwie - myślał - miałyby się coś stać? Upływają już trzy lata jego działalności, już trzy lata jest oficerem wywiadu, a każdy tydzień przynosi nowe doświadczenia, daje nową porcję wiedzy, pozwalającej uniknąć czających się wokół pułapek. Nie wolno mu się pomylić, błąd może oznaczać tylko jedno - koniec. Nie tylko koniec fizyczny - gdy się jest dwudziestoczteroletnim mężczyzną, rzadko bierze się to pod uwagę - ale także koniec roboty, której efekty na pozór drobne i mało znaczące (nie co dzień trafia się Meier i jego plany!) skracają dni wojny. Filip jest dobrym współpracownikiem, jego konspiracyjne doświadczenie pomogło im w zbudowaniu wielkiej siatki, której rozsypkanie jest niemal niemożliwe. Oczywiście pozostaje przypadek, a Kloss zbyt długo pracuje w wywiadzie, by móc sobie pozwolić na lekceważenie przypadków.

Odgonił niedobre myśli, nacisnął dzwonek pod emaliowaną tabliczką dentysty. Otworzył mu któryś z pacjentów siedzących w poczekalni i odsunął się natychmiast na widok munduru.

— Dunkę — rzekł Kloss.

Siadł na wolnym krześle, mężczyzna z obwiązaną rękami szczęką odsunął się, choć i bez tego miejsca było dosyć. W poczekalni było dziesięć osób.

Filip musi być niezłym dentystą - gdzie on się tego nauczył? - pomyślał - przecież połowę przedwojennego życia spędził w więzieniu. No, może nie połowę, ale dobre parę lat przesiedział na pewno.

Ludzie milczeli. Przywykł do tego, wie, że to jego mundur zakneblował im usta. Jakże chętnie zrzuciłby go teraz, pogadał z tymi ludźmi, posłuchał dowcipów

o wielkim wodzu, dowiedział się o sukcesach Anglików i Rosjan, klęskach Japończyków na Dalekim Wschodzie i o głupocie Mussoliniego. To nic, że wieści byłyby na pewno przesadzone i zbyt optymistyczne, nie o prawdę tu chodzi, przynajmniej nie o ten rodzaj prawdy. W ukradkowych spojrzeniach i milczeniu wyczuwał niewidoczny mur między sobą a tymi ludźmi, szarymi i zabiedzonymi, i choć wiedział, że tak musi być, że do końca wojny skazany jest na ten mundur i poczucie osamotnienia, nie było mu wesoło.

- Kto następny? - zapytał mężczyzna w białym kitlu i dopiero teraz dostrzegł niemieckiego

oficera.

- Bitte, bitte Herr Offizier- powiedział i wpuszczając do gabinetu oberleutnanta Klossa, bezradnie rozłożył ręce, jakby chciał oczekującym pacjentom powiedzieć: „Sami wiecie, że me mogę inaczej”.

- Sam bym mu chętnie w ząbkach poborowa! - powiedział mężczyzna z owiazaną twarzą, gdy za dentystą zamknęły się drzwi. Na obliczach pozostałych pacjentów ukazało się coś w rodzaju uśmiechu.

4

Oczywiście zapowiedziany poker był tylko pretekstem. Po opróżnieniu kilku butelek żaden z zebranych w pretensjonalnym saloniku pani Irminy Kobas oficerów niemieckich nie miał ochoty na karty. Pani Kobas nie ukrywała zresztą, że te parę butelek to zaledwie wstęp, że prawdziwy ochłaj zacznie się dopiero teraz. Krążyła wśród młodych oficerów promiennie uśmiechnięta. Jej wizytowa suknia miała cokolwiek zbyt duży dekolt, jednakże nie tak duży, żeby ktoś mógł pomyśleć, że pani Kobas przekroczyła granicę, jaką wytycza kanon drobnomieszczańskiej przyzwoitości. „Jestem nieco frywolną, ale nader przyzwoitą kobietą” - taka była wymowa tego dekoltu.

Geibel przyglądał się jej przez chwilę. W jakiś sposób lubił tę kobietę, z którą łączyły go interesy. Interesy oczywiście nie nazbyt legalne, nie takie jednak, by mogły skompromitować szefa miejscowego gestapo, żadna bowiem instrukcja tajnej policji politycznej nie może zabraniać penetracji choćby niektórych polskich środowisk, a że czasem trzeba dla dobra wzajemnych stosunków uczynić jakąś przysługę... Mój Boże! Geibel był doświadczonym oficerem policji i nie dałby się łatwo złapać na czymś kompromitującym. A jeśli dzięki pośrednictwu pani Kobas ten i ów opuścił zimne piwnice budynku szkoły rolniczej, gdzie od trzech lat mieści się tutejsze gestapo, to na pewno nie był to szczególnie groźny wróg Rzeszy, chociaż dla podbicia ceny trzeba było niekiedy to i owo zasugerować.

Geibel uśmiechnął się patrząc na zaróżowioną, rozgrzaną odrobiną koniaku Irmę Kobas, która właśnie nastawiała patefon z sentymentalnym tangiem, zagadując to tego, to owego młodego oficera, pokrzykując na grubą służącą, która wtoczyła się dźwigając wazę parujących flaków. Patrząc na ściany, obwieszane fałatami i kos-sakami, myślał, że ta umundurowana i hałaśliwa szcze-niakeria jakoś paradoksalnie przystaje do tego wnętrza, w którym rzeczy ładne mieszają się z bezsensownie ma-łomieszczańską brzydota - delikatny profil dziewczęcy któregoś z dziewiętnastowiecznych mistrzów (Geibel był zbyt rozleniwiony koniakiem, by wstać i przeczytać podpis malarza), a obok tego tandetna pamiątka z Zakopanego czy Krynicy: smętny góral z uniesioną ciupagą.

- Pusty kieliszek! - zawołała pani Kobas. - Muszę to zaraz naprawić! - Pobiegnęła do kredensu po butelkę, a Geibel pomyślał, że chociaż pani Irmina swoje trzydzieste urodziny obchodziła jeszcze przed wojną, to jednak wciąż jest wcale... wcale...

- Czy nie moglibyśmy znaleźć bardziej ustronnego miejsca? - zapytał, spoglądając z niesmakiem

na młodych oberleutnantów, którzy zaczęli już śpiewać pieśń o Woldze, a to dla doświadczonego Geibla jest sygnałem, że wkrótce legną pod stołem, a co trzeźwiejsi ruszą na miasto w nadziei spotkania damskiego towarzystwa. Pani Irmina uśmiechnęła się przyzwalająco, więc wstał, wziął ją pod rękę, wyprowadził z pokoju, jakby to mieszkanie nie miało dla niego żadnych tajemnic. W małym pokoiku, gdzie wreszcie usiedli, dostrzegł stojący na komód-ce rokokowy zegar, przyjrzał mu się, pociągnął za zwisający sznureczek i wysłuchał melodyjnego kurantu.

- Podziwiam pani gust, Irmino. To musiało kosztować ładnych parę groszy.

- Pamiątka rodzinna - odpowiedziała z uśmiechem.

-W takim razie pani rodzina miała dobry smak. Gdyby dysponowała pani kiedyś czymś takim... - rzekł i wiedział już, że pani Irmina Kobas zrobi wszystko, aby taka pamiątka trafiła do jego rąk, ponieważ przyjaźń z szefem gestapo pozwala jej gromadzić znacznie więcej takich „rodzinnych pamiątek”, niż mogłoby się pomieścić w tym zaledwie pięciopokojowym mieszczańskim mieszkaniu.

- A wracając do naszych interesów... - zaczął.

- Ile? - zapytała pani Irmina mrużąc oczy.

- Sprawdziłem. To bogaci ludzie.

- Wojna zrujnowała nawet bogatych, więc?

- Zna pani cenę takich przysług — powiedział Geibel.

— Zresztą stanowisko społeczne męża tej pani... powiedzmy dziesięć tysięcy złotych i dwieście dolarów, lubię okrągłe liczby.

- Większość mężów, o ile dobrze znam mężczyzn -uśmiechnęła się pani Kobas, a ten uśmiech miał przekonać Geibla, że znajomość mężczyzn nie jest jej obca - nie dałaby złamanego grosza. A hrabia chce zapłacić, lecz tyle naprawdę nie może. Przecież pan tak samo jak ja wie, że ona jest zupełnie niewinna i dla was niegroźna.

- Terę fere. Niewinnych ludzi nie łapie się na granicy słowacko-węgierskiej.

- Tęsknota za internowaną na Węgrzech rodziną...

- Pani Irmino - powiedział z wyrzutem. Bawił go ten targ.

- No dobrze, ale ja jestem tylko pośredniczką, a hrabia naprawdę nie może dać więcej jak osiem tysięcy i sto dolarów, może mi pan wierzyć, że nic na tym nie zarabiam. Chcę pomóc zrozpaczonemu człowiekowi, on tak bardzo kocha swoją żonę. Arystokracja może się zawsze przydać, nie straciła jeszcze wszystkich swoich wpływów.

- Nie będę się kłócił o złotówki — skończył Geibel — niech będzie osiem i sto pięćdziesiąt dolarów.

-Jest pan bezwzględny-powiedział Irmina. Podeszła do sekretarzyka, otworzyła maleńką szufladkę, podała Geiblowi pakiecik.

- Wiem, że nie muszę liczyć - rzeki. - Pani hrabina wyjdzie w tym tygodniu, ale proszę mi wierzyć, pani Irmino, że robię to wyłącznie dla pani.

- Postaram się o podobny zegar - uśmiechnęła się pani Kobus. - Teraz można niekiedy kupić prawdziwe dzieło sztuki za metr kartofli.

- A ja będę miał dla pani flakonik perfum prosto z Paryża - ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

Tak zastał ich Brunner.

Ten prostak nigdy nie nauczy się manier - pomyślał Geibel - mógłby przynajmniej zapukać.

- Gdzie pan zostawił swojego przyjaciela Klossa, miał go pan przyprowadzić - pani Kobas nie wydawała się ani trochę zmieszana.

- Zdaje się, pani Irmino, że Brunner ma ochotę zepsuć mi wieczór sprawami służbowym - powiedział Geibel.

Pani Kobas zrozumiała, że powinna zostawić ich samych.

- Co się stało? - warknął na Brunnera, gdy wyszła.

- Musiałem zdjąć dentystę.

Idiota czy zdrajca? - pomyślał patrząc na Brunnera. Trzy godziny temu rozpoczęto obserwację domu przy ulicy Głównej 34. Jeden z najlepszych agentów Geibla, o pseudonimie Wolf, po trzech miesiącach węszenia ustalił, że w mieście pod obcym nazwiskiem mieszka wybitny działacz komunistyczny. Kiedy wreszcie zdobył jego adres i można było czekać cierpliwie, aż w sieć wpadną ludzie związani z bolszewicką agenturą, Brunner - prawa ręka Geibla - nie racząc go nawet o tym uprzedzić, zdejmuje tego dentystę, który jest zapewne postacią dość interesującą, ale którego i tak można było mieć, a przy okazji rozsypać sieć łączności tego faceta, który zapewne nie zaprzestał swojej działalności; niewykluczone wcale, że ten dentysta jest skrzynką kontaktową albo że to on właśnie ma powiązania z nieuchwytną radiostacją, której praca nie daje spać Geiblowi.

- Co to znaczy musiałem? - zapytał spokojnie. - Czy panu, Brunner, znudziło się spokojne życie w tym miasteczku? Może stęsknił się pan za rosyjskim mrozem? Kto pana uczył roboty? Zdejmować lokal po trzygodzinnej obserwacji to analfabetyzm!

- Niechże pan posłucha - przerwał mu Brunner. - Nie było innego wyjścia, moi chłopcy zauważyli ślepego grajka, który rzeźbił coś na podwórzu tego domu. Siedzieli w stróżówce i stróż się wygadał, że ślepiec przychodzi tu dwa albo i trzy razy dziennie. I wtedy rzucono mu monetę. Tylko z jednego okna, wie pan, z jakiego. Poszli za nim, dyskretnie, jak mieli przykazane, żeby zobaczyć, dokąd pójdzie, ponieważ Ruge słusznie podejrzewał, że papierek, w który owinięto

monetę, może być zapisany. Ale chłopak, który chodzi ze ślepcem, musiał zauważyć, że są śledzeni. Wyciągnął z kieszeni starego jakiś papierek i udając, że przypala papierosa, zaczął palić tę kartkę.

Ruge doszedł do wniosku, że nie ma na co czekać, ja postąpiłbym tak samo.

-Jeśli to było na ulicy, nie musiał ruszać dentysty.

-Ten szczeniak im uciekł, panie obersturmbannfuehrer. Wpadł w jakąś bramę, tam musiało być przejście na inną ulicę, bo tyle go widzieli. Z meldunku, bo to musiał być jakiś meldunek, ocalało jedno zdanie, a właściwie część zdania: „J-23 donosi, że transport 123 dywizji pancer...”. Teraz pan rozumie, że nie było innego wyjścia. Ten szczeniak by go zapewne uprzedził, nie mogliśmy czekać, aż dentysta zwieje.

- A grajek? On chyba wam nie uciekł. A może pański Ruge pozwala uciekać także ślepcom?

- Kiedy zaczęli strzelać do szczeniaka, krzyknął coś do niego, a gdy Ruge podbiegł, ślepy już nie żył. Zgryziona ampułka skaleczyła mu wargi: cyjanek.

- Chodźmy - powiedział Geibel. - Musimy wypić piwo, które pan nawarzył.

Pani Irmina Kobas nie zatrzymuje ich, nie przypomina nawet Geiblowi o swojej przyjaciółce hrabinie, a Brunnerowi o obietnicy przyprowadzenia sympatycznego oberleutnanta Klossa.

- Nie można powiedzieć - rzekł Geibel zatraskując drzwi mercedesa - ładnie się spisały pańskie matoly. Pozwoliły uciec dzieciakowi i ślepcowi, bo pan chyba rozumie, Brunner, że ten ślepy nam zwyczajnie, bezczelnie uciekł.

Brunner milczy, zna bowiem swego szefa i wie, że każda odpowiedź może tylko bardziej rozwścieczyć obersturmbannfuehrera Geibla.

5

Kloss nie potrafił się skupić. Wpatrując się w szachownicę, zamiast zastanawiać się nad kolejnym posunięciem siedzącego naprzeciw inżyniera Meiera, mimo woli usiłował dokonać bilansu dzisiejszego dnia. Przede wszystkim narada u Geibla. Nie bardzo był zachwycony perspektywą spędzenia kilku godzin w zadymionym gabinecie szefa gestapo, ale okazało się, że ta pozornie mało sensacyjna narada sprawiła, iż dowiedział się o niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad oddziałem ochraniającym radiostację, a z aluzji Geibla wynikało, że SD ma informatora w oddziale lub w pobliżu oddziału. Kloss postanowił, że musi za wszelką cenę ostrzec Filipa. Choćby kosztem rozpuszczenia całego oddziału należy pozbyć się agenta z pobliża radiostacji. Tylko dzięki niej jego niebezpieczna robota ma jakiś sens. Uzyskane informacje wędrują do sztabu, a tam, połączone z informacjami uzyskanymi z innych źródeł, pozwalają uzyskać prawdziwy obraz sił, a niekiedy i zamiarów wroga. Czasem radiostacja jest wprost niezbędna, na przykład dziś: gdy uda mu się wydobyć z Meiera termin zakończenia prób prototypu czołgu o wzmocnionym pancerzu, musi to

natychmiast przekazać Filipowi. Czołgi zostaną szybko zdemontowane, najwyżej tylko jedną dobę będą spoczywać w przyfabrycznym magazynie, potem pojedą dalej. Może do Protektoratu, może do Zagłębia Ruhry. Tylko w tym czasie zmasowany nalot bombowy może zniszczyć wszystkie prototypy wraz z dokumentacją. O północy jest czas nadawania - zostanie im cała doba na przygotowanie nalotu, nawet gdyby próby skończyły się dziś.

Powinni zdążyć. Rok pracy sztabu naukowców, pod kierownictwem inżyniera Meiera, pójdzie na marne, może nawet on sam zginie - przyfabryczny hotel mieści się nad magazynami.

Kloss nie ma nic przeciwko Meierowi. Ten czterdzie-stoparoletni mężczyzna o pochylonych jak u sześćdziesięciolatka plecach nie jest mu niesympatyczny, przeciwnie, budzi zaufanie. Na pewno ma już dość wojny, może nie jest narodowym socjalistą, ale przecież pracuje dla nich i to jest ważne. Jego talent służy wojnie, choćby sam Meier był jej przeciwnikiem, wzmacnia faszyzm, choćby Meier nie był nawet faszystą.

- Pański ruch, poruczniku.

- Myślę - odpowiedział. - Wpędził mnie pan w kabałę, będę musiał stracić figurę.

- Niech się pan przyzna. Nie myślał pan o szachach. Był pan myślami gdzieś daleko. Rodzina?

- Coś w tym rodzaju — odpowiedział Kloss. Jest zdumiony przenikliwością tego wyblakłego mężczyzny o nerwowych dłoniach.

- Dajmy więc temu spokój — powiedział Meier, składając figury. - Mnie także trudno się skupić; kiedyś podobno dobrze grałem.

- No cóż! Po dniu pełnym sukcesów... Generał był zachwycony. Jeśli dobrze pójdzie, pański czołg za kilka miesięcy przestanie być prototypem. Musi pan być szczęśliwy.

- Byłbym, gdybym wiedział, że przybliży to koniec wojny choćby o jeden dzień.

- Chciał pan powiedzieć - Kloss przyoblekł swą twarz w zwykły uśmiech i podsunął inżynierowi paczkę papierosów - chciał pan zapewne powiedzieć, inżynierze, „jeśli mój czołg przybliży choćby o dzień nasze zwycięstwo”?

- Czy koniec wojny nie jest już zwycięstwem?

- Ma pan rację, Meier. Koniec wojny może oznaczać tylko nasze zwycięstwo.

Meier przyjrzał mu się badawczo, zaciągnął się papierosem i zmrużył oczy podrażnione dymem.

- Gdyby nie to, że pana polubiłem przez te parę dni, Hans, gotów bym pomyśleć, że pan mnie...

- Sprawdza? Nie - roześmiał się szczerze. - Ludzi takich jak pan sprawdza ich dzieło. Najlepszą rekomendacją pańskiego oddania sprawie jest pański czołg.

- Naprawdę? - zapytał ironicznie Meier. - A gdybym projektował ciągniki rolnicze, albo dźwigi portowe?
- Zaraz, zaraz, więc żuraw portowy Meiera...
- Trzydziesty drugi rok! Jak to dawno! Interesował się pan dźwigami portowymi?
- W czterdziestym pierwszym roku miałem bronić pracy na politechnice w Gdańsku.

- Bronił pan cywilizacji europejskiej. - W jego głosie zabrzmiała teraz wyraźna drwina. Nagle spoważniał: -Czy mógłbym pana o coś prosić, Hans, czy mógłby pan coś dla mnie zrobić?

- Postaram się.

- Proszę mi powiedzieć prawdę. Pan jest przecież z Abwehry, wy wiecie, musicie wiedzieć znacznie więcej, niż przedostaje się do gazet. Co naprawdę było w Hamburgu? To dla mnie bardzo ważne: żona z dzieckiem i rodzice mieszkają w Hamburgu.

- Wczoraj — powiedział cedząc słowa Kloss — był tam nalot. Słyszałem o jakimś nalocie, nie znam szczegółów, ale mamy przecież w Hamburgu wspaniałą artylerię przeciwlotniczą.

Boisz się, nareszcie się boisz — pomyślał me bez satysfakcji. Twoja żona. Twoi rodzice... A co w trzydziestym dziewiątym, kiedy bomby spadały na Warszawę, albo w czterdziestym, kiedy rujnowały Londyn? Tam też były czyjeś żony i czyiś rodzice, czy wtedy także nie lubiłeś wojny, czy przestałeś ją lubić dopiero, gdy poczułeś smak strachu?

Chciałby mu powiedzieć o swoich krewnych, których mogił nie będzie mógł nawet odszukać, miał ochotę potrząsnąć nim, postukać palcem w tę przerażająco głupią, niemiecką głowę, choć przecież wie, że ta głowa zrodziła wiele śmiałych technicznie projektów, że mogłaby służyć pokojowi, tak jak teraz służy wojnie. Żał mu było tego człowieka, uwikłanego w sieć, z której nie sposób się wydostać, a jednocześnie odczuwał satysfakcję, że teraz im, Niemcom, dane jest zasmakować strachu i niepokoju.

- Nie chce mi pan powiedzieć - przerwał ciszę Meier. - Więc to musi być prawda. Podoficer z naszej kantyny powiedział mi w sekrecie, on także pochodzi z Hamburga. Dziewięć godzin bezustannego nalotu... Zaczęli Anglicy nocą, skończyli Amerykanie w biały dzień. Nasz dom jest niedaleko portu. Wczoraj cały dzień telefon nie odpowiadał.

Co mu powiem? - myślał Kloss. - Powiniennem go pocieszać? Podoficer z kantyny ma dobre informacje, widocznie słucha zagranicznego radia. To trzeba zapamiętać - taka informacja może się przydać. Za słuchanie Londynu podoficerowi z kantyny grozi front wschodni, a to na pewno nie jest marzeniem podoficera. Wiele gotów jest zrobić, żeby tego uniknąć. Pochodzi z Hamburga - robotniczego miasta. Tam hitlerowcy zawsze przegrywali - hamburczycy głosowali na socjaldemokratów i komunistów. Kloss przeglądał dziś rano biuletyn, opatrzone nadrukiem „ściśle tajne”, i wie, że to, co było Hamburgiem, jest dziś kupą gruzów.

- Prawdopodobnie przerwana linia - powiedział głośno - ale to przecież jeszcze nic nie znaczy. Proszę mi podać adres pańskiego domu, imiona rodziców, żony i dziecka. Spróbuję się dodzwonić przez wojskową linię.

Meier skreślił kilka słów na kartce, długo w milczeniu ścisnął dłoń porucznika.

To głupie - myślał Kloss -współczuję mu teraz, rozumiem jego trwogę. Ale przecież dziś o północy na falach eteru pobiegnie mój meldunek, którego konsekwencją będzie zburzenie tej fabryki, zniszczenie owoców wielomiesięcznej pracy tego mężczyzny o wpadniętych głęboko oczach, a może

nawet jego śmierć.

- Przeklęta wojna - powiedział Meier i odwrócił się na pięcie. Zaczął porządkować papiery. Gdy Kloss był już przy drzwiach, usłyszał łamiący się głos Meiera: - Musi pan powiedzieć mi prawdę! Musi pan!

6

Chłopak płakał cicho, nie wstydząc się łez: - Zostanę tutaj - powiedział.

- Zostaniesz - powiedział Bartek. - Na razie zostaniesz, a potem coś się wymyśli. Jedz - podsunął mu talerz z parującą zupą.

- Gdybym przyleciał od razu do sklepu, gdybym nie kluczył ulicami, zdążyliby ostrzec Filipa, a tak...

- Musiałeś kluczyć - powiedział Bartek. - Dobrze, że uprzedziłeś Zegarmistrza.

- Przy mnie wystawił pajaca - powiedział chłopak. - Ale co to pomoże Filipowi?

- Przestań się mazać - uciął Florian, ten sam kędzierzawy mężczyzna, który odbierał meldunek od ślepeca w pakamerze za sklepem. Jest szorstki i tą szorstkością chce pomóc chłopakowi, który musi udźwignąć ciężar zbyt wielki jak na jego szesnastoletnie barki.

Florian pomyślał o śmierci ślepego. Dwa tygodnie temu Florian dał mu osobiście fiolkę z cyjankiem. Stary nudził go o tę fiolkę już od dawna.

- Boję się - mówił - że jeśli dostaną mnie w swoje ręce, mogę wygadać. Jestem cholernie wrażliwy na ból. Musisz mi dać coś, co działa natychmiast.

Dał mu ten cyjanek. I chociaż wie, że nie mógł postąpić inaczej, czuje się, jakby i on miał swój udział w śmierci starego.

- Prześpij się - powiedział Bartek i rzucił małemu kożuch na drewnianą skrzynię.

W sąsiedniej izbie, największej w tej leśniczówce, gdzie siedzieli już trzeci miesiąc, Anka-radiotelegrafistka szykowała się do nadawania.

- Gdybyś nie mieściła się w czasie - powiedział Bartek - to przede wszystkim nadawaj te ostatnie informacje Filipa. Wiesz, te od J-23.

- Spróbuję zdążyć wszystko, zaczynam. Nie przeszkadzajcie. - Jej palec zaczął drgać na kluczu telegraficznym.

Bartek przez chwilę przyglądał się jej, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, potem ostrożnie przysunął dwa krzesła do okna, siadł i wskazał miejsce Florianowi.

- Zdążył nas ostrzec - powiedział. - Chyba jego aresztowanie nie ma nic wspólnego z akcją, którą szykują tutaj. Bo przecież wtedy... - urwał.

- Myślisz o J-23? - zapytał Florian. - Kto to właściwie jest?

Bartek przyjrzał mu się badawczo. Czyżby Florian? Nie, to niemożliwe. Ale meldunek Filipa mówił wyraźnie: „Niewykluczone, że wewnątrz oddziału znajduje się informator gestapo”. Ale Floriana skierował Filip. Pozostają ze sobą w kontakcie ponad rok. Było wiele okazji, żeby wsypać grupę z radiostacji. Florian wiedział zawsze, gdzie są zamelinowani. Co znaczyło to ostrzeżenie Filipa? Czy podejrzewał kogoś specjalnie? Niestety, Filip już nic nie powie.

Florian zmieszał się pod uważnym spojrzeniem Bartka. Dobrze znanym Bartkowi gestem zmierzwił kudły na głowie.

- Wybacz - powiedział - głupio pytam. Nie wiadomo dlaczego, ten gest uspokoił Bartka, zniweczył jego podejrzenia.

- Najgorsze - powiedział Bartek - że jeszcze dziś miał przesłać wiadomość o terminie zbombardowania fabryki. Ciotka Zuzanna będzie czekała na tę wiadomość. Czy Filip też ma cyjanek? - zapytał szeptem.

- Nie myślisz chyba, że to zrobi?

- Nie myślę. Jeśli ci w gestapo mają cokolwiek oleju w głowie, będą go oszczędzać. W tym cała nadzieja.

- Myślisz o odbiciu?

- O tym decyduje okręg. Ale o tym nie możemy nawet marzyć bez człowieka, który spotykał się z Filipem. Bez J-23.

- O ile też nie wpadł - zasępił się Florian.

- Miejmy nadzieję. Będę się widział z kimś z okręgu jeszcze dzisiaj. Jest odprawa. Dobra okazja, żeby ostrzec chłopaków z innych oddziałów o zamiarach SD. Do mego powrotu - wstał i przeciągnął się - ty obejmiesz dowództwo oddziału. W razie czego wiecie, gdzie pryskać. Wyślij ubezpieczenie od strony toru.

- Tak jest - wyprężył się Florian. Anka skończyła nadawanie, zamknęła szafę, podeszła do Bartka.

- Co zrobić o północy? Mam czas nadawania. Ciotka Zuzanna upomina się, żeby podać jej dzień i godzinę nalotu.

- Zapowiesz ciszę - pogłaskał ją po policzku. - Odezwiemy się po trzech dniach na rezerwowe) fali. Powiesz, że jest wielka wsypa, że aresztowano Filipa, a być może także J-23. - Przytulił ją gwałtownym ruchem i pocałował w usta.

- Mam nadzieję - powiedział już w drzwiach - że zastanę was tutaj...

7

- Janek, Janek! - wrzeszczała okutana w chustkę baba, wychylając się z okna przepełnionej niemiłosiernie kolejki wąskotorowej. - On zostanie, ten głupi, zostanie! - lamentowała.

Mała, śmieszna lokomotywa drgnęła, pociągnęła z wysiłkiem kilka wagoników. Młody mężczyzna, biegł chwilę obok pociągu, uczepił się poręczy ostatniego wagonu, na parę sekund zawisł, bo lokomotywa nabrała już szybkości, ale wreszcie udało mu się przycupnąć na stopniu.

- W porządku - powiedział Kloss. - Zdążył wsiąść.

Baba podziękowała mu wzrokiem i, powodowana widać wdzięcznością, przesunęła nieco tobół, który przygniatał mu nogę.

Dobrze mu, mimo tłoku. W stroju, który przyodział, wsiąkł w okupacyjną rzeczywistość. Dystyngowany Rhode otworzyłby pewnie usta ze zdziwienia, gdyby zobaczył go w tej cywilnej kurtce z barankiem, w bryczesach i butach z cholewami, w cyklistówce niedbale zsuniętej na ucho. Kloss bardzo rzadko zmienia się w cywila. To zbyt niebezpieczne. Chociaż paradowanie w mundurze Wehrmachtu po ulicach miast Generalnej Guberni także nie należy do rzeczy bezpiecznych. Na wszelki wypadek zapewnił sobie alibi. Zadzwoił do Rhodego i powiedział o podejrzaniach gestapo, że w okolicznych lasach działa partyzancka radiostacja. Szkoda, że Geibel ją zlikwiduje, a nie Abwehra. Rhode chwycił przynętę. A wtedy Kloss zaproponował mu, że sam spróbuje dotrzeć do radiostacji. Rhode ucieszył się, ale na wszelki wypadek ostrzegł Klossa, że idzie na własną odpowiedzialność. Cóż, jutro trzeba mu będzie zameldować, że niestety nie udało się radiostacji znaleźć, skrzywi się zapewne, powie, że przecież od początku nie wierzył w powodzenie tego przedsięwzięcia, może - jeśli będzie w dobrym humorze - pochwali Klossa za odwagę. Ale Kloss dotrze do radiostacji. Musi do niej dotrzeć właśnie dziś przed nocą, ponieważ wie, że o godzinie zero radiostacja ma ostatni termin nadawania. Ostatni, żeby informacja o dniu wyjazdu inżyniera Meiera wraz z prototypami jego czołgów dotarła, zdążyła dotrzeć tam, skąd można wysłać eskadrę bombowców, która uniemożliwi wyjazd.

W zdobyciu dokładnej daty wyjazdu pomógł mu przypadek. Zadzwoił do Meiera w pół godziny po wyjeździe z fabryki, żeby mu powiedziec, że wojskowa linia do Hamburga jest tak przeciążona, że dopiero koło piątku będzie mógł zasięgnąć informacji o losie jego rodziny.

- Niestety, za późno - powiedział Meier. - W czwartek o świcie wyjeżdżamy. - Nie mógł wiedzieć, że tym jednym zdaniem zamienia fabrykę wraz ze złożonymi w niej prototypami w kupę dymiących zgliszcz.

Właśnie dlatego, żeby to się mogło stać, Kloss musiał przebrać się w cywilne ciuchy, które upodobiły go do zwykłego, młodego człowieka wiosny czterdziestego trzeciego roku, zajmującego się prawdopodobnie konspiracją albo przynajmniej szmuglem.

Oczywiście wyjazd do lasu to ostateczność. Zdecydował się na nią dopiero wtedy, gdy w drodze do Filipa jak zwykle zatrzymał się przed wystawą Zegarmistrza, aby sprawdzić punktualność swego zegarka. Chodził dobrze. Ale dokładny czas w oknie sklepu Zegarmistrza wskazywał nie brzydki zegar dwuwahadłowy, lecz rów- nież szpetny pajac z cyferblatem umieszczonym na brzuchu. Nie oglądając się, minął bramę domu numer 32. Zatrzymał przejeżdżającą riksę i kazał się wieźć na Zatorze. Pierwszą rzeczą, którą powinien zrobić, to ostrzec Filipa. Ale w dzielnicy małych, jednorodzinnych domków, gdzie u ciotki mieszkał Filip, dostrzegł czarnego Opla o numerze rejestracyjnym znanym mu na pamięć. Tym Oplem zwykł jeździć Brunner. Hojnie wynagrodziwszy riksarza, który się pewnie musiał okropnie dziwić, dlaczego oficerowi Wehrmachtu zachciało się nagle przejażdżki, wrócił do śródmieścia. Z pierwszej napotkanej apteki zadzwonił pod trzycyfrowy numer. Usłyszał, że pan Kozioł wyjechał w związku z chorobą babki i nie wiadomo, kiedy wróci. To było hasło oznaczające alarm.

Czy Filipowi udało się zwiać? - zastanawiał się. - Które ogniwo łańcucha zostało przerwane? Czy był to strzał na ślepo, czy fragment dobrze rozpracowanej akcji? Dużo by dał, żeby znać odpowiedź na te pytania. Gdyby wiedział przynajmniej, że punkt u Zegarmistrza jest czysty. Fakt, że Zegarmistrz zdążył wystawić pajaca, o niczym nie świadczy. Jeśli gestapo rozpracowało sieć łączności, mogą mieć także Zegarmistrza i w pokoiku za sklepem oczekiwać na klientów. Nie, nie miał innego wyjścia - rozważał. Musiał zaryzykować tę podróż i spotkanie z Bartkiem, ponieważ tylko w ten sposób zdoła przekazać na czas informację, od której może zależeć tak wiele. I spróbować powiązania na nowo porwanych nitek siatki. Ale ryzyko jest wielkie. Szczególnie po rannej konferencji u Geibla. Kloss nie bardzo wierzył w przechwałki Geibla. Ludzie z grupy osłaniającej radiostację są dobierani szczególnie starannie, a Bartek jest zbyt ostrożny, żeby trzymać u siebie kogoś, kto budziłby cień podejrzenia. A jednak ta pewność siebie Geibla. Coś musiał wiedzieć. Chyba nie bluffował. A może - przeraził się nagle — cała ta konferencja była zorganizowana dla niego? Może Geibel zna już jego rolę i teraz starannie wymierzonymi ciosami rozbija jego siatkę, aby zobaczyć, jak on postąpi? Niemożliwe! Nie dlatego niemożliwe, żeby odmawiał Geiblowi talentu w policyjnej robocie, tylko że w wypadku zdemaskowania, zaczęliby od niego. To zbyt duża gratka dla Geibla przyszpilić oficera Abwehry jako polskiego agenta. Nie darowałaby sobie tej satysfakcji...

- Proszę. - Baba podsunęła mu jabłko. - Niech pan spróbuje - oderwała go od jego myśli. - Pan też do Trokiszek?

Burknął coś niewyraźnie, babina zrozumiała to jako niechęć do rozmowy i nie nalegała. W wagonie było cicho, nikomu z tych ściśniętych jak sardynki w puszcze ludzi nie chciało się gadać. Pomalowana na niebiesko lampa u sufitu, nadając twarzom jakiś odcień fioletowawy, czyniła wrażenie dość niesamowite.

Wyciągnął papierosa, zapalił i stwierdził, że w paczce zostało mu tylko parę. Widocznie Kurt musiał się podzielić jego paczką. Strasznie dużo palił i nieraz już podkradał Klossowi po parę papierosów, nie starczały mu jego przydziały. Kloss przymykał na to oczy. Na Kurcie, zdaje się, może polegać. Spotkał go na schodach, kiedy wychodził już w tym cywilnym przebraniu.

- Wygląda pan jak prawdziwy partyzant - uśmiechnął się Kurt. - Dobrze panu w tym stroju, panie oberleut-nant, może nawet lepiej niż w Feldgrau...

Czy to była aluzja, część spisku, czyżby Kurt odgrywał tu jakąś rolę? Odrzucił od siebie tę myśl. Po prostu powiedział to, co mu się nasunęło na pierwszy rzut oka. Kurt niezbyt starannie ukrywał przed Klosssem swą niechęć do koloru Feldgrau.

Kloss przypomniał sobie wczorajszy ranek. Jechał małym, terenowym samochodem-amfibią na poligon, gdzie przestreliwano nowy, prototypowy pancerz czołgu Meiera. Na skraju poligonu, obok zarośli, kazał Kurtowi zatrzymać wóz pod pozorem pilnej potrzeby. Potrzebował dwóch minut, by wyjąć z klamry pasa aparat fotograficzny i trzykrotnie raz za razem nacisnąć spust. Kiedy wyszedł na drogę, udając, że dopina mundur, Kurt śmiał się: „Pan oberleutnant wszedł za krzaki, żeby skryć się przede mną; a tam - pokazał zbliżającą się do czołgu grupę ludzi - mógł pana podziwiać cały sztab z generałem na czele. Sam bym to chętnie zrobił...”. „Co?” - nie zrozumiał Kloss. „Wypiął się na generała” - odparł Kurt patrząc mu beczelnie w oczy. Kloss musiał go przywołać do porządku. Ale Kurt nie przejął się ruga. Wiedział, że gdyby oberleutnant Kloss chciał mu zrobić krzywdę, mógłby to uczynić dawno.

Rok temu trafiła do Klossa sprawa paru żołnierzy niemieckich, u których znaleziono humorystyczny tygodnik, wydawany przez polskie podziemie w języku niemieckim. Wszyscy udawali zdziwienie, twierdzili, że pierwszy raz widzą na oczy „to świństwo”. Ale w aktach Kurta, chłopaka z Bytomia, znalazł Kloss kilka rzeczy interesujących: jakiś areszt za opowiadanie dowcipów, naganę z wnioskiem o skierowanie na front wschodni za rozmowy po polsku. Wynikałoby z tego, że Kurt nie pała miłością do Rzeszy Adolfa Hitlera. Kiedy Klossowi udało się jakoś zatuszować sprawę, postarał się, żeby Kurta zrobić swym ordynansem. Przedtem pokazał Kurtowi cały materiał przeciw niemu. Najmniejszą karą, jaka mogłaby spotkać Kurta, byłby karny batalion na wschodzie. Kurt zrozumiał. Jest ordynansem dyskretnym, inteligentnym, nie zadającym nigdy zbędnych pytań. Wytworzyło się między nimi coś w rodzaju koleżeństwa i Kurt wysoko to sobie cenił. Nie, Kurt nie dałby się wciągnąć w żadną grę przeciwko niemu, nie potrafiłby grać. Kloss sprawdził to niejednokrotnie.

Pociąg dygotał wspinając się pod górę, jechał teraz bardzo powoli, strzelając w niebo pomarańczowymi iskrami. Kloss, przyciśnięty do okna, wpatrywał się w gęstniejącą ciemność. Wolno przesuwwały się pnie brzoź. I wtedy uświadomił sobie, że wszystkie próby odsuwania myśli o najgorszym są oszukiwaniem samego siebie. W jednej chwili dostrzegł to, co starał się odpędzić, przywołując inne myśli i inne wspomnienia. Filip musiał wpaść. Jeszcze nie wiedział dlaczego, nie miał pojęcia, czy aresztowanie nie było przypadkiem, głupim figlem losu. Polubił Filipa, cenił jego spokój i opanowanie, refleks i zdolność podejmowania decyzji w jednej chwili.

Kiedyś w melinie u ciotki siedzieli razem do północy. Filip spojrzął na zegarek i powiedział: „No, jeszcze jeden dzień mamy darowany”.

Kloss uprzytomnił sobie wówczas, że Filip żyje ze świadomością stałego zagrożenia, jakby oczekiwania na najgorsze. Kloss by tak nie potrafił. Raz uwierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę, postanowił, że po wojnie skończy politechnikę w polskim Gdańsku i z niezachwianą pewnością czekał na realizację swojego zamierzenia. Natychmiast po naradzie u Geibla pobiegł do Filipa, żeby go ostrzec przed niebezpieczeństwem, jakie zawisło nad oddziałem. Powiedział także, że da znać, gdy się dowie o terminie zakończenia prób nowego czołgu. „Przekażę” _ powiedział dentysta. - Potem kazał mu krzyknąć, a widząc jego zdumione spojrzenie, wyjaśnił: - „Ci w poczekalni

zdziwiliby się, gdybyś nie wrzasnął w fotelu dentysty".

Taki jest Filip, nie zapomina o żadnym drobiazgu. Już kiedy Kloss szykował się do wyjścia, powiedział: „A swoją drogą powinieneś kiedyś przyjść do mnie w charakterze pacjenta. Górna trójka zaczyna ci się naprawdę psuć”. Wtedy Kloss powiedział mu bez uśmiechu: „Nic z tego, cholernie boję się dentysty...”.

Ktoś stojący na stopniu wagonu zaczął otwierać drzwi, Kloss zachwiał się, musiał uchwycić się półki, żeby nie wypaść. Do wagonu wcisnął się ten chłopak, który w ostatniej chwili wskoczył na stopnie ruszającej kolejki.

-Janek - powiedziała kobieta w chustce - ty pokrako, omal nie zostawiłeś mnie z bagażami.

- W Trokiskach czekają żandarmi - powiedział Janek ciężko dysząc.

- Obława! - krzyknął ktoś histerycznie. - Hamulec, trzeba pociągnąć za hamulec!

- Cicho - uspokoił ich Janek - zaraz zaczyna się puszcza, tam zatrzymamy.

W wagonie rozpoczęła się gorączkowa krzątanina. Toboły, ściągane z półek, spadały na głowy podróżnych, potęgując zamieszanie i harmider.

Kloss wyskoczył ze wszystkimi, przeszedł tor, zostawiając podróżnych, którzy z tobołami ciągnęli przez las w stronę miasteczka. Rozejrzał się - nikt za nim nie szedł. Minął szeroką przesiekę, ukryty w gąszczu, wyciągnął mapę i kompas. Przyświecił sobie latarką, potem wybrał kierunek i ruszył przez bezdroże.

8

Ostre, oślepiające światło uderzyło go wprost w twarz Filip zmrużył oczy.

- Chodź - powiedział gestapowiec.

Podpierając się rękami o ściany ciasnej i ciemnej klitki, usiłował wstać. Nogi miał jak z waty, łokcie zsuwały mu się po śliskiej, wymalowanej olejno ścianie. Brutalne szarpnięcie gestapowca, który chwycił go za klapę marynarki, stało się prawdziwą pomocą. Wstał, zrobił jeden krok, potem drugi. Dotknął obolałej, wilgotnej twarzy. Zachwiał się.

- Szybciej! - warknął Niemiec wypychając go na korytarz.

Gdzieś z tyłu trzasnęły drzwi celi, z drugiej strony korytarza dwóch gestapowców ciągnęło jęczącego mężczyznę. Jego głowa podskakiwała na nierównościach cementowej podłogi. Teraz schody. Wąskie, brudne, bez poręczy. Filip wspinał się z wysiłkiem, usiłując liczyć stopnie - siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście... Gestapowiec zatrzymał się, zapukał, otworzył jakieś drzwi, popchnął Filipa do wnętrza.

Najpierw zauważył, że nie słyszy swoich kroków -miękki dywan tłumił wszelkie odgłosy. Podniósł wzrok. Głębokie skórzane fotele, przyćmione światło, fornirowane meble, pod wielkim portretem Hitlera małe biurko.

- Proszę usiąść - usłyszał cichy głos.

Dopiero teraz dostrzegł, że przy biurku siedzi mężczyzna w czarnym mundurze. Padł na fotel.

Sądząc z opisu, to powinien być sam Geibel - pomyślał leniwie.

Mężczyzna podniósł się znad biurka, podszedł, przyjrzał się pokiereszowanej twarzy Filipa. Dopiero teraz Filip dostrzegł duże, brunatne plamy na swym kitlu.

- Brunner! - krzyknął Geibel.

Zza kotary, cicho jak duch w teatrze, wysunął się Brunner.

- Co pan z nim zrobił? - zapytał Geibel. - Dlaczego jest pan takim tępym bydlęciem, które potrafi tylko bić? Proszę teraz wyjść, jeszcze porozmawiamy... Przepraszam - powiedział pochylając się nad Filipem - bardzo pana przepraszam.

- Co? - zapytał Filip, któremu wydawało się, że nie dosłyszał.

- Przepraszam pana - powtórzył Geibel. - Niestety, nie dobieramy sobie współpracowników sami, mamy takich, jakich nam przyślą. Zapali pan? Chciałem z panem porozmawiać. A może jest pan zbyt zmęczony, może woli pan, żebyśmy odłożyli naszą rozmowę do jutra? - Podał dentyście ogień i dopiero potem przypalił sobie. - Nie lubię bicia - ciągnął - i nie chciałbym oddać pana znowu w ręce mego współpracownika. Jestem zwolennikiem rozmów. Rozsądnych rozmów prowadzonych przez rozsądnych ludzi. Czy mogę pana uważać za osobę rozsądną, doktorze?

- Tak — powiedział Filip i zaciągnął się papierosem.

- Cieszę się - powiedział Geibel. - Pańskie nazwisko?

- Sokolnicki, Jan Sokolnicki - odpowiedział z wysiłkiem Filip. Mówił z trudem, każdy ruch szczęk przyprawiał go o cierpienie.

- Pytałem o pańskie prawdziwe nazwisko - uśmiechnął się Geibel, a kiedy milczenie Filipa przedłużało się, dodał: - Więc jednak nie chce pan być rozsądny. Ale nie tracę nadziei, ciągle nie tracę nadziei. - Podszedł do biurka i otworzył leżącą tam teczkę. - Pan nas nie docenia -powiedział - panie Sokolnicki, przepraszam, panie Fili-piak... - Spojrzał w oczy wtłoczonego w fotel mężczyzny i kiedy nie dostrzegł w nich cienia zainteresowania, zaczął czytać: „Józef Filipiak, urodzony 9 maja 1900 roku w Łodzi, w roku 1924 skazany za działalność komunistyczną na cztery lata, w 1929 roku na pięć lat, następny wyrok w 1936 roku - osiem lat. Pseudonim partyjny -towarzysz Filip". Zgadza się?

- Nazywam się Jan Sokolnicki - powiedział z wysiłkiem.

- Obaj wiemy, że żaden Sokolnicki nie istnieje, a pańska kennkarta jest fałszywa. Po ci się upierać? Ja osobiście żywię szacunek dla pokonanych wrogów, o ile rozumieją, że zostali pokonani. Wiemy wszystko lub prawie wszystko. Pańskie uczciwe zeznanie może tylko potwierdzić pańską lojalność. Rzeczy znalezione podczas rewizji w gabinecie dentystycznym są wystarczającym materiałem dowodowym.

- Nic nie wiem - powiedział Filip. - Wynajmowałem ten gabinet tylko na kilka godzin dziennie.

- Nie bądźmy dziećmi, panie Filipiak. Jeśli poda nam pan nazwiska swoich informatorów i współpracowników, damy panu szansę. Oczywiście nie uwolnimy pana, spiskował pan przecież przeciw państwu niemieckiemu, ale otrzyma pan szansę. Gdzie radiostacja?

- Nie wiem.

- Kto przekazywał informacje o ruchach naszych wojsk?

- Nie wiem — powtórzył Filip.

- Kto to jest Janek?

Dentysta milczał uparcie. Geibel przyglądał mu się przez chwilę, potem nacisnął guzik dzwonka. Kiedy gestapowiec stanął w drzwiach, gotów wyprowadzić Filipa, Geibel powiedział:

- Proszę się dobrze namyśleć. Daję panu czas do jutra. Brunner wyszedł z za kotary, gdy tylko zamknęły się drzwi za Filipem.

- Także nic - powiedział Geibel. - Nic z niego nie wycisnąłem.

- Gdyby pozwolił pan moim chłopakom przycisnąć pedał do dechy... - przysunął sobie krzesło do biurka szefa, wyciągnął skórzaną papierošnicę z monogramem, podsunął Geiblowi cygaro.

- Musiałem zawiadomić gruppenfuehrera - powiedział Geibel.

- Powinien zrozumieć, że nie mieliśmy innego wyjścia.

- Na pańskim miejscu - powiedział Geibel - nie bardzo bym na to liczył. Po pierwszym raporcie o zwerbowaniu Wolfa dużo sobie obiecywał. Na szczęście Wolf nie jest spalony.

- Rozśmiesza mnie - powiedział Brunner - kryptonim tego faceta. Wilk! Trzeba przyznać, szefie, że potrafi pan być dowcipny.

- Boję się, że gruppenfuehrer może nie mieć poczucia humoru. Wolf zrobił swoją robotę, trzeba mu przyznać, dobrze.

- Stary praktyk - powiedział Brunner. - Pracował w polskiej defensywie.

- To myśmy pokpili sprawę. Gdybyśmy przyjrżeli się z daleka temu gabinetowi dentystycznemu,

moglibyśmy złapać coś więcej. Zdejmować punkt po parogodzinnej obserwacji to nie jest dobra robota, Brunner. Nie potrzebuję panu tego mówić.

- Nikt więcej nie wpadł? - zapytał Brunner bez nadziei w głosie. Geibel potrząsnął przecząco głową.-Więc ten Wolf musi jeszcze powęszyć.

- Zaczynać wszystko od początku? Nie łudźmy się, Brunner. Na zlokalizowanie tego Filipiaka potrzebował czterech miesięcy, a teraz będą czujniejsi. Aha, jeszcze jedno. Wolf twierdzi, że do tego gabinetu dentystycznego przychodzili niekiedy niemieccy oficerowie. Interesujące, co?

- Może tak, może nie. Ja sam wstawiłem sobie zęby w getcie. Ten żydowski dentysta był geniuszem w swoim fachu. Ciekawe, komu teraz wstawia zęby. Ale oczywiście, można by zatrudnić przy tym naszego przyjaciela Klossa - uśmiechnął się Brunner.

- Właśnie o czymś takim myślałem - Geibel rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Gdybyśmy wciągnęli w tę kabałę Abwehrę... Nie przypuszczam, żebyśmy musieli dzielić się z nimi sukcesami.

- A przyjemnie będzie podzielić się porażką - skończył jego myśl Brunner. - Oczywiście spróbuję jeszcze wycisnąć coś z tego dentysty.

- Tylko nie za mocno, proszę, nie za mocno, nie do dechy. Niepotrzebny nam nieboszczyk, ani im w Warszawie. Gruppenfuehrer powiedział, że być może zażąda przewiezienia Filipiaka do Warszawy - dodał tonem wyjaśnienia. - Oni myślą, że my tu na prowincji nie potrafimy pracować - uśmiechnął się porozumiewawczo. A potem nagle przyszła mu ochota, żeby zrobić Brunnerowi przykrość.

- A jeśli trzeba będzie go odesłać, pan go dostarczy gruppenfuehrerowi. Sam pan przecież powiedział, że gruppenfuehrer powinien pana zrozumieć. Pan mu najlepiej wyłoży, dlaczego akcja miała taki właśnie przebieg. Nikt nie robi tego lepiej, Brunner...

Tymczasem Filipa wprowadzono do celi. Rzucił się na twarde posłanie. Zanim zapadł w nerwowy półsen, dotknął pieszczotliwie szwu marynarki. Wyczuł palcami okrągłą obłość fiolki. Podziałało to na niego uspokajająco.

Co z Jankiem? -pomyślał, zanim stracił świadomość. - Skąd znają ten kryptonim?

9

Dwie godziny błąkał się po lesie, zanim zatrzymał go okrzyk:

- Stój! Kto idzie?

Światło kieszonkowej latarki smagnęło go po twarzy. Wymienił hasło. Milczący partyzant powiedział:

- Pójdzie pan za mną - i szli prawie pół godziny, nim z mroku zaczęły się wyłaniać kontury leśniczówki.

W największej izbie Florian prowadził odprawę. Otrzymał właśnie wiadomość, że na stacji Trokiszki żandarmi urządzili obławę. Nie wiedział, czy nie ma to przypadkiem związku z ostrzeżeniem o koncentracji sił niemieckich. Zdecydował, że posterunki wysunąć należy jeszcze dalej na linię Trokiszki - Dąbrowa. Zarządził ogłoszenie stanu alarmowego w pododdziałach i kazał przygotować ludzi do zmiany miejsca postoju.

- Mam dwu rannych - powiedział Rudolf - z piątkowej kolejówki, co z nimi zrobić?

- Przed nocą musisz ich zamelinować w Rudkach. Niewykluczone, że będziemy musieli przeprowadzić się przez Wisłę. Są jakieś pytania? - zapytał dla porządku, ale pytań nie było i partyzanci zaczęli się podnosić do wyjścia. Wtedy właśnie wszedł Kuba, prowadząc przed sobą Klossa.

- Powiedział hasło, chciał się widzieć z dowódcą — wyprężył się służbiście.

- Słucham? - zapytał Florian. - Co mi pan ma do powiedzenia?

Kloss wskazał wzrokiem obecnych i dopiero gdy partyzanci wyszli, siadł na zydlu podsuniętym przez Floriana.

- Gdzie jest Bartek? Chcę mówić z Bartkiem.

- Zastępuję Bartka, może pan mówić ze mną.

- Tak? Przychodzę z polecenia pana Koziola.

- W porządku - powiedział mężczyzna. - O tej sprawie może pan mówić tylko z Bartkiem, powinien zaraz wrócić.

- Co to znaczy: zaraz? - Kloss spojrział na zegarek. - Muszę się z nim widzieć przed północą.

- Rozumiem. Ale musi pan poczekać. Chce pan coś zjeść? Ale na zimno, nie palimy ognia. A może się pan prześpi? - W drzwiach dostrzegł głowę Anki. - Zabierz naszego gościa na górę, mech się prześpi. Poznajcie się — to jest Anka.

-Janek-powiedziałKloss ściskając dłoń dziewczyny. - Gdyby Bartek nie przyszedł do pół do dwunastej, proszę mnie obudzić mimo wszystko.

Florian został sam. Chciałby, żeby Bartek był już z powrotem. Nie lubił odpowiedzialności, bał się, że ma zbyt małe doświadczenie leśne na wypadek jakiejś akcji Niemców. Jest wpół do dziesiątej. Czego ten facet chce od Bartka? Przedstawił się „Janek”. Niekiedy Florian odbierał od Filipa informacje z tym właśnie kryptonimem. Ale to nie musi być ten, imię jest dość pospolite. Trzeba teraz - pomyślał - żeby Anka spaliła wszystkie niepotrzebne papiery, zanim stąd ruszymy.

W półotwartych drzwiach pojawił się nie znany Florianowi facet w pumpach.

- Czego? - zapytał.

- Panie dowódco, pozwól mi pan iść.

- Gdzie pan dojdzie o tej porze? Godzina policyjna to pies? Pójdzie pan rano, jeśli dowódca pana zwolni - odpowiedział i jednocześnie usiłował sobie przypomnieć, jak nazywa się ten skamlący szmugler, którego Bartek przed wyjściem zabronił zwalniać.

- Patriota jestem, panie dowódco, każdy to może zaświadczyć. Ten leśniczy Rudziński musiał coś panom na mnie nagadać, że mnie nie puszczacie, ale to mój szwagier, on ma na mnie złość. A z godziną policyjną jakoś sobie poradzę. Nie mogę czekać, aż mi się towar zaśmierdzi.

- Dość, panie Zajac - przypomniał sobie wreszcie to nazwisko. - Dowódca powiedział: nie wypuszczać niko-ąo, więc nikogo nie wypuszczę.

Po wyjściu Zajaca zdrzemnął się chyba na moment, bo nie zauważył wejścia Anki i chłopaka.

- Co się stało? - zapytał półprzytomny - przyszedł Bartek?

- Mały ma przywidzenia - powiedziała Anka. - Porozmawiaj z nim.

- Jak Boga kocham, nie myślę się - powiedział Mały. - Uwierz mi Florian, wiesz, że nie bujam.

- Nie twierdzą, że bujasz - powiedziała Anka. - Mogło ci się pomylić.

- O co chodzi? Wykrztuście wreszcie. Powiedz po kolei - zdenerwował się Florian.

Więc chłopak zaczął opowiadać o tym, jak parę dni temu na ulicy Głównej granatowy gonił handlarke pieczywa, jak biegł roztrącając ludzi, popchnął nawet starego, a potem oślepiony pościgiem wpadł na niemieckiego oficera i jak ten niemiecki oficer mu wygarnął, co o nim myśli.

- Co z tego? - nie rozumie Florian.

- On twierdzi - powiedziała Anka - że ten niemiecki oficer i Janek, którego położyłam na górze, to ta sama osoba.

- Przyjrzałem mu się, kiedy spał - powiedział chłopak. - Stałem pięć metrów od niego, kiedy obtańcowy-wał tego granatowego.

Tego jeszcze mi brakowało — pomyślał Florian. — Dlaczego Bartek tak długo nie wraca? Chciał się z nim widzieć, znał hasło, podał kryptonim „Janek”, ale z drugiej strony jest wsypa, nie wiadomo, co trafiło w ręce Niemców.

- Niech to szlag! - zaklął. - Zawołajcie Franka i jeszcze paru chłopaków. Porozmawiam z nim.

- Co się stało? — zapytał Kloss, przebudziwszy się natychmiast, gdy dziewczyna dotknęła jego ramienia. - Jest Bartek? - Dostrzegł coś w jej spojrzeniu i nagle zobaczył, że partyzanci trzymają broń

w rękach.

- Bartka jeszcze nie ma - powiedział Florian. - Chciałbym z panem porozmawiać.

- To on, to ten Niemiec, poznaję go - powiedział chłopak.

- Dokumenty - rzucił Florian.

- Czekam na Bartka, to powinno wam wystarczyć.

- Weźmiemy sami — powiedział partyzant z dziobami na twarzy. Sięgnął do kieszeni Klossa; trafił ręką na rewolwer. Wyciągnął go, rzucił na stół. Mały podbiegł do broni.

- Dla mnie!

- Zostaw - powiedział Florian. - Czy pokaże pan dokumenty dobrowolnie?

- Czekam na Bartka - powiedział Kloss. -I wam także radziłbym czekać. - Rozsadzała go wściekłość. Nie może im nic powiedzieć, me powinien także dopuścić, żeby papiery, które zabrał na wypadek spotkania Niemców, wpadły w ich ręce. Ale już go trzymają, już chłopak zwinny jak piskorz obmacuje mu kurtkę, wyciąga kolejno legitymację oficerską, notes i zaświadczenie w okładce z folii. Kloss wie, co za chwilę przeczyta Florian, który pochylił się właśnie nad karbidówką: „Wszystkie niemieckie władze cywilne, policyjne i wojskowe mają obowiązek udzielić oberleutnantowi Hansowi Klossowi wszelkiej pomocy, jakiej zażąda podczas wykonywania akcji specjalnej. Podpisano - Rhode, pułkownik”.

- Co masz do powiedzenia? - Florian mimo woli przeszedł na ty.

-To, co powiedziałem: muszę się widzieć z Bartkiem.

- Co to jest akcja specjalna?

Kloss milczał. Przecież nie może mu powiedzieć, że jest Jankiem, agentem J-23, który dostarcza ich radiostacji najcenniejszych informacji. Przecież oni, ten mały oddział partyzancki, ma za zadanie ochraniać jego pracę, radiostację, przekazującą meldunki. Nie mógłby tego powiedzieć nawet w zwykłych warunkach, tym bardziej teraz, kiedy wie, że w oddziale może być zdrajca, agent gestapo. Jeśli jest - myśli trzeźwo - będzie starał się mi pomóc. Nie pozwoli przecież, żeby partyzanci rozstrzelali niemieckiego oficera na jego oczach. Geibel by mu tego nigdy nie zapomniał. A jeśli nie ma tu agenta, jeśli w sytuacji zagrożenia, w jakiej oddział się znajduje, zdecydują się na likwidację osobnika co najmniej podejrzanego? Trzeba mieć cholernego pecha, żeby właśnie tu trafić na kogoś, kto widział Klossa w mundurze.

Ale nie, uspokoił się, nie powinni nic zrobić przed powrotem Bartka. A jeśli Bartek nie wróci do rana? Jeśli trzeba, będzie zmienić miejsce postoju? Przecież nie będą go ciągnęli ze sobą?

- Wszystko jasne - powiedział dziobaty partyzant. -Trzeba wykopać dół.

- Odprowadź go do piwnicy - powiedział Florian. -Dobrze go pilnuj i ani się waż bez rozkazu...

-Jak chcesz - skrzywił się partyzant - ale ja na twoim miejscu... - Lufą popchnął Klossa w stronę drzwi.

- Masz rację - odpowiedziała Anka na pytające spojrzenie Floriana - musimy poczekać na Bartka.

- Coś mi w tym nie gra - powiedział Florian. - To zbyt łatwe, żeby mogło być prawdziwe. Przecież w Abwehrze nie siedzą idioci. Gdyby posyłali agenta, potrafiliby go zaopatrzyć w sto najlepszych dokumentów.

- Chciał się widzieć z Bartkiem przed północą - przypomniała sobie dziewczyna. - Czyżby on... - nie skończyła zdania, ale Florian i tak zrozumiał.

- Nie znaleźli przy nim żadnego meldunku.

Gajowy Rudziński wszedł bez pukania, mrukliwy jak zwykle i jakiś niezadowolony. Postawił przed nimi kubki z parującym mlekiem.

- Pijcie, póki ciepłe — powiedział. A po chwili dodał: — Pan komendant Bartek będzie wściekły, że go pan zwolnił.

- Kogo? - zapytał nie rozumiejąc Florian. Myślni był ciągle przy Hansie Klossie, którego książeczkę oficerską trzymał w dłoni.

- Tego pioruńskiego szwagra, Zająca, znaczy się.

- Tego szmuglera? Skądże, miał siedzieć.

- Nie ma go — powiedział Rudziński. — Jakiście złapali tego szwaba, to chłopaki poszły na górę, żeby posłuchać, jak pan z nim gada i on widać przez ten czas... Ale toboły zostawił.

- Co jest w tych tobołach? Trzeba sprawdzić.

- Rąbanka, zwyczajnie - odparł flegmatycznie Rudziński. - Ale pokaż mi pan drugiego takiego szmuglera, który zostawia towar i pryska.

-Pański szwagier?

- Ano - odpowiedział stary - nie ja wybierałem. Prawdę powiedziawszy: śmieć nie szwagier. Przed wojną kumał się z granatowymi, ludzie gadali różne rzeczy, ale czy to wiadomo, co ludzie gadają...

Florian odsunął Rudzińskiego, wyskoczył do sieni.

- O ucieczce tego szmuglera jeszcze pogadamy, to was nie minie. Teraz idziemy go szukać.

Obstawicie dojścia do szosy, pewnie uciekł w tamtą stronę. Ty dokąd? - zawołał do Anki. - Wracaj na miejsce! Przygotuj się do nadawania, za pół godziny twój czas. Ogłosisz ciszę, przejście na nowe godziny i nowy szyfr. Jasne? - Wybiegł, nim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć.

10

Poczekali, aż z drzwi Kobasowej wyszli ostatni pijani oficerowie niemieccy. Po chwili gruba służąca poczłapała piętro wyżej, gdzie, jak sprawdzili wcześniej, miała służbowy pokój. Dopiero wtedy wyszli na schody i zadzwonili. Kobasowa była już w szlafrocisku, na twarzy miała resztki zmywanego makijażu. W jednej chwili dostrzegła broń w rękach wchodzących. Usiłowała zamknąć drzwi, ale któryś z młodych mężczyzn popchnął je i wsunął nogę w szparę. Wtargnęli do wnętrza. Była tak przerażona, że nawet nie krzyknęła.

— Ja... ja... — zaczęła bełkotać — ja me mam żadnych pieniędzy...

— Sama w domu?

— Tak... ale ja naprawdę...

— Nie potrzebujemy pani pieniędzy — powiedział jeden z młodych mężczyzn i zobaczył przerażenie na jej twarzy, której ściekający makijaż nadawał wygląd tragiczny i groteskowy jednocześnie.

- Więc chcecie - powiedziała szeptem - nie... ja nie zrobiłam nic złego, prowadzę tylko interesy... Ja pomagam ludziom... Nie możecie tego zrobić... nie możecie mnie...

- Możemy - powiedział wysoki, który wetknął nogę w szparę drzwi. — Możemy, ale me chcemy, przynajmniej na razie. Chcemy porozmawiać o interesach i o pomocy ludziom. Nie zaprosi nas pani do pokoju?

- Ależ proszę, proszę bardzo - powiedziała, z trudem odzyskując równowagę. Zrozumiała, że nie przyszli jej zabić, przynajmniej od razu. - Przepraszam za bałagan.

Rzeczywiście salonik wyglądał tak, jakby przeszedł tędy niedawno tajfun.

- Sami panowie widzicie, jak oni się zachowują, jak świnie - powiedziała pani Kobas i zaczęła płakać. Łzy złościły sobie kręte korytarzyki w warstwie pudru. Niższy z mężczyzn podszedł do kredensu, wziął nie dopitą butelkę koniaku, poszukał wzrokiem kieliszków. Nie znalazłszy czystych, podniósł butelkę do ust, pociągnął tego, oddał wysokiemu.

- Kim panowie są? - zapytała przez łzy.

- Widzi pani nasze wizytówki - wysoki wskazał rewolwery. - Nic więcej nie musi pani wiedzieć. Mamy do pani interes. Nasz przyjaciel, Jan Borecki, poszedł kiedyś do dentysty. Trzeba trafu, że dentysta został aresztowany. Razem z nim wzięto pacjentów, między innymi naszego

przyjaciela. On musi wyjść.

- Rozumiem — powiedziała pani Kobas. — Ale nie wiem, czy będę mogła. Schowajcie to, proszę - uspokoila się już. Przyszli porozmawiać o interesach. W gruncie rzeczy sympatyczni chłopcy, ale napędzili jej strachu. - Koszty są wysokie: pięćdziesiąt do stu tysięcy. Ale tylko część w „młynarkach”, reszta w dolarach albo funtach. Inaczej nie chcą w ogóle gadać. Może być złoto, na przykład stara biżuteria, ale w niektórych sprawach i to nie pomaga.

- Zapłaci im pani, ile zechcą. Dla pani uspokojenia mogę dodać, że nasz przyjaciel nie ma nic wspólnego ze sprawą tego dentysty. Na tej kartce ma pani wszystkie dane. Miejsce urodzenia, miejsce pracy i tak dalej.

-Macie forszę? -przyjęła podany jej szarmancko ogień, zaciągnęła się papierosem.

- Pani ma - odpowiedział ten niższy. - Zapłaci im pani ze swoich.

- Chcecie, żebym wykladała swoje oszczędności? -roześmiała się głośno. -Nie ma głupich, panowie. To nie w dzisiejszych czasach. Nie będę szukała potem wiatru w polu.

- Pani nas nie zrozumiała - wysoki ukłonił się jej uprzejmie. - Pani zapłaci ze swoich i nikt nie odda pani pieniędzy.

- Chcecie mnie zrujnować, biedną, samotną kobietę? Wyście mi to dali? Własną pracą to wszystko - zatoczyła ręką łuk, wskazując na meble i obrazy.

- Nie przesadzajmy - powiedział ten niższy. - Nie tylko pracą i nie tylko własną. Od majątku zdobytego sposobami nie zawsze godnymi Polki...

- Czego ode mnie chcecie? - przerwała.

- ...zapłaci pani podatek - skończył. - Damy pokwitowanie, przyda się po wojnie.

- Postaram się, ale nie wiem, czy będę mogła.

-Takie rozmowy jak dzisiaj -uśmiechnął się ten niższy - zaczynamy zwykle od zgolenia głowy delikwentce. Ze względu na dobro sprawy, wyjątkowo odstępujemy od zwyczaju. Nie mówiąc już o takich drobiazgach, że w razie potrzeby potrafimy także spalić na przykład czyjś sklep. Z pewnością zna pani takie wypadki. Niekiedy - wyciągnął z kieszeni broń, podrzucił do góry i złapał w locie - zmuszeni jesteśmy uciekać się do ostateczności.

- Postaram się - powiedziała pani Kobas - zrobię naprawdę wszystko, co w mojej mocy.

-Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. -Wysoki wstał. - Jest pani rozsądną kobietą. Nie musimy pani mówić, że sprawa jest pilna. - Skierował się ku drzwiom. - Aha, jeszcze jedno - odwrócił się. - Gdyby przyszła pani do głowy myśl, że można by o naszej dzisiejszej rozmowie zawiadomić sturmbannfuhrera Geibla albo innego z pani przyjaciół, to radzę czym prędzej pozbyć się tej myśli. Szkoda by było nie doczekać końca wojny, prawda?

- Za kogo mnie pan ma! - zawołała z oburzeniem. - Przecież jestem Polką! W jaki sposób będę mogła panów zawiadomić?

- Zgłosimy się sami - przesłał jej ukłon od drzwi. - Proszę nas nie odprowadzać, znamy drogę.

Pani Kobas została w przedpokoju sama. Dotknęła dłonią czoła, szczerzej otuliła się szlafrokiem. Miała dreszcze. Zamknęła kolejno wszystkie trzy zamki, a na końcu zaciągnęła jeszcze łańcuch.

11

Siedział w rogu mrocznej piwnicy na jakiejś skrzynce, którą Franek - takie było pseudo dziobatego partyzanta - podsunął mu kopnięciem. Machinalnie podrzucał na dłoni duży kartofel, który podniósł ze sterty leżącej za ustawioną z desek zagrodą. Nie słuchał, a raczej udawał, że nie słyszy monologu partyzanta, który od godziny jeszcze ani na chwilę nie zamilkł. Dyskretnie spojrzął na zegarek, tylko kwadrans dzielił go od północy.

- Myślisz, szwabię, że ci to ujdzie na sucho? - monologował partyzant. - Nie licz na to. Pójdiesz do diabła jeszcze dzisiaj. Z tego rozpylacza cię wykończę. A wiesz, skąd ten rozpylacz? Jeden taki drań, żandarm z Hucisk, po pijanemu do dzieciaków jak do wróbli... Już gryzie piach. Pomogłem mu w tym, dlatego dostałem tę rurę.

Kloss zdecydował. Wstał, partyzant zamilkł, wyprostował się, czujnie śledził ruchy Klossa, wodząc za nim automatem.

- Zawołaj dowódcę, chcę mu coś powiedzieć.

- Mogłeś z nim rozmawiać wtedy, kiedy on chciał, teraz siedź, jak ci dobrze. Zresztą jego nie ma.

Niedobrze - pomyślał Kloss. - Jeśli dowódca rzeczywiście gdzieś odszedł, nie będzie mógł zrobić tego, co postanowił, nie będzie mógł mu powiedzieć: „Jestem J-23”. A Bartek jeszcze nie wrócił, to pewne. Nie siedziałby wtedy w piwnicy, skazany na towarzystwo tego gaduły i jego rozpylacza. Zrezygnowany siadł na swojej skrzynce, sięgnął do kieszeni, wyciągnął papierosy i zapalki. Partyzant z lubością wciągnął w płuca dym.

- Popał sobie - mruczy - pewno to twój ostatni. Powinienem ci właściwie zabrać te papierosy. Gdybym ja tak siedział na twoim miejscu, a ty na moim, draniu...

Kloss ponownie sięgnął do kieszeni, wyciągnął papierosy, rzucił partyzantowi. Partyzant chwycił je w locie. Włożył papierosa w usta i zaczął poklepywać się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Automat trzymał między zaciśniętymi kolanami. Kloss znowu musiał sięgnąć do kieszeni. Wyciągnął zapalki i raptownie zerwał się z miejsca. Nim Franek zdążył uczynić ruch, przygnietyony został ciężarem ciała Klossa.

Tylko jednego kopnięcia potrzeba, żeby wytrącić partyzantowi broń, paraliżującym chwytem ścisnąć go za gardło. Franek otworzył usta jak do krzyku, Kloss, jakby tylko na to czekał, wepchnął mu do ust duży kartofel. Własnym szalikiem związał partyzantowi ręce, rozejrzał się, jakby szukał sposobu na unieruchomienie mu nóg. Znalazł! Wyciągnął deskę z zagrody otaczającej kupę kartofli. Posypały się na brzuch i nogi partyzanta związanego i unieruchomionego. Kloss podniósł broń, otrzepał ją, popatrzył w rozwścieczone oczy partyzanta. Walka go prawie nie zmęczyła, choć Franek nie należał do ułomków. Sześć miesięcy ćwiczył judo pod okiem japońskiego instruktora. Nareszcie mu się na coś przydało. Chociaż jego skośnooki instruktor nigdy nie uczył, że kartofel może być kneblem.

Zaskoczyła go cisza w sieni. Delikatnie uchylił drzwi izby, w której powinna być radiostacja. Już kiedy pierwszy raz rozmawiał z Florianem, zauważył wychodzący z szafy zielony przewód. W szparze uchylonych drzwi dostrzegł, że dziewczyna, zatopiona w myślach, siedzi na łóżku. Na pierwszym planie był stół, na którym leżały jego dokumenty i rewolwer. Czy zdąży podbiec? Kopnął drzwi i skierował lufę peemu w jej stronę. Skoczyła, jak przewidywał, w kierunku stołu. Ale on był szybszy. Schował broń i papiery, lufą peemu wskazał jej, żeby podeszła do szafy.

- Strzelaj - powiedziała Anka. - Dlaczego nie strzelasz, ty... - zatrzymała się, jakby szukała mocnego określenia.

- Szkoda czasu - powiedział Kloss. - Za trzy minuty musi pani nadawać. Proszę wziąć ołówek, zanotować co mówię, i zaszyfrować. Zaczynam: „Od J-23...”

- Od J-23... - powtórzyła dziewczyna i roześmiała się. - A myśmy myśleli...

- Nie ma czasu; proszę pisać: „Obiekt wspomniany w poprzednim meldunku musi zostać zbombardowany najpóźniej nocą ze środy na czwartek. Bezwzględnie konieczne. Serwis fotograficzny, dotyczący sprawy „M” w drodze.”

Muszę, do diabła, komuś wierzyć - myślał, gdy dziewczyna szyfrowała. - Zresztą ona chyba nie wchodzi w rachubę, jest w tej radiostacji od kilku miesięcy.

- Skończyła pani? - zapytał głośno.

Kiwnęła głową. Podeszła do szafy, nałożyła słuchawki na uszy. Jej palce zaczęły uderzać rytmicznie w przycisk klucza.

— W porządku — powiedziała. — Ciotka Zuzanna potwierdziła odbiór.

— Proszę zameldować Bartkowi, że jutro czekam na niego w punkcie trzy. Będzie wiedział - odwrócił się w stronę drzwi, skąd dobiegł go jakiś szmer, ale natychmiast opuścił wymierzoną w tamtą stronę broń. W drzwiach stał Bartek.

— Jasne, że będę - powiedział. - Martwiłem się o ciebie. Bałem się, że jeśli Filip...

—Więc Filip jednak wpadł. - Kloss usiadł na łóżku i zapalił papierosa.

Filip - pomyślał. - Trzeba ratować Filipa.

Zapomniał o wszystkim, co go tu spotkało, zapomniał już o meldunku, który go tu przyprowadził. Został nadany, a więc sprawa jest skończona. Teraz jest nowa sprawa: Filip.

Bartek rozmawiał chwilę szeptem z Anką, potem przysiadł obok Klossa.

— Zmyjemy się jeszcze dzisiaj — powiedział. — Ludzi, którzy cię widzieli, przetrzucę gdzieś dalej. Dowiedz się czegoś o Filipie. Okręg zdecydował, że jeśli zdarzy się okazja odbicia, powinniśmy pójść na to ryzyko. Odprowadził go aż do szosy.

- Nie wiem, co się da zrobić - powiedział mu Kloss na pożegnanie — ale na wszelki wypadek potrzebuję w mieście trzech, czterech ostrych chłopaków. Jeśli to możliwe, z niemieckim. Gdyby przewozili Filipa, co jest prawdopodobne, jeśli wiedzą, z kim mają do czynienia, dam znać. I pamiętaj o łączności ze mną. Drugi raz nie chciałbym cię szukać w lesie.

Rozstali się przy przesiece. Kiedy Kloss dotarł wreszcie do stacji kolejki w Trokiszkach, zaczynało właśnie świtać. Nadjeżdżał pierwszy pociąg.

Nie budził Kurta, który spał w kuchni; nawet przez zamknięte drzwi słychać było jego pochrapywanie. Na stoliku przy łóżku zastał przygotowane jedzenie i kartkę, że dzwonił sturmfuehrer Brunner, który prosi, aby pan oberleutnant się z nim skontaktował. Ale dopiero wieczorem Kloss znalazł czas, żeby zadzwonić do gestapo. Przedtem musiał zdać Rhodemu dokładne sprawozdanie z nieudanej - jak się wyraził - wyprawy do lasu. Według jego oceny o żadnym dużym zgrupowaniu partyzanckim w tym rejonie nie może być mowy. Nie trafił także na ślad żadnej radiostacji. Rhode, widząc, że ledwo się trzyma na nogach, wysłał go do łóżka.

- Kiedy się pan obudzi, proszę zadzwonić do Geibla - powiedział. - Ma do pana jakąś sprawę, ale najpierw proszę się przespać. Niech ci panowie nie przyzwyczajają się, że oficerowie Abwehry są na każde ich zawołanie. Zda mi pan potem sprawozdanie z tej rozmowy.

Więc Kloss przespał się najpierw, potem nie spiesząc się, wziął kąpiel i zjadł obiad.

Geibel był nastawiony wojowniczo.

- Chciałem panu powiedzieć, Kloss, że agenci sowieccy pracują diabli wiedzą od jakiego czasu pod nosem Abwehry.

- Także pod nosem gestapo. Ma pan coś ciekawego?

- Sam pan oceni. Stary działacz komunistyczny, prawdopodobnie ma powiązania z tą bandycką radiostacją w lesie.

- Przyznał się?

- Nie zna ich pan? Oni przeczą, wszystkiemu przeczą, nawet oczywistym faktom.

- Mam nadzieję — powiedział Kloss — że zdjął pan całą siatkę, nie jednego agenta?

- Niestety, nikt więcej tam nie wpadł. Ich system ostrzegawczy musi działać sprawnie.

- Może zbyt wcześnie pan go zdjął?

- Miałem czekać, aż pryśnie? Wydusimy z niego wszystko. A jeśli nam się nie uda, to wyduszą z niego w Warszawie. Odsyłamy go wkrótce. Pomyślałem, że może pan będzie chciał z nim porozmawiać.

-Jak pan trafił na ślad? - zapytał Kloss. - Przypadkiem?

- Nie ma przypadków. Mam lepszą agenturę niż Abwehra. Mój najlepszy agent, Wolf, od paru miesięcy szukał śladów. Ten facet, ukrywający się oczywiście pod fałszywym nazwiskiem, był dentystą. Podobno leczyli się u niego także niemieccy oficerowie. Jesteśmy z Brun-nerem zdania, że można z tego wyciągnąć interesujące wnioski.

- Ten pański Wolf, czy jak mu tam, wie tylko o dentyście, czy coś o tych niemieckich oficerach?

- Wie sporo - wycedził Geibel. - A pan powinien zainteresować się tymi oficerami.

Brunner wszedł bez pukania, wpychając kogoś przed sobą. Dopiero po kitlu lekarskim, brunatnym od plam, Kloss poznał, że to Filip.

- Gdzieś się podziewał, Hans? - zawołał wesoło Brunner.

- Zwiedzałem okoliczne lasy- powiedział. Dostrzegł w spojrzeniu Filipa jakiś blask. - Powiedział coś? - zapytał.

- To fanatyk - odparł Geibel. - Niepotrzebnie się pan broni, Filipiak - zwrócił się do dentysty. - My wiemy już wszystko. Ten Janek, którego pan tak ukrywa, wysypał cię. Nie wierzysz? Mam ci pokazać Janka? Ale będzie wtedy za późno, stracisz ostatnią szansę. Chcesz, żebym go przyprowadził?

Zmaltretowany człowiek zaczął nagle jakoś dziwnie drgać. Dopiero po chwili Kloss zorientował się, że Filip się śmieje.

- Przyprowadź go, przyprowadź - wybełkotał. Wybili mu pewnie zęby.

Ten nieoczekiwany atak śmiechu sprawił, że Geibel wrósł w podłogę na środku swego gabinetu, jakby nie wiedział, co zrobić. Wyręczył go Brunner. Otworzył szeroko drzwi i wypchnął Filipa.

- Odprowadzić! - wrzasnął.

To wszystko stało się tak nagle, że Kloss zanie-pokoił się, czy zdąży na umówione spotkanie, które Brunner wyznaczył mu u pani Irminy Kobas. Tym razem pijaństwo miało być kameralne; tylko oni dwaj i gospodyni. Brunner zaplanował, że będą pili aż do piątej, bo dopiero kiedy zacznie świtać, będzie mógł wyruszyć do Warszawy. W ten sposób Kloss dowiedział się, że ostatnia, jaka istnieje, szansa uwolnienia Filipa może zostać podjęta jutro o świcie. Niemal wybiegł z gmachu gestapo, złapał jakąś riksę i kazał się wieźć w stronę mieszkania pani Kobas. Począł, aż riksza odjedzie, minął dom, w którym mieszkała pani Kobas, i wszedł do sklepu z napisem „Magle”. Na szczęście był Bartek. Okazało się też, że przyprowadził ze sobą z lasu czterech chłopców, którzy mieli przyjść tu za dwie godziny.

Plan, jaki przedstawił Kloss Bartkowi, był na pozór dziecinnie prosty. Postara się jak najbardziej upić Brun-nera, odprowadzi go do domu, a tam muszą już czekać na niego, najlepiej w niemieckich mundurach. Zabrać Brunnerowi aktówkę, z którą się nie rozstaje, oczywiście ozdobioną złotym monogramem. Tam Brunner ma wszystkie papiery, a więc zapewne będzie miał i rozkaz wyjazdu oraz pismo do naczelnika więzienia, polecające wydanie Filipa. Obezwładnić Brunnera i czekać na szofera, który zwykle przychodzi do mieszkania. Szofera także dobrze związać i próbować szczęścia w więzieniu.

Więc plan jest prosty, ale tylko pozornie, bo istnieje niebezpieczeństwo, że w dyżurce więziennej może dyżurować ktoś, kto osobiście zna Brunnera. To pierwsze. Drugie - znacznie poważniejsze - polega na konwoju. Aresztowanych wozi się samochodem osobowym na tylnym siedzeniu, między dwoma gestapowcami. Ale w ślad za samochodem osobowym podąża półciężarowy Opel z szesnastoma SS-manami. Trzeba więc, niezależnie od grupy wyznaczonej do porwania Filipa, wyznaczyć drugą, która zaatakuje konwój i umożliwi samochodowi osobowemu bezpieczną ucieczkę. O drobnych niebezpieczeństwach, takich na przykład, jak to, że Brunner mieszka w domu zasiedlonym wyłącznie przez Niemców i wystarczy jeden krzyk jego lub szofera, aby całą robotę popsuć, Kloss nawet nie wspominał. Bartek nie jest nowicjuszem w tej robocie i wie, na co się porywa. Obaj wiedzieli, że takiej szansy nie wolno im zaprzepaścić. Ustalają na koniec, że będą czekać właśnie tu, w tym sklepie, mieszczącym się mniej więcej w połowie drogi między mieszkaniem pani Kobas a mieszkaniem Brunnera. W razie jakichś nieprzewidzianych komplikacji, Kloss zdąży ich zawiadomić.

Zostawił Bartka, który musi teraz w ciągu kilku godzin zorganizować dwie niezależne akcje, tylnym wyjściem opuścić „Magle”. Był pewien, że Brunner już siedzi u pani Kobas, a tymczasem przyszedł pierwszy. Nie ukrywała radości na jego widok. Posadziła go na najmięk-szym ze swych foteli, przyniosła kawę i koniak. Od piętnastu minut nie przestała szczebiotać.

- Dobrze się stało, że przyszedł pan wcześniej - usłyszał nowy ton w jej głosie. - Mam pewną sprawę do pana, którą wolałabym załatwić na osobności.

- Jeśli będę mógł.

- Wiedziałam, że pan porucznik nie odmówi. Chciałam pana prosić o pomoc. Sprawa oczywiście jest delikatna, mogę pana zapewnić, że zostanie między nami. Słyszał pan - pochyliła się ku niemu - o aresztowaniu dentysty Sokolnickiego?

Prowokacja? - przemknęło mu przez myśl. - Strasznie gruba. Dlaczego właśnie jemu zadaje to pytanie?

Czyżby ona była tym Wolfem Geibla? Chyba nie. Zbyt manifestacyjna jest ich zażyłość. Czego więc od niego chce, do czego zmierza pani Kobas?

- Słyszałem-odparł. - Cóż z tego?

- W poczekalni dentysty aresztowano mego krewnego, dalekiego krewnego, męża mojej kuzynki. Nazywa się Jan Borecki. To skromny, niewinny człowiek, nie miesza się w żadną politykę. Pracował jako urzędnik, ma troje dzieci. Nie ma nic wspólnego ze sprawami tego dentysty, po prostu rozboleły go zęby.

- Zły adres - uśmiechnął się rozbrajająco. - Pani wie z pewnością, że tymi sprawami zajmuje się gestapo. Powinna pani zwrócić się z tym do Geibla albo Brunnera.

Czy uważa mnie za idiotę? — zastanowił się. — Sprytna jest. Nagle udaje, że dentysta Sokolnicki ją nie interesuje, że chodzi jej o jakiegoś Boreckiego. Tej damulce trzeba się będzie w przyszłości dobrze przyjrzeć.

- Geibel, Brunner - słyszy jej głos - to przecież pańscy przyjaciele. Pana wysłuchają łatwiej. Gdyby szepnął pan słówko...

- Ich obu zna pani dłużej niż mnie.

- Moja kuzynka dla uratowania męża poświęciłaby cały majątek.

- Rozumiem - powiedział surowo - próba przekupstwa. Nie spodziewałem się tego po pani. Nie pozostaje mi nic innego, jak wyjść i poinformować Geibla o naszej rozmowie. - Wstał, jakby naprawdę chciał wyjść.

- Panie poruczniku - Kobasowa była szczerze przerażona. - Któż tu mówi o przekupstwie? Nie myślałam oczywiście o panu, ale ci z gestapo...

- Coraz lepiej - stwierdził zimno Kloss. - Sugeruje pani, że niemiecki aparat policyjny jest skorumpowany. - Coraz bardziej bawiła go ta rozmowa.

- Broń Boże, panie poruczniku, nic takiego nie miałam na myśli! Jestem zdenerwowana, sama nie wiem, co mówię. Chciałabym pomóc mojej kuzynce, a nie wiem jak. Proszę, niech pan usiądzie, przecież umówił się pan z Brunnerem. - Dzwonek do drzwi przyjął jak wybawienie. - Nareszcie Brunner - powiedziała i błagalnym gestem położyła palec na ustach.

Ale człowiekiem, którego pani Kobas wprowadziła do saloniku, nie był Brunner. Właśnie Kloss zastanawiał się, gdzie już widział tego człowieka, kiedy pani Kobas przedstawiła go:

- Panowie się nie znają, mój znajomy, także handlowiec, pan Zając. A to porucznik Kloss. Ponieważ pan Zając ma jakiś pilny interes do sturmfuehrera Brunnera, zaproponowałam, żeby

począł.

- Miło mi - powiedział - lubię rozsądnych Polaków. -A równocześnie gorączkowo usiłował sobie przypomnieć, gdzie widział tego człowieka. To nazwisko także nie jest mu obce.

- Cieszę się, że uważa mnie pan za rozsądnego - odpowiedział swobodnie Zajac.

- Człowiek, który ma interesy z Brunnerem, nie może być nierozsądny. Odnoszę wrażenie, że gdzieś już...

- To zabawne - powiedział Zajac - mnie także twarz pana porucznika wydała się skądś znajoma. No cóż, niewielkie miasto.

Zajac powoli sączył koniak. Pani Kobas poszła robić kawę. Służąca miała dzisiaj wychodne.

- Już wiem, mamy wspólnych znajomych - powiedział Zajac. - Proszę sobie wyobrazić - kontynuował tonem swobodnej pogawędki - leczylismy zęby u jednego dentysty.

- Naprawdę? - Ręka Klossa nie drgnęła. Podniósł kieliszek i w tym momencie przypomniał sobie; szmugler w leśniczówce. To musi być on. -Nie przypominam sobie pana.

- Pan porucznik nie zwracał uwagi na pacjentów siedzących w poczekalni. A może się pomyliłem? - wycofał się, jakby nagle pożałował swoich słów. - Pan wybaczy, poruczniku, ale przypomniało mi się, że mam jeszcze coś do załatwienia.

- Przecież miał pan poczekać na Brunnera - powiedziała Kobasowa. - A pan porucznik jest takim miłym człowiekiem i zapewniam pana, że osobiście nie ma nic przeciwko Polakom.

- Tak, domyślam się. - I to zdanie brzmi dla Klossa jak groźba. - A jednak muszę wyjść.

Na szczęście zadzwonił Brunner. Kloss przesunął kaburę, aby wygodniej było mu sięgnąć.

Więc nastąpi to teraz - pomyślał.

- Muszę z panem porozmawiać - powiedział Zajac, gdy tylko Brunner wtoczył się do saloniku. Sturmfehrer odpedził go gestem. Był już lekko wstawiony.

- Dajże spokój, Wolf, też sobie znalazłeś porę na rozmówki. Twoja sensacja może poczekać do jutra.

- Bardzo pana proszę - powtórzył z uporem Zajac.

- Najpierw się z nami napijesz, zasłużyłeś na to. Jak myślisz, Hans?

- Oczywiście, zawsze pan zdąży, panie Zajac - powiedział. I niemal przemocą usadził Zajaca w fotelu.

-Musicie mi pomóc się upić, chłopcy. Czekam jutro rozmowa, jakiej wrogowi bym nie życzył... - Brunner przysunął sobie butelkę.

Pili w milczeniu, tylko Brunner był wesolutki. Zając siedział czujny, napięty, skupiony. Raz po raz przypominał Brunnerowi, że ma mu coś do powiedzenia.

- Panie Zając! - zawołał głośno Kloss. - Pan tylko udaje, pan nie pije razem z nami!

- Racja, Kloss - zawtórował mu Brunner. - Pij, Zając, pij, Wolf, Siegheill. Za twoją sensację. Irminko, muzyka! Kloss, przyjacielu, mam do ciebie prośbę, zadzwoń do Ruggego, żeby podjechał tutaj, nie pod mój dom. Albo nie, sam zadzwonię - chwiejąc się na nogach podszedł

do telefonu - Ruge, ty bałwanie! - wrzasnął w słuchawkę. - Tutaj przyślij samochód, przecież ci mówię, że tutaj; wiesz, gdzie mieszka pani Irminka Kobas. Wleź na górę, to dostaniesz sznapsa.

-Już muszę pójść - zerwał się Zając.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział Kloss. - Pij! -A kiedy tamten potrząsnął przecząco głową, siłą wlał mu wódkę w gardło. Potem następny kieliszek, i jeszcze jeden. Pilnował, żeby tamten, otrząsając się z obrzydzenia, wypił.

- Panie Brunner! - krzyknął Zając. -Ja już naprawdę nie mogę!

- Pij! - krzyknął Kloss podsuwając mu szklanekę.

- Pij! - zarechotał Brunner.

Kloss pochylił się i jednym szarpnięciem wyrwał przewód telefonu z gniazdka. Zając zbliżył się do Brunnera.

- Muszę do Geibla, niech mnie pan wyprowadzi. Ten Kloss... — urwał nagle, bo Kloss stanął naprzeciw mego z butelką.

- Co: ten Kloss? - zapytał. Przytknął szyjkę butelki do ust Zająca. Zając zakrztusił się, odtrącił butelkę rozpaczliwym gestem.

- On jest... - krzyknął, ale nie zdołał skończyć. Pięść Klossa wylądowała na jego podbródku. Jeszcze dwa szybkie ciosy i Zając upadł.

- Ta świnią - powiedział tonem wyjaśnienia - pochlapała mi mundur. Nie szanuje niemieckiego munduru.

Ale Brunner nie słuchał. Zataczając się, szedł w stronę łazienki.

- Co mu pan zrobił? - zapytała Kobasowa. - Co panu się stało, panie poruczniku, pan był zawsze taki spokojny?

Znów muszę zaryzykować - pomyślał z rozpaczą i powiedział po polsku:

- Trzy domy stąd jest magiel. Proszę zastukać w szybę trzykrotnie. Pójdzie pani tam natychmiast i odda tę kartkę.

Kobasowa zaniemówiła z wrażenia.

Wydarł kartkę z notesu i napisał: „Wszystko przenieść do mieszkania tej pani. Ona was przyprowadzi. Obezwładnicie obu oficerów niemieckich i poczekacie na szofera. Cywila trzeba zlikwidować - to agent gestapo o kryptonimie Wolf”.

Podpisał kartkę inicjałem „J” i wręczył ją pani Kobas.

-Jeśli piśnie pani komukolwiek... - zaczął i urwał, bo dostrzegł, że Kobasowa wszystko zrozumiała.

Niemal wypchnął ją za drzwi. Potem wlał sobie szklanekę koniaku, prawie pełną. Czekał.

Na szczęście niedługo.

13

Epilog tej historii rozegrał się w dobre parę miesięcy później w innym mieście. Kloss miał spotkać się z jakimś człowiekiem o nazwisku Stefański i kiedy wszedł do umówionego mieszkania, na jego widok wstał od stołu Filip.

Długo w milczeniu ściskali sobie ręce. Kloss opowiedział mu wydarzenia tego wieczora, od których zawisł los ich wszystkich. Mieli szczęście. Wszystko się udało. Brunner musiał oczywiście wysłuchać nazajutrz paru gorzkich słów od swego szefa, ale ten w końcu dał się udobruchać i wysłał, gdzie trzeba, raport, że dentysta Filipiak został zastrzelony w czasie próby ucieczki. Kloss opowiedział zresztą wówczas, jak to dzielnie zachowywał się sturmfu-ehrer Brunner, który z gołymi pięściami rzucił się na uzbrojonych po zęby bandytów. Tylko pośpiech i strach przed zaalarmowaniem Niemców uratowały im życie - potwierdził Brunner podczas przesłuchania.

Najbardziej zarobił na tym Geibel. Wszystkie co cenniejsze rzeczy z mieszkania pani Kobas, którą uznał za współniczkę bandytów, powędrowały najpierw do depozytu gestapo, a potem pod prywatny adres żony Geibla w Magdeburgu.

- Niestety - skończył swą opowieść Kloss - nie wiem, co się z nią stało. Dużo jej zawdzięczamy. Gdyby wówczas Kobasowa nie zniosła tej kartki... lepiej nie myśleć.

- Zabrał ją wtedy Bartek do lasu. Ale była tam krótko. Daliśmy jej nowe papiery i przerzuciliśmy do Warszawy. Za nasze pieniądze uruchomiła stragan na Kercelaku. Oficjalnie handluje używaną odzieżą, a nieoficjalnie skupuje dla nas broń od Włochów i Niemców. Znów się dorobiła majątku. Ta baba to geniusz do interesów.

NOC W SZPITALU

1

Najgorsze są te godziny, kiedy już nic nie można zrobić, pozostaje tylko czekanie, ukradkowe spojrzenia na wskazówki zegarka, posuwające się zbyt wolno. Koniec akcji nastąpi według planu najpóźniej o godzinie szesnastej. To znaczy o osiemnastej Ewa powinna być z powrotem w mieście. No, powiedzmy, godzina rezerwy. O dziewiętnastej można pójść na Benedyktyńską. Swoją drogą fatalnie dobrany punkt kontaktowy. Ponura kamieniczka, w której nie ma żadnego warsztatu, nie mieszka żaden Niemiec. Dobrze chociaż, że wejście od podwórza. A jeśli go ktoś zobaczy na klatce schodowej? Co może robić oficer niemiecki w kamieniczce przy Benedyktyńskiej? Ubrać się po cywilnemu? Jeszcze niebezpieczniej. Należy natychmiast po akcji zmienić punkt kontaktowy. Ewa jest jednak nieostrożna. To jego wina — dziewczyna ma przecież niewielkie doświadczenie.

Kloss spojrzął na zegarek. Dochodziła druga. Jeszcze pięć godzin. Major von Rhode popatrzył na Klossa z zainteresowaniem.

- Pan nie słucha, poruczniku - powiedział.

- Ależ słucham, panie majorze. Pan mówił o von Krucku.

- Tak, mówiłem. - Tym razem Rhode spojrzął na zegarek. - Zapewne wyjechał już z Kielc. Zobaczę się z nim dziś wieczorem. A pana prosiłem jeszcze o sprawdzenie teczek personalnych obsługi poligonu.

- Tak jest - powiedział Kloss. Z ulgą opuszczał gabinet.

Wrócił do siebie, wyciągnął z szuflady teczkę personalną, ale myślał ciągle o tamtym. Czy przewidzieli wszystko? Akcja była przygotowana dość pośpiesznie. Wczoraj rano Kloss dowiedział się, że Kruck opuści Kielce dziś około drugiej po południu. Mieli więc zaledwie dwadzieścia cztery godziny na wszystko. Należało zdjąć Krucka po drodze, zanim zjawi się na poligonie, bo to była jedyna szansa, później już będzie zbyt trudno. Tylko von Kruck znał wszystkie szczegóły tajemniczej broni „X-8”, tylko von Kruck wiedział, kiedy rozpoczną się próby. Oczywiście wiedział także von Rhode, ale wycisnąć cokolwiek z Rhodego było równie trudno, jak porwać Krucka z poligonu, strzeżonego dniem i nocą przez dwa bataliony SS. Musieli więc podjąć jedyną decyzję, która narzucała się niejako sama. Droga z Kielc do Borzentowa na osiemnastym kilometrze biegła wzdłuż lasu i zbliżała się do ich leśniczówki. Tu należało zatrzymać samochód, zdjąć Krucka i doprowadzić do leśniczówki żywego. Wykonanie: grupa z oddziału Lisa - dziesięciu ludzi plus Ewa. Dlaczego kazał Ewie brać udział w tej akcji? Po co to zrobił? Musiał mieć kogoś, kto zamelduje natychmiast o wykonaniu zadania. Dziś rano, zanim zjawił się w sztabie, wstąpił na Benedyktyńską. Lis już czekał.

Młody chłopak, jeden z tych, co tkwią w lesie niemal od początku. Miał dużą, jasną czuprynę i owalną twarz dziecka.

- Zrobi się - powiedział. - Nie takie rzeczy się robiło.

Kloss znowu spojrzął na zegarek. Dochodziła trzecia. Pomyślał, że teraz zaczyna się właśnie akcja. Pomyślał znowu, że najpóźniej o siódmej Ewa powinna wrócić na Benedyktyńską. Jeszcze cztery godziny. Pójdzie do kasyna, zje obiad, pogada z leutnantem Wolffem o niemieckich sukcesach nad Donem. Dochodzą do Stalingradu -pomyślał. -Jak długo to będzie trwało? Jak długo może to jeszcze trwać?

2

Była godzina piętnasta zero pięć. Nad lasem wisały niskie, białe chmury, ale popołudnie było jeszcze piękne, wrześnieowe, szosa wiła się między wzgórzami i żółtymi w słońcu pasmami pól. Chłopcy leżeli kilkanaście metrów od szosy na wzniesieniu pokrytym gęstymi krzakami. Tylko Lis i Borsuk, starszy mężczyzna, którego przezywano też „Dziadkiem”, w niemieckich hełmach i w mundurach żandarmerii, wyszli już na drogę. Ewa przyłożyła lornetkę do oczu. Od strony Kielc zbliżał się mały, czarny punkt. Był jeszcze daleko. Ewa podniosła się i pomachała ręką. To powinien być on. A jeśli będą dwa samochody? A jeśli Kruck otrzymał większą, niż przypuszczali, obstawę z SS? Obserwowała uważnie sąsiednie wzgórze. Nareszcie! Gałąź polnej gruszy poruszyła się w kierunku przeciwnym, niż wiał wiatr. To posterunek wysunięty w stronę Kielc dawał sygnał rozpoczęcia akcji. Oznaczał ten sygnał, że wszystko jest w porządku, że przejechało auto z von Kruckiem i że samochód jest tylko jeden. Borsuk i Lis poprawili pasy i wyszli na drogę. Chłopiec leżący obok Ewy szczerknął zamkiem erkaemu. Przyłożył kolbę do ramienia. Jeszcze minuta- dwie...

Wojskowy wóz gwałtownie zahamował. Trzej SS-mani z obstawy, siedzący z tyłu, trzymali w rękach gotowe do strzału peemy.

- Was ist den loss? - Co się stało? - zawołał jeden z SS-manów do żandarmów stojących teraz przy masce samochodu.

- Który z panów nazywa się von Kruck? - zapytał po niemiecku Lis. Zdanie to powtarzał przez cały ranek, nawet akcent był niezły. Wysoki mężczyzna w cywilnym płaszczu, zajmujący miejsce obok szofera, wstał. Na to właśnie czekali. Zagrał erkaem. Rzekomi żandarmi padli na ziemię. Lis wypalił z pistoletu, ale było to już właściwie zbyteczne. SS-mam me zdążyli wyskoczyć, zostali w samochodzie. Tylko jeden z nich zwałił się na szosę i przez chwilę usiłował pełznąć w kierunku rowu, potem zamarł z ręką wysuniętą przed siebie, jakby szukającą oparcia. Borsuk strzelił do szofera, który z nielichą przytomnością umysłu usiłował włączyć bieg, a Kruck, martwo blady, stał nadal w szoferce, nie próbując nawet sięgnąć po pistolet. Chłopcy zbiegali już ze wzgórza, otoczyli samochód.

- Szybko, wiejemy - powiedziała Ewa. Szofer jęknął i otworzył oczy.

- Dostrzelić go - rozkazał Lis, ale w tej chwili z daleka zobaczyli zbliżający się samochód z kierunku Borzentowa.

- Do lasu! - krzyknął Lis.

Dwaj chłopcy wzięli Krucka pod ramiona i wyprowadzili go z wozu. Ewa szła obok nich, niosąc ciężką teczkę niemieckiego jeńca.

- Czego ode mnie chcecie? Czego ode mnie chcecie? - powtarzał Kruck, nie spuszczając wzroku z Ewy. - Jestem tylko uczonym, niemieckim uczonym.

Nikt mu nie odpowiedział. Biegli przez las, a właściwie wąły lasek — wąskie sosnowe pasemko, a potem zaczynały się łąki, dwa kilometry łąk i pól, dzielących ich od prawdziwego lasu. Biegli pochyleni, poganiając Krucka, odsłonięci i z niepokojem obserwujący teren, jak na złość płaski tu i pozbawiony wszelkich wybrzuszeń. Od szosy dochodził już niemiecki krzyk, potem zaterkotał erkaem, serie niegroźne jeszcze, strzelane na oślep, dla postrachu. Nad lasem zawisła czerwona rakietka i opadała powoli na ziemię. Po kilkunastu sekundach przyszła odpowiedź: biała rakietka z lewej strony, strzelona niżej, niemal nad ich głowami. Dopiero wtedy zobaczyli tyralierę. Niemcy szli polem od Borzentowa, odcinając ich od lasu. Widzieli już. Zagrały peemy, rozszczękał się ciężki karabin maszynowy, runęli na ziemię, gdzie kto mógł, wciskając twarze w suchy piasek.

- Borsuk i Ewa ze szwabem do lasu! - krzyknął Lis. - my postaramy się ich zatrzymać.

Strzelanina gęstniała. Niemcy też zalegli, nie spieszyli się. Trzymali ich pod ogniem, nie pozwalając wychylić głowy, uniemożliwiając skok w tył. Chłopcy odpowiadali coraz rzadziej; oszczędzali naboje. Nad łąką, pogrążoną teraz w cieniu, bo chmury przysłoniły słońce, wyskakiwały co chwila białe lub czerwone rakiety i gasły powoli, jak wypalające się żarówki. Dochodziła godzina szesnasta.

3

O godzinie osiemnastej Kloss opuścił kasyno. Wolff opowiadał o swojej ciotce z Hamburga, która zapewne niedługo umrze i zostawi mu kamienicę przy Albert-prinzstrasse. Opisywał tę kamienicę tak szczegółowo i z taką miłością, że nie dostrzegał milczenia Klossa i mówił, ciągle mówił o przyjemnościach mieszczańskiego bytu, potem zaproponował, by wypić za Niemcy, które stworzą po wojnie wszystkim swym obywatelom ciepły dostatek i spokojną pewność spożywania owoców zwycięstwa. Kloss wypił, pożegnał się i wyszedł. Porucznik Wolff był krótkowidzem. Gdy zdejmował okulary, jego twarz zdawała się zadziwiona i bezbronna.

Tacy jak ty - pomyślał Kloss - tacy jak ty zapłacą za to wszystko...

Najchętniej poszedłby od razu na Benedyktyńską, ale postanowił jeszcze odczekać godzinę; me chciał tam wracać dwukrotnie, wystarczy raz, potem już koniec. Muszą sobie znaleźć jakiś sklepik,

diabli zresztą wiedzą co, w każdym razie coś, gdzie mógłby być niemiecki oficer.

Mieszkał na parterze niebrzydkiego domu zajętego przez Niemców. Jego sąsiad, kapitan Eckel, wyjechał akurat na urlop i była to okoliczność pomyślna, albowiem Eckel przychodził wieczorami; nudził się, więc poszukiwał towarzystwa Klossa, przynosił butelkę koniaku i szachy, a potem opowiadał o swojej córce, która robiła właśnie karierę w BDM. Kloss położył się na łóżku w swoim pokoju i patrzył na sunące wolno wskazówki zegara. Piętnaście po szóstej, wpół do siódmej. Jego ordynans, Kurt, dostał wolny czas do ósmej i Klossa cieszyła także jego nieobecność; albowiem Kurt wykazywał zbyt dużą troskliwość o swego porucznika; czasami wydawało się Klossowi, że jednak czegoś się domyśla, może należałoby zastąpić Kurta kimś innym, nie umiejącym po polsku, ale szkoda tego chłopca, który już się przywiązał i może zasługuje na zaufanie. „Nikommu nie należy ufać” powtarzano to Klossowi do znudzenia, zanim posłano go na tę robotę.

Niczego bym nie dokonał, gdybym czasem nie zaufał - pomyślał.

Wyszedł przed siódmą. Zapadał już mrok, zbliżała się wczesna godzina policyjna. Minął go patrol żandarmerii, potem był pusty chodnik, jakaś postać przylepiona do muru zniknęła, zanim zdążył ją dojrzeć. Przystanął na Benedyktyńskiej, długo obserwował ulicę i wreszcie wszedł na podwórze. Na klatce schodowej było ciemno, trzeszczały drewniane schody, Kloss stanął przed drzwiami i zapukał w sposób umówiony. Zawsze go śmieszyło to umówione stukanie, odczekał, zapukał po raz drugi. W mieszkaniu panowała cisza. Kloss nacisnął klamkę - drzwi były zamknięte. Przy świetle zapałki spojrzął na zegarek. Dochodziło już wpół do ósmej... Jeśli Ewa nie wróciła...

Spacerował jeszcze kilkanaście minut po chodniku ulicy Benedyktyńskiej. Może powinien wrócić do sztabu i zameldować się u von Rhodego? Jeśli Kruck nie przyjechał, von Rhode sam go zapewne wezwie. Ale dlaczego nie ma Ewy? Co się stało?

Usłyszał miarowe uderzenia o bruk, szedł patrol żandarmerii. Kloss ruszył szybkim krokiem. Nie powinni go tu widzieć. Przyjdzie jeszcze za dwie godziny, chociaż nie powinien przychodzić, bo jeśli Ewa... Przeklinał teraz swoją robotę, wolałby być z nimi tam na szosie, a nie tutaj, pozbawiony możliwości działania, skazany na czekanie. „Wojna jest czekaniem” - to znowu jedna z prawd sprawdzających się co dzień.

W kuchni Kurt pitrasiał kolację. Stał na baczność, jego gęba promieniała uśmiechem.

- Były telefony? - zapytał Kloss.

- Nie, panie poruczniku; ja wróciłem o ósmej, panie poruczniku.

Kloss wszedł do swego pokoju, rzucił czapkę i płaszcz na łóżko i podniósł słuchawkę. Zażądał połączenia z von Rhodem, ale von Rhodego nie było, a dyżurny oświadczył, że major nie pytał o Klossa. Rhode powiedział, że spotka się wieczorem z Kruckiem. Czyżby więc akcja spaliła na panewce?

Na progu stanął Kurt z tacą w ręku.

- Kolacja gotowa, panie oberleutnant.

- Zjedz sam - powiedział Kloss. Kurt nie ustępował tak łatwo.

- Pan oberleutnant jadł tylko obiad w kasynie, a wiadomo, jak w kasynie karmią. To oficerskie żarcie nic nie jest warte.

-Wynoś się!

Został sam i mógł tylko czekać. Usiadł przy stole i rozłożył przed sobą „Völkischer Beobachter”. Nie miał nawet niczego do czytania, nic nie wolno mu było trzymać w domu, ani jednej polskiej książki. Usłyszał trzaśnięcie drzwiami, potem jakieś głosy w kuchni. Ktoś przyszedł do Kurta? Kurt nie miał przyjaciół, stronił raczej od ordynansów innych oficerów. Kloss odłożył gazetę i w tej chwili w drzwiach pojawił się Kurt.

- Panie oberleutnant - powiedział - przyszła jakaś dziewczyna.

- Kto? - zapytał machinalnie Kloss.

- Polka - powiedział Kurt. Był także zdziwiony. Ober-leutnant Kloss rzadko przyjmował dziewczęta, a nigdy nie przychodziły do niego Polki.

Kloss słuchał nie rozumiejąc. Zrozumiał dopiero, gdy w drzwiach pojawiła się Ewa, a Kurt zniknął w kuchni. Była bardzo blada, oparła się o ścianę i oddychała ciężko. Kloss poczuł gwałtowną radość, że dziewczyna jest, że żyje, dopiero po chwili ogarnęła go złość.

- Po co tu przyszłaś? - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Jak mogłaś tu przyjść? Tyle razy powtarzałem. Czekałem na punkcie... Macie go?

- Nikt nie ocalał - powiedziała z trudem Ewa. - Była obława. Nie doszliśmy do leśniczówki.

Dopiero teraz dostrzegł, że jest ranna. Osunęła się na podłogę, potem chciała wstać, ale Kloss podniósł ją lekko i zaniósł na łóżko. Ściągnął kurtkę, syknęła z bólu. Leżała z zamkniętymi oczyma. Klossowi wydawało się, że już nie oddycha, poszukał tętna. Na prawym ramieniu miała prymitywny opatrunek. Bandaż przesiąkł krwią. Kloss podbiegł do szafy, znalazł bandaż, ale gdy chciał ją podnieść, jęknęła, a potem zobaczył, że płacze.

- Ja stąd pójdę - szepnęła przez łzy. - Dostałam pod lasem. Zawiazali mi we wsi... Janek, Janek, po co ja tu przyszłam?

Nigdy dotąd nie czuł się tak bezradny. Minęła już godzina policyjna, nie było nikogo, do kogo mógł się zwrócić. Wszyscy zostali tam, pod lasem. Ile trzeba czasu na nawiązanie łączności? Ile czasu może przetrzymać tu Ewę? Skąd wziąć lekarza?

W tej chwili usłyszał głos w kuchni. Ciężkie kroki zbliżające się do drzwi.

- Czy oberleutnant Kloss jest u siebie? - to był major von Rhode.

Klossa ogarnęła panika. Pomyślał, że to koniec. Odbezpieczył rewolwer. I natychmiast zrozumiał, że jeśli nawet zastrzeli von Rhodego i ucieknie, będzie musiał zostawić tu Ewę. Wtedy usłyszał głos Kurta.

- Pan porucznik jest u siebie. Ma dziewczynę.

Kloss schował pistolet do kieszeni spodni; gwałtownie, szarpiąc guziki, ściągał mundur. Kurt był jednak niezastąpiony. Gdyby nie on...

- Dziewczynę - powiedział von Rhode stojąc na środku kuchni. - Zdarza się. - Wyciągnął papierośnicę, zapalił, a jednego papierosa rzucił na stół.

- Dziękuję, panie majorze - powiedział Kurt.

- Polka? - zapytał von Rhode.

- Nie wiem... - Klossowi zdawało się, że słyszy oddech Kurta. Czekał. Powinien wejść do kuchni już zupełnie spokojny. - Ładna - dodał ordynans.

- Szeregowcy odpowiadają tylko na pytania. - Von Rhode wskazał drzwi. — Zapukajcie.

Kloss odskoczył od progu, potem ryknął:

- Co tam?

- Pan major von Rhode! - odkrzyknął Kurt. Kloss odczekał jeszcze kilka chwil i wytoczył się z pokoju. Zatrzasnął za sobą drzwi.

- Heil Hitler, panie majorze. Pan major wybaczy, nie byłem przygotowany.

- Widzę - powiedział sucho von Rhode. - Muszę stwierdzić, że znalazł pan niezbyt odpowiedni czas na rozrywki miłosne.

- Kurt, otwórz ten koniaczek... Nie jesteśmy mnichami, panie majorze. W tym przeklętym kraju... Rhode przyglądał mu się uważnie.

- Nie lubię tego tonu u moich oficerów. Nie będę pił.

- Panie majorze — szarżował dalej Kloss — proponuję wesoły wieczór. Należy nam się coś od życia, do diabła!

- Nie poznaję pana, oberleutnant. - Rhode mówił cicho, w jego głosie dźwięczała jednak groźba. - Będzie pan miał swój wesoły wieczór.

Kloss natychmiast zmienił ton:

- Co się stało? - zapytał.

- Odeśle pan zaraz tę dziewczynę.

- Proszę o godzinę czasu.

Rhode patrzył na drzwi. Chciał wejść. Nie zdecydował się wejść.

- Polka? - zapytał.

Kloss zawahał się. Kłamstwo mogło być zbyt kosztowne. W tym miasteczku było tylko parę Niemców.

- Tak - powiedział po chwili.

- Polka - powtórzył von Rhode. - Ostrożnie z Polkami, panie oberleutnant. I proszę na drugi raz pamiętać: nie lubię ani wulgarności, ani sentymentalizmu.

Zostali sami w kuchni. Kurt stał na baczność i wydawało się Klossowi, że czeka. Na wyjaśnienie? Na podziękowanie? Kloss położył mu rękę na ramieniu. Nie miał na nic czasu. Musiał podjąć jakąś decyzję. Była tylko jedna szansa: miejscowy szpital.

- Nie wpuszczaj tu nikogo — powiedział. — Pod żadnym pozorem nie wpuszczaj. Wrócę niedługo. Mundur zapinał już na schodach.

4

Szpital w Borzentowie mieścił się parę ulic dalej. Był to długi, parterowy budynek, otoczony koślawym murkiem. Przed wojną chorych wożono najczęściej do Kielc albo do Radomia, nikt nie dbał o szpital w Borzentowie i nikt by nie uwierzył, że można w tym budyneczku pomieścić sześćdziesięciu chorych. Łóżka stały na korytarzach, zlikwidowano dwa gabinety lekarskie, a kierownik szpitala i jednocześnie jedyny lekarz urzędował w niewielkiej dyżurce. Doktor Jan Kowalski, bo tak się zwyczajnie nazywał, ukończył medycynę w trzydziestym ósmym roku i tu, do Borzentowa, skierowano go na praktykę. Marzył, że będzie pracował pod kierunkiem doświadczonych lekarzy, a tymczasem pracował zupełnie sam od chwili, gdy doktora Fejersa wywieziono do getta w Kielcach. Stawiał diagnozy, wykonywał proste zabiegi i śleczął całymi nocami nad książką, szukając odpowiedzi na pytania, o których książki nie wspominały, ponieważ nikt nie przewidywał, że młody stażysta może w ciągu dwóch lat zostać kierownikiem szpitala.

Ten wieczór spędzał, podobnie jak niemal wszystkie, w szpitalu. Siostra Klara podawała mu właśnie herbatę.

Siostra Klara miała najwyżej dwadzieścia lat, duże oczy, warkocze splecione w tyle głowy i zielonego pojęcia o medycynie.

- Proszę się napić herbaty i iść spać - powiedziała siostra Klara. - To już druga noc, pan się wykończy. Kowalski milczał.

- Przygotuję parę kanapek - ciągnęła Klara. - Mama przywiozła wczoraj schabik ze wsi....
Powinien pan dbać o siebie. Ktoś powinien o pana koniecznie dbać.

- Jak się czuje ten z trójki? - zapytał Kowalski.

- Nieprzytomny - powiedziała Klara. - Chyba dzisiaj będzie koniec.

- Daj mu coraminę.

- Mówił pan, że to beznadziejne.

- Daj - powtórzył Kowalski.

Ktoś bez pukania otworzył drzwi. Klara zobaczyła niemieckiego oficera.

- O Boże! - szepnęła.

Kloss, bo to on był właśnie, podszedł do lekarza, który powoli wstawał z krzesła.

- Pan jest lekarzem? - zapytał po polsku.

-Tak.

- Pójdzie pan ze mną - powiedział Kloss i zobaczył przerażenie na twarzy Klary.

- Chciałem pana uprzedzić - rzekł spokojnie Kowalski - że jestem tu jedynym lekarzem.

- Wiem o tym - Kloss zwrócił się do Klary: - Proszę wyjść - rozkazał i gdy dziewczyna zniknęła za drzwiami, ciągnął dalej: - Pójdzie pan ze mną do chorej. Weźmie pan wszystko, co niezbędne do opatrunku.

- Nie mam prawa leczyć Niemców.

- Prędeż, nie ma ani chwili do stracenia. Lekarz wziął torbę i ruszył ku drzwiom.

- Świetnie pan mówi po polsku - powiedział.

Zanim zdążył otworzyć drzwi, na progu stanęła siostra Krystyna. Była starsza od Klary, bardziej w typie siostry szpitalnej. Czysta, schludna, trochę nijaka, o zaczesanych gładko włosach i bladych, zapewne rzadko szminkowanych, wargach.

- Panie doktorze - zameldowała - przywieźli nieprzytomnego mężczyznę. Jakiś chłop... - W tej chwili dostrzegła Klossa i urwała. — Proszę mówić dalej — rzucił Kloss.

- Powiedziała, że jest nieprzytomny.

- Połóżcie go tymczasem na korytarzu - polecił doktor Kowalski.

-Jest wolna separatka.

- Musimy ją zostawić dla tego z trójki. Proszę chwilę poczekać - lekarz zwrócił się do Klossa. - Muszę go zobaczyć.

- Nie dłużej niż pięć minut - powiedział Kloss.' Chory nie pochodził na pewno ze wsi. Kowalski spojrzał na jego płaszcz i marynarkę, było coś charakterystycznego, może obcego, w ich kroju, a potem jeszcze raz pochylił się nad chorym. Objawy wydawały się typowe. Niemal jak w podręczniku. Szara skóra, zapaść.

-To szok - rzekł zwracając się do siostry Krystyny. -Ten mężczyzna jest w stanie szoku. Tu, na przedramieniu, widzi siostra niewielkie draśnięcie. Trzeba zabandażować.

Niedaleko nich stał siwawy mężczyzna, miętosząc czapkę w rękę.

- Czy ja mogę już jechać, panie doktorze? - zapytał. Kowalski dopiero teraz go spostrzegł.

- Niech pan jedzie. Gdzie pan go znalazł?

- Na polu, niedaleko leśniczówki. Tam była bitwa, potem Niemcy poszli, a on został w rowie melioracyjnym. Nie spostrzegli go.

- Mówił pan komu?

- Czy ja głupi? - chłop urwał nagle zobaczywszy Klossa, wychodzącego z dyżurki. Zmieszał się.

- Minęło pięć minut - powiedział Kloss.

Doktor Kowalski wziął swoją torbę i ruszył w milczeniu ku drzwiom.

Gdy weszli do mieszkania Klossa, Kurt siedział w kuchni i jadł kolację, ale jaka istniała pewność, że nie zaglądał do pokoju? A ten lekarz? Czy można ufać przypadkowemu lekarzowi? Zorientuje się natychmiast, że chodzi o ranę postrzałową. Co robić potem z Ewą? Jak ją przerzucić do lasu? Jeśli Lis zginął, na nawiązanie kontaktu potrzeba paru dni. Kloss spojrzał na zegarek. Von Rhode już czeka. Von Rhode jest punktualny i niebezpieczny. Czy coś spostrzegł? Powiedział: „Ostrożnie z Polkami”. Co to miało znaczyć? Zresztą niech ich diabli... Najważniejsza jest Ewa.

- Proszę mi dać jakiś pasek - powiedział doktor Kowalski.

Odłożył strzykawkę i przewiązywał teraz ramię Ewy. Dziewczyna otworzyła oczy. Kloss pochylił się nad nią.

-Janek-powiedziała cicho i dostrzegła Kowalskiego. - Kto to? - przestraszyła się.

- Lekarz - rzekł Kloss. - Nic nie mów.

Kowalski bandażował ramię. Wydawało się, że nie słyszy ich rozmowy, albo udawał, że nie

słyszysz. Potem wstał i zamknął swoją torbę.

- Trzeba ją natychmiast przewieźć do szpitala.

- To niemożliwe! Będzie ją pan leczył tutaj.

Kowalski wzruszył ramionami. Suchym tonem wyjaśniał, że stwierdził ranę w okolicy pachowej i uszkodzenie tętnicy ramieniowej. Tętnicę trzeba zeszyć w ciągu dwóch godzin, bo jeśli krwotok nie będzie powstrzymany...

- To poważna operacja? - zapytał Kloss.

- Operacja jest poważna. Proszę ją zawieźć do niemieckiego szpitala.

Czy ten lekarz udaje, czy nie rozumie?

- Podejmie się pan tej operacji? - Kloss mówił niemal szeptem. Czuł na sobie uważne spojrzenie Kowalskiego.

- Pan wie równie dobrze jak ja, że o takich zabiegach muszę meldować niemieckim władzom.

- Biorę wszystko na siebie.

- Wolałbym wiedzieć więcej - rzekł Kowalski. - Ja ryzykuję.

- Wie pan i tak dostatecznie dużo - Kloss czuł, że oddaje się w jego ręce, ale czy miał inne wyjście? Czy istniało inne wyjście?

- Samochód? - zapytał Kowalski.

- Nie mam samochodu. - Kloss zawołał Kurta. Chłopak przeżuwał jeszcze kolację, wydawał się obojętny i niczym nie zadziwiony. Kazał mu znaleźć dorożkę i potem odwieźć dziewczynę do szpitala. Musiał iść do von Rhodego. Oddawał Ewę Kowalskiemu i Kurtowi. Nie miał innego wyjścia. Dorożka właśnie podjeżdżała, gdy wychodził z domu. Stary człowiek na koźle był przerażony. Minęła już godzina policyjna, ale jeśli pan żołnierz koniecznie chce...

Byle tylko nie spotkali patrolu - modlił się Kloss. - Byle tylko nie spotkali patrolu...

5

W szpitalu siostra Krystyna nie odstępowała mężczyzny przywiezionego w stanie szoku. Zrobiła mu już iniekcję, teraz badała tętno i czekała, aż chory otworzy oczy. Chciała, żeby otworzył oczy. Miał interesującą twarz, na pewno nie był to chłop ani nikt z miasteczka, przypominał bardziej nauczyciela gimnazjalnego niż kogoś z partyzantki. Przeszukała już kieszenie marynarki i płaszcza. Nic, żadnego papierka, tylko paczka niemieckich papierosów, czysta chusteczka z wyszytym

monogramem „A.K.” i parę zmiętych banknotów markowych. Wzięła jego dłoń i zobaczyła złotą obrączkę. Zawahała się. W tej chwili dostrzegła Stefana. Stał za nią chyba już od paru chwil. Równie uważnie obserwował chorego.

- Kto to jest? - zapytał.

- Nie wiem - powiedziała Krystyna. - Przywieźli go ze wsi.

- To jego marynarka? - Stefan sięgał już do kieszeni.

- Zostaw, nic nie znalazłam. - I w tej chwili wybuchnęła w niej gromadzona od wielu godzin złość na Stefana. - Gdzie byłeś wczoraj?

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Nie pamiętam. Myślisz, że prowadzę pamiętnik? Chyba na popijawie.

- Nie żartuj ze mną - powiedziała cicho Krystyna.

- Gdzieżbym śmiał! - roześmiał się, potem otoczył ją ramieniem. - Nie złość się, dziewczyno!

- Pójdziesz dzisiaj ze mną? - zapytała Krystyna.

- Się zobaczy - mruknął, ale Krystyna już nie słuchała. Chory otwierał właśnie oczy. Krystyna położyła mu dłoń na czole.

- Schwester- szepnął chory - wo bin ich?

Mówił po niemiecku. Rozumiał jednak albo Krystynie zdawało się, że rozumie, gdy wyjaśniała mu, że jest w szpitalu i że niedługo będzie zdrowy. Zamknął oczy i po chwili Krystyna usłyszała znowu jego głos. Bredził. Rozumiała tylko oderwane słowa. Wald... Forsthaus... Potem coś, co oznaczało chyba eksplozję i wreszcie data. Dwukrotnie powtórzył tę datę. 29 wrzesień, czyli mniej więcej za tydzień. Potem znowu stracił przytomność.

Krystyna pozostała przy łóżku i przysłuchiwała się zwykłym, szpitalnym odgłosom. Jęczała kobieta pod dziewiątką. Kaszlał gruźlik spod piątki, którego dawno powinni wypisać ze szpitala. Młoda dziewczyna, chora na anemię, przeszła przez korytarz. Z operacyjnej dobiegały głosy Stefana i Wacława. Znowu się kłócili. W tym trwającym od wielu tygodni sporze Krystyna była raczej skłonna przyznać rację Stefanowi. Nie tylko dlatego, że Stefan był jej, ale także, iż Wacław od początku, od chwili przybycia tutaj, wydawał się dziwny, nieufny, zbyt ostrożny, jakby ciągle się czegoś obawiał albo na każdym kroku wietrzył podłość godzącą bezpośrednio w niego. Krystyna nie słyszała, o czym mówią, ale chwycił ją nagle za gardło lęk o Stefana, przypomniawszy sobie wczorajszy wieczór i to, o czym chciała myśleć, ale o czym bała się myśleć...

Sala operacyjna, przerobiona z dawnego gabinetu lekarskiego, była bardzo mała. Stefan

skończył właśnie czyszczenie narzędzi, które Waclaw układał starannie w szafie.

- Doktor Kowalski - powiedział Stefan - lubi, żeby skalpele układać od małego do dużego. I posegreguj igły. Przynajmniej to powinieneś umieć robić.

Waclaw milczał. Był to wysoki chłopak o pociągłej twarzy, na której zastygł wyraz niepokoju albo strachu. Stefan obserwował go uważnie.

- Boisz się? - zapytał.

-Czego?

-Jak długo uda ci się oszukiwać naszego doktora? Jemu możesz mówić, że byłeś na medycynie, a mnie nie uważaj za frajera.

- Byłem - powiedział Waclaw.

- Może parę miesięcy. Ale z prosektorium uciekłeś wcześniej, jeśli cię tam w ogóle wpuścili. Przetrzyj strzykawkę..

Waclaw posłusznie wykonał polecenie.

- Powiedziałbyś przynajmniej, żebym się od ciebie odczepił.

- Odczep się - rzekł Waclaw.

Stefan podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Imię też zmieniłeś? - zapytał cicho. Waclaw odskoczył. Stał pod drzwiami, lekko pochylony naprzód, jakby gotowy do obrony, oczekujący ciosu.

- Nie bój się, frajerze... Jesteś zbyt nerwowy jak dla mnie. Ja jestem swój chłopak, mnie możesz ufać. Strzeż się Kowalskiego i Klary.

- Zostaw w spokoju Klarę.

- Nareszcie męskie słowo - roześmiał się znowu Stefan.

Waclaw wyszedł z operacyjnej trzaskając drzwiami. Rozkaszał się chory z piątki. Skądś z daleka dobiegła seria z peemu. Stefan odchylił ostrożnie zasłonę i spojrział w ciemność. Nic nie zobaczył. Tylko murek szpitalny, wątle sosenki i spokojne, wygwieżdżone niebo. Na progu operacyjnej stanęła Krystyna.

- Kłóciliście się znowu? — zapytała. Stefan machnął ręką, podszedł do niej i przygarnął ją czule.

- Krysta - powiedział - mam do ciebie prośbę. Nie wolno mi wychodzić, a nie chcę

telefonować... Wiesz., jak to jest, handel nie czeka, a człowiek musi z czegoś żyć.

Milczała. Wiedziała, co nastąpi za chwilę, i bała się, że właśnie to-musi nastąpić. Twarz Stefana była pogodna, uśmiechał się łobuzersko.

- Czemu nic nie mówisz? Potem przyjdę do ciebie. I wiesz co?

- Ja już nie mogę! - przerwała mu gwałtownie. I od razu chciała wyrzucić z siebie wszystko, co nagromadziło się w ciągu ostatnich dni. - Całą noc myślałam, najgorsze myśli mi do głowy przychodziły. A potem miałam straszny sen. Widziałam cię w kostnicy.

- Trudno, dziewczyno, jest wojna i nie ma nic darmo.

- Przestań! - krzyknęła. - Chcę ci powiedzieć...

Ale Stefan już nie słuchał. Zapytał o chorego z korytarza, który bredził po niemiecku, i potem mówił o Waławie, że mu się ten Waław coraz mniej podoba, że trzeba z nim ostrożnie, bo teraz nigdy nie wiadomo, kto i co... Krystyna słuchała nie rozumiejąc i była nawet szczęśliwa, gdy wbiegła Klara.

- Krysiu! - zawołała - chodź prędko! Trzeba przygotować separatkę. Doktor przywiózł chorą.

- Jaką znowu chorą? - zapytał Stefan.

Ewę wnieśli na korytarz i położyli na wózku. Kurt zsalutował i wyszedł, a Ewa, teraz już przytomna, rozejrzała się po korytarzu, zobaczyła Kowalskiego i Waławę, a potem wzrok jej padł na łóżko, na którym leżał mężczyzna przywieziony z łąki. Przymknęła oczy i otworzyła je znowu. Tak, to był on, nie mogła się mylić... Ogarnął ją strach, chciała coś powiedzieć, chciała prosić, żeby ją szybko stąd zabrali, ale poruszyła tylko ustami. Mężczyzna otworzył tymczasem oczy. Zobaczył Ewę, uniósł się nieco na łokciach, a potem opadł na poduszki.

- Przewieźcie na operacyjną - powiedział Kowalski. - Zaraz tam przyjdę. Wózek ruszył.

6

Kloss spóźnił się o piętnaście minut. Von Rhode oczywiście czekał i oczywiście wyjaśnił Klossowi, że podstawową zaletą oficera Abwehry powinna być punktualność.

- Pan nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji - powiedział.

Kloss milczał. Wiedział oczywiście, że chodzi o Krucka i wiedział także, że nie wolno o nic pytać, bo von Rhode analizuje wszystko: słowa i gesty, a jeśli zaczął podejrzewać albo jeśli nasunął mu się cień podejrzenia, długo o tym nie zapomni. Rhode chciał tymczasem wiedzieć, co Kloss robił po południu, przyjął do wiadomości, że nie wychodził z domu, a potem dodał:

- Zaskoczył mnie pan dzisiaj. Dotychczas sądziłem, że jest pan dobrze wychowany. A może ta wulgarność była trochę na pokaz?

- Czułem się niezręcznie - przyznał Kloss i ta odpowiedź wydała mu się najlepsza.

- Rozumiem - rzekł von Rhode. - Ale to jeszcze nie powód, by zachowywać się jak tępy SS-man.

Może atakować? — pomyślał Kloss. — Może zapytać, czy mnie o coś podejrzewa?

Milczał jednak. Milczenie nie dawało tamtemu żadnych szans. Rhode musiał w końcu wyjaśnić, o co chodzi. Chodziło oczywiście o to. Suchym tonem, jakby odczytując meldunek, Rhode oświadczył, że dziś pomiędzy godziną piętnastą a szesnastą bandyci zatrzymali samochód Krucka. Szef Abwehry posiadał dokładne informacje. Okazało się, że szofer samochodu przeżył i złożył zeznania. Nie był to przypadkowy) napad, Rhode nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Bandyci czekali właśnie na Krucka. Dwóch spośród nich występowało w mundurach żandarmerii, a niemieckim naukowcem zajęła się jakaś dziewczyna.

Kloss ciągle nie zadawał pytań. Czuł na sobie wzrok Rhodego; major zachowywał się tak, jakby oczekiwał uzupełnienia, lub dodatkowych informacji.

- Bandyci wpadli w zasadzkę - powiedział.

- A Kruck? - zapytał wreszcie Kloss. W jego głosie brzmiał autentyczny niepokój.

- Nie znaleziono go - stwierdził von Rhode. - Nie złapano także dziewczyny. -I dodał po chwili: - Nie przypuszczam, by zlikwidowali go wcześniej. Wiedział przecież wszystko o „X-8” i znał termin próby. A jak pan sądzi?

- Był dla nich zbyt cenny - oświadczył Kloss.

- Próba „X-8” - stwierdził von Rhode - musi odbyć się z Kruckiem albo bez Krucka i to w wyznaczonym terminie.

- Kiedy? - zapytał Kloss i od razu zrozumiał, że to pytanie było zbyteczne.

- W wyznaczonym terminie, panie oberleutnant - powtórzył von Rhode.

- Czy przeszukano teren w okolicach leśniczówki? -Kloss chciał jak najszybciej zmienić temat.

- Przeszukano - odpowiedział major. Potem dodał: - Być może przeszukano zbyt późno. W każdym razie wiemy dużo. Mamy zeznania kierowcy samochodu Krucka, który odzyskał przytomność przed śmiercią. Widział tych partyzantów i to on poinformował nas o dziewczynie. Nasze podstawowe zadanie, Kloss, to odnaleźć Krucka. Muszę go mieć za wszelką cenę... I muszę także mieć tę dziewczynę. Być może jest ranna.

- Jakie pan ma dla mnie polecenia? - zapytał Kloss.

- Pracujemy nie od dzisiaj razem. Niech pan pomyśli, kto mógł poinformować partyzantów o terminie wyjazdu Krucka z Kielc? W Borzentowie wiedzieliśmy o tym tylko my dwaj.

- Rozumiem - powiedział Kloss. Jego głos był zupełnie spokojny. - Trzeba będzie zainteresować się ludźmi w Kielcach. Może ktoś z batalionu samochodowego. Albo z tamtejszego hotelu oficerskiego.

- To także sprawdzimy - stwierdził von Rhode. - Proszę dzwonić do mnie co parę godzin. Aha, i jeszcze jedno. O szpital może pan być spokojny. Działa tam mój agent, M-1 8. Jeśli przywiozą kogoś podejrzanego, będę wiedział.

- Dlaczego wspomniał pan o szpitalu? - Kloss z ogromnym wysiłkiem zachowywał obojętność.

- Bo taką możliwość - powiedział von Rhode - też musiał pan wziąć pod uwagę.

W szpitalu działa więc agent Abwehry. Nie, tego nie można, było przewidzieć. M-18. Kloss powtarzał ten kryptonim idąc szybko ciemnymi ulicami w kierunku szpitala. M-18 już wie. Ewa jest już w szpitalu. Czy zdążył poinformować von Rhodę? Jeśli nie zdążył, jak ustalić, kim jest M-18? Może to doktor Kowalski? Jeśli on, Kloss jest spalony, a Ewa... Co stanie się z Ewą? A może to jedna z sióstr? Kto jeszcze pracuje w szpitalu? Trzeba to natychmiast ustalić. Kloss rozejrzał się. Ulica była ciemna, pusta. A może von Rhode kazał go już śledzić? Idzie do szpitala, chociaż szef Abwehry właśnie szpital wyłączył z jego terenu obserwacyjnego. Co powinien zrobić? Szukać kontaktu z oddziałem Lisa? Odbić Ewę ze szpitala i uciec do lasu? Ile czasu trzeba na przygotowanie takiej akcji? I co się stało z von Kruckiem? Jest jeszcze także Kurt. Kurt wie dostatecznie dużo, by Rhode domyślił się reszty. Kloss zwolnił kroku i zapalił papierosa. Przede wszystkim musi się opanować, przede wszystkim żadnych pochopnych decyzji. Może istnieje jeszcze jakaś szansa? Gdyby von Rhode coś wiedział, rozmawiałby z nim inaczej. Nie poinformowałby go o agencie w szpitalu. M-18 nie może zapewne korzystać ze szpitalnego telefonu. Musi mieć trochę czasu na złożenie donosu, a w takim razie Kloss ma także trochę czasu. Czas decyduje teraz o wszystkim.

Doktor Kowalski rozpoczynał operację. Spieszył się. Krystyna przyniosła do operacyjnej wygotowane narzędzia, Kowalski mył ręce, a potem starannie naciągał na dłonie gumowe rękawiczki.

- W trzydziestym ósmym roku, zaraz po studiach - mówił - asystowałem docentowi Rutkowskiemu przy takim zabiegu. Nie przypuszczałem, że będę to musiał robić sam i w takich warunkach.

- Trudne? - zapytała obojętnie Krystyna.

- Tak. Naruszona tętnica.

- Kula karabinowa? - Krystyna spokojnie rozkładała narzędzia. - Ta mała nie chciałaby chyba długo leżeć w szpitalu?

Doktor skinął głową i miał już coś powiedzieć, gdy Wacław wtoczył do operacyjnej wózek, na

którym leżała Ewa. Pomógł przenieść ją na stół. Myślał zapewne, że lekarz pozwoli mu zostać, najczęściej uczestniczył przy wszystkich poważniejszych zabiegach, ale tym razem się zawiódł. Kowalski polecił mu wrócić do dyżurki. Bez słowa opuścił salę; w dyżurce otworzył książkę chorych. Stefan wszedł tak cicho, że dostrzegł go dopiero wówczas, gdy tamten stanął przy biurku. Waclaw zamknął książkę i wyciągnął pudełko papierosów.

- Zapalisz? - zapytał, strając się ukryć zaskoczenie.

-Jaki jesteś miły, aż przyjemnie popatrzeć. Daj. Właśnie zabrakło mi papierosów. - Otworzył książkę chorych. - Co, zanotowałeś te dwa przypadki?

-Jakie? - zapytał Waclaw.

- Nie udawaj durnia. Ta dziewczyna i mężczyzna. Waclaw milczał.

- Chyba nie wszystko powinienes notować. - Stefan mówił bardzo cicho. - A może ty zbyt lubisz notatki?

- Odczep się.

- Kto asystuje Kowalskiemu? - Stefan zaciągnął się głęboko papierosem. - Ma studenta medycyny i nie korzysta z jego usług?

- Zbyteczna złośliwość - powiedział Waclaw. - Wykwalifikowane siostry radzą sobie na ogół lepiej.

- A dziewczyna wyżyje?

- Zapytaj Kowalskiego i nie przeszkadzaj mi, pracuję.

-Tak jest, panie doktorze - roześmiał się Stefan. Wszedł z dyżurki trzaskając drzwiami.

Waclaw został sam. Wrócił do książki chorych, potem wstał i podszedł do stolika, na którym mieścił się telefon. Był to duży, staroświecki aparat z rączką jak przy młynku do kawy. Waclaw zdjął słuchawkę z widełek, bawił się nią przez chwilę. Nie zauważył Klossa, który cicho wszedł do dyżurki i od kilku chwil stał w drzwiach.

- Dobry wieczór - powiedział Kloss.

Waclaw rzucił słuchawkę, odwrócił się i uklonił. Kloss zapytał o doktora Kowalskiego. Waclaw wyjaśnił, że właśnie operuje, i natychmiast udzielił dodatkowych informacji. To trudna operacja, szew tętniczy.

- Kim pan jest? - Kloss usiadł przy biurku i otworzył księgę chorych.

- Felczerem.

- Nazwisko?

- Waław Stokowski. Jestem studentem medycyny. -Głos Waława drzał nieco.

- I udziela pan chętnie informacji oficerom niemieckim. Dziękuję. - Chciał jeszcze zapytać Waława, kogo operują, i wiedział, że jeśli felczer powie o Ewie, będzie na pewno tym, kogo szuka, ale nie zdążył, bo w drzwiach stanął doktor Kowalski. Ściągał gumowe rękawiczki.

- Pomóż przewieźć chorą do separatki - zwrócił się do Waława. Wydawał się nie dostrzegać Klossa. Waław zniknął, a Kloss podszedł do lekarza.

- Co z nią?

- W porządku... Proszę mi dać papierosa. Jest jeszcze zmęczona zabiegiem.

- Kiedy będzie mogła wyjść?

- Ani dziś, ani jutro.

- Kiedy ją zobaczę?

- Niedługo - powiedział Kowalski.

Może to on? Ma około trzydziestki. Na jakich zasadach mógł go zwerbować von Rhode? Strach, szantaż? Nie, raczej chyba felczer... Zachowywał się dziwacznie. Dlaczego mówił nie pytany?

- Doktorze - powiedział Kloss - chciałbym przejrzeć listę pracowników szpitala.

Kowalski patrzył na niego ze zdziwieniem.

-Jako przedstawiciel władz okupacyjnych? - W jego głosie brzmiała ironia.

- Ilu pan ma pracowników?

- To mały szpital. Dwie siostry, felczer, sanitariusz, portier, no i oczywiście - ja. Był jeszcze kierownik szpitala, Żyd... W tej chwili wszyscy są na miejscu. Za godzinę pozostanie na dyżurze siostra i sanitariusz. A oto lista. - Kowalski podał Klossowi arkusz papieru.

Nic mu, oczywiście, nie mówiły te nazwiska. Waława Stokowskiego już widział. Sanitariusz nazywał się Stefan Welmarz. Ale agentem von Rhodego mogła być równie dobrze kobieta... któraś z sióstr.

- Proszę mi coś powiedzieć o sanitariuszu - zażądał Kloss.

- Tutejszy. - Lekarz najwidoczniej nie należał do rozmownych.

- Od kiedy pracuje?

- Od trzech miesięcy. Siedział w waszym... niemieckim więzieniu i wyszedł w nienajlepszym stanie.

- A co pan może powiedzieć o siostrach?

- Nic - odrzekł Kowalski. - Nic nie mogę powiedzieć, dopóki nie będę wiedział, w jakim celu pan pyta.

Kloss pomyślał, że ten człowiek ma nad nim przewagę i że daje mu to poznać. Czy istnieje jakaś szansa? Oparł się o stolik z telefonem. Położył dłoń na słuchawce. Waclaw Stokowski stał właśnie w tym miejscu, gdy on -Kloss wszedł do dyżurki. Czy telefonował? A może Rhode już wie? Kloss podszedł do okna i uchylił zasłonę. Za oknem panowała nieprzenikniona ciemność.

Stefan porządkował tymczasem salkę operacyjną. Był szybki i sprawny. Układał narzędzia, zebrał z podłogi bandażę i kawałki ligniny. Nie lubił tej roboty, brzydził się nią. Po wojnie nie będzie pracował w szpitalu. - O, na po wojnie ma zupełnie inne plany... Ogarnął go nagle lęk,

może dlatego, że pomyślał o czasie tak odległym, i podszedł do stojącego w kącie wieszaka. Kowalski już dawno polecił wynieść ten wieszak z operacyjnej, ale w dyżurce też było mało miejsca. Stefan zanurzył dłoń w kieszeni swojego płaszcza i odskoczył natychmiast na środek pokoju, gdy otworzyły się drzwi. Weszła Krystyna.

- Skończyłaś już dyżur? - zapytał.

- Tak. - I potem dodała: - Błagam cię, nie rób tego.

-Jesteś ostatnio przewrażliwiona - powiedział Stefan. Mówił teraz poważnie, bez cwaniackiego tonu. - Będziemy chyba musieli się rozstać.

- Powiedz zwyczajnie, że masz mnie dość.

- Żartujesz. To ty... Kobieta, która gotowa jest poświęcić swego chłopca, bo...

Krystyna przerwała mu gwałtownie:

- Kłamiesz! Zawsze traktowałeś mnie jak... A ja robiłam wszystko, słyszysz, wszystko...

- Uspokój się. Zobacz lepiej, czy ten oficer jest jeszcze w dyżurce i czy gada z Kowalskim.

- Dobrze - powiedziała Krystyna.

Stefan został sam w operacyjnej. Usiadł na białym, wysokim stołku i ukrył twarz w dłoniach. Był zmęczony, a czekał go jeszcze nocny dyżur.

W szpitalu panowała cisza. O tej godzinie kończy się codzienna harówka; siostry wykonały wieczorne polecenia lekarza, mierzą jeszcze temperaturę i zaglądają do cięższych chorych. W zatłoczonych salach zgaszono światło, palą się tylko słabe żarówki na korytarzu.

Stefan znał na pamięć rytm szpitalnego życia. Będzie mógł niedługo pozwolić sobie na parę godzin snu. Za chwilę doktor Kowalski powinien zjawić się w operacyjnej i wydać ostatnie polecenia na noc. Ale doktor Kowalski nie zamierzał jeszcze opuszczać szpitala; ta noc była inna niż zwykle i wymagała obecności lekarza. Chory z trójki umierał, mężczyzna leżący na korytarzu znowu stracił przytomność, stan dziewczyny po operacji budził jeszcze niepokój. Kowalski rozpoczął więc nie przewidywany w planie zajęć obchód. Na korytarzu Waław Stokowski siedział przy łóżku mężczyzny przywiezionego ze wsi. W dyżurce porucznik Kloss czekał na powrót lekarza i głowił się nad znalezieniem sposobu unieszkodliwienia agenta von Rhodego. Kto nim jest? Jak uniemożliwić mu kontakt z Abwehrą? Składanym nożem Kloss przeciął druty telefoniczne, jedyne, co mógł zrobić.

Nie wykluczał zresztą, że szpital jest już obstawiony, a von Rhode bawi się nim, Klossem, jak kot myszą. Jeśli na przykład kryptonim M-18 nosi doktor Kowalski... Kloss mógł tylko czekać. Siadł przy biurku i otworzył księgę chorych. W tej chwili rozległ się strzał rewolwerowy. Potem tupot nóg i krzyk. Kloss zerwał się z krzesła i wybiegł na korytarz... Myślał tylko o Ewie.

7

W swoim gabinecie von Rhode rozmawiał z ordynansem Klossa. Kurt był zdziwiony, ale nie okazywał niepokoju. Można by nawet powiedzieć, że się uśmiechał i to właśnie wyprowadzało majora z równowagi.

- Kłamiesz - rzekł von Rhode. - Możesz spokojnie mówić prawdę. O naszej rozmowie nikt się nie dowie.

- Mówię prawdę, panie majorze.

Może istotnie mówił prawdę? Von Rhode nie był już pewny, czy nie popełnił błędu wzywając tego ordynansa. Ostatecznie nie miał nic przeciwko Klossowi. Dobry, oddany oficer, na ogół bezbłędnie wywiązujący się ze wszystkich zadań. Dopiero dziś wieczorem zachowanie Klossa wzbudziło w majorze niepokój. Nie, właściwie nic określonego, mc, na czym można by oprzeć podejrzenia. Tylko ta Polka w mieszkaniu porucznika. Von Rhode wiedział, że Kloss unikał na ogół kobiet. Więc skąd Polka? Właśnie dzisiaj, w dwie, trzy godziny po napadzie na von Krucka. A może źle zna Klossa? Von Rhode ufał swojej intuicji; rzadko go zawodziła. W Borzento-wie tylko oni dwaj znali termin przyjazdu Krucka. Jeśli jednak podejrzewa Klossa niesłusznie... Ten ordynans może być papłą. Nie, von Rhode jest w porządku. Miał obowiązek sprawdzić.

- Kłamiesz niezręcznie - powtórzył. - Kłamstwo wymaga inteligencji, ty jej nie posiadasz.

- Nasz fuehrer - odpowiedział Kurt - zawsze mówił prawdę, a za granicą mu nie wierzyli. Von Rhode roześmiał się.

- Sprytnie. Więc jak to było z tą Polką?

-Już mówiłem, panie majorze, zabawiali się.

- Przyszła sama czy leutnant ją przyprowadził? Upłynęło parę chwil, zanim Kurt zdecydował się na odpowiedź.

- Nie wiem dokładnie, panie majorze, akurat byłem w kasynie.

-A potem?

- Oberleutnant ją odprowadził.

-Jak miała na imię?

- Nie pytałem się. - Kurt spoważniał. Czuł na sobie ciągle uważny wzrok majora.

- Nie wezwałem cię tu po to - powiedział von Rhode - abyś udawał idiotę. Wpadłeś. Oberleutnant opowiedział mi wszystko. Obaj postanowiliśmy sprawdzić twoją lojalność wobec Niemiec... No, co powiesz teraz?

Kurt milczał. Wierzył swojemu porucznikowi, ale przecież nie był pewny... Jeśli von Rhode mówi prawdę? Nie, on, Kurt, już się nie cofnie. Przed wojną przesłuchiowano go w Bytomiu. Potem przesłuchiowano go we Wrocławiu. Gestapowcy bili i straszili, a każdy z nich twierdził, że wie wszystko. Potem okazywało się, że nic nie wiedzieli. Kurt wówczas milczał. Będzie zapewne milczał i teraz. Patrzył na eleganckiego majora, który otworzył właśnie papierośnicę i wziął jednego papierosa. Nie poczęstował oczywiście Kurta. Kurtowi chciało się palić; czekał... Jeśli Kloss jest taki sam jak oni wszyscy, jeśli jest taki sam...

8

W salce operacyjnej na podłodze leżał trup sanitariusza Stefana Welmarza.

- Śmierć nastąpiła natychmiast - powiedział doktor Kowalski. - Strzał w okolicę serca z bardzo bliskiej odległości.

W drzwiach tłoczyli się pozostali. Kloss widział twarze Krystyny i Klary, a w głębi przerażoną, spoconą twarz Wacława Stokowskiego. Pochylił się nad zmarłym, szybko i sprawnie przejrzał jego kieszenie. Nic w nich nie było: kilkadziesiąt złotych, kenkarta i zaświadczenie o pracy w szpitalu. Kto zabił tego chłopca? Kloss sądził, że istnieje tylko jedna możliwa odpowiedź. Welmarza zabił agent von Rhodego, obawiając się z jakichś powodów zdemaskowania. Tylko M-18 mógł mieć broń. Nawet jeśli któryś z pracowników szpitala jest w konspiracji, mało prawdopodobne, by pozwolono mu nosić broń ze sobą.

Kloss znakomicie wiedział, co powinien zrobić teraz oficer Abwehry: zameldować von Rhodemu, przekazać sprawę Abwehrze i gestapo. Ale on nie mógł tego uczynić. W szpitalu była Ewa. Ewie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Prowadzenie śledztwa na własną rękę dawało jedną możliwość na sto, że wykryje mordercę i jednocześnie agenta von Rhodego. Musiał jednak

działać bardzo szybko; jeśli M-18 poczuje się zagrożony, ucieknie i pójdzie do Abwehry. Nie miał jednak wyboru.

- Nikomu nie wolno opuszczać szpitala - powiedział i zwrócił się do Kowalskiego: - Proszę wydać odpowiednie zarządzenia portierowi. Będę przesłuchiwał po kolei wszystkich.

Najpierw należało ustalić przebieg zdarzeń. Kloss pomyślał, że morderca miał niewiele czasu, by ukryć pistolet. Trudno jednak przypuścić, żeby trzymał nadal broń przy sobie... Chociaż... M-18 nie wie albo przynajmniej nie powinien wiedzieć o związku między Ewą a Klossem, więc nie obawia się Klossa. Przeciwnie - nie zna żadnych powodów, by nie ufać niemieckiemu oficerowi. Chyba że agentem jest doktor Kowalski i to on zastrzelił Welmarza.

Kloss polecił wszystkim wejść do operacyjnej. Miał ich teraz w komplecie: dwie siostry, felczera i lekarza. Pozostawał tylko portier, ale portiera należałoby chyba wyłączyć; był to stary człowiek, który nie opuszczał swej dyżurki.

- Chcę ustalić - powiedział Kloss - gdzie każde z was znajdowało się w momencie strzału... - Czy nie demaskował się przed M-18, prowadząc w ten sposób śledztwo? Wystarczy, żeby szpicel powtórzył von Rhodemu to pytanie.

Odpowiadali po kolei. Siostra Klara oświadczyła, że była w magazynie po koce dla trójki, siostra Krystyna przygotowywała zastrzyk dla chorej po operacji i przebywała w maleńkiej salce opatrunkowej. Doktor Kowalski był w łazience. Tylko Waław Stokowski przyznał, że w chwili, gdy padł strzał, znajdował się na korytarzu, przy łóżku chorego, tego mężczyzny przywiezionego ze wsi. Żadne z nich nie miało świadków; Waław twierdził, że chory się obudził i chyba będzie pamiętał, że go widział właśnie w momencie, gdy rozległ się huk wystrzału. Było to kiepskie alibi.

Klossowi Waław wydawał się od pierwszej chwili najbardziej podejrzany; podobnie jak inni, mógł stanąć na progu operacyjnej i strzelić, ale tylko on jeden był na korytarzu i jeśli nie zabił, musiał widzieć człowieka wybiegającego z salki bezpośrednio po strzale. Ten felczer nie wydawał się zresztą człowiekiem, który umiałby milczeć.

- Będę was wzywał kolejno do dyżurki - powiedział Kloss — a teraz proszę wrócić do swoich zajęć. Doktor Kowalski zostanie tutaj.

Milczeli. Kowalski zapalił papierosa, potem podszedł do umywalki, mył ręce.

- Odniosłem wrażenie - powiedział Kloss - że ta śmierć pana nie zaskoczyła.

- Morderstwo stało się dość powszednie. Kiedy pan zawiadomi żandarmerię? - zapytał Kowalski.

- Kiedy ona opuści szpital? Lekarz wzruszył ramionami.

- Nie wiem, musi tu pozostać parę dni.

Kloss obserwował go uważnie. Nie umiał rozgryźć tego człowieka. Chwilami mu ufał, chwilami

wydawał mu się szczególnie podejrzany.

- Panu chyba zależy na wykryciu mordercy Welmarza? Lekarz odpowiedział nie od razu.

- Trzeba stąd zabrać ciało - mruknął. - A jeśli chodzi o sprawcę... Nie zastanawiałem się, panie poruczniku...

Pozwolił mu odwiedzić Ewę. Czy agent von Rhodego, jeśli nie jest nim oczywiście Kowalski, bo on wie wszystko, dostrzegł zainteresowanie Klossa tą dziewczyną? Jak tłumaczy sobie obecność oficera niemieckiego i jego zachowanie? Zastrzelił Welmarza, bo bał się zdemaskowania. A może zastrzelił dlatego, że właśnie obecność Klossa gwarantowała mu bezpieczeństwo? Gdyby chciał, mógłby oczywiście uciec... Zarządzenia, wydane przez Kowalskiego, stanowiły bardzo mizerną przeszkodę. Kloss sam się o tym przekonał odwiedzając portiernię. Starszy człowiek, siedzący w maleńkim pomieszczeniu przy lampie naftowej, oświadczył od razu, że on oczywiście nikogo nie wypuści, bo pan doktor tak kazał, ale murek szpitalny nie jest tak wysoki, żeby go nie można było przeskoczyć. Patrzył przy tym na Klossa z taką pogardą i nienawiścią, że gdyby porucznik był naprawdę oficerem niemieckim...

Co mógł więc zrobić? Trzymać ich wszystkich w zasięgu broni? Nonsens. Sytuacja była niezwykle trudna, a rozmowa z Ewą ujawniła istnienie jeszcze jednej, zupełnie nieprzewidzianej komplikacji. Dziewczyna leżała w separacie, z ręką na temblaku, oparta o wysoko podniesioną poduszkę. Gdy Kloss zamknął drzwi za sobą i pochylił się nad nią, powiedziała od razu:

-Widziałeś tego na korytarzu?

- On leży w głębi - rzekł Kloss - nie zwróciłem na niego uwagi, nie podchodziłem zresztą do niego.

-To on!

- Kto? - zapytał Kloss.

- On - powtórzyła Ewa. - Ten Niemiec z samochodu. Inżynier Kruck.

Gdy przycisnęli ich do ziemi - opowiadała szybko -ona z Kruckiem mieli wycofać się do leśniczówki. Nie zdążyli. Spod lasu wyskoczyło paru SS-manów. Jeden z nich rzucił granat. Wybuchł tak blisko, że myślała, że Kruck nie żyje. Potem Lis zlikwidował SS-manów celną serią, a ona dopadła lasu. A okazało się, że Kruck przeżył. Znalazł go ten chłop i przywiózł tutaj.

- Co się stało z dokumentami Krucka? - zapytał Kloss.

- Nie wiem - powiedziała. - Ten Niemiec mnie poznał.

Kloss poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Przez chwilę wydawało mu się, że z tej sytuacji nie znajdzie już wyjścia. Wszystko, dosłownie wszystko sprzysięgło się przeciwko nim.

Von Kruck odzyskał znowu przytomność. Zobaczył nad sobą lekarza, wiedział na pewno, że to jest lekarz, młody mężczyzna, którego już pamiętał, a właściwie zdawało mu się, że pamięta. Mówił z trudem, każdy ruch sprawiał mu ból. Chciał się podnieść i natychmiast opadł bezwładnie na poduszkę.

- Nazywam się Johann Kruck - szeptał. - Proszę zawiadomić władze niemieckie...

Kowalski słuchał uważnie. Zbadał puls chorego, potem położył mu dłoń na czole.

- Proszę zawiadomić władze niemieckie - powtórzył Kruck. - Czy pan rozumie, co mówię?

- Rozumiem - odpowiedział Kowalski. - Jutro zawiadomię. - Znał niemiecki, ale rzadko posługiwał się tym językiem.

- Zawiadomić trzeba szybko - mówi Kruck. - Jeśli pan tego nie zrobi... To obowiązek. Ta dziewczyna... - dodał.

- Jaka dziewczyna? - zapytał Kowalski.

- Pan jest lekarzem - szeptał Kruck. - W tym mieście są Niemcy. Prawda? Niemcy?

- Tak - powiedział Kowalski. Kruck odetchnął z ulgą.

- Wieziono ją korytarzem. Była ranna... Kowalski milczał.

- Była ranna - powtórzył Kruck. - Ja wiem. - Zamknął oczy, ale Kowalski wiedział, że nie śpi. Na korytarzu trwała cisza. Potem pod piątką znowu rozkaszał się chory, a z operacyjnej dobiegły przyciszone głosy rozmowy. Kowalski wstał i wyszedł na dziedziniec. Było ciemno i pusto. Tylko z dyżurki przez niedokładnie zamknięte okno przebijało wąskie pasmo światła. Kowalski stanął w bramie. Ulicą przechodził patrol żandarmerii. Co dzień o tej godzinie tędy przechodzili. Kowalski odwrócił się i zobaczył w drzwiach szpitala sylwetkę kobiecą. Krystyna? Klara? Klara - pomyślał. - Krystyna jest niższa. Siostra stała chwilę na progu; dostrzegła go może w bramie? Gdy portier wytoczył się ze swej dyżurki, już jej nie było.

Kowalski nie mylił się. To była Klara. Wróciła na korytarz, przystanęła przed drzwiami dyżurki, w której Kloss rozpoczął już zapewne przesłuchania, i po chwili weszła do operacyjnej. Ciała Welmarza już tu nie było, wynieśli je do kostnicy.

Przy oknie stał Waclaw. Odwrócił się gwałtownie, gdy zamykała drzwi za sobą.

- To ty - powiedział z ulgą. I potem dodał: - On mnie pewno zaraz wezwie.

Bał się. Klara popatrzyła na niego z litością, podeszła bliżej.

- Uspokój się - powiedziała.

- Słuchaj - szeptał - czy ten Niemiec naprawdę chce prowadzić śledztwo? Dlaczego robi to sam? On przecież nie jest z gestapo ani z żandarmerii?

- Sądzisz, że ich interesuje śmierć Polaka? Mogą nas wszystkich rozstrzelać... albo kogokolwiek uznać winnym.

- Jednak zaczął przesłuchania - powiedział Waław.

- Bawi go to. - Klara usiadła na małym stołku i patrzyła w górę na twarz Waława. - Byłeś na korytarzu - szeptała. - Wiesz, kto zastrzelił Stefana?

Chwilę trwało milczenie.

- Nie wiem - powiedział wreszcie.

- Wydawało mi się, że niezbyt go lubiłeś. Nie zaprzeczył. Patrzył na nią jak zwierzę złapane w potrzask.

- Nie bój się - szepnęła - ja też go niezbyt lubiłam. Milczeli. Waław pochylił się nad nią, wyciągnął ręce, jakby chciał ją objąć.

- Zostaw - powiedziała Klara.

- Klaro, ty wiesz przecież, że już dawno...

- Nie chcę o niczym słyszeć...

- Nie wiadomo, co będzie z nami jutro - szeptał Waław. - Może została nam tylko ta jedna noc.

- Nie boję się o siebie - powiedziała Klara. Waław odszedł do okna.

-Wiem, o kogo się boisz. Boisz się o niego, o Kowalskiego.

- Tak - potwierdziła. Odwrócił się gwałtownie.

- Ten doktorek... - zaszeptał. - Dla tego doktorka mogłabyś nawet zabić...

W drzwiach stała siostra Krystyna.

-Waław, wzywa cię ten niemiecki oficer - powiedziała. - Bądź ostrożny.

kogo przywieziono do szpitala? Zastanawiające było jednak, że M-18 nie podjął dotąd żadnych prób zawiadomienia von Rhodego. A nie podjął na pewno, bo gdyby von Rhode wiedział cokolwiek o Krucku i Ewie, zjawiłby się natychmiast w szpitalu. M-18, kimkolwiek był, zachowywał się dziwnie beczynnie.

A może Welmarz był szpiclem Rhodego? Kloss postawił sobie to pytanie i po zastanowieniu odpowiedział negatywnie. Nikt z podziemia nie likwidował bez wyroku; trzeba było zresztą szaleńca, żeby wykończyć agenta niemieckiego niemal w obecności niemieckiego oficera. A gdyby właśnie szaleniec? Niemożliwe. Wszyscy zachowywali się normalnie, nawet zbyt spokojnie i obojętnie, jakby śmierć Welmarza nikogo z nich nie dotknęła. Czy naprawdę nikogo?

Jakie stosunki łączyły na przykład zabitego z Waławem Stokowskim? Razem pracowali, musieli o sobie sporo wiedzieć... Ten Waław wydaje się jednak podejrzany. Kloss spojrział na jego ręce, drżały, i felczer ukrył je natychmiast w kieszeniach. Odpowiadał na pytania powoli, Kloss oczywiście rozumiał, że jeśli ten młody człowiek jest uczciwy, nie powie nic istotnego oficerowi niemieckiemu. Nie wierzył natomiast, by M-18 umiał w rozmowie w cztery oczy ukryć swą współpracę z Niemcami. Tylko jeden człowiek nie powiedziałaby Klossowi, że jest agentem von Rhodego; tym człowiekiem był doktor Kowalski.

- W momencie strzału - powtarzał po raz drugi Kloss - był pan na korytarzu?

-Tak.

- Co pan robił, gdy padł strzał?

- Siedziałem przy chorym.

- Musiał pan się odwrócić, to przecież instynktowne, i zobaczyć, kto wybiega z operacyjnej...

- Nie odwróciłem się - powiedział Waław. Kloss wybuchnął śmiechem.

-I pan sądzi, że ktokolwiek w to uwierzy? Myśli pan, że z Niemców można robić idiotów? Istnieją tylko dwie możliwości - Kloss nie spuszczał wzroku z twarzy Waława - albo pan zabił, albo wie pan, kto zabił.

Waław milczał.

Wie, musi wiedzieć - pomyślał Kloss. - Kogo osłania? Jeśli kogokolwiek osłania przed oficerem niemieckim, jest uczciwym chłopem. Nie może przypuszczać, że broni niemieckiego szpicla.

- Wstać! - krzyknął.

Waław podniósł się z trudem. Kloss obszukał mu kieszenie, nie znalazł nic oprócz kenkarty.

- Pan zabił - powiedział.

- Nie! - krzyknął Waław.
- Proszę siadać. Proszę mi teraz powiedzieć, kto pierwszy pojawił się na korytarzu po strzale?
- Wszyscy jednocześnie - szepnął Waław.
- Ktoś był jednak pierwszy? Niech pan sobie dobrze przypomni.
- Chyba doktor Kowalski - szepnął.
- A potem?
- Siostra Klara i pan niemal jednocześnie.
- Więc ostatnia była siostra Krystyna, tak?
- Tak - powiedział Waław.

To już było coś. Ten chłopak zaczął wreszcie mówić. Kloss chciał teraz wiedzieć, jakie stosunki łączyły Stefana z Klarą i Krystyną. Uchwycił szczególne drżenie głosu, gdy Stokowski mówił o Klarze. Potem student medycyny powiedział, że Krystyna była kochanką Stefana. Żyli ze sobą - tak powiedział.

Informuje jednak oficerów niemieckich - myślał Kloss. Poczęstował go papierosem i zdobył się nawet na uśmiech.

- To wszystko - oświadczył. - Przesłucha pana jeszcze major von Rhode. - I dodał: - M 18.

Kryptonim M-18 nie uczynił na Waławie żadnego wrażenia. Wstał i zapytał:

- Mogę już iść?

Następną była Krystyna. Kloss znał ten typ kobiet: potulnych i przywiązanych na ogół przez całe życie do jednego mężczyzny. Krystyna miała zniszczone dłonie, włosy gładko uczesane, ani śladu makijażu na twarzy.

Ta kobieta - pomyślał Kloss - nie miała chyba dużych szans na utrzymanie przy sobie Welmarza.

- Byłam jego kochanką - powiedziała wprost i Kloss poczuł się nagle bardzo źle w swojej roli. Żał mu było tej dziewczyny. A przecież ona także może być agentem niemieckim. Zadawał pytania, wsłuchując się bardziej w tonację głosu Krystyny niż rozważając odpowiedzi. Dziewczyna mówiła zresztą niewiele i niechętnie. Tak, znała. Welmarza dwa lata, siedział w więzieniu. Za co? Niech pan oficer zapyta o to u siebie. Ona nic nie wie, a to, co wie, nie ma żadnego znaczenia dla władzy. Potem wyprostowała się i oświadczyła nagle:

- Proszę zostawić mnie w spokoju. Kloss musiał ostro zareagować. Musiał reagować przynajmniej po to, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

- Mówi pani z oficerem niemieckim! - krzyknął.

-Ja się nie boję - powiedziała Krystyna - mnie i tak wszystko jedno. Wiem, jak przesłuchujecie. Możecie mnie przesłuchiwać.

Było to dość nieoczekiwane. Nie spodziewał się, żeby ta potulna kobiecina mogła się zdobyć na taką stanowczość. Powiedział: „major von Rhode i M-18”, nie dziwiąc się już, gdy nie zareagowała. Nie, ona chyba nie była agentem niemieckim.

Jaką zresztą mógł mieć pewność? Błądził ciągle w ciemnościach, tracił czas, a każda minuta była na wagę złota; nawet jeśli mu się uda, będzie musiał znaleźć jakieś prawdopodobne wyjaśnienie dla Rhodego. Co wie Rhode? Czy już coś wie? - to nękało go najbardziej.

Przesłuchanie siostry Klary nie wniosło również nic nowego. Klara powtarzała, że gdy padł strzał, znajdowała się w magazynie. Kloss zastosował inną metodę.

- Kogo pani zobaczyła wychodząc z magazynu na korytarz? - zapytał.

- Wszystkich - powiedziała natychmiast.

-Siostrę Krystynę także?

-Tak.

Kłamała. Stokowski twierdził, że Krystyna zjawiała się na korytarzu ostatnia. Klara nie mogła więc jej zobaczyć.

- Pani kłamie — powiedział. Milczała.

- Myślałem, że pomoże mi pani w wykryciu mordercy. Na twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech.

- Mordercy — szepnęła — są na wolności.

Kloss poczuł, że ciepła fala przepływa mu do serca. Trzeba mieć nie lada odwagę, żeby powiedzieć coś takiego niemieckiemu oficerowi. Ta dziewczyna jest jednak zbyt nieostrożna.

- To pani zabiła Welmarza - wrzasnął.

- Nie, nie zabiłam - powiedziała spokojnie.

- To się jeszcze okaże. Co pani wie o stosunkach łączących Welmarza i siostrę Krystynę?

-Nic.

- Była jego kochanką?

- Nie wiem.

- A Stokowski? Przyjaźnili się z Welmarzem?

- Możliwe - powiedziała Klara.

Stanowczo obrał złą metodę. Po raz pierwszy w ciągu tej nocy zrozumiał, że grając rolę niemieckiego oficera, nic z tych ludzi nie wyciśnie. Będą milczeli albo kłamali. Tylko jeden, tylko M-18 zachowywałby się inaczej^to nim jest? Może jednak Stokowski? Może... Bał się pomyśleć, ale to chyba wydawało się najprawdopodobniej-sze: doktor Kowalski. Zaryzykował.

- Jeśli nie pani - powiedział - pozostaje mi jako jedyny podejrzany o morderstwo doktor Kowalski. Dopiero teraz dostrzegł w jej oczach strach.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! - i dodała: - Jeśli pan tak sądzi, proszę mnie aresztować.

Nie mógł się nawet uśmiechnąć.

Kocha tego lekarza - pomyślał.

Wymienił nazwisko von Rhodego i kryptonim M-18, nie dziwiąc się, gdy powiedziała po prostu: - Nie rozumiem.

Była raczej zaskoczona, że pozwolił jej odejść, a on, patrząc z przerażeniem na zegarek, próbował teraz uporządkować fakty i stworzyć jakąś koncepcję, przynajmniej jakąś próbę wyjaśnienia, ale czuł, że jest równie daleki od rozwiązania, jak przed dwiema godzinami. Portier, ostatni pracownik szpitala, nie zareagował oczywiście również na kryptonim M-18. Znał Welmarza, uważał go za fajnego chłopca, ale nie powiedział nawet o stosunkach łączących zamordowanego z Krystyną. Tylko Stokowski poinformował o tym niemieckiego oficera. Więc albo Stokowski, albo lekarz - doktor Kowalski. Czy istnieje inna możliwość? Kloss narysował na kartce plan szpitala, zanotował kolejność pojawiania się pracowników na korytarzu. Jedno wydawało mu się dość pewne: Krystyna nie była ostatnia. Krystynę zobaczył już na korytarzu, gdy sam wybiegł z dyżurki. Dlaczego więc Stokowski kłamał? Kloss pomyślał nagle o pewnej możliwości, którą jeszcze niedawno stanowczo odrzucił. Ale jeśli tak, nie powinien znaleźć mordercy... Powinien mordercę osłonić.

Wezwał jeszcze raz Krystynę. Zachowywała się równie spokojnie jak poprzednio.

- Chcę pani zadać tylko jedno pytanie - powiedział. -Kogo zobaczyła pani na korytarzu wychodząc z salki opatrunkowej, gdy padł strzał?

Sporą chwilę trwało milczenie.

- Nikogo - powiedziała wreszcie Krystyna.

- A Stokowskiego?

- Nie pamiętam.

- Stokowski twierdzi, że był cały czas na korytarzu.

-Jeśli tak twierdzi, to był - powiedziała Krystyna.

Chciał krzyknąć: Pani kłamie, proszę mówić prawdę, ale milczał. Kazał jej odejść. Opuściła dyżurkę nie odwracając się, widział tylko jej lekko zgarbione plecy.

Pozostawał więc doktor Kowalski. Pozostawał także leżący na korytarzu Niemiec, von Kruck. Przecież von Kruck posiada informacje, na które czeka centrala... Kilku ludzi straciło już życie, by je zdobyć. I to zadanie nie zostanie wykonane; Kruck musi umrzeć, a on, Kloss, nie zdąży zapewne dowiedzieć się od niego czegokolwiek przedtem. Nawet ustalić daty eksperymentu.

W drzwiach dyżurki stanął doktor Kowalski. Czekala go teraz rozmowa najtrudniejsza.

- Przesłuchał pan wszystkich? - Lekarz usiadł na krześle i wyciągnął nogi przed siebie. Wydawał się zmęczony.

- Tak - powiedział Kloss.

- Zapewne teraz moja kolej? - W głosie Kowalskiego trudno było nie usłyszeć ironii. - Nie bardzo pojmuję, po co pan prowadził to śledztwo.

- Było bardzo potrzebne. - Kloss umilkł i przyglądał się chwilę twarzy lekarza. Nic z niej nie mógł wyczytać.

- Wyobraźmy sobie - powiedział - że chodziło o coś innego niż znalezienie mordercy.

- Tak przypuszczałem. — Lekarz wstał i podszedł do aparatu telefonicznego. Bawił się drutem, który Kloss przeciął. - Bał się pan, że w szpitalu jest ktoś, kto może wezwać... Niemców.

Czy to prowokacja? Ale przecież ten Kowalski i tak wie dostatecznie dużo.

- Dziewczyna operowana dzisiaj - mówił powoli Kloss

- brała udział w walce. Została rozpoznana. Kowalski nie wydawał się zaskoczony.

- Wiem — oświadczył. — Wiem nawet, że raniono ją niedaleko leśniczówki...

- Tym lepiej. - Kloss mówił teraz ostrzej. - Wie pan od niego, tak?

- Tak.

- Gdzie on leży?

- Kazałem go przenieść do opatrunkowej. -I po chwili:

- Co pan zamierza?

Teraz należało odkryć karty; nie było innego wyjścia.

- Nie mamy wyboru - powiedział Kloss. - Obaj nie mamy wyboru. Jutro albo jeszcze dzisiaj może się tu zjawić gestapo. Rozumie pan, co oznaczają zeznania tego Niemca?

- Kim pan jest?

-To nieważne... Doktorze, pragnę, żeby pan zrozumiał, chcę panu wierzyć. Wiem, że to trudna sprawa, ale tego Niemca, Krucka, musimy zlikwidować.

Kowalski patrzył na Klossa, jakby nie rozumiejąc.

- Dlaczego pan milczy? - Kloss podniósł głos: - Widzi pan inne wyjście?

- Jestem tylko lekarzem - powiedział Kowalski. - Nie uczono mnie zabijania pacjentów.

- A ja jestem jednym z wielu, którzy muszą zabijać... - Kloss z trudem panował nad sobą. - Chodzi o twórcę śmiertelnej broni, o człowieka, który nie zawaha się jutro oddać pana w ręce gestapo.

- Jest pod moją opieką - szepnął Kowalski. - Ja nic nie wiem.. Nie wiem nawet, czy mogę panu ufać.

- Wie pan dostatecznie dużo.

Kowalski podszedł do Klossa. Stali teraz naprzeciwko siebie obaj bardzo czujni i napięci.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział lekarz. - Musi pan znaleźć inne wyjście.

-Jakie? Pan jest naiwny albo...

-Albo co?

-Nie mogę wykluczyć, że jest pan agentem Abwehry, kryptonim M-18.

Teraz wszystkie karty zostały rzucone. Jak zareaguje Kowalski? Lekarz roześmiał się.

- W szpitalu działa agent niemiecki.

-I pan sądzi, że to mógłbym być ja? - zapytał lekarz.

paru godzin odnajdzie Krucka. Wiedział, że stawką w tej sprawie jest jego kariera. Kazał obstawić miasto. Agenci Abwehry i gestapo przeszukiwali sąsiednie wsie. Specjalne oddziały SS rozpocząć miały nad ranem przetrząsanie okolicznych lasów. Rhode dwoił się i troił, ale z każdą godziną tracił nadzieję. Wiedział, że w tej rozgrywce czas decyduje o wszystkim. Na polu walki nie znaleziono Krucka, Kruck musiał być jeszcze gdzieś w pobliżu. Wyniki akcji były jednak mizerne. Dopiero późnym wieczorem patrol żandarmerii zatrzymał na drodze z Bo-rzentowa do leśniczówki chłopca jadącego pustą furą wymoszczoną sianem. Na sianie odkryto plamy krwi. Rhode postanowił sam przesłuchać tego wieśniaka. Był to starszy mężczyzna., bardzo przestraszony; powtarzał w kółko to samo, że jak co tydzień przyjeżdżał do miasta, że był w miejscowej knajpie, że jak zobaczył panów żandarmów, zląkł się i zaczął uciekać. Ale on nic nie wie, on nic złego nie zrobił, panowie mogą spytać miejscowego posterunkowego, że był zawsze w porządku i na czas oddawał kontyngenty.

- Nie udawaj durnia! - ryczał SS-man, któremu von Rhode zezwolił na zastosowanie metod zmuszających -to był najlepszy specjalista miejscowej SD — do mówienia. On sam me lubił tych metod i nie uczestniczył w takich przesłuchaniach, korzystał tylko z rezultatów.

Czekał cierpliwie, po godzinie kazał wezwać specjalistę z SD.

- Powiedział? - zapytał.

- Niewiele. Potem już tylko bredził. Oświadczył, że znalazł kogoś na drodze, tak przynajmniej wynikało z tych bredzeń, i zawiózł do szpitala.

- Kogo?

- Nie wiem - powiedział specjalista z SD. - Nawet ten szpital to mój domysł, bo to były raczej zbitki słów i sylab. Pan wie, jak oni mówią.

- Pytajcie go dalej.

Specjalista z SD uśmiechnął się:

- Pan major wybaczy - powiedział. - Pan major chyba rozumie, że już nigdy o nic go nie zapytamy.

Rhode chciał wyjaśnić temu młodziakowi w czarnym mundurze, co myśli o jego metodach, ale spojrzał na twarz człowieka z SD i zrezygnował.

- Sam osobiście sprawdzę w szpitalu - powiedział tylko. - Sam osobiście sprawdzę.

12

Co robić teraz? Trzeba przynajmniej dwóch dni czasu, żeby nawiązać kontakt z lasem i wywieźć Ewę ze szpitala. A Kruck? Czy powinien zastrzelić Kruc-ka, zastrzelić leżącego w łóżku chorego człowieka? Może istnieje jakaś szansa odtransportowania go również do lasu? Tak, taka szansa

mogłaby istnieć, gdyby wiedział na pewno, kto jest agentem Rhodego. Ale on się ciągle tylko domyśla. Ani cienia dowodu, nic poza własną wersją wydarzeń. Czy można wierzyć Kowalskiemu? Znowu to samo pytanie. Musi wierzyć, bo w przeciwnym wypadku nie ma właściwie żadnej szansy. Wszyscy pozostali kłamią, każdego można chwycić na kłamstwie i nie wolno wyciągać z tego żadnych wniosków. Krystyna twierdziła, że bezpośrednio przed strzałem przygotowywała zastrzyk dla Ewy. Ale okazało się, że Ewa otrzymała zastrzyk znacznie wcześniej, więc i w tej sprawie Krystyna nie chciała mówić prawdy, i może właśnie dlatego...

Kloss krążył po dyżurce i nie mógł ciągle podjąć żadnej decyzji. Brakowało mu jeszcze jednego ogniwa, musiał wiedzieć, czy M-18 zdołał zawiadomić Rhodego...

Wtedy właśnie w dyżurce szpitala pojawił się jego or-dynans, Kurt. Stał na baczność na progu, z taką samą obojętną gębą jak zwykle, gdy pojawiał się w jego pokoju.

- Melduję posłusznie panie oberleutnant, że byłem przesłuchiwany przez majora von Rhode.

Kloss podszedł do niego i długo, w milczeniu przyglądał się temu chłopcu, którego znał od roku, wybawiwszy go przedtem z nielichych tarapatów.

- Chodziło o dziewczynę - powiedział Kurt.

- Co powiedziałaś?

- Dlaczego pan oberleutnant pyta? To, co trzeba, panie oberleutnant... A potem przyprowadzili do sztabu jakiegoś chłopca, którego złapali z furmanką. Sam go widziałem.

- Dziękuję, Kurt. Możesz iść, Kurt.

- Nie przydam się?

- Nie - powiedział Kloss. - Tu się już nie przydasz.

Usiłował rozważać sytuację chłodno i trzeźwo. Co mógł zeznać chłop, który znalazł Krucka pod lasem? Tylko tyle, że przywiózł jakiegoś mężczyznę z pola walki. A może na furmance pozostał jakiś ślad? To także trzeba wziąć pod uwagę. Rhode może podejrzewać, że to właśnie Kruck jest w szpitalu. Czekał na meldunek od M-18, a nie otrzymawszy go, powinien zjawić się wkrótce tutaj. Jak on, Kloss, uzasadni swoją obecność w szpitalu? Rhode każe przeszukać salę, znajdą Ewę, znajdą Krucka, reszta jest oczywista... Bronić się w szpitalu? Nonsens!

Kloss pomyślał, że to chyba koniec... Parę lat trudnej roboty... Oczywiście żywego go nie wezmą. Wsadził rękę do kieszeni, ampułka leżała na swoim miejscu. Zapasową miał w portfelu... Dać ją Ewie? Powinien dać ją Ewie, bo dziewczyna nie ma już żadnej szansy.

Kloss nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnują. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, jedna na sto, na tysiąc nawet, musi ją sprawdzić... Powiedzmy, że ma jeszcze dziesięć minut czasu... Dziesięć minut to bardzo dużo. Kowalski nie chciał zlikwidować Krucka, ale nie pozostaje nic innego jak zaufać temu lekarzowi... Ostatecznie M-18 jest jeden, reszta pracowników szpitala to porządni ludzie. Klossowi nie wolno się demaskować, ale czasami istnieje tylko jedno wyjście: gra w otwarte karty...

Kowalski był u Ewy. Siedział obok niej na łóżku i zmieniał opatrunek. Ewa uśmiechnęła się blado na widok Klossa.

- Za chwilę będą tu Niemcy - powiedział Kloss siadając obok lekarza. Wyjął z wewnętrznej kieszeni munduru portfel i podał Ewie maleńką ampułkę. - Połkniesz to w ostatniej chwili. Pamiętaj... w ostatniej chwili...

Kowalski patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma.

-W stosunku do siebie nie mamy takich skrupułów -powiedział Kloss. - Pański pacjent, Kruck, przeżyje...

Na twarzy lekarza malowała się niepewność. Wstał, potem wyprostował się jak żołnierz.

-Jestem do pana dyspozycji - powiedział. - Może mi pan wierzyć.

- Obawiam się, że to już za późno - oświadczył Kloss.

- Nic nie wiedziałem! - wybuchnął nagle Kowalski. -Ostatecznie nic pan nie powiedział. Do ostatniej chwili nie byłem pewien, czy to nie jest prowokacja.

- Teraz to już nie ma znaczenia. Jeśli zginiemy, a panu uda się przeżyć, opowie pan po wojnie o spotkaniu z porucznikiem Klossem i Ewą Wodnicką, tak brzmi jej prawdziwe nazwisko. To wszystko.

- Nic już nie możemy zrobić?

Kloss czekał na to pytanie. Wiedział, jak trudno czasem skłonić ludzi do podjęcia najwyższego ryzyka. Jeśli nie mylił się w ocenie Kowalskiego, mógł już na niego liczyć.

- Możemy próbować - powiedział powoli. Spojrzał na zegarek. - Do kogo ze swoich pracowników ma pan najwięcej zaufania?

- Do Klary - rzekł bez wahania Kowalski. I potem dodał: - Ona jest w konspiracji. - Znowu wybuchnął: -Powinien pan mi zaufać od pierwszej chwili...

- Nie mogłem. Czy sądzi pan, że któreś z nich, Sto-kowski albo Krystyna, pracuje dla Niemców?

- Stanowczo nie. Stokowski pochodzi z Warszawy, jego rodzice zostali aresztowani, a on zmienił nazwisko. To tchórz, ale uczciwy chłopak. Bał się Welmarza, bo Welmarz coś o nim wiedział.

- Kto, pana zdaniem, zabił Welmarza?

- Nie wiem - Kowalski wzruszył ramionami. - Czy to teraz ważne?

- Najważniejsze. - Kloss spacerował dużymi krokami po pokoju. - Jeśli pan tego nie zrobił, istnieje tylko jedna możliwość. A ta możliwość jest dla nas pomyślna...

- Kto?

- Wolałbym tego nie mówić. Wolałbym nigdy nie powiedzieć. - Kloss usiadł znowu obok Ewy i głaskał jej dłonie. - Mam zupełnie szaleńczy pomysł, doktorze... Wariacki pomysł... Istnieje niewielka szansa powodzenia, ale jeśli Rhode da się przekonać... Czy stać pana na ryzyko?

- Stać mnie na ryzyko -w głosie Kowalskiego brzmiała stanowczość.

- Oceniam realistycznie możliwości. Rhode jest niebezpiecznym przeciwnikiem. To inteligentny oficer, nie da się łatwo wyprowadzić w pole... Odmowną rolę gra także przypadek. - Kloss wyjaśniał, a oni słuchali z ogromnym napięciem. - Mamy sporo roboty - mówił - a bardzo niewiele czasu. Musi pan wykorzystać także Stokowskiego...

- A Krystynę?

- Nie, Krystyny proszę nie wyjawiać. I proszę pamiętać: jeśli się nie uda, będę strzelał. Będę się bronił... Wtedy dla was istnieje tylko jedna możliwość: ucieczka. Oczywiście, jeśli zdążycie uciec, jeśli Rhode nie obstawi przedtem szpitala...

- Ma pan jeszcze do mnie pretensje o Krucka? - zapytał nagle Kowalski.

- Nie, nie mam pretensji - powiedział Kloss. - Jesteśmy z innej gliny, być może miał pan rację. Teraz proszę zawołać Klarę.

Młoda dziewczyna była rzetelnie zdziwiona, gdy zobaczyła ich we trójkę w separacie Ewy: Kowalskiego spacerującego po pokoju i Klossa głaszczącego czule ręce dziewczyny.

- Klaro - powiedział doktor Kowalski - musisz nam pomóc.

Nie rozumiała.

- Musisz mi pomóc — powtórzył. Kloss wstał.

- Panno Klaro - oświadczył: - Jestem oficerem polskiego wywiadu. Będzie pani musiała zagrać rolę mojej kochanki i będzie pani musiała tę rolę zagrać dobrze...

13

Przestawiali łóżka i wynosili chorych. Robili to szybko i sprawnie, a Klara co chwila wybiegała na dziedziniec i wpatrywała się w ciemność. Gdy krzyknęła: jada! - byli właściwie już gotowi. Przy stole w dyżurce siedział Kloss, bawiąc się pistoletem, przed nim stał doktor Kowalski, Klara siedziała na małym krzeselku pod oknem. Warkot motorów świdrował im w uszach, potem umilkł nagle. W korytarzu rozległy się ciężkie kroki, na progu stał major von Rhode. Jednym spojrzeniem ogarnął dyżurkę. Na widok Klossa coś niby uśmiech, niby skrzywienie pojawiło się na jego twarzy.

- Panie majorze - wstał Kloss - melduje się oberleut-nant Kloss...

- Ach tak... - Rhode przesunął kaburę na brzuch. - Był pan szybszy, co?

- Dziękuję za pochwałę... - powiedział Kloss.

- Pochwałę! Wszyscy precz - powiedział cicho. - Czekać w korytarzu.

Zostali sami: Rhode i Kloss.

- Nooo, Kloss - von Rhode patrzył na pistolet swego oficera - proszę schować broń.

-Tak jest, panie majorze - Kloss był uosobieniem dyscypliny. - Pan pozwoli zameldować, panie majorze...

- Proszę odpowiadać na pytania! Skąd pan się wziął w szpitalu?

Kloss zeszywniał. W jego głosie pojawiły się ostre tony.

- Pan jest moim zwierzchnikiem, majorze... ale nikomu nie pozwolę... - Wiedział, że najlepiej działa krzyk. Ci ludzie przywykli do krzyku.

- Powiedziałem panu, że szpital należy do mnie... -von Rhode odpiął kaburę. - Pan rozumie, Kloss, co to znaczy?

- Pan mi nie pozwala mówić, panie majorze.

- Proszę. Tylko szybko...

- Dzisiaj po południu - teraz Kloss starał się być spokojny i rzeczowy - zastał mnie pan z dziewczyną. Ta dziewczyna pracuje tutaj, w tym szpitalu...

-Ach tak...

Czy Rhode uwierzy? Czy istnieje szansa, żeby uwierzył?

- Po rozmowie z panem — ciągnął Kloss — wróciłem do domu. Czekala na mnie Klara, to znaczy właśnie moja dziewczyna. Zameldowała, że w szpitalu popełniono morderstwo...

- Co?

- Tak, morderstwo! Przybiegłem oczywiście tutaj. Chciałem panu zameldować telefonicznie, ale ktoś przeciął druty - Kloss wskazał telefon. - Uznałem, że lepiej będzie, jeśli pozostanę w szpitalu...

Rhode milczał. Kloss czuł na sobie jego wzrok, był to wzrok czujny i uważny. Kloss rozumiał, że nie wolno mu popełnić najdrobniejszego błędu,

- Kogo zamordowano? - zapytał.

- Pańskiego agenta - powiedział Kloss. Twarz Rhodego spurpurowiała.

- Welmarza? Skąd pan wie, że był moim agentem?

- Bo agent zameldowałby się u mnie, gdy przybyłem do szpitala. Ponieważ nikt się nie zameldował...

- Kto go zabił?

- Przesłuchuję pracowników.

- Ach, przesłuchuje pan... Już ja się tym zajmę... -Otworzył drzwi na korytarz. - Lekarz! - zawołał. Kowalski wszedł do dyżurki.

- Dzisiaj wieczorem - mówił powoli Rhode - przywieziono do szpitala człowieka ze wsi. Przywieziono?

- Tak - powiedział spokojnie Kowalski.

- Gdzie on jest? - krzyknął Rhode.

- Umarł. - W głosie Kowalskiego nie było cienia wahania. - Szok, w rezultacie atak serca. Jutro rano zameldowałbym o tym władzom.

- Chcę go zobaczyć.

- Proszę. Nie odniesiono go jeszcze do kostnicy. Rhode skierował się ku drzwiom. Stał w progu.

- Ile osób pracuje w szpitalu?

- Trzy siostry - oświadczył Kowalski - sanitariusz i felczer. Sanitariusz nie żyje.

-Wiem, że nie żyje, do diabła... - elegancki major von Rhode tracił jednak panowanie nad sobą. Otworzył drzwi: - Przetrzęsnać ten kurnik! - rozkazał.

Zbliżał się moment krytyczny. Żandarmi wpadli do sal, pochylali się nad chorymi. W trójce leżał na łóżku starszy mężczyzna.

- Umarł przed trzydziestoma minutami - powiedział Kowalski. -Jego właśnie przywieziono ze wsi. Można by powiedzieć, że umarł ze strachu. Znalaziono go na terenie walki. Tak przynajmniej powiedział mi ten wieśniak.

Rhode pochylił się nad ciałem.

- To nie jest von Kruck - stwierdził.

- A pan sądził - zdumiał się Kloss - że znajdzie pan tu Krucka?

Rhode nie odpowiedział. Ciężkim krokiem wyszedł na korytarz. Otworzył drzwi piątki i zobaczył siedzącą nad łóżkiem chorej siostrę w narzuconym na plecy białym fartuchu. Kloss wsadził rękę do kieszeni i poczuł pod palcami zimny metal. Jeśli Rhode spostrzeże, że „siostra” ma rękę na temblaku, Kloss będzie strzelał. A potem niech się dzieje, co chce... Rhode stał chwilę na progu, wreszcie zatrzasnął drzwi... Zajrzał jeszcze do kostnicy... dwa ciała leżały na noszach, przykryte

białymi prześcieradłami.

- Chce pan zobaczyć Welmarza? - zapytał Kloss. Serce uderzyło mocno. Chyba Kruckowi dali jakiś solidny środek nasenny, chyba Kruck się nie obudzi.

Rhode machnął ręką i wrócił do dyżurki. Siadł przy stoliku - teraz on położył przed sobą pistolet.

- Pan mnie nie docenia, Kloss - powiedział. - Mamy w tym szpitalu jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Proszę zawołać tę swoją dziewczynę.

Klara stała na progu. Kloss z niepokojem śledził jej ruchy. Czy dobrze zagra swoją rolę, czy zechce dobrze zagrać?

- Zbliź się - powiedział von Rhode. - Niezła - mruknął. - Gust ma pan jednak dobry... Mam nadzieję - stwierdził cynicznie - że dziewczęta sypiające z niemieckimi oficerami pomagają chętnie niemieckim władzom.

Klara milczała. Podeszła do stolika i przyglądała się uważnie majorowi. Potem uśmiechnęła się...

- Dawno znasz porucznika? - zapytał.

- Parę dni - odpowiedziała.

- Krótka znajomość. ...Aż kim sypiałaś przedtem?

-Jestem porządną dziewczyną! - zawołała Klara.

-No... no... Powiedz, jak było? Klara dobrze jednak grała swoją rolę.

- Usłyszałam strzał - powiedziała - i wszyscy pobiegli do operacyjnej, a ja pomyślałam sobie, że trzeba zaraz zawiadomić Hansa, bo on powiedział, że gdyby coś się stało, to należy mu powiedzieć...

- Nie bałaś się godziny policyjnej?

- Mam przepustkę, panie oficerze. Jak wszyscy pracownicy szpitala, więc pobiegłam...

- To już słyszałem. Kto zabił Welmarza?

- Nie wiem, panie majorze...

- Nie wiesz! A jak myślisz? Klara wzruszyła ramionami.

- Ja nie myślę... panie majorze.

- Mało wiesz - rzekł Rhode. - A byłoby dla ciebie znacznie lepiej, gdybyś wiedziała więcej. Zawołam cię leszcze, a teraz poproś lekarza.

Rhode zapalił papierosa, zawahał się, poczęstował Klossa.

-Może ta dziewczyna mogłaby zastąpić Welmarza? -powiedział. I potem dodał zaraz: - Ale chyba nie zastąpi. Nie pyta pan, dlaczego nie chcę jej wykorzystać? Nie pyta pan?

Kloss milczał. Na progu stanął doktor Kowalski.

Rhode patrzył teraz na Kowalskiego.

- Mógłbym oczywiście prowadzić śledztwo - powiedział - i może nawet zgromadzić dowody rzeczowe. Ale ja nie mam na to czasu, Kloss. I mnie to nie bawi. - Wyjął zegarek. -Jeśli w ciągu pięciu minut nie zgłosi się morderca Welmarza, każę rozstrzelać cały personel szpitala. Czy pan zrozumiał, doktorze? Mój zastępca, oberleutnant Kloss, jest zbyt elegancki, a ja postępuję tak, jak należy postępować na wojnie. Więc pięć minut, dobrze? Aha, i szpital jest otoczony, proszę nie próbować ucieczki. - Potem zwrócił się do Klossa: - Żal panu tej Klary? A może chce pan prosić, żebym ją oszczędził?

Kloss milczał. Znowu poczuł pod palcami chłodny metal. Więc jednak się nie udało, należało właściwie przewidywać, że Rhode postąpi tak, a nie inaczej. Nie rzuca słów na wiatr.

Major tymczasem z zainteresowaniem przyglądał się Klossowi.

- Nie sądzę, żeby to była wielka miłość - powiedział. -Taka sobie drobna miłostka, poruczniku, prawda?

Nagle otworzyły się gwałtownie drzwi. Na progu stanęła Krystyna. Widocznie podsłuchiwała; wzrok miała nieprzytomny, w rękę trzymała broń. Patrzyła tylko na Rhodego.

- Ręce na kark! - krzyknęła. - Wszyscy! Nie ruszać się!

Rhode spojrzął na pistolet leżący ciągle na stole, potem podniósł ręce. Kloss uczynił to samo.

Krystyna cofnęła się tymczasem w kierunku okna.

- To ja zabiłam waszego agenta... - krzyknęła.-Ja... sama... Zrobiliście z niego szmatę. Kochałam go...

Nie spuszczać z nich wzroku, otwierała okno. Czy naprawdę miała nadzieję uciec, czy miała jakąkolwiek szansę ucieczki? SS-man stojący na dziedzińcu pod ścianą oddał serię z peemu, niemal nie celując. Rhode chwycił pistolet i strzelił już do leżącej.

Gdyby tego nie zrobiła - myślał Kloss - zginęliby wszyscy. Wiedział, że będzie do końca życia pamiętał pielęgniarkę Krystynę, nie znaną mu nawet z nazwiska, która była przecież zupełnie nijaka i zwyczajna jak tysiące szpitalnych sióstr.

Noc mijała. Niemcy opuścili szpital, Rhode wrócił do swego gabinetu, otworzył butelkę koniaku i zameldował Berlinowi, że dotąd nie znaleziono Krucka. Kloss rozpoczął żmudne poszukiwanie kontaktu, bo miał znowu mało czasu. Należało przecież odstawić Ewę i Krucka do lasu, przekazać meldunek centrali i przystąpić do wykonania następnego zadania.

A 29 września 1942 roku, gdy pod Borzentowem rozpoczęły się próby „X8”, na poligon spadły ciężkie bomby lotnicze...

ŚCIŚLE TAJNE

1

Inżynier Erwin Reil pochodził z Hamburga. Wróżono mu świetną przyszłość naukową, profesor Lublich proponował młodemu absolwentowi politechniki stanowisko asystenta w swym laboratorium, ale Reil wolał produkcję. Lubił wielkie zakłady, rozmach, sprawność, organizację; powtarzał słówko „nowoczesność” i w jego ustach brzmiało ono jak zawołanie bojowe. W trzydziestym ósmym roku zaczął interesować się problemami silników odrzutowych; natrafił na opory, był w końcu młodym, mało znanym inżynierem.. Umiał jednak dotrzeć do kogo trzeba, a że dana mu była cnota cierpliwości - czekał na swój dzień, wierzył, że musi nadejść i gdy mu wreszcie zaproponowano kierownictwo nowych zakładów specjalnych w GG, zrozumiał, że trafił na swoją wielką szansę.

Umiał pracować; całymi dniami i nocami nie opuszczał fabryki mieszczącej się na przedmieściu sporego, polskiego miasta. Nie dostrzegał tego miasta i mieszkających tu ludzi; chciał tylko zdążyć dotrzymać terminu. Nie myślał właściwie ani o wojnie, ani o wielkości Trzeciej Rzeszy. Myślał o silnikach i o sobie.

Pojawiły się jednak trudności, pierwsze doświadczenia wypadły źle i wtedy Reil przypomniał sobie doktora Pułkowskiego. Słyszał o nim jeszcze przed wojną. Wymienił to nazwisko w rozmowie z wysokim funkcjonariuszem gestapo zaraz po objęciu dyrekcji zakładów. Tamten zapisał sobie coś w notesie i po trzech miesiącach zatelefonował. Mieli Pułkowskiego u siebie już od paru tygodni...

Inżynier Erwin Reil powiedział natychmiast, co o tym myśli.

- Należało przysłać go do mojej dyspozycji - wrzeszczał do słuchawki.

- Musieliśmy go przygotować - usłyszał i było to powiedziane takim tonem, że Reil zrezygnował z dyskusji. Funkcjonariusz gestapo poinformował go po prostu, kiedy dostarczą Pułkowskiego. Powiedział „dostarczą”, jak mówi się o partii towaru albo przesyłce pocztowej.

Reil spojrzął na zegarek. Powinni niedługo już być. Odłożył rysunki techniczne i z przyjemnością zanurzył się w miękkim fotelu. Gabinet urządzony był wygodnie, w stylu nieco

surowym, ale bez przesady. Prosta lampa na biurku, proste krzesła i ten fotel, którego poręcz Reil gładził właśnie delikatnie. Lubił meble, które sam projektował w wolnych od pracy chwilach - funkcjonalne i ładne.

Fräulein Krepke, starszawa Niemka z Besarabii, weszła do gabinetu i, poruszając się niemal na palcach, postawiła na biurku filiżankę kawy. Reil nie powiedział „dziękuję”, nie spojrzął nawet na swoją sekretarkę. Nie cierpiał jej. Poruszała się wolno, była tępa i niesamodzielną. Była także brzydka. Reil przymknął oczy i pomyślał o Dance. Świetna dziewczyna! Gdy wyjeżdżał z Hamburga, powiedziano mu, że Polki patrzą niechętnie nawet na Niemców po cywilnemu, a te, które można mieć...

Dankę poznał przed paroma dniami: wyjeżdżał z zakładów po jeszcze jednym nieudanym doświadczeniu i zobaczył ją przed bramą fabryki. Była ładna i dobrze ubrana, znacznie lepiej niż inne dziewczęta w tym mieście. Zatrzymał samochód. Mówiła dobrze po niemiecku; wyjaśniła, że Arbeitsamt skierował ją tu do pracy. Lekkie skrzywienie ust... Więc przyszła, bo niby co innego mogła zrobić. Zaproponował, że ją odwiezie. Myślał, że się nie zgodzi, ale zgodziła się natychmiast. O nie, nie była fanatyczką. Zaprosiła go do siebie; mieszkała ładnie. Reil lubił takie mieszkanie, nie przeładowane drobiazgami, oszczędnie umeblowane, świadczące o dobrym guście.

Następnego dnia przyszedł po raz drugi.

Przyniósł kwiaty i butelkę koniaku. Kwiaty postawiła w wysmukłym wazoniku pod oknem, koniak pili siedząc na kanapie.

- Jesteś inna niż wszystkie polskie dziewczęta - powiedział Reil. - Ja rozumiem, dlaczego wy tak niechętnie przyjmujecie Niemców... Ale to polityka, ja nie zajmuję się polityką. Ty też nie, prawda?

Potwierdziła. Potem tańczyli i Reil, przytulając ją do siebie, pomyślał, że dobrze by mieć taką sekretarkę. Volkslistę jakoś by załatwił. Może mała ma babkę Niemkę, cokolwiek, dziesiątą wodę po kisielu...

Teraz myślał tylko o tym, jak pozbyć się starej Fräulein Krepke. Weszła właśnie znowu do gabinetu.

- Przyszli ci z gestapo - oświadczyła, nie zamykając drzwi za sobą.

- Mówiłem pani, Fräulein Krepke, że należy zamykać drzwi wchodząc do mego gabinetu. To po pierwsze. Po drugie: meldując należy podawać nazwiska. Prosić!

Gestapowiec w stopniu sturmfuehrera wprowadził Pułkowskiego. Polski uczonego wydał się Reilowi bardzo stary; twarz miał poraną bruzdami, na policzku świeżą szramę, ubranie wisiało na nim jak worek. Bał się. Reil pomyślał, że Pułkowski bierze go zapewne za urzędnika gestapo i postanowił, że potraktuje polskiego uczonego z całą atencją. Jeśli oczywiście zasłuży...

- Proszę poczekać w sekretariacie, sturmfuehrer - powiedział pogardliwie. - Teraz nie będzie mi pan potrzebny. - I wskazał Pułkowskiemu krzesło.

Pułkowski usiadł sztywno. Nie bardzo wiedział, co robić z rękami. Położył je na kolanach i przyglądał się brudnemu bandażowi na lewej dłoni.

- Kawy, kieliszek koniaku? - zapytał Reil. Pułkowski milczał.

- Więc kieliszek koniaku i cygaro - Reil roześmiał się hałaśliwie i dobrodusznie. - Takich cygar dawno pan nie palił.

Krzętał się, rozlewał alkohol, a jednocześnie nie przestawał mówić. Stwierdził oczywiście, że ci z gestapo to prawdziwe osły, tępi biurokraci; on, Reil, należy do tego samego gatunku, co jego gość, gatunku ludzi zajmujących się nauką i techniką, i nie cierpi polityki. Na pewno dogadaliby się ze sobą bez trudu. I zapewne dogadają się.

Pułkowski wypił koniak, potem zaciągnął się cygarem. Nie przestawał czujnie obserwować Reila, ale siedział już nieco swobodniej, mniej sztywno.

- O co panu chodzi? - zapytał.

- Ile pan ma lat, panie doktorze?

- Czterdzieści osiem — odpowiedział Pułkowski i Reil pomyślał, że ten człowiek wygląda co najmniej na sześćdziesiąt.

- Jestem inżynierem - wyjaśniał - i interesują mnie te same problemy, które pan próbował rozwiązywać. O pańskich pracach słyszałem jeszcze przed wojną... - Urwał, ale Pułkowski milczał, ciągnął więc dalej: — Mianowano mnie dyrektorem tych zakładów, rozumie pan... — Otworzył szufladę biurka i wyciągnął stamtąd przygotowaną teczkę. — Tu jest parę rysunków technicznych. Wiążą się z pańskimi pracami przedwojennymi. Proszę przejrzeć. Pamięta pan swój wynalazek opatentowany w trzydziestym siódmym we Włoszech? Chodzi o to...

Pułkowski rzucił okiem na rysunki, potem odsunął je zdecydowanym gestem od siebie.

- Ja panu nie pomogę. .

- Co? - Reil wybuchnął hałaśliwym śmiechem. - Ja wszystko wiem! Ten włoski patent dotyczył silnika odrzutowego!

- Nie - powiedział Pułkowski.

- Niech pan milczy! - krzyknął Reil. Jednak stracił cierpliwość. - Stworzę panu znakomite warunki do pracy. Będę pana traktował jak przyjaciela, dbał o pana zdrowie...

- O moje zdrowie - powiedział Pułkowski - zatroszczyli się pańscy koledzy z gestapo...

- Trzeba o tym zapomnieć. - Reil uspokajał się z trudem. - My przecież jesteśmy z innej gliny... - Pułkowski milczał, a Reil dodał natychmiast. — Pańska żona, panie Pułkowski, jest nadal w więzieniu gestapo.

Twarz Polaka zszarzała. Podniósł kieliszek, koniak rozlał się na podłogę.

- Nie szkodzi - powiedział Reil. - Proszę się zastanowić. Dam panu trochę czasu. Tymczasem zostanie pan tutaj, na terenie zakładów...

W tej chwili potężny wybuch targnął powietrzem. Usłyszeli brzęk tłuczonego szkła; podmuch wdarł się do pokoju, światło zgasło i ogarnęła ich ciemność. Za oknem wystrzelił w górę słup ognia.

- Wyrzutnie! — krzyknął Reil. — Moje wyrzutnie!

2

Oberleutnant Hans Kloss w galowym mundurze stanął przed wejściem do pałacyku gauleitera. Przez żelazną bramę co chwila wjeżdżały samochody i wartownicy z SS wyprężali się jak struny.

Kloss spojrzął na zegarek; nie był pewien, czy nie przychodzi zbyt wcześnie. Nie wiedział, czemu zawdzięcza to zaproszenie. Był przecież mało znanym pracownikiem miejscowego Abwehrstelle i nigdy nie zetknął się bezpośrednio z gauleiterem.

Więc jednak jego żona? Tej suchej Niemce pozującej na podlotka przedstawił go Brunner podczas koncertu w Soldatenheim. Pili potem kawę i żona gauleitera uśmiechała się kokieteryjnie. Kloss odwiózł ją do domu. Gdy żegnali się, powiedziała: „Mam nadzieję, że pana jeszcze zobaczę, poruczniku”. I teraz to zaproszenie.

Oczywiście musiał skorzystać, miał nawet nadzieję, że dowie się czegoś więcej o reakcji Niemców na dywersję w zakładach Reila. Jego szef milczał jak zaklęty, a Brunner, który prowadził tę sprawę z ramienia gestapo, powtarzał tylko: „Będziemy ich mieli”.

Kloss był niespokojny. Wybuch zniszczył co prawda magazyny i jedną wyrzutnię, ale zakłady pracowały nadal i o prowadzonych w nich doświadczeniach posiadali nader skąpe informacje. Powiedział Edwardowi: „Chłopcy spisali się dobrze, ale to dopiero początek roboty. Niemcy zwiększą czujność”.

Edward był znakomitym współpracownikiem, ale postępował czasem zbyt pochopnie, nie mógł ciągle zrozumieć, że informacja jest niekiedy ważniejsza od działania. Z zawodu nauczyciel, swoich podwładnych traktował trochę jak uczniów. „Kazik spisał się na piątkę” - oświadczył.

Ale informacje Kazika, którego zresztą Kloss nigdy nie widział - wykluczały to zasady konspiracji - były w gruncie rzeczy nieprecyzyjne. Nie mieli nawet dokładniejszego planu zakładów Reila, nie wiedzieli, gdzie Niemcy trzymają Pułkowskiego.

Właśnie Pułkowski. Każdy radiogram z centrali powtarzał to nazwisko. Należy odbić go Niemcom albo... O tym „albo” Kloss nie chciał nawet myśleć. Czy Pułkowski coś powiedział? Edward był zdania, że to człowiek z charakterem, że nic nie powie, ale Kloss lepiej od niego znał

metody stosowane w gestapo. Nie miał złudzeń, nie wolno mu było mieć złudzeń. Muszą wiedzieć wszystko o Pułkowskim, a jeśli Dance się nie uda...

Pomyślał jeszcze raz o Dance wchodząc na schody wiodące do pałacyku. Ta dziewczyna miała żelazne nerwy; nigdy nie mówiła o sobie, chociaż znali się już parę miesięcy. Kloss nie wiedział nawet, jak się naprawdę nazywa i jakie nosi imię. Ona też zresztą...

Spojrzał w lustro wiszące w hallu; nauczył się już panować nad mięśniami twarzy, ale czuł zawsze potrzebę kontroli, jak aktor przed wejściem na scenę. Musiał znaleźć uśmiech odpowiedni dla żony gauleitera, gdy powita go na progu. Wiedział, że zdradzić może czasem najdrobniejszy gest, nieodpowiednio użyte słowo; wiedział, jak trudno jest ukrywać nienawiść.

Pochylił się nad jej dłonią, potem uściśnął miękką rękę gauleitera. W salonie było pełno: mundury wojskowe i partyjne, panie w wieczorowych toaletach. Kloss stanął niedaleko drzwi, zjawił się natychmiast kelner z tacą. Wziął kieliszek i zaczął szukać wzrokiem znajomych. Brunner rozmawiał z jego szefem, majorem Horschem, a na progu stanął właśnie inżynier Puschke w partyjnym mundurze. Puschke interesował Klossa, był zastępcą Reila. Gruby jegomość o zawsze niespokojnych oczach witał się właśnie z żoną gauleitera.

- A gdzież to inżynier Reil? - zapytała.

- Dyrektor powinien zaraz przyjść - usłyszał Kloss odpowiedź Puschkego. - Dyrektor lubi się spóźniać.

Do gauleitera podszedł wysoki, przystojny mężczyzna w średnim wieku, ubrany po cywilnemu, bardzo elegancko, może nawet nieco wyzywająco. Kloss nie widział go nigdy, ale wystarczyło spojrzeć na żonę gospodarza, by zrozumieć, że ten gość będzie właśnie główną atrakcją wieczoru.

Witała go radosnym uśmiechem, a jednocześnie wydawała się nieco spłoszona.

- Jakże się cieszę, panie Rioletto... Już się bałam... Rioletto! - pomyślał Kloss - cóż to za nazwisko!

- Jakże mógłbym nie przyjść! Już dawno nie otrzymałem przyjemniejszego rozkazu.

- To nie był rozkaz, to była prośba - odpowiedziała natychmiast.

Obok gauleitera stał ciągle Puschke, patrzył na nowego gościa i Klossowi wydawało się, że zobaczył w oczach inżyniera zaskoczenie i strach. Pomyślał, że dobrze byłoby wiedzieć, czego się boi Puschke, jeśli naprawdę czegoś się boi; postanowił poprosić centralę o informacje o tym człowieku. Może coś mają? Mało prawdopodobne... Znacznie ważniejszy był zresztą Reil, ale o nim też niewiele wiedzieli. Inżynier z Rzeszy, bez przeszłości... Ile czasu trzeba, żeby zdobyć najdrobniejszą informację. Myślał ciągle o Reilu, gdy zobaczył go nareszcie w drzwiach. Miał szczęście. Żona gauleitera podchodziła do niego w towarzystwie dyrektora zakładów.

- Panowie się nie znają? Inżynier Reil... Oberleutnant Kloss. Proszę pamiętać - zwróciła się do Klossa - że po kolacji tańczymy.

Zostawiła ich samych. Reil rozejrzał się po sali.

- Mało ładnych kobiet - powiedział. - Gauleiter nie dba o samotnych mężczyzn.

Zapanowała nagle cisza. Gauleiter stanął pośrodku salonu, obok niego Rioletto.

- Drodzy państwo - powiedział gauleiter – gościmy u nas znakomitego specjalistę w zakresie wiedzy okultystycznej, pana profesora Rioletto, którego występy w Berlinie oglądał sam fuehrer. - Mówił potem dość długo o znaczeniu owej wiedzy tajemnej, która odsłonić może przyszłość, i o mistycyzmie właściwym narodowi niemieckiemu.

- Pan Rioletto - zakończył - przeprowadzi parę drobnych doświadczeń.

- Szarlataneria - powiedział Reil, zwracając się do Klossa, ale tak głośno, że Rioletto musiał usłyszeć.

- To prawdziwa wiedza - szepnął Puschke. Zjawił się akurat obok nich.

- A, Puschke - głos Reila brzmiał nieco pogardliwie. - Typowy wschodni Prusak. Zabobonny jak Murzyn.

Rioletto rozpoczął tymczasem doświadczenia. Były to sztuczki, które Kloss już widywał, ale przyznać musiał, że prestidigitator wykonywał je szczególnie zręcznie, z wdziękiem i bez wysiłku. Zapalił cygaro, otworzył okno, a potem wyrzucił palące się cygaro na ulicę. Wszyscy widzieli ten gest. Rioletto, już bez cygara, podszedł do pana Puschkego, który cofnął się instynktownie, zanurzył dłoń w wewnętrznej kieszeni jego marynarki i wydobył stamtąd tłące się ciągle cygaro. Rozległ się szmer podziwu, potem wybuchły oklaski.

-Jak pan to zrobił? - zawołała żona gauleitera. - Przecież cygaro wyrzucił pan na ulicę!

Reil wybuchnął śmiechem, tylko Puschke był naprawdę przerażony. Wypił jednym haustem kieliszek koniaku, potem usiadł na fotelu i nie spuszczał wzroku z prestidigitatora. Kloss był już teraz pewien, że ci ludzie się znają.

Rioletto wykonywał tymczasem dalsze doświadczenia. Nastąpiły sztuczki z kartami, znajdowanie ukrytych przedmiotów i odczytywanie myśli. Kloss patrzył na tych oficerów i gestapowców, przeciskających się do sztukmistrza, wykrzykujących pytania i starających się usłyszeć odpowiedzi. Rioletto panował nad nimi, fascynował ich. Tylko on i Reil stali na boku; Kloss poczuł na sobie uważne spojrzenie prestidigitatora. Pomyślał, że jest chyba nieostrożny, że powinien być również tam, w tłumie otaczającym Rioletta.

- To są oczywiście proste i nietrudne zabawy - mówił tymczasem prestidigitator. - Okultyzm zajmuje się problemami znacznie poważniejszymi.

Przez tłum przeciskał się sturmbannfuehrer Brunner.

- Panie Rioletto - powiedział - przed paroma dniami bandyci podłożyli bombę pod ważne obiekty wojskowe. Gdyby pan zechciał...

- Właśnie... - podchwycił gauleiter.

- Musiałbym - stwierdził Rioletto - mieć jakiś przedmiot albo spotkać się z osobą, która była na miejscu wypadku.

- Dam panu - powiedział Brunner - coś takiego. Legitymację zabitego SS-mana. - Podał mu kopertę.

Teraz Kloss precyzyjnie się nieco bliżej; to już przestawało być zabawą. Nie wierzył co prawda w możliwości pana Rioletta, poczuł jednak coś w rodzaju niepokoju.

Rioletto wziął do ręki niewielką książeczkę. Przymknął oczy, odprawiał teraz swój ceremoniał, nawet nieco zbyt ostentacyjnie i może zbyt długo, ale to właśnie fascynowało zebranych. Wreszcie oddał legitymację Brunnerowi.

- Coś mi przeszkadza - powiedział cicho. Rozległ się szmer, potem znowu nastąpiła cisza.

- Nie rozumiem — odezwał się gauleiter.

- Powiem wyraźniej - oświadczył Rioletto. - Ktoś mi przeszkadza. Tu, na tej sali - ciągnął - jest człowiek, który brał udział w napadzie. Albo organizował napad...

Klossowi zdawało się, że cisza trwa bardzo długo. Wiele minut. Przywołał na twarz uśmiech i zobaczył także uśmiech na twarzy Reila. Potem spojrzał na Puschkego; gruby Niemiec bał się i nie umiał nawet ukryć strachu. Ale dlaczego on? Kloss przecież wiedział najlepiej, że pan Puschke nie mógł mieć nic wspólnego z dywersją w fabryce.

- Kto to jest? - zawołał wreszcie Brunner.

- Nie wiem - odpowiedział Rioletto - jeszcze nie wiem.

Potem zaczęli pić; takie przyjęcia kończyły się zwykle pijaństwem, czasami wychodzili na ulicę i zaczynało się polowanie, dzikie, straszne, bezładne... Strzelali do ludzi przemykających się pod murami domów, do okien, w których ujrzeli cień światła...

Kloss pił z Brunnerem, tańczył z żoną gauleitera i chwycił strzępy rozmów, przecież po to tu był, żeby słyszeć i pamiętać. Brunner rozmawiał z gauleiterem.

Obiecywał mu, że wyciśnie z Rioletta całą jego wiedzę tajemną czy nie tajemną, ale gauleiter był trzeźwy i twardy.

- Pana Rioletę - oświadczył - można co najwyżej poprosić o pomoc. I to grzecznie poprosić.

Kloss to zapamiętał. Zapamiętał również twarz młodego Glaubla, gestapowca przydzielonego

do dyspozycji Reila, a raczej do ochrony Reila.

- Mam pewien pomysł - powiedział Glaubel do gauleitera.

Kloss nie słyszał nic więcej, ale wiedział, że z tym człowiekiem trzeba się liczyć. Był niebezpieczniejszy od Brunnera.

Kloss rozmawiał tego wieczoru jeszcze z Reilem; była to trudna rozmowa. Wydawało się, że dyrektora zakładów interesują tylko kobiety. Mówił o nich dużo i chętnie, wspominał czasy studenckie, potem oświadczył, że nie znosi koniaku i udał się na poszukiwanie wódki. Kloss widział go przeciskającego się przez tłum gości, chwiejącego się już nieco na nogach. Jakieś pary tańczyły, nikt chyba nie słyszał muzyki, czasem kilka głośniejszych tonów i znowu gwar rozmów, i znowu głos gauleitera, górujący przez chwilę nad salą. Żona gauleitera, też już nieco pijana, ujęła Klossa pod ramię.

- Idziemy do naszego mistrza - szepnęła mu do ucha. Poczul na szyi jej gorący oddech.

- Miło mi pana poznać - powiedział Rioletto. Był zupełnie trzeźwy. - Pan przecież nie wierzy w nauki tajemne.

-Mistrz wie wszystko - oświadczyła żona gauleitera.

- Z pewnością - odpowiedział Kloss. - Ale wątpliwości miał inżynier Reil, który wyrażał je zbyt głośno. -Był jednak niespokojny. Niemka ścisnęła mocno jego ramię, a Rioletto świdrował go wzrokiem. Kloss wypił tego wieczoru dużo, pozbawiało go to zwykłej pewności siebie, musiał być czujny, musiał kontrolować każdy swój gest.

- Pan nie wierzy - powtórzył Rioletto.

- Niech mu pan coś powie, niech go pan przekona -zaszczebiotała Niemka.

- Nie lubię być przekonywany - rzekł sucho Kloss.

- Boże, co za powaga! - roześmiała się. - Niech pan jednak mówi! Chcę słyszeć!

Rioletto wyłowił z kieszeni marynarki niewielką szklaną kulę owiniętą chusteczką. Położył ją na stoliku.

- Pan się nazywa Hans. Hans Kloss - mówił. - Pan jest zbyt trzeźwy. Pił pan niewiele; pan znakomicie panuje nad sobą.

- O tak! - zawołała żona gauleitera. - O Boże! - krzyknęła. - Inżynier Reil już wychodzi! - Pobiegnęła ku drzwiom, oni zostali sami.

- Pan nie chce, żebym mówił - stwierdził Rioletto.

-Jeśli pan ma coś do powiedzenia... - Mierzyli się wzrokiem. Rioletto spuścił oczy. Nic nie wie,

z całą pewnością nic nie wie, pomyślał Kloss i ogarnął go nareszcie chłodny spokój. Wstał z krzesła. - Moje życie, panie Rioletto - powiedział - jest tak proste, że nic pan w nim ciekawego nie znajdzie...

- Być może - odrzekł prestidigitator - być może... - I w tej chwili dostrzegł pana Puschkego, który przechodził właśnie obok nich. - Proszę do nas! - zawołał. -Może panu zdołam powiedzieć coś ciekawego...

- O nie! - krzyknął Puschke. - W żadnym wypadku! I ruszył pospiesznie ku drzwiom.

3

Było bardzo późno, gdy Kloss opuszczał pałacyk gauleitera. Wyszedł, kiedy Rioletto zęgnął się z gospodynią. Nie dostrzegła Klossa, była już zresztą pijana i miał nadzieję, że zapomni... Powinien z nią oczywiście jeszcze zatańczyć parokrotnie, to była cenna znajomość, ale jemu nie starczało już sił, szczebiot Niemki wydawał się nie do zniesienia. Brunner sterczał przy oknie; Kloss zobaczył jego twarz, gdy znalazł się na ulicy.

Noc była chłodna, jak to w początkach maja; Kloss wsadził ręce do kieszeni, odszedł kilkadziesiąt metrów i stanął za rogiem, w miejscu, z którego doskonale widział wejście do pałacyku gauleitera. Czy Rioletto przyjechał wozem? Jeśli tak, nic oczywiście nie da się zrobić... Czekał.

Zobaczył wreszcie wysoką postać prestidigitatora. Rioletto szedł szybkim krokiem, nie obejrzał się ani razu. Kloss ruszył ostrożnie za nim. Na pustej ulicy pojawił się patrol; zatrzymali Rioletta głośnym: *halt!* Potem oddali mu legitymację i stuknęli obcasami. Kloss zsalutował niedbale, gdy go mijali... Szedł ciągle bardzo ostrożnie, ale widocznie prestidigitator nie podejrzewał nawet, że może być śledzony. Skręcił w jedną z przecznic głównej ulicy; po paru minutach znaleźli się w dzielnicy willowej, zamieszkałej przez Niemców. Kloss był zdziwiony, sądził, że Rioletto zatrzymał się w hotelu...

Prestidigitator przystanął przed jednym z domków, odczytał numer, podszedł do drzwi i zadzwonił. Kloss obserwował go z daleka. Rioletto czekał dość długo, wreszcie drzwi się otworzyły i Kloss zobaczył na progu, w świetle padającym z wnętrza, pana Puschkego. Nie mógł się mylić! Puschke stał w drzwiach i minęła spora chwila, zanim on i Rioletto zniknęli w willi.

Co łączyło tych ludzi? Puschke się przestraszył albo wydawał się przestraszony, gdy zobaczył Rioletta u gauleitera, ale przecież w ich zachowaniu nie było nic, co wskazywałoby na starą znajomość i to taką, która uprawnia do składania nocnych wizyt. Czy ta informacja może się na coś przydać? Dlaczego Rioletto powiedział: „Człowiek, który brał udział w napadzie na fabrykę, jest tutaj”? Kogo miał na myśli? Co wie i co może powiedzieć Brunnerowi?

Kloss zadawał sobie te pytania wracając do śródmieścia. Edward mieszkał przy ulicy Wałowej pod numerem piętnastym, w starej kamienicy na drugim piętrze. Spał już, gdy Kloss zastukał do

drzwi.

- Oszalałeś? - powiedział. - Co się stało?

Kloss usiadł na łóżku i zapalił papierosa. Odpoczywał. Patrzył na Edwarda krzątającego się po pokoju; nauczyciel nastawił wodę, przygotował namiastkę herbaty. Rozlewał do szklanek mętny napój.

- Co się stało? - powtórzył, gdy wreszcie usiadł.

- Mam do ciebie parę spraw - oświadczył Kloss.

- Może po prostu nerwy cię zawodzą? - stwierdził Edward. — Gdzie byłeś?

- Na przyjęciu u gauleitera. Są nowe zadania.

- O co chodzi?

- Niejaki Rioletto, ciemna figura, prawdopodobnie agent gestapo. Spróbuj się czegoś dowiedzieć. I zastępca Reila, Puschke...

-Spróbuję...

- Najlepiej niech Puschkem zajmie się Danka.

- Znowu Danka - powiedział Edward - żal mi tej dziewczyny.

- Skarżyła się?

- Ona się nigdy nie skarży. Od wczoraj jest sekretarką Reila. To znaczy zastępuje sekretarkę, którą ten Niemiec wysłał na urlop do Rzeszy.

- Bardzo dobrze - powiedział Kloss. Edward długo milczał.

- Bardzo dobrze - powtórzył wreszcie. - Myślałeś kiedy o cenie, jaką ona musi płacić?

Kloss przechadzał się szybkimi krokami po pokoju.

- Nigdy nie zastanawiam się nad ceną - oświadczył. Wiedział, że kłamie; od wielu dni myślał o Dance i zawsze, gdy o niej myślał, przeklinał swoją robotę. - Powinna nam dostarczyć dokładny plan zakładów Reila.

- Nie od razu, nie od razu - oświadczył Edward. - Nie wolno jej teraz robić nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Zupełnie wystarczy, jeśli uda się jej nawiązać kontakt z Pułkowskim.

- A kto wykona plan?

- Zleciłem to Kazikowi - powiedział Edward. - Znakomity chłopak. Na pewno sobie poradzi.

- Wszyscy twoi chłopcy są znakomici - mruknął Kloss. - Jesteś ciągle nauczycielem, który lubi stawiać dobre stopnie.

4

Kazik pracował w warsztatach kolejowych, mieszczących się naprzeciwko zakładów Reila. Z okien swojego biura, ponurej klitki w baraku, widział tory kolejowe, parowozownię i w głębi wysoki mur, oddzielający torowiska od fabryki. Przychodził do pracy wcześniej, zawsze parę minut przed ósmą, ale szef, Herr Luebke, wysoki Niemiec w brunatnej koszuli, zjawiał się zwykle przed nim. Oczekiwał Kazika w drzwiach swego pokoju, spoglądał na zegarek i wyznaczał mu robotę. Roboty było co prawda niewiele, przepisywanie listy płacy, wykazów robotników, ale Niemiec przywiązywał ogromną wagę do dokładności, wystarczyła najdrobniejsza pomyłka, by kazał przepisywać wszystko od nowa. Po godzinie zostawiał Kazika samego i szedł na dworzec spotkać się z kolegami, odwiedzić zawiadowcę stacji i wypić halbę piwa przy bufecie. Na to właśnie Kazik liczył. W gabinecie szefa stała kasa pancerna, a w niej leżały ostemplowane przepustki do zakładów Reila, wydawane kolejarzom udającym się tam do pracy w fabrycznej bocznicy.

- Wróć za godzinę - powiedział jak zwykle szef.

Kazik stał przy oknie i gdy Niemiec zniknął za budynkami magazynów, wszedł do jego gabinetu. Klucze do kasy pancerniej leżały, jak zwykle, w szufladzie biurka. Kazik otworzył ją wytrychem. Długo, dłużej niż przypuszczał, mocował się z kasą pancerną. Wreszcie drzwi ustąpiły. Znalazł kartoniki opatrzone napisem „Passierschein”. Wybrał jeden; była to przepustka wystawiona na nazwisko Hansa Molkego. Schował ją do kieszeni i wybiegł z baraku.

Serce tłukło mu mocno w piersiach, gdy podchodził do bramy; wokół było pusto, wartownik w mundurze SS, oparty o drewnianą budkę, przyglądał się Kazikowi. Chłopak podał mu przepustkę; znał niemiecki, nawet dość dobrze, ale bał się, że zdradzi go akcent. Cóż tam zresztą akcent: mało to volksdeutschów! Wartownik obejrzał kartonik, a potem szybkimi i sprawnymi ruchami obmacał Kazika.

- Teraz rewidujemy wszystkich — oświadczył. — I volks-deutschów, i reichsdeutschów też.

- Wystarczyłoby Polaków - odpowiedział Kazik.

- W porządku - oświadczył wartownik i chłopak poczuł ogromną ulgę. W tej chwili minął ich wychodzący z zakładów elegancki mężczyzna. Wartownik stanął na baczność, a Rioletto - bo to on był właśnie - przyjrzał się uważnie Kazikowi.

- Jakaś szyszka z Berlina- oświadczył wartownik. Kazik ruszył przed siebie. Szeroka, asfaltowa droga prowadziła wzdłuż hal produkcyjnych, rozrzuconych po całym terenie, do widocznego z daleka

pokażnego budynku, zapewne budynku administracji. Wszędzie panował ruch, przetaczano wagoniki po szynach, terkotały motory, ludzie w kombinezonach robotniczych mijali Kazika obojętnie, nikt nie zwracał na niego uwagi. Chłopak skręcił w boczną alejkę, zamierzał obejść całe zakłady, starając się iść wzdłuż okalającego je muru. Wiedział, że powinna być jeszcze jedna brama, zawsze zamknięta, a otwierana wyłącznie wówczas, gdy do fabryki przychodziły większe transporty. Miał dokładnie ustalić odległości: od hal fabrycznych do tej bramy, następnie zaś określić położenie budynku administracyjnego.

Szedł teraz wąską dróżką wzdłuż chaotycznie porozrzucanych budynków fabrycznych, magazynów i drewnianych bud. W głębi, ukryta między drzewami, widniała ładna willa. Zajmował ją zapewne inżynier Reil, a Edward przypuszczał także, że trzymano w niej doktora Pułkowskiego. Kazik znalazł dobry punkt obserwacyjny i, oparty o ślepą ścianę drewnianego baraku, sięgnął po kartkę papieru i szybkimi, sprawnymi pociągnięciami ołówka wykonywał szkic. Droga od bramy do willi, odległości, usytuowanie hal fabrycznych i budynku administracji. Wzdłuż muru przechadzał się wartownik, ale nie wydawał się groźny, bo nie interesowało go w ogóle wnętrze zakładów. Zaabsorbowany swym szkicem Kazik nie dostrzegł, że od paru chwil obserwuje go młody człowiek w brązowym mundurze. Podobnie jak Kazik, przywarł do ślepej ściany baraku, a potem skradał się cicho i powoli, aż stanął za Kazikiem; wyszarpnął z kabury pistolet i dotknął lufą pleców chłopca.

Kazik odwrócił się gwałtownie. Miał parę sekund na podjęcie decyzji: rzucić się na hitlerowca? Ale tamten odskoczył kilka kroków i stał na szeroko rozstawionych nogach, z palcem na spuście. Wartownik szedł spokojnie wzdłuż muru. Kazik podniósł ręce do góry.

- Mam cię - powiedział Niemiec. - Nie ruszaj się. Dokumenty i ta kartka. Szybko!

Sytuacja wydawała się beznadziejna. Kazik podał hitlerowcowi przepustkę i szkic.

- Hans Molke - przeczytał tamten. - Daj ausweis! -warknął.

Kazik zawahał się. Czy wartownik ich dostrzegł? Byli ciągle w polu jego widzenia. Chłopak poczuł na twarzy krople potu; nie miał żadnej szansy. Wręczył Niemcowi kenkartę.

- Kazimierz Truchanowicz - roześmiał się hitlerowiec. Ukradłeś przepustkę, co? Pracujesz na dworcu przeładunkowym?

5

U Reila pracowało się cały dzień: od ósmej do trzeciej i od piątej do późnego wieczora. Danka miała tylko dwie godziny w ciągu dnia wolne, ale rzadko udawało jej się opuszczać zakłady. Reil chciał, żeby przebywała cały czas w fabryce, siedziała w sekretariacie, kiedy on jest w gabinecie, jadła z nim obiad i szła z nim na kolację. Był nieustępliwy i wymagający, musiała mu składać sprawozdania z każdej godziny spędzonej w mieście, a najdrobniejsze spóźnienie wywoływało ataki furii.

Danka miała tego dosyć, marzyła o powrocie do oddziału, obiecano jej przecież powrót do oddziału, gdy wykona to zadanie, ale zadanie z każdym dniem wydawało się trudniejsze. Przepisywała sporo dokumentów; rozmawiała z ludźmi, którzy czekali na Reila, ale ani razu nie udało się jej zobaczyć Pułkowskiego. Nie wiedziała nawet, czy jest w gestapo, czy Reil trzyma go ciągle na terenie zakładów..

Tego samego dnia, kiedy to Kazik spotkał Glaubla, Danka wracała do zakładów przed piątą; udało jej się wyjść o trzeciej, bo Reila wezwano na jakąś konferencję. Wstąpiła do Edwarda; zawsze trwało to dość długo, bo zanim poszła na Wałową, kluczyła trochę po mieście, przesiadała się z rikszy do rikszy, musiała mieć pewność, że nie jest śledzona. Nauczyciel polecił jej dowiedzieć się czegoś o zastępcy Reila i kazał przyjść następnego dnia o pierwszej. Miała się spotkać z Jankiem.

Biegając teraz ulicą, myślała już, co powiedzieć Reilo-wi, żeby pozwolił jej wyjść przed południem. Najlepiej oczywiście fryzjer. Reil chciał, żeby wyglądała ładnie, napisał nawet do przyjaciela przebywającego w Paryżu, żeby przysłał francuskie kosmetyki i materiały na suknie. Spojrzała na zegarek; na pewno się spóźni, zbliżała się już piąta, a do fabryki miała jeszcze spory kawałek drogi. Rozejrzała się; ani jednej rikszy. W tej chwili zobaczyła otwarty samochód hamujący przy chodniku. Elegancki mężczyzna, którego twarz wydała jej się od razu znajoma, uśmiechał się do niej.

- Podwieźć do fabryki? - zapytał. Mówił po niemiecku z lekkim obcym akcentem.

- Skąd pan wie? - zawołała zdziwiona.

- Nazywam się Rioletto - powiedział - byłem dzisiaj u pana Puschkego i widziałem panią w sekretariacie. Zajęła miejsce obok niego.

- Muszę się przyznać - mówił, zręcznie wyprzedzając furmankę - że to spotkanie nie było zupełnie przypadkowe...

Danka spojrzała na niego z niepokojem.

- Śledził mnie pan? - Od razu zrozumiała, że to było niepotrzebne pytanie. Rioletto roześmiał się.

- Ach, mój Boże, widziałem panią minutę, może nawet trzydzieści sekund... ale wywarła pani na mnie kolosalne wrażenie... Kolosalne - powtórzył.

- Pan wybaczy, panie Rioletto.

- Nie, nie, proszę się nie gniewać — terkotał — może mój sposób mówienia wydaje się pani nieco przesadny, ale to taki styl, w końcu jestem Włochem.. Wie pani, czytam w myślach ludzkich, to mój zawód...

- Piękny zawód - powiedziała Danka i poczuła, że ma suche wargi.

-Panno Danko...

- Skąd pan zna moje imię?

- Czytam w myślach... Nie, przepraszam, zapytałem woźnego. Wiem już, że pani jest nową sekretarką Reila i nie jest pani Niemką. Czy ma pani dziś wolny wieczór?

- Niech pan sam odpowie sobie na to pytanie. Podjeżdżali do bramy zakładów. Rioletto zahamował gwałtownie i uśmiechnął się smutno.

- Nie mam szczęścia w tym kraju - powiedział. - Czy mogę mieć przynajmniej nadzieję?

Danka uśmiechnęła się. Ten Włoch nie był jednak zupełnie pozbawiony wdzięku.

Gdy weszła do sekretariatu, było już trzy minuty po piątej, Reil stał w drzwiach gabinetu, czekał na nią.

- Spóźniłaś się - powiedział. I ostrzejszym tonem:

- Gdzie byłaś?

- Jadłam obiad z Krysią - odpowiedziała bez wahania.

- Krysia to moja najlepsza przyjaciółka. W końcu muszę ją widywać od czasu do czasu.

- Tak się zawsze mówi - warknął.

Usiadła przy swoim biurku i wyjęła z torebki puderniczkę. Poprawiła wargi. Reil przyglądał się jej w milczeniu.

- Za chwilę przyprowadzą tu starego człowieka - powiedział. - To polski uczonec. Niech poczeka w moim gabinecie. Zaparz kawę, ja zaraz wrócę.

Danka z trudem ukrywała radość; żeby tylko nie wrócił zbyt szybko, żeby tylko zdążyła powiedzieć Pułkow-skiemu parę słów.

Pułkowskiego wprowadził SS-man; został w sekretariacie, a Danka weszła z uczonym do gabinetu. Miała liczone sekundy, wiedziała, że dosłownie liczone sekundy. Drzwi prowadzące do sekretariatu zostawiła zresztą półotwarte, nie mogła ich zamykać, nie chcąc budzić podejrzeń SS-mana.

- Inżynier Reil zaraz wróci - powiedziała głośno po niemiecku. - Napije się pan kawy?

- Tak - odrzekł Pułkowski.

Podawała mu filiżankę i pochyliła się nad nim.

- Panie doktorze - szepnęła po polsku - uwolnimy pana, jeszcze parę dni, proszę się trzymać. Gdzie pan jest więziony?

Patrzył na nią z ogromnym zdziwieniem.

- Kim pani jest? - zapytał.

- To nieważne.

- W piwnicy, w sąsiednim gmachu - szeptał. - Ale nic nie należy robić. Muszę się zgodzić, bo moja żona, rozumie pani - głos mu się załamał - moja żona...

Usłyszała energiczne kroki w sekretariacie.

- Kawa jest mocna, panie doktorze - powiedziała po niemiecku. - Czy lubi pan bardzo słodką?
Na progu gabinetu stał inżynier Reil.

6

Edward kazał mu przyjść na godzinę dwunastą. Kazik stanął przed bramą pod numerem piętnastym i spojrzał w górę. Na parapecie okna na drugim piętrze dostrzegł doniczkę z kwiatami. Zasłona była lekko uchylona. Oznaczało to: wszystko w porządku. Kazik rozejrzał się jeszcze, ale nie zobaczył nic podejrzanego. O tej porze na ulicy Wałowej ruch był niewielki, przyjechała jakaś riksza, parę kobiet stało przed sklepem, dzieci bawiły się na jezdni. Jak zwykle.

Kazik był w dobrym nastroju i po wczorajszych wydarzeniach w fabryce Reila uwierzył w swoje szczęście. Miał naprawdę szczęście, bo przecież na dobrą sprawę powinien być w gestapo, pozbawiony wszelkich szans. Tymczasem był wolny i mógł zanieść Edwardowi interesujący meldunek.

Może gdyby rozejrzał się nieco uważniej, dostrzegłby dwóch mężczyzn, stojących w sąsiedniej bramie i jednego na rogu Polnej przy kiosku z gazetami. Wszystko jednak wyglądało tak zwyczajnie, że Kazik wszedł energicznie do bramy i zniknął w klatce schodowej.

Edward powitał go na progu.

- Spóźniłeś się o osiem minut — powiedział — mamy mało czasu.

Radosny nastrój Kazika prysnął momentalnie; zawsze tak było podczas spotkań z Edwardem.

Weszli do pokoju.

- Siadaj - powiedział Edward. - Masz szkic?

- Mam, ale mam też coś znacznie lepszego - dodał natychmiast.

- Poczekaj. - Edward zachowywał się właśnie tak, jak nauczyciel w klasie, gdy egzaminuje niezbyt dobrze przygotowanego ucznia. - To jest brama... - studiował uważnie szkic. - Co ile minut

przechodzi obok niej wartownik?

- Chodzi wzdłuż muru - rzekł niepewnie Kazik.

- Co ile minut? - powtórzył pytanie Edward.

Musiał przyznać, że dokładnie nie wie. Edward stwierdził oczywiście, że rozpoznanie jest niepełne. Mają cztery dni na przygotowanie akcji, a właściwie ciągle niewiele wiedzą. Kazik uśmiechnął się promiennie.

- Właśnie chciałem ci zameldować - oświadczył - o sukcesie. Udało mi się zwerbować Niemca od Reila.

- Co? W ciągu dwóch dni? - zawołał Edward. - Referuj dokładnie. Masz piętnaście minut.

Kazik spojrział na zegarek. Było wpół do pierwszej.

O wpół do pierwszej Kloss siedział w kawiarni na Polnej. Od spotkania z Edwardem dzieliło go jeszcze pół godziny, wyszedł trochę wcześniej z biura, spacerował po mieście, a potem przyszedł tu na kawę, bowiem okna kawiarni wychodziły na Wałową i mógł obserwować ulicę. Był niespokojny. Nie zdarzyło się właściwie nic, co świadczyłoby o istnieniu zagrożenia, ale Kloss czuł intuicyjnie, że zbliża się niebezpieczeństwo. Poprzedniego dnia spotkał się z Brunnerem, tym razem nie służbowo, ale wieczorem w kasynie. Brunner był podniecony, pił dużo, więcej niż zwykle. Oświadczył, że są na tropie. Nie chciał podać żadnych szczegółów.

- Wy też zajmujecie się trochę tą sprawą - powiedział - ale dla nas to będzie niedługo historia.

- Macie już tych ludzi? - zapytał Kloss.

- Twoje zdrowie, Hans - roześmiał się Brunner. - Będziemy ich mieli. Głaubel to świetny chłopak.

- Co ma z tym wspólnego Głaubel? - zapytał Kloss.

- Chciałbyś wiedzieć, Hans? - Brunner znowu napełnił kieliszki. - To mój osobisty sukces, mój drogi, i nie mam ochoty dzielić się nim z nikim.

- Pięknie - oświadczył Kloss. - A jeśli ja coś będę wiedział?

- To mi na pewno powiesz - wybuchnął śmiechem Brunner. - Będzie jakiś towar do wymiany.

Jakie informacje posiada Brunner? Może po prostu bluffuje? Siatka Edwarda jest przecież czysta. Ludzie są wielokrotnie sprawdzani; nikogo nie aresztowano, nic się dotąd nie zdarzyło, co mogłoby budzić niepokój. A jednak? Może Danką była nieostrożna? Centrala znowu żąda informacji w sprawie Pułkowskiego. Dano im cztery dni. Jak wykonać to zadanie?

Kelnerka przyniosła kawę, Kloss skosztował, była chłodna i tylko z nazwy miała coś wspólnego

z kawą. Odstawił filiżankę i w tym momencie zobaczył w drzwiach kawiarni pana Rioletto.

Czyżbym coś przeoczył? - pomyślał. - Czyżby ten Włoch mnie śledził?

Rioletto szedł do jego stolika.

- Dzień dobry, panie poruczniku - powiedział. - Jeśli pan na nikogo nie czeka...

- Nie czekam - odrzekł sucho Kloss. - Proszę, niech pan siada.

Rioletto rzucił na stół paczkę gitanów i skinął na kelnerkę. Po chwili postawiła przed nim filiżankę czekolady.

- Piję zawsze czekoladę - wyjaśnił. - Łatwiej ją dostać w tym kraju niż w Berlinie. Kloss milczał.

- Właściwie, panie poruczniku - ciągnął Rioletto - rad jestem przypadkowi, który nas tu zetknął.

- Bardzo lubię przypadkowe spotkania - powiedział Kloss, akcentując słowo „przypadkowe”.

Rioletto roześmiał się.

- Pan jest zbyt nieufny. Pracuje pan w Abwehrze, prawda?

- Dlaczego pan o to pyta?

- Nie pytam, stwierdzam. Pan przecież nie wierzy w moje możliwości nadprzyrodzone.

-Nie.

- Brunner ma na ten temat inne zdanie.

- Mój przyjaciel Hermann i ja często różnimy się w poglądach - oświadczył Kloss. - Tak bywa. Ja lubię konkrety i fakty.

- Prowadzicie - Rioletto mówił jakby z pewnym wahaniem - tę samą sprawę.

- Co pan ma na myśli?

- Dywersję w zakładach Reila. Powiedziałem już Brunnerowi, że jestem gotów pomóc.

Kloss przyglądał mu się z napiętą uwagą. Czego naprawdę chce ten Włoch? Czy pracuje dla Brunnera? Czy Brunner kazał mu śledzić Klossa?

- To samo chciałby pan powtórzyć mnie? - zapytał.

- Może - odpowiedział Włoch.

- Po co, panie Rioletto? Jeśli pracuje pan dla nas...

- Tego bym nie powiedział - Rioletto spokojnie pił czekoladę. -Ja lubię inny styl rozmowy, panie poruczniku, a jeśli czasami pomagam... to wcale nie znaczy... -I natychmiast zmienił temat. - Jakże się czuje piękna małżonka gauleitera?

Kloss spojrział na zegarek. Zbliżała się za kwadrans pierwsza.

W mieszkaniu przy ulicy Wałowej 15 Edward również spojrział na zegarek.

- Musisz już iść - powiedział. - Popełniłeś błąd, bardzo poważny błąd. Jesteś zdekonspirowany i nie wolno ci było tu przychodzić.

- Co miałem robić?

- Zniknąć i odczekać. Wiesz dobrze, że nie wolno podejmować żadnych kroków bez mojego pozwolenia.

- Ten Niemiec jest uczciwy.

- To trzeba jeszcze sprawdzić. Idź i czekaj na dalsze rozkazy.

W tej chwili rozległ się dzwonek. Edward podniósł się powoli z krzesła, szybkim spojrzeniem omiół pokój. Szkic Kazika wrzucił do skrytki.

- Broń? - zapytał Kazik.

Edward zanurzył dłoń w kieszeni i podszedł do drzwi.

- Kto tam?! - krzyknął.

- Hydraulik - usłyszał. - Woda przecieka na pierwszym piętrze.

Edward otworzył i odskoczył od drzwi. Nie zdążył. Do przedpokoju wdarło się trzech mężczyzn po cywilnemu, w dłoniach trzymali pistolety. Jeden z nich, to był właśnie Glaubel, rzucił Edwarda na podłogę, dwóch pozostałych dosięgło Kazika, gdy biegł już do okna. Walka trwała krótko. Gestapowiec uderzył chłopca kolbą po głowie. Kazik zwałił się na podłogę. Do mieszkania wszedł, również po cywilnemu, Brunner.

- Ocucić - powiedział, wskazując na Kazika.

Po chwili siedzieli na krzesłach, trzymając ręce na stole. Gestapowiec z bronią w ręku nie spuszczał ich z oczu, a Brunner i Glaubel przetrząsali mieszkanie. Wyrzucali z szafy bieliznę, otwierali szuflady, obmacywali ściany. Na stoliku nocnym przy łóżku stał blaszany budzik. Edward wiedział, że spieszony o dwie minuty. Wskazówki budzika zbliżały się do pierwszej, a Janek był zawsze punktualny. Jeszcze cztery minuty. Ogarnął go strach, a potem wrócił chłodny spokój. Jak przestrzec Janka? Na parapecie okna stała doniczka z kwiatami, zasłona była lekko uchylona. Jeszcze

trzy minuty.

- Pomieszkamy tu trochę razem - powiedział Brunner. - Mam nadzieję, że sami podacie nazwiska i adresy współników, ale wolimy spotkać się z nimi tutaj, to świetne miejsce. - Patrzył uważnie na Edwarda. - Niecierpliwisz się, prawda? Oczekujesz wizyty? To bardzo dobrze.

- Nikogo nie oczekuję i nic nie rozumiem. - odrzekł Edward. - Panowie, tu nastąpiła jakaś pomyłka. Glaubel wybuchnął śmiechem i podszedł do okna.

- Pomyłka! - wykrzyknął. - Zapytaj tego chłopaka - wskazał na Kazika. - Jeszcze wczoraj opowiadał mi takie piękne rzeczy. - Oparł dłoń na doniczce i wyjrzał przez okno.

- Odejdź od okna - rozkazał Brunner - i niczego nie ruszaj. Wszystko może być ważne.

Edward z rozpaczą patrzył na tarczę budzika. Słyszał powolne cykanie zegara. Dwaj gestapowcy rewidowali właśnie kuchnię. Brunner ściągnął pościel z łóżka, a Glaubel opukiwał framugi.

Edward podjął błyskawiczną decyzję; od okna dzieliło go parę kroków... Może zdąży skoczyć, zanim tamten wystrzeli, żeby tylko zdążył skoczyć. Wbił mocno nogi w podłogę, pochylił się całym ciałem naprzód, a potem ręce wsparł o poręcz krzesła...

Kloss podchodził właśnie do kamienicy numer piętnaście. Włocha zostawił w kawiarni, wahał się jeszcze chwilę, czy iść na spotkanie, ale postanowił ryzykować, chociaż może powinien...

Myślał ciągle o terminie czterech dni, które dała im centrala i rozważał rozmaite koncepcje akcji w fabryce... Chciał już skręcić do bramy, gdy nagle usłyszał krzyk i brzęk tłuczonego szkła.

Z drugiego piętra spadła doniczka, uderzyła o płyty chodnika.

Kloss, nie patrząc w górę, przyspieszył kroku. Widział przed sobą pusty chodnik; nic więcej, tylko pusty chodnik. Leciutkim, niedostrzegalnym niemal ruchem przesunął kaburę pistoletu na brzuch. Wiedział już, co się stało.

Nie myślał teraz o sobie, myślał o nich, o Edwardzie, który zdążył wypchnąć doniczkę na ulicę i zapewne za to zapłaci, bardzo drogo zapłaci.

Ulica Wałowa była długa, na tym odcinku niemal bez przecznic. Odrapane kamieniczki, wąskie chodniki, korytarz, który trzeba przebyć. Kloss szedł coraz szybciej, myślał teraz o Dance. Z jakiego kierunku nadejdzie? Jeśli od strony Polnej, będzie zgubiona. Jeśli od parku, powinien spotkać ją po drodze.

Ciszę rozdarł warkot motorów. Na Wałowej pojawiły się ciężarówki z żandarmami.

Obstawiają ulicę - pomyślał Kloss. - Brunner musiał dojść do wniosku, że ten, który miał zjawić się u Edwarda, nie zdążył odejść daleko.

Parę metrów przed nim zatrzymał się również samochód, wyskoczyli żandarmi, kordon zamknął ulicę; ci, którzy nie zdążyli schować się do bram, wpaść na podwórze, wędrowali teraz do ciężarówek. Żandarmi wpychali ludzi do bud, rzucając na ziemię kenkarty. Rozległ się krzyk kobiet, krzyk, który Kloss znał dobrze... Minał spokojnie żandarmów, zasalutowali, on podniósł niedbale rękę do góry i jeszcze przez chwilę przyglądał się łapance.

Zatrzymał się na rogu Wałowej i niewielkiego placu, przed wystawą sklepu z zabawkami. Postanowił tu poczekać piętnaście minut. Może Danka jednak nadejdzie. Zobaczył ją z daleka; pewna siebie, dobrze ubrana, szła od strony parku. Dostrzegła go, gdy był już przy niej.

- Edward spalony - szepnął. - Za dziesięć minut w parku.

Zawróciła i zniknęła w tłumie przechodniów. Kloss zapalił papierosa i ruszył powoli w tym samym kierunku.

W parku dzieci bawiły się nad jeziorkiem. Kloss przeszedł powoli obok kawiarenki przy oranżerii i zanurzył się w wysadzanym drzewami głównej alei. Zobaczył Dankę. Siedziała na ławce z puderniczką w ręku. Rozejrzał się jeszcze czujnie i podszedł do niej:

- Pozwoli pani, Fräulein?

- Oczywiście - odpowiedziała Danka.

Poczęstował ją papierosem. Nie spotykali się dotąd nigdy w dzień i nigdy w miejscu publicznym. Teraz nie mieli innego wyjścia. Danka uśmiechnęła się zalotnie - świetnie grała rolę dziewczyny żadnej przygód - i odsunęła się nieco od niego.

-Jak to się mogło stać? - zapytała cicho, nie przestając się uśmiechać.

- Nie wiem. Niewykluczone, że jesteśmy spaleni.

- Edward będzie milczał - powiedziała Danka i przystąpiła natychmiast do składania relacji. Udało się jej ustalić, że Reil i Pułkowski wyjeżdżają za trzy dni na poligon.

- Pułkowski się zgodził? - zapytał Kloss.

-Jest załamany- powiedziała Danka. - Chodzi o jego żonę.

- Widziałaś Kazika?

-Nie.

- Trzeba jeszcze dzisiaj ustalić — mówił Kloss — co się z nim stało. Należy poinformować resztę, ale najważniejszy jest Kazik.

- Pójdę do niego dzisiaj wieczorem. Zastanawiał się sporą chwilę.

- Nie wiem, czy powinnaś, ale nie ma chyba innego wyjścia. Będę cię osłaniał. - Potem wyznaczył jej miejsce spotkań. Mieli taki zapasowy punkt, który wydawał się bardzo bezpieczny; stary warsztat na przedmieściu, zamknięty od czasu wybuchu wojny.

- Muszę ustalić - mówił - jak dowiedzieli się adresu Edwarda. - Nie miał jeszcze pojęcia, jak to zrobi. Brunner zapewne nic nie powie, zresztą Kloss nie miał w tej chwili żadnej pewności, czy sam nie jest przedmiotem śledztwa.

Danka wzruszyła ramionami.

- Lepiej nie pytaj - powiedziała. - Sądzę, Janek, że to moja ostatnia akcja.

- Dobrze. Odeślę cię potem do oddziału.

- Dziękuję.

Kloss chciał już wstać, gdy nagle twarz mu stężała. Alejką parku szedł w ich kierunku prestidigitator Rioletto. Śledził go przez cały czas? Czy naprawdę był tak zręczny?

- Ja go znam - powiedziała dziewczyna. - To niejaki Rioletto. Próbował mnie uwodzić.

- To dobrze - powiedział Kloss. Przyszedł mu nagle do głowy pewien pomysł. Był bardzo ryzykowny, ale w końcu wszystko było ryzykowne.

- Posłuchaj, Danka - szepnął - ja odejdę, ty z nim tu zostaniesz i zaprosisz go do siebie na jutro wieczór, powiedzmy, na ósmą. Potem ci wytłumaczę, co masz robić...

Rioletto podchodził właśnie do nich.

- Mój Boże! - zawołał, znakomicie udając zaskoczenie - znowu się spotykamy! Nie wiedziałem, że oberleut-nant Kloss zna wszystkie interesujące kobiety w tym mieście.

- Po prostu mam szczęście - uśmiechnął się Kloss.

- A ja skarżę się właśnie na brak szczęścia - odpowiedział Rioletto.

Kloss spojrział na zegarek i wstał.

- Niestety, na mnie pora.

- Od dzisiaj - stwierdził Rioletto - przestanę się skarżyć na brak szczęścia. Czy wolno mi zostać? Danka uśmiechnęła się.

W tej grze było coraz więcej niewiadomych; aresztowanie Edwarda stawiało pod znakiem zapytania powodzenie całej akcji. Kloss wierzył, że Edward wytrzyma, musiał w to wierzyć, ale przecież ktoś zdradził gestapo mieszkanie na Wałowej, ktoś, kto wiedział bardzo dużo, może także o nim. Powinien uciec do oddziału? Nie, zostanie tu do końca, spróbuje rozegrać tę partię.

Może jednak przypadek? Nie wierzył w takie przypadki, Brunner nigdy nie działał na ślepo, musiał mieć dobre informacje. Kto? Rioletto? Puschke? A jeśli Danka? Bzdura! Gdyby Danka zdradziła, mieliby już jego. Przypomniał sobie twarz Głaubla; spotkał go przed godziną i teraz był pewien, że to spotkanie nie było przypadkowe.

Zadzwoił telefon. Kloss podniósł słuchawkę i jednocześnie zapalił lampę na biurku. To mógł być albo jego szef, albo Brunner; ci dwa) wiedzieli, że Kloss lubi pracować wieczorami w swoim gabinecie w Abwehristelle, Usłyszał głos Brunnera, nieco zachrypnięty, zapewne po wczorajsze) pijatyce.

- *Heil Hitler*, Hans. Spędzasz samotny wieczór w biurze?

- Pracuję.

Brunner gadał o głupstwach, wspominał jakąś kelnerkę z kasyna, która podawała im wczoraj alkohol i miała niezłe nogi, a potem nagle zadał pytanie:

- Hans, ciebie interesuje nowa sekretarka Reila? Kloss miał parę sekund na odpowiedź. Podjął decyzję, wiedząc jednocześnie, że na tym terenie Brunner musi wygrać.

- Tak - oświadczył - istotnie. A dlaczego o to pytasz, Hermann?

- Ładna dziewczyna - powiedział Brunner. - Chcesz ją odbić Reilowi?

- Nie myślałem o tym.

- A o czym myślałeś, Hans? Kloss brnął dalej;

- Myślałem - mówił - że może nadszedł czas, byśmy wymienili informacje.

- Może — stwierdził Brunner. W jego głosie Kloss usłyszał wahanie.

Co wie? - myślał. - Czego zdążył się dowiedzieć? Oczywiście Glaubel zameldował mu o spotkaniu na przedmieściu. To był błąd, gruby błąd. Danka nie powinna była chodzić do mieszkania Kazika. Brunner powiedział: „Dobranoc, jutro się zobaczymy”, a Kloss odłożył słuchawkę i raz jeszcze rozważał wydarzenia dzisiejszego wieczoru.

Przyszedł na przedmieście o szóstej wieczorem, tak jak umówili się z Danką. Robotnicy wracali właśnie z dworca przeładunkowego i z fabryki należącej do zakładów Reila, w sklepie spożywczym ustawiała się długa kolejka, w furtkach, przed domami plotkowały kobiety czekając na mężów.

Kazik mieszkał w niewielkim, parterowym domku na rogu Ogrodowej i Śliskiej; Kloss,

obojętny i obcy w tłumie spieszących się przechodniów, obserwował ten domek dobrych kilka minut, gdy zobaczył wreszcie Dankę otwierającą furtkę. Weszła do środka; Kloss przesunął kaburę na brzuch, czekał. Wiedział już, że nie powinien tu przychodzić, należało posłać kogoś z chłopców od Białego; zdążył już nawiązać kontakt z Białym. Danką długo nie wychodziła; zaczynał się niepokoić, przecież i tam mógł być kocioł, gdy nagle zobaczył obok siebie Głaubla. Hitlerowiec również obserwował domek Kazika Okonia.

Stało się - pomyślał Kloss i owładnął nim chłodny spokój.

- *Heil Hitler*, Glaubel - powiedział. - Co pan robi w takim zakazanym miejscu?

- Spacer - odparł Glaubel. - A pan?

-Ja - roześmiał się Kloss - mam mało czasu na spacer. Najczęściej pracuję. A niekiedy lubię zapolować.

- Polowanko - powtórzył Glaubel i spojrzał uważnie na Klossa. - To dziwne, że spotykamy się właśnie w tym miejscu.

- Tak - odparł Kloss tym samym tonem - dziwne.

Obaj patrzyli na furtkę prowadzącą do domku Oko-niów.

Więc Kazik także siedzi - myślał Kloss. - Pilnują jego mieszkania, ale tam nie ma kotła. Danką jeszcze wyjdzie. Będą ją obserwować. Czy Glaubel jest sam?

Rozejrzał się. Chyba jest sam. Nie miało to co prawda żadnego znaczenia, ale umożliwiałoby spotkanie z Danką. Wychodziła właśnie z domku; spokojna, obojętna minęła furtkę.

- Piękna Polka - powiedział Glaubel. - Czy pan się nią interesuje?

Kloss milczał. Już wówczas wiedział, że to pytanie musi mu zadać Brunner.

Pochylił się znowu nad papierami; powinien przygotować na jutro sprawozdanie dla Horsch'a; nigdy nie zaniedbywał swych obowiązków w Abwehrze, ale teraz nie mógł pracować. Jak powinien zagrać? Domyślają się oczywiście, że Danką miała coś wspólnego z Kazikiem, ale Brunner jest zbyt mądry, by kazać ją zaraz aresztować. Może by wysłać Dankę do oddziału? Kloss tak powinien postąpić, ale nie może zrezygnować z jej informacji, jeśli akcja ma się w ogóle odbyć. Musi ryzykować, ciągle ryzykować, i to nie tylko własnym życiem. Musi być szybszy niż Brunner.

Powiedział Dance: „Bądź przygotowana na wszystko”. Spotkali się w starym warsztacie mniej więcej po godzinie. Danką kluczyła po mieście i udało jej się zgubić Glau-bla. Przyniosła rzecz bezcenną: odpis pisma Reila do Berlina. Inżynier meldował, że doświadczenia zaczynają się 10 maja. Tego dnia rano Reil i Pułkowski wyjeżdżają na poligon. To był ostatni termin. A ile jeszcze przedtem do zrobienia! Kloss polecił Dance powiedzieć Reilowi, że odwiedziła swego starego kolegę, Kazika Okonia; niech Reil to powtórzy Brunnerowi. Chodzi o czas, czas decyduje o wszystkim; może Brunner uwierzy, że idzie fałszywym tropem. Danką była bardzo zmęczona; zapytała

jeszcze o pana Riolette. Zaprosiła go do siebie na następny dzień; powiedziała, że będą goście. Co Kloss chce właściwie wiedzieć o sztukmistrzu z Berlina?

Kloss otworzył okno; wieczór był ciepły, na niebie krzyżowały się światła reflektorów. Usłyszał odległą serię pe-emu, potem śpiew pijanych żołnierzy. Wrócił do biurka i znowu pochylił się nad papierami. Przerwał mu podoficer. Stał wyprostowany w drzwiach i zameldował, że zgłosił się niejaki Herr Puschke, wicedyrektor Robert Puschke i pyta, czy pan oberleutnant go przyjmie.

Kloss był zaskoczony. Najpierw telefon Brunnera, potem wizyta pana Puschkego. Czego mógł od niego chcieć ten gruby Niemiec, przyjaciel sztukmistrza Rio-letta? Kazał go wprowadzić.

Zapalił górną lampę i w ostrym świetle zobaczył twarz swego gościa. Pokrywała ją szara bladeść, oczy miał pan Puschke podpuchnięte, ręce mu drżały. Usiadł na wskazanym krześle i położył dłonie na biurku.

- Kieliszek koniaku, panie Puschke?

Skinął głową. Wypił, potem zaczął chwalić ten koniak, że taki wyśmienity, na pewno francuski, on, Puschke, był w czterdziestym pierwszym we Francji, ale jego zapasy dawno się skończyły.

- Co pana tu sprowadza? - Kloss przerwał ten wywód dość bezceremonialnie.

Puschke zapalił cygaro, długo delektował się dymem, potem wyjął z kieszeni zapieczętowaną paczuszkę i położył na biurku. Nie ma co prawda koniaku, ale ma właśnie te cygara, jeśli pan oberleutnant zechce przyjąć... Pan oberleutnant miał jednak dosyć tych wstępów.

- O co chodzi, panie Puschke?

- Sprawa jest bardzo trudna - zaczął Niemiec - i niezwykle delikatna. - Mówił, że przyszedł właśnie tutaj, bo wierzy, że oberleutnant Kloss i oczywiście Abwehra zrozumieją jego szczególną sytuację, sytuację uczciwego Niemca, który wbrew własnej woli został wplątany... tak, właśnie wplątany, w obrzydliwą aferę...

- Proszę wyraźniej! - rozkazał. Puschke wstał.

- Panie oberleutnant - powiedział niemal patetycznie - przychodzę tutaj jako uczciwy Niemiec...

- Konkrety!

- Chciałem zameldować - wykrztusił wreszcie Puschke, że sztukmistrz Rioletto jest angielskim szpiegiem, pracuje od dawna przeciwko Rzeszy. - Odetchnął z ulgą i usiadł na krześle. Zaciągnął się cygarem.

Nastąpiła teraz cisza, twarz Klossa nawet nie drgnęła. Puschke nie domyśli się nigdy, jak bardzo zaskoczył oberleutnanta. Kloss obserwował swego gościa i myślał jednocześnie intensywnie:

Prowokacja? Najpierw zatelefonował Brunner, potem przyszedł Puschke... Nieprawdopodobne! Po co mieliby to robić? Chcieli sprawdzić raz jeszcze Klossa? Po dwóch latach?

Puschke niecierpliwie kręcił się na krześle; oczekiwał pytań? A może sądził, że powiedzą „Dziękuję” i puszczą go do domu?

- Dlaczego nie poszedł pan z tym do Brunnera? - zapytał Kloss. - A może pan już był u Brunnera?

- Myślałem, że w tych sprawach to wszystko jedno: Abwehra czy gestapo.

- A jednak wybrał pan Abwehrę. Przecież pan zna Brunnera. A w waszych zakładach działa także Glaubel.

- Powiem wszystko - westchnął Puschke.

- O to właśnie chodzi.

- Z Brunnerem rozmawiałem wczoraj i przedwczoraj. Nie odważyłem się. Myślałem, że z panem będzie mi łatwiej...

Kłamię - pomyślał Kloss. - A jeśli mówi prawdę? Sprawdzimy.

- Puschke! - ryknął.

Wicedyrektor zerwał się natychmiast z krzesła i stanął na baczność. Wyglądało to niemal komicznie, ale Klossa dawno już nie bawiły typowo niemieckie reakcje. Znał je i wykorzystywał.

- Ze mną nie będzie łatwiej - mówił. - Jasne?

- Tak jest! - wykrzyknął Puschke.

- Byłeś agentem Rioletta? - zapytał Kloss.

Puschke w jednej chwili sflaczał, zachwiał się, ale Kloss nie pozwolił mu usiąść.

Nagle Puschke zaczął płakać. Był to widok wręcz nieznośny: płaczący, gruby Niemiec... Jego historyjka była zresztą prosta i banalna. W trzydziestym dziewiątym roku pewien berliński sklepikarz zaczął mu pożyczać pieniądze. Najpierw drobne sumy, potem coraz większe, a gdy Puschke podpisał weksel opiewający już na kilka tysięcy marek, zjawił się Rioletto.

-Ja nic nie zrobiłem przeciwko Rzeszy - płakał Puschke. -Miałem przyjaciela w SS, on zajął się tym sklepikarzem, ale weksel został, zabrał go Rioletto i Rioletto zażądał...

- Czego? - zapytał sucho Kloss.

- Dałem mu tylko nazwiska inżynierów pracujących u Lubbicha w Hamburgu... Potem wybuchła

wojna, stracił mnie z oczu, bo pojechałem do Francji... i teraz znowu... On mnie zabije, panie oberleutnant - szepnął nagle.-Ja się boję.

Bał się naprawdę. Kloss kazał mu nareszcie usiąść i dał szklanę wody. Potem polecił powtórzyć sobie wszystko raz jeszcze; nie słuchał już, musiał podjąć decyzję, sytuacja komplikowała się coraz bardziej i każdy ruch stwarzał nowe niebezpieczeństwa. Jeśli Puschke mówił prawdę, nie mógł przekazać go Brunnerowi; nie mógł nim zagrać, bo narażał życie Włocha. Jeśli Puschke kłamał.

..

Należało przede wszystkim sprawdzić, kim był naprawdę Rioletto. Jeśli człowiekiem sojuszniczego wywiadu, skierowanymi tutaj w związku z doświadczeniami Reila, mogli tę akcję przeprowadzić wspólnie. Zgoda centrali? Nie było czasu na uzyskiwanie zgody, należało działać na własną rękę.

Ale jak zdobyć pewność?

Puschke podpisał wszystko, co mu kazano. Kloss schował papiery do kieszeni i kazał wicedyrektorowi iść do domu. Niech milczy. Jeśli zależy mu na własnej skórze, będzie milczał. Puschke był nieco zaskoczony, ale wiedział przecież, że Abwehra ma swoje metody.

- Niech się pan nie spodziewa - powiedział mu Kloss na pożegnanie - że Rioletto zostanie aresztowany jeszcze tej nocy. My mamy czas. A jeśli chodzi o pana... trzeba będzie oczywiście odpokutować za grzechy. A pokutę uzależnimy od pańskiego zachowania: milczenie i sam pan rozumie...

- Rozumiem - odpowiedział Puschke.

Kloss odprowadził go do drzwi. Gruby Niemiec stanął na progu i podniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Oberleutnant uśmiechnął się ironicznie; ten człowiek wierzył jeszcze, że przeżyje wojnę... Kloss wiedział, że Puschke nie ma żadnych szans. I nie czuł litości.

8

Dzień zaczął się dla Reila źle. Z samego rana Danką oświadczyła, że chce mieć wolny wieczór. Stała na progu gabinetu i powiedziała to od razu; wyglądała ślicznie, miała na sobie zieloną sukienkę, którą Reil szczególnie lubił. Chciał krzyknąć: „Z kim się umówiłaś?”, ale popatrzył tylko na nią i milczał.

Zatrzasnął drzwi; w gabinecie pozostał zapach jej perfum. Kazał wezwać Puschkego i wysłuchał meldunku o stanie przygotowań na poligonie. Oczywiście wszystko było jeszcze w prozku. Puschke powiedział: „Prawie gotowy” i Reil wyładował na nim wściekłość.

- Za niedokładność wysłałem na front wschodni! - krzyczał. - Dziesiątego maja rano poligon musi być przygotowany. Rozmawiał pan z Pułkowskim?

-Tak. Chyba się zgadza...

- Żadnych chyba! - wrzasnął znowu Reil, ale ruganie zastępcy nie przyniosło mu wcale ulgi. Puschke nie bronił się zresztą. Tkwiał w fotelu, oczy miał podpuchnięte i wydawało się Reilowi, że za chwilę wybuchnie płaczem.

- Co się z panem dzieje, Puschke.

- Nic, panie dyrektorze.

- Wygląda pan jak stara baba.

Puschke zaczął mówić coś o przemęczeniu, a potem, że ten kraj źle na niego działa; człowiek żyje tutaj jak w klatce, boi się wyjść na miasto.

- To niech pan się przestanie bać - uciął Reil - i weźmie do roboty. Może pan już sobie iść. - Zatrzymał go jednak jeszcze na progu i zapytał, co robił na terenie zakładów prestidigitator Rioletto. Widział tego pana w sekretariacie.

Puschke poczerwieniał, potem zbladł i oświadczył, że Rioletto wstąpił na chwilę, by go przeprosić za ten dowcip z cygarem.

Potem szepnął, że Włoch przyglądał się Fräulein Dance z ogromnym, ale to naprawdę ogromnym zainteresowaniem. To wyprowadziło już Reila ostatecznie z równowagi.

- Wynoś się pan! - wrzasnął. -I nie opowiadaj mi plotek!

A jeśli jeszcze raz zjawi się ten sztukmistrz, każę go Glaubelowi zamknąć na dwadzieścia cztery godziny.

Został sam w gabinecie, powiedział Dance, że nikogo nie przyjmie i nie będzie rozmawiał przez telefon, ale nie mógł pracować. Osaczyły go wszystkie możliwe niepokoje. Jeśli doświadczenia się nie udadzą, straci zaufanie fuhrera i mogą go nawet wysłać na front.

Pomyślał, że nie boi się frontu, ale stanął mu przed oczyma obraz widziany chyba w kinie: biała, równa płaszczyzna, żołnierze na nartach i w głębi palące się chałupy. Ile jest kilometrów od Berlina do Wołgi? Nie, nie stoją już przecież na Wołdze, czytał znowu o skracaniu frontu, ale nie interesowały go właściwie nigdy komunikaty wojskowe. Ojciec Reila miał mapę, w którą wbijał kolorowe chorągiewki, jego to nie bawiło.

Zadzwoił i gdy Danka stanęła w drzwiach, kazał sobie przynieść ostatni numer „Völkischer Beobachter”. Rozłożył gazetę i zobaczył na pierwszej stronie zdjęcie Fuehrera. Fuehrer spoglądał poważnie, ale też z charakterystyczną dla oficjalnych portretów wielkiego wodza łaskawością; Reil zaczął czytać artykuł, ale dojechał tylko do końca pierwszego akapitu. W drzwiach stanął Brunner.

Brunner wchodził bez meldowania, wydawało się, że nie dostrzegając obecności Danki w sekretariacie, nie akceptował jej istnienia. Reil podnosząc się zza biurka wiedział, że rozmowa nie będzie przyjemna. Dzień, który tak się zaczął, nie mógł mu przynieść nic radosnego. Wyciągnął koniak z szafy, a Brunner bez wstępów przystąpił do rzeczy. Chodziło najpierw o Pułkowskiego. Sturbannfuehrer chciał wiedzieć, jak długo ten Polak będzie Reilowi potrzebny. Dyrektor odpowiedział, że nie wie. Nie wiedział naprawdę, wszystko zależało od wyników doświadczeń; chodziło zresztą, do diabła, o robotę, która się nigdy nie kończy.

- Natomiast wiedza tego Polaka jest ograniczona - oświadczył Brunner sucho. - Musi pan z niego wycisnąć wszystko, co trzeba, i koniec. Daję panu, powiedzmy, trzy miesiące.

Reil pomyślał, że ten gestapowiec jest bezczelny. Chciał powołać się na swoje szczególne pełnomocnictwa, ale zrezygnował. Zapytał tylko, co mają zamiar zrobić z Pułkowskim. Brunner uśmiechnął się chłodno i oświadczył bez ogródek: zlikwidować. Zbyt dużo wie.

- A jego żona? - zapytał jeszcze Reil. Czuł suchość w gardle, napełnił swój kieliszek.

- Mnie pan też może nalać - odpowiedział Brunner. - Jego żona nie żyje od paru tygodni.

Reil spojrział na Brunnera, nie ukrywając obrzydzenia. Wolałby o tym nie wiedzieć. Uświadomił sobie nagle, że jest sporo rzeczy, o których wolałby nie wiedzieć. Zresztą, to jego nie dotyczy. Ma swoją robotę, którą wykonuje znakomicie. Na świecie istnieje podział zadań, nie należy pchać nosa w cudze sprawy. Taki jest porządek rzeczy.

Myślał, że rozmowa jest skończona, ale okazało się, że najgorsze Brunner zachował sobie na deser.

- Gdzie pan poznał swoją sekretarkę? - zapytał.

- Proszę ją zostawić w spokoju! - wrzasnął Reil. Teraz wyprowadzono go z równowagi; nie zamierzał bronić Pułkowskiego, ale Dankę uważał już za swoją własność.

- Spokojnie, dyrektorze - Brunner ciągle się uśmiechał. - Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Skierowana przez Arbeitsamt — odpowiedział. On, który nawet w gabinecie Fuehrera nie stracił pewności siebie, nie wyrzucił za drzwi tego gestapowca. Poczul, że się boi i gdy to zrozumiał, strach opanował go naprawdę.

Próbował się jeszcze bronić.

- Nie wykryliście nawet sprawców dywersji! - krzyknął ni w pięć, ni w dziewięć.

- Już ich mamy - odpowiedział Brunner. - A pańska sekretarka kontaktowała się z jednym z nich, z Kazimierzem Okoniem.

Przypomniawszy sobie to nazwisko; Danką wymieniła je poprzedniego wieczora przy kolacji. Powiedziała, że chciała odwiedzić dawnego kolegę, ale nie zastała go w domu. Brunner wysłuchał tej relacji i nie ukrywał zaskoczenia.

- Istotnie - mruknął.

Teraz Reil mógł zaatakować.

- Czepiacie się niewinnej dziewczyny! - krzyknął. - Gdyby rzeczywiście była współniczką tego człowieka, nie podałaby mi jego nazwiska! - Chciał mówić dalej, ale chłodne oczy Brunnera nakazały mu milczenie.

- Pan jest zbyt nerwowy - powiedział sturmfuehrer - a my nie lubimy zbyt nerwowych, takim nie można ufać - przeciągał sylaby. - Reichminister powtarzał to niejednokrotnie.

Wstał i ruszył ku drzwiom.

- Pana łączą z tą Polką dość bliskie stosunki, prawda? Proszę do mnie zatelefonować, gdyby zdarzyło się coś ciekawego. Zrozumiał pan?

Reil nie odpowiedział. Nie mógł sobie później wybaczyć milczenia. Powinien zatelefonować do Berlina, powinien pójść do gauleitera i dać szkołę temu bezczelnemu głupcowi. Rozlał znowu kieliszek do kieliszków i zawołał Dankę.

- Napijemy się — powiedział.

Patrzyła na niego chłodno, nie rozumiejąc, ale podniosła kieliszek do ust. Chciał jej wytłumaczyć, jak bardzo jest mu potrzebna, jak bardzo mu na niej zależy, ale milczał. Wypił jeden kieliszek, potem drugi.

- Wszystko to świństwo - stwierdził - a to, co nie jest świństwem...

9

Rioletto przyszedł punktualnie. Stał na progu z ogromnym bukietem kwiatów, spodziewał się zapewne, że w mieszkaniu zostanie już gości, o których mówiła Danką, ale była tylko ona, a na stole zobaczył dwa kieliszki i dwie filiżanki do kawy.

- Będziemy sami - powiedziała. - Zmartwił się pan?

- Nie, oczywiście nie - ale z trudem ukrywał zdziwienie. - Pani nawet nie podejrzewa, jaką sprawia mi radość.

- Najpierw czeka pana praca - uśmiechnęła się Danka. Otworzyła szufladę i rzuciła na stół talie kart. - Chciałabym coś usłyszeć o sobie.

Obserwowała go uważnie, gdy bawił się kartami. Nic nie podejrzewał, na twarzy malowało się skupienie. Kazał jej wyciągnąć kartę, był to król pik; Rioletto wydał się zaskoczony, a Dance król pik skojarzył się natychmiast z Reilem. Dzisiaj wieczorem, gdy opuszczała biuro, Reil już nic nie powiedział; nie zapytał nawet, dokąd idzie. Danka poczuła coś w rodzaju litości i natychmiast ogarnął ją wstyd. Nie powinna się nad nim litować.

- Król pik - powiedział Rioletto. Odkrył parę kart i obok króla położył damę trefl. - Pani jest interesującą dziewczyną, prowadzi pani trudną grę, chyba się nie mylę, prawda? - Potem spojrzał w okno. - Niedokładnie zaciągnięte zasłony - stwierdził. - Z ulicy widać światło. Nie boi się pani?

Na to właśnie czekała, sądziła, że zauważy wcześniej. Podbiegła do okna. Na ulicy panował już mrok, ale przez szczelinę w zasłonie dojrzała trzech chłopców stojących na przeciwległym rogu. Już są!

- Teraz dobrze - powiedział Rioletto i dalej rozkładał karty - Właściwie - mówił - zajmują się tym raczej stare baby. Mnie wystarczy dłoń, oczy, czasami jakiś przedmiot.

- Jaki przedmiot?

- Coś, co pani lubi naprawdę, co jest dla pani cenne. W tej chwili rozległ się natarczywy dzwonek.

- Więc jednak - stwierdził Rioletto - nie będziemy sami.

Danka otworzyła drzwi. Do pokoju wdarło się trzech mężczyzn. Zanim Rioletto zdążył skoczyć pod ścianę i wydobyć broń, obalili go na podłogę. Jeden był w kraciastej cyklistówce, drugi miał czarną opaskę na oku, trzeci - szramę na policzku. Przypominali trochę aktorów, którym kazano ucharakteryzować się tak, by można ich łatwo rozpoznać. Ten w cyklistówce obezwładnił Dankę, rzucił ją na tapczan, a potem wiązał i kneblował sprawnymi ruchami.

- Ty niemiecka dziwko - powiedział. Dwóch pozostałych sterroryzowało Rioletta.

- Pójdiesz z nami - oświadczył ten ze szramą i schował do kieszeni małego Waltera, który Rioletto nosił zawsze przy sobie.

- Ależ, panowie - tłumaczył Rioletto - ja jestem Włochem i okultystą, nie mieszam się do waszych spraw.

- Ale broń nosisz, gestapowski szpiclu! - stwierdził ten z opaską.

Wypchnęli go z mieszkania. Prowadzili przez podwórze, a potem krętymi, pustymi uliczkami przedmieścia w kierunku szosy. Rioletto wiedział, że wystarczy przejść szosę, by znaleźć się w lesie. Mężczyzna w cyklistówce, który sprawiał wrażenie dowódcy, spoglądał co chwila na zegarek.

- Szybciej! - powtarzał.

- Co chcecie ze mną zrobić? - zapytał Rioletto.

- Będiesz zlikwidowany za współpracę z gestapo. Przyspieszyli kroku. Rioletto ociągał się, pozostawał w tyle. Ten ze szramą uderzył go kolbą w plecy.

- Proszę mnie nie bić! - krzyknął Włoch. - Chcę rozmawiać z waszym dowódcą.

- A co byś chciał powiedzieć naszemu dowódcy?

- Nie twoja sprawa.

- Nie piłem z tobą, szpiclu, bruderszaftu — powiedział ten ze szramą.

Wyskoczyli na łąkę. W mroku błysnęła przed nimi biała wstążka szosy. Chłopak w cyklistówce stanął przy przydrożnym krzaku. Rioletto pomyślał, że jeśli chcieliby go zlikwidować, mogli byli uczynić to wcześniej albo wręcz w mieszkaniu Danki. Teraz dzieliło ich kilkanaście metrów od szosy, a oni na coś czekali, jakby wahali się przeskoczyć drogę, która przecież była pusta. Chłopak ze szramą znowu spojrzał na zegarek.

- Idziemy - rozkazał.

Byli już na poboczu szosy, gdy nagle Rioletto usłyszał warkot motoru, a potem błysnęły ostre reflektory. Nadjeżdżający samochód włączył długie światła; rozległy się strzały, chłopcy zostawili Włocha na szosie i zniknęli w ciemności. Wszystko to trwało parę sekund. Rioletto z trudem podniósł się, samochód hamował gwałtownie. Włoch zobaczył wyskakujących żołnierzy niemieckich. Potem usłyszał głos oberleutnanta Klossa:

- Miał pan szczęście, panie Rioletto, zdążyliśmy na czas.

- Co za cudowny przypadek - powiedział. - Co za cudowny przypadek - powtórzył. - Dziękuję panu.

- Porozmawiamy u mnie - rzekł Kloss.

Wsiadli do samochodu, Kloss i Rioletto obok siebie na tylnych siedzeniach. Obaj milczeli i obaj rozumieli, że czeka ich trudna rozmowa. Czy Rioletto się domyśla? Czy można mu zaufać? Czy istnieje szansa, że zagrają wspólnie? Samochód stanął przed biurem Abwehry; w korytarzu było pusto, w pokoju Klossa paliła się lampa na biurku, na małym stoliczku stała butelka koniaku i dwa kieliszki.

- Było tak - powiedział Kloss. - Fräulein Danka zatelefonowała do mnie i zameldowała o napadzie. Doszedłem do wniosku, że bandyci będą się starali uprowadzić pana do lasu. Postanowiłem przeciąć im drogę. To była jedyna szansa.

- Znakomity koniak - stwierdził Włoch, zanurzając się głęboko w fotelu. Nic sobie jeszcze nie

powiedzieli, obaj mieli podstawy do obaw i obaj nie byli pewni...

- Jak wyglądali? - spytał Kloss i sięgnął po notatnik.

- Kto?

- Ci bandyci.

- Kilku mężczyzn - odpowiedział Rioletto.

- Ilu?

- Trudno to określić, byłem półprzytomny.

- Twarze? Charakterystyczne szczegóły?

- Było ciemno - stwierdził Włoch - i obawiam się, że nic panu nie powiem. Czy musimy o tym mówić?

- Musimy od czegoś zacząć.

- Pannie Dance nic się, oczywiście, nie stało?

- Nie - uśmiechnął się Kloss.

- Tak przypuszczałem. - Sięgnął po cygaro. - Odkryjemy karty?

- Może za wcześnie - powiedział Kloss. Wstał, podszedł do drzwi; otworzył je gwałtownie i zamknął z powrotem. - Te cygara - rzekł wracając na miejsce - należą do pana Puschkego. Otrzymałem je od niego w prezencie.

- Ach tak - powiedział Rioletto.

- Pan Puschke - ciągnął Kloss - jest niesłychanie interesującą postacią. To człowiek o bogatym życiorysie. Miewa także znakomite pomysły. - Sięgnął do kieszeni i podał Włochowi starannie złożone arkusiki papieru. - Niech pan to przeczyta.

Rioletto przeczytał uważnie zeznanie pana Puschkego, potem odłożył kartki na stół i zaciągnął się dymem.

- Co pan zamierza? - zapytał.

- Zeznanie jest ścisłe?

- Nie potwierdzę ani nie zaprzeczę - oświadczył Rioletto. - Co pan zamierza?

- Wyobraźmy sobie - mówił Kloss - że było inaczej. Stary agent wywiadu angielskiego, pan Puschke, usiłował zwerbować uczciwego Włocha Rioletta do pracy przeciwko Rzeszy. Ale Rioletto

się nie zgodził, wówczas Puschke nasłał na niego bandytów i tylko dzięki czujności oberleutnanta Klossa Rioletto wykaraskał się z tarapatów.

- Bardzo mi odpowiada ta opowieść - uśmiechnął się Rioletto. - Kim pan jest?

-To pytanie chyba nie ma sensu - odpowiedział Kloss. - Wystarczy, że jestem gotów ryzykować.

-Ja też.

- Co pan myśli o Pułkowskim? - Kloss napełnił znowu kieliszki koniakiem.

- To as atutowy - powiedział Rioletto. - A Puschke -dodał — to karta bita. Zagramy razem?

- Nie mamy innego wyboru - rzekł Kloss. - Warto wypić za współpracę aliantów.

- Warto - uśmiechnął się Rioletto.

10

Gra zbliżała się do punktu kulminacyjnego, karty W zostały już rozdane. Kloss wiedział, że jeśli nawet udało mu się wygrać dwa robry, trzeci będzie najtrudniejszy. Czy Brunner da się wywieść w pole? Czy uwierzy, że jego przeciwnikiem w tej grze był gruby Niemiec, pan Puschke? Brunner posiadał atuty, których nie należało lekceważyć. Miał w swoich łapach Edwarda i Ka-zika. Kloss wiedział, że kocioł nadal istnieje. W mieszkaniu na Wałowej nikt się oczywiście nie zjawił. Edward i Kazik milczeli, ale przecież gestapo nie zaczęło jeszcze na dobre przesłuchiwać. Kloss rozważał rozmaite możliwości, musiał jednak myśleć przede wszystkim o odbiciu Pułkowskiego. Dziesiątego maja rano Pułkow-ski i Reil wyruszają na poligon; należało przygotować akcję i jednocześnie tego samego dnia zlikwidować sprawę pana Puschkego. Kloss bał się także o Dankę; miała zniknąć dziewiątego maja wieczorem, to znaczy w ostatniej chwili. Rioletto był zdania, że powinna zniknąć wcześniej. Ciągłe nie byli pewni, co naprawdę wie Brunner.

Dziewiątego maja Kloss zadzwonił do Brunnera. Usłyszał jego ochryply głos w słuchawce i oświadczył bez wstępów, że muszą się zobaczyć. Ma coś nader ważnego.

- Naprawdę, Hans? - powiedział Brunner. - Naprawdę chcesz zacząć mówić? - Nie brzmiało to zbyt zachęcająco.

Gdy wszedł do gabinetu sturmbannfuhrera w gestapo, Brunner nie był sam. Obok niego siedział Glaubel. Obaj patrzyli na Klossa z napiętą uwagą.

- Wykładaj, co masz - powiedział Brunner.

- Powoli, powoli. Jak tam twój kocioł?

- Mówiłem - wtrącił Glaubel - że należało jeszcze poczekać. Ten Okoń sam by mi powiedział.

- Bzdura! - parsknął Brunner. - Tam siedzą zawodowcy, człowieku. Schowaliśmy tego Okonia i kropka. Poczekamy jeszcze z dzień i zdejmemy dziewczynę. - Brunner patrzył uważnie na Klossa, ale nic nie wyczytał z jego twarzy.

- Możecie ją zdjąć - oświadczył spokojnie Kloss. - To płotka.

- Płotka! - skoczył Brunner. - A gdzie są grube ryby? Ty chodziłeś z tą dziewczyną, Hans, nie wypieraj się. Co wiesz? Kloss sięgnął po cygaro.

- Widzisz, Brunner - powiedział - chciałbym mieć gwarancję, że to będzie nie tylko twój sukces.

- Chcesz zarobić awans?

- Może - odparł Kloss.

- Chciałbym cię ostrzec - głos Brunnera brzmiał twardo. - Nasz przyjaciel Glaubel ma pewną koncepcję, która mogłaby cię szczególnie zainteresować.

- Żarty - powiedział Kloss i poczuł jednak lekki niepokój. Nie wolno nigdy sobie pozwalać na niedocenianie przeciwników. - Co byś powiedział - ciągnął spokojnie - o niejakim panu Puschkem?

- Puschke? - zdziwił się Brunner i spojrzał na Glaubla. - Co ty na to?

Glaubel wzruszył ramionami. Nigdy się nim nie interesował.

- Mam ciekawe materiały - mówił Kloss. - Nie ulega wątpliwości, że to Puschke dostarczał obcemu wywiadowi informacji o zakładach Reila. Wczoraj usiłował zwerbować pewnego Włocha nazwiskiem Rioletto.

Mówił i patrzył na ich twarze. Obaj byli zaskoczeni i obaj czuli się oszukani. Jak zareagują? Czy będą chcieli aresztować pana Puschkego natychmiast? Spojrzał na zegarek. Rioletto powinien zdążyć, wszystko obmyślili precyzyjnie, ale ryzyko było ogromne.

- Aresztujesz Puschkego? - zapytał.

- Pomyślę - warknął Brunner. - Nie lubię się spieszyć.

Kloss wepchnął ręce do kieszeni, dłonie miał wilgotne. Znowu spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Rioletto powinien być teraz w mieszkaniu Puschkego. Zostawi tam parę kompromitujących dokumentów: meldunek o wyjeździe Reila na poligon, plan sytuacyjny zakładów. ..

- Radziłbym ci zdjąć tego człowieka natychmiast - powiedział.

- Twoje rady są zawsze bardzo cenne, Hans - uśmiechnął się Brunner. - Nie zapomnę, że mi pomogłeś.

- Dziękuję - oświadczył Kloss. - Pozwolisz, że złożę także meldunek swojemu szefowi?

Opuścił gmach gestapo wieczorem; czekało go jeszcze spotkanie z Danką, a potem noc przed akcją. Nie lubił tych nocy. Przeklinał wówczas swoją robotę; gdyby mu wolno było wziąć osobiście udział w akcji, gdyby mu wolno było po prostu walczyć z bronią w rękę.

Na ulicy Basztowej zobaczył Rioletta. Włoch czekał na niego przed wystawą kwaciarni.

- W porządku? - zapytał Kloss.

- Obrzydliwa robota - odpowiedział tamten. - Puschke wrócił do domu o parę minut wcześniej... Wolałbym, żeby się bronił, a on tylko krzyczał, przeraźliwie krzyczał. To jednak trwało parę sekund...

- Obrzydliwa robota - potwierdził Kloss. - Niech pan się przygotuje na rozmowę z Brunnerem. To nie będzie łatwa rozmowa. - Rioletto skinął głową.

- Wiem. Jestem przyzwyczajony. Kiedy skończy się nareszcie ta wojna?

- Kiedyś się skończy - odpowiedział Kloss.

- Jestem w rzeczywistości chemikiem - rzekł Rioletto - i chciałbym znowu być tylko chemikiem.

Mrok zapadał szybko. Na przedmieściu było pusto, nawet patrole zjawiały się tu rzadko. Kloss przyszedł do opuszczonego warsztatu parę minut za wcześnie. Siadł na stercie żelastwa i odpoczywał. Jak to dobrze, że nadszedł ten ostatni wieczór. Danka wróci do oddziału... Jeszcze tylko jutrzejsza akcja, ale to musi się udać.

Przybiegła zdyszana.

- Myślałam, że się spóźnię - mówiła - i że cię już nie zastanę. Reil nie chciał mnie puścić, jakby domyślał się, że nigdy mnie więcej nie zobaczy.

- Nikt cię nie śledził? - zapytał Kloss.

- Nie - odparła Danką, ale nie brzmiało to zbyt pewnie. Przypomniała sobie teraz, gdy skręcała z Polnej w Ogrodową, zobaczyła za sobą sylwetkę mężczyzny, która wydała jej się znajoma. Potem nikogo już nie dostrzegła, ale powinna pokłuczyć trochę po mieście, jeśli nie miała zupełnej pewności.

- Pójdiesz do Marcina - powiedział Kloss. - Prosto stąd pójdiesz do Marcina i sprawdzisz jeszcze przygotowania do akcji. Masz podziękowanie z centrali.

- Dziękuję - szepnęła Danką. - Co zrobicie z Reilem?

Kloss nie zdążył odpowiedzieć. Usłyszał szelest, a potem nieostrożnie trącone przez kogoś żelastwo zważyło się na ziemię. Odwrócił się gwałtownie. Zobaczył Glau-bła, który stał z pistoletem

gotowym do strzału.

- Ręce do góry, Kloss! I ty też! - podchodził do nich ostrożnie. - Wyżej rączki - mówił - wyżej! Tak przypuszczałem, ja się nigdy nie myłę... Zdemaskowałem cię, Kloss.

Kloss rzucił się błyskawicznie na ziemię, padając chwycił jakąś deskę i cisnął nią w Glaubla. Gestapowiec strzelił. Nie trafił. Kloss wytrącił mu pistolet z dłoni, upadli na ziemię. To trwało sekundy, ale Klossowi wydawało się, że trwa wieczność. Glaubel był silny i zręczny. Wyrwał się i skoczył ku bramie. Kloss błyskawicznie podniósł pistolet, strzelili jednocześnie - on i Danka. Glaubel powoli opadał na ziemię...

- Idź już - rzekł Kloss - idź szybko do Marcina. Pamiętaj, jutro dziewiąta rano.

11

Wyjechali punktualnie. W otwartym wojskowym samochodzie pod osłoną chłopców z SS. Dzień był piękny, szosa biegła przez las, potem wyskakiwała na wzgórze, które okalały łąki już zielone, pokryte lekką mgiełką. Pułkowski siedział sztywno obok Reila; oddychał głęboko. Dawno już nie widział lasu i łąk, przez wiele miesięcy pozbawiono go przestrzeni i powietrza.

- W ciągu trzech dni - powiedział Reil - wszystko skończymy.

- Czy wypuszczono moją żonę? - zapytał Pułkowski.

Reil milczał. Powinien powiedzieć „Tak, oczywiście, wypuszczą ją natychmiast po zakończeniu doświadczeń”, ale patrzył na twarz polskiego uczonego i słowa nie przechodziły mu przez gardło. Przypomniawszy sobie, że Danka nie przyszła dzisiaj do biura, nawet się z nim nie pożegnała, i ogarnął po niepokój, że coś się musiało stać. Może ją aresztowali?

Samochód przyspieszył, zbliżali się znowu do lasu, i nagle gwałtownie zahamował. Zobaczyli przed sobą szlaban. Dwóch niemieckich żandarmów podchodziło do wozu.

- Dokumenty - powiedział jeden z nich.

- Mówiłem, żeby nas nie zatrzymywano! - krzyknął Reil.

Ci z ochrony SS już się podnosili, jeden z nich wrzasnął do żandarma:

- Otwórz szlaban, człowieku!

W tej chwili padły strzały. Żandarmi rzucili się na ziemię i otworzyli ogień. Ze wzgórza przy szosie zaterkotał erkaem. SS-mani osuwali się na ziemię, żaden z nich nie zdążył wystrzelić. Szofer oparł głowę o kierownicę, na skroni pojawiła się strużka krwi. Reil wyszarpnął pistolet z kieszeni, ale gdy odciągnął bezpiecznik, zobaczył nagle Dankę. Schodziła ze wzgórza z pistoletem maszynowym w ręku. Poczul uderzenie, które go wcale nie zabolalo, a potem uslyszal jeszcze głos

Danki: „Nie strzelać!”

- Jest pan wolny, doktorze Pułkowski - powiedziała Danka, podchodząc do samochodu. Patrzyła na Reila, któremu zastygł na twarzy wyraz bezgranicznego zdumienia.

12 Dokładnie o tej samej porze, o godzinie dziewiątej trzydzieści, w mieszkaniu na drugim piętrze przy ulicy Wałowej 15 rozległ się dzwonek u drzwi. Dwaj gestapowcy, którzy grali w karty przy stole, zerwali się na równe nogi. Obaj wyszarpnęli pistolety z kieszeni.

- Tylko spokojnie - rzekł jeden z nich, zwracając się do Edwarda i Kazika. - Zastrzelę, jeśli spróbujecie jakichś sztuczek.

Edward z ogromnym niepokojem spoglądał na drzwi. Ktoś z jego ludzi? Niemożliwe, wszyscy byli widać ostrzeżeni, wszyscy wiedzieli, nikt się nie zjawił. Więc kto? Gestapowiec uderzył go kolbą w plecy i kazał otwierać. Edward powoli przekręcał klucz w zamku, potem, czując ciągle ucisk metalu na plecach, uchylił drzwi. Na progu stał listonosz.

- Czy tu mieszka pan Edward Kania? - zapytał.

W tej chwili gestapowcy zatrzasnęli drzwi. Listonosz zobaczył dwóch uzbrojonych mężczyzn.

- Panowie, co się stało?! - krzyknął. - Ja mam paczkę dla pana Kani.

- Dawaj ją tutaj - oświadczył jeden z gestapowców. Listonosz podał mu sporych rozmiarów tekturowe pudełko ze starannie wypisanym adresem.

- To ja już pójdę - powiedział. - Proszę mi tylko pokwitować.

- Zostaniesz tutaj - stwierdził gestapowiec.

- Panowie, ja mam listy.

- Poczekają - odpowiedział tamten. Wziął paczkę, położył ją na stole, zaczął zrywać sznurek, potem papier.

- Padnij! - szeptał listonosza zabrzmiał jak krzyk.

W tej chwili straszliwy huk wstrząsnął mieszkaniem. Zrobiło się czarno. Usłyszeli gruchot łamanych mebli i brzęk tłuczonego szkła: Kazik, Edward i listonosz, czarni i pokrwawieni, wybiegli na klatkę schodową. Z mieszkania wydobywały się kłęby dymu.

W gabinecie oberleutnanta Klossa z Abwehry zadzwonił telefon. Kloss podniósł słuchawkę.

- Ma pan długą linię życia - usłyszał głos Rioletta. - Gratuluję! Mam nadzieję zobaczyć niedługo pana porucznika. Spotka pan swych przyjaciół...

Kloss uśmiechnął się i odłożył słuchawkę. Podszedł do okna. Wygrał kolejną rundę.

PRZEDOSTATNI SEANS

1

Ingrid podniosła kieliszek i spojrzała na Hansa Klossa. Uśmiechała się; był to przekorny uśmiech rozpieszczonej dziewczyny, świadomej, że drażniąc partnera, niczym nie ryzykuje. On nie odejdzie.

- Gniewa się pan? - zapytała.

Pomyślał, że jest diabelnie ładna i że mu to przeszkadza. Gdyby przynajmniej nie miała takich czystych oczu!

- Na panią nie można się gniewać - powiedział. - Zatańczymy?

- Nie. Przecież marzył pan podobno o samotności we dwoje.

Tak, obiecała, że spędzą ten wieczór razem, ale ona przyprowadziła do „Złotego Smoka” Schultza i tę Bertę, nieustannie szczebioczącą i jakby zazdrosną o Ingrid, bo nawet wówczas, gdy tańczyli razem, nie przestawała ich obserwować. Kloss czuł na sobie przez cały czas uważny wzrok Berty. Czyżby ona też? Wszystko należało brać pod uwagę: od wczoraj, to znaczy od chwili, gdy otrzymał to zadanie, najgorsze ze wszystkich, a może raczej najobrzydliwsze ze wszystkich, wiedział, że rozpoczął trudną grę.

- O czym pan myśli? - zapytała Ingrid. - Dlaczego pan nic nie mówi?

- Myślę o pani - odpowiedział.

Dziewczyna na podium śpiewała sentymentalne tango. Światła przyćmiono; wydawało się, że tłum na parkiecie chwilami nieruchomieje, a potem kołysze się w takt muzyki, by zastygnąć na nowo.

- Lubię tego „Złotego Smoka” - oświadczyła Ingrid. - To najsympatyczniejszy lokal w Berlinie.

Pomyślał, że w tym najsympatyczniejszym lokalu można spotkać całą śmietankę gestapo i SS. Wyżsi oficerowie, przyjeżdżający na parę dni urlopu, znajdują tutaj, w wąskich uliczkach Charlottenburgu, alkohol i dziewczęta. Lubią sentymentalne tanga i grę kolorowych świateł.

Pomyślał, że ich nienawidzi i z trudem przywołał na twarz uśmiech. Spojrzał na Ingrid, a właściwie na jej kieliszek: był ciągle prawie pełny. Jeszcze się wahał, ale już wiedział, że nie ma innego wyboru.

- O czym pan myśli, Hans? - powtórzyła. I potem, nie czekając na odpowiedź, powiedziała cicho, patrząc na niego swymi ogromnymi oczyma: - Byłam tu ostatni raz wczesną wiosną, z Heinim. Wówczas nie tańczono, obowiązywała żałoba po Stalingradzie. Siedzieliśmy chyba przy tym samym stoliku i Heini, zupełnie jak teraz pan — spojrzała na Klossa łagodniej - był obrażony, że wzięłam ze sobą Bertę.

- Kto to był Heini? Wzrok Ingrid stwardniał.

-Następnego dnia wróciłam do Sztokholmu -powiedziała. -I nigdy już nie zobaczyłam Heiniego. Zginął w lipcu, przed trzema miesiącami.

Muzyka umilkła. Berta i kapitan Otto Schultz, którego nazywano najelegantszym oficerem Abwehry, wrócili do stolika. Berta przytuliła się do ramienia Ingrid.

- Żebyś wiedziała, jak ten Otto tańczy - szczebiotała. -Jest wspaniały... Nie wypijaś jeszcze swojego kieliszka? Co wyście robili?

Kloss nie słuchał jej szczebiotu. Myślał o kieliszku Ingrid i o tym, że wahał się niepotrzebnie. Okazja minęła.

- Zapomnij już o nim - dotarł do niego znowu głos Berty. -Jesteś młoda i piękna, cały świat u twoich stóp. Nie zauważyłaś, jak na ciebie patrzą mężczyźni... Słyszałam rozmowę przy stolikach: „Ta świetna dziewczyna - mówił przystojny pułkownik - to śpiewaczka szwedzka, Ingrid Kield". O tam, przy trzecim stoliku.

- Nie bawi mnie to - powiedziała Ingrid. Schultz powtarzał po raz drugi jakiś kawał, potem Ingrid wstała i sama zaprosiła Klossa do tańca.

- Należy pan do gatunku sentymentalnych nieśmiałych - oświadczyła, a gdy przytulił ją mocniej, dodała: -I jednak bezczelnych. Znamy się dopiero od wczoraj.

- Mam po prostu bardzo mało czasu - szepnął i tym razem nie skłamał.

- I naprawdę sądzi pan, że zdoła ten czas wykorzystać? — wybuchnęła śmiechem, a on znowu pomyślał, że Ingrid Kield, której dokładny, a przecież zbyt oschły i rzeczowy rysopis otrzymał poprzedniego dnia z centrali, podoba mu się coraz bardziej. Jej twarz była blisko, mógł zajrzeć w jej oczy, ale odwrócił wzrok. Tę dziewczynę, którą trzymał w ramionach, musiał zabić. Ma niewiele czasu, najwyżej dwadzieścia godzin.

-Wyjeżdżam istotnie jutro rano - powiedziała - a właściwie pojutrze nad ranem. Może spotkamy się w Sztokholmie?

- Chyba po zwycięstwie.

- Wierzy pan w zwięstwo?

-Jestem oficerem niemieckim.

- A ja - roześmiała się - obywatelką szwedzką i mam prawo nie wierzyć. Ale pan się znowu gniewa?

Gdyby nie znał dowodów jej winy, pomyślałby, że centrala popełniła błąd. Błędy się przecież zdarzają. Tym razem nie było jednak wątpliwości. Ta dziewczyna w pełni zasłużyła na śmierć i musi umrzeć, a w całym Berlinie nie było nikogo oprócz Klossa, kto mógłby wykonać wyrok. Rozkaz otrzymał poprzedniego dnia rano, gdy już wszystko było wiadomo. Polecenie przekazał stary Arnold, jedyny berliński kontakt Klossa i jego jedyny współpracownik. Człowiek absolutnie pewny, rozważny i z ogromnym doświadczeniem, ale przecież już niemłody i schorowany. Powinien odpocząć, nikt nie znał jednak Berlina tak dobrze jak on i nikt nie mógł go zastąpić.

Informacje centrali były skąpe, ale wystarczające; Arnold uzupełnił je relacją pewnego kolejarza, niegdyś członka KPD. Otóż Ingrid Kield, szwedzka śpiewaczka, od półtora roku pracowała dla polskiego wywiadu. Zwerbował ją pewien emisariusz centrali, który kursował między Berlinem i Sztokholmem, a poznał piękną Szwedkę w Paryżu. Oddała znaczne usługi. Przewoziła ważne informacje z Berlina do Sztokholmu. Łącznicy z Warszawy kontaktowali się z nią zawsze, gdy występowała w Niemczech, a występowała dość często i miała przyjaciół nawet wśród wysokich funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Sprawdzano ją też wielokrotnie, ufano jej bez zastrzeżeń. Okazało się przecież, że sprawdzano nie dość często. Gdy Ingrid Kield zdradziła...

Trzymał ją w ramionach. Uśmiechała się, ale nie patrzyła na Klossa, jej wzrok błędził gdzieś po sali. Pomyślał, że gdyby wiedziała o nim cokolwiek... Jakie to szczęście, że nie otrzymał wcześniej polecenia nawiązania kontaktu z Ingrid Kield. Ani on, ani Arnold...

- Tylu tu młodych mężczyzn - powiedziała. - Ilu z nich...

- Wojna - oświadczył. Musiał się mocno trzymać w garści, żeby nie ulec czarowi tej dziewczyny. Przypomniawszy sobie raz jeszcze suchą relację przekazaną przez centralę i potwierdzoną przez tego kolejarza.

Było tak: przed trzema dniami łącznik z Warszawy przyjechał wieczorem na Ostbahnhof. Na peronie oczekiwać go miała Ingrid Kield. Ustalono, jak zwykle, znaki rozpoznawcze: łącznik trzymać miał w prawej ręce „Ber-liner Zeitung” i natychmiast po wyjściu z wagonu zapalić papierosa małą zapalniczką. Ingrid powinna również mieć „Berliner Zeitung” i trzy czerwone goździki.

Kloss znakomicie wyobrażał sobie tę scenę. Widział ją teraz, gdy patrzył na twarz Ingrid.

Łącznik opuścił wagon jako jeden z ostatnich. Rozejrzał się uważnie, był przecież doświadczonym kurierem, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. To znaczy: dostrzegł zbyt późno... Zobaczył Ingrid Kield trzymającą w ręku czerwone goździki. Uśmiechnęła się do niego, może właśnie tak jak teraz do Klossa. Łącznik ruszył w jej kierunku. I wtedy zauważył jej drobny, niedostrzegalny niemal gest, może ruch dłonią, może pochYLENIE głowy. Parę kroków z tyłu, za

dziewczyną, stał człowiek w skórzanym płaszczu. Dopiero po paru sekundach zobaczył drugiego mężczyznę, również w skórzanym płaszczu, stojącego już bliżej schodów prowadzących do hali dworcowej. Na schodach - jeszcze trzech. Rozpoznawał ich bezbłędnie; wiedział już: zasadzka.

Ingrid uśmiechała się jeszcze, gdy mężczyzna skoczył na tory. W tej chwili zaryczał megafon: Schnellzug Ber-lin-Prag... Łącznik przebiegł przed nadjeżdżającym parowozem, miał szansę, w każdym razie mógł sądzić, że ma szansę, jeśli sąsiedni peron nie byłby obstawiony. Niemcy precyzyjnie przygotowali jednak akcję. Dwóch, w czarnych płaszczach i szarych kapeluszach, czekało już na niego. Zobaczył pustą, betonową płaszczyznę i gestapowców z bronią w rękę. Wtedy sięgnął po pistolet. Kloss wiedział dokładnie, co myślał łącznik naciskając po raz pierwszy cyngiel: myślał, ile ma naboji w magazynku i że jeden musi zachować dla siebie, jeśli tamci nie będą strzelać zbyt celnie. Nie miał żadnej szansy. Dwóch gestapowców wpadło na peron, trzeci nadbiegł z automatem. Łącznik wystrzelił pięć razy, zgryzł i przełknął bibułkę, którą trzymał w pasku od zegarka. Potem przyłożył lufę do skroni, ale w tej chwili trafiła go seria. Była celna. Kolejarz opowiadał jeszcze, że Ingrid i kierujący zapewne akcją gestapowiec podeszli do trupa.

Gestapowiec krzyczał na swoich ludzi; przeszukali kieszenie zmarłego, a piękna dziewczyna rzuciła trzy goździki na ciało. Ten gest wydał się Klossowi szczególnie wstrętny.

Więc nie mogło być żadnej wątpliwości: Ingrid Kield zdradziła. Zmuszona? Szantażowana? Kloss nie bardzo w to wierzył. Mogła przecież nie przyjeżdżać do Niemiec, była obywatelką szwedzką, nic jej nie groziło w jej kraju. Współpracowała z gestapo najzupełniej dobrowolnie. I to już przynajmniej od paru miesięcy. Stwierdzono bowiem, że łączniczka, z którą kontaktowała się Ingrid podczas swego poprzedniego pobytu w Berlinie, została aresztowana natychmiast po powrocie pięknej Szwedki do Sztokholmu. Nie ustalono wówczas okoliczności tej wpadki, sądzono, że to przypadek... Teraz wszystko stało się jasne...

Dwadzieścia godzin... Jeśli Kloss nie zdoła w tym czasie wykonać wyroku, zginie przynajmniej jeszcze jedna osoba. W radiogramie centrali, który odebrał Arnold, informowano, że łączniczka, jadąca z Paryża do Warszawy, spotka się jutro, a raczej pojutrze, bo o godzinie drugiej nad ranem, z Ingrid Kield na dworze berlińskim. O czwartej trzydzięci śpiewaczka ma pociąg do Sztokholmu; na dwie godziny przed opuszczeniem Berlina zamierzała więc wydać w ręce gestapo jeszcze jedną osobę. Łączniczki centrala nie mogła już uprzedzić: nie było kontaktu. Jej życie zależało więc wyłącznie od Klossa. Jeśli nie zabije Ingrid... Nie rozpatrywał nawet takiej możliwości...

- Milczał pan przez cały czas, Hans - powiedziała Ingrid, gdy wracali do stolika.

- Tańczyłem z panią - odpowiedział.

Kieliszek panny Kield stał ciągle pełny na swoim miejscu. Kloss wsunął rękę do kieszeni i wymacał mikroskopijne pudełeczko otrzymane od Arnolda. Zawierało truciznę działającą po trzech-czterech godzinach. Czy gestapo rozpocznie drobiazgowy śledztwo? Zapewne tak. Z tym należało się liczyć, ale podobno obecność tej substancji dość trudno stwierdzić w organizmie, nawet podczas sekcji, a panna Kield ma mnóstwo znajomych, głównie w teatrze, więc może tam szukać będą mordercy, jeśli dojdą do wniosku, że to morderstwo.

Okazja skorzystania z zawartości pudełka trafiła się nadspodziewanie szybko. Wysoki podporucznik stuknął obcasami i poprosił Ingrid, a Schultz natychmiast, jakby się bał, że Kloss go uprzedzi, porwał Bertę na parkiet. Kloss został nareszcie sam przy stoliku. Nikt go nie obserwował, tego przynajmniej był pewien; wsypał do kieliszka szczyptę białego proszku, koniak nie zmienił barwy. Zapalił papierosa i przymknął oczy; zadanie było właściwie wykonane. Czy ta trucizna działa bezboleśnie? Czy dostatecznie szybko? Wolałby wiedzieć, że Ingrid Kield nie będzie umierała zbyt długo... Grano znowu sentymentalne tango. Dziewczyna na podium miała chrapliwy, niski głos.

- Spisz, czy marzysz o Ingrid? - usłyszał głos Schultza. Kapitan wrócił sam do stolika. Wyjaśnił, że panie opuściły ich na parę minut i że to dobra okazja, by wypić naprawdę coś solidnego. Wezwał kelnera; jego małe, ruchliwe oczy świdrowały Klossa.

- Zdażysz? - zapytał Klossowi przez chwilę, przez parę sekund, wydawało się, że tamten wie. Patrzył na niego me rozumiejąc. Schultz roześmiał się:

- Masz niewiele czasu — wyjaśniał. — Zacząłeś wczoraj, a zdobycie Ingrid wymaga dłuższego przygotowania artyleryjskiego. Od śmierci Heiniego nikomu się to nie udało...

- Kto to był Heini? - powtórzył pytanie, na które nie otrzymał odpowiedzi od Ingrid.

-Ty naprawdę nic nie wiesz? - Schultz wiedział wszystko. _ Heini - ciągnął - Heini Koetl, wielka miłość naszej śpiewaczki. Przystojny chłopaczyna, przed wojną słuchacz konserwatorium. Zginęło mu się przed paroma miesiącami w Polsce. Zawsze mówiłem, Warszawa to dia-belnie niebezpieczne miasto.

-Ach, tak...

- Był oficerem generała von Boldta. Stary go podobno nawet lubił. Widziałeś tego smarkacza, który zaprosił Ingrid do tańca? To niejaki Stolp, adiutant i kolega Heiniego. Byli razem w Polsce.

Muzyka umilkła i natychmiast wybuchł gwar głosów. Przy sąsiednim stoliku dwaj oficerowie w czarnych mundurach śpiewali ochrypłymi głosami.

- Ona jest mu ciągle wierna, temu Heiniemu - szeptał Schultz. - Będziesz sławny w Berlinie, jeśli ci się uda. Mieszka w jego dawnym mieszkaniu na Albertstrasse. I kolekcjonuje pamiątki po nim — wybuchnął śmiechem. - Niewielkie szansę, Hans... Ale postaraj się; mogę ci w tajemnicy powiedzieć - szeptał - że twój pobyt w Berlinie też zbliża się ku końcowi... Skąd wiem? Powiedzmy, że widziałem projekt rozkazu na biurku starego. Stary sądzi, że na froncie więcej z ciebie pożytku niż w centrali. Ty zresztą sam mówiłeś, że nie lubisz Berlina. Oryginał z ciebie.

Kloss milczał. W Berlinie był już dwa miesiące, przydzielono go do oddziału „Wschód”, Wydziału III, który zajmował się przede wszystkim sprawami personalnymi oficerów Abwehry, działających w Polsce i na froncie wschodnim. Mógł to traktować jako dowód zaufania, ale

możliwości zdobywania wartościowych informacji były znacznie mniejsze, niż przypuszczał. Przez Arnolda przekazał centrali dość kompletny spis oficerów Abwehry i ich charakterystyki - materiał na pewno cenny; udało mu się też zdobyć dane, co prawda niekompletne, dotyczące siatki niemieckiej w północnej Polsce — ale to było właściwie wszystko.

W centrali Abwehry istniał, niesłychanie skrupulatnie przestrzegany, rozdział kompetencji. Admirał budował swój aparat na zasadzie tajemniczości i wielostopniowej kontroli. Każda nieostrożność, każde zbyteczne słowo budziły natychmiast podejrzenia. A jednocześnie skomplikowane intrygi, rozgrywki, konflikty z ludźmi Schellenberga i Kaltenbrunnera interesowały najmocniej podwładnych Canarisa.

Kłoss wielokrotnie meldował centrali o wewnętrznych zapasach i bojach niemieckiego wywiadu, o krwawych zemstach i nienawiściach, którymi żyła ta sfora lepszych i gorszych agentów Canarisa i Kaltenbrunnera, walczących o większy kęs władzy, o dostęp do Fuehrera, o podział łupu.

Znał wagę tych informacji, sądził jednak, że bardziej przydatny jest na froncie, w sztabach bojowych, tam, gdzie decydują się sprawy dotyczące operacji wojennych. Nie ukrywał zresztą przed sobą, że brak mu kontaktu z towarzyszami, z ludźmi walczącymi, że coraz mu ciężiej widzieć wokół siebie tych, których nienawidzi i nie mieć już żadnej szansy, oprócz krótkich i rzadkich spotkań z Arnoldem, by choć na chwilę zrzucić maskę...

-Ty mnie nie słuchasz - powiedział Schultz. Pracował w centrali od początku wojny i grał jakąś rolę w intrygach Canarisa. Zaprzyjaźnili się, jeśli oczywiście to słowo mogło mieć w tym wypadku jakikolwiek sens, ale elegancki kapitan nigdy, nawet po pijanemu, nie zdradzał swych tajemnic.

- Ależ słucham, słucham. - oświadczył Kloss i w tej chwili wróciły panie.

Ingrid, bardzo podniecona, sięgnęła natychmiast po kieliszek, Berta znowu szczebiotała, Schultz wybuchnął śmiechem, Kloss nie usiłował nawet zrozumieć, o co im chodzi. Nie spuszczał wzroku z kieliszka Ingrid. Trzymała go ostrożnie, potem niosła powoli do ust. Kloss podniósł swój kieliszek.

- Za zwycięstwo - powiedział głosem nieco ochryłym.

- Za zwycięstwo - powtórzył Schultz - i zdrowie naszych pań.

Ingrid odstawiła kieliszek.

-Wypij -prosiła Berta. -To świetnie ci zrobi, natychmiast o wszystkim zapomnisz. Pamiętasz, jak ululaliśmy się wtedy.

- Przestań! - zawołała Ingrid.

Za chwilę jednak wypije i będzie wreszcie po wszystkim. Kloss chciałby, żeby to już się stało. Czuł, że opuszcza go odwaga - nigdy nie operował dotąd trucizną. Wolałby, jeśli już nie istniało inne wyjście, zastrzelić tę dziewczynę.

Muzyka wybuchła znowu i Ingrid zdecydowanym gestem sięgnęła po kieliszek. W tej chwili dźwięki fokstrota zagłuszył ryk syreny alarmowej. Muzyka umilkła, na środku sali pojawił się starszy

jegomość, w smokingu.

- Proszę wszystkich do schronu! - zawołał.

Pary z parkietu cisnęły się już w drzwiach; usłyszeli głuchy łomot, potem huk wystrzałów. Artyleria przeciwlotnicza odpowiadała szybkimi seriami. Zerwali się z miejsc. Na stoliku pozostał pełny kieliszek Ingrid. Kloss, wstając, pchnął stół, koniak spływał cienką strugą na podłogę.

2

Ulice były puste i ciemne. Kloss skręcił w Albert-strasse, zapalił papierosa i spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Przed półgodziną pożegnał się z Ingrid; po nalocie odprowadził ją do domu, ale razem z Bertą i Schultzem, bo ta para ani na chwilę nie zostawiła ich samych. Kloss miał nadzieję, że Ingrid zaprosi go jednak do siebie. Wszedł z nią do bramy, ale na usilne nalegania zgodziła się tylko wyznaczyć mu randkę następnego dnia.

Jutro już nie występuję - powiedziała - może mnie pan zaprosić do kina.

- Do kina! - nie ukrywał rozczarowania. Roześmiała się.

- Mogę panu poświęcić dwie godziny, dokładnie dwie godziny, a ponieważ pan i tak milczy, więc...

Umówili się o wpół do siódmej przed kinem „Roma”.

Czy mógł czekać do jutra? Zbyt wielkie ryzyko... Postanowił wykonać wyrok jeszcze tej nocy. Plan był prosty. Już nie trucizna, do diabła z pomysłami Arnolda! Takie sprawy załatwia najprędzej kula rewolwerowa. Pozwolił, żeby Berta i Schultz zniknęli za rogiem Kurfurstendamm, zyskiwał w ten sposób jakieś alibi, kiepskie co prawda, ale zawsze alibi, i wrócił tu, na Albertstrasse, pod dom Ingrid. Nie przypuszczał, by mógł znaleźć się w kręgu podejrzanych. Gestapo dojdzie na pewno do wniosku (i będzie miało rację!), że to sprawa polskiego wywiadu, a nikt przecież nie posądza Klossa... Czy naprawdę nikt? Należy doceniać przeciwnika. Stary Arnold, który zna Berlin jak własną kieszeń, a doświadczenie ma ogromne, powiedział:

- Od paru dni wydaje mi się, że ktoś za mną chodzi... Będziemy musieli zmienić system kontaktowy.

Spotykali się w mieszkaniu Arnolda, w maleńkim pokoiku na poddaszu, niedaleko stacji ZOO. Arnold pracował w piwiarni przy Bismarckstrasse, ale tam zabronił Klossowi przychodzić, był to bowiem lokal czwartorzędny, odwiedzany przez robotników, a nawet robotników zagranicznych. Kloss raz tylko widział Arnolda przy pracy; starszy człowiek, kuśtykając, stawiał kufle piwa na drewnianych stołach. Przy barze stało trzech chłopców z literą „P” naszytą na marynarkach. Mówili po polsku!

Kloss chciał podejść. Z trudem minął ich obojętnie, ale poczuł na sobie ich spojrzenie, patrzyli z nienawiścią i pogardą, gdy właściciel kłaniał się porucznikowi, a Polakom krzyknął: Raus!

- Jesteś zbyt sentymentalny- stwierdził wówczas Arnold.

A dzisiaj, jakby nawiązując do tamtej rozmowy, oświadczył:

- Ja nie jestem sentymentalny, jestem chory. Jeśli znajdą moją melinę, nie będę miał się już gdzie podziać.

- Trzeba zmieniać miejsca nadawania - oświadczył Kloss.

- Kto ma nosić to pudło? - wybuchnął Arnold. Wbił tępo wzrok w podłogę. — Obrzydliwe zadanie — powiedział nagle: — Rozumiem. Ale pamiętaj, że musisz to zrobić. Nie szukaj dla siebie usprawiedliwień. Panna Ingrid Kield nie cacka się z nami... Gdyby cokolwiek o tobie albo o mnie wiedziała...

Czy naprawdę nic nie wie? Centrala uważa, że są zupełnie bezpieczni, należy wierzyć centrali, a on przecież nie zdradził się niczym...

Jeśli kogokolwiek spotka w bramie domu Albertstrasse 21, nie będzie mógł wykonać zadania. Wszystko zależy od szczęścia i przypadku. Kloss nie lubił takich akcji. Lubił precyzyjną, dobrze przygotowaną robotę, ale tym razem nie miał wyboru. Musiał działać sam, bez obstawy, w obcym, wrogim mieście.

W bramie było pusto, Kloss spojrzął na spis lokatorów i przeczytał: Heinz Koetl, numer 46, czwarte piętro. Schody były szerokie, wyłożone miękkim chodnikiem, jak to w przyzwoitych kamienicach mieszczańskich. Nałożył tłumik na pistolet i wsunął broń do kieszeni płaszcza. Strzeli i zbiegnie po tych schodach. Szaleńczy pomysł! Może jednak należało odłożyć akcję do jutra? I rzeczywiście nie zastrzeli jej ani w kinie, ani na ulicy! Sprokurować czekoladę z trucizną? Nawet nie wie, czy Ingrid jada czekoladę... Wojna skurczyła się nagle dla niego do wymiarów kamienicy przy Albertstrasse. Pomyślał o tych, których spotkała dzięki Ingrid śmierć i mocniej ścisnął kolbę broni. Musiał to zrobić.

Nie przeprowadził nawet wstępnego rozpoznania. Nie wiedział, czy panna Kield mieszka sama; zakładał, że tak... Schultz by powiedział, gdyby miała kogokolwiek. Na drzwiach wisiała jeszcze wizytówka: Heinz Koetl. „Zginął w Polsce” - oświadczył Schultz. Przed paroma miesiącami. Przed paroma miesiącami Ingrid zdradziła. Czy istnieje związek między tymi dwoma faktami? Nawet jeśli istnieje, nie ma to już żadnego znaczenia. Kloss nie zamierzał zajmować się psychologią; zamierzał zabić.

Nacisnął dzwonek. Długo trwała cisza, wreszcie usłyszał kroki, szcęknął zamek. Kloss odbezpieczył broń, za chwilę wyszarpnął ją z kieszeni. Zdecydował: strzeli nie wchodząc do mieszkania. Na progu stała starsza kobieta w szlafroku i czepku nocnym. Głos miała ostry, niemal męski.

- Pan do kogo? - zapytała.

Tego się nie spodziewał. Z trudem odzyskiwał panowanie nad sobą, milczał.

- To pewno do mnie, Frau Schuster - usłyszał głos Ingrid. Była jeszcze w tej samej ciemnej sukience, w której widział ją w lokalu. Frau Schuster mruknęła coś niezrozumiałego i odstąpiła od drzwi. Pozostała jednak w korytarzyku i Kloss czuł na sobie jej spojrzenie uważne i niechętne.

- To pan - powiedziała Ingrid - pan jest jednak zbyt śmiały. - W jej głosie nie było gniewu, raczej rozbawienie zaprawione satysfakcją.

Kloss zaczął mówić, szybko i niezręcznie. Że musiał ją jeszcze zobaczyć, że bardzo tego pragnął.

- Pan się pomylił - przerwała zdecydowanie. - Umówiliśmy się jutro pod kinem, choć właściwie powinnam się gniewać i łatwo nie wybaczyć... - Skinęła mu głową, nie podając ręki.

W bramie stał dozorca i obejrzał Kloss a uważnie. Porucznik pomyślał, że gdyby zastrzelił Ingrid, gdyby się udało, ten człowiek podałyby w gestapo jego dokładny rysopis. Żle przygotowana akcja musi prowadzić do katastrofy- ta elementarna zasada konspiracji sprawdza się niemal zawsze.

Zadanie stawało się jednak coraz trudniejsze; ta jakaś Frau Schuster, zapewne gospodyni albo krewna Heinza Koetla, będzie na pewno wiedziała o jutrzejszej randce Klossa z Ingrid. Co powinien zrobić? Musi obmyśleć plan, który by go stawiał poza podejrzeniami. Nic nie przychodziło mu do głowy... Szedł powoli Albertstrasse, potem znalazł się na szerokiej ulicy wysadzonej drzewami.

Z wyciem syreny przeleciał samochód policyjny. Kloss zobaczył gmach odgradzony od chodnika żelazną kratą. Przed bramą stał wartownik w mundurze SS. Znał ten budynek. Tu mieściła się berlińska Geheimstadtpolizei. Kloss pamiętał nazwiska i twarze wielu ludzi pracujących w tym gmachu, widywał ich czasem na odprawach u komandora.

Hauptsturmfuehrer Mueller... Zapewne właśnie on organizuje akcje, w których bierze udział Ingrid Kield. Zaufany Kaltenbrunnera, chłodny i okrutny, stary pracownik kontrwywiadu o dużym doświadczeniu. Błędem byłoby niedocenienie takiego przeciwnika. Kloss wiele dałby za to, żeby ustalić, co wie i zamierza hauptsturmfuehrer Mueller. W berlińskim gestapo nie mieli jednak nikogo; była kiedyś Elzie, pamiętał ją, młoda blondynka o piegowatej twarzy. Współpracowała z Arnoldem. Połknęła cyjanek, gdy Mueller znalazł w jej torebce odpisy tajnych dokumentów.

Tak. Kloss miał z tym gestapowcem własne rozrachunki. Minął wartownika i spojrzał w ciemne, zakratowane okna. W gestapo urzęduje się nocą; hauptsturmfuehrer zapewne jeszcze pracuje.

Ingrid Kield nie przyszła. Czekał przed kinem „Roma” pół godziny. Od wpół do siódmej do siódmej wieczorem. Stał w kolejce do kasy, potem zrezygnował. Spacerował przed wejściem, paląc jednego papierosa po drugim. Przez cały dzień trwała odprawa u komandora, nie udało mu się nawet zadzwonić do Ingrid, sprawdzić, czy jest w domu i czy nie zmieniła planów. Teraz pozostało mu parę godzin, a jeśli ona jest już pod opieką gestapo, nic nie zdoła zrobić... „Pamiętaj, że łączniczka z Paryża przyjeżdża o drugiej nad ranem”—powtarzał Arnold. Tylko Kloss mógł uratować tę kobietę. A Ingrid nie przyszła. Ulica przed kinem opustoszała, zamknięto drzwi, rozpoczął się seans. Kloss cisnął niedopałek na chodnik i ruszył w kierunku Albertstrasse. Pięć minut drogi, mieszkanie Ingrid znajdowało się niedaleko kina.

Wbiegł na schody, zadzwonił do drzwi; otworzyła mu znowu Frau Schuster.

- To pan! - powiedziała z ogromnym zdziwieniem. - A gdzie Ingrid?

- Właśnie o to chciałem zapytać! - zawołał.

-Wyszła przed wpół do siódmej. Powiedziała, że idzie do „Romy”, bo umówiła się tam z panem.

- Nie przyszła.

- Może zmieniła zdanie - powiedziała Frau Schuster z odrobiną satysfakcji, ale natychmiast na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju. - Ingrid nigdy się nie spóźnia - szepnęła.

- Chciałbym wiedzieć, dokąd właściwie poszła.

-I ja chciałabym wiedzieć! - wybuchnęła. - A tłumaczyłam jak komu dobremu! Nie przyszła, to nie przyszła - mówiła dalej. - Niech pan jej nie zawraca głowy, niech pan ją zostawi w spokoju.

Tyle tylko uzyskał. Może poszła do teatru, może włóczy się z Bertą po mieście, może hauptsturmfuehrer Mueller zdecydował, że przed akcją najbezpieczniejsza będzie jednak w gestapo. „Łączniczka z Paryża, przyjedzie o drugiej nad ranem..”. Co pozostało jeszcze do zrobienia? Nie pójdzie przecież do gmachu Geheimstadt-polizei i nie zastrzeli panny Kield w gabinecie Muellera.

Wyszedł na ulicę. W bramie stał znowu dozorca i starannie czyścił fajkę; tym razem nie spojrzał nawet na Klossa.

- Nie zauważył pan przypadkiem - zapytał porucznik
- w którym kierunku poszła panna Kield, ta szwedzka śpiewaczka spod czterdziestki szóstki?

Dozorca milczał sporą chwilę; wziął papierosa, którym go Kloss poczęstował, i schował fajkę do kieszeni.

- A widziałem, widziałem - powiedział. - W kierunku Bismarckstrasse. Ale niedaleko uszła, bo podjechał czarny mercedes, wyskoczyli dwaj panowie i zaprosili panienkę do środka.

- Byli w mundurach? Dozorca spojrzał podejrzliwie.

- Nie, panie poruczniku, po cywilnemu.

- Panna Kield czekała na samochód? - Pytanie było zbyteczne; dozorca wzruszył tylko ramionami i oświadczył, że on przecież nic nie wie.

Kloss nie miał już wątpliwości: gestapo! Mueller chce mieć pewność, nie należy do ludzi lubiących ryzyko. Ingrid Kield stała się nieosiągalna, rozkaz nie został wykonany. Kloss nie zamierzał jednak zrezygnować: łączniczka musi być uratowana, trzeba znaleźć jakiś sposób.

To samo powtórzył Arnoldowi, gdy po kilkunastu minutach wszedł do jego mieszkania. Stary był niespokojny: kuśtykał po pokoju, otwierał szuflady i oglądał jakieś papierki.

- Patrzę, czy nie ma nic podejrzanego - oświadczył. - Co wieczór przeglądam teraz swoje rzeczy. Radiostacji i tak nie znajdują, a jeśli znajdą... - machnął ręką.

Kloss usiadł na łóżku.

- Twoje zdanie? - zapytał. Arnold wzruszył ramionami.

- Centrala powtórzyła dzisiaj rozkaz.

- Masz rysopis łączniczki?

- Nie zażądałem - oświadczył Arnold.

-Zażądaj natychmiast.

- Mogę nadawać najwcześniej o czwartej nad ranem.

- Za późno. Co zrobimy?

- Napijesz się herbaty? Oczywiście ersatz - zapytał Arnold. - Mogę cię jeszcze poczęstować plackami kartoflanymi. Nic więcej nie mam.

- Co zrobimy? - powtórzył Kloss. Arnold milczał.

- Kield przybędzie na dworzec w towarzystwie gestapowców - rozważał porucznik. - Mogę strzelać do niej albo w hali dworcowej, albo na schodach prowadzących na peron.

- Szaleństwo.

- Istnieją pewne niewielkie szanse ucieczki. Zjawię się po cywilnemu, strzelać będę z bliska, na pewniaka.

- Centrala nie zaakceptowałaby tego planu.

- Kield musi być zlikwidowana - powiedział Kloss twardo. - Chodzi nie tylko o życie łączniczki

i o dokumenty, które wiezie. Sam rozumiesz...

Arnold rzucał placki na patelnię. Czynił to zręcznie i bardzo szybko. Postawił na stole puszkę z marmoladą.

- Lubię placki kartoflane na słodko - oświadczył. -W ogóle bardzo lubię słodyczne, tylko nie mogę na nie marnować kuponów. Kloss wstał.

- Co zamierzasz? - zaniepokoił się stary.

- To, co ci powiedziałem. Nie widzę innego wyjścia. Gdybym miał pewność, że Ingrid przed drugą wróci jeszcze do domu...

- Wtedy? - Arnold już jadł. Bardzo żarłocznie. Pakował placki do ust palcami.

- Mam kilka dobrze przygotowanych zabawek z plastyku - stwierdził porucznik spokojnie. - Zostawiłbym w mieszkaniu Ingrid, nastawiając bombę na określoną godzinę. Traktowałem to jako ostateczność, od początku, bo żal mi było tej Frau Schuster, ale teraz...

- Zawsze byłeś sentymentalny - stwierdził Arnold.

Zbliżała się już dziesiąta, gdy Kloss zjawił się znowu w dzielnicy Charlottenburg. Wchodząc do lokalu „Pod Żłotym Smokiem” zostawił w szatni płaszcz i niewielką, ale dość ciężką teczkę. Przyszedł tutaj, bo istniała jednak szansa, że zastanie Ingrid (Mueller mógł ją przecież zaprosić na kolację; nie ryzykował nawet dekonspiracji, bo panna Kield przestawała i poprzednio z wysokimi funkcjonariuszami SD) albo Bertę i Schultza, którzy mogli coś wiedzieć. Ingrid na pewno zechce się pożegnać z Bertą, jeśli tego jeszcze nie uczyniła. Na sali było tłoczno; ta sama śpiewaczka, to samo tango i oficerowie Wehrmachtu w swoich urlopowych, galowych mundurach. Od razu zobaczył Schultza; siedział samotnie przy tym samym stoliku, co wczoraj.

-Jesteś sam? - zapytał, gdy Kloss podszedł do niego.

-Sam.

- A Ingrid? - W jego głosie dźwięczała nie ukrywana ironia.

- Szukam jej - powiedział Kloss. - Nie wiesz, co mogło się z nią stać?

- Siadaj i pij. Ten koniak jest całkiem niezły i dają go tylko po znajomości. Było tu gestapo, mój drogi. Bardzo im jesteś potrzebny. Fritz Schabe, prawa ręka naszego znakomitego hauptsturmruehrera Muellera, usilnie cię poszukiwał.

Kloss sięgnął po kieliszek. Posiadał już w stopniu doskonałym sztukę panowania nad twarzą. Schultz, który obserwował go bacznie, nie dojrzał ani cienia niepokoju.

- Mnie? - powiedział porucznik obojętnie. - Czego chcą, u diabła?

- Chcieliby wiedzieć, co się stało z panną Ingrid Kield - oświadczył kapitan tym samym tonem. - I zapewne sądzą, że masz coś do powiedzenia na ten temat.

- Tylko tyle, że nie przyszła na randkę. - Koniak był rzeczywiście dobry. Kloss długo wachał aromatyczny napój. - Armagnac?

- Armagnac - potwierdził Schultz. - I nic więcej nie wiesz?

- Nie jestem Duchem Świętym - powiedział Kloss ostro. - A czego oni chcą od Ingrid?

- Nie domyślasz się?

- Mówisz samymi zagadkami. Jestem człowiekiem prostym i lubię jasne sytuacje. Gadaj, co wiesz? Schultz uśmiechnął się.

- Bardzo niewiele - rzekł powoli. - Tylko tyle, że Fritz Schabe przesłuchiwał już dozorcę i niejaką Frau Schus-ter. Ogromnie im widać panna Kield potrzebna.

- Panowie z gestapo często poszukują ludzi, których mają u siebie.

- Odważnie - szepnął Schultz. - Nie radzę ci tego mówić Schabemu. Sądzę, że istnieją naprawdę ważne powody.

- Schabe ci powiedział...

- Zachowywał się co najmniej tak, jakby Ingrid została zamordowana, a on prowadził śledztwo.

- Przecież minęło zaledwie parę godzin od chwili, gdy opuściła mieszkanie.

- Właśnie. I twierdzisz, że nie przyszła na randkę z tobą. A może umówiła się także z kimś innym, na przykład z Muellerem... I to wcale nie w sprawach męsko-damskich.

- Sądysz...

- Nic nie sądzą - przerwał szorstko Schultz. - A oto i Fritz Schabe...

Wysoki mężczyzna, w mundurze sturmbannfuhrera podchodził do ich stolika. Prawy policzek przecinała mu szeroka szrama; binokle i sposób czesania przywodziły na myśl Reichsfuhrera SS. Kloss spotkał go kiedyś na naradzie u komandora. Schabe podszedł wówczas do niego, przedstawił się i powiedział: „Pan też był na froncie wschodnim. To dobrze. Tacy nam potrzebni w Berlinie”. Teraz jego głos brzmiał znacznie ostrzej.

- Szukam pana od godziny, poruczniku Kloss. Gdzie jest Ingrid Kield?

- Również chciałbym to wiedzieć. - Podniósł swój kieliszek i patrzył na gestapowca. - Napije się pan z nami? To Armagnac.

- My nie żartujemy. - Twarz Schabego była nieruchoma. - To sprawa wagi państwowej. Nasza rozmowa nosi charakter oficjalny. - Usiadł. Schultz skinął na kelnera, który natychmiast podał na tacy kieliszek. Gestapowiec nie tknął alkoholu.

- Nie rozumiem - Kloss doszedł do wniosku, że najlepszą metodą obrony będzie próba bagatelizowania pytań Schabego. - Panna Kield wyszła z domu około wpół do siódmej, teraz jest parę minut po dziesiątej. Mogła pójść choćby do koleżanki albo...

- Nie - przerwał ostro Schabe. - Pan też podejrzewał, że coś się stało... Wypytywał pan dozorcę.

- Nie przyszła na randkę - roześmiał się Kloss. - Byłem trochę zazdrosny... Chciałem wiedzieć, kogo wołała ode mnie...

- I dlatego pytał pan, czy ci ludzie w czarnym mercedesie byli po cywilnemu czy w mundurach?

- Dlatego.

- Co robił pan potem?

- Nic. Spacerowałem po ulicach, zjrzałem do paru kawiarni, wreszcie przyszedłem tutaj... Ciągle jednak nie rozumiem...

- Nie grajmy w ciuciubabkę, panowie z Abwehry - powiedział ostro Schabe. - Ingrid Kield miała być u siebie w domu najpóźniej o dziewiątej wieczorem...

- Czyżby umówiła się również z panem?

- Poruczniku Kloss, pan sobie za dużo pozwala. Ingrid Kield potrzebna jest nie mnie, ale Rzeszy. Wystarczy?

- Wystarczy - powiedział Kloss. - Trzeba było od tego zacząć, że jest waszym człowiekiem.

Schabe uderzył pięścią w stół. Maską spokoju opadła z jego himmlerowskiej gęby.

- Pogardzacie nami, co? A jeśli sprzątnęliście nam przed nosa tę dziewczynę...

- Pan pozwoli, panie sturmbannfuehrer - szepnął Schultz - że zamelduję o tym podejrzeniu admirałowi...

- Może pan meldować, komu pan chce!

- Daj spokój, Schultz - wtrącił się Kloss. - Jeśli chodzi o mnie, gotów jestem panu pomóc...

- Wystarczy, że pan nie będzie przeszkadzał - odpowiedział niegrzecznie Schabe. - A może ona jednak przyszła pod kino?

Patrzyli na siebie. Kloss spokojnie zapalił papierosa, sięgnął po kieliszek.

- Przy okazji wyjaśnię panu - rzekł - jak traktuję ludzi, którzy mnie obrażają. Czy sądzi pan, że wysyłam po Ingrid dwóch cwaniaków w mercedesie, żeby mi ją przywieźli na randkę?

Schabe wstał.

- Proponuję panom nikomu nie powtarzać naszej rozmowy. Znajdziemy tę dziewczynę, nawet jeśli... - nie dokończył. - Panowie z Abwehry - stwierdził poprawiając okulary gestem swego wodza - lubią nocne lokale. I spotykają się tu, oczywiście, zupełnie przypadkowo...

Schultz wezwał kelnera i zamówił jeszcze butelkę koniaku. Wydawało się, że rozmowa ze Schabem nie uczyniła na nim żadnego wrażenia. Zanim sturmbannfuehrer zniknął w drzwiach, kapitan mówił już o dwóch dziewczętach siedzących samotnie przy stoliku pod oknem. Obie były niebrzydkie i podobne do siebie: puciołowate blondynki o niezbyt zgrabnych nogach. Proponował wspólną zabawę; godzina jest jeszcze wczesna, nie wrócą przecież do swych kawalerskich pokoiów. Póki są w Berlinie, trzeba korzystać, a sprawę Ingrid można spokojnie zostawić Schabemu. Niech się martwi...

- Wezmę twój motocykl - powiedział Kloss.

- Po co? - Głos Schultza natychmiast stwardniał, jego oczy spoglądały czujnie. Kloss przewidywał taką reakcję; rozważając rozmowę ze sturmbannfuehrerem, doszedł do wniosku, że gestapo istotnie nie wie, gdzie jest Ingrid. A Schultz coś wie. Czyżby rozgrywki między Canarisem a gestapo? Nie zdarzyło się dotąd, przynajmniej on nie słyszał o takim wypadku, by ludzie Abwehry porywali agentów Kaltenbrunnera. Jemu było zresztą wszystko jedno, czy Ingrid Kield będzie pracowała dla aparatu admirała, czy Himmlera. Nie miał w Berlinie sprzymierzeńców, miał tylko wrogów.

- Po co? - powtórzył Schultz. - Chcesz na własną rękę szukać panny Kield?

- Powiedzmy.

- Posłuchaj dobrze... Radzę ci tu zostać i bawić się ze mną przez całą noc... Żadna kobieta nie jest warta, by ryzykować dla niej karierę.

- Aż karierę? Ty jednak coś wiesz. Śmiech Schultza brzmiał sztucznie.

- Nie, przyjacielu, naprawdę nie wiem, gdzie się po-dziewa w tej chwili panna Kield... ale gdziekolwiek by była, nie warto jej szukać.

- Dasz mi ten motocykl?

- Jesteś niebezpiecznie uparty, Kloss. Dam ci motocykl, bo mam nadzieję, że pojeździsz trochę po ulicach i pójdziesz spać. Świeże powietrze dobrze ci zresztą zrobi. Zapomnij o Ingrid Kield. Raz na zawsze zapomnij...

Zatrzymał motocykl na rogu Bismarckstrasse. Noc była jasna, księżyc wisiał nad Berlinem, oświetlając czarne bloki domów i ruiny, szkielety kamienic o fantastycznych konturach. Znalazł sobie znakomity punkt obserwacyjny pod wystawą sklepu z kapeluszami, sklepu o zabitych na głucho drzwiach i, sam niewidoczny, widział stąd wysoki korytarz Albertstrasse, kamienicę, w której mieszkała Ingrid, samochód przed bramą, z którego niedawno wysiadł Schabe w towarzystwie SS-manów.

Pomyślał, że miał szczęście, bo gdyby przyjechał parę minut wcześniej i poszedł, jak to był planował, do mieszkania Ingrid, zaskoczyliby go tam niechybnie. Rozmowa z Bertą przeciągnęła się jednak dość długo i dała Klos-sowi sporo do myślenia.

Berta okazała się zresztą znacznie mądrzejsza i ciekawsza, niż mógł przypuszczać na podstawie ich pierwszego spotkania. Zastał ją jeszcze w teatrze i zaprosił do maleńkiej kawiarni, w której o tej porze przesiadywali tylko emeryci i zakochani. Nie musiał długo wyjaśniać, o co mu chodziło, bo przesłuchiwał ją już Schabe i Berta uśmiechnęła się leciutko mówiąc „ten pan Schabe z gestapo, który chciałby wyglądać jak Himmler”.

Kloss powiedział, że boi się o Ingrid, że oczywiście nie występuje oficjalnie, ale jeśli ona coś wie, co mogłoby ułatwić odnalezienie panny Kield... Nic nie wiedziała, w każdym razie nie znała żadnych faktów mogących naprowadzić na jakiś ślad i to właśnie oświadczyła panu Schabemu. Klossowi nie chodziło jednak o fakty; prosił, aby mówiła o Ingrid, chciał wiedzieć o niej jak najwięcej.

Starał się zdobyć zaufanie panny Berty Waschke i chyba nie bez powodzenia, bo zaczęła opowiadać.

Ingrid, twierdziła, zmieniła się ogromnie w ciągu ostatnich miesięcy. Właśnie po śmierci Heiniego. Była to zresztą wielka miłość, mieli się pobrać w tym roku, jesienią, ustalono już datę podczas ostatniego urlopu Koetla. Ingrid postanowiła zamieszkać w Berlinie, choć marzyła o tym, żeby zabrać swego chłopca do Szwecji, wyrwać go, jak mówiła, z pazurów wojny. Heini był muzykiem.

- Znałam go od dawna - mówiła Berta - dawniej niż Ingrid. Uczęszczał do konserwatorium i utrzymywał się z lekcji, bo zerwał ze swym ojcem - spojrzała na Klossa z odrobiną niepokoju - wysokim oficerem SD, a potem gauleiterem na zachodzie. Nie chciał od niego brać pieniędzy; był to zresztą wspaniały chłopak, naprawdę wspaniały. To nie znaczy, żebym się z nim we wszystkim zgadzała - dodała szybko i Kloss pomyślał, jak trudno będzie kiedykolwiek wyzwolić tych ludzi z więzów nieustannego lęku i podejrzliwości.

- Gdy przyjeżdżał z Polski na urlop - ciągnęła dalej - opowiadał bardzo złe rzeczy o Niemcach.

Bardzo źle. Teraz już wszystko jedno, mogę mówić: kiedyś przemy-śliwał nawet o ucieczce do Szwecji. Potem stwardniał, jakby się zmienił, milczał i tylko w obecności Ingrid był dawnym Heinim. Wyjechali na parę dni w góry i wrócili bardzo szczęśliwi; pamiętam powrót Heiniego do Polski. Byłam także na dworcu, Ingrid płakała, choć ona nigdy nie płacze, a potem, gdy pociąg już zniknął, wybuch-nęła nagle nieprzypadną nienawiścią. Mówiła tak głośno, że bałam się, chciałam uciekać. „Nienawidzę waszych Niemców! - krzyczała - Nienawidzę waszej wojny! Chcecie panować nad światem, a umiecie tylko zadawać cierpienia. Innym, ale także sobie. Niemcy będą zniszczone i im prędzej, tym lepiej!"

Po paru dniach otrzymałyśmy wiadomość, że Heini poległ na ulicach Warszawy. Zabili go Polacy. Nie poznawałam Ingrid. Śpiewała, ani na jeden dzień nie przerwała występów, ale istniała właściwie tylko w teatrze. Zamykała się w pokoju Heiniego i nikogo nie dopuszczała do siebie. Potem wróciła do Szwecji; gdy przyjechała znowu latem, nawet nie zatelefonowała do mnie. Spotkałam ją w takim lokalu, niedaleko ZOO, była w towarzystwie oficera SD, chyba także pana Schabe. Pijana. Podbiegła do mnie. „Śmierć Heiniego musi być pomszczona - powiedziała, zanim zdążyłyśmy się pocałować. - I ja ją pomszczę. Świat jest podły i okrutny. Lepiej nie mieć złudzeń".

Kloss zapytał jeszcze, czy często widywano Ingrid w towarzystwie panów z SD. Potwierdziła. Parę razy zaprosił ją także do siebie generał von Boldt, dawny zwierzchnik Heiniego. A porucznik Stolp... był poprzedniego dnia w teatrze.

- Pan musiał go zresztą widzieć - powiedziała - bo zapraszał Ingrid do tańca w „Złotym Smoku".

Generał von Boldt! Klossa od dawna interesował ten stary Prusak, który, jak twierdzono, nigdy nie darzył Hitlera zbyt dużą sympatią, co mu zresztą nie przeszkadzało w wykonywaniu wszystkich rozkazów wodza. Boldt burzył Warszawę, Boldt dowodził armią na froncie południowym w Związku Radzieckim. Teraz, przeniesiony do Oberkommando der Wehrmacht, pełnił ważne funkcje sztabowe. Był posłuszny i był jednocześnie, jak mówiły plotki, jednym z wodzów wojskowej opozycji wobec Hitlera, opozycji karmionej przecuciem klęski. Czy mogła go interesować Ingrid? Więc Abwehra albo OKW... A może istniała jeszcze jakaś możliwość? Może Ingrid Kield po prostu uciekła? Wreszcie - gestapo. .. Mueller lubił posługiwać się prowokacją. Trzeba bardzo uważać, by nie wpaść w zastawione sidła.

Nie przestawał obserwować kamienicy i wreszcie zobaczył ich wychodzących. Przodem szedł Schabe, za nim - dwóch SS-manów prowadziło Frau Schuster. Starsza pani szła wyprostowana, niosąc przed sobą dużą torebkę niby groźną broń. Po co Muellerowi to aresztowanie? Może biedna Frau powiedziała po prostu coś niepotrzebnego? Nie miał czasu o tym myśleć. Gdy wóz ruszył, Kloss odczekał parę chwil i wśliznął się do bramy. Przypuszczał, że gestapowcy nie wrócą, a w każdym razie nie wrócą natychmiast. Powinien mieć trochę czasu. Na klatce schodowej było pusto. Swoim wiesbadeńskim wytrychem bez trudu otworzył mieszkanie Heiniego Koetla.

W korytarzyku, w pokoju, w kuchni było jasno - gestapowcy nie zgasili światła. Wszędzie panował potworny nieład: w kuchni - rozbebeszone łóżko, na którym spała zapewne Frau Schuster, otwarty kredens, naczynia, serwetki, puszki, skąpe zapasy żywności - na podłodze. Podobnie w pokoju.

Pokój urządzony był zresztą ładnie, jakoś inaczej niż przeciętne mieszczańskie wnętrza, które widywał w Berlinie. Kolorowa gruba tkanina osłaniała drzwi balkonowe; niski stół, tapczan, parę prostych krzeseł i oczywiście na ścianie ogromny portret młodego chłopca w narciarskim golfie. Zapewne - Heini Koetl. Pomyślał, że w większości niemieckich mieszkań widuje się fotografie chłopców w mundurach.

Rzeczy panny Kield leżały na podłodze, wyrzucone z szuflad i walizek. Gestapowcy rozpruli zresztą walizki, zerwali podszewkę płaszcza, potłukli słoiki i buteleczki z perfumami. Czego szukali u swojej agentki? Co spodziewali się znaleźć? Nie ufali jej? Dostarczyła im przecież dość dużo dowodów swej lojalności. Może przypuszczali po prostu, że znajdą coś, co ujawni jakieś nie znane im dotąd kontakty Ingrid? Jakie były rezultaty rewizji? Oczywiście - nie wiedział.

Ukląkł na podłodze i przeglądał raz jeszcze rzeczy panny Kield. Znał instrukcje dawane łączniczkom polskiego wywiadu i wiedział, jakie schowki używane bywają najczęściej. Nie spojrzął nawet na suknie i drobiazgi toaletowe, zresztą gestapowcy interesowali się nimi najdokładniej. Z walizki i szufladek powyciągał paski do sukienek, sweterków, potem ściągał klamerki i badał je skrupulatnie, operując szczyrzykiem. Wreszcie znalazł to, czego szukał: posrebrzana klamerka była płaska i wąziutka, ale wewnątrz miała zręcznie skryty schowek. Uśmiechnął się; gestapowcy nie wpadliby na ten pomysł. Odgiął cieniutką blaszkę i wydobyl starannie zwiniętą kartkę. Tekst był zaszyfrowany, ale na odwrocie kartki zobaczył jednak, dopisane zapewne ręką Ingrid, nazwisko: Edmund Kirsthoven. Znał to nazwisko. Kirsthoven był rezydentem amerykańskiego wywiadu w Szwecji. Od kogo Ingrid otrzymała tę kartkę? Kto chciał nawiązać za jej pośrednictwem łączność z amerykańskim wywiadem?

Przez chwilę studiował szyfr, wydał mu się dość prosty, ale oczywiście wymagał czasu. Schował kartkę do zapalniczki, potem zgasił światło i wyszedł z pokoju. Nie zdążył jednak opuścić mieszkania.

Gdy stanął na korytarzu, usłyszał szcęk klucza w zamku. Ingrid? Gestapo? Kto mógł mieć klucze od tego mieszkania? Uskoczył do kuchni. Zobaczył tego człowieka w otwartych drzwiach, w świetle padającym z klatki schodowej. Poznał go natychmiast. To był porucznik Stolp, adiutant generała von Boldta.

Zachowywał się podobnie, jak niedawno Kloss. Zamknął za sobą drzwi, oświetlił korytarz latarką elektryczną, za chwilę zapali światło i spenetruje mieszkanie.

Kloss błyskawicznie podjął decyzję. Wyjął z kabury broń, odbezpieczył; poruszał się cicho, tak cicho, że tamten dowiedział się o jego obecności dopiero wówczas, gdy poczuł zimne dotknięcie metalu i usłyszał głos.

- Nie odwracać się! Ręce do góry! Stolp wykonał polecenie.

- Gadaj - szepnął Kloss, trzymając palec na cynglu i dotykając lufą pistoletu jego karku. - Gdzie jest Ingrid Kield?

- Nie wiem.

- Masz jej klucze, nic cię nie uratuje. Liczę do trzech i strzelam. Stolp milczał.

- Zastanów się dobrze. Zranię cię, potem przyślę tu gestapo - zabluffował. Był zresztą pewien, że tamten także boi się Muellera. - Raz... dwa... - zaczął i mocniej przycisnął metal do jego skóry.

- Nie wiem - zacharczał Stolp - wykonuję rozkaz.

- Czyj? Nie czekam ani sekundy.

- Generała - powiedział z trudem tamten. Nie należał jednak do zbyt odważnych.

Na miejscu Boldta kazałbym go rozstrzelać - pomyślał Kloss. Wiedział już teraz, kto chciał wykorzystać Ingrid dla uzyskania kontaktu z amerykańskim wywiadem. Ale dlaczego panna Kield nie zameldowała Muelle-rowi? A może zameldowała?

- Czego kazano ci tu szukać? Milczał dobrą chwilę.

-Gadaj!

- Listu - wyszeptał Stolp. Kloss wiedział już to, co chciał.

- Nie ruszaj się - rozkazał i zaczął wycofywać się powoli w kierunku drzwi. Stolp jednak skoczył; zręcznie, z reflekssem, gdy tylko przestał odczuwać dotknięcie metalu.

Kloss był szybszy; potężne uderzenie, jedno z tych uderzeń, które trenował całymi godzinami przez kilkanaście tygodni, rzuciło Stolpa na podłogę. Kloss oświetlił na chwilę jego twarz latarką i zamknął za sobą drzwi. Zbiegł ze schodów. Teraz wiedział już wszystko, miał nawet plan działania, tylko bardzo niewiele czasu...

5

Willa generała Boldta znajdowała się daleko od śródmieścia, w dzielnicy, która powstała już w latach trzydziestych; trzeba było przeciąć Tiergarten i wyskoczyć na szeroką aleję, pnącą się nieco pod górę. Domki stały w ogrodach, odgrodzone od ulicy metalowymi siatkami, porządne i schludne, wszystkie doskonale jednakowe. Numer 58 powinien znajdować się niedaleko. Kloss zwolnił, potem zeskoczył z motoru; szedł pustym chodnikiem. Panowała cisza, rozlegało się tylko szczekanie psów.

Pomysł był niezwykle ryzykowny, sądził jednak, że nie może postępować inaczej. Musiał mieć pewność, że Ingrid Kield znajduje się w rękach von Boldta i że nie odzyska wolności, jeśli w ogóle odzyska wolność, wcześniej niż następnego dnia. Wiedział, że rozmowa z generałem nie będzie łatwa, miał jednak w ręku niebagatelne atuty. Nie starczyło co prawda czasu na odtworzenie treści zaszyfrowanej notatki, ale Kloss był pewien, że to właśnie von Boldt kontaktował się z Kirsthovenem za pośrednictwem Ingrid. Stolp, powiedzmy, poprzedniego dnia, doręczył panie Kield kartkę do rezydenta amerykańskiego wywiadu, a niedługo potem generał dowiedział się (może od Schultza, bo Schultz odgrywał w tym jednak jakąś rolę), że Ingrid pracuje dla gestapo.

Przestraszył się dekonspiracji i postanowił działać natychmiast.

Czy kazał zlikwidować Ingrid?... Gdyby Kloss mógł być tego pewien! Znał tych generałów, którzy po Stalingradzie zaczęli spiskować przeciwko fuehrerowi. Zerkali na zachód, ale byli gotowi do ostatek walczyć ze wschodem. Nie mógł nie brać więc pod uwagę i takiej możliwości, że Boldt dogada się jednak z Ingrid, a może nawet z Muellerem...

Tymczasem postanowił wykorzystać do końca swoje atuty. Ze są ważkie, sprawdził to podczas telefonicznej rozmowy z von Boldtem. Pojechał najpierw do sztabu

Oberkommando der Wehrmacht, gdzie urzędował generał. Oficer dyżurny przyjął go ze zdziwieniem i oświadczył, że von Boldta już nie ma, a do domu wolno telefonować tylko w wyjątkowo ważnych sprawach. Kloss przedstawił się i zażądał połączenia.

-Nie przyjmę dzisiaj nikogo - usłyszał głos von Boldta, gdy zameldował się słuźbiście.

- Chodzi o zadanie, które pan generał zlecił porucznikowi Stolpowi - powiedział cicho i z naciskiem.

Po drugiej stronie przewodu trwało milczenie; stary Prusak zapewne zastanawiał się.

- Proszę przyjechać — rzucił wreszcie szorstko do słuchawki.

Przy furtce stał żołnierz Wehrmachtu. Gdy usłyszał nazwisko Klossa, nacisnął przycisk, drzwi odskoczyły; na schodach prowadzących do willi czekał już porucznik Stolp. Był bez czapki, głowę miał obandażowaną.

Nie powinien mnie poznać - pomyślał Kloss - starałem się zmieniać głos... a jeśli mnie pozna...

- Pan generał czeka - powiedział sucho Stolp.

W przedpokoju zostawił płaszcz; wahał się chwilę, ale czarną teczkę wziął ze sobą. Myślał o tej zabawce wypełnionej plastykiem, która spoczywała sobie spokojnie między papierami na dnie teczki. Jeśli nie byłoby innego wyjścia... Ogromny pokój, ciężkie meble, biurko pod wielkim portretem Bismarcka. Na ścianach jeszcze Hin-denburt i Clausewitz. W swoim prywatnym sanktuarium generał von Boldt nie umieścił fotografii fuehrera. Siedział w głębokim fotelu za biurkiem, czerstwy, ogorzały, monokl wykrzywiał lekko twarz. Spoglądał na Klossa tak, jak spogląda się na niezbyt zdyscyplinowanych podwładnych, którym starcza tupetu, by zakłócać spokój zwierzchnikom swymi błahymi kłopotami. Dewizą generała było od dawna: „W zakresie mojej władzy nie może się zdarzyć nic nadzwyczajnego”.

Nie podał Klossowi ręki, wskazał rnu tylko krzesło. Porucznik nie zamierzał wykladać swoich kart, a przynajmniej nie zamierzał robić tego od razu.

- Jestem przyjacielem panny Ingrid Kield - zaczął i spojrzał na generała, ale twarz starego Prusaka pozostała nieruchoma. - Mam powody przypuszczać - ciągnął dalej Kloss - że pan generał rozporządza informacjami (sądził, że zrećcznie to sformułował) dotyczącymi losów tej młodej osoby.

- Pan chyba oszalał! - powiedział generał, a Kloss pomyślał, że każdy pruski oficer straciłby resztę odwagi na widok generalskiego gniewu. On jednak nie był pruskim oficerem i nieruchoma twarz Boldta oprócz nienawiści budziła w nim tylko namiętność gracza.

- Oczywiście pan generał może zaprzeczyć - mówił spokojnie — dojdę wówczas do wniosku, że to porucznik Stolp na własną rękę i bez rozkazu zamierzał przeszukać mieszkanie panny Kield, posługując się jej własnymi kluczami...

- Moi oficerowie działają tylko na rozkaz — oświadczył generał zapalając cygaro.

Jest jednak w pewnym sensie lojalny - pomyślał Kloss.

- Pozwoli pan zapalić, panie generale? - zapytał.

- Tak - warknął von Boldt nie podając mu cygara.

- Jeśli więc - Kloss już niemal szeptał - Stolp nie działał z własnej inicjatywy, to to, czego szukał, potrzebne było właśnie panu generałowi. A klucze mógł rnieć wyłącznie od Ingrid Kield, która zniknęła w tajemniczych okolicznościach około szóstej trzydzieści wieczorem.

- Czego niby szukał Stolp? - generał wyjął monokl i przyglądał się teraz Klossowi z pewnym zainteresowaniem.

" - Na to pan generał znajdzie bez trudu odpowiedź - odrzekł grzecznie porucznik.

- Bzdura! Nie cierpię insynuacji, młody człowieku!

- Sądzę - gniew generała nie czynił na Klossie żadnego wrażenia - że Stolp źle wykonał swoje zadanie.

Mierzyli się wzrokiem; w życiu generała von Boldta nie zdarzyło się jeszcze ani razu, by jakiegoś oberleutnanta musiał traktować jak równorzędnego partnera.

- Czego pan właściwie chce? - warknął. Kloss uśmiechnął się leciutko; twarz generała nie była już doskonale nieruchoma.

- Niewiele, panie generale. Potwierdzenia - nie umiał przez chwilę znaleźć właściwego słowa - że Ingrid Kield znajduje się w pańskiej dyspozycji. I informacji, co pan zamierza z nią zrobić.

Generał milczał. Po chwili wahania podał Klossowi cygaro. I srebrny nożyk.

- Skąd pan wie o Stolpie? - zapytał.

- Widziałem go w mieszkaniu panny Kield.

- To pan go tak urządził?

-Tak.

- Co pan jeszcze wie?

- Wystarczająco dużo - powiedział Kloss. Ciągłe nie zamierzał wyklądać swoich kart.

- Nic pan nie wie — stwierdził dość nieoczekiwanie generał. - Czy marzyły się panu laury w gestapo?

- Nie powiedziałem, że zamierzam iść do Muellera. On poszukuje panny Kield na własną rękę.

Spojrzał na generała i pomyślał, że popełnił chyba jakiś błąd. Von Boldt się uśmiechał. Po chwili twarz starego Prusaka stwardniała.

- Stolp naopowiadał panu bzdur. (Nie wierzy - pomyślał Kloss - że znalazłem tę kartkę, ale nie będę wyprowadzał go z błędu). Jeśli pan jest uczciwym niemieckim oficerem, a ciągle jeszcze tak pana traktuję -brzmiało to niemal patetycznie - powinien pan mieć do mnie zaufanie i rozumieć, że wszystko co robię, robię dla wielkości Niemiec. - Spojrzał na portret Bismarcka. - Honor oficerski nakazuje panu milczenie i posłuszeństwo.

Stary cymbał - pomyślał Kloss ze złością. - Gdybym mu powiedział, że mam ten liścik do Kirsthovena... -Spojrzał na swoją teczkę, leżącą obok na podłodze. — Mógłby mnie kazać zlikwidować, chociaż oficer dyżurny wie, że do mego pojechałem... Oficer dyżurny będzie milczeć.

Rozważał to wszystko, gdy mówił:

- Więc pan generał me zechce mi powiedzieć czegokolwiek o Ingrid Kield?

- Nic pan nie uzyskał. -I po chwili: - Mogę panu poradzić, młody człowieku, żeby pan o niej zapomniał. To już bardzo dużo - pomyślał Kloss.

- I żeby pan zapomniał o naszej rozmowie.

-Jak najchętniej, panie generale - zabrzmiało to jednak dość poufale. -Jak najchętniej - powtórzył. - Gdybym mógł mieć tylko pewność...

-Jaką pewność?

- Ze Ingrid Kield nie odjedzie rannym pociągiem do Sztokholmu.

Pomyślał, że powiedział jednak za dużo. Twarz generała wyrażała teraz zdziwienie. Wcisnął monokl w oko i przyglądał się Klossowi z nieklamany z zainteresowaniem.

- Nie rozumiem.

- Czy mógłbym mieć taką pewność?

- Powiedzmy - rzekł generał von Boldt.

- Wobec tego pan generał pozwoli, że się odmelduję.

Obaj popełniliśmy błędy - myślał, zapinając płaszcz w korytarzu. - Stary Prusak nie próbował nawet wyciągnąć ze mnie, co wiem naprawdę, a ja powiedziałem odrobinę za dużo. Jeśli Ingrid wyzna Boldtowi, jakie zadanie wyznaczył jej dzisiejszej nocy Mueller, generał może domyślić się, o co chodzi i będzie miał mnie w ręku. Ale ja też trzymam go w ręku, więc złapał Kozak Tatarzyna...

Byle tylko nie wypuścił Ingrid! Ciekaw jestem, jaki będzie jego następny ruch? Co zrobi?

Generał von Boldt nakręcił pewien zastrzeżony numer i długo czekał, zanim usłyszał znajomy głos. Potem wezwał Stolpa i kazał przyprowadzić do swego gabinetu Ingrid Kield.

6

Ingrid Kield, dziewczyna, którą Hans Kloss od dwudziestu przeszło godzin usiłował bezskutecznie zabić, siedziała naprzeciwko generalskiego biurka.

- Pali pani? - zapytał von Boldt.

- Mogę nie palić i nie pić - odpowiedziała, każdym gestem starając się dać wyraz swej obojętności i pogardzie. Spoglądała na portret Bismarcka; twarz żelaznego kanclerza wydawała się sympatyczniejsza i bardziej ludzka niż twarz właściciela gabinetu.

- Nie lubię toczyć wojen z kobietami - oświadczył von Boldt.

- Natomiast lubi pan więzić kobiety w prywatnej piwnicy - odparowała natychmiast.

- Nie grajmy w ciuciubabkę, droga pani. - Stary Prusak wcisnął monokl w oko i sięgnął po cygaro. - Stawka jest bardzo wysoka. Nie myślę oczywiście o mnie i moich podwładnych, myślę o Niemczech. Dobrowolnie zadeklarowała pani swoją pomoc i zgodziła się przekazać otrzymany ode mnie list... - chrząknął - właściwej osobie w Sztokholmie.

- Wykonałabym swoje zobowiązanie.

- Pani raczy żartować - powiedział grzecznie generał. - Dziś rano poinformowano mnie, że jest pani... - chrząknął znowu - współpracownicą Muellera z gestapo. Czy to prawda? - rzucił ostro.

Wahała się niedostrzegalnie krótko.

- Tak, to prawda. Von Boldt westchnął.

- Nie chciałem wierzyć - rzekł - gdy otrzymałem ten meldunek. Nie pytam, dlaczego pani tak postąpiła, ale żądam teraz jasnych i szczerych odpowiedzi. Nie wiem, czy będę mógł zwrócić pani

wolność, ale, ale nie wykluczam, że dam szansę przeżycia. Proszę mówić. Co wie Mueller?

- Nic - odpowiedziała Ingrid.

- Kłamstwo. - Generał nie podnosił głosu. - Gdzie jest mój list?

-W moim mieszkaniu.

- Dokładnie gdzie?

- Panie generale - Ingrid po raz pierwszy spojrzała na niego - zwrócę panu list, jeśli zwróci mi pan wolność. Przysięgam, że nie powiedziałam Muellerowi ani słowa. Ja... - chciała mu teraz wyjaśnić najtrudniejsze, ale była pewna, że nie zrozumie.

Co może wiedzieć pruski generał o miłości? Żyła wyłącznie dla Heiniego, myślała tylko o Heinim. „Mamy prawo nienawidzić” - powiedział kiedyś Heini. Gdy zginął, powtarzała te słowa, dodając: „Mamy prawo do zemsty”. Zemsta stała się treścią jej życia. Wystawiła rachunek mordercom swego chłopca... Nie czuła wyrzutów sumienia ani litości, gdy przekazywała Muellerowi kolejne ofiary. „Śmierć Heiniego Koetla - stwierdził hauptsturmfuehrer - będzie ich drogo kosztowała. -I dodał: - Rozumiem i cenię pani nienawiść. Ja też nienawidzę”.

Poczuła, że generał przygląda się jej uważnie.

-Ja... - powtórzyła. I dodała bezbarwnie: - Pracuję tylko przeciwko Polakom.

Generał milczał chwilę; jego nieruchoma twarz jakby złągodniała.

- Gdybym mógł w to uwierzyć... - wzruszył ramionami. - Drobne i niezbyt zręczne kłamstewka, droga pani. Szczerłość udowadnia się inaczej.

- Myślałam - szepnęła cicho - że pan, dowódca Heiniego, będzie miał do mnie zaufanie. - Właściwie było już jej niemal wszystko jedno, czy ten starszy pan raczy obdarzyć ją zaufaniem. Bała się powrotu do Sztokholmu, bała się samotności. Kiedyś prosiła Muellera, żeby dał jej zadanie naprawdę ryzykowne; gotowa była choćby pojechać do Warszawy, której nigdy nie widziała, i zobaczyć ulice, gdzie zginął Heini, ludzi, którzy patrzyli z okien na jego śmierć i jeśli nawet nie strzelali, cieszyli się tym strzałem.

A Heini był przecież z nimi. Zabijając go, zdradzili. Dlatego ona - zdradzała.

- „Nic nie rozumiesz z tej wojny - mawiał Heini - jesteś głupiutką Szwedką. Ale bardzo kochaną” - dodawał natychmiast.

- Ja mam ufać współpracownikowi gestapo? - powiedział generał. I zaraz potem padły te słowa, których wolałaby nie usłyszeć nigdy. Zdawało się Ingrid, że obudzono ją nagle ze snu i wprowadzono w rzeczywistość tak okrutną, tak nagą i odartą z wszelkiego sensu, że wszystko, co może stać się potem, będzie już tylko bólem i rozpaczą.

- Ufać kobiecie - powtórzył generał - współpracującej z tym samym Muellerem, który zlikwidował najbliższego jej człowieka.

- Co pan powiedział?! - krzyknęła. - Heiniego zabili Polacy.

Generał nie znał litości.

-To oficjalna wersja, droga pani - wyjaśnił. - Nie mam już powodu tego ukrywać. Okazało się, że porucznik Koetl zdradził, współpracował z polską organizacją podziemną. Mueller zlikwidował go osobiście. Ja wolałbym naturalnie sąd polowy, ale metoda Muellera ma także swoje dobre strony; krewni Koetla, a głównie jego ojciec, nie mieli żadnych przykrości, a pani... Myślałem zresztą, że Mueller wszystko pani wytłumaczył...

Milczała. Nie umiała już płakać.

Zdawało się jej, że słyszy głos Heiniego: „Jesteś tylko głupiutką Szwedką”... Potem pomyślała o ludziach, których wydała w ręce gestapo. Zobaczyła twarz zabitego na dworcu. „Nie udało się” - powiedział Mueller. Mueller wolał mordować osobiście.

- Powtarzam jeszcze raz pytanie - ciągnął generał -gdzie jest mój list?

Co ją teraz obchodzi generał von Boldt albo list do Kristhovena? Milczała patrząc na generała nienawistnymi oczyma.

- Nie chce pani mówić! - generał tracił już cierpliwość. — A może zechce pani powiedzieć, kto to jest porucznik Kloss? Dlaczego go tak pani interesuje?

Kloss? Wydawało się jej, że wieczór spędzony w „Złotym Smoku” należy do niezmiernie odległej przeszłości., Kiedy to było?

- Klossowi zależało na tym, żeby nie pojechała pani rannym pociągiem do Sztokholmu. Dlaczego? Słyszysz mnie pani?

- Słyszę - powiedziała niechętnie... Klossowi zależało... Pomyślała, że Mueller poszukuje jej niecierpliwie i że jeszcze jeden człowiek, człowiek, którego miała spotkać na dworcu, znajdzie się niedługo w śmiertelnym niebezpieczeństwie... - Niech pan mnie puści -szepnęła.

- Najpierw wszystko pani powie. Proszę się zastanowić. Daję czas do rana.

Piwnica, do której ją znów przyprowadzono, była duszna i wilgotna. Wysoko, nad twardą ławką, znajdowało się szczelnie zamknięte, zakratowane okienko. Na kamiennej podłodze żołnierz Wehrmachtu postawił szklankę herbaty i talerz z chlebem posmarowanym margaryną i powidłami. Nie zamierzali jej głodzić.

- Nie będę jadła - powiedziała Ingrid.

Żołnierz, młody chłopak w hełmie i z automatem, oglądał ją z niemal żarłoczną ciekawością...

Może widział ją na scenie? Może nigdy nie miał do czynienia z kobietami takimi jak ona, z kobietami z innego świata.

_ Niech pani je, Fräulein - szepnął łagodnie. Potem rzucił na ławkę swój płaszcz. - W nocy jest zimno.

Wyszedł, ostrożnie zamykając drzwi za sobą. Usłyszała szcęk klucza. W drzwiach znajdowało się coś w rodzaju judasza, wąskie okienko, a właściwie szczelina, przez którą zobaczyła, ciemny korytarzyk i żołnierza tkwiącego na stołku pod ścianą. Automat postawił obok siebie, zdjął but, skarpetkę i masował sobie stopę. W domu panowała już zupełna cisza. Ingrid krążyła na wąskiej przestrzeni między drzwiami a ławą, liczyła kroki, strając się nie myśleć, nie czuć, nie pragnąć. A jednak czuła i pragnęła. Wiedziała, że musi stąd wyjść, że znowu ogarnia ją żądza zemsty, a potem.., Wiedziała już, co będzie potem i me czuła lęku...

Po paru minutach miała już gotowy plan; żal jej było trochę tego żołnierzyka, który rzucił na ławkę swój płaszcz, ale nawet, gdyby musiała zabić, zabiłaby bez wahania.

Rozpięła bluzkę, zaczęła, walić do drzwi, potem krzyknęła. .. Szczęknął zamek, stał na progu, z automatem na ramieniu.

- Co się stało, Fräulein?

- Duszno mi - krzyknęła. - Nie mam czym oddychać. Proszę otworzyć okno. Dla mnie za wysoko.

Spojrzał w górę, na zakratowaną szczelinę, stanął na ławce, przeszkadzał mu jednak automat, oparł go więc o ścianę.

Wszystko przebiegało tak, jak sobie wyobrażała. Mocował się z tym oknem, bo było zawarte na głucho; wreszcie ustąpiło. Ostrożnie schodził z ławy i właśnie w tej chwili Ingrid chwyciła automat i z całej siły uderzyła go kolbą po głowie. Stoczył się z ławy, a właściwie usiadł na podłodze i na jego twarzy zastygł wyraz zdziwienia. Wybiegła na korytarz.

Schody prowadziły do jakiejś sieni, obszernej i ciemnej. Ingrid wymacała drzwi, otworzyła je ostrożnie, znalazła się w kuchni. Zobaczyła duże okno i księżyc wiszący nad ogrodem. W całym domu panowała cisza. Była wolna. Za chwilę wyskoczy przez okno i sforsuje płot okalający willę. Znajdzie się w odległej, nie znanej sobie dzielnicy Berlina. Ruszy piechotą ku śródmieściu.

W czasie, kiedy Ingrid Kield rozmawiała z generałem von Boldtem, Kloss szedł długim, znakomicie oświetlonym korytarzem gmachu Abwehry. Oficer dyżurny otworzył drzwi; znaleźli się w pierwszym sekretariacie. Kapitan siedzący przy biurku spojrzał na Klossa i podniósł słuchawkę telefonu. Zameldował, poczekał na odpowiedź i wreszcie warknął:

— Proszę iść dalej.

Ten ceremoniał został powtórzony jeszcze dwukrotnie. Przed każdymi drzwiami stał podoficer Wehrmachtu, wyprostowany i obojętny, przypominający raczej posąg niż wartownika. Kloss był kiedyś u admirała, znał ten ceremoniał, który wówczas wydawał mu się bardziej śmieszny niż groźny. „Metoda wpływania na wyobraźnię” - myślał czekając w ostatnim sekretariacie przed biurkiem już nie kapitana, ale podpułkownika.

Gdy wjechał na parking Abwehry, żeby odstawić motocykl, i zobaczył Schultza, od razu zrozumiał, że generał von Boldt zdążył szybciej, niż on był przypuszczał, wykonać następny ruch.

- Sam stary chce cię widzieć — powiedział Schultz. -Natychmiast!

Więc Boldt zatelefonował do admirała! Czyżby to Canaris za pośrednictwem starych Prusaków szukał kontaktów z amerykańskim wywiadem? Kloss rozumiał, w jak bardzo niebezpiecznej znalazł się sytuacji. Admirał to nie Boldt! Wszystkie atuty, które Kloss posiada, mogą się natychmiast obrócić przeciwko niemu. Zamierzenia szefa niemieckiego wywiadu pozostaną tajemnicą, ten stary gracz nigdy niczego nie robi wprost, intrygi, które mota, są zawsze wielopiętrowe; może rozgrywa Boldta przeciw Himmlerowi, a może zamierza sprzedać Boldta, zyskując zaufanie fuehrera, bo to właśnie on, a nie Kaltenbrunner wpadł na ślad spisku... Nie wiadomo zresztą, co mu Boldt powiedział. Jaką więc przyjąć taktykę? Kloss zdecydował, że istnieje tylko jedna szansa...

- Teczki i broń proszę zostawić w sekretariacie -oświadczył podpułkownik. Otworzył szerokie drzwi.

Od progu do biurka umieszczonego w głębi ogromnego pokoju — kilkanaście kroków. Kloss szedł jak na placu ćwiczeń, a potem zastygł patrząc na admirała, drobnego i niepozornego pod wielkim portretem fuehrera. Szef oglądał go z miernym zainteresowaniem znudzonego zwierzchnika. Jego twarz przypominała drapieżnego ptaka.

-Hans Kloss -powiedział-porucznik. Dla kogo pan pracuje?! - krzyknął.

Kloss wiedział, że odpowiedzi muszą być udzielane natychmiast i bez namysłu. Wszystko zależy od tego, czy ten specjalista od tajnej wojny uzna wiarygodność jego słów.

- Pracuję dla pana, panie admirale!

- Dlaczego interesuje pana Ingrid Kield?

- Zakochałem się w niej — odpowiedź Klossa udzielona została bez sekundy wahania.

Admirał milczał. Przyglądał się znowu Klossowi i rozważał zapewne tę odpowiedź. Mierzył jej prawdopodobieństwo.

- Pan jest chyba idiotą, Kloss! - warknął.

- Tak jest, panie admirale - oświadczył natychmiast porucznik. Miał ciągle nadzieję; byłoby to

niezłe wyjście, gdyby Canaris uwierzył, że Kloss jest postacią raczej komediową. Niezręczny kochanek zaplątany w rozgrywkę, której sensu nie jest w stanie zrozumieć.

- Więc to już ustaliliśmy - uśmiechnął się nagle nieco łagodniej admirał. - A teraz szybko, co pan wie!

Trzeba naprawdę mówić szybko, bez wahań, bez dobierania słów. Admirał może rozpoznać natychmiast każdy fałszywy ton. Kloss opowiedział więc, że zniknęła Ingrid, on postanowił jej szukać na własną rękę i w tym celu udał się do jej mieszkania. Tam zaskoczył Stolpa, adiutanta generała von Boldta, który mu wyznał, że poszukuje z rozkazu swego zwierzchnika jakiegoś listu.

- Byłem pewien, panie admirale — mówił Kloss — że chodzi o listy miłosne generała pisane do panny Kield. Panna Kield nie chciała mu ich zapewne zwrócić, a generał obawiał się kompromitacji. Podejrzywałem, że generał usiłował pertraktować z panną Kield i że znajduje się ona u niego w mieszkaniu. Przyznaję, działałem pod wpływem zazdrości i lęku o moją dziewczynę...

Czy uwierzy? Czy istnieje jakakolwiek szansa, żeby przełknął tę bajeczkę?

- Szantażował pan generała?

- Sądzę, panie admirale, że to określenie nie jest właściwe.

Admirał znowu rozważał odpowiedź. Przymknął nawet oczy; był pewno bardzo zmęczony, jego twarz wydawała się niemal szara.

- Pan kłamie, Kloss - powiedział wreszcie cicho. -Dość umiejętnie, ale kłamie. Pan nie jest takim idiotą, jakiego chciałby zagrać w moim gabinecie.

- Jestem szczerzy, panie admirale! - zawołał porucznik. Czuł jednak, że od przeciągnięcia struny dzieli go tylko krok.

- Szczerość! - skrzywił się admirał - W naszej służbie! Słyszałem coś niecoś o panu. Dobrze... jestem gotów przełknąć tę wersję - jego głos zabrzmiał ironicznie. - Zakładam, że nie chce pan sprawiać zwierzchnikowi kłopotów... głupstwami. Bo to głupstwa, prawda? -Pojawiły się władcze tony. -Jeśli obaj coś wiemy, to znaczy, jeśli pan sądzi, że ja wiem również, jest to tylko przypuszczenie. Rozumiemy się?

- Tak jest - odpowiedział Kloss.

- Należy więc milczeć. Pan już o wszystkim zapomniał.

I przypomni sobie tylko na wyraźny mój rozkaz. Jeśli taki rozkaz wydam, wówczas pańska pamięć ulegnie od świeżeniu. A gdyby chciał pan popracować dla kogo innego, znajdę pana choćby pod ziemią. Człowiek Muellera rozmawiał z panem i Schultzem przed paroma godzinami, tak?

- Tak jest.

- Ich interesuje ta sprawa. Sądzę, że wersja, jakoby generał von Boldt miał mieć cokolwiek wspólnego z Ingrid Kield, jest wyłącznie produktem pańskiej fantazji. Może się panu przyśniła.

-Tak jest!

Admirał uśmiechnął się cierpko.

- Pańskie stany emocjonalne nic mnie nie obchodzą, Kloss, ale o Ingrid Kield niech pan zapomni. Na zawsze.

Kloss wziął z sekretariatu płaszcz i teczkę. Chyba nie zaglądali do teczki! Gdyby zaglądali, miałby niewielkie szansę opuszczenia tego gmachu. Wymacał przez cienką skórę kształty swej zabawki z plastyku. Jest!

Ruszył powoli szerokim korytarzem, mijając wartowników przy drzwiach. Te żywe posągi wydawały się go nie dostrzegać. Odetchnął pełną piersią dopiero wówczas, gdy znalazł się na ulicy. Nie żywił jednak żadnych złudzeń; to nie był koniec, ta noc przyniesie mu zapewne jeszcze niejedną niespodziankę. Przecież Mueller i jego ludzie szukają Ingrid Kield po całym Berlinie; czy hauptsturmfuehrer kazał go obserwować? Jeśli nawet tak, Kloss sądził, że udało mu się zgubić pieski gestapo na drodze ze sztabu do Boldta. Nie był jednak pewien. Postanowił iść do domu i oczekiwać wezwania Muellera; nie wątpił, że nastąpi.

Najgorsze jest to - myślał - że znalazłem się między Canarisem i Kaltenbrunnerem. Ma to jednak także dobre strony. Informacja o intrygach Abwehry i próbach nawiązania kontaktu z Amerykanami przyda, się centrali. Trzeba patrzeć na ręce sprzymierzeńców! A spiszek oficerski?

Mimo woli wydał pogardliwie wargi; nie ufał im oczywiście, tym panom w mundurach, spełniającym wszystkie rozkazy fuehrera na wschodzie i na zachodzie. Był gotów ich ratować przed gestapo, jeśli to okaże się możliwe, ale nic więcej. Tak czy inaczej, pan hauptsturmfuehrer Mueller wiele się od niego nie dowie.

Zaproszenie do gestapo nastąpiło jednak znacznie wcześniej, niż był przypuszczał. Zanim dotarł na Kurfurstendamm, przy krawężniku przyhamował czarny samochód. Wskoczył zeń Fritz Schabe i w miarę grzecznie zaprosił Klossa do wnętrza. Siedząc między SS-manami o twarzach równie nieruchomych jak wartownicy u Canarisa, porucznik rozważał dwie sprawy, które wydawały mu się teraz najistotniejsze: czy Mueller wie, o jego wizycie u Boldta i co zrobić z czarną teczką? Jeśli potraktują go jak aresztowanego, odbiorą teczkę. A wówczas... Poczul gorycz w ustach. Koniec, a on nie ma przy sobie cyjanku. Czy wytrzyma? Należy starać się doprowadzić gestapowców do pasji; istnieje wówczas szansa, że zastrzelą dostatecznie wcześnie.

W gabinecie Muellera paliło się jaskrawe światło. Kloss siedział na krześle pośrodku pokoju. Teczkę trzymał na kolanach. Powinien zdążyć sięgnąć ręką do wnętrza; ta świadomość działała uspokajająco. Powracała doń powoli pasja gracza, namiętność pokerzysty, której się czasem wstydził, a która przecież pomagała w najtrudniejszych chwilach.

- Gadaj, gdzie jest Ingrid Kield?! - ryczał Mueller. Kloss milczał.

- Gadaj! - wrzasnął gestapowiec. Metody tego specjalisty były jednak dość prymitywne.

- Chciałbym ci przypomnieć - powiedział Kloss - że rozmawiasz z niemieckim oficerem.

Przez chwilę myślał, że Mueller go uderzy; widział jego twarz bardzo blisko: wytrzeszczone oczy i latającą grdykę. Gestapowiec opanował się jednak.

- Nie chce pan mówić - wycedził. Akcentował słowo „pan”. - Myśmy mieli do czynienia z różnymi niemieckimi oficerami.

- Nie wiem - oświadczył spokojnie Kloss. - Niestety, nie udało mi się ustalić, gdzie jest Kield.

Jego chłód i poprawność wyprowadzały Niemców z równowagi.

- Czego dotyczyła konferencja z admirałem? - rzucił pytanie Mueller.

Więc to wiedzą - pomyślał Kloss.

- Proszę zatelefonować do admirała - odpowiedział natychmiast.

- Pan z nas kpi! - wrzasnął Mueller - Pan chyba nie miał nigdy do czynienia z gestapo. Skąd pan wie, czy pan w ogóle stąd wyjdzie... Ja... - zachłysnął się własnymi groźbami.

Teraz - pomyślał Kloss. Zerwał się z krzesła. Jego wrzask nie ustępował w niczym wrzaskowi Muellera.

- Wstyd mi za was! - ryczał Kloss. - Zachowujecie się jak prości SS-mani! Jak traktujecie oficera, który chce z wami współpracować! Jak wroga!

- Pan chce z nami współpracować? - powtórzył Mueller. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. - Może papierosa, oberleutnant?

Krzyk działa na nich jednak bez pudła - pomyślał Kloss.

- Chętnie zapalę — powiedział.

-Więc porozmawiajmy rozsądnie. Niechże pan siada. Czy rozmowa z admirałem dotyczyła Ingrid Kield?

Kloss zaciągnął się papierosem. Czuł się właśnie jak pokerzysta, który ma dwie pary i nie może dopuścić do sprawdzenia. Przeciwnik posiadał przynajmniej fula.

- I tak, i nie - oświadczył.

Na twarz Muellera powróciła nieufność.

- Co to znaczy? - warknął.

- Admirał - mówił powoli Kloss - chciałby bardzo wiedzieć, dlaczego interesuje was Ingrid Kield. Zrugął nas, to znaczy mnie i Schultza, za to, że wypuściliśmy ją z rąk. Uważa, że była do wykorzystania.

- Ach, tak! - trudno było poznać, czy Mueller wierzy.

- Więc sądzi pan, że admirał nie wie, gdzie jest ta Kield?

- Nie wie - rzekł Kloss. Myślał jednocześnie, że nie jest wcale wykluczone, że Canaris zechce go któregoś dnia sprzedać; nie dałby grosza za lojalność szefa niemieckiego wywiadu, teraz nie mógł jednak grać inaczej.

-Przypuszczaliśmy—mówił Mueller — że jednak abweh-rowcy maczali w tym palce. Sprzątnęli nam znakomitą agentkę —wrzasnął, me panując znowu nad sobą - bo zazdroszczą mi sukcesów. Canaris chciałby dowieść fuhrerowi, że tylko jego aparat się liczy. Ale to mu się nie uda.

- Panie standartenfuehrer — powiedział Kloss i znowu poczuł powiew wielkiej gry - wczoraj wieczorem byłem z Ingrid w „Złotym Smoku”. Widziałem, jak w barku rozmawiała z jakimś młodym człowiekiem po cywilnemu...

- Obaj gestapowcy słuchali z ogromną uwagą, a Kloss snuł dalej swój fantastyczny wątek. - Nie przywiązywałem do tego oczywiście wagi, zapomniałem nawet o tym, dopiero dzisiaj późnym wieczorem skojarzyłem jakoś ten fakt ze zniknięciem.. (Jeśli jednak Boldt wypuści Ingrid, będę pięknie wyglądał - myślał. Nie wierzył już, po rozmowie z admirałem, by to było możliwe). Otóż...

- Jak wyglądał ten mężczyzna?! -wrzasnął Mueller.

-Wysoki. Twarz szczupła, pociągła. Charakterystyczna szrama na policzku, podobnie jak u pana Schabego...

Urwał. Muller spojrzał podejrzliwie na swego pomocnika.

- Nie słyszałem, niestety, rozmowy, ale gdy ich mijalem, parę słów utkwiło mi w pamięci: jutro w Poczdamie.

- Dlaczego pan nic nie mówił?

- Byłem zazdrosny o Ingrid. Sądziłem, że chodzi o jakąś randkę. W nocy objeździłem Poczdam...

- Ach, więc był pan motocyklem w Poczdamie?

- Tak - powiedział Kloss.

- Schabe! - zawołał Mueller. - Rezerwa i do Poczdamu! Chce pan jechać z nami?

- Nie. Wolę już wrócić do domu - oświadczył. - Myślę, że mam dosyć na dzisiaj.

Tego się jednak nie spodziewał. Gdy weszli do garażu w głębi jakiegoś podwórka i gdy spojrzal na ich twarze, chłodne, zdecydowane, zrozumiał, że najtrudniejsze ma jeszcze przed sobą. Czekali na niego niedaleko gmachu gestapo. Wychynęli z cienia i ujęli go pod ramiona... Schultz i Stolp: elegancki Schultz i toporny adiutant Boldta z głową przewiazaną bandażem.

- Oszaleliście! - powiedział.

Wprowadzili go, ciągle milczący, do tego garażu i tam obaj wyciągnęli broń. Pistolet Klossa Schultz schował do kieszeni płaszcza.

- Hans - rzekł - Hans, frajerze... myślałeś, że nas nabierzesz. Mówiłem ci: nie opuszczaj „Złotego Smoka”. Wdepnąłeś w paskudną historię, chłopcze.

- Pracujecie razem - stwierdził Kloss. - Domyślałem się tego.

- Nie cackaj się z nim! - warknął Stolp: - To on mnie tak załatwił. - Przejechał ręką po czole. - Gadaj! - zwrócił się do Klossa - co powiedziałaś Muellerowi?

Kloss parsknął nagle śmiechem. Wyjątkowo idiotyczna sytuacja! Co za kłębowski! Patrzyli na niego jęką wariata...

- Gadaj! - ryknął Stolp.

- Głupku - rzekł Kloss - gdybym cokolwiek im powiedział, nie udawalibyście tutaj bohaterów. Zresztą: sprawdźcie to za godzinę: Mueller nie przyjdzie do Boldta i nie znajdzie panny Kield.

- To już nie ma przecież znaczenia. — powiedział Schultz. - Ta dziewczyna uciekła.

Tym razem udało mu się wyprowadzić Klossa z równowagi. Więc wszystko na próżno. Cała misterna konstrukcja rozsypała się jak domek z kart. Ingrid Kield jest znowu na wolności! Śmiertelna groźba zawisła nie tylko nad łączniczką! Nad nim także.

- Idioci! - wybuchnął. - Jak mogliście pozwolić jej uciec! Niech was... - wolałby kłąć po polsku. Niemieckie więzanki nie miały tej soczystości.

Obaj oficerowie patrzyli na mego z ogromnym zdumieniem. Ten wybuch był na pewno szczery; nie mogli w to wątpić.

- Więc ty nie pomogłeś jej uciec? Oni myśleli, że to on! No, oczywiście, mieli podstawy, by tak myśleć. Teraz nic nie rozumieją.

- Nie będę ukrywał - powiedział Schultz - że jesteśmy w kiepskiej sytuacji. Ingrid Kield wie zbyt dużo. Ty też wiesz dużo...

- Ale ciebie tu mamy - dokończył Stolp i odbezpieczył broń.

- Przykro mi, Hans. - Schultz również odbezpieczył pistolet.

- Schowajcie te pukawki. - W głosie Klossa nie było lęku. Tylko wściekłość. -Jesteście durnie, przekłete durnie! Cała wasza oficerska konspiracja to dziecinna zabawka, cukierek dla gestapo... Zachowujecie się jak pajace. .. Co ty myślisz, Schultz, że nie umiałem się zabezpieczyć? W razie mojej śmierci list do Kirsthovena trafi we właściwe ręce - teraz wykladał swoje atuty. Musiał je wyłożyć! A że nieco bluffował...

- Ty wiesz! - krzyknął Schultz.

- Wiem... I jeszcze więcej. Chcę was uratować, idioci, jeszcze tym razem chcę was uratować... Schowajcie nareszcie te pukawki!... Chociaż pożytek z was, na dobrą sprawę, żaden... Nic nie jesteście warci, panowie oficerowie...

Schultz wepchnął pistolet do kabury. Stolp po chwili wahania uczynił to samo.

- Chciałbym cię, Hans, traktować jak sprzymierzeńca - rzekł.

- Traktuj, jak chcesz - Kloss wzruszył ramionami.

Potem będzie rozplątywał tę sprawę i rozegra ją do końca. Teraz interesowało go co innego:

o której uciekła Ingrid, w jaki sposób, ile jeszcze mają czasu. Właśnie to: ile zostało jeszcze czasu.

Q Wchodził na schody domu przy Albertstrasse. Rozu-x mował tak: Ingrid może postąpić dwojako: albo wróci do domu i od siebie zadzwoni do Muellera, albo z Willi Boldta pójdzie do gestapo i przyjedzie tu z Muellerem po swoje rzeczy. Dotarcie do śródmieścia o tej porze musiało jej zająć przeszło godzinę. Na dworcu powinna być o drugiej rano, by wydać jadącą z Paryża łączniczkę w ręce gestapo. Pociąg do Sztokholmu miała dwie godziny później. Należy więc przypuszczać, że te dwie godziny spędzi na dworcu. Spojrzał na zegarek: była pierwsza minut pięć. Jeśli Ingrid chce zdążyć po rzeczy, powinna być najpóźniej za dwadzieścia minut.

Nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł: a gdyby zaryzykować?

Drzwi mieszkania były zamknięte na klucz. Kloss wsłuchiwał się długo w panującą wewnątrz ciszę, potem wydobył z kieszeni swój cudowny scyzoryk. Zamek ustąpił ławiej niż poprzednio. W mieszkaniu nic się nie zmieniło; panował tu ten sam nieład, sukienki Ingrid leżały na podłodze. Kloss podszedł do telefonu: nakręcił numer Muellera. Był pewien, że zastanie hauptsturmfuehrera w gestapo. Czeka na meldunki; jego grupy operacyjne przeszukują Poczdam. Usłyszał wrzask. Mueller wrzeszczał nawet przez telefon. Przyłożył chusteczkę do ust i zmieniając głos powiedział:

- Panna Kield jest u siebie w mieszkaniu!

- Kto mówi? - spytał Mueller.

Kloss przerwał połączenie. Szef gestapo powinien tu być w ciągu najdalej dwunastu minut. Otworzył swoją czarną teczkę i nastawił „zabawkę” z plastyku na pierwszą minut trzydzieści pięć.

Sądzę, że nie popełniłem błędu - pomyślał.

Na niskim stoliku zobaczył duży wazon. Wymarzone miejsce na ładunek wybuchowy. Z tego pokoju nikt nie wyjdzie z życiem!

Gdy wszystko już było gotowe, ruszył ku drzwiom, ale właśnie w tej chwili usłyszał szcęk zamka. Miał zaledwie tyle czasu, by skoczyć za kolorową zasłonę na drzwiach balkonowych.

Weszła Ingrid Kield. Kloss widział ją przez szparę. Spojrzał na zegarek: piętnaście minut życia. Tyle jej zostało! A on?

Teraz pomyślał o sobie. Przecież on także nie opuści tego pokoju... Sądził, że Ingrid podejdzie do telefonu, ale ona opadła na krzesło, widział jej plecy. Panna Kield płakała.

Kloss poczuł nagle litość; niepotrzebną, nieuzasadnioną litość.

Spojrzał znowu na zegarek: czternaście minut do wybuchu ładunku. Zastrzeli tę dziewczynę i wyjdzie, zanim Mueller się pojawi. Odbezpieczył broń. Działał jednak zbyt powoli, jak na zwolnionym filmie; trzeba krzyknąć, zmusić ją, żeby wstała. Nie strzelił przecież w plecy szlochającej kobiecie. Za późno! Usłyszał głosy na klatce schodowej, potem kroki. Ingrid nie zamknęła drzwi na klucz! W pokoju stał hauptsturmfuehrer Mueller.

- Nareszcie! - wrzasnął. - Co się tu stało? Gdzie pani była? Kto do mnie przed chwilą dzwonił?
- Siadł ciężko na krześle, tyłem do zasłony balkonowej. - Mamy jeszcze trochę czasu. Niech pani opowiada.

- Nic nie mam do powiedzenia - rzekła spokojnie Ingrid.

- Jak to? Nie rozumiem. Nie poznaję pani.

- Proszę mi dać spokój!

- Co to, do diabła, znaczy? Niedługo pojedziemy na dworzec. Musi się pani przebrać. Kazałem Fritzowi kupić trzy goździki. Dzisiaj będziemy ostrożniejsi.

- Proszę na mnie nie liczyć - oświadczyła tym samym tonem Ingrid. - Nigdzie nie pojedę i nikogo panu nie wydam. Skończyło się.

- Co pani powiedziała?! - ryknął Mueller. Skoczył z krzesła i zawisł nad Ingrid.

- Powiedziałam, że już nie będę z panem współpracowała. To pan zabił Heiniego.

Jeszcze dziesięć minut! Na schodach są gestapowcy, w korytarzu stoi Schabe. Pozostaje tylko jedna szansa: balkon. Ale z balkonu można skorzystać w ostatniej chwili; trzydzieści sekund przed

wybuchem. A ta dziewczyna?

Zdradzała z zemsty - pomyślał Kloss. -I stary Prusak jej powiedział...

- Zapłacicie mi za to - usłyszał głos Ingrid. Mueller oparł rękę o wazon.

- Myśli pani, że tak łatwo z nami zerwać?

-Wszystko mi jedno!

- Pani nie ma wyobraźni. Pani nie wie, co ją czeka. -Musiało go sporo kosztować ściszenie głosu. Zmuszał się do łagodności. - Niech się pani uspokoi. Daję trzy minuty. Proszę się przebrać i jedziemy na dworzec...

Wyszedł z pokoju, otworzył drzwi frontowe. Kloss usłyszał podniesione głosy; Mueller rozmawiał ze Schabem. Jeszcze pięć minut! Rozsunął zasłony i trzymając odbezpieczony pistolet w ręku stanął przed Ingrid. Nie krzyknęła. Ta dziewczyna panowała jednak nad sobą.

- Cicho - szepnął i otworzył drzwi balkonowe. - Uciekajmy!

-Pan...

- Tak. Jeden z tych, których zdradzałaś. Szybko!

-Nie.

- Zginiesz za trzy minuty. Ładunek wybuchowy.

-Nie.

Kroki Muellera. Kloss skoczył na balkon. Gdy haupt-sturmfuehrer wszedł do pokoju, zobaczył Ingrid zamykającą drzwi balkonowe.

- Trochę powietrza - powiedziała.

- Pani nie zdążyła się jeszcze przebrać! — ryknął Mueller. Obok mego stał Schabe.

Siadła przy stole.

- Nie zdążyłam się jeszcze przebrać - oświadczyła -i nie sądzę, bym mogła zdążyć. - Spojrzała jeszcze na zegarek i to było ostatnie, co uczyniła świadomie. Mijały trzy minuty.

Kloss przeskoczył na balkon sąsiedniego mieszkania. Drzwi do wnętrza były otwarte. Zachowując się bardzo cicho, stąpając na palcach, wszedł do czyjejś sypialni; jakiś mężczyzna chrapał na łóżku. Kloss wyszedł na korytarz, otworzył drzwi wejściowe...

Wskazówki stanęły dokładnie na pierwszej trzydziści pięć, gdy znalazł się na Albertstrasse.

Potężny wybuch targnął powietrzem, a po chwili rozległo się wycie syren samochodów gestapo.

Kloss zwolnił kroku... Szedł powoli spokojną, pustą ulicą. Nigdzie się już nie spieszył.

HASŁO

1

Otworzył oczy i niemal natychmiast przykrył je powiekami, bo poraziła go smuga światła. Co to za bunkier? - przemknęło mu przez myśl. Skąd się tu znalazł?

Wyobraził sobie wilgotne, chropowate ściany betonowego schronu, zapragnął ich dotknąć. Poczul przeraźliwy ból w lewej ręce, potem fala gorąca uderzyła mu do głowy. Znow stracił przytomność.

Kiedy ocknął się po kilku godzinach czy może minutach i powoli, z wysiłkiem odemknął powieki, nie musiał już mrużyć oczu.

Widocznie zaszło słońce - pomyślał. Przez wąską szczelinę widział zamglony kontur, ale w żaden sposób nie mógł sobie z niczym skojarzyć tego, co widzi. -Jakiś dziwny krajobraz - pomyślał. Przypomniął sobie, że przecież jest w bunkrze, tylko nadal nie wiedział, skąd się tu znalazł.

- Poruczniku Kloss - usłyszał. Nie mylił się, to był kobiecy głos. Skąd kobieta w bunkrze? Nie, przecież to nie kobieta, to jego ordynans, Kurt.

- Kurt - powiedział, ale nie usłyszał swego głosu.

- Poruczniku Kloss - znow ten kobiecy głos. Na pewno stanęła gdzieś za nim, wystarczy tylko obrócić się, by ją zobaczyć. Ale dlaczego tak trudno zmienić pozycję?

I nagle ujrzał twarz kobiety tuż przed sobą. Nie mógł tego pojąć. Widział ją przez wąską szczelinę tuż przed oczyma, to znaczy musi być na zewnątrz tego bunkra, a słyszy ją tak, jak gdyby była tuż obok. Coś wtrągnęło między jego oczy a niewyraźny zarys kobiecej sylwetki. I zaraz potem poczuł przyjemny, chłodny dotyk. Już wiedział - to była ręka kobiety. Zobaczył siebie, ileż to lat temu - piętnaście, a może więcej? Chorował na szkarlatynę, leżał w pokoju o zasłoniętych oknach i czekał, czekał na coś. Aż wreszcie przyszła matka, położyła mu chłodną dłoń na czole i wiedział już, że właśnie tego dotknięcia oczekiwał.

Mamo - chciał powiedzieć, wbrew zgrubiałym wargom - jestem bardzo chory, mamu. - Ale wiedział, że to zbyt trudne...

Znow dostrzegł kobietę w polu widzenia. I nagle zachciało mu się śmiać. Zrozumiał, skąd to

wyobrażenie, że znalazł się w bunkrze i patrzy na świat przez wąską szczelinę. Miał obandażowaną głowę, tylko oczy pozostały nie zasłonięte. A kobieta, która się nad nim pochyła, nie jest matką. To młoda, ładna dziewczyna. Spod białego czepka z czerwonym otokiem wyglądają kosmyki ciemnych włosów.

-Jak się pan czuje, poruczniku Kloss? Czy może pan odpowiedzieć? - usłyszał jej głos.

Zrozumiał, co mówiła, choć zdał sobie równocześnie sprawę, że słowa te wypowiedziane zostały w innym, jakimś obcym języku. Innym językiem mówiła do niego matka, w innym formułował przed chwilą swoje myśli. Ale przecież doskonale rozumie, co ta kobieta doń powiedziała. Do niego? To zabawne, zwracała się do jakiegoś porucznika Klossa, a on przecież nie jest porucznikiem Klossem, nazywa się Staszek Moczulski, ma dziesięć lat i bardzo ciężko choruje na szkarlatynę.

Usłyszał, a raczej poczuł, że kobieta odchodzi. Zobaczył przed sobą wąską krawędź parapetu okiennego, a pod nią kilka żeberek kaloryfera. Zaczął liczyć te żeberka - raz, dwa, trzy...

Znów po kilku godzinach, a może dniach, usłyszał jakieś głosy. Nie otwierając oczu, dotknął dłonią twarzy i nie wyczuł bandaża. Powoli uchylił powieki, dostrzegł

mężczyznę w białym kitlu narzuconym na mundur, a obok niego tę samą kobietę z niesfornymi włosami wymykającymi się spod czepka. Złote binokle na nosie mężczyzny podrygiwały zabawnie przy każdym ruchu jego głowy

- O, widzę, że nasz porucznik wraca do siebie - odezwał się mężczyzna.

- Gdzie jestem? - zapytał.

- W szpitalu w Wiesbaden, poruczniku Kloss.

- Skąd się tu znalazłem?

- Zbombardowano pociąg - powiedział doktor. - Miał pan dużo szczęścia, tylko dwudziestu czterech ocalało z tego pociągu, a pan prawie nie odniósł ran.

- Wszystko mnie boli.

- Potłuczenie, ogólna kontuzja, prawdopodobnie wstrząs mózgu. Czy nie ma pan mdłości?

- Nie, tylko nie mogę sobie przypomnieć, skąd się wziąłem w tym pociągu.

- Ze znalezionych przy panu papierów wynika, że jechał pan do Francji.

- Bez przerwy pan mówił o Paryżu - wtrąciła pielęgniarka. - O kasztanach na placu Pigalle.

- O kasztanach? - zainteresował się lekarz.

- Co jeszcze mówiłem? - chciał się podnieść, poczuł dojmujący ból pod obojczykiem i opadł na

poduszki.

- Spokojnie - przestrzegł lekarz. - Ma pan wszystkie kości całe, ale jest pan solidnie potłuczony. Znaleźli pana dwadzieścia metrów od nasypu. Podmuchał pana wyrzucić z pociągu.

- Co mówiłem? — chciał wiedzieć.

-Jakieś głupstwa- zbagatelizowała pielęgniarka. - Połowy nie mogłam zrozumieć. Zresztą mówił pan w obcych językach.

- Proszę się nie denerwować - uspokoił go lekarz. -To normalne przy wstrząsie mózgu. Ale mogę pana zapewnić, że żadnych tajemnic wojskowych pan nie zdradził, oberleutnant Kloss, a nawet gdyby pan cokolwiek powiedział, to i tak nikt by pana nie rozumiał, bo obrażenia, jakie pan odniósł, łączą się z zaburzeniami mowy.

-Jak długo tu jestem? - chciał wiedzieć Kloss.

- Trzy dni. A za dwa tygodnie skierujemy pana na komisję. Ale nie radzę spodziewać się po niej zbyt wiele. Pójdzie pan na front.

- Chcę pójść - powiedział Kloss - mam skierowanie do jednostki, powinienem już tam być.

Lekarz wzruszył ramionami, złote binokle drgnęły mu na nosie, poprawił je lewą ręką, dopiero teraz Kloss dostrzegł, że tam, gdzie powinna być prawa ręka doktora, zwisa pusty rękaw.

- Stanie się po pańskiej myśli - rzekł. - Siostró, od jutra dla pacjenta dieta wzmacniająca, musi nabrać sił, zanim znajdzie się tam, gdzie mu tak spieszą. - Obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom. Za nim podreptała siostra.

Kloss rozejrzał się po sali. Cztery jednakowe białe łóżka, wszystkie, z wyjątkiem jednego, zajęte. Ranni obwiązani bandażami jak mumie, jeden z nogą uwieszoną na wyciągu. Słychać było jego miarowe sapanie i pochrapywanie. Poza tym panowała cisza.

Kloss przymknął oczy, usiłując przywołać to, co zdarzyło się trzy dni temu. Pociąg. Tak, pamięta, miękkie pulmanowskie przedziały, niebieskawy półmrok lamp, jakiś oficer rozpostarty wygodnie na kanapie. Pułkownik. Kloss wymienił swoje nazwisko, tamten także się przedstawił. Co on powiedział? Jakie nazwisko wymienił? Ani rusz nie może sobie przypomnieć. Jakaś banalna rozmowa. Pułkownik łaskawie podsunął mu cygaro. Nie mógł spać i towarzystwo młodego oberleutnanta widać go ucieszyło. Zdaniem obersta Tiedego, właśnie Tiede, tak się nazywał, zbyt wielu młodych oficerów wysyła

się do oddziałów okupacyjnych, zamiast na front. Pułkownik Tiede uważał, że to błąd, że krzywdzi się tych młodych, którzy tylko w boju mogą zyskać niezbędne doświadczenie i szansę szybkiego awansu. Kloss łatwo się z nim zgodził...

Tak, to pamięta, ale co było przedtem? Wsiadł do tego wagonu w Monachium, wsiadł w ostatniej chwili, kiedy pociąg już ruszał. Dlaczego czekał tak długo? W tym musi tkwić jakaś

zagadka, ale jaka? Pamięta przecież, że przyszedł wcześniej, że spacerował z pół godziny tam i z powrotem między kioskiem z gazetami a podziemnym przejściem na inne perony. Czekał na kogoś? Pamięta, że kupił paczkę papierosów w kiosku i wypalił kilka, nim wsiadł do tego pociągu. Ale na co czekał? Może na kogo? Bezmyślnie wpatrywał się w żeberka kaloryfera, policzył je - było ich czternaście - potem podniósł wzrok wyżej. Na parapecie stała doniczka z paprocią, niedawno widział podobną paproć, gdzie to było? Ale tamta nie stała na parapecie.

I Kloss zobaczył nagle małą wystawę sklepu przy jednej z przecznic ulicy Puławskiej w Warszawie; między stosem chińskiej porcelany a starą szablą stała doniczka z paprocią, znak, że do sklepu można wejść bezpiecznie. Wpadł tam tuż przed piątą, kiedy właściciel zabierał się do zaciągania żaluzji. Pół godziny przedtem szef Klossa, oberst Rhode, wręczył mu kopertę z rozkazem wyjazdu. Centrala Abwehrstelle przypominała sobie, że oberleutnant Kloss pracował przy przerzuceniu agentów w Kol-bergu i postanowiła wykorzystać jego doświadczenie we Francji. I tak oberleutnant Kloss otrzymał służbowe przeniesienie do Saint Gille w Normandii. Przyszedł oto do nie odwiedzanego prawie antykwariatu, ukrytego w bocznej uliczce, by zameldować o tej nagłej decyzji swojej niemieckiej zwierzchności. Kłopot polegał na tym, że Kloss musiał pojechać natychmiast, bo pułkownik Rhode postanowił wykorzystać po raz ostatni swego oficera, zlecając mu przekazanie jakiejś osobistej przesyłki dla rodziny w Monachium.

- Jak długo będziesz w Monachium? - spytał an-tykwariusz.

-Najwyżej jeden dzień. W piątek muszę się zameldować w Saint Gille.

- Gdzie to jest?

- Jakaś dziura w Normandii - wzruszył ramionami Kloss - poszukaj na mapie.

- Przekażę — powiedział antykwariusz. — Na instrukcję czekaj w Monachium. Wyjedziesz z Monachium pojutrze, ostatnim paryskim pociągiem. Na peronie podejdzie do ciebie nasz człowiek i powie, co dalej.

-Jak go poznam?

- On cię pozna, zapyta, czy jedziesz do Saint Gille?

Tak. Wtedy na wystawie antykwariatu widział po raz ostatni paproć podobną do tej, która stoi na parapecie szpitalnego okna. Więc był w Monachium, przypomina sobie zagracone mieszkanie obersta Rhodego i jego żonę, tłuste, mizdrzące się babsko. Nie skorzystał z jej gościnności, przespał się w garnizonowym hotelu, a potem poszedł na dworzec.

Ostatni tego dnia pociąg odchodził o szesnastej pięćdziesiąt. Kloss wstawił walizkę do przedziału, jeszcze pustego, gadatliwy oberst Tiede musiał zjawić się później, i zaczął przechadzać się po peronie. Od żelaznej bariery do kiosku i z powrotem. Mijali go jacyś ludzie, ale żaden nie podszedł, by go zapytać, czy nie jedzie do Saint Gille.

Zapaliła się już zielona lampa oddalonego semafora, gdy zobaczył wbiegającego na peron

mężczyznę w mundurze kolejarza i nieomylny instynkt podpowiedział mu, że to ten, na którego czeka. Pociąg gwizdnął ostro, przeraźliwie trzaskały zamykane pospiesznie drzwi wagonów. Mężczyzna także rozpoznał Klossa.

- Twoje przeniesienie - powiedział bez wstępu - zaskoczyło nas. Kontakt na miejscu w Normandii. Znajdą cię. Zapamiętaj hasło: „W Paryżu najlepsze kasztany są na placu Pigalle”. Odpowiesz, że „Zuzanna lubi je tylko jesienią” i dowiesz się, że: „Przysyła ci świeżą partię”. Powtórz.

Ale Kloss nie zdążył powtórzyć. Pociąg drgnął, powoli nabierał szybkości. Wskoczył na stopień najbliższego wagonu, spostrzegł, że kolejarz już zniknął, rozpląnął się w tłumie.

Wszedł do wagonu, w przejściu natknął się na konduktora - służbistę, który zrobił mu wykład o niebezpieczeństwie związanym ze wskakiwaniem do pociągu w biegu.

Kloss w milczeniu wysłuchał pouczeń zrzedliwego staruszka, powtarzając w myśli te trzy zdania: „Najlepsze kasztany są na placu Pigalle”. „Zuzanna lubi je tylko jesienią”. „Przysyła ci świeżą partię”.

Nagle zaczął się bać. Zrozumiał. Zaraz, zaraz... Co powiedział ten lekarz z pustym rękawem? Nie, to nie on, to ta pielęgniarka... Trzeba z niej wyciągnąć, co jeszcze mówił w malignie. Wspomniała o kasztanach. A jeśli doniosła, gdzie należy, o dziwnych słowach kontuzjowanego oficera? Jeśli uspokajający ton bezrękiego doktora był tylko grą, prowadzoną w celu uspienia jego czujności?

Przewidziano wszystko, wysyłając go na tę robotę. Nauczył się rozpoznawać ludzi nigdy nie widzianych, rozprawiać o rodzinie, która nie była jego rodziną, nie przewidziano jednak tego, że może nastąpić chwila, kiedy straci kontrolę nad swoim mózgiem, zostanie uzależniony od przypadkowych słów wypowiedzianych w gorączce bądź malignie, wywołanej wstrząsem mózgu... Ona, ta pielęgniarka, wspomniała coś o obcym języku. Czyżby mówił po polsku? Jak przez mgłę widzi obraz swego dziecinnego pokoju z oknem zasłoniętym kraciastym kocem. Wydawało mu się, że jest chłopcem, że leży chory na szkarlatynę, że podchodzi do niego matka. Jeśli wołał ją po polsku...

Z drugiej strony trudno przypuścić, by ktokolwiek w tym szpitalu, przeładowanym zapewne jak wszystkie niemieckie szpitale wczesną wiosną czterdziestego czwartego roku, przysłuchiwał się bełkotowi kontuzjowanego oficera. Ale hasło? Jeśli wypowiedział hasło? To zdanie o kasztanach na placu Pigalle jest dostatecznie niezwykle, by wzbudzić podejrzenie.

- Kolego — dobiegł go szept. — Kolego, masz papierosa? Odwrócił się. To ten z nogą na wyciągu spoglądał nań proszącym wzrokiem.

- Nie wiem - odparł. Z trudem przekręcił się na bok, wysunął szufladę nocnej szafki. Zobaczył swój portfel, paczkę papierosów i zapalki. Te same, które kupił w kiosku na peronie dworca w Monachium.

- Zapal - zachrypiał tamten - nie mogę się ruszyć.

- Spróbuję - odparł. Powoli zsuwał z siebie koc, który wydał mu się sztywny jak arkusz blachy. Ostrożnie spuścił z łóżka najpierw jedną, potem drugą nogę, zakreśliło mu się w głowie, ale udało się usiąść. Sztywnymi, jakby nie swoimi rękami zapalił papierosa, potem, trzymając się łóżka, wstał i zrobił krok w kierunku tamtego. Ranny zachłysnął się dymem. Kaszlał długo.

Siedząc na łóżku, dotykając bosymi stopami chłodnej podłogi, Kloss usiłował zrekonstruować dalsze wydarzenia tamtej podróży pociągiem. Pamięta, że potakując od czasu do czasu słuchał jakichś rozwlekłych opowieści obersta Tiedego, pamięta jeszcze, jak pociąg wjechał na zrujnowany dworzec w Wiesbaden, zobaczył wtedy grupkę wyskakujących żołnierzy i oficerów pędzących w stronę baraku, gdzie umieszczono stację, a zapewne i bufet; myślał właśnie, czy nie należałoby wyskoczyć do bufetu, żeby napić się piwa i w ten sposób uwolnić od monotonnej jak ciurkanie wody z kranu gadaniny pułkownika, który uważał się za znawcę kobiet i przekonywał teraz Klossa o przewadze rudowłosych nad blondynkami i brunetkami, ale pułkownik, jakby odgadłszy jego zamiar powiedział, że nie warto wysiadać, bo pociąg zatrzymuje się tu zaledwie na dwie minuty. I rzeczywiście, ledwie pułkownik skończył, pociąg drgnął.

Z tego, co stało się potem, w pięć minut albo i mniej po ruszeniu ze stacji, Kloss nic nie może sobie przypomnieć. Pamięta, że zgasło światło, natomiast za oknami wybuchła jasność. Nie słyszał żadnego huku - i to go zdziwiło. Usiłował podejść do okna, poczuł, że wali się nań jakieś ciało, zrozumiał, że to Tiede, który coś krzyczy. A potem dopiero ten fragment parapetu z doniczką paproci, który wydał mu się jakimś pejzażem, oglądanym przez wąski otwór strzelnicy bunkra.

- Poruczniku Kloss, jakże tak można. - W głosie pielęgniarki usłyszał prawdziwe przerażenie. - Nie wolno panu wstawać. Proszę się natychmiast położyć. I kto to słyszał, żeby palić. Proszę mi oddać papierosa.

- Jestem już zdrowy - powiedział. Zobaczył, że siostra nie jest ani taka młoda, ani taka ładna, jak mu się wydawało. Miała szarą, niezdrową cerę i zmęczone oczy. - Położę się - dodał - jeśli dotknie mi pani dłonią czoło, jak przed godziną.

- To nie było przed godziną - roześmiała się. -Przedwczoraj. Myślał pan, że jestem matką, wołał pan matkę.

-Jak to? - zdziwił się naprawdę. - Po niemiecku?

- Oczywiście - teraz w jej głosie było zdumienie. -A w jakim języku miał pan ją wołać?

Przymknął oczy pod dotknięciem jej dłoni i prawie natychmiast zasnął.

2

Padła deszcz. Leutnant von Vormann patrzył na rozmazany pejzaż za oknem i rozmyślał o swoim aniele stróżu, który kazał mu przed trzema dniami wysiąść na zrujnowanym dworcu w Wiesbaden, by napić się piwa.

Było to tym dziwniejsze, że von Vormann nie cierpiał piwa i właśnie wtedy doznał nieprzerepartego pragnienia, by poczuć jego gorzkawy smak. Może zresztą anioł stróż Erika von Vormanna nie wtrąciłby się do sprawy, gdyby nie suta kolacja w gronie monachijskich znajomych, która przeciągnęła się aż do obiadu w dniu wyjazdu. A po dużym pijaństwie zawsze dręczyło Erika pragnienie.

Gdy wlał już w siebie litrowy kufel ersatzowego piwa i wybiegł na peron, by dostrzec akurat oddalające się czerwone światelko ostatniego wagonu, nie wiedział jeszcze, że nad nim, Erikiem von Vormannem, synem i wnukiem generałów, czuwa Opatrzność. Wtedy gotów był kląć i to swoje nieprzereparte pragnienie piwa, i wczorajszą bibkę, i rozkaz, który kazał mu jechać ze spokojnego Monachium, gdzie dzięki protekcji papy generała rozgrzeby-wał papierki miejscowej Abwehrstelle, do zabitej deskami dziury na Wale Atlantyckim, gdzie prawdopodobnie robota będzie nieco inna i nikt nie będzie mu czynił uprzejmości z tej racji, że jest synem von Vormanna, a raczej wprost przeciwnie, ponieważ tata ośmielił się mieć w jakiejś sprawie inne zdanie niż genialny gefreiter i ze sztabu generalnego powędrował na mroźną Ukrainę, by mieć czas do rozpamiętywania swego błędu.

Młody von Vormann uważał się za wroga nazizmu, choć nikomu się z tego nie zwierzał. Po krótkim, szczeniackim zachłyśnięciu się ideologią narodowo-socjali-styczną, doszedł do wniosku, że z hitlerowską hołotą należy wziąć rozbrat. Nie znaczy to bynajmniej, że miał za złe Trzeciej Rzeszy ideę podboju świata, przeciwnie -uważał, że majątek w Prusach Wschodnich podupadający i chylący się ku ruinie, należałoby wzmocnić darmową

pracą niewolników, nie miałby także nic przeciwko temu by Vormannowie otrzymali misję ucywilizowania sporej połaci Ukrainy. Ale euforia pierwszych zwycięstw szybko minęła i Trzecia Rzesza upominała się o von Vormanna. Tata, który dawno zwątpił, że zrobi z Erika prawdziwego oficera, zostawił mu dobrą, cichą, niemal że cywilną posadkę w Monachium. Teraz to się skończyło.

Pejzaż za oknem był szary, monotony, nie przypominał kolorowych widokówek, jakie kolekcjonował mały Erik. Prawdę mówiąc, nie był ciekaw Francji, w gruncie rzeczy pogardzał wszystkim, co nie było pruskie, nawet w stosunku do Bawarczyków odczuwał coś na kształt pogardy pomieszanej z nieufnością.

Von Vormann spojrzął na zegarek. Jeśli by wierzyć rozkładowi jazdy, od czterdziestu minut powinni być w Saint Gille. Coś się psuje" w maszynie niemieckiego porządku.

Otworzył okno. Zimny, mokry wiatr uderzył go w twarz. Niedaleko musiało być morze. Zza zakrętu wyłaniać się zaczęły spiczaste dachy Saint Gille, a bliżej, na pierwszym planie, brunatne, wtopione w grunt równoległościany betonowych umocnień -Wał Atlantycki, który ma zatrzymać inwazję Anglików i Amerykanów. Czy zatrzyma? Erik von Vormann podniósł kołnierz płaszcza, sięgnął na półkę po elegancki neseser.

Kiedy wieczorem przyszedł do kasyna, ulokowanego w restauracji dawnego hotelu o pretensjonalnej nazwie „Majestic" - szyldu nikomu nie chciało się zdjąć i wisiał nadal nad wejściem - wróciło doń pytanie, jakie sobie zadał, gdy oglądał z wagonu pierwszej klasy betonowe umocnienia na wybrzeżu: Czy zdołają powstrzymać aliantów, czy uniemożliwią lądowanie?

Nalał do szklanki wina. Było dosyć podłe. Pomyślał o swoim ojcu, który gdzieś tam na zachodniej Ukrainie „skraca linię frontu”, żeby użyć oficjalnej nomenklatury. Nie trzeba być wielkim strategiem, żeby wiedzieć, co to oznacza. A von Vormann pamięta z dzieciństwa chorągiewki na wielkich sztabowych mapach swojego ojca w czasach, gdy stary Prusak miał jeszcze nadzieję, że zrobi z syna prawdziwego oficera.

Kątem oka dostrzegł wchodzącego do kasyna pułkownika Elerta, swego od dzisiaj bezpośredniego przełożonego. Czym prędzej sięgnął po gazetę i z udanym zainteresowaniem zaczął studiować przedwczorajszy komunikat Oberkommando der Wehrmacht, myśląc równocześnie, że do tej dziury, gdzie go zesłano, nawet gazety przychodzą z opóźnieniem. Nie miał ochoty na rozmowę z Elertem. Nie podobały mu się: rubaszna wesołość i prostackie maniery grubego pułkownika. Prymitywny, przemądrzały, ordynarny - jak go ocenił po pierwszym zetknięciu, gdy Elert, przeglądając jego papiery, powiedział: „Poruczniku Vormann”. „Nazywam się von Vormann” - stwierdził wtedy Erik, świadomie akcentując von. Ale Elert jakby tego nie dosłyszał, w rozmowie jeszcze dwukrotnie nazwał go Vormannem.

Na nic się nie zdało zasłanianie gazetą. Elert stał przy jego stoliku.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, poruczniku - rzekł, gdy von Vormann, udając zaskoczenie, stanął na baczność. Nogą przysunął sobie krzesło, siadł albo raczej klapnął, jak to w myślach notował porucznik. Nie pytając nalał sobie wina.

- Jeszcze ciągle samotnie, poruczniku? Jeszcze bez towarzystwa? Jeśli pan chce, poznam pana z kolegami.

- Dziękuję, panie pułkowniku, przedstawiłem się już swoim przełożonym – odparł chłodno. - Tutaj jestem prywatnie.

-Trzeba sobie koniecznie znaleźć towarzystwo, bo tu cholernie nudno.

- Nigdy się nie nudzę, panie pułkowniku.

- Rozumiem - roześmiał się. - Siedząc samotnie, znajduje się pan w najlepszym towarzystwie. A może opowiada pan sobie anegdoty? - spoważniał. - Proszę pamiętać, że my, oficerowie Abwehry, powinniśmy mieć jak najbliższe kontakty z ludźmi. I w naszej służbie, drogi Vormann, nie ma podziału na czas urzędowy i prywatny. Zapamięta pan to?

- Tak jest - odparł. Jakże go nienawidził w tej chwili, jakże chętnie trzasnąłby teraz z rozmachem w tę tłustą, zadowoloną z siebie gębę. Jakim prawem taki Elert ośmiela się pouczać jego, von Vormanna? Karcieć go jak uczniaka?

Elert przyglądał się chwilę twarzy von Vormanna.

- No dobrze, poruczniku, proszę się rozejrzeć w Sa-int Gille, choć Bogiem a prawdą dużo tu do oglądania nie ma. A za dzień, dwa zabierzemy się do roboty. - Nie kiwnąwszy nawet głową von Vormannowi wstał i skierował się ku drzwiom, jakby jedynym powodem przyjscia do kasyna była

właśnie rozmowa z nim.

Erik odsunął gazetę, rozejrzał się po sali. Przy sąsiednim stoliku jakiś kapitan saperów opowiadał dwóm porucznikom swoje wrażenia z burdelu w Hawrze, przy bufecie białowłosey, bezzęsy podoficer SS przekomarzał się z pulchną dziewczyną ze służby pomocniczej. Von Vormann poczuł, że ktoś go obserwuje, spojrzął w tamtą stronę. Przy stoliku pod oknem siedział samotny, jak on, mężczyzna w mundurze organizacji Todt. Gdy dostrzegł, że von Vormann go zauważył, wstał i ruszył ku niemu.

- Przepraszam, panie poruczniku.

- Słucham? - spojrzął chłodno. Mężczyzna w mundurze organizacji Todt uśmiechnął się dość niepewnie.

- Czy można się przysiąc do pana porucznika? Ja także niedawno przyjechałem i też jestem zupełnie sam. Nikogo tu nie znam. Byłem w Generalnej Guberni...

Czy Erikowi się zdaje, czy też ten mężczyzna jest przestraszony?

- Proszę -wzruszył ramionami. -Jeśli pan uważa, że we dwójkę będzie zabawniej, niech pan siada. - Przypomniał sobie niedawną lekcję Elerta o konieczności nawiązania znajomości z ludźmi. Niech i tak będzie.

- Nazywam się Ormel - powiedział mężczyzna z tym samym uśmieszkiem na ustach. - Będę rad, jeśli pan porucznik wypije ze mną kieliszek koniaku. Jestem tu od trzech dni i już wiem, że wino jest tu świńskie, ale koniak... - strzelił palcami, chcąc zwrócić na siebie uwagę przechodzącej kelnerki. - Dwa koniaki, panienko -krzyknął. - Przedwojenne - dodał i roześmiał się, jakby to był dobry dowcip.

Dopiero teraz von Vormann zauważył, że to, co brał za uśmieszek tamtego, było grymasem, wywołanym przez niezbyt sprawnego chirurga. Przyjrzawszy się bliżej Ormelowi, spostrzegł bliznę w lewym kącie ust, zbyt mocno naciągnięty fałd skóry, który dawał wrażenie nie schodzącego z ust uśmiechu.

- Nazywam się von Vormann - rzekł Erik - i prawdę mówiąc, lubię samotność. A koniaku z panem nie wypiję, pospieszył się pan z zamówieniem.

- Będę musiał wypić sam - powiedział Ormel. Podsunął von Vormannowi pudełko z papierosami, a gdy Erik nie zareagował, wyjął papierosa i zapalił.

- Pan przyjechał dzisiaj rano, prawda?

- Widzę, że trudno pana zrazić - poprawił monokl. - Cóż z tego?

- Jechał pan przez Paryż?

- Obawiam się, że innej drogi nie ma.

- Mam nadzieję, że miał pan trochę czasu, żeby zobaczyć Paryż.

- Uważa pan to miasto za tak interesujące?

- W Paryżu - powiedział tamten, patrząc mu prosto w oczy - najlepsze kasztany są na placu Pigalle.

- Najlepsze kasztany są na placu Pigalle? - powtórzył von Vormann. - Być może, ale dlaczego uznał pan za konieczne poinformować mnie o tym?

Ormel wybuchnął śmiechem. Ten śmiech wydał się Erikowi nieszczerzy, jakby wymuszony.

- Gdyby pan był dłużej we Francji, wiedziałby pan, że na placu Pigalle najlepsze są nie kasztany, lecz... - uczynił gest, jakby chciał szepnąć coś von Vormannowi do ucha.

Erik powstrzymał go.

- Domyślam się, co pan mi chce powiedzieć i nie interesują mnie specjalności placu Pigalle.

Kelnerka postawiła przed nimi dwie lampki koniaku. Ormel jednym haustem wychylił szklaneczkę, potem sięgnął po następną. Wstał spiesźnie.

- Bardzo mi było miło poznać pana porucznika. - Zawiesił głos, jakby na coś czekał. Von Vormann pomyślał, że na podanie ręki, nie zamierzał świadczyć mu tej przyjemności. Chłodno skinął głową.

Patrząc w lustro, zawieszona naprzeciw jego stolika, dostrzegł Ormela, jak płacił przy bufecie kelnerce, potem spiesźnie szedł ku drzwiom. Von Vormann pomyślał, że nieźle byłoby pójść i zobaczyć, dokąd tak spieszy się mężczyzna, który jeszcze pięć minut temu gotów był prowadzić z nim bezsensowną rozmowę o jakichś kasztanach na placu Pigalle.

Gdy wyszedł z kasyna, musiał przez chwilę przyzwycząić wzrok do mroku. Miasteczko było kompletnie zaciemnione. Dopiero po paru sekundach dostrzegł sylwetkę spiesźnie oddalającego się mężczyzny. Ruszył za nim.

Ormel szedł szybko, nie oglądając się. Nagle zniknął. Von Vormann zaczekał chwilę. Usiłował zapalić papierosa, co na szalejącym wietrze nie było rzeczą łatwą. Wreszcie mu się udało. Zapamiętał miejsce, w którym zniknął mężczyzna o sztucznym uśmiechu i przetraszo-nych oczach. Zobaczył szary masyw sporej willi za płotem z żelaznych sztachet, ciemnej, jak wszystkie domy w mieście. Zza szczelnie zamkniętych okiennic dobiegały muzyka i gwar głosów. Zawrócił i wtedy dostrzegł półokrągły napis nad furtką: Pensjonat „Le Trou”.

pensjonatu „Le Trou”, żegnała ostatnich gości. Szczególnie niechętnie wychodził młody, dwudziestoparoletni lotnik o dziecinnej, pokrytej meszkiem twarzy, zaróżowionej jak dziewczyny. Ale w końcu i z nim się udało. Wyrwała się z jego objęć i delikatnie wypchnęła na dwór.

Podeszła do lustra, przyjrzała się zszarzałej ze zmęczenia twarzy. Przydałaby się jej wizyta u kosmetyczki.

Jeśli uda się ta akcja na więzienie - pomyślała sobie po kobiecemu - pojedę do Hawru i zrujnuję się na najlepszą kosmetyczkę.

Z prawdziwą ulgą myślała, że za chwilę pójdzie do łazienki i gorącą, jak najgorętszą wodą zmyje z siebie wraz z makijażem brud obcowania z ludźmi w nienawistnych mundurach, lepkość obmacujących ją rąk, obmierzłość pożądliwych spojrzeń i w tym momencie przypomniała sobie, że za drzwiami pokoju, skąd dochodziły dźwięki patefonu, został jeszcze jeden. Patrząc w lustro, ułożyła usta w kształt uśmiechu i nacisnęła klamkę. Kapitan saperów zerwał się na jej widok.

- Nareszcie, Jeanne, czekanie na panią trwało całą wieczność!

Nie był, oj nie był wzorcowym egzemplarzem nordyckiej rasy ten kapitan, którego nazwisko uleciało młodej kobiecie z pamięci, a o którym wiedziała tylko, że buduje drugą linię umocnień gdzieś w rejonie Caen. Dlatego właśnie, a nie dla jego łysej jak kolano głowy, obwisłych jak u buldoga, kiepsko ogolonych policzków i krzywych, krótkich nóg pozwoliła mu zostać dłużej. Ta znajomość może się okazać pożyteczna. Centralę zainteresuje zapewne druga linia umocnień, a z tego małego świntucha o wiecznie spoconych dłoniach uda się coś wycisnąć.

Wymknęła się zręcznie z jego rąk, zadała sobie gwałt i pogłaskała go pieszczotliwie po chropawym policzku.

- Mamy przecież interesy do załatwienia, kapitanie. Dlatego pozwoliłam panu zostać.

- A ja myślałem... - westchnął i powiódł językiem po wargach.

- Na pana miejscu nie traciłabym nadziei - roześmiała się - ale przede wszystkim interesy. - Otworzyła ogromną szafę z lustrem, zdjęła z półki zawinięty w gazetę kupon kwiecistego materiału. - Przywiozłam to specjalnie dla pana z Paryża. Podoba się?

- Pani mi się podoba - pochylił się łapczywie nad jej dłonią.

- Ile lat ma pańska żona? - przywołała go do porządku.

- Po czterdziestce.

-A tusza?

- Znacznie tęższa od pani.

- No, to materiał będzie znakomity. Miały być jeszcze perfumy. Jaki zapach pan lubi?

- Ten, którego pani używa.

- O, to będzie kosztowało drożej, ale oczywiście ma pan u mnie kredyt. Pan chyba stąd nie wyjeżdża?

- Skądże! Mam roboty jeszcze na pół roku. A gdyby pani pozwoliła, zostałbym tu na zawsze. - Usiłował ją znowu objąć.

- Ależ, kapitanie - zaprotestowała. - Jest pan, jak każdy prawdziwy mężczyzna, strasznym kłamczuchem.

-Jeanne - zachrypiął, zbliżając twarz do jej twarzy.

Kobieta niezauważalnie dla niego dotknęła butem przycisk ukryty pod dywanem. Tłumiąc odruch obrzydzenia, pozwalała się całować. Kiedyż ta Marlina się wreszcie zjawi?

Nareszcie rozległo się pukanie i prawie natychmiast otworzyły się drzwi. Stała w nich gruba służąca.

- Ryby przywieźli, proszę pani.

- Wyprowadź pana kapitana - rzekła Jeanne, poprawiając włosy.

- Ze też zawsze muszą nam przeszkodzić. Do jutra, Jeanne.

Zmęczona padła na fotel i nasłuchiwała trzaśnięcia drzwi. Potem podeszła do okna i upewniwszy się, że kapitan saperów nareszcie wyszedł, ruszyła po schodach na górę.

Henri otworzył drzwi, zanim zdążyła, zapukać. Trzymał w zębach czarną, pogryzioną fajeczkę.

- No i co? - zapytał.

- Niewiele - odparła - roboty mają co najmniej na pół roku. - Podeszła do umywalki, przemyła twarz. - Daj mi papierosa - zwróciła się do mężczyzny w mundurze organizacji Todt, który zasępiony siedział przy oknie. - Widziałeś się z nim? - rzuciła, gdy podawał jej ogień.

- Jean Pierre pokpił sprawę - powiedział Henri. - Teraz się gryzie.

- Co to znaczy pokpił? - wzruszył ramionami mężczyzna od Todta. - Znalazłem faceta: młody, co prawda tamten miał być oberleutnantem, a ten miał tylko dystynkcje leutnanta, ale nikt więcej do Saint Gille nie przyjechał. Sprawdziłem to.

- Nie odpowiedział na hasło? - zgadła Joanna.

- Powiedziałem hasło nie temu, co trzeba. Jeśli się połapał. ..

- Myślisz, że coś spostrzegł?

- Diabli go wiedzą, taki lalusz z monoklem. Końska gęba bez uśmiechu, chciałem mu powiedzieć, co robią dziewczynki na Pigalle, ale dał mi do zrozumienia, że go to nie bawi. W ogóle nie chciał ze mną gadać.

-Myślę, że Jean Pierre powinien wyjechać z Saint Gille, przynajmniej na jakiś czas - zaniepokoiła się Jeanne.

- Nie - powiedział Henri - wykluczone. Jutro robimy akcję na więzienie. Lada dzień mogą wywieźć stąd Marka. Jeśli nie zrobimy tego jutro - postukał fajeczką w brzeg stołu - może być za późno. A Jean Pierre jest do tego potrzebny, jego mundur, jego papiery, jego znajomość niemieckiego. Jasne?

- Tak - powiedział Jean Pierre - muszę zostać. Zresztą, może niepotrzebnie się denerwujemy. Ten von Vormann nie wyglądał na specjalnie rozgarniętego.

- W porządku - podsumował Henri. - Pogadajmy o jutrzejszym dniu. - Postawił na stole pudełko zapalek, opróżnione przedtem z zawartości. - To jest merostwo - powiedział - piwnice więzienia są od strony rue de la Republique. Podjedziesz ciężarówką - zwrócił się do Jean Pierre'a - tu - położył zapalną koło pudełka...

4

Leutnant von Vormann z lekkim rozbawieniem myślał o zadaniu, jakie sobie postawił po rozmowie z Elertem. Początkowo rola przynęty, jaką mu wyznaczył pułkownik, niezbyt mu przypadła do gustu, ale po kilku nieudanych próbach, wciągnęła go ta gra.

A zaczęło się wszystko zupełnie niespodziewanie dla Erika wczoraj wieczorem. Korzystając z tego, że przestało padać, poszedł na długi spacer, aż do końca bulwaru, tam, gdzie ulica przekształca się w zwykłą, wysadzaną platanami drogę, a miejsce wytwornych willi i pensjonatów zajęły pobielone domki z rozwieszonymi na podwórzach sieciami. W drodze powrotnej doszedł do wniosku, że nieźle by mu zrobił kieliszek koniaku, więc skręcił z bulwaru w stronę rue de la Republique, gdzie powinna być jeszcze czynna jakaś kafejka.

I właśnie wtedy się wszystko zaczęło. Nadjechał jakiś ciężarowy samochód, przed bramy merostwa ktoś strzelił, z zabudowań sąsiedniej szkoły wybiegli żołnierze.

Kiedy rozległa się strzelanina, Erik ku swemu zdumieniu nie poczuł strachu, lecz coś w rodzaju ciekawości. Domyślił się, że miejscowi bandyci próbowali sforsować bramę merostwa, gdzie - jak już wiedział - mieściło się więzienie, wyjął z kabury rewolwer, nie używany jeszcze od początku wojny, odbezpieczył go i pobiegł w kierunku strzelaniny.

Gdy wychylił się zza węgła, w świetle wystrzelonej rakiety dostrzegł ruszającą ciężarówkę i mężczyznę, który usiłował skoczyć na platformę. Dzielilo go od niego najwyżej dziesięć metrów. Von Vormann strzelił kilkakrotnie i z satysfakcją zauważył, że mężczyzna uczepony już tylnej klapy,

puszcza ją nagle i uderza twarzą o bruk. Z ciężarówki strzelano także — żadna z kul nie trafiła Vormanna, ale sam fakt, że ktoś do niego strzelał, wprowadził Erika w podniecenie.

Podbiegł do grupki żołnierzy pochylonych nad leżącym człowiekiem. Kazał go odwrócić i w świetle elektrycznej latarki dostrzegł twarz mężczyzny, który wczoraj przysiadł się do niego nieproszonego i plótlł o jakichś kasztanach na placu Pigalle.

Mężczyzna żył jeszcze, więc von Vormann kazał go odnieść do mieszczącego się nieopodal więziennego szpitala. Pogadał chwilę z lekarzem w mundurze sturmführera SS, a potem nie bez złośliwej satysfakcji, że obudzi szefa, postanowił zameldować o zajściu. Jednak rozczarował się. Elert jeszcze nie spał. Ze szklanką koniaku w garści studiował jakieś rozłożone na biurku papiery.

- Siadaj pan - rzekł nie wysłuchawszy przepisowej formuły oznajmiającej przybycie.

Przed chwilą zameldowano mu przez telefon o próbie napadu na więzienie, a ponieważ była to pierwsza tego rodzaju próba dokonana w tym mieście, doszedł do wniosku, że któryś z ostatnio aresztowanych Francuzów musi być grubą rybą podziemia, jeśli zdecydowano się na zaatakowanie więzienia, umieszczonego w samym sercu miasta. Właśnie usiłował coś wyczytać z rozłożonych przed sobą akt więźniów, ale do żadnych wniosków nie doszedł. Z uwagą wysłuchał sprawozdania von Vormanna, nie przerywając mu ani razu, co porucznika mile zaskoczyło. Dopiero gdy von Vormann skończył, Elert zapytał:

- Myśli pan, że da się coś z tego faceta wycisnąć?

- Ciężko ranny, panie pułkowniku. Ode mnie dostał w głowę i w płuca, ale któryś z żołnierzy trafił go serią w brzuch. Rozmawiałem z lekarzem więziennym nie robi wielkich nadziei.

- Nieprzytomny?

- Tak. - Von Vormann wzruszył ramionami. - Dwie, trzy godziny życia.

- Więc pan powiada, panie Vormann...

- Nazywam się von Vormann, panie pułkowniku.

- Proszę nie przerywać, poruczniku Vormann. Więc ten facet wydał się panu podejrzany już wczoraj i poszedł do pensjonatu „Le Trou”. To by się nawet zgadzało. A jak brzmiało to zdanko? Proszę je powtórzyć.

- W Paryżu najlepsze kasztany są na placu Pigalle. Pułkownik podniósł słuchawkę telefonu.

-Jest wóz? — szczechnął. A potem do von Vormanna: — Pojedziemy pogadać z tym pańskim Ormelem.

- Przepraszam, panie pułkowniku. Kiedy wspomniałem o pensjonacie „Le Trou”, powiedział pan: „To by się nawet zgadzało”. Czy mam rozumieć, że...

- Nic pan nie ma rozumieć, mój drogi Vormann. Od rozumienia jestem tu ja. A pan od wykonywania moich poleceń.

Kto wie, czy to rzucone mimochodem zdanie nie zdecydowało, że Erik von Vormann postanowił wziąć udział w grze na własną rękę. Dużo by dał za to, gdyby udało się przytrzeć nosa temu butnemu ordynusowi.

Szpitałem więziennym była piwnica bez okna, pomalowana na białą. Trzy przykryte burymi kocami sienniki, kulawy stół ze strzykawkami i najniezbędniejszymi medykamentami stanowiły całe umeblowanie. Gdy Elert z von Vormannem weszli do sali, usłyszeli chrapliwy oddech człowieka patrzącego w sufit. Tylko ten jeden siennik był zajęty. Lekarz w esesmańskim mundurze i narzuconym nań białym kitlu odwrócił głowę na ich wejście.

- Agonia - rzekł.

- Proszę mu dać jakiś zastrzyk - powiedział Elert, a na wzruszenie ramion tamtego dodał: - Daj mu zastrzyk, człowieku, żeby jeszcze coś powiedział. Martwi mnie nie interesują.

Lekarz z rozmachem wbił igłę w zwiotczące przedramię leżącego.

- Nie wygotowana igła — bąknął.

- Teraz to bez znaczenia - odpowiedział pułkownik i pochylił się nad leżącym. Na chwilę jakby ożyły oczy rannego. Spojrzał na Elerta; potem przymknął powieki.

- Gdzie jestem? - zapytał po francusku.

Von Vormann szybko przetłumaczył, ale Elert dał znak, żeby zamilkł. Ranny drgnął; jego dłonie zaczęły błaznić po kocu, jakby czegoś szukały, palce kurczyły się i rozkurczały.

- Nic z tego nie będzie, panie pułkowniku - powiedział lekarz.

Elert odwrócił się, poszukał czegoś na stole, odkorkował jedną z flaszek, powąchał.

- Spirytus? - upewnił się, a gdy lekarz skinął głową, dodał: - Spróbujemy tego. Lubię proste sposoby.

- To śmierć — powiedział lekarz. - Każda kropla płynu...

- Proszę mu to wlać do gardła. Co za różnica, dwie godziny wcześniej lub później.

Erik odwrócił się, jakby chciał wyjść. Pułkownik chwycił go za ramię.

- Chwileczkę, poruczniku Vormann, proszę się uczyć. To jest nasza prawdziwa robota, a nie to, co pan robił w Monachium. A może nie podobają się panu moje metody?

Vormann spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie, panie pułkowniku.

- Nic nie szkodzi - rzekł. Podszedł do lekarza i pomógł mu rozewrzeć zaciśnięte zęby rannego. Zabulgotało. Ranny zakrztusił się; z trudem łapał powietrze. Nie otwierał oczu.

- W Paryżu najlepsze kasztany są na placu Pigalle - wyskandował mu Elert nad uchem.

- Zuzanna lubi je tylko jesienią - szepnął leżący. A po chwili dodał: - Przysyła ci świeżą partię.

Otworzył oczy i nagle jakby zrozumiał, że stało się coś niedobrego. Dostrzegł pochylone nad sobą głowy trzech mężczyzn w mundurach, jego twarz wykrzywił skurcz przerażenia i nienawiści. Pułkownik chwycił go za ramiona i potrząsnął gwałtownie.

- Gadaj, dla kogo to hasło?! — wrzasnął. — Będziesz żył, jeśli powiesz. Już i tak powiedziałeś dosyć. Do swoich nigdy nie wrócisz. Zakatrupią cię... - Musiał poczuć zwiótczenie mięśni rannego, bo puścił go nagle, jakby ze wstrętem.

- Idziemy - rzucił von Vormannowi.

- Przecież mówiłem - powiedział lekarz w esesmańskim mundurze i pociągnął koc, przykrywając nim twarz człowieka, któremu kiepski chirurg stworzył uśmiešek widoczny nawet teraz.

W samochodzie Elert zapalił cygaro, dmuchnął dymem w twarz porucznika.

- Proszę zapamiętać, że dla mnie będzie pan porucznikiem Vormannem. Na żadne von nie mam ochoty. Jasne? Byłbym też zadowolony, gdyby pozbył się pan tego świństwa - wskazał monokl, który Erik nerwowo poprawił. Zamilkł, jakby czekając na reakcję leutnanta. - A wracając do naszych spraw - powiedział po chwili - proszę zapomnieć o tym hasle. Zajmę się nim osobiście. Sam sprawdzę - uśmiechnął się - smak kasztanów z placu Pigalle. Zrozumiał pan, poruczniku Vormann?

- Zrozumiałem, panie pułkowniku.

Ale nie zamierzał bynajmniej zapomnieć tego hasła. Spostrzegł, że trafiła mu do rąk okazja, być może jedyna w życiu, by pokazać temu prostakowi, kto jest lepszym oficerem Abwehry. Znał z widzenia wałęsających się po mieście ludzi Elerta, tajniaków od siedmiu boleści, których nawet ślepy rozszyfrowałby bez trudu i domyślił się, że to im Elert zlecił zadanie zwracania się do oficerów pobliskich garnizonów z oznajmianiem, że najlepsze kasztany są na placu Pigalle. Działali głupio i ordynarnie. Doszło do tego, że nawet jego - von Vormanna, zaczepił jakiś ciemny typ, oznajmiając mu rewelacje o kasztanach.

- Precz, idioto - rzekł mu spokojnie porucznik - i żebyś mi się nie ważył pokazywać na oczy.

Ale sam nie zamierzał pozbawić się szansy, jaką dawała mu w ręce Opatrzność, tym bardziej że po ostatnim cudownym ocaleniu uwierzył, że on, Erik von Vormann, znalazł się pod tej Opatrzności specjalną pieczęcią.

Ktoś; kto nie znałby przedtem leutnanta von Vormanna, mógłby (obserwując go teraz) przysiąc, że to człowiek niezwykle towarzyski, kompan i brat-lata. Odwiedzał pobliskie garnizony, chętnie wdawał się w pogawędki, stawiał wino i koniak, nie omieszkując poinformować każdego ze swych przygodnych znajomych o szczególnej smakowitości kasztanów z wiadomego placu w Paryżu.

Nawet gdy pojechał w odwiedzinach do swej siostry Benity von Vormann, dość kiepskiej śpiewaczki, która umiała życie oficerom Hawru, i zastał u niej aktualnego wielbiciela, jakiegoś obersta Tiedego, skorzystał z pierwszej sposobności, gdy zostali sami, żeby wypowiedzieć hasło. Na razie bez skutku. Oberst Tiede, podobnie jak inni, nie rozumiał i trzeba mu było tłumaczyć, że to nie kasztany są specjalnością placu Pigalle i okolicznych ulic.

Von Vormann nie stracił jednak nadziei, że spotka wreszcie kogoś, kto wypowie drugi człon hasła, a wtedy... Co wtedy - tego jeszcze nie wiedział. Na pewno nie pobiegnie natychmiast do Elerta, grubas sprzątnąłby mu kęsek sprzed nosa i wszystkie splendory spadłyby na niego.

O nie, taki naiwny von Vormann nie jest. Jeśli znajdzie człowieka, który odpowie na hasło, spróbuje wejść do wrogiej siatki i dopiero potem przyniesie Elertowi całą załatwioną sprawę na półmisku.

A może postąpi inaczej? Sytuacja wojenna nie jest aż tak dobra, by nadmiar patriotycznego zapалу mógł przynieść profity. Jeśli gefreiter przegra wojnę...

Wszystko to jednak przypominało robienie masła z trawy, której krowa jeszcze nie zjadła. Na razie trzeba znaleźć kogoś, kto powie, że Zuzanna lubi kasztany tylko jesienią.

Zamówił następny kieliszek koniaku i nagle drgnął.

Do kasyna wchodził właśnie, rozglądając się w poszukiwaniu wolnego miejsca, jakiś nie znany dotychczas von Vormannowi kapitan Luftwaffe. Vormann gestem wskazał, że przy jego stoliku są wolne krzesła.

Lotnik był w znakomitym humorze. Nic dziwnego, przerzucono go niedawno ze wschodu, nie ukrywał radości z przeniesienia...

- Pańskie zdrowie, poruczniku von Vormann. Dopiero we Francji człowiek wie, że żyje. I wino, i dziewczęta. Czy pan uwierzy - pochylił się ku von Vormannowi - że w tej przeklętej Polsce człowiek bał się wyściubić nosa naulicę.

- Dawno pan przyjechał z Generalnej Guberni? - zapytał Erik.

- Dziesięć dni temu opuściłem miasteczko, w którym żyłem rok; ale nie zdołałem się nauczyć jej nazwy. Skorzystałem z tygodnia urlopu, domyśla się pan, że w Paryżu tydzień, to za mało. Nasz fuehrer ma oczywiście rację, że to zgnilizna, ale - zamlaskał - warto spróbować tej zgnilizny.

- W Paryżu najlepsze kasztany są na placu Pigalle - powiedział Erik, patrząc uważnie w oczy oficerowi.

- Kasztany? - zdziwił się lotnik. - Lubi pan pieczone kasztany? Raz spróbowałem, ale to straszne świństwo. Ale jeśli idzie o plac Pigalle...

- Wiem, wiem - przerwał mu Erik. - Na mnie już czas. - Poczł zmęczenie i zniechęcenie.

5

Kloss był niespokojny. Chciał jak najszybciej znaleźć się w Saint Gille. Przecież centrala zawiadomiła o jego przyjeździe i ktoś tam na niego czeka. Jeśli znów straci kontakt... Lepiej o tym nie myśleć. Zdarzyło mu się to dwukrotnie i wiedział już, że to najgorsza rzecz, jaka może spotkać agenta.

Zawsze jest oczywiście samotny, ale świadomość, że istnieje ktoś, komu można przekazać informacje, kto daje mu polecenia i odbiera meldunki, czyni tę samotność mniej nieznośną. Dopiero gdy jest pozbawiony kontaktu, zdany wyłącznie na siebie, czuje samotność namacalnie, jego rola traci właściwy sens. Oczywiście nadal postępuje tak, jak nakazuje mu obowiązek, sprawny mechanizm pamięci działa bezbłędnie, notuje wszystko, co może być pożyteczne dla centrali, ale niemożność przekazania tego dalej, świadomość, że sensacyjna dziś wiadomość - jutro może się stać szmelcem, czyni robotę Klossa jeszcze trudniejszą.

Więc jak najszybciej chciałby się znaleźć w Saint Gille. Wczoraj wprawił w zdumienie komisję lekarską, której

oznajmił, że rezygnuje z przysługującego mu urlopu i pragnie jak najspieszniej udać się do swojej jednostki. Nie przyzwyczajeni do takich objawów obowiązkowości lekarze wojskowej komisji pomyśleli zapewne, że mają do czynienia z kontynuacją szoku po kontuzji. Ale cóż, oberleutnant Hans Kloss był już zdrowy i jeśli chce, może jechać do swojej jednostki.

Jak na złość, pociąg przyszedł do Paryża z niemal dwugodzinnym opóźnieniem. Kloss nie musiał nikogo pytać o przyczyny, bo były widoczne gołym okiem. Wyglądając oknem pociągu widział zbombardowane dworce, naprędcy naprawiane mosty. Alianckie lotnictwo nie próżnowało.

Najbliższe połączenie z Saint Gille miał za cztery godziny, postanowił więc wyjść na miasto. Przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby jeszcze przed przyjazdem do normandzkiego miasteczka poinformować w jakiś sposób centralę o swoich perypetiach, uprzedzić, że przyjeżdża z dwudziestodniowym opóźnieniem. Z krótkiej bytności w Paryżu przed rokiem pamiętał, że gdzieś w osiemnastej dzielnicy był punkt kontaktowy. Jak przez mgłę przypomniał sobie mały, brudny hotelik; podłoga w hallu wyłożona była terakotą w gwiazdzisty wzór. Pamiętał jeszcze grubą konsjerżkę, którą należało minąć bez słowa i wejść w drzwi z napisem „Biuro”. To było wszystko.

Wszedł do metra i w spisie stacji szukał nazwy, która kojarzyłaby mu się z wyprawą do tego brudnego hoteliku. Znalazł ją prawie natychmiast: Anvers. To była ta stacja. Teraz pamiętał. Po wyjściu z metra należało przejść ulicę i iść prawym chodnikiem w stronę Clichy, minąć dwie lub trzy

wąskie uliczki, przez które błyszczy białą kopuła Sacre Coeur, następna będzie się nazywała... Nim doszedł, przypomniał sobie, że uliczka nosi nazwę rue de Trois Freres, a hotelik - oczywiście „Ideal”.

Z czułością niemal dotknął mosiężnej klamki, zobaczył gwiazdzisty wzór terakoty, wąskie okienko konsjerż-ki. Wychyliła się ku niemu twarz jakiegoś mężczyzny.

- Pan do kogo?

- Do patrona - rzekł i ruszył ku drzwiom biura.

-Jak to? - powiedział mężczyzna. - Pan nie wie? Pół roku temu deportowany. - A potem, jakby dopiero teraz dostrzegł mundur, dodał: -Jestem nowym właścicielem i nie mam nic wspólnego...

Gdy skończył, Klossa już nie było. Tak oto rozplynęła się ostatnia szansa skontaktowania z centralą. Czy poprzedniego właściciela hotelu naprawdę deportowano, czy po prostu centrala zmieniła punkt kontaktowy?

Gdyby mógł porozmawiać z tamtym, choć nie byłoby to najbardziej zgodne z zasadami konspiracji, miałby szansę przekazania centrali, co trzeba.

Wszedł do pierwszej z brzegu restauracji. Zjadł naprędce jakiś lichej obiad, potem wstąpił do małego kina. Podczas wyświetlania kroniki wojennej publiczność, nie krępując się, reagowała gwizdami i śmiechem. Kloss zauważył z satysfakcją, że jeszcze przed rokiem taka rzecz byłaby w Paryżu nie do pomyślenia. Wyszedł na ulicę, gdy już zmierzchało. W drodze do stacji metra kupił u ulicznego sprzedawcy torebkę pieczonych kasztanów.

Trzeba spróbować - pomyślał - czy rzeczywiście najlepsze są kasztany z placu Pigalle.

Miał, widać, ostatnio pecha do podróży pociągiem, bo znowu Anglicy zbombardowali jakąś węzłową stację po drodze i w rezultacie dopiero rano dotarł do Saint Gille.

W komendanturze dowiedział się, że pułkownik Elert wyjechał i wróci w południe. Zostawił na wartowni cudem ocaloną walizkę, wyciągniętą spod stosu żelastwa, w jaki zmienił się zbombardowany pociąg, i poszedł zobaczyć Saint Gille.

Siapał drobny deszczyk, nadmorski wiatr przenikał przez cienkie sukno płaszcza. Chłodniej niż w Polsce -pomyślał Kloss. Dostrzegł szyld hotelu „Majestic”, pod którym na zwykłej desce wypisano koślawymi literami: „Kasyno oficerskie”, i postanowił się ogrzać.

W kącie sali jakiś chudy leutnant, nie wyjmując z oka monokla, usiłował grać ze sobą w bilard. Raz po raz uderzane bile z łoskotem wpadały do środka. Kloss wypił podłą kawę, a potem kieliszek koniaku, ale nadal czuł przenikające go zimno.

Widocznie jestem ciągle osłabiony - pomyślał.

Podszedł do stołu bilardowego.

- Zagramy - zaproponował.

Leutnant bez słowa podał mu kij i krede.

W milczeniu rozegrali pierwszą partię, którą Kloss sromotnie przegrał. Porucznik z monoklem bez słowa i bez uśmiechu zapisał wynik na tablicy, ale Kloss zaproponował rewanż. Tym razem chudemu leutnantowi poszło nieco trudniej, ale w końcu Kloss znowu musiał ulec.

- Napijmy się - zaproponował zwycięzca. - Nazywam się von Vormann. Erik von Vormann.

- Bardzo mi miło, oberleutnant Hans Kloss. Pozwoli pan, poruczniku von Vormann, że jako przegrany ja pana zaproszę.

- Pierwszy raz pana widzę, panie oberleutnant - powiedział von Vormann, gdy siedli przy małym stoliku z marmurowym blatem osadzonym na żeliwnych nóżkach.

- Nic dziwnego - odparł Kloss - dwie godziny temu przyjechałem. Nie zdążyłem się nawet zameldować swemu przełożonemu.

- Więc niedawno pan przyjechał! - szczerze ucieszył się von Vormann. - A jeśli pragnie się pan zameldować pułkownikowi Elertowi, to jesteśmy kolegami. - I na potwierdzające skinienie głową, uczynione przez Klossa, dodał: - Przyjemnie, że będę miał wreszcie godnego siebie partnera do bilardu.

- Nie jestem, jak pan widzi, dobrym bilardzistą, przegrałem z panem.

- Nic dziwnego, ja gram znakomicie - wydał wargi. - Tu można umrzeć z nudów, gdyby nie ten mebel - wskazał bilard. - Oczywiście zawsze pozostaje jeszcze alkohol. Pan skąd? - chciał wiedzieć.

- Ze szpitala - wyznał Kloss. - Z Wiesbaden. - Opowiedział von Vormannowi o zbombardowaniu pociągu, który miał tu go przywieźć przed trzema tygodniami. Von Vormann zrewanżował mu się opowieścią o swoim aniele stróżu, który kazał mu opuścić ten pociąg i pójść na piwo, choć on, von Vormann, za piwem bynajmniej nie przepada.

- Więc jest pan rekonwalescentem - powiedział von Vormann. — Zazdroszczę panu. Zapewne dostał pan urlop i solidnie się zabawił.

Gdy Kloss nie sprostował, Erik ciągnął:

- Założę się, że urlop spędził pan w Paryżu. Dla nas, Niemców, to coś w rodzaju nieba i piekła równocześnie.

- Nieźle pan to sformułował — uśmiechnął się Kloss.

- Paryż, Paryż, słodki Paryż... - westchnął von Vormann i pochyliwszy się ku Klossowi, mimo woli zniżył głos. - W Paryżu najlepsze kasztany są na placu Pigalle.

Kloss zdrętwiał. Było to tak nieoczekiwane, że na moment dosłownie zgłupiał. To przecież nieprawdopodobne - kłębiło mu się w głowie - żeby centrala dysponowała dwoma agentami w mundurach oficerów Abwe-hry w takiej zabitej deskami miejscinie, jak Saint Gille. Ale z drugiej strony hasło zostało powiedziane i on musi zareagować. Zrozumiał w jednej chwili, co czują nie uprzedzeni o jego uniformie ludzie, do których on, Hans Kloss, przychodzi z umówionym hasłem. Strach, zdumienie? A jednak nie zdarzyło się, by ktokolwiek nie odpowiedział mu, jak należy. Kloss nie może przecież myśleć, że jest jedynym członkiem podziemnej armii, ubranym w mundur oficera Wehrmachtu. Muszą być także inni. Von Vormann może być jednym z nich.

Leutnant nerwowo obracał monokl w chudych palcach. Wpatrywał się w usta Klossa, jakby miał z nich paść wyrok na niego. Wahanie nie mogło trwać dłużej niż kilka sekund.

- Zuzanna lubi je tylko jesienią - powiedział spokojnie Kloss, nie patrząc na von Vormanna. Całą siłą woli stłumił w sobie narastający dygot. Czekał na trzeci człon hasła...

- Przysłała ci świeżą partię - powiedział von Vormann z ulgą i triumfem równocześnie. - Jesteśmy chyba w domu, poruczniku Kloss. Na imię ci Hans, prawda? - Wcisnął monokl do oka.

- Tak - odpowiedział machinalnie. — Co masz mi do przekazania?

- Spóźniłeś się - wycedził Erik - bardzo się spóźniłeś. To niekiedy bywa niebezpieczne.

Kloss pomyślał, że von Vormann przypomina teraz węża, który sparaliżowawszy już swą ofiarę, syci się triumfem. Odepchnął od siebie ten obraz jako nedorzeczny.

W tym momencie niemal równocześnie odwrócili głowy, bo w drzwiach stanął, stukając obcasami, podoficer.

- Proszę pana do telefonu, panie poruczniku - zwrócił się do von Vormanna.

- Pogadamy jeszcze, Hans, mamy ze sobą dużo do pogadania. A żaden z nas nie wyjeżdża z Saint Gille, prawda? - Nie czekając na odpowiedź, wyszedł za żołnierzem.

W drodze do sztabu Kloss rozmyślał o niedawnej rozmowie. Te kilka lat ciężkiej i niebezpiecznej roboty nauczyły go, że należy ufać każdemu, kto wypowie hasło. Z jakimiż to ludźmi musiał nieraz współpracować.

Lumpy, książęta, eleganckie dziwki nur fur Deutsche, wybitni intelektualiści i niepiśmienni fornale. Wygląd i maniery o niczym nie świadczą. Zresztą, jeśli von Vor-mann jest naszym człowiekiem i przybrał taką właśnie maskę, to trzeba przyznać, że leży na nim jak ulał. A to przecież najważniejsze w konspiracji. Zrosnąć się ze swą maską. Cóż innego robi on, Hans Kloss?

Pułkownik Elert pobieżnie przejrzał dokumenty przywiezione mu przez Klossa, potem uważnie zlustrował wyprężoną sylwetkę młodego oficera.

- Czekam na pana od miesiąca, poruczniku Kloss, prawie od miesiąca - poprawił się.

-Jadę prosto ze szpitala. Zrezygnowałem z urlopu.

- Napisali to w pana dokumentach. Godne pochwały. Proszę siadać. Cygara czy papierosy? - przyjął ogień od Klossa. - Zażądałem przysłania oficera, który miał już do czynienia ze sprawami przerzutu agentów. Ma pan podobno praktykę.

- Zajmowałem się tym przez jakiś czas w Kolbergu, w szkole Abwehry,

- To jest dla nas najważniejsza i najpilniejsza sprawa i niech pan nie oczekuje, poruczniku Kloss, że będzie pan tu na wakacjach. Alianci szykują inwazję, to pewne, choć jeszcze nie wiemy, gdzie nastąpi. Może na Bałkanach, może w Marsylii albo Tulonie, a może właśnie tu. Musimy to wiedzieć i po to mi jest tu pan potrzebny. Pewnie pan już wie, że nazywam się Elert. Chcę teraz panu powiedzieć, że przed moim nazwiskiem nie ma żadnego „von”. Pochodzę z dobrej, kupieckiej rodziny z Bremy i nie cierpię bubków, którzy śpią w monoklu i chodzą tak, jakby usztywniał im głowy pancierz...

Kloss aż się uśmiechnął. Portret von Vormanna był bezbłędny.

-Jeśli pan pułkownik pozwoli, to powiem, że ja także nie przepadam za arystokracją.

- No, to coś przynajmniej o sobie wiemy. Do naszej roboty, oberleutnant Kloss, nie pasują ani czyste ręce, ani delikatne maniery. Dziś proszę się urządzić, znaleźć sobie kwatery, a od jutra do roboty. Do towarzystwa dodam panu niejakiego porucznika Vormanna, von Vormanna - poprawił się z przekąsem. - Pozna go pan wkrótce. Jego papa jest generałem, niezłym generałem - zasępił się chwilę, a potem, jakby odpędzając niedobre myśli, dodał: - ale synek tak wysoko nie zajdzie. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

- Wydaje mi się, że rozumiem, panie pułkowniku.

Wyraźnie skacowany podoficer kwatermistrzostwa zaproponował Klossowi, że odprowadzi go do przydzielonej mu kwatery, ale oberleutnant podziękował. Kazał tylko przysłać sobie walizkę.

Przejaśniło się nieco, zza chmur wyłoniło się blade słońce. Bez trudu znalazł przecznicę i małą willę pod numerem piątym, gdzie miał zamieszkać. Stara kobieta, właścicielka i jedyna lokatorka willi, bez słowa wprowadziła go do wnętrza, pokazała mu jego pokój, z którego przez duże, weneckie okno można było podziwiać rozłożone tarasowate Saint Gille, a za nim siną smuzkę morza. Zdjęła z ogromnego łóżka jaskrawo czerwoną kape, ze ściany fotografię mężczyzny w mundurze francuskiego oficera z czasów pierwszej wojny, z dziarsko podkreślonym wąsikiem, i cicho zamknęła za sobą drzwi. Prawie natychmiast usnął.

Obudziło go ciche pukanie. Wstał, przekręcił klucz w zamku. W progu stała młoda kobieta.

- Przyniesiono pańskie rzeczy. - Podała mu walizkę.

- Powiedziano mi - rzekł Kloss - że w tym domu mieszka jedynie stara dama. Myślałem, że to ta, która mi otworzyła.

- To prawda — rzekła dziewczyna. — Pozwoli pan, że wejdę. Skorzystałam z tego, że wyszła po zakupy, ponieważ postanowiłam pana odwiedzić.

- Proszę, proszę - Kloss podsunął jej krzesło. - Czyżbym się przesyłyszał? Mnie przyszła pani odwiedzić?

- Saint Gille jest malutkim miasteczkiem, panie poruczniku, i działa tu znakomicie poczta pantoflowa. Przyjazd kogoś nowego nie może ująć uwagi tubylców, a że wasz podoficer w kwatermistrzostwie lubi wino, więc można się dowiedzieć, że nowy oficer nazywa się Hans Kloss.

- Nie rozumiem - powiedział ostro. - Co pani tu robi? Czego pani szuka? Cóż z tego, jeśli naprawdę nazywam się Kloss? - Poczł nawiedzające go w takich chwilach uczucie kompletnego spokoju, nieomylny znak, że napięty jest do ostatnich granic.

- Przyszłam w odwiedziny do oberleutnanta Klossa, ponieważ teraz już wiem - położyła nacisk na słowo „teraz” - że to właśnie panu mam coś do powiedzenia.

- Proszę mówić — rzekł i zanim otworzyła usta, wiedział, co ona powie.

- W Paryżu najlepsze kasztany są na placu Pigalle.

Sięgnął po papierosa, potem poczęstował dziewczynę. Musiał zyskać na czasie. Niemal fizycznie poczuł zaciskającą się wokół niego sieć.

-Więc przyszła pani po to, żeby mnie poinformować, jak smaczne są kasztany na placu Pigalle? Byłem niedawno w Paryżu, próbowałem kasztanów, kto wie, czy właśnie nie na Pigalle? Ale nie sądzę, by różniły się czymś od tych z placu Opery.

- Proszę nie udawać, poruczniku - powiedziała poważnie. - Dwa następne człony hasła zna pan równie dobrze, jak ja.

- Hasła? Pięknie, mademoiselle. Czy pani zdaje sobie sprawę, że jeśli nie uzyskam bliższych wyjaśnień, każę panią natychmiast aresztować?

- Rozumiem - zasepiła się dziewczyna. - Więc już się stało nieszczęście, już do pana przyszedł ktoś z tym hasłem...

Kloss milczał. Czy to prowokacja? Jeśli tak, to zbyt grubo szyta. Elert nie wygląda na tumana. Więc może instynkt go nie zawiódł i prowokatorem jest von Vor-mann? A wtedy... Dziewczyna nie wyglądała na przestraszoną, zachowywała się swobodnie, może nawet zbyt swobodnie.

- Zaczyna pani niebezpieczną grę, jestem oficerem Abwehry.

- Wiem o tym i proszę mnie wysłuchać uważnie. — Podeszła do drzwi, otworzyła je i zamknęła na powrót. -Trzy tygodnie temu nie znaliśmy pańskiego nazwiska, tylko niezbyt dokładny rysopis. Nasz człowiek był nieostrożny. Potem wpadł w ręce Niemców. Jeśli żył, mogli z niego wydusić hasło. Każdy, kto zwróci się z nim do pana, jest prowokatorem.

-Więc pani...

- Mnie znajdzie pan w pensjonacie „Le Trou”, nazywam się Jeanne Mole. Drogę panu wskaże każdy niemiecki oficer.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi?

- Jak pan zrozumie, proszę przyjść.

- A jeśli każę panią aresztować?

- Nie zrobisz tego, J-23. Rozumiem, że sytuacja jest głupia i urąga wszystkim zasadom naszej roboty, ale nie miałam innego wyjścia, bałam się, że ktoś mnie uprzedzi. Proszę teraz wyjść przed dom i zobaczyć, czy nie kręci się nikt podejrzany. W przyszłości będę mogła odwiedzać pana najspokojniej w świecie. Należę do kobiet, które przyzwyczajono się widywać w towarzystwie niemieckich oficerów - powiedziała ze złością.

Ulica była pusta.

- Proszę tego nie odkładać, najlepiej dziś wieczorem -rzekła mu już w przedpokojku. —Jeśli stało się coś złego, zastanowimy się wspólnie. Przecież bez nas nie da pan sobie rady. Pan jest Niemcem?

- Nie - odparł machinalnie i natychmiast zrozumiał, że tym jednym słowem oddał się w ręce Jeanne Mole. -Jest źle - powiedział - jest bardzo źle. Przyjdę wieczorem, jeśli będę mógł.

Znaczyło to, że przyjdzie, jeśli do tego czasu Vormann nie odda go w ręce Elerta. Albo jeszcze krócej - jeśli będzie żył, bo przecież nie pozwoli się wziąć żywcem.

Jeanne skinęła tylko głową. Ona też tak to rozumiała.

6

Siedział teraz w kasynie i czekał na von Vormanna. Jedno, co mu pozostało, to czekać. Po wyjściu Jeanne wstąpił do sztabu, dowiedział się, że pułkownik Elert wyjechał zaraz po rozmowie z nim, wróci prawdopodobnie rano. Niestety, nie udało mu się wyciągnąć od mrukliwego biuralisty z nazwykami feldfebla, czy przed wyjazdem rozmawiał z leutnantem von Vormannem. Ale to przecież o niczym nie świadczyło, bo Vormann mógł spotkać Elerta gdzieś w mieście albo pułkownik mógł zajść do biura, gdzie urzędował von Vormann. A może pojechali razem? Bo na chudego porucznika z monoklem nie udało się Klossowi natknąć, choć przez kilka godzin włóczył się po Saint Gille, wstępując do kafejek i restauracji. Jedyнным miejscem, gdzie mógłby przyjść teraz wieczorem, jest właśnie kasyno. Kloss wypił już trzeci kieliszek koniaku, za każdym łykiem wyczuwając obce ciało w ustach: po wyjściu Jeanne specjalnym klejem przytwierdził do dżiasta małą szklaną kapsułkę, która w wypadku najgorszego, może być jeszcze ratunkiem.

W drzwiach ukazał się von Vormann. Nareszcie! Kloss poczuł coś w rodzaju ulgi. Erik stanąwszy w progu rozejrzał się, jakby kogoś szukał, a dostrzegłszy Klossa, ruszył ku niemu.

- Wino czy kieliszek koniaku? - zapytał Kloss.

- Oczywiście koniak - dostrzegł trzy puste kieliszki na marmurowym blacie. - Nie próżnujesz! Zauważyłeś już, że tutejsze wino jest podłe? Ja bym coś zjadł. Jesteś już po kolacji?

- Tak - skłamał Kloss. - Potwornie tu nudno. Nie wiesz, gdzie w Saint Gille można się dobrze zabawić?

- To zależy od poziomu zabawy - odparł Vormann. - Jest, jak wiesz, bilard, chętnie służę towarzystwem. Myślę jednak, że przedtem powinniśmy porozmawiać.

- O czym? - zdziwił się Kloss.

- Sądziłem, że powinniśmy skończyć naszą rozmowę.

- Wybacz, ale zupełnie nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, zdaje się, że o grze w bilard.

- Słuchaj, Hans - spochmurniał - nie należę do ludzi lubiących żarty. Prawdę mówiąc: nie znam się na żartach. Wydaje mi się, że dziś rano powiedzieliśmy sobie dostatecznie dużo.

- O czym ty mówisz?

- O placu Pigalle, gdzie sprzedają najlepsze kasztany.

- Racja. — Kloss jakby sobie coś przypomniał. — Rano też plotłeś o jakichś kasztanach - roześmiał się.

- Wybrałeś złą taktykę - Vormann powoli sączył koniak. - Dziś rano podałeś bezbłędnie odzew. Sądzę, że pułkownika Elerta niezwykle zainteresowałby fakt, że znalazł się nareszcie ktoś, kto zna to hasło.

-Ty także już dzisiaj piłeś - powiedział Kloss bezczelnie. Poczul przyływ pewności siebie. Ze słów von Vormanna wynikało, że nie zawiadomił jeszcze Elerta, a więc nie wszystko stracone.

- Rozumiem. - Vormann znów wypił łyżeczek. - Nie uważaj mnie za durnia. Ktoś cię ostrzegł, tak? —Nie oczekiwał potwierdzenia ani zaprzeczenia. — Hasło znaleźliśmy tylko my dwaj: Elert i ja. Przesłuchaliśmy człowieka, który powtórzył je mnie zamiast tobie. Wyrażam się jasno?

- Powiedzmy.

- Od paru tygodni oczekuję kogoś, kto zna odzew. Zjawileś się, Kloss. Możesz pomyśleć, że Elert tak bez niczego, bez żadnych dowodów mi nie uwierzy - wysączył resztę kieliszka. — Powiedzmy, że masz rację, ale nawet gdyby nie uwierzył, twoja kariera jest skończona.

- A jednak nie zameldowałeś Elertowi.

- Jak sądzisz, dlaczego? Nie spieszy mi się. Mamy trochę czasu, Hans. Trochę, to nie znaczy tak wiele, byś ty nie musiał się pośpieszyć.

- Z czym pośpieszyć?

- Wyobraźmy sobie, że nie mam ochoty meldować Elertowi. Wyobraźmy sobie, że nie mam ochoty ci przeszkadzać. A może - Erik von Vormann ściszył głos - może nie wierzę w zwycięstwo Rzeszy hitlerów, elertów i podobnej hołoty, może byłbym gotów pracować z tobą przeciwko nim?

- Oczywiście me darmo, co, Vormann?

- Von Vormann, jeśli łaska. Dla kogo pracujesz? Rozumiesz chyba, że jeśli skłonny byłbym współpracować z Anglosasami, to sprawa przedstawiałaby się całkiem inaczej, gdyby twoimi mocodawcami byli bolszewicy.

- Sojusznicy przecież - powiedział Kloss. Nie mógł ciągle zrozumieć, ku czemu zmierza von Vormann.

- Phi! - prychnął tamten - na razie sojusznicy. A więc po pierwsze: chcę wiedzieć, dla kogo, po drugie: z kim tu na miejscu, a po trzecie - zawiesił głos - o trzecim punkcie porozmawiamy za chwilę.

- Zachowujesz się, jakbyś wczoraj zaczął pracować w Abwehrze. Czy sądzisz, że powiem ci cokolwiek?

- Nie masz innego wyjścia.

- Mógłbym poszukać.

- Uciec, rzucić wszystko w diabły? Nie wyglądasz na człowieka, który rezygnuje w pół drogi. Poza tym twoi mocodawcy nie byliby zadowoleni, gdybyś zamilkł teraz, kiedy możesz być najpotrzebniejszy. Inwazja jest kwestią miesięcy, a może tygodni.

- Więc już sobie odpowiedziałeś na swoje pytanie. Jesteś przekonany, że pracuję dla Anglików.

- A dla kogóż innego mógłbyś pracować? - uśmiechnął się. Nalał koniaku do kieliszków. - Przejdźmy zatem do trzeciego punktu, mój drogi. Nasz rodzinny majątek pod Insterburgen wymaga sporych inwestycji. W interesach Niemiec leży, by w majątkach von Vormannów działało się dobrze. Potrzebuję dziesięciu tysięcy dolarów. Na razie. Nazwijmy to pierwszą ratą.

- A więc po prostu szantaż?

- Brzydkie słowo, Hans. Von Vormannowie nigdy nie brudzili sobie rąk szantażem. To honorarium. Ty przecież też nie pracujesz za darmo? Myślę, że mogę się przydać w tym samym stopniu, co ty.

- Drogo się cenisz.

- Także ciebie drogo cenię. Sądzisz, że nie jesteś wart tyle?

- Nie do mnie należy odpowiedź.

- Daję ci na to trochę czasu, tydzień, no, powiedzmy, dziesięć dni. Tyle musi ci starczyć na zdobycie pieniędzy. Wtedy prozmawiamy o reszcie.

- A jeśli nie dostaniesz pieniędzy?

- No cóż, wtedy nie pozostałoby mi nic innego, jak poinformować o wszystkim Elerta. Ale zapewniam cię, że to ostateczność. Zrobiłbym to z prawdziwym żalem i niesmakiem. Twoje zdrowie, Hans -podniósł kieliszek. - Aha, jeszcze jedno. Na wypadek, gdybyś chciał mnie zlikwidować, no, gdyby na przykład przejechał mnie jakiś samochód albo zastrzelili mnie francuscy partyzanci, postanowiłem się zabezpieczyć. Sporządziłem dokładną relację z naszej rozmowy i oddałem w pewne ręce. A teraz wypijmy za naszą przyszłą współpracę. Nie pijesz? Trudno, wypiję sam. Teraz mogę ci odpowiedzieć na pytanie, którym zacząłeś naszą rozmowę. Pytałeś, gdzie się można zabawić w Saint Gille. Radzę pójść do pensjonatu

„Le Trou”. Chodzą tam wszyscy nasi oficerowie, ja się tam także wybieram. Powiem ci jeszcze, że człowiek, który tak nieostrożnie przyszedł do mnie z hasłem, znał tamto miejsce. Ale bądź ostrożny. Pensjonat „Le Trou” znany jest także pułkownikowi Elertowi.

Kloss wolno popijał koniak. Przyglądał się chudym, kościstym palcom von Vormanna, bębniącym po marmurowym blacie stolika.

- Chyba skorzystam z twojej rady - powiedział. Potem postanowił zrobić przyjemność Vormannowi. - Jesteś niebezpiecznym przeciwnikiem, Erik. Chyba masz rację. Nie mam innego wyjścia, jak pójść z tobą na ugodę. A jeśli idzie o sumę...

Von Vormann przerwał mu w pół słowa:

-Nie próbuj się ze mną targować, mój drogi. -Wstał. -Musisz przemyśleć całą sprawę, więc zostawiam cię samego. - Sztywno, po prusku skłonił głowę. - Zegnam cię, Hans. Mam nadzieję, że jutro zagrzasz ze mną w bilard.

Został nareszcie sam. W kasynie panował hałas. Ktoś nastawił patefon. Pijani czołgiści w kącie ryczeli na całe gardło bawarskie piosenki. Przywołał kelnerkę, żeby jej zapłacić, ale okazało się, że elegancki von Vormann uprzedził go.

Wyszedł na ciemną ulicę, owiał go zimny wiatr. Padały duże, mokre płaty śniegu, które topniały, nim dotknęły

ziemi.

Otworzyła mu gruba służąca, wąsata jak huzar. Wzięła od niego płaszcz i czapkę i gestem

wskazała oszklone drzwi, zza których chrząkał patefon. Gdy Kloss stanął w progu saloniku, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Trzech kapitanów śmiało się z czegoś, co opowiadała im Jeanne Mole, jakiś sturmfuehrer SS usiłował rozpiąć suknię blondynce o wyzywającej urodzie, a leutnant Luftwaffe o dziecięcej twarzy, bez zarostu, tańczył samotnie fokstrota, objijając się co chwila o meble.

- O, jest ktoś nowy - zauważyła Jeanne i podeszła do Klossa z kieliszkiem. - Proszę, niech się pan przedstawi, nalewa sobie i siada. - Z trudem utrzymywała równowagę, była pijana.

Kloss podniósł jej rękę do ust.

- Mój przyjaciel - powiedział - radził mi, żebym złożył pani wizytę.

- To najweselsze miejsce w Saint Gille - ryknął młody lotnik wprost w ucho Klossa.

- Gdyby nie Jeanne - jeden z kapitanów z naszymi saperami objął Klossa w przyływie pijackiej czułości - można by tu zdechnąć z nudów. Niech żyją słodkie francuskie kobiety, panowie!

Jeanne przysiadła się tymczasem do Klossa.

- Pan niedawno przyjechał, prawda? — szczebiotała. — Czy ma pan żonę? Żonę, której kupuje się francuskie perfumy i którą zdradza się we Francji? Perfumy dostanie pan u mnie, a jeśli chodzi o zdradę... - przytuliła się doń. - Zatańczymy?

Klossowi zakręciło się w głowie. Wypił już sporo tego wieczora, a tempo, w jakim opróżniano butelki w pensjonacie „Le Trou”, przeraziło nawet jego. Zauważył, że zniknął gdzieś esesman z blondynką, a ich miejsce na kanapie zajął młody lotnik, który pochrapywał przez nos; jeden z kapitanów, zbliżywszy się do Klossa, tłumaczył mu, że on, jako nowo przybyły, ma szansę pozostania w pensjonacie do rana.

- Jest to coś w rodzaju chrztu w Saint Gille - śmiał się. - Każdy z nas przez to przeszedł z wyjątkiem tej mały-wskazał łysiego kapitana saperów, który klęczał teraz przed Jeanne i wołał: „Pani mi obiecała!”

Było dobrze po północy, kiedy zaczęli się rozchodzić.

- Nie chce pan zostać, oberleutnant? - przytuliła się do Klossa Jeanne.

Kapitan saperów spoglądał na Klossa z nienawiścią.

- Dlaczego on? Przecież miałem obiecać...

- Cierpliwości, kapitanie. Do widzenia, panowie, myślę, że zobaczymy się jutro.

Dopiero gdy trzasnęły za nimi drzwi, puściła ramię Klossa. W jednej chwili zniknęła jej cała, tak zdawałoby się szczerą, wesołość.

- Tak będzie dobrze - powiedziała. - Niech cię uważają za mojego kochanka. - Ku zdumieniu

Klossa była całkiem trzeźwa. - Daj mi papierosa. No co, pozbyłeś się już swoich wątpliwości? - A gdy skinął głową, wskazała schody. - Chodźmy, ktoś chce cię poznać.

Czarna, przepalona fajeczka, gęste, ciemne włosy nad niskim czołem. Tak, nie było wątpliwości. Henri, który spacerując po pokoju, czekał na nich na górze, był tym samym człowiekiem, którego rok temu zobaczył Kloss w małym pokoiku hotelu „Ideal” w Paryżu.

- Powiedzieli mi, że zostałeś deportowany — mocno uściśnął dłoń Francuza.

- To prawda - rzekł tamten. - Zwiąłem z transportu. Teraz jestem tutaj. Zresztą także tylko chwilowo.

Wyjaśnił Klossowi całą rzecz. Kilka tygodni temu aresztowano w Saint Gille szefa tutejszego obwodu Ma-quis - Marka. Wpadł w najgłupszy sposób. Miał lewe, ale doskonałe papiery. Pragnąc się szybko dostać do Hawru, skorzystał z uprzejmości kierowcy przygodnej ciężarówki. Okazało się, że facet wioził transport konserw ukradzionych z niemieckiego magazynu. Kierowcę i wszystkich pasażerów oczywiście zamknięto, ale Niemcy, widać, nie domyślają się, z kim mają do czynienia, bo w oczekiwaniu na rozprawę sądową trzymają Marka w tutejszym więzieniu. Marek wie bardzo dużo nie tylko o okręgu, ale także o kontaktach z wyspą, zna ponadto ludzi, którzy utrzymują łączność z naszą centralą poprzez filię szwajcarską. Dlatego centrala poleca za wszelką cenę odbić Marka z więzienia. Kiedy dostali cynk o przyjeździe Klossa, chcieli się z nim jak najszybciej skontaktować, ponieważ jego pomoc mogłaby się okazać nieodzowna przy przygotowywaniu akcji. Pech sprawił, że Jean Pierre poszedł z hasłem do von Vormanna, a potem przy próbie zaatakowania więzienia pozwolił się zabić.

Kloss zrelacjonował im pokrótce swoją rozmowę z von Vormannem, a także poinformował o istniejącym — jego zdaniem - konflikcie między Elertem a leutnantem w mo-noklu. To wszystko - zreasumował - daje pewne szansę gry.

- Potwornie ryzykowna gra - powiedziała Jeanne -ale chyba nie mamy innego wyjścia.

- Musimy założyć - rzekł Henri - że Vormann nie zawiadomił jeszcze Elerta, że istotnie pragnie zagrać na własną rękę. Ale nie można także wykluczyć, że Vormann pracuje na przykład dla SD, a próba szantażu służy temu, by przeniknąć głębiej do naszej siatki. Tak czy owak, wie o nas zbyt wiele, żeby wróżyć mu długie życie.

-Jest jeszcze ta relacja z rozmowy z Klosssem - powiedziała Jeanne. - Zaraz, zaraz - przypomniała sobie -ten kapitan saperów mówił, że był dziś w Hawrze razem z Vormannem. Jego siostra występuje tam na scenie.

- Tak - powiedział Kloss - u niej mogło być to bezpieczne miejsce, gdzie schował kopertę z raportem dla Elerta. - Znów poczuł w ustach małą szklaną ampułkę przylepioną do dziąsła.Przyszło mi coś do głowy - zaczął powoli - pewien pomysł. Zupełnie zwariowany, w dodatku piekielnie niebezpieczny dla Jeanne. Ale gdybyś się zgodziła - zwrócił się do dziewczyny - dałoby to nam pewną szansę.

-Jeżeli trzeba... -wzruszyła ramionami. -Nie wiem, czy mi uwierzycie, ale chwilami chciałabym umrzeć...

- Przestań się mazać - przerwał jej brutalnie Henri -nie ty jedna! - Nabił fajeczkę świeżą porcją tytoniu, wypuścił kłąb dymu. - Mów - rzekł tonem rozkazu.

- W zeszłym roku w Paryżu też miałeś pewien pomysł, całkiem, całkiem... Od tamtej pory polubiłem twoje pomysły. Tylko nie zapomnij, że chodzi nie tylko o ciebie. Twój pomysł musi wziąć pod uwagę sprawę wydostania Marka.

- Bierze pod uwagę - rzekł Kloss i opowiedział im swój plan.

7

Przez cztery dni nie zdarzyło się nic ciekawego. Kloss widywał się z von Vormannem kilkakrotnie w ciągu dnia. Przede wszystkim w biurze, gdzie nie dając niczego po sobie poznać, porucznik chłodno relacjonował Klossowi codzienny stan przygotowań do przerzutu grupy agentów do Anglii. Po południu grali najczęściej w bilard, ale Vormann ani razu nie wrócił do rozmowy, jeśli nie liczyć rzuconego mimochodem między jednym a drugim uderzeniem w bilę:

- Dziesięć dni to maksymalny termin, Hans.

Gdyby nie liczyć tego zdania, sprawy między leutnantem von Vormannem a oberleutnantem Klossiem układałyby się najzupełniej normalnie. O groźbie wynikającej z tego zdania przypominała Klossowi nieustannie mała, szklana fiołka, z którą teraz nie rozstawał się ani na chwilę. Świadomość, że wystarczy jeden mocny ruch językiem, by oderwać ją od dziąseł, była dla Klossa niesłychanie ważna. Choć brzmi to paradoksalnie, właśnie jej obecność pozwalała mu nie tracić zimnej krwi, spokojnie obliczać ewentualne ruchy przeciwnika. Wieczorami bywał oczywiście w „Le Trou”. Nie wzbudzało to żadnych podejrzeń, ponieważ codziennie przewijało się przez salon Jeanne Mole kilkunastu oficerów, a fakt, że dwukrotnie jeszcze został zatrzymany na noc, nie mógł wzbudzić niczego więcej prócz zazdrości pozostałych uczestników pijatyk.

Piątego dnia - jak było umówione - wymknął się z biura i wszedł do pobliskiego bistro. Henri, którego od tamtej rozmowy Kloss nie widział, siedział w kącie nad ape-ritifem, udając, że zatopiony jest w lekturze paryskiej gadzinówki.

- To, o co prosiłeś, jest już u Jeanne - rzekł nie patrząc na Klossa.

- A co z Hawrem? — zapytał.

- Zaraz stąd wyjdę - odparł Henri. - Na stoliku znajdziesz zawinięty w serwetę klucz do mieszkania Fräulein Benity von Vormann, a także jej adres. Codziennie od dziewiątej do jedenastej ma występ w niemieckim kasynie.

Nie powiedziawszy więcej ani słowa, nie zaszczyciwszy niemieckiego oficera nawet spojrzeniem, wstał od stolika i podszedł do lady, za którą królowała czterdzie-stoparoletnia piękność. Kloss wykorzystał moment, gdy tamten płacił, zasłaniając sobą właścicielkę, sięgnął po zawinięty w serwetkę klucz.

Skończyła się beczynność, papierkowa robota w biurze Abwehry, której jedynym urozmaiceniem były codzienne raporty składane Elertowi. Można przystąpić do realizacji pierwszego punktu planu, który w rozmowie z Jeanne i Henrykiem Kloss nazwał zupełnie zwariowanym.

Rozklekotany autobus przywiózł go do Hawru przed samą dziewiątą. Najpierw zaszedł do kasyna, żeby zobaczyć przynajmniej osobę, w której mieszkaniu zamierzał pobuszować. Benita von Vormann była dużą, tęgą, rudowłosą dziewczyną o malutkim głosiku. Wysłuchał sentymentalnej piosenki o żołnierzu niemieckim, który przywiózł swej dziewczynie szminek z Francji, futro z Rosji, jedwab z Grecji. Wzruszeni oficerowie długo oklaskiwali pieśniarkę i żądali bisów, jakby tymi oklaskami i okrzykami chcieli zagłuszyć tkwiące w każdym z nich, starannie ukrywane przeświadczenie, że piosence brakuje ostatniej zwrotki. W ostatniej zwrotce dziewczyna powinna dostać kartkę, że jej dzielny ukochany poległ za ojczyznę i fuehrera.

Benita von Vormann mieszkała w dużym, nowoczesnym domu, niedaleko parku. Dom prawdopodobnie w całości zajęty był przez Niemców, bo w portierni zamiast tradycyjnej konsjerżki, drzemał puciołowaty żołnierz. Kloss minął go i zrezygnowawszy z windy, wspiał się na trzecie piętro. Mieszkanie było małe, urządzone z pewnym smakiem, bardzo kobiece. Nie spiesząc się, z wprawą, której nabrał przez parę lat, przetrząsnął szafy i walizki, starając się, by gospodyni po powrocie nie zauważyła obecności intruza. Ale choć spenetrował wszystkie szuflady i szafy, zajrzał nawet do spiżarni i łazienki, choć dokładnie obmacał suknie i bieliznę rudowłosej siostry leutnanta Vormanna, nie znalazł niczego. Zdjął ze ściany reprodukcję Matisse'a, ale choć z faktu jej obecności w tym pokoju wynikało, że gusty ma panna von Vormann niezbyt ortoksyjne, to jednak i tam nie znalazł tego, czego szukał. Jeszcze korespondencja w biurku, bezskuteczne poszukiwanie jakiejś skrytki.

Nic, znowu nic.

Pierwszy punkt planu - pomyślał Kloss - spalił na panewce. Jeśli to ma być wróżbą dla całości przedsięwzięcia, kiepsko ze mną.

Zabierał się właśnie do wyjścia, gdy usłyszał kroki za drzwiami, potem chrobot klucza w zamku. Niemożliwe, żeby już wróciła, zegarek wskazywał dopiero dziesiątą piętnaście. Zdążył uskoczyć za kotarę, gdy otworzyły się drzwi pokoju.

Wszedł oficer w mundurze pułkownika, rozejrzał się, jakby zdziwiony światłem, którego Kloss nie zdążył już zgasić.

Kloss poznał go od razu - był to ten sam pułkownik Tiede, z którym dzielił przedział podczas pamiętnego nalotu na pociąg. Tiede czuł się jak u siebie w domu. Fakt posiadania klucza świadczył, że nie bez powodu. Wrócił do przedpokoju, po chwili wszedł znów już bez płaszcza i czapki. Kloss przypomniał sobie, że tamten zachwalał mu kobiety rudowłose.

Przynajmniej teraz rozumiem, dlaczego - pomyślał. Pułkownik podszedł do barku, wyjął butelkę wermutu, nalał sobie, przyjrzał się płynowi pod światło, potem podniósł kieliszek do ust. Na ten moment czekał Kloss. Jedno uderzenie kantem dłoni, uderzenie, którego nauczył go japoński instruktor w obozie pod Erywaniem, i tym razem nie zawiodło. Tiede runął na dywan, twarzą w rozlany wermut. Teraz nie ma rady. Nie da się ukryć faktu, że ktoś wdarł się do tego mieszkania. Jednak policja musi być przekonana, że był to zwykły rabuś. Kloss dostrzegł na toalecie drewnianą kasetkę, którą przed paroma minutami odłożył, wypełnioną pierścionkami, bransoletkami, broszkami i inną biżuterią. Wysypał zawartość i wtedy zobaczył spoczywający na dnie list. Biała koperta, gotycki napis: „Po mojej śmierci dostarczyć do rąk własnych pułkownika Elerta”. Oczywiście łąkowa pieczęć z herbowym odciskiem.

W pierwszej ciemnej bramie wyrzucił biżuterię. Dopiero potem wszedł do jakiejś kafejki, żeby przeczytać list, którego treść i tak znał. Von Vormann powiedział prawdę. W liście zrelacjonował rozmowę z Klossiem wiernie i pedantycznie. W ostatnich zdaniach tłumaczył, dlaczego nie zameldował natychmiast o swoim odkryciu. Z wyjaśnień wynikało, że van Vormann pragnie przeniknąć do wrogiej siatki wywiadowczej, rozpracować ją dokładnie i dopiero wtedy zameldować o wszystkim.

- Akurat - pomyślał Kloss. Wyjaśnienie von Vormanna przekonało go ostatecznie, że wrażliwą duszę arystokratycznego leutnanta interesują wyłącznie ordynarne pieniądze.

Starannie spalił list i kopertę, bacząc, by nie został nawet skrawek możliwy do identyfikacji. Zatrzymał przejeżdżającego motocyklistę i upewniwszy się, że jedzie do Sain Gille, usiadł w koszu. A więc pierwszy punkt zrealizowany. Jutro dalszy ciąg gry.

8

Von Vormann był zaskoczony wczesną i niespodziewaną wizytą Klossa.

- Ach, to ty - narzucił szlafrok na piżamę. - Proszę rozgościć się. - Wprowadził go do dużego, zagraconego pokoju, pełnego religijnych obrazów. Pokój był dość ciemny i nieprzytulny, meble bardzo zniszczone. Posadził Klossa na kanapie o podartym obiciu. Przez dziury wyłaziła gdzieś morska trawa. - Z czym przychodzisz? - Wcisnął monokl.

Poza czy naprawdę ma krótki wzrok? - pomyślał Kloss. Bez słowa podał Vormannowi szarą, pękatą kopertę.

- Już? - zdziwił się Vormann. Wysypał na stół zawartość. Jego długie palce poruszały się szybko w geście liczenia. Skończył liczyć i ostatnim banknotem cisnął ze złością o stół. - Co ty sobie myślisz, Kloss? Tu są tylko trzy tysiące. Powiedziałem dziesięć.

- Na razie więcej nie mogłem zdobyć.

- Masz jeszcze cztery dni. Chcę mieć wszystko albo...

- przysunął zwitek dolarowych banknotów w stronę Klossa: - Zabierz to.

Kloss z trudem ukrył zadowolenie. Tego właśnie oczekiwał. Nie przeliczył się. Duma przeważyła nad chciwością. Von Vormannowie nie targują się. Jeśliby Vormann wziął pieniądze, me byłoby żadnego wyjścia, jak zabić go od razu. A tak - można się jeszcze pobawić. Tylko Vormann nie wie, że w tej grze on będzie myszą, a Kloss

- kotem.

- Jak chcesz - powiedział obojętnie. Nie zdejmując rękawiczek, wkładał banknoty z powrotem do koperty.

- Pamiętaj - odezwał się von Vormann - że termin jest ostateczny i nie podlega prolongacie. - A potem dodał swoim zwykłym i uprzejmym tonem: - Napijesz się?

- Z przyjemnością - odparł Kloss. Wykorzystał moment, gdy tamten odwrócił się, by wyjąć z szafy butelkę, i kopertę pełną dolarów wepchnął pod obicie kanapy, najgłębiej, jak mógł.

Pułkownik Elert pochylał się nad rozpostartą na biurku wielką, sztabową mapą południowych wybrzeży Anglii i Walii.

Dobrze się składa - pomyślał Kloss. - To podziała mu na wyobraźnię.

- Proszę, proszę, Kloss. Właśnie miałem pana wezwać. Wyzaczyłem już termin przerzutu. Wspólnie z Vormannem opracuje pan rozkaz.

- Obawiam się, panie pułkowniku, że trzeba będzie zmienić termin. - A na pytające spojrzenie Elerta, dodał: - Przychodzę złożyć panu pułkownikowi ważny meldunek.

Elert zapalił cygaro, przyjrzał się twarzy swojego oficera.

- Słyszałem, że jest pan częstym gościem w pensjonacie „Le Trou”. Ponoć ma pan szczęście do dam.

- Właśnie w tej sprawie przychodzę.

- Czyżbym awansował na pańskiego powiernika w kwestiach sercowych? - W głosie Elerta zabrzmiała nie ukrywana ironia.

Kloss bez słowa sięgnął do portfela, wyjął skrawek mikrofilmu, owinięty w bibułkę. Podał Elertowi.

- Co to jest?

- Fragment mapy, która leży przed panem pułkownikiem z naniesionymi punktami przerzutu naszych grup do Anglii.

- Skąd pan to ma? - zapytał cicho. Twarz nabiegła mu krwią.

- Rezultat moich sukcesów sercowych - odparł Kloss spokojnie. - Znalazłem to w puderniczce niejakiej Jeanne Mole, właścicielki pensjonatu „Le Trou”.

- Więc jednak - pułkownik usiadł przy biurku.

- Oczywiście oderwałem tylko skrawek.

- Wiem - powiedział Elert - to znaczy domyśliłem się. Pan jest fachowcem, poruczniku. Gdybym miał pana wcześniej... Tę panią mamy na oku. - Ze złością zrzucił z biurka mapę. To teraz bezużyteczne. Czy pan wie, kto miał dostęp do tej mapy? Ja, pan i Vormann. To znaczy, że jeden z nas trzech... Co pan proponuje?

- Udawać, że się nie stało. Oczywiście zmienić miejsce przerzutu, poinformować Vormanna o terminie, oczywiście fałszywym; poczekać, aż zbierze się coś więcej!

- Zgoda, Kloss. Ale myślę, że warto pogadać z tą ma-demoiselle Mole. O ile wiem, Vormann tam nie bywa. Musi mieć z nią jakiś inny kontakt.

- Jest pan znakomicie poinformowany.

-Vormanna nie brałem pod uwagę, ale temu pensjonatowi przyglądałem się od dawna. Jedziemy zaraz.

Drzwi otworzyła im Jeanne. Kloss wszedł pierwszy, za nim Elert z ręką na kaburze. Dopiero za nim trzech ubrani po cywilnemu współpracownicy Elerta. Jeanne świetnie odegrała zdumienie.

-Nie rozumiem, co to znaczy.

- Proszę prowadzić, Kloss. A pani, panno Mole, wkrótce zrozumie. Czy ma pani broń?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy podbiegł jeden z taj-niaków i sprawnie obszukawszy ją, przecząco pokręcił głową.

- O co mnie panowie oskarżacie? Porucznik Kloss może zaświadczyć...

Weszli do pokoju. Kloss dostrzegł puderniczkę na toalecie i bez słowa podał ją Elertowi; Elert znalazł to, co powinien był znaleźć.

Jeanne padła na krzesło, ukryła twarz w dłoniach. Naprawdę duży talent aktorski - pomyślał Kloss.

- Od kogo otrzymała pani mikrofilm? Komu pani go miała przekazać?

- A jeśli nie powiem? - zapytała cicho Jeanne.

- Nie masz wyboru, Jeanne - powiedział Kloss. - To ja znalazłem mikrofilm w twojej puderniczce. Jeśli powiesz, masz szansę ocalić życie.

Wszystko odbyło się według scenariusza. Jeanne nie opierając się zbyt, wyznała, że mikrofilm - podobnie jak i inne materiały - znalazła w skrzynce kontaktowej, którą jest mały rozwalony domek w drodze do Carniche. Nie może powiedzieć, kto go tam dostarczył, wie jedynie, że jest to niemiecki oficer. Oficer ten pracuje dla Anglików od dawna, ale wkrótce zamierza przedostać się do Anglii. W tym celu zjawi się po niego łódź podwodna.

Jeanne nie skończyła jeszcze swoich zeznań, gdy przyszedł tajniak i z triumfem podał Elertowi kartkę maszynopisu. Kloss odetchnął z ulgą, ponieważ sam przedwczoraj przyniósł tę kartkę do mieszkania Jeanne. Została napisana na maszynie stojącej w biurze von Vormanna. Elertowi zabłyśły oczy.

- Niech pan przeczyta.

- Nie rozumiem — powiedział Kloss spokojnie. — „Czekam”. Tylko to słowo. Cóż w tym nadzwyczajnego?

- Podpis. Ważny jest podpis. „J-23”. Czy pan nie rozumie?

-Nie.

- Człowieku! Tego J-23, tego przekłętego J-23 usiłujemy upolować od roku. Teraz będziemy go mieli - zwrócił się do Jeanne: - Komu dalej przekazywała pani otrzymane materiały?

- Przenosiłam je - rzekła Jeanne potulnie - na cmentarz za kościołem kapucynów. Nie wiem, kto je stamtąd zabierał.

- Dlaczego nie zaniósła pani tego?

- Właśnie wybierałam się do wyjścia.

-W porządku, panno Mole. Zaniesie to pani, jak zwykle. Potem proszę wrócić do domu i nie ruszać się. Jeśli spróbuje pani ucieczki...

- Dokąd mogę uciec? - zapytała Jeanne. - Wszędzie jesteście. — Wyglądała na całkowicie załamana.

- O ile wiem - rzekł Kloss - pan pułkownik wysłał dziś von Vormanna na inspekcję w rejon Carniche. Moglibyśmy wykorzystać jego nieobecność i zobaczyć, co ma w mieszkaniu.

- Czyżby był tak głupi? - zapytał Elert. - Ale spróbować warto.

- Jednak głupi — stwierdził w dwie godziny później, wyciągając z rozprutej kanapy zwitek banknotów dolarowych. - Odciski palców na banknotach będą ostatecznym dowodem - rzekł.

Ale pułkownikowi Elertowi nie udało się postawić porucznika von Vormanna przed sądem wojennym. Kiedy oczekując do późnej nocy na wynik akcji na cmentarzu kapucynów, ćmił cygaro za cygarem, przyniesiono mu wiadomość, że partyzanci ostrzelali motocykl, którym jechał von Vormann. Dziwnym trafem kierowca wyszedł bez szwanku, porucznik natomiast zginął na miejscu.

Tej samej nocy, kiedy miejscowa żandarmeria skoncentrowana była wokół cmentarza za kościołem kapucynów, grupa francuskich partyzantów napadła na miejscowe więzienie, położone w drugim końcu miasta, odbijając wszystkich uwięzionych. Co gorsza, mademoiselle Jeanne Mole wymknęła się pilnującym ją tajniakom i dosłownie rozplynęła się w powietrzu.

To już rozwścieczyło Elerta do tego stopnia, że kazał przeszukać dom po domu - całe miasteczko. Oczywiście z wyjątkiem domów, w których kwaterowali niemieccy oficerowie. Niestety, bez skutku. Przez tydzień więc pilnowano cmentarza! Ale po pozostawione przez pannę Mole mikrofilmy nikt się nie zgłosił.

- Zanadto się pospieszyliśmy - powiedział Klossowi Elert, gdy zdał sobie sprawę, że tu także nic nie upoluje. - Na pocieszenie zostało nam tylko to, że ten przeklęty J-23 zniknął raz na zawsze.

Porucznik Kloss przytaknął mu ruchem głowy.